

MEAD RICHELLE



TOM VI

TŁUMACZENIE NIEOFICJALNE

Tym razem bez żadnych podtekstów i złośliwości pragniemy bardzo serdecznie podziękować wszystkim osobom, które nas wspierały i swoimi komentarzami podtrzymywały na duchu. Bez Was te tłumaczenia by nie istniały, wiercie nam.

Przepraszamy za wszelkie błędy, bo na pewno się takowe wkradły – diabeł nie śpi. Pragniemy również przeprosić jeśli kogoś obrażyliśmy, urażaliśmy czy coś innego. Nie miałyśmy złych intencji i wierzymy, że wszystko złe zostanie nam wybaczone, bo w końcu jesteśmy tylko ludźmi.

Pragniemy się również z Wami pożegnać, jako że to już ostatnia książka z tej serii. Bardzo było nam miło przekładać dla was kolejne części. Wybaczcie nam komentarze, ale jako że w sumie tłumaczenia są na nasz użytek i pamiątkę, chcieliśmy mieć się z czego pośmiać na stare lata. Bardzo, bardzo stare lata.

Żegnamy się również ze sobą – ze wszystkimi osobami, z którymi miałyśmy okazję pracować i które nam pomagały. Raz było lepiej, raz gorzej, ale suma sumarum, ten niecały rok był czasem niezłe zakrecony i dawał popalić. Do historii przejdą nie tylko małe, białe, puszyste króliczki Czarnej z jej Dymkami, ale też parodie, bUZIaczek, linoleum, motomyszy na marsie i wiele, wiele innych niezapomnianych skojarzeń, idących w parze z naszymi chomikowymi rozmowami. Nie zapominajcie, że Wielki Dymitr na Was patrzy.

Tak więc póki co żegnamy się z Wami wszystkimi, pięknie dziękujemy za współpracę, wsparcie i wyrozumiałość, oraz zapraszamy na czytanie ostatniej książki o przygodach precudownej Rose Hathaway i jej świty.

BadAssGirls

P.S. Co złego, to nie MY!

Jako, że ostatni raz możemy zadedykować komuś to tłumaczenie, zdecydowałyśmy się zadedykować je nielicznej grupie osobników płci męskiej, którzy czytają Akademię i naprawdę znajdują w niej rozrywkę. Chłopaki, zaimponowaliście nam. Tak trzymać.

Rozdział pierwszy

NIE LUBIĘ KLATEK.

Nie lubię nawet chodzić do zoo. Za pierwszym razem, gdy do jednego poszłam, niemal dostałam ataku klaustrofobii, patrząc na te biedne zwierzęta. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak jakakolwiek istota mogła żyć w ten sposób. Czasami czułam nawet odrobinę współczucia względem przestępców, skazanych na życie w celi. Ale z pewnością nie spodziewałam się spędzić swojego życia w jednej z nich.

Jednak ostatnio życie zdawało się rzucać mi pod nogi wiele rzeczy, których się nie spodziewałam. Oto i jestem. Zamknięta.

- Hej! – zawołałam chwytając się stalowych prętów, oddzielających mnie od świata. – Jak długo jeszcze mam tu być? Kiedy jest moja rozprawa? Nie możecie wiecznie trzymać mnie w tym lochu!

Okej, to nie był tak do końca loch, a przynajmniej nie w stylu tego ciemnego, z zardzewiałymi łańcuchami. Byłam w środku małej celi z jasnymi ścianami i jasną podłogą. Wszystko było nieskazitelnie czyste, sterylne i zimne. Cella była właściwie bardziej przygnębiająca niż zatęchły loch. Pręty w drzwiach były zimne w dotyku, twarde i nieugięte. Fluorescencyjne światło nadawało metalowi taki połysk, że wydawał się niemal pogodny w tej scenerii. Mogłam dostrzec ramię mężczyzny, stojącego sztywno obok wejścia do celi. Wiedziałam, że prawdopodobnie w korytarzu, z dala od mojego wzroku, znajduje się jeszcze czterech strażników. Wiedziałam również, że żaden z nich nie miał zamiaru mi odpowiedzieć, jednak to nie powstrzymało mnie przed nieustannym domaganiem się odpowiedzi przez ostatnie dwa dni.

Kiedy zapadła zwyczajna cisza, westchnęłam i z powrotem osunęłam się na prycę w rogu celi. Jak wszystko inne w moim nowym domu, prycza była pozbawiona koloru i prosta. Szczerze mówiąc, zaczęłam pragnąć posiadania prawdziwy loch. Szczury i pajęczyny przynajmniej pozwoliłyby mi na coś patrzeć. Zagapiłam się przed siebie, nagle odczuwając zdezorientowanie, którego zawsze tu doświadczałam: że wokół mnie zamykały się ściany i sufit. Jakbym nie mogła oddychać. Jakby ściany celi stałe się do mnie zbliżały, aż do momentu pozbawienia mnie jakiegokolwiek przestrzeni, wypychając na zewnątrz całe powietrze...

Sapiąc, zerwałam się nagle do pionu. *Nie gap się na ściany i sufit, Rose*, zganiłam się ostro. W zamian spuściłam wzrok na swoje ściśnięte dłonie, próbując dojść do tego, jak wpakowałam się w to bagno.

Wstępna odpowiedź była oczywista: ktoś wrobił mnie w przestępstwo, którego nie popełniłam. Ale to nie było drobne przestępstwo. To było morderstwo. Mieli chęć oskarżyć mnie o największe przewinienie, jakiego mógł dopuścić się moroj lub dampir. Chociaż nie można było powiedzieć, że wcześniej nie zabijałam. Owszem, robiłam to.

Brałam również udział w łamaniu reguł – i nawet prawa. Jednakże morderstwo z zimną krwią nie było w moim repertuarze. A już zwłaszcza morderstwo królowej.

To prawda, że królowa Tatiana nie była moją przyjaciółką. Była zimną, wyrachowaną władczynią morojów – rasy żyjących i władających magią wampirów, które nie zabijały ofiar dla krwi. Tatiana i ja miałyśmy chwiejne stosunki z kilku powodów. Jednym z nich było moje umawianie się z jej stryjecznym bratankiem, Adrianem. Kolejnym była moja krytyka odnośnie jej polityki, dotyczącej sposobów walki ze strzygami: złymi, nieumarłymi wampirami, które na nas wszystkich dybały. Tatiana wiele razy mnie oszukiwała, ale nigdy nie pragnęłam jej śmierci. Jednakże ktoś najwyraźniej tak, i zostawił szlak dowodów prowadzących prosto do mnie, z których najgorsze były moje odciski palców na srebrnym kołku, którym została zabita. Oczywiście to był mój kołek, więc to naturalne, że były na nim moje odciski. Ale nikt nie wydawał się myśleć, że to istotne.

Ponownie westchnęłam, wyciągając z kieszeni małą zmiętą kartkę. Mój jedyny materiał do czytania. Ścisnęłam ją w rękę, nie musząc patrzeć na słowa. Od dawna znałam je na pamięć. Jej zawartość poddała w wątpliwość to, co wiedziałam o Tatianie. Poddała też w wątpliwość wiele innych rzeczy.

Sfrustrowana otoczeniem, wyslizgiwałam się z niego do kogoś innego: mojej najlepszej przyjaciółki, Lissy. Lissa była morojką, z którą dzieliłam psychiczną więź, pozwalającą mi wchodzić w jej umysł i widzieć świat jej oczami. Każdy moroj władał jednym typem elementarnej magii. Lissa władała duchem, który wiązał się z mocami psychicznymi i leczniczymi. Był rzadki wśród morojów, którzy zazwyczaj posługiwali się bardziej fizycznymi żywiołami. Ledwie rozumieliśmy jej zdolności – które były niesamowite. Kilka lat temu wykorzystała ducha by sprowadzić mnie z krainy zmarłych, co stworzyło między nami więź.

Przebywanie w jej umyśle uwalniało mnie od klatki, pomagając mi nieco w tym małym problemie. Od czasu przesłuchania, na którym przedstawili wszystkie dowody przeciwko mnie, Lissa ciężko pracowała, by dowieść mojej niewinności. Mój kołek użyty w zbrodni, był tylko początkiem. Moi przeciwnicy byli sprytni, przypominając wszystkim o mojej wrogości względem królowej. Znaleźli również świadka, który zeznał o moim miejscu pobytu w czasie morderstwa. To zeznanie pozbawiło mnie alibi. Rada zdecydowała, że istnieją wystarczające dowody, aby wysłać mnie na pełnoprawny proces – na którym otrzymam werdykt.

Lissa desperacko próbowała zwrócić uwagę ludzi, by przekonać ich, że zostałam wrobiona. Miała jednak kłopoty ze znalezieniem kogoś, kto by jej słuchał, ponieważ cały Dwór Królewski zajęty był przygotowaniem do wyszukanego pogrzebu Tatiany. Śmierć monarchy była poważną sprawą. Moroje i dampirey – pół-wampirey jak ja – przyjeżdżały z całego świata, aby obejrzeć ten spektakl. Jedzenie, kwiaty, dekoracje, nawet muzycy. Pełna oprawa. Jeśli Tatiana wychodziłaby za mąż, to wątpiłabym, by to wydarzenie było tak spektakularne. Przy tak sporej aktywności i gwarze, nikt w tej chwili o mnie nie dbał. Jeśli chodzi o ludzi zainteresowanych, byłam bezpiecznie schowana i niezdolna do ponownego zabójstwa. Morderca Tatiany został znaleziony. Sprawiedliwości stało się zadość. Sprawa zamknięta.

Zanim wyraźniej zdołałam zobaczyć otoczenie Lissy, zamieszanie w więzieniu z powrotem szarpnęło mnie do własnej głowy. Ktoś wszedł w strefę więzienną i rozmawiał ze strażnikami, prosząc o widzenie ze mną. To był mój pierwszy gość od kilku dni. Moje serce zaczęło walić. Zerwałam się do krat mając nadzieję, że to ktoś, kto mi powie, że to wszystko było straszliwą pomyłką.

Mój gość nie był dokładnie tym, kogo się spodziewałam.

- Co ty tutaj robisz, staruszku? – powiedziałam ze znużeniem.

Przede mną stanął Abe Mazur. Jak zawsze był niezapomnianym widokiem. Był środek lata – było gorąco i wilgotno, ponieważ byliśmy w samym środku wiejskich obszarów Pensylwanii – co nie powstrzymało go przed noszeniem pełnego garnituru. Był krzykliwy, perfekcyjnie skrojony i przystrojony połyskującym, fioletowym, jedwabnym krawatem dopasowanym do szala, który wyglądał, jakby był przesadą w tym stroju. (Choć mój słownik twierdzi, że wyglądał jak *nadwyżka środków bojowych*... xD Tylko gdzie te środki? Samym widokiem chyba nikogo nie pozabija. No dobra, może i tak. Skoro laski napalają się na takiego *Cullena łod siedmiu boleści*, to czemu nie na Abego, który jest dużo, dużo lepszy? – przyp. Ginger) Złota biżuteria połyskiwała na tle śniadej barwy jego skóry, wyglądało na to, że ostatnio przyciął też swoją krótką czarną brodę. Abe był morojem i chociaż nie był arystokratą, to miał dość wpływów by nim być.

Zdarzyło mu się również być moim ojcem.¹

- Jestem twoim prawnikiem – powiedział wesoło. – To normalne, że przyszedłem udzielić ci porady prawnej.
- Nie jesteś prawnikiem – przypomniałam mu. – A twoje ostatnie porady nie zadziałały dobrze.

To było podłe z mojej strony. Abe – pomimo braku jakiegokolwiek aplikacji prawniczej – bronił mnie na przesłuchaniu. Oczywiście zważywszy na to, że zostałam zamknięta i wysłana na zbliżającą się rozprawę, wynik jego starań nie był imponujący. Ale spędzając czas w osamotnieniu, zdałam sobie sprawę, że miał w czymś rację. Żaden prawnik, nieważne jak dobry, nie mógłby wyciągnąć mnie cało z przesłuchania. Musiałam docenić go za podjęcie się z góry przegranej sprawy, choć biorąc pod uwagę nasze pobieżne relacje, wciąż nie byłam pewna, dlaczego to zrobił. Moje najlepsze teorie były takie, że nie ufał arystokratom i że jako ojciec czuł się do tego zobowiązany. W tej kolejności.

- Moje przedstawienie było idealne – sprzeciwił się. – Podczas gdy twoje przemówienie pod tytułem "gdybym była morderczynią" nie zrobiło dla nas nic dobrego. Wkładanie tego obrazu w głowę sędziego nie było najmądrzejszą rzeczą, jaką mogłaś zrobić.

Zignorowałam przytyk, krzyżując ramiona na piersi.

- Co w takim razie tutaj robisz? Wiem, że to nie jest zwykła ojcowska wizyta. Nigdy nie robisz niczego bez powodu.

¹ Śmieszne, nie? xD Uwielbiam dosłowne tłumaczenia:D – przyp. Ginger

- Oczywiście, że nie. Po co robić coś bez powodu?
- Nie zaczynaj z tą swoją pokrętną logiką.

Abe mrugnął porozumiewawczo.

- Nie ma potrzeby być zazdrosnym. Jeśli będziesz ciężko pracowała i zagłębisz w to swój umysł, pewnego dnia będziesz mogła odziedziczyć moje błyskotliwe umiejętności logiki.
- Abe – ostrzegłam. – Skończ z tym.
- Dobra, w porządku – powiedział. – Przyszedłem ci powiedzieć, że twój proces może zostać przyspieszony.
- C-co? To świetne wieści!

Przynajmniej tak myślałam. Jego mina mówiła co innego. Z tego, co ostatnio słyszałam, mój proces miał się odbyć za kilka miesięcy. Sama myśl, że tak długo będę przebywała w tej celi, znowu przyprawiła mnie o klaustrofobię.

- Rose, zdajesz sobie sprawę, że twój proces będzie wyglądał niemal tak samo jak przesłuchanie. Te same dowody i wyrok skazujący.
- Tak, ale musi być coś, co możemy przedtem zrobić, prawda? Znaleźć jakieś oczyszczające mnie dowody? – Nagle olśniło mnie, w czym tkwił problem. – Powiedziałaś "przyspieszony", o jak szybkim czasie mówimy?
- W zasadzie to chcieliby rozpocząć go po koronacji nowego króla lub królowej. Wiesz, jako część świętowania po koronacji.

Mówił to niepoważnym tonem, ale gdy złapałam jego ponure spojrzenie, załapałam pełny sens. Liczby zadzwoniły w mojej głowie.

- Pogrzeb jest w tym tygodniu, a wybory władcy zaraz po nim... Twierdzisz, że pójde na proces i zostanę skazana, w ile, praktycznie dwa tygodnie?

Abe skinął głową. Ponownie zbliżyłam się do krat z walącym w piersi sercem.

- *Dwa tygodnie?* Mówisz poważnie?

Kiedy powiedział, że proces zostanie przyspieszony, założyłam że będzie za miesiąc. To wystarczająco dużo czasu, by znaleźć dowody. Jak ja mam tego dokonać? Nie wiedziałam. A teraz czas działał przeciwko mnie. Dwa tygodnie nie były wystarczające, zwłaszcza z tak sporą aktywnością na Dworze. Chwilę temu byłam zła za czekający mnie długi czas siedzenia w celi. Teraz miałam go za mało, a odpowiedź na moje następne pytanie mogła jeszcze bardziej pogorszyć sprawy.

- Ile? – zapytałam, starając się kontrolować drżenie w swoim głosie. – Ile czasu minie od orzeczenia werdyktu do... wykonania wyroku?

Ciągle nie do końca wiedziałam, co odziedziczyłam po Abe, ale wyraźnie zdawaliśmy się dzielić jedną cechę: niezachwianą zdolność dostarczania złych wieści.

- Prawdopodobnie natychmiast.
- Natychmiast. – Cofnęłam się niemal siadając na łóżku, a następnie poczułam napływ nowej adrenaliny. – Natychmiast? A więc dwa tygodnie. W przeciągu dwóch tygodni mogę być... martwa.

Ponieważ to była rzecz – rzecz, która snuła się po mojej głowie od momentu, gdy stało się oczywiste, że ktoś podrzucił wystarczającą ilość dowodów, by mnie zrobić. Ludzie mordujący monarchów nie szli do więzienia. Byli skazywani na śmierć. Wśród morojów i dampirów tylko kilka przestępstw zasługiwało na taka karę. Próbowaliśmy być cywilizowani pod względem sprawiedliwości, pokazując że jesteśmy lepsi od krwiożerczych strzyg. Ale w oczach prawa niektóre przestępstwa zasługiwały na śmierć. Zasługiwali na nią również niektórzy ludzie – powiedzmy jak mordercy, dopuszczający się zdrady stanu. Gdy spadł na mnie pełen obraz przyszłości, poczułam, jak się trzęsę, a lży są niebezpiecznie blisko wypłynięcia z moich oczu.

- To nie jest w porządku! – powiedziałam Abe. – To nie jest w porządku i ty o tym wiesz!
- Nie ma znaczenia, co myślę – odparł spokojnie. – Ja tylko dostarczam fakty.
- Dwa tygodnie – powtórzyłam. – Co możemy zrobić w dwa tygodnie? To znaczy... masz jakieś wskazówki, prawda? Czy... czy... znajdziesz coś do tego czasu? To twoja specjalność.

Mówiłam chaotycznie, wiedząc, że brzmię histerycznie i zdesperowanie, oczywiście dlatego, że właśnie tak się czułam.

- Trudno będzie dużo osiągnąć – wyjaśnił. – Dwór jest pochłonięty pogrzebem i wyborami. Sprawy są niezorganizowane, co jest zarówno dobre jak i złe.

Wiedziałam o wszystkich przygotowaniach przez obserwowanie Lissy. Widziałam wrzący teraz chaos. Znalezienie jakiegokolwiek dowodu w tym bałaganie nie tylko było trudne. To było również niemożliwe.

Dwa tygodnie. Dwa tygodnie i mogę być martwa.

- Nie mogę – powiedziałam do Abe łamiącym się głosem. – Ja nie... nie zamierzałam umrzeć w ten sposób.
- Naprawdę? – Uniósł brew. – Założyłaś już, jak powinnaś umrzeć?
- W bitwie. – Jedna lza zdołała uciec, ale pospiesznie ją wytarłam. Zawsze szłam przez swoje życie z nieustępliwym image'm. Nie chciałam go rujnować, nie teraz, gdy liczył się najbardziej. – Walcząc. Broniąc tych, których kocham. Ale nie... nie przez jakąś zaplanowaną egzekucję.
- To jest swego rodzaju walka – powiedział w zadumie. – Tylko, że nie fizyczna. Dwa tygodnie to nadal dwa tygodnie. Czy to źle? Tak, ale lepsze to niż jeden tydzień. Wszystko jest możliwe. Może włączą się nowe dowody. Musisz po prostu poczekać i zobaczyć.

- Nie znoszę czekać. Ten pokój... jest taki mały. Nie mogę oddychać. To mnie zabije wcześniej niż kat.
- Szczerze w to wątpię. – Wyraz twarzy Abe ciągle był chłodny, pozbawiony oznak sympatii. Fasada surowości skrywająca uczucia.²
- Nieustraszenie walczysz z grupami strzyg, a nie możesz znieść przebywania w małym pokoju?
- To więcej niż to! Teraz muszę spędzać każdy dzień w tej dziurze na czekaniu, wiedząc że zegar odmierza czas do mojej śmierci i niemal nie ma sposobu, aby go zatrzymać.
- Czasami największe próby naszej siły są sytuacjami, które nie wydają się oczywistym zagrożeniem. Czasem przetrwanie jest najtrudniejszą rzeczą ze wszystkich.
- O, nie, nie – odeszłam dalej, zataczając małe kółka. – Nie zaczynaj z tymi wszystkimi szlachetnymi pierdołami. Brzmisz jak Dymitr, kiedy dawał mi te swoje wnikliwe lekcje życia.
- On przetrwał tę samą sytuację. Tak jak i inne rzeczy.

Dymitr.

Wzięłam głęboki wdech, uspokajając się przed odpowiedzią. Przed tym bagnem z morderstwem, Dymitr był największą komplikacją w moim życiu. Rok temu – choć to wydaje się wiecznością – został moim instruktorem w szkole średniej, trenując mnie na jednego z dampirzyc strażników, którzy chronili morojów. Osiągnął to – i dużo więcej. Zakochaliśmy się w sobie, co nie było dozwolone. Dawaliśmy sobie z tym radę najlepiej jak mogliśmy, w końcu znajdując drogę do bycia razem. Nadzieja na to zniknęła, kiedy został ukąszony i przemieniony w strzygę. To był dla mnie żywy koszmar. I wówczas, przez cud, którego nikt nie uważał za możliwy, Lissa użyła ducha, by z powrotem zamienić go w dampira. Ale niestety rzeczy nie wróciły do stanu, w jakim były przed atakiem strzyg.

Spiorunowałam wzrokiem Abe.

- Dymitr to przetrwał, ale był tym okropnie załamany! Nadal jest. Załamany wszystkim.

Dymitra dręczył pełen ciężar potworności, jakie popełnił, będąc strzygą. Nie mógł sobie wybaczyć i przysięgał, że nie może już teraz nikogo kochać. Fakt, że zaczęłam umawiać się z Adrianem, nie pomógł sprawie. Po paru daremnych próbach, zaakceptowałam to, że między Dymitrem i mną nastał koniec. Ruszyłam do przodu, mając nadzieję, że teraz stworzę z Adrianem coś prawdziwego.

- Racja – powiedział sucho Abe. – Ma depresję, a ty jesteś obrazem szczęścia i radości.

Westchnęłam.

- Czasami rozmawianie z tobą, jest jak rozmawianie ze sobą: cholernie denerwujące. Czy jest jakiś powód twojej obecności tutaj? Coś innego niż dostarczenie tej okropnej wiadomości? Byłabym szczęśliwsza żyjąc w nieświadomości.

² Czyli po naszymu – *Poker face*. Szaz kazała mi dać przypis. Widzicie? Jestem pod pantoflem! Oryg. – *Though Love* – wychowanie polegające na uczeniu samodzielności; lubienie kogoś, ale pozostawanie obojętnym i surowym.

Nie zamierzam umrzeć w ten sposób. Nie zamierzam patrzeć jak nadchodzi. Moja śmierć nie jest jakimś spotkaniem, zapisanym w kalendarzu.

Wzruszył ramionami.

- Chciałem cię po prostu zobaczyć. I twoje przygotowania.

Tak, faktycznie, uświadomiłam sobie. Oczy Abe zawsze wracały do mnie, gdy mówił; nie było wątpliwości, że przyciągałam jego uwagę. W naszym przekomarzaniu się nie było nic, co mogłoby zwrócić uwagę moich strażników. Ale dosyć często widziałam, jak spojrzenie Abe prześlizguje się wokół, obserwując korytarz, moją celę albo jakikolwiek inny szczegół, który go zaciekał. Abe nie na darmo zasłużył na swoją reputację zmeja – węża. Zawsze kalkulował, zawsze szukał korzyści. Wydawało się, że moja tendencja do szalonych spisków była cechą rodzinną.

- Chciałem również pomóc ci zabić czas. – Uśmiechnął się, wyciągając spod pachy kilka magazynów i książkę, i podając mi je przez kraty. – Może to poprawi sytuację.

Wątpiłam, by jakakolwiek rozrywka ułatwiła te dwa tygodnie odliczania do śmierci. Magazyny były o fryzurach i modzie. Książka – *Hrabia Monte Christo*. Uniosłam ją, potrzebując wygłosić żart, musząc zrobić cokolwiek, aby zmniejszyć prawdziwość tej sytuacji.

- Widziałam film. Twoja subtelna symbolika jest naprawdę subtelna. Chyba, że ukryłeś w środku pilnik.
- Książka jest zawsze lepsza niż film – zaczął się odwracać i odchodzić. – Być może następnym razem odbędziemy dyskusję na temat literatury.
- Zaczekaj. – Rzuciłam materiały do czytania na łóżko. – Zanim wyjdiesz... w tym całym bałaganie nikt nie domyślił się, kto naprawdę ją zabił. – Kiedy Abe nie odpowiedział od razu, posłałam mu ostre spojrzenie. – Wierzysz, że tego nie zrobiłam, prawda?

Z tego, co wiedziałam, sądził, że jestem winna, ale i tak chciał pomóc. To byłoby w jego stylu.

- Wierzę, że moja słodka córka jest zdolna do morderstwa – powiedział w końcu. – Ale nie tego.
- Więc kto to zrobił?
- To – powiedział zanim wyszedł – jest coś, nad czym pracuję.
- Ale właśnie powiedziałaś, że kończy się nam czas! – Nie chciałam, żeby wychodził. Nie chciałam być sama z moim strachem. – Nie ma sposobu, żeby to naprawić!
- Po prostu pamiętaj, co ci powiedziałem na sali rozpraw – zawołał w odpowiedzi.

Zszedł z pola mojego widzenia. Z powrotem usiadłam na łóżku, wracając myślami do tego dnia w sądzie. Na koniec przesłuchania powiedział mi – całkiem stanowczo – że nie zostanę stracona. Ani nie pójdę na proces. Abe Mazur nie był osobą, składającą jałowe obietnice, ale

zaczynałam myśleć, że nawet on miał granice, zwłaszcza odkąd nasz terminarz został zmieniony.

Ponownie wyjęłam zmięty kawałek papieru i rozwinęłam go. On też pochodził z sali rozpraw, został potajemnie przekazany mi przez Ambrosego – służącego i młodego kochanka Tatiany.

Rose,

Jeśli to czytasz, to stało się coś strasznego. Prawdopodobnie mnie nienawidzisz i nie winię Cię za to. Mogę tylko prosić, byś uwierzyła mi, że wprowadzenie dekretu obniżającego wiek strażników było lepsze dla twojego gatunku niż to, co planowali inni. Są moroje, którzy za pomocą kompulsji chcą zniewolić i zmusić wszystkich dampirów do służby. Dekret spowolnił ten odłam.

Jednakże piszę do Ciebie w sprawie sekretu, którym musisz się zająć. Podziel się nim z możliwie jak najmniejszą ilością osób. Wasylissa musi zająć swoje miejsce w Radzie i to da się zrobić. Ona nie jest ostatnią z Dragomirów. Żyje jeszcze ktoś, nieślubne dziecko Erica Dragomira. Nie wiem nic więcej, ale jeśli możesz znaleźć jego syna albo córkę, dasz Wasylissie władzę, na jaką zasługuje. Bez względu na Twoje wady i ryzykowny temperament, czuję, że jesteś jedyną osobą, która może podjąć się tego zadania. Nie trać czasu.

Tatiana Iwaskow

Słowa nie zmieniły się od ostatnich stu razy, gdy je czytałam, ani też pytania, które ze sobą niosły. Czy liścik był prawdziwy? Czy Tatiana naprawdę go napisała? Czy ona – pomimo swojego pozornie wrogiego nastawienia – ufała mi, powierzając tę niebezpieczną wiedzę? Dwanaście rodzin królewskich podejmowało decyzje w imieniu morojów, ale dla wszelkich zamiarów i intencji, równie dobrze mogło być tylko jednaście. Lissa była ostatnia w swojej linii. Nie posiadając innego członka rodziny Dragomirów, według morojskiego prawa nie mogła zasiąść i głosować w Radzie, która podejmowała decyzje. Ustanowione były pewne złe prawa, i jeśli liścik był prawdziwy, mogło nadejść więcej. Lissa mogła zwalczyć te prawa – i niektórym ludziom to się nie spodobało, ludziom, którzy już zademonstrowali swoją chęć do zabijania.

Jeszcze jeden Dragomir.

Jeszcze jeden Dragomir oznaczał, że Lissa mogła głosować. Jeden głos więcej w Radzie mógł tak wiele zmienić. Zmienić świat morojów. Mój świat – powiedzmy jak to, czy uznano by mnie za winną, czy nie. I z pewnością zmieniłby świat Lissy. Przez cały ten czas wierzyła, że jest sama. Jednak... niespokojnie zastanawiałam się czy chętnie przywitałaby przyrodnie rodzeństwo. Zaakceptowałam fakt, że mój ojciec był kanalią,³ ale Lissa zawsze trzymała swojego na piedestale, widząc w nim tylko to, co najlepsze. Ta wiadomość będzie dla niej

³ Sory, nie mogłam się powstrzymać xD *scoundrel* – drań, łotr, łajdak, łapserdak itp:D – przyp. Ginger

szokiem i chociaż trenowałam całe życie, by trzymać ją z dala od fizycznych zagrożeń, zaczynałam myśleć, że były inne rzeczy, przed którymi również musiała zostać chroniona.

Ale najpierw *musiałam* poznać prawdę. Musiałam dowiedzieć się czy ten liścik naprawdę pochodził od Tatiany. Byłam całkiem pewna, że mogłam to zrobić, ale to wymagało czegoś, czego nienawidziłam robić.

W sumie, czemu nie? Nie miałam przecież teraz nic do roboty.

Podnosząc się z łóżka, odwróciłam się plecami do krat, wpatrując się w pustą ścianę, używając jej jako punktu skupiającego. Zbierając się w sobie i pamiętając, że jestem wystarczająco silna by utrzymać kontrolę, rozluźniłam mentalne bariery, którymi zawsze podświadomie otaczałam swój umysł. Ogromne ciśnienie uszło ze mnie jak powietrze z balonika.

I nagle zostałam otoczona przez duchy.

Tłumaczenie: Ginger_90

Korekta: Diotima, Qbac, Arasse

Rozdział drugi

JAK ZAWSZE BYŁO TO DEZORIENTUJĄCE. Twarze i czaszki, półprzezroczyste i świecące, wszystkie unoszące się wokół mnie. Napływały do mnie, kłębiąc się w chmury, jakby wszystkie desperacko musiały coś powiedzieć. I serio, prawdopodobnie tak było. Duchy, które utrzymywały się w tym świecie były niespokojne, dusze, które miały powody, powstrzymujące je od dalszej drogi. Kiedy Lissa przywróciła mnie do życia, utrzymałam połączenie z ich światem. Nauczenie się blokowania podążających za mną widm pochłonęło z mojej strony wiele pracy i samokontroli. Magiczne zabezpieczenia, które chroniły Dwór morojów, właściwie trzymały duchy z dala ode mnie, ale tym razem chciałam ich tutaj. Dając im ten dostęp, przyciągałam je... Cóż, to było niebezpieczne.

Coś mi mówiło, że jeśli kiedykolwiek byłby tam niespokojny duch, byłaby to królowa, którą zamordowano w jej własnym łóżku. Nie zobaczyłam żadnych znajomych twarzy pośród tej grupy, ale nie straciłam nadziei.

- Tatiano – wyszeptalam, skupiając myśli na twarzy nieżyjącej królowej. – Tatiano, przyjdź do mnie.

Raz byłam w stanie z łatwością przywołać jednego ducha: mojego zabitego przez strzygi przyjaciela, Masona. Mimo że Tatiana i ja nie byłyśmy ze sobą tak blisko, jak ja z Masonem, z pewnością miałyśmy połączenie. Przez chwilę nic się nie działo. Ta sama plama niewyraźnych twarzy zawirowała przede mną w celi i zaczęłam wpadać w desperację. I wówczas, nagle, była tam.

Stała w ubraniach, w których ją zamordowano – w długiej koszuli nocnej i szlafroku pokrytych krwią. Jej kolory były przygaszone, mieniające się jak niesprawny ekran telewizora. Jednakże korona na jej głowie i arystokratyczna postawa dawały jej to samo królewskie wrażenie, jakie zapamiętałam. Od momentu, gdy się zmaterializowała, nic nie powiedziała ani nie zrobiła. Po prostu wpatrywała się we mnie, praktycznie przesywając moją duszę swoim mrocznym spojrzeniem. Poczułam ścisk w klatce piersiowej z powodu kłębiących się tam emocji. Ta instynktowna reakcja, którą zawsze miałam w pobliżu Tatiany – złość i niechęć – wybuchły. Następnie zmieszało się to z zaskakującą falą sympatii. Niczyje życie nie powinno kończyć się tak, jak jej.

Zawahałam się w obawie, że usłyszą mnie strażę. Ale jakoś odniosłam wrażenie, że głośność mojego głosu nie ma znaczenia i że żaden z nich nie mógłby zobaczyć tego, co ja. Utrzymałam jego ton.

- Napisałaś to? – wydyszałam. – Czy to prawda?

Nadal się gapiła. Duch Masona zachowywał się podobnie. Przywoływanie zmarłych to była jedna rzecz; komunikacja z nimi stanowiła całkiem odrębny problem.

- Muszę wiedzieć. Jeżeli istnieje inny Dragomir, znajdę go. – Bezsensem byłoby przykuwanie uwagi do faktu, iż w moim położeniu nie miałam szans na znalezienie czego-

kolwiek lub kogokolwiek. – Ale musisz mi powiedzieć. Czy to ty napisałaś ten list? Czy to prawda?

Odpowiedziało mi tylko to doprowadzające do szału spojrzenie. Moja frustracja rosła, a presja tych wszystkich duchów zaczynała przyprawiać mnie o ból głowy. Tatiana była najwidoczniej tak samo irytująca po śmierci, jak i za życia. Już miałam przywrócić swoje bariery i odepchnąć duchy, gdy Tatiana wykonała najmniejszy z ruchów. Było to maleńkie skinienie, ledwie zauważalne. Jej twarde spojrzenie przeniosło się niżej, na liścik w mojej dłoni i tak po prostu – zniknęła.

Wzniosłam z powrotem swoje bariery, używając całej woli by zamknąć się na zmarłych. Ból głowy nie znikł, ale tamte twarze tak. Opadłam z powrotem na łóżko i gapiłam się na list, nie widząc go. Oto była moja odpowiedź. List był prawdziwy. Napisała go Tatiana.

Jakoś wątpiłam, by jej duch miał jakikolwiek powód by kłamać.

Rozciągając się, położyłam głowę na poduszce i czekałam, aż przejdzie mi to okropne pulsowanie. Zamknęłam oczy i wykorzystałam duchową więź, by wrócić i zobaczyć, co robi Lissa. Od czasu mojego aresztowania była zajęta obroną i sprzeczeniem się w moim imieniu, więc spodziewałam się zastać coś podobnego. Zamiast tego była na... ciuchowych zakupach. Byłam niemal urażona frywolnością mojej najlepszej przyjaciółki, dopóki nie zdałam sobie sprawy, że szuka sukienki na pogrzeb. Była w jednym z tych ukrytych dworskich sklepów, tym, który obsługiwał arystokratyczne rodziny. Ku mojemu zaskoczeniu był z nią Adrian. Zobaczenie jego znajomej, przystojnej twarzy złagodziło nieco część tkwiącego we mnie strachu. Szybkie zbadanie jej umysłu powiedziało mi, dlaczego tu był: namówiła go na przyście, gdyż nie chciała, by został sam.

Mogłam zrozumieć dlaczego. Był totalnie pijany. To, że stał, było cudem i właściwie silnie podejrzewałam, że ściana, o którą się opierał, była wszystkim, co go podtrzymywało. Jego brązowe włosy były w nieładzie – i to nie w ten zamierzony sposób, w jaki je stylizował. Jego głębokie, zielone oczy były przekrwione. Adrian, tak jak Lissa, był użytkownikiem ducha. Posiadał umiejętność, której ona jeszcze nie zdążyła opanować: potrafił odwiedzać ludzi w snach. Spodziewałam się, że przyjdzie do mnie od czasu mojego uwięzienia i teraz zaczynało być zrozumiałe, czemu tego nie zrobił. Alkohol hamował ducha. W pewnym sensie było to dobre. Nadmierne używanie ducha wywoływało ciemność, która doprowadzała użytkowników ducha do szaleństwa. Jednak spędzanie życia będąc nieustannie nawalonym również nie było takie znów zdrowe.

Zobaczenie go oczyma Lissy uruchomiło we mnie emocjonalne zmieszanie niemal tak silne, jak to, którego doświadczyłam przy Tatianie. Współczułam mu. Był przeze mnie ewidentnie zmartwiony i przybity, a wstrząsające zdarzenia z zeszłego tygodnia zaskoczyły go tak samo jak resztę nas. Stracił także swoją ciotkę, o którą, pomimo jej szorstkiego zachowania, dbał.

Dotychczas, pomimo tego wszystkiego, czułam się... zlekceważona. Było to prawdopodobnie niesprawiedliwe, ale nie mogłam nic na to poradzić. Zależało mi na nim tak bardzo i

rozumiałam jego przygnębienie, ale były lepsze sposoby na pogodzenie się z jego stratą. Jego zachowanie było niemal tchórzowskie. Chował się przed problemami w butelce, co było przeciwko każdej części mojej natury. A ja? Nie mogłam pozwolić problemom wygrać bez walki.

- Aksamit – powiedziała pewnie sprzedawczynie do Lissy. Pomarszczona morojka przytrzymywała w górze obszerną suknię z długimi rękawami. – Aksamit jest tradycyjnym materiałem w królewskiej eskorcie.

Razem z pozostałą pompą, pogrzeb Tatiany będzie miał uroczystą eskortę, idącą obok trumny, z przedstawicielami każdej rodziny. Najwyraźniej nikt nie miał nic przeciwko pełnieniu tej roli przez Lissę dla jej rodziny. Ale głosowanie? To była inna sprawa. Lissa spojrzała na suknię. Przypominała raczej Halloween'owy strój niż suknię pogrzebową.

- Na zewnątrz jest dziewięćdziesiąt stopni⁴ – powiedziała Lissa. – I jest wilgotno.
- Tradycja wymaga poświęcenia – powiedziała melodramatycznie kobieta. – Tak jak tragedia.

Adrian otworzył usta, niewątpliwie z jakimś gotowym nieodpowiednim i kpiącym komentarzem. Lissa skinęła na niego ostro głową, co utrzymało go w ciszy.

- Nie ma jakichś, nie wiem, opcji bez rękawów?

Oczy sprzedawczynie rozszerzyły się.

- Nikt nigdy nie nosił ramiączek na królewski pogrzeb. To nie byłoby właściwe.
- A co z szortami? – spytał Adrian. – Są w porządku razem z krawatem? Ponieważ właśnie w tym miałem zamiar iść.

Kobieta wyglądała na przerażoną. Lissa rzuciła Adrianowi pogardliwe spojrzenie, nie tak bardzo z powodu komentarza – który uznała za lekko zabawny – ale dlatego, że także była zdegustowana jego stałym stanem upojenia.

- Cóż, nikt nie traktuje mnie jak pełnoprawnego członka rodziny królewskiej – stwierdziła Lissa, odwracając się do sukienek. – Nie ma powodu, by udawać jednego z nich. Pokaż mi coś na ramiączkach i z krótkimi rękawami.

Sprzedawczynie skrzywiła się, ale ustąpiła. Nie miała problemu z doradzaniem arystokratom w kwestii mody, ale nie odważyłaby się kazać im czegoś zrobić czy w coś ubrać. To była kwestia ustawienia klas w naszym świecie. Kobieta przeszła przez sklep po żądane suknie, dokładnie w momencie, gdy chłopak Lissy wraz z jego ciotką weszli do środka.

Pomyślałam, że to Christian Oзера był osobą, z której Adrian powinien brać przykład. Fakt, że w ogóle mogłam tak pomyśleć, był zadziwiający. Czasy zupełnie się zmieniły, od kiedy postrzegałam Christiana jako model do naśladowania. Była to jednak prawda. Obserwowałam go w zeszłym tygodniu z Lissą. Christian był zdeterminowany i wierny, robiąc co mógł, by

⁴ Oczywiście nie Celsjusza, tylko Farenheita – przyp. Ginger

pomóc jej w obliczu śmierci Tatiany i mojego aresztowania. Sądząc z wyrazu jego twarzy, oczywiste było, że ma coś ważnego do przekazania.

Jego szczera do bólu ciocia, Tasza Oзера, była kolejnym doskonałym przykładem zachowania siły i wdzięku pod presją. Wychowała go po tym, jak jego rodzice zamienili się w strzygi – i zaatakowali ją, pozostawiając Taszę z bliznami po jednej stronie twarzy. Moroje od zawsze polegali w obronie na strażnikach, ale po tym ataku Tasza zdecydowała się wziąć sprawy w swoje ręce. Nauczyła się walczyć, trenując wszystkie metody walki wręcz i z bronią. Była naprawdę niezła w skopywaniu tyłków⁵ i stale dążyła do tego, by inni moroje także uczyli się walki. Lissa puściła suknię, którą oglądała i odwróciła się z zapalem do Christiana. Oprócz mnie, nie było na tym świecie nikogo więcej, komu ufałaby bardziej. Był jej wsparciem w tym wszystkim.

Rozejrzał się wokół sklepu, nie pokazując zbytniego przerażenia otaczającymi go sukniami.

- Robicie zakupy? – spytał, spoglądając na Lissę i Adriana. – Wpadliśmy na małe, dziewczynskie zakupy?⁶
- Hej, tobie też by dobrze zrobiła zmiana garderoby – powiedział Adrian. – Poza tym, założę się, że wyglądałbyś świetnie w bluzce wiązanej na szyi, bez pleców.

Lissa zignorowała zaczepki chłopców i skupiła się na Ozerach.

- Czego się dowiedzieliście?
- Zdecydowali nie podejmować żadnych działań – powiedział Christian. Jego usta wykrzywiły się pogardliwie. – Cóż, żadnych działań związanych z karą.

Tasza skinęła głową.

- Próbujeśmy przepchnąć pomysł, że on tylko myślał, że Rose była w niebezpieczeństwie i skoczył zanim zdał sobie sprawę, co się naprawdę dzieje.

Moje serce zamarło. Dymitr. Rozmawiali o Dymitrze. Przez chwilę nie byłam już z Lissą. Nie byłam już w celi. Zamiast tego, wróciłam do dnia mojego aresztowania. Klóciłam się z Dymitrem w kawiarni, besztając go za jego dalsze odmawianie rozmowy ze mną, nie wspominając o kontynuowaniu naszego dawnego związku. Zdecydowałam wtedy, że z nim kończę, że sprawy były naprawdę zamknięte i że nie pozwolę mu dalej drzeć swojego serca na kawałki. To było wtedy, gdy przyszli po mnie strażnicy i nieważne, co Dymitr twierdził na temat okresu bycia strzygą, który pozbawił go zdolności kochania, w mojej obronie zareagował z prędkością błyskawicy. Byliśmy beznadziejnie przewyższeni liczebnie, ale nie dbał o to. Wyraz jego twarzy – i moje własne zadziwiające rozumienie jego osoby – powiedziały mi wszystko, co potrzebowałam wiedzieć. Byłam w niebezpieczeństwie. Musiał mnie bronić.

I mnie bronił. Walczył jak Bóg, którym był w Akademii Św. Władimira, gdy uczył mnie, jak walczyć ze strzygami. Unieszkodliwił w tej kawiarni tylu strażników, że nie powinno to być

⁵ Ponownie: badass ;D

⁶ Tu raczej chodziło bardziej o dziewczynskie spędzanie czasu, ale niestety, nie umiałyśmy się inaczej wysłowić – przyp. Ginger

możliwe dla jednego człowieka. Jediną rzeczą, która to zakończyła – a szczerze wierzę, że walczyłyby do ostatniego tchu – była moja interwencja. Nie wiedziałam wtedy jeszcze, co się dzieje albo dlaczego chciałby mnie aresztować legion strażników. Ale zdałam sobie sprawę, że Dymitr jest w poważnym niebezpieczeństwie uszkodzenia swojego i tak kruchego statusu na Dworze. Przywrócenie strzygi było rzeczą niesłychaną i wielu wciąż mu nie ufało. Błagałam Dymitra by przestał, bardziej przestraszona, co się stanie z nim niż ze mną. Gdybym w ogóle wiedziała, co się ze mną stanie.

Przyszedł na moje przesłuchanie, ale od tej pory ani Lissa, ani ja go nie widziałyśmy. Lissa ciężko pracowała, by oczyścić go ze wszystkich wykroczeń, bojąc się jego ponownego zamknięcia. A ja? Próbowałam mówić sobie, żeby nie roztrząsać tego, co zrobił. Mój areszt i potencjalna egzekucja przejęły pierwszeństwo. Jak dotąd... wciąż się zastanawiałam. Dlaczego to zrobił? Dlaczego ryzykował swoje życie dla mojego? Czy była to instynktowna reakcja na zagrożenie? Zrobił to, jako przysługę dla Lissy, której przyrzekł pomoc w zamian za uwolnienie go? Albo czy zrobił to tak naprawdę dlatego, że wciąż żywił do mnie jakieś uczucia?

Nadal nie znałam odpowiedzi, ale widzenie go takiego, tego gwałtownego Dymitra z przeszłości, na nowo wznieciło uczucia, które tak desperacko próbowałam zdusić. Ciągłe próbowałam się zapewniać, że wracanie do siebie po związku wymaga czasu. Powracające uczucia były naturalne. Niestety, więcej czasu zajmowało zapominanie o facecie, który rzucił się dla ciebie w niebezpieczeństwo. Niezależnie od tego, słowa Taszy i Christiana dały mi nadzieję wobec losu Dymitra. W końcu nie byłam jedyną osobą, kroczącą po cienkiej linii między życiem i śmiercią. Ci, którzy byli przekonani, że Dymitr wciąż jest strzygą, pragnęli zobaczyć w jego sercu kołek.

- Znow trzymają go w zamknięciu – powiedział Christian. – Ale nie w celi. Po prostu w pokoju z paroma strażnikami. Nie chcą go w okolicy Dworu, dopóki sprawy się nie uspokoją.
- To lepsze niż więzienie – przyznała Lissa.
- To wciąż absurd – warknęła Tasia, bardziej do siebie niż do innych. Ona i Dymitr byli ze sobą blisko przez lata i raz chciała, aby ta znajomość przeniosła się na inny poziom. Przystała na przyjaźń, a jej oburzenie na niesprawiedliwość, wymierzoną w niego, była tak silna jak nasza. – Powinni go wypuścić tak szybko, jak tylko z powrotem stał się dampirem. Kiedy skończą się wybory, mam zamiar upewnić się, że go wypuścili.
- I to jest właśnie dziwne... – Bładoniebieskie oczy Christiana zwięzły się w zamyśleniu. – Słyszeliśmy, że Tatiana powiedziała innym zanim... zanim... – Christian zaważał się i spojrzał z zakłopotaniem na Adriana. Pauza była czymś nietypowym dla Christiana, który zwykle bez zahamowań mówił co myśli.
- Zanim została zamordowana – dokończył bez emocji Adrian, nie spoglądając na żadne z nich. – Mów dalej.

Christian przełknął ślinę.

- Hm, tak. Wydaje mi się, że – choć nie publicznie – ogłosiła swoją wiarę w to, że Dymitr naprawdę zamienił się znow w daimira. Planowała pomóc Dymitrowi w zdobyciu

ciu większej akceptacji, kiedy inne sprawy się uspokoją. – „Innymi sprawami” był dekret wieku, wspomniany w liście Tatiany, mówiący o tym, że dąpiery przekraczające szesnasty rok życia, będą zmuszane do ukończenia szkoły i rozpoczęcia obrony moro-
jów. Doprowadzało mnie to do szału, ale tak jak wiele innych rzeczy teraz... Cóż, to było jakby chilowo w zawieszaniu.

Adrian wydał z siebie dziwny dźwięk, jakby oczyszczał swoje gardło

- Nie zrobiła tego.

Christian wzruszył ramionami.

- Wielu jej doradców twierdziło, że tak. Tak brzmi plotka.
- Mi także ciężko w to uwierzyć – zwróciła się do Adriana Tasza.

Nigdy nie popierała polityki Tatiany i żarliwie wypowiadała się przeciw niej, więcej niż przy jednej okazji. Jednakże niedowierzanie Adriana nie brało się z polityki. Brało się to zwyczajnie z jego wyobrażenia na temat własnej ciotki. Nigdy nie przejawiała żadnych oznak chęci pomocy Dymitrowi w przywróceniu jego starego statusu.

Adrian nie komentował więcej, ale wiedziałam, że ten temat wzniecał w nim iskrę zazdrości. Powiedziałam mu, że Dymitr jest przeszłością i jestem gotowa ruszyć dalej, ale Adrian, tak jak ja, musiał niewątpliwie zastanawiać się nad motywacją Dymitra w jego rycerskiej obronie mojej osoby.

Lissa zaczęła rozważać, jak mogliby wyciągnąć Dymitra z domowego aresztu, gdy sprzedawczyni wróciła z naręczem sukien, z których wyraźnie nie była zadowolona. Lissa zamilkła, przygryzając wargę. Zakodowała sobie sprawę Dymitra, jako coś do załatwienia później. Zamiast tego, ze znużeniem przygotowała się do przymierzania sukien i odgrywania roli dobrej małej arystokratycznej dziewczynki.

Adrian ożywił się na widok sukien.

- Jest tam coś wiązane na szyi?

Wróciłam do swojej celi, rozmyślając nad problemami, które zdawały się spiętrzać?. Martwiłam się o obu, Dymitra i Adriana. Bałam się o siebie. Martwiłam się również o tego rzekomego zaginionego Dragomira. Zaczynałam wierzyć, że ta historia może być prawdziwa, ale nie mogłam nic w tej sprawie zrobić, co mnie frustrowało. Potrzebowałam działań, gdy chodziło o pomoc Lissie. Tatiana powiedziała mi w liście, bym uważała, komu powierzam tę sprawę. Czy powinnam przekazać tę misję komuś innemu? Chciałam przejąć za to odpowiedzialność, ale metalowe pręty i duszące ściany wokół mnie mówiły, że mogę nie być w stanie przyjąć odpowiedzialności za cokolwiek przez jakiś czas, nawet za swoje życie.

Dwa tygodnie.

Potrzebując dalszego rozproszenia, poddałam się i zaczęłam czytać książkę Abe, która, tak jak się spodziewałam, była dokładnie opowieścią o niesprawiedliwym uwięzieniu. Była *całkiem* niezła i nauczyła mnie, że pozorowanie własnej śmierci, jako metoda ucieczki, najwyraźniej nie działa. Książka niespodziewanie wzbudziła stare wspomnienia. Przez kręgosłup przeszedł mi dreszcz, gdy przywołałam wspomnienie odczytywania Tarota, którego to dokonała morojka imieniem Rhonda, ciotka Ambrosego. Jedna z kart, którą dla mnie wylosowała, ukazywała kobietę przywiązaną do mieczy. *Niesprawiedliwe uwięzienie, oskarżenia, zniesławienie*. Cholera. Naprawdę zaczynałam nienawidzić te karty. Zawsze uparcie twierdziłam, że były oszustwem, do czasu, gdy zaczęły mieć irytującą tendencję do sprawdzania się. Koniec jej interpretacji dotyczył podróży, ale dokąd? Prawdziwe więzienie? Egzekucja?

Pytania bez odpowiedzi. Witam w moim świecie. Pozbawiona bieżących opcji, pomyślałam, że mogłabym równie dobrze spróbować odpocząć. Wyciągnęłam się na pryczy i spróbowałam wyprzeć stałe zmartwienia. Nie łatwo. Za każdym razem, gdy zamykałam oczy, widziałam sędziego, trzaskającego młotkiem i skazującego mnie na śmierć. Zobaczyłam swoje imię w podręcznikach historii, ale nie jako bohaterkę, tylko jako zdrajczynię.

Leżąc tam i dławiąc się własnym lękiem, pomyślałam o Dymitrze. Wyobraziłam sobie jego opanowane spojrzenie i praktycznie mogłam usłyszeć jak mnie poucza. *Nie martw się teraz o to, czego nie możesz zmienić. Odpoczywaj, kiedy możesz, żeby być gotową na jutrzejszą bitwę*. Wyimaginowana rada uspokoiła mnie. W końcu nadszedł sen – ciężki i głęboki. Sporo się w tym tygodniu rzucałam i obracałam, więc prawdziwy odpoczynek był mile widziany.

I wtedy się obudziłam.

Usiadłam prosto na łóżku, z mocno bijącym sercem. Przyglądając się badawczo wokół, szukałam niebezpieczeństwa – jakiegokolwiek zagrożenia, które mogło mnie zaskoczyć w tym śnie. Nie było niczego. Ciemność. Cisza. Słabe skrzypnięcie krzesła w końcu korytarza powiedziało mi, że strażnicy są wciąż w pobliżu.

Więź, zrozumiałam. Obudziła mnie więź. Poczułam ostry, intensywny błysk... czego? Intensywności. Obawy. Przypływu adrenaliny. Przeszyła mnie panika i zanurkowałam głębiej w kierunku Lissy, próbując dowiedzieć się, co wywołało u niej taką falę emocji.

To, co znalazłam, było... niczym.

Więź zniknęła.

Tłumaczenie: Pannaławenda

Korekta: Arasse

Rozdział trzeci

CÓŻ, NIEZUPEŁNIE ZNIKNĘŁA.

Wyciszyła się. Po części odczuwałam ją tak, jak tuż po przywróceniu Dymitra z powrotem w dampira. Czary były wówczas tak silne, że "wypaliły" nasze połączenie. Ale teraz nie odczuwałam żadnych strumieni magii. Niemal, jakby pustka z jej strony była celowa. Oczywiście, tak jak zawsze, nadal czułam obecność Lissy: żyła i miała się dobrze. Co więc powstrzymało mnie przed odczuwaniem z niej więcej? Nie spała, ponieważ po drugiej stronie tej ściany mogłam wyczuć jej świadomość. Był tam duch, który ją przede mną ukrywał... a ona nim sterowała.

Co do cholery? To było normalne, że nasza więź działała tylko w jedną stronę. Ja mogłam ją czuć, ale ona mnie nie. Kiedy wchodziłam w jej umysł, mogłam to również kontrolować. Często starałam się trzymać z dala od jej myśli (wykluczając czas niewoli w więzieniu) chcąc chronić jej prywatność. Lissa nie miała takiej kontroli, co ją czasami doprowadzało do szału. Raz na jakiś czas udało jej się użyć swoich mocy, by się przede mną obronić, ale to było rzadkie, trudne i wymagało z jej strony znacznego wysiłku. Dzisiaj ją wykorzystywała i im dłużej się przede mną broniła, tym bardziej mogłam wyczuć jej napięcie. Trzymanie mnie z daleka nie było łatwe, ale dawała sobie radę. Oczywiście nie obchodziło mnie, jak to robiła. Chciałam wiedzieć *dłaczego*.

To był prawdopodobnie mój najgorszy dzień niewoli. Strach o siebie był jedną rzeczą, ale o nią? To była agonía. Gdyby w grę wchodziło życie moje albo jej, bez wahania poszłabym na egzekucję. Musiałam się dowiedzieć, co było grane. Dowiedziała się czegoś? Rada zdecydowała się pominąć pełnoprawny proces i od razu mnie stracić? Czyżby Lissa chroniła mnie przed tą nowiną? Im więcej ducha wykorzystywała, tym bardziej zagrażała swojemu życiu. Ta mentalna ściana wymagała wiele magii. Ale dlaczego? Dlaczego podejmowała takie ryzyko?

Zdanie sobie w tej chwili sprawy z tego, jak bardzo opierałam się na więzi, by uzyskać od niej bieżące informacje było zdumiewające. Wprawdzie nie zawsze mile witałam w swojej głowie myśli kogoś innego. Pomimo kontroli, jakiej się nauczyłam, jej umysł nadal czasami wlewał się do mojego w momentach, których raczej wolałam nie doświadczać. Ale w tej chwili żadna z tych rzeczy mnie nie niepokoiła – tylko jej bezpieczeństwo. Bycie zablokowanym było jak życie z odciętą kończyną. (Zapytałam Czarnej jak można posiadać odciętą kończynę ☺ – odp. "Może zakonserwowaną w słoju? Trzyma pod łóżkiem i tuli do snu?" ha ha, ciekawe co to za kończyzna, chyba nie Dymka:) – przyp. Diotima; Jak to Rose ją trzyma, to na pewno Dymka, pytanie tylko KTÓRA to kończyzna:P – przyp. Qba; O Jezusie, Qba, teraz to włączyła się moja bujna wyobraźnia:D – przyp. Ginger)

Cały dzień usiłowałam dostać się do jej głowy. Za każdym razem byłam blokowana. Doprowadzało mnie to do szału. Nikt nie przyszedł też do mnie w odwiedzin, a książka i czasopisma dawno temu straciły swój urok. Ponownie wracało do mnie to uczucie zwierzęcia,

trzymanego w klatce. Sporo czasu spędziłam więc, krzycząc do straży, lecz bez rezultatu. Pogrzeb Tatiany był jutro, a zegar, odliczający czas do mojej rozprawy głośno tykał.

Gdy nadeszła pora spania, ściana w więzi w końcu runęła – ponieważ Lissa kładła się spać. Połączenie między nami było stabilne, ale jej umysł był zamknięty w nieświadomości. Nie znalazłam tam odpowiedzi. Nie mogąc nic więcej zrobić, również poszłam do łóżka, zastanawiając się czy jutrzejszego ranka znowu zostanę odcięta.

Nie zostałam. Znowu byłyśmy połączone i ponownie mogłam widzieć świat jej oczami. Lissa wcześniej wstała, by przygotować się do pogrzebu. Nie zobaczyłam ani nie poczułam żadnych oznak powodów, dla których wczoraj mnie blokowała. Z powrotem wpuszczała mnie w swój umysł, co nie było niezwykle. Niemal zastanawiałam się, czy nie wyobraziłam sobie wczorajszego odcięcia.

Nie... coś tam było. Ledwo wyczuwalne. W środku jej umysłu wyczułam myśli, które dalej przede mną ukrywała. Były śliskie. Za każdym razem, gdy próbowałam złapać je w swoje ręce, one z nich uciekały. Byłam zdumiona, że nadal mogła użyć wystarczającej ilości magii by tego dokonać. Było to również wyraźne potwierdzenie, że wczoraj celowo mnie zablokowała. Co tu się działo? Dlaczego do diaska musiała coś przede mną ukrywać? Jak mogłam cokolwiek zrobić zamknięta w tym piekle? Mój niepokój wzrósł ponownie. O jakiej okropnej rzeczy nie wiedziałam?

Obserwowałam, jak Lissa przygotowuje się, nie widząc żadnego oczywistego znaku czegoś niezwykłego. Sukienka, którą w końcu wybrała miała krótki, kimonowy rękaw i sięgała do kolan. Oczywiście była czarna. Ledwie można było ją nazwać klubową, ale Lissa wiedziała, że zwróci na siebie nieprzychylną uwagę. W innych okolicznościach byłabym tym zachwycona. Zdecydowała się rozpuścić włosy, których jasny blond wyglądał jaskrawo przy czerni sukienki, gdy patrzyła na siebie w lustrze.

Christian spotkał się z Lissą na zewnątrz. Musiałam przyznać, że on również nieźle się wystroił, zakładając na tę okazję frakową koszulę i krawat, choć nie posunął się do założenia marynarki. Jego mina była dziwnym połączeniem nerwowości, tajemniczości i jego typowego sarkazmu. Ale kiedy zobaczył Lisę, oniemiał, a jego twarz rozpromieniła się na jej widok. Obdarował ją małym uśmiechem i wziął ją w ramiona, by krótko ją uścisnąć. Jego dotyk przyniósł jej radość i ukojenie, łagodząc jej niepokój. Ostatnio wrócili do siebie po zerwaniu. Czas spędzony osobno był dla obojga z nich udręką.

– Będzie dobrze, zobaczysz – mruknął i wróciła jego zaniepokojona mina. – Uda się. Możemy to zrobić.

Nic nie powiedziała, zacieśniając swój uścisk zanim się odsunęła. Żadne z nich się nie odezwało, kiedy szli na początek żałobnego konduktu. Uznałam, że to podejrzane. Lissa złapała jego rękę i poczuła się przez to silniejsza.

Procedury żałobne dotyczące morojskich monarchów nie zmieniły się przez wieki, bez względu na to, czy Dwór był w Rumunii, czy w swoim nowym domu – w Pensylwanii. Tak działali moroje. Łączyli tradycje z nowoczesnością, magię z technologią.

Trumna królowej powinna zostać przyniesiona przez żałobników z pałacu, by wziąć udział w znamienitym ceremoniale pochodu przez tereny Dworu, aż dotrze do okazałej dworskiej katedry, gdzie mogli przebywać jedynie wybrani. Po nabożeństwie Tatiana miała zostać pochowana na przykościelnym cmentarzu, zajmując swoje miejsce obok innych monarchów i członków rodzin królewskich.

Trasa trumny była łatwa do zauważenia. Słupy powleczone czerwonymi i czarnymi jedwabnymi sztandarami znajdowały się po obu jej stronach. Płatki róż zostały rozsypane po ziemi, którą będzie niesiona trumna. Wzdłuż obu stron konduktu tłoczyli się ludzie, mając nadzieję choć przez krótką chwilę zobaczyć swoją byłą królową. Wielu morojów przyjechało z odległych miejsc, niektórzy by zobaczyć pogrzeb, a inni by zobaczyć wybory nowego monarchy, które miały nastąpić w przeciągu następnych tygodni.

Eskorta złożona z członków rodzin królewskich – z których większość nosiła zatwierdzony przez akwizytorkę czarny aksamit – zaczynała iść w stronę pałacu. Lissa zatrzymała się przed wejściem, by rozdzielić się z Christianem, który nie miał prawa do reprezentowania swojej rodziny w tak zaszczytnym wydarzeniu. Ponownie mocno uściśnięła go i lekko pocałowała. Kiedy się rozdzielali, w jego niebieskich oczach pojawił się znaczący błysk – sekret, który przede mną ukrywali.

Lissa przepychała się przez zebrane tłumy, próbując dojść do wejścia i znaleźć początek orszaku. Budynek nie wyglądał jak pałace albo zamki w starożytnej Europie. Jego okazała kamienna fasada i wysokie okna pasowały do innych budowli na Dworze, ale kilka jego cech – jak wysokość i szerokie marmurowe schody – subtelnie odróżniało go od innych budynków. Szarpnięcie ramienia Lissy zatrzymało ją, niemal powodując wpadnięcie na jakiegoś sędziwego (czyt. zgrzybiałego☺ – przyp. Diotima) morojskiego mężczyznę.

– Wasyliso?

To była Daniela Iwaszkow, matka Adriana. Daniela nie zachowywała się tak podle, jak inni arystokraci i właściwie nie miała nic przeciwko mojemu spotykaniu się z Adrianem – albo przynajmniej nie miała, dopóki nie zarzucono mi morderstwa. Większość akceptacji Daniela wynikała z faktu, że i tak rozstanę się z Adrianem, jak tylko dostanę swój strażniczy przydział. Daniela przekonała również jednego ze swoich kuzynów, Damona Tarusa, żeby został moim adwokatem, ale odrzuciłam tę ofertę, kiedy zamiast niego na swojego reprezentanta wybrałam Abe. Nadal nie byłam całkowicie pewna czy podjęłam wówczas najlepszą decyzję, gdyż to prawdopodobnie nadszarpnęło moim wizerunkiem w oczach Daniela, czego żałowałam.

Lissa posłała jej zdenerwowany uśmiech. Zależało jej, by dołączyć do konduktu i mieć to wszystko za sobą.

– Hej – powiedziała.

Daniela była w całości ubrana w czarny aksamit, a w jej ciemnych włosach pobłyskiwały nawet małe diamentowe klamerki. Jej ładną twarz marszczył niepokój i poruszenie.

- Widziałaś Adriana? Nie mogłam go nigdzie znaleźć. Sprawdziliśmy jego pokój.
- Och – Lissa odwróciła wzrok.
- Co? – Daniela omal nią nie potrząsnęła. – Co wiesz?

Lissa westchnęła.

- Nie jestem pewna, gdzie jest, ale ostatniej nocy widziałam, jak wracał z jakiegoś przyjęcia. – Lissa zawahała się, jakby była zbyt zawstydzona, by powiedzieć resztę. – Był... naprawdę pijany. Bardziej niż kiedykolwiek go widziałam. Wychodził z jakimiś dziewczynami, nie wiem gdzie poszli. Przykro mi Lady Iwaszkow. Adrian prawdopodobnie... gdzieś zasnął.

Daniela załamała ręce. Podzielałam jej przerażenie.

- Mam nadzieję, że nikt nie zauważył. Może mogłybyśmy powiedzieć... że jest przepełniony żalem. Tyle się tutaj dzieje, że z pewnością nikt nie zauważy. Powiesz im to, prawda? Powiesz im, jaki był zdenerwowany?

Lubiłam Daniellę, ale ta arystokratyczna obsesja co do image'u naprawdę zaczynała mnie wkurzać. Wiedziałam, że kochała swojego syna, ale jej głównym niepokojem teraz wydawało się być to, co pomyślą sobie inni o naruszeniu protokołu, a nie ostateczny spoczynek Tatiany.

- Oczywiście – zapewniła ją Lissa. – Nie chciałabym, aby ktokolwiek... się o tym dowiedział.
- Dziękuję ci. A teraz idź – Daniela wykonała gest w kierunku drzwi, nadal wyglądając na pełną niepokoju. – Musisz zająć swoje miejsce. – Ku zaskoczeniu Lissy, Daniela poklepała ją lekko po ramieniu. – I nie denerwuj się tak. Będzie dobrze, tylko trzymaj podniesioną głowę.

Strażnicy stacjonujący przy drzwiach rozpoznali Lissę jako osobę upoważnioną do wejścia i przepuścili ją. W środku, w pałacowym lobby, stała trumna królowej. Lissa zamarła nagle onieśmielona i niemal zapomniała, co tam robi.

Trumna sama w sobie była dziełem sztuki. Wykonana z czarnego połyskującego drewna, wypolerowanego do połysku. Każdy bok zdobiły wyszukane obrazy scen z Edenu w lśniących, metalicznych odcieniach każdego koloru. Wszędzie błyszczało złoto, włączając w to drążki, które będą trzymać żałobnicy niosący trumnę. Zostały oplecione powrózkami fiołkowo-różowych róż. Wyglądało na to, że ciernie i liście utrudnią im dobre chwycenie drążków, ale uporanie się z tym problemem należało już do nich. Wewnątrz odkrytej trumny, otoczona większą ilością róż, leżała sama Tatiana. To było dziwne. Cały czas widywałam martwe ciała, cholera, przyczyniałam się do ich powstawania, ale widzenie ciała, które było tak zachowane, leżące spokojnie i okazałe... przyprawiało o gęsią skórę. Dla Lissy to również było dziwne, odkąd praktycznie nie miała do czynienia ze śmiercią tak często jak ja.

Tatiana była ubrana w połyskującą jedwabną suknię w soczystym odcieniu fioleto – tradycyjnym kolorze dla pogrzebów arystokratów. Długie rękawy sukni zdobiły skomplikowane wzory z małych pereł. Często widywałam Tatianę w czerwieni – kolorze związanym z rodziną Iwaszkowów – i byłam szczęśliwa z powodu tradycji wykorzystywania fioletowego koloru w pogrzebach. Czerwona sukienka zbyt mocno przypominałaby mi o jej makabrycznych zdjęciach, które pokazano mi podczas przesłuchania, zdjęciach, które próbowałam wyprzeć z pamięci. Na jej szyi wisiał sznur klejnotów i pereł, a na jej siwiejących włosach leżała złota korona, wysadzana diamentami i ametystami. Ktoś wykonał dobrą robotę przy malowaniu jej, ale nawet to nie ukryło bieli jej skóry. Moroje z natury byli bladzi, ale po śmierci wyglądali jak kredowobiałe strzygi. Ten wizerunek uderzył w głowę Lissy tak żywo, że zachwiała się na nogach i musiała odwrócić wzrok. Powietrze wypełniał aromat róż, ale z tą słodczą mieszała się delikatna woń rozkładu.

Koordynatorka pogrzebu zauważyła Lissę i wskazała jej miejsce – ale najpierw zalamentowała nad jej wyborem stroju. Ostre słowa przywróciły Lissę do rzeczywistości i zajęła swoje miejsce w rzędzie, razem z pięcioma innymi członkami rodzin królewskich, po prawej stronie trumny. Próbowwała nie patrzeć zbyt bacznie na ciało królowej, kierując swój wzrok na wszystko inne. Wkrótce pokazali się żałobnicy odpowiedzialni za niesienie trumny, chwytając udrapowane różami drągi, które oparli o swoje ramiona i powoli zaczęli wnosić trumnę do oczekującego tłumu. Wszyscy z nich byli dampirami. Nosili odświętne garnitury, które początkowo mnie dezorientowały, ale wówczas zdałam sobie sprawę, że wszyscy byli dworskimi strażnikami – poza jednym. Ambrose. Wyglądał tak zachwycająco, jak zawsze, patrząc prosto przed siebie przy wykonywaniu swoich obowiązków, z obojętną i pozbawioną wyrazu twarzą.

Zastanawiałam się, czy Ambrose opłakiwał Tatianę. Byłam tak pochłonięta własnymi problemami, że zapomniałam, że zostało stracone życie, życie które wielu kochało. Ambrose bronił Tatiany, kiedy byłam na nią wściekła za dekret obniżający wiek strażników. Patrząc na niego przez oczy Lissy, pragnęłam tam być i porozmawiać z nim osobiście. Musiał wiedzieć coś więcej o liście, który wsunął mi w rękę na sali sądowej. Z pewnością nie był tylko chłopcem na posyłki.

Orszak ruszył do przodu, kończąc moje rozważania o Ambrose. Przed i za trumną szli inni ludzie, biorący udział w ceremoniale. Członkowie rodzin królewskich w wyszukanych ubraniach, sprawiający wrażenie błyszczącej parady. Umundurowani strażnicy nieśli sztandary, a na samym końcu szli muzycy, grający na fletach żałobne melodie. Lissa była bardzo dobra w występach publicznych. Szła wolnym, dostojnym krokiem z elegancją i wdziękiem, uniesioną głową i pewnym siebie wyrazem twarzy. Oczywiście nie mogłam widzieć jej ciała z zewnątrz, ale łatwo było sobie wyobrazić, co zobaczyli widzowie. Była piękna i królewska, godna dziedzictwa Dragomirów i miejmy nadzieję, że uświadomi to sobie coraz więcej osób. Zaoszczędzilibyśmy sobie wielu kłopotów, gdyby ktoś przez standardowe procedury zmienił prawo głosu i nie musielibyśmy liczyć na odnalezienie zaginionego rodzeństwa.

Przejsie przez żałobną trasę zajęło sporo czasu. Nawet gdy słońce zaczęło opadać za horyzont, spiekota dnia nadal unosiła się w powietrzu. Lissa zaczęła się pocić, ale wiedziała,

że jej dyskomfort jest niczym w porównaniu do tego, co odczuwali ludzie niosący trumnę. Jeśli obserwujący tłum odczuwał gorąco, nie pokazał tego. Ludzie wyciągali swoje szyje, by rzucić choć jedno spojrzenie na przechodzące obok nich widowisko. Lissa nie bardzo zwracała uwagę na obserwatorów, ale po ich twarzach widziałam, że trumna nie była ich jedynym centrum uwagi. Obserwowali również Lissę. Wieść o tym, co zrobiła z Dymitrem płomiennie obiegła morojski świat, i podczas gdy wielu sceptycznie odnosiło się do jej leczniczych zdolności, to równie wielu w nie wierzyło. Widziałam w tłumie twarze pełne zdumienia i podziwu i przez chwilę zastanawiałam się, kogo oni *naprawdę* przyszli zobaczyć: Lissę czy Tatianę?

W końcu ukazała się katedra, co było dla Lissy dobrą wiadomością. Słońce nie zabijało morojów tak, jak to robiło ze strzygami, ale upał i światło słoneczne niezmiennie sprawiały, że wszystkie wampiry czuły się nieswojo. Procesja niemal dobiegała końca i ona, jako jedna z osób dopuszczonych do żałobnego nabożeństwa, wkrótce będzie mogła cieszyć się z klimatyzacji. Przyglądając się otoczeniu, nie mogłam powstrzymać się przed myśleniem o tym, jakim kołem ironii było moje życie.

W oddali rozległych terenów kościoła stały posągi przedstawiające starożytnych, legendarnych morojskich monarchów, króla i królową, którzy pomogli morojom rozkwitnąć. Mimo, że znajdowały się w sporej odległości od kościoła, posągi wyglądały złowieszczo, jakby wszystko krytycznie oceniały. Niedaleko statuy królowej znajdował się ogród, który dobrze znałam. Zostałam zmuszona do pracowania przy jego wyglądzie w ramach kary za ucieczkę do Las Vegas. Moim prawdziwym celem tej podróży – o którym nikt nie wiedział – było uwolnienie z więzienia Wiktora Daszkowa. Wiktor przez długi czas był naszym wrogiem, ale on i jego brat Robert, który był użytkownikiem ducha, posiadali wiedzę, której potrzebowaliśmy do uratowania Dymitra. Gdyby jakikolwiek strażnik dowiedział się, że uwolniłam Wiktora, a potem go zgubiłam – moja kara byłaby dużo gorsza niż sadzenie roślin i projektowanie ogrodu. *Przynajmniej odwaliałam przy nim kawał dobrej roboty* – pomyślałam z goryczą. Gdybym została stracona, zostawiłabym po sobie trwałe ślad na Dworze.

Oczy Lissy zatrzymały się na jednym z posągów przez dłuższy czas, zanim zwróciła się do kościoła. Strasznie się teraz pocila i zdałam sobie sprawę, że to częściowo nie wynikało tylko z gorąca. Była pełna niepokoju. Ale dlaczego? Dlaczego była taka zdenerwowana? To była tylko ceremonia. Wszystko, co musiała zrobić to zachowywać pozory. Jednak... to znowu tam było. Coś jeszcze ją martwiło. Nadal trzymała tę zbitkę myśli z dala ode mnie, ale niektóre z nich przeciekły do mnie w wyniku jej strachu.

Zbyt blisko, zbyt blisko. Zbyt szybko się poruszamy.

Szybko? Ja tak nie uważałam. W życiu nie zniosłabym takiego wolnego, dostojnego tempa. Współczułam zwłaszcza osobom niosącym trumnę. Gdybym była jedną z nich, rzuciłabym przyzwyczajenie w diabły i zaczęła jogging w kierunku ostatecznego przeznaczenia. Oczywiście to mogło strącić ciało. Jeśli koordynatorka pogrzebu była zdenerwowana sukienką Lissy, lepiej było nie mówić jak zareagowałaby na fakt, że Tatiana wypadła z trumny.

Nasz widok na katedrę był coraz wyraźniejszy. Jej kopuły błyszczały w słońcu bursztynem i pomarańczą. Lissę nadal dzieliło od niej kilka jardów, ale wyraźnie widziała księdza,

stojącego przed wejściem. Jego szaty prawie oślepiały. Były długie i obszerne, wykonane z intensywnie mieniącego się złotem brokatu. Na jego głowie znajdował się również złoty, okrągły kapelusz (Tu Pani Mead chyba chodziło o mitrę vel infułę – przyp. Ginger) z krzyżem. Pomyślałam, że to w kiepskim guście przyćmiewać ubranie królowej, ale być może właśnie to nakładał ksiądz na uroczyste okazje. Może to przykuwało uwagę Boga. Wyciągnął swoje ręce w geście powitania, ukazując jeszcze więcej bogatego materiału. Wraz z resztą tłumu nie mogliśmy nic na to poradzić, tylko gapić się na olśniewający widok.

Więc możecie sobie wyobrazić nasze zaskoczenie, kiedy posągi wyleciały w powietrze.

Tłumaczenie: Ginger_90

Korekta: Diotima, Arasse

Rozdział czwarty

KIEDY POWIEDZIAŁAM, że wyleciały w powietrze, naprawdę miałam na myśli, że *wyleciały w powietrze*.

Płomienie i dym rozpościerały się jak płatki z nowo otwartego kwiatu, kiedy ci biedni monarchowie zamieniali się w kawałki gruzu. Przez chwilę byłam oszołomiona. To było jak oglądanie filmu akcji, gdzie eksplozja rozrywa powietrze i powoduje drżenie ziemi. I wówczas do życia powrócił mój strażniczy trening. Podstawowa obserwacja i kalkulacja przejęły obowiązki. Od razu zauważałam, że większość kawałków posągów zostało zdmuchniętych w dalszą część ogrodu. Małe kawałki kamieni i pyłu spadały na procesję pogrzebową, ale nie były to duże kawałki skał, które mogłyby uderzyć Lissę lub kogokolwiek w pobliżu. Zakładając, że rzeźby nie zostały spontanicznie zniszczone, ten kto je wysadził, zrobił to z precyzją.

Ale zostawmy logikę w spokoju. Wielkie kłęby filarów ognia wciąż były dość przerażające. Chaos rozpętał się, kiedy wszyscy starali się uciec. Tyle, że każdy obrał inny kierunek, więc nastąpiły zderzenia i plątanina. Nawet żałobnicy niosący trumnę, postawili cenny ciężar i zaczęli uciekać. Ambrose był wśród nich ostatni. Szeroko otworzył oczy i usta, gdy wpatrywał się w Tatianę, ale kolejne spojrzenie na posągi wysłało go w tłum. Kilku strażników spróbowało utrzymywać ład i porządek, gromadząc ludzi z powrotem wzdłuż żałobnej drogi, ale to się na nic nie zdało. Wszyscy dbali tylko o siebie, zbyt przerażeni i spanikowani, by myśleć racjonalnie.

Cóż, wszyscy prócz Lissy.

Ku mojemu zaskoczeniu, Lissa *nie była* zdziwiona.

Oczekiwała eksplozji.

Nie ruszyła się, pomimo, że ludzie przepychali się i odpychali ją na bok. Wciąż stała w miejscu, gdy posągi wyleciały w powietrze, studiując ich szczątki i zniszczenia jakie spowodowały. Szczególnie wydawała się być zaniepokojona tym, że ktoś w tłumie mógł zostać zraniony przez eksplozję. Ale nie. Jak już wcześniej zauważyłam, nie było żadnych rannych. A jeśli byli, to z powodu popłochu.

Zadowolona Lissa obróciła się i zaczęła odchodzić z innymi. (No dobra, ona szła, reszta biegła). Miała za sobą mały dystans, kiedy zobaczyłam dużą grupę strażników z ponurymi twarzami, którzy spieszyli *w kierunku* kościoła. Niektórzy z nich zatrzymali się, by pomóc uciekającym od zniszczeń, ale większość strażników była w drodze do miejsca wybuchu, by zobaczyć co się stało.

Zatrzymała się ponownie, sprawiając, że facet za nią uderzył w jej plecy, ale ledwo to poczuła. Uważnie obserwowała strażników, biorąc pod uwagę ilu ich było, a następnie ruszyła dalej. Jej ukryte myśli zaczęły się ujawniać. Wreszcie zaczęłam dostrzegać elementy

planu, które wcześniej były dla mnie ukryte. Była zadowolona. Również nerwowa, ale ogólnie, czuła się...

Zamieszanie w więzieniu z powrotem sprowadziło mnie do mojego umysłu. Zwykły spokój terenu został zrujnowany i w tej chwili wypełniały go, pomruki i krzyki. Zerwałam się z miejsca, w którym siedziałam i przycisnęłam się do krat, próbując zobaczyć co się dzieje. Ten budynek, też miał wylecieć w powietrze? Widok z mojej celi wychodził na ścianę korytarza. Nie widziałam reszty korytarza albo wejścia. Jednak zobaczyłam, że strażnicy, którzy zazwyczaj stali w końcu korytarza przedzierali się obok mnie, kierując się w stronę jakiegokolwiek burdy, jaka miała miejsce.

Nie wiedziałam, co to dla mnie oznaczało, więc przygotowałam się na wszystko, przyjaciela czy wroga. Z tego co wiedziałam, mogły to być jakieś skrajne ugrupowania polityczne morojów, rozpoczynające ataki na Dwór, by złożyć swoje „oświadczenie” przeciwko rządowi morojów. Rozglądając się wokół celi, cicho zakląłam, pragnąc mieć coś do obrony. Najbliższą bronią była książka Abe, jednak nie była ona wcale taka dobra. Gdyby był takim cwaniakiem jakiego zgrywał, wsunąłby do niej jakiś pilnik. Albo dałby mi coś większego, jak *Wojna i Pokój*.

Szamotoanina przycichła i kroki rozbrzmiały w moim pobliżu. Zaciskając pięści cofnęłam się o kilka kroków, gotowa by obronić się przed każdym.

„Każdym” okazał się być Eddie Castile. I Michaił Tanner.

Przyjazne twarze nie były tym, czego się spodziewałam. Eddie był moim wieloletnim przyjacielem ze świętego Władimira, tak jak ja nowym strażnikiem i kimś, kto stał przy mnie przy wielu niepowodzeniach, w tym w uwolnieniu Wiktora Daszkowa z więzienia. Michaił był od nas starszy, trochę przed trzydziestką i pomógł nam przywrócić Dymitra w nadziei, że Sonia Karp – kobieta, którą kochał i która przemieniła się w strzygę – również może zostać ocalona. Spojrzałam w tę i z powrotem między twarzami facetów.

- Co się dzieje? – domagałam się odpowiedzi.
- Ja też się cieszę, że cię widzę – powiedział Eddie.

Był spocony i podekscytowany zapalem bitwy, jego twarz zdobiło kilka fioletowych znamion, pokazując, że spotkał się dziś wieczorem z czyjąś pięścią. W jego rękach była broń, którą widywałam w arsenale strażniczym: coś w typie pałki, używanej do obezwładniania ludzi bez zabijania ich. Ale Michaił trzymał coś o wiele bardziej cennego: magnetyczną kartę i automatyczny klucz otwierający moją celę.

Moi przyjaciele zorganizowali włamanie do więzienia. Niewiarygodne. Brawura⁷ była zwykle *moją* specjalnością.

- Czy wy... ? – zmarszczyłam brwi. Myśl o ucieczce nappełniła mnie radością, ale otrzeźwiła mnie logika. Oczywiście byli odpowiedzialni za walkę z moimi strażnikami, którą przed chwilą usłyszałam. Dostanie się tutaj na dół przede

⁷ *Crazy* – może być też, że: *Szaleństwo / Wariactwo było zwykle moją specjalnością*. – przyp. Ginger

wszystkim nie było łatwe. – Czy wasza dwójka zdjęła właśnie każdego strażnika w tym budynku?

Michał skończył otwierać drzwi, a ja nie tracąc czasu wyszłam stamtąd w pośpiechu. Po tym, jak uczucie przygnębienia i duszenia się przez te wszystkie dni, opuściło mnie, to było jak stanie na brzegu góry; poczucie wokół siebie wiatru i przestrzeni.

- Rose, w tym budynku nie ma żadnych strażników. No dobra, może jeden. I ci koleś – wskazał w kierunku wcześniejszej walki, gdzie moi strażnicy leżeli nieprzytomni. Z pewnością moi przyjaciele nie zabili żadnego z nich.
- Reszta sprawdza wybuch – uświadomiłam sobie. Kawalki zaczęły splatać się w całość, wliczając to, że Lissa nie była zaskoczona tym zamieszaniem. — O nie. Zmusiliście Christiana do wysadzenia w powietrze starożytnych morojskich artefaktów.
- Oczywiście, że nie – powiedział Eddie. Wydawał się być zaskoczony, że zasugerowałam taką okropność. – Gdyby to zrobił, inni użytkownicy ognia byłiby w stanie to stwierdzić.
- No cóż, to już coś – powiedziałam. Powinnam mieć więcej wiary w ich zdrowie psychiczne.

Albo nie.

- Użyliśmy C4⁸ – wyjaśnił Michał.
- Gdzie wy do diaska...

Słowa utknęły mi w gardle, kiedy zobaczyłam kto stoi na końcu korytarza. Dymitr.

Nie wiedzenie co się z nim działo podczas mojego pobytu w więzieniu było dla mnie frustrujące. Sprawozdania Taszy i Christiana tylko mnie drażniły. Cóż, tu była moja odpowiedź. Dymitr stał przy wejściu korytarza w swoich całych sześciu–stopach–siedmiu–calach–chwały, tak władczy i przerażający jak żaden z bogów. Jego ostre brązowe oczy oceniły wszystko w okamgnieniu, a jego silne, szczupłe ciało było napięte i gotowe na każde zagrożenie. Wyraz jego twarzy był tak skupiony i tak pełen pasji, że nie mogłam uwierzyć, że ktokolwiek, kiedykolwiek mógł pomyśleć, że był strzygą. Dymitr płonął życiem i energią. W rzeczywistości, patrząc na niego teraz, po raz kolejny przypomniałam sobie jak stanął w mojej obronie podczas aresztowania. Miał ten sam wyraz twarzy. Naprawdę, to był ten sam, jaki widziałam niezliczoną ilość razy. To był ten budzący strach i podziw. Ten, który kochałam.

- Ty też tutaj jesteś? – Dla odmiany próbowałam sobie przypominać, że moja zagmatwana romantyczna historia nie była najważniejsza na świecie. – Nie jesteś w areszcie domowym?
- Uciekł – powiedział przebiegle Eddie. Złapałam prawdziwy sens: on i Michał *pomogli* mu uciec. – To jest to, czego ludzie spodziewaliby się po agresywnym facecie, który podobno nadal jest strzygą, prawda?

⁸ dla idiotów: C4 to jest plastyczny ładunek wybuchowy – przyp. Czarna

- Ty także oczekiwałaś, że przyjdzie i cię uwolni – dodał Michaił dalej ciągnąc tą grę. – Zwłaszcza biorąc pod uwagę jak walczył dla ciebie w zeszłym tygodniu. Wszyscy naprawdę będą myśleli, że wyciągnął cię *sam*. Nie z nami.

Dymitr nie powiedział nic. Jego oczy wciąż uważnie przyglądały się naszemu otoczeniu, oceniając również mnie. Upewniał się, że byłam cała i bez obrażeń. Wyglądał jakby mu ulżyło, gdy przekonał się że tak było.

- Chodź – odezwał się w końcu Dymitr. – Nie mamy wiele czasu.

To było niedorzeczne, ale przyszła mi do głowy pewna rzecz, która odnosiła się do „genialnego” planu moich przyjaciół.

- Nie ma możliwości, żeby pomyśleli, że *zrobił* to sam! – zawołałam zdając sobie sprawę o co chodzi Michaiłowi. Osadzili Dymitra w roli jedyne winowajcy w tej ucieczce. Wskazałam na nieprzytomnych strażników u naszych stóp. – Oni widzieli wasze twarze.
- Nie za bardzo – odezwał się nowy głos. – Nie po małej amnezji wywołanej duchem. Do czasu kiedy się obudzą, jedyną osobą, którą będą pamiętać, będzie niezrównoważony rosyjski koleś. Bez obrazy.
- Nie ma sprawy – powiedział Dymitr, kiedy Adrian przeszedł przez drzwi.

Patrzyłam starając się nie gapić. Oto było tu razem dwóch mężczyzn mojego życia. Adrian definitywnie nie wyglądał jakby miał zaraz stoczyć walkę na pięści, ale był czujny i poważny jak reszta walczących. Jego piękne oczy były jasne i przebiegłe, wiedziałam, że mógł być opanowany, kiedy naprawdę się starał. I wtedy to mnie uderzyło: wcale nie wskazywał oznak upojenia czymkolwiek. Czyżby to, co widziałam poprzedniego dnia było podstępem? Czy też zmusił się do przejęcia kontroli? Tak czy inaczej, powoli czułam jak szeroki uśmiech wkrada się na moją twarz.

- Lissa okłamała wcześniej twoją matkę – powiedziałam. – Powinieneś gdzieś leżeć zapity w trupa.

Posłał mi jeden ze swoich cynicznych uśmiechów

- No tak, to prawdopodobnie była najmądrzejsza– i najbardziej przyjemna – rzecz, którą można było teraz zrobić. Przy odrobinie szczęścia wszyscy pomyślą, że to jest to, co teraz robię.
- Musimy iść – powiedział coraz bardziej zaniepokojony Dymitr.

Zwróciliśmy się w jego stronę. Nasze żarty zniknęły. To była postawa, którą widziałam już u Dymitra, ta, która mówiła, że może zrobić wszystko i zawsze poprowadzi cię do zwycięstwa, która sprawiała, że ludzie chcieli podążać za nim w ciemno. Wyrazy twarzy Michaiła i Eddiego – gdy spoważnieli – pokazywały, że tak właśnie się w tej chwili czuli. Dla mnie, to również wydawało się być naturalne. Nawet Adrian wyglądał jakby uwierzył w Dymitra i w tym momencie podziwiałam go, za odłożenie wszelkich zazdrości na bok – a także za narażanie się w ten sposób. Do tej pory, Adrian więcej niż jeden raz dał jasno do

zrozumienia, że nie chce brać udziału w jakichkolwiek niebezpiecznych przygodach albo wykorzystywać ducha w potajemnych działaniach. Na przykład w Las Vegas po prostu towarzyszył nam jako obserwator. Oczywiście był pijany przez większość czasu, ale to prawdopodobnie nie robiło różnicy.

Zrobiłam kilka kroków do przodu, ale Adrian wyciągnął rękę, aby mnie zatrzymać.

- Czekaj. Zanim pójdziesz z nami, musisz coś wiedzieć. – Dymitr zaczął protestować, jego oczy lśniły niecierpliwością. – *Musi* wiedzieć – kłócił się Adrian patrząc Dymitrowi prosto w oczy. – Rose, jeśli uciekniesz... w mniejszym lub większym stopniu potwierdzisz swoją winę. Będziesz zbiegiem. Jeśli strażnicy cię znajdą, nie będą potrzebowali żadnych procesów i wyroków, żeby zabić cię na miejscu.

Cztery pary oczu spoczywały na mnie, gdy dotarło do mnie pełne znaczenie tych słów. Jeśli teraz ucieknę i mnie złapią, na pewno będę martwa. A gdybym została tutaj, miałabym niewielką szansę, że w tym krótkim czasie dzielącym mnie od rozpoczęcia procesu, znajdziemy dowody, żeby mnie uratować. To nie było niemożliwe. Ale jeśli nic by nie znaleźli, to również z całą pewnością byłabym martwa. Każda opcja była ryzykowna. Żadna z nich nie dawała silnej gwarancji, że przetrwam.

Adrian wyglądał na tak rozdartego, jak sama się czułam. Obydwoje wiedzieliśmy, że nie ma żadnego dobrego wyboru. Po prostu się martwił i chciał, żebym wiedziała co ryzykuję. Jednak Dymitr... dla niego to nie była żadna debata. Mogłam to zobaczyć po jego twarzy. Był orędownikiem zasad i robienia właściwych rzeczy. Ale w tym przypadku? Z tak marnymi szansami? Lepiej było ryzykować życie jako uciekinier, a jeśli przyszłaby śmierć, to lepiej stawić jej czoło walcząc.

Moja śmierć nie będzie zapisana w czyimś kalendarzu.

- Ruszajmy – powiedziałam.

Wyszliśmy pospiesznie z budynku, z niecierpliwością chcąc ruszyć z planem. Nie mogłam się powstrzymać i odezwałam się do Adriana.

- Musisz użyć dużo mocy ducha, żeby stworzyć te wszystkie iluzje dla strażników.
- Tak – zgodził się. – I prawdę mówiąc nie mam, aż tyle mocy by utrzymać je zbyt długo. Prawdopodobnie Lissa mogłaby sprawić by tuziny strażników myślało, że widziało duchy. A ja? Ledwo mogę sprawić, by kilku zapomniało o Eddiem i Michaile. To dlatego musi tam być ktoś, kto przyciągnie ich uwagę i go zapamiętają. Dlatego Dymitr jest idealnym kozłem ofiarnym.
- Cóż, dziękuję – delikatnie uściśnęłam mu dłoń. Kiedy ciepło przepłynęło między nami, nie martwiłam się mówieniem mu, jak daleka jeszcze była przede mną droga do osiągnięcia wolności. To zmniejszyłoby jego bohaterstwo. Mieliśmy przed sobą wiele przeszkód, ale wciąż doceniałam jego podejście do sprawy i respektowanie mojej decyzji o ucieczce, która trzymała się planu.

- Tak, no cóż powinienem być szalony, prawda? – spojrzał na mnie z ukosa, a błysk z jego oczu świecił miłością. – Nie ma wielu rzeczy, których bym dla ciebie nie zrobił. Im głupsze, tym lepiej.

Pojawiliśmy się w głównej sali i wiedziałam, że Eddie nie mylił się co do strażniczej ochrony. Sale i pokoje były praktycznie opustoszałe. Nie oglądając się po raz drugi za siebie, pospiesznie wyszliśmy na zewnątrz. Świeże powietrze wydawało się odnowić moją energię.

- Co teraz? – spytałam moich wybawców.
- Teraz zabieramy cię do samochodu którym uciekniesz – powiedział Eddie.

Garaze nie były ani daleko, ani też blisko.

- Tam jest zbyt dużo otwartej przestrzeni, żeby się ukryć – powiedziałam. Nie podniosłam alarmu odnośnie oczywistego problemu: zginę, jeśli mnie zauważą.
- Użyję ducha, żeby utrzymać nas wszystkich niejasnych i nieokreślonych – powiedział Adrian. Jeszcze więcej testowania jego magii. Nie mógł znieść tego zbyt wiele. – Ludzie nie rozpoznają nas, chyba, że zatrzymają się i spojrzą na nas bezpośrednio.
- Czego prawdopodobnie nie zrobią. – powiedział Michaił. – Nikt w ogóle nie zauważy choćby cienia naszej obecności. Wszyscy za bardzo martwią się o siebie i w tym całym chaosie, nie poświęcają dużo uwagi innym.

Rozglądając się dookoła, mogłam zobaczyć, że miał rację. Budynek więzienia był daleko od kościoła, ale ludzie, którzy byli w pobliżu wybuchu dotarli już do tej części Dworu. Niektórzy biegli do swoich rezydencji. Niektórzy szukali strażników, licząc na ochronę. A niektórzy... niektórzy zmierzali w tym samym kierunku co my, w stronę garaży.

- Ludzie są na tyle przerażeni, że próbują opuścić Dwór – zdałam sobie sprawę. Nasza grupa poruszała się na tyle szybko jak mogła z Adrianem, który nie miał takiej kondycji jak dampiry. – Garaże będą zatłoczone.

Zarówno Dworskie pojazdy służbowe jak i pojazdy odwiedzających gości, parkowane były na tym samym obszarze.

- To może nam pomóc – powiedział Michaił. – Więcej chaosu.

Przy takim rozproszeniu we własnej rzeczywistości, nie mogłam zupełnie zanurzyć się w Lissę. Delikatne dotknięcie więzi powiedziało mi, że jest bezpieczna i z dala od pałacu.

- Jaki Lissa ma w tym wszystkim udział? – spytałam.

Wierście mi, byłam zadowolona, że nie uczestniczyła w tym szalonym „uwalnianiu mnie siłą z więzienia”. Ale jak zauważył Adrian, jej duchowe zdolności mogły zrobić znacznie więcej niż jego. A teraz, patrząc na to wszystko wstecz, było oczywiste, że doskonale wiedziała o tym planie. To musiał być jej sekret.

- Lissa musi pozostać bez podejrzeń. Nie może być powiązana z żadną częścią ucieczki albo wybuchu – odpowiedział Dymitr z oczami skupionymi na swoim celu. Jego ton

był rzeczowy. Nadal uważał ją za swoją wybawczynię. – Musi być widoczna wśród innych rodzin królewskich. Tak samo Christian. – Prawie się uśmiechnął. Prawie. – Ta dwójka z pewnością byłaby moimi pierwszymi podejrzanymi, gdyby coś wybuchło.

- Ale strażnicy nie podejrzewają, że wybuch nie był spowodowany magią – zamyśliłam się. Wróciły do mnie wcześniejsze słowa Michała. – I hej! Gdzie *dorwaliście* C4? Wojskowe materiały wybuchowe są swojego rodzaju ekstremalne nawet dla was.

Nikt mi nie odpowiedział, bo nagle trzech strażników wyskoczyło na naszą drogę. Najwyraźniej nie wszyscy byli w kościele. Dymitr i ja wyskoczyliśmy naprzód naszej grupy, poruszając się jak jedność, dokładnie tak jak zawsze kiedy razem walczyliśmy. Adrian powiedział, że rozciągnięta nad naszą grupą iluzja nie wytrzyma, jeśli ktoś spojrzy na nas bezpośrednio. Chciałam się upewnić, że razem z Dymitrem byłam na pierwszej linii kontaktu ze strażnikami, mając nadzieję że nie rozpoznają innych za nami. Bez wahania rzuciłam się do walki, gdy uderzył we mnie defensywny instynkt. Ale w tych milisekundach do mojej świadomości dotarła pełna prawda tego, co robiłam.

Walczyłam już wcześniej ze strażnikami i zawsze czułam się z tego powodu winna. Było tak w więzieniu Tarasow i gdy walczyłam ze strażą królowej podczas mojego aresztowania. Chociaż tak naprawdę nikogo z nich nie znałam. Po prostu sama świadomość, że byli moimi kolegami była wystarczająco okropna... ale teraz?

Teraz musiałam stawić czoła jednemu z najtrudniejszych wyzwań w moim życiu, które mogło by się wydawać tak krótkie. Po tym wszystkim, tych trzech strażników dla mnie i Dymitra było łatwą rozgrywką. Problem polegał na tym, że znałam tych strażników. Z dwójką miałam do czynienia po skończeniu szkoły. Pracowali na Dworze i zawsze byli dla mnie dobrzy.

Trzecim strażnikiem, był nie tylko ktoś, kogo znałam – ona była moją przyjaciółką. Meredith, jedna z niewielu dziewczyn w mojej klasie w Świętym Władimirze. Widziałam w jej oczach błysk niepokoju, odzwierciedlający to samo uczucie u mnie. Ona też źle się z tym czuła. Ale tak jak ja była teraz strażniczką i musiała wypełniać swoje obowiązki, co wpajano jej przez całe życie. Uwierzyła, że jestem przestępcą. Widziała, że byłam na wolności i przygotowywałam się do ataku.

Procedura nakazywała, żeby mnie zdjąć i szczerze mówiąc, nie spodziewałam się po niej niczego więcej. To byłoby to, co sama bym zrobiła, gdyby nasze role zostały odwrócone. Życie lub śmierć.

Dymitr zajął się pozostałą dwójką facetów, tak szybko i niepokonanie jak zawsze. Meredith i ja ruszyliśmy na siebie. Początkowo próbowała przewrócić mnie z racji swojej wagi – prawdopodobnie w nadziei, że przyszpili mnie do ziemi do czasu, aż wsparcie pomoże jej mnie całkowicie przyskrzynieć. Tylko, że byłam silniejsza. Powinna była to wiedzieć. Ilekroć walczyliśmy w sali gimnastycznej, prawie zawsze wygrywałam. To nie była gra, ani ćwiczenie praktyki. Pchnęłam i zaatakowałam ją, uderzając w bok jej szczęki i rozpaczliwie się przy tym modląc, żeby nic jej nie złamać. Mimo bólu kontynuowała atakowanie mnie, ale – znowu – to ja byłam górą. Złapałam ją za ramiona i rzuciłam w dół. Jej głowa mocno uderzyła o ziemię, ale pozostała świadoma. Nie wiedziałam, czy miałam być wdzięczna, czy

nie. Utrzymując uścisk przeniosłam go na szyję i podduszając ją czekałam, aż zamknie oczy. Gdy byłam pewna, że ją wyeliminowałam, rozluźniłam uścisk ze ściśniętym w piersi sercem.

Patrząc przez ramię zobaczyłam, że Dymitr również zdjął swoich przeciwników. Nasza grupa nadal kontynuowała wędrówkę jak gdyby nic się nie stało, ale spojrzałam na Eddiego, wiedząc, że na mojej twarzy był żal. Wyglądał jakby jego też to zabolowało, ale w czasie dalszej, pospiesznie przemierzanej drogi, starał się mnie uspokoić.

- Zrobiłaś to, co musiałaś – powiedział. – Wszystko będzie z nią w porządku. Będzie poobijana, ale nic poważnego jej nie będzie.
- Mocno ją uderzyłam.
- Medycy poradzą sobie z kontuzjami. Cholera, jak wiele razy oberwało nam się podczas ćwiczeń?
- Ćwiczeń?

Miałam nadzieję, że miał rację. Linie między dobrem, a złem zaczynały być coraz bardziej zwodnicze. Przypuszczałam, że jedyną dobrą rzeczą było to, że zajęta moim widokiem Meredith, prawdopodobnie nie zauważyła Eddiego i pozostałych. Wstrzymywali się od walki, i miejmy nadzieję, że trzymali się przy Adrianie i rzucanej przez niego duchowej osłonie, gdy ja i Dymitr pochłonęliśmy całą uwagę strażników.

W końcu dotarliśmy do garaży, które rzeczywiście były niesamowicie zatłoczone. Niektórzy moroje już odjechali. Jedna członkini rodziny królewskiej wpadła w histerię, ponieważ jej kierowca miał kluczyki od samochodu, a ona nie wiedziała, gdzie on jest. Krzyczała do przychodniów, żeby zobaczyć czy ktokolwiek mógłby odpalić jej auto przez kable.

Dymitr świadomie prowadził nas do przodu, nigdy się nie wahając. Dokładnie wiedział, gdzie szliśmy. Uświadomiłam sobie, że mieli sporo do zaplanowania. Większość prawdopodobnie zrobili wczoraj. Dlaczego Lissa ukrywała to przede mną? Nie byłoby lepiej, gdybym dowiedziała się o tym planie z jej głowy?

Zanurkowaliśmy w tłum ludzi, zmierzając w kierunku najdalszego zakątka garażu. Tam, znajdująca się poza tym chaosem stała gotowa do odjazdu, ponuro-szara Honda Civic.

W jej pobliżu stał człowiek ze skrzyżowanymi ramionami dokładnie sprawdzając przednią szybę. Odwrócił się, gdy usłyszał jak podeszliśmy.

- Abe! – wykrzyknęłam.

Mój znamienity ojciec odwrócił się i obdarzył mnie jednym z tych uroczych uśmiechów, które mogłyby doprowadzić nieostrożnych do ich zagłady.

- Co ty tutaj robisz? – zażądał odpowiedzi Dymitr. – Ty też jesteś na liście podejrzanych! Powinieneś trzymać się z daleka tak jak reszta.

Abe wzruszył ramionami. Wyglądał na niezwykle niewzruszonego gniewnym wyrazem twarzy Dymitra. Nie chciałym, by ta furia była skierowana na mnie.

- Wasyliśsa upewni się, że kilkoro ludzi przysięgnie, że widziało mnie na miejscu, podczas tego zdarzenia. – Przeniósł swoje ciemne oczy na mnie. – Ponadto, nie mógłbym odejść bez powiedzenia ci 'do widzenia', nieprawdaż?

Potrząsnęłam głową z irytacją.

- Czy to część twojego planu jako mojego prawnika? Nie przypominam sobie, żeby wybuchowe ucieczki były częścią prawniczej aplikacji.
- Cóż, jestem pewien, że nie były częścią aplikacji Damona Tarusa – uśmiech Abego nigdy nie blaknął. – Powiedziałem ci, Rose, że nigdy nie pójdziesz na egzekucję – ani nawet na rozprawę, jeśli będę mógł temu zaradzić – przerwał. – A oczywiście mogę.

Zawahałam się, spoglądając w kierunku samochodu. Dymitr stojąc obok niego z pękiem kluczy, wyglądał na zniecierpliwionego. Słowa Adriana odbiły się echem w mojej pamięci.

- Jeśli ucieknę, to sprawię, że będę wydawać się jeszcze bardziej winna.
- Oni już sądzą, że jesteś winna – powiedział Abe. – Twoja ucieczka z celi nic nie zmieni. To jedynie zapewni nam więcej czasu, byśmy mogli zrobić to co musimy, bez wiszącego nad nami widma twojej egzekucji.
- Co dokładnie zamierzacie zrobić?
- Udowodnić twoją niewinność – powiedział Adrian. – Albo raczej to, że nie zabiłaś mojej ciotki. Od jakiegoś czasu wiem, że wcale nie jesteś takim niewiniątkiem.
- Czyli co, zamierzacie zniszczyć dowody? – powiedziałam ignorując przytyk.
- Nie – powiedział Eddie. – Znajdziemy tego, kto naprawdę ją zabił.
- Nie powinniście się w to mieszać. Teraz, kiedy jestem wolna to mój problem. Nie po to mnie uwolniliście?
- To problem, którego nie możesz rozwiązać, nie będąc na Dworze – powiedział Abe. – A my potrzebujemy cię bezpiecznej daleko stąd.
- Tak, ale ja...
- Tracimy czas na sprzecanie się – powiedział Dymitr.

Jego spojrzenie powędrowało ku innym garażom. Tłum był wciąż chaotyczny, zbyt zajęty własnym strachem, by nas zauważyć, ale to nie zmniejszyło zaniepokojenia Dymitra. Wręczył mi srebrny kołek, a ja nie pytałam o powód. To była broń, coś, czego nie mogłam odrzucić.

- Wiem, że wszystko wygląda na zdeorganizowane, ale byłabyś zdumiona jak szybko strażnicy przywrócą porządek. A kiedy to zrobią, zamkną to miejsce.
- Nie będą musieli – powiedziałam powoli, moje myśli wirowały. – Na samym starcie będziemy mieć problem z wydostaniem się z Dworu. Zostaniemy zatrzymani – o ile w ogóle dotrzemy do bramy. Korek pewnie sięga z milę.
- No cóż – powiedział Abe leniwie przyglądając się koniuszkom swoich palców. – Wiem z dobrego źródła, że niedługo zostanie otwarta nowa „brama” po południowej stronie muru.

Prawda zaświtała mi w głowie.

- O Boże. To ty skołowałaś C4!
- Mówisz to tak, jakby to była łatwizna – powiedział marszcząc brwi. – Strasznie ciężko coś takiego zdobyć.

Cierpliwość Dymitra się wyczerpała.

- Ej, wy wszyscy: Rose musi iść, *natychmiast*. Jest w niebezpieczeństwie. Jeśli będę musiał, wyciągnę ją stąd siłą.
- Nie musisz jechać ze mną – wypaliłam w odpowiedzi, urażona bezczelnością. Wspomnienia naszej niedawnej sprzeczki pojawiły się w mojej głowie, Dymitr mówiący, że już nie może mnie kochać i nie chce się nawet przyjaźnić. – Sama się sobą zajmę. Nikt więcej nie musi mieć problemów. Daj mi kluczyki.

Zamiast tego Dymitr, posłał mi jedno z tych żalonych spojrzeń, mówiących, że jestem strasznie śmieszna. Jakbyśmy znowu byli na zajęciach w Św. Władimirze.

- Rose, nie mogę mieć więcej problemów. Ktoś musi być odpowiedzialny za pomaganie ci, a ja jestem najlepszym wyborem.

Nie byłam tego taka pewna. Jeśli Tatiana naprawdę zrobiła postępy w przekonywaniu ludzi, że Dymitr nie stanowi zagrożenia, ta eskapada mogła wszystko zrujnować.

- Jedźcie – powiedział Eddie, zaskakując mnie szybkim uściskiem. – Będziemy w kontakcie, przez Lisę.

Zdałam sobie sprawę, że toczyłam z tą grupą walkę, której nie mogłam wygrać. To naprawdę był czas, by odejść. Uścisnęłam też Michaiła, szepcząc mu do ucha

- Dziękuję. Strasznie ci dziękuję za twoją pomoc. Przysięgam, że ją znajdziemy. Znajdziemy Sonię.

Posłał mi swój smutny uśmiech, nie odpowiadając.

Najciężej było opuścić Adriana. Wiedziałam, że dla niego to też było trudne, nie ważne jak swawolny wydawał się jego uśmiech. Nie uszczęśliwiło go, że uciekam z Dymitrem. Nasz uścisk był odrobinę dłuższy niż poprzednie i dał mi krótki, miękki pocałunek w usta. Prawie się rozplakałam, myśląc o tym jak dzielny był tego wieczoru. Chciałam by mógł pojechać razem ze mną, ale tu był bezpieczniejszy.

- Adrian, dziękuję za...

Uniósł rękę.

- To nie jest pożegnanie, little dampir. Spotkamy się w twoich snach.
- Jeśli będziesz wystarczająco trzeźwy.

Puścił mi oczko.

- Dla ciebie się zastanowię.

Głośny wybuch przerwał nam, zobaczyliśmy błysk światła po mojej prawej. Ludzi obok innych garaży krzyczeli.

- Tam, widzisz? – zapytał Abe, całkiem z siebie zadowolony. – Nowa brama. W samą porę.

Również go uściskałam choć nieco niechętnie i byłam zaskoczona, kiedy się nie odsunął. Uśmiechnął się do mnie... z czułością.

- Ach, moja córka – powiedział. – Ledwie osiemnastoletnia, a już zdążyła zostać oskarżona o morderstwo, pomogła kryminaliście i wywołała większą liczbę zgonów, niż większość strażników kiedykolwiek zobaczy – zrobił przerwę. – Nie mógłbym być dumniejszy.

Wywróciłam oczami.

- Do widzenia staruszku. I dziękuję.

Nie zawracałam sobie głowy pytaniem go o tą część z „kryminalistą”. Abe nie był głupi. Po tym jak pytałam go o więzienie, które później zostało zaatakowane (breeched – załadowane odcylcowo – przyp. White), prawdopodobnie zorientował się, kto stoi za ucieczką Wiktora Daszkowa.

I tak Dymitr i ja znaleźliśmy się w samochodzie, pędząc w kierunku „nowej bramy” Abe. Żałowałam, że nie mogłam pożegnać się z Lissą. Dzięki więzi, nigdy tak naprawdę nie byliśmy osobno, ale to nie mogło zastąpić rozmowy twarzą w twarz. Jednak dobrze było wiedzieć, że w ten sposób będzie bezpieczna i wolna od jakichkolwiek powiązań z moją ucieczką. Miałam taką nadzieję. Jak zawsze Dymitr prowadził, co wciąż uważałam za całkowicie niesprawiedliwe. To było co innego, gdy byłam jego uczennicą, ale teraz? Czy on *kiedykolwiek* oddaje kierownicę? To nie wydawał się dobry czas na dyskusje, zwłaszcza od kiedy planowałam, że nie zostaniemy razem zbyt długo.

Kilku ludzi wyszło, żeby zboczyć dlatego ściana się zawaliła, ale na miejsce nie stawił się jeszcze nikt ze służb. Dymitr przejechał przez wyrwę, równie imponująco jak Eddie, gdy przejeżdżał przez bramy więzienia Tarasow, tylko, że Civic nie radziło sobie z wyboistym, trawiastym terenem tak dobrze jak SUV na Alasce. Problem ze zrobieniem swojego własnego wyjścia polegał na tym, że nie było tam drogi. To znajdowało się poza możliwościami Abe.

- Dlaczego naszym samochodem do ucieczki jest Civic? – zapytałam. – Nie jest zbyt dobry do jazdy po terenie.

Dymitr nie spojrzął na mnie, kontynuując wymijanie nierówności terenu, w kierunku obszaru bardziej nadającego się do jazdy.

- Ponieważ Civic jest jednym z bardziej pospolitych samochodów i nie będzie budzić zainteresowania. A to powinna być jedyna jazda terenowa, jaką odbędziemy. Gdy

znajdziemy się na autostradzie, zdobędziemy tyle dystansu między nami i Dworem, ile zdołamy – oczywiście przed porzuceniem samochodu.

- Porzuceniem... – potrzęsnęłam głową, odpuszczając to. Wjechaliśmy na drogę gruntową, która wydawała się najgładszą powierzchnią na świecie po początkowych wstrząsach. – Słuchaj, teraz gdy wyjechaliśmy, chcę żebyś wiedział, że naprawdę miałam na myśli, że nie musisz ze mną jechać. Jestem wdzięczna za twoją pomoc w ucieczce, naprawdę, ale spędzanie ze mną czasu nie robi ci żadnej przysługi. Jeśli zawrócisz, możesz żyć gdzieś z ludźmi i nie być traktowany jak laboratoryjne zwierzątko. Może zdołałbyś nawet z powrotem wślizgnąć się na Dwór. Tasza będzie cię bronić.

Dymitr nie odpowiadał przez dłuższy czas. To doprowadzało mnie do szału. Nie byłam typem osoby, która dobrze znosi ciszę. To sprawiało, że chciałam paplać i zapełnić pustkę. W dodatku im dłużej tu siedziałam, tym bardziej uderzało mnie, że *jestem sama z Dymitrem*. Tak naprawdę i całkowicie sama, pierwszy raz od czasu, gdy stał się dampirem. Czułam się jak głupek, ale mimo niebezpieczeństwa jakie wciąż ryzykowaliśmy... cóż, wciąż mnie obezwładniał. Było coś potężnego w jego obecności, nawet gdy mnie wkurzał. Wciąż był dla mnie atrakcyjny. Może adrenalina mi coś uszkodziła, ogłupiając mój umysł.

Cokolwiek to było, byłam zżerana nie tylko przez jego cechy fizyczne – chociaż były wystarczająco rozpraszające. Włosy, twarz, jego bliskość, jego zapach... czułam to wszystko i to sprawiało, że moja krew płonęła. Ale wewnętrzny Dymitr – Dymitr, który właśnie przeprowadził małą armię przez ucieczkę z więzienia – równie mocno mnie urzekł. Chwile zajęło mi zdanie sobie sprawy, dlaczego to było tak potężne: patrzyłam znów na starego Dymitra, na tego, o którego bałam się, że odszedł na zawsze. Ale nie odszedł. Wrócił.

W końcu odpowiedział.

- Nie zostawię cię. Żaden z twoich Rose–logicznych argumentów nie zadziała. A jeśli spróbujesz uciec ode mnie, znajdę cię.

Nie wątpiłam, że był w stanie to zrobić, co sprawiło, że sytuacja stała się jeszcze bardziej poplątana.

- Ale dlaczego? Nie chcę żebyś ze mną był.

Tak, wciąż czuła jego uporczywą atrakcyjność, ale to nie zmieniało faktu, że zranił mnie, niszcząc przy tym to, co między nami było. Odrzucił mnie, a ja musiałam uczynić swoje serce nie czułym, zwłaszcza jeśli chciałam ruszyć dalej z Adrianem. Oczyszczenie mojego imienia i powrót do normalnego życia wydawał się teraz bardzo odległy, ale jeśli to miało się zdarzyć, chciałam móc wrócić do Adriana z otwartymi ramionami.

- Nie ma znaczenia czego chcesz – powiedział – albo czego ja chcę. – *Auc*. – Lissa prosiła bym cię chronił.
- Hej, nie potrzebuję nikogo do...
- I – kontynuował – miałem na myśli dokładnie to, co jej powiedziałem. Przysiągłem jej służyć i pomagać do końca życia, i zrobić cokolwiek, o co poprosi. Jeśli chce mnie

jako twojego ochroniarza, to właśnie nim będę – posłał mi niebezpieczne spojrzenie. –
Nie ma sposobu, żebyś pozbyła się mnie w najbliższym czasie.

Tłumaczenie: WhiteFlag

Korekta: Yennefer, Diotima

Rozdział piąty

UCIECZKA OD DYMITRA NIE BYŁA spowodowana tylko naszą chwiejną, romantyczną przeszłością. Mówiąc, że nie chcę aby miał przeze mnie kłopoty, naprawdę miałam to na myśli. Jeśli strażnicy mnie znajdą, mój los nie będzie się tak bardzo różnił od tego, z czym już miałam do czynienia. Ale Dymitr? Stawiał dziecięce kroki w stronę akceptacji. Pewnie, że teraz były w większej mierze zniszczone, ale jego szansa na normalne życie się nie skończyła. Jeśli nie chciał żyć na Dworze czy też z ludźmi, mógł z powrotem wrócić na Syberię do swojej rodziny. Tam, w środku pustkowia trudno byłoby go znaleźć. Ta społeczność była ze sobą tak blisko, że zadałaby sobie wiele trudu aby go ukryć gdyby ktokolwiek, kiedykolwiek spróbował go dopaść. Zostawanie ze mną było złą opcją. Musiałam go tylko do tego przekonać.

- Wiem o czym myślisz – powiedział Dymitr, po jakiejś godzinie jazdy.

Nie mówiliśmy dużo, oboje byliśmy pogrążeni we własnych myślach. Po przejechaniu kilku krajowych dróg, w końcu dostaliśmy się na autostradę zyskując sobie dodatkowy czas kierując się... no cóż, nie miałam pojęcia gdzie. Wpatrywałam się w okno rozmyślając o wszystkich nieszczęściach, jakie mnie otaczały i jak sama mogłam je naprawić.

- Słucham? – zerknęłam na niego.

Pomyślałam, że na jego wargach mogłam dostrzec najmniejszy cień uśmiechu, co było absurdalne biorąc pod uwagę to, że była to prawdopodobnie najgorsza sytuacja, w której był od czasu przywrócenia go ze stanu strzygi.

- To nie zadziała – dodał. – Planujesz jak ode mnie uciec, prawdopodobnie kiedy zatrzymam samochód by zatankować gaz. Myślisz, że może wtedy będziesz miała okazję do ucieczki.

Szaloną rzeczą *było to*, że dużo myślałam o takim scenariuszu. Dawny Dymitr był dobrym partnerem w drodze, ale nie byłam pewna czy lubiłam również jego dawną zdolność do zgadywania moich myśli.

- To jest strata czasu – powiedziałam wskazując dookoła samochodu.
- Naprawdę? Masz lepsze rzeczy do robienia niż ucieczka przed ludźmi, którzy chcą cię zamknąć i stracić? Proszę nie mów mi znowu, że to dla mnie niebezpieczne.

Spiorunowałam go wzrokiem.

- Chodzi o coś więcej, niż tylko o ciebie. Ucieczka nie powinna być moim jedynym celem. Powinam pomagać oczyszczać swoje imię, a nie ukrywać się na jakimś odludziu, na które niewątpliwie mnie zabierasz. Odpowiedzi są na Dworze.
- A ty masz tam mnóstwo przyjaciół, którzy będą nad tym pracować. Będzie im łatwiej jeśli będą wiedzieli, że jesteś bezpieczna.
- Chcę wiedzieć dlaczego nikt mi tego nie powiedział – mam na myśli Lisę. Dlaczego

to ukrywała? Nie uważasz, że byłabym bardziej pomocna, gdybym była przygotowana?

- To my walczyliśmy, nie ty – powiedział Dymitr. – Obawialiśmy się, że jeśli będziesz wiedziała możesz zdradzić, że coś jest na rzeczy.
- Nigdy bym nic nie powiedziała!
- Nie celowo. Jeśli jednak byłabyś spięta albo pełna niepokoju... cóż, twoi strażnicy mogli wychwycić tego rodzaju rzeczy.
- Cóż, teraz gdy jesteśmy poza Dworem, czy możesz mi powiedzieć gdzie jedziemy? Miałam rację? To jakieś dzikie odludzie?

Brak odpowiedzi.

- Nienawidzę być wykluczona – patrząc na niego zwęziłam oczy. Jego malutki uśmiech trochę się powiększył.
- Cóż, mam swoją osobistą teorię że im mniej wiesz, tym twoja ciekawość upewnia mnie, że zostaniesz w pobliżu.
- To śmieszne – odpowiedziałam, jednak faktycznie, ta teoria nie była wcale aż tak nierozsądna. Westchnęłam. – Kiedy, do cholery, rzeczy wymknęły się spod kontroli? Kiedy zaczęliście być mózгами operacji? To ja jestem tą, której przychodzą do głowy stuknięte, niewykonalne plany. Ja powinnam być tutaj generałem. A tak jestem zaledwie porucznikiem.

Zaczął coś mówić, ale wówczas zamarł na kilka sekund i jego twarz natychmiast przyjęła wygląd ostrożnego, śmiercionośnego strażnika. Zaklął po rosyjsku.

- Co się stało? – spytałam.

Jego postawa była zaraźliwa i natychmiast porzuciłam wszystkie swoje myśli o szalonych planach. W nieregularnym błysku reflektorów samochodów poruszających się po drodze, mogłam zobaczyć jak jego oczy rzuciły szybkie spojrzenie we wsteczne lusterko.

- Mamy ogon. Nie myślałem, że to się stanie tak szybko.
- Jesteś pewien?

Było coraz ciemniej i liczba samochodów na autostradzie rosła. Nie wiedziałam jak ktokolwiek mógł dostrzec jeden podejrzany samochód wśród tak wielu, ale no cóż– to był Dymitr.

Zaklął ponownie i nagle manewrem który sprawił, że chwyciłam się deski rozdzielczej, ostro przeciął drogę w poprzek dwóch pasów, ledwie mijając minivana, który wyraził swoją irytację wieloma trąbnięciami. Przed nami był zjazd i ledwo obyło się bez ścięcia rampy z poręczami. Usłyszałam więcej trąbnięć, a kiedy się obejrzałam, zobaczyłam reflektory samochodu, który wykonywał szaleńcze manewry by podążyć za nami do zjazdu.

- Dwór musiał całkiem szybko rozgłosić wiadomości – powiedział. – Mają kogoś obserwującego autostrady międzystanowe.
- Może powinniśmy zjechać na boczne drogi.

Potrząsnął głową.

- To nas za bardzo zwolni. To nie będzie problemem, gdy zmienimy samochód, ale i tak szybko nas znajdą. Musimy zdobyć tu nowy. To jest największe miasto do którego wjedziemy zanim przekroczymy granice Maryland.

Znak wskazywał, że jesteśmy w Harrisburgu w Pensylwanii. Gdy Dymitr umiejętnie wiozł nas wzdłuż zatłoczonej i wypełnionej handlem ulicy, mogłam zobaczyć, jak ogon powtarza wszystkie nasze ruchy.

- Jaki dokładnie jest twój plan dostania nowego samochodu? – spytałam ostrożnie.
- Posłuchaj uważnie – powiedział ignorując moje pytanie. – To bardzo, *bardzo* ważne żebyś zrobiła dokładnie to, co ci powiem. Żadnej improwizacji. Żadnego sprzecznania się. W tamtym samochodzie są strażnicy, którzy powiadomili o nas wszystkich okolicznych strażników – i być może nawet ludzką policję.
- Czy złapanie nas przez policję nie stworzyłoby kilku problemów?
- Alchemicy rozwiązaliby je i upewnili się, że znaleźliśmy się z powrotem u morojów.

Alchemicy. Powinnam wiedzieć, że są w to zaangażowani. Byli tajnym stowarzyszeniem ludzi, którzy pomagali chronić interesy morojów i dampirów, trzymając nas z daleka od większości społeczeństwa ludzkiego. Oczywiście alchemicy nie robili tego z uprzejmości. Myśleli, że jesteśmy źli i nienaturalni, i przeważnie chcieli się upewnić, że pozostaniemy na marginesie ich społeczeństwa. Zbiegła „kryminalistka” taka jak ja na pewno była problemem, w którym chcieliby pomóc morojom.

Głos Dymitra był twardy i władczy gdy przemówił ponownie, jednak jego oczy nie były skierowane na mnie. Były zajęte skanowaniem obu stron drogi.

- Choćbyś nie wiem co myślała o wyborach jakie wszyscy dokonali dla ciebie, choćbyś nie wiem jak była nieszczęśliwa z powodu tej sytuacji, wiesz – i wiem, że tak jest – że nigdy cię nie zawiodłem, gdy nasze życia wisały na włosku. Ufałaś mi kiedyś, więc zaufaj i teraz.

Chciałam mu powiedzieć, że to co powiedział nie było całkiem prawdą. *Zawiodł* mnie. Kiedy został pokonany przez strzygę, gdy pokazał, że nie jest idealny, zawiodł mnie niszcząc swój nieprawdopodobnie boski wizerunek, który widziałam. Ale moje życie? Nie, zawsze je chronił. Nawet gdy był strzygą, nigdy nie byłam całkowicie przekonana o tym, że mógłby mnie zabić. W noc, w którą Akademia została zaatakowana, a on został przemieniony, również kazał mi być posłuszną bez zadawania pytań. To oznaczało pozostawienie go samego w walce ze strzygami, ale zrobiłam to.

- Okej – powiedziałam cicho. – Zrobię wszystko, co powiesz. Pamiętaj tylko, żeby nie traktować mnie z góry Nie jestem już twoją uczennicą. Teraz jesteśmy sobie równi.⁹

⁹ *I'm your equal now.* – inne wersje: „Teraz jestem ci równa.” *Vel* „Teraz jestem twoją partnerką.”

You always been my equal, Roza – inna wersja: *Zawsze byłaś moją partnerką, Roza.* Wszystko to jest poprawne w mniejszym / większym stopniu, aczkolwiek nam bardziej pasowało to, co poszło w tekście.

Odwrócił wzrok od drogi na wystarczająco długo, by posłać mi zaskoczone spojrzenie.

- Zawsze byłaś mi równa, Roza.

Użycie mojego czulego, rosyjskiego zdrobnienia sprawiło, że byłam zbyt ogłupiała, aby odpowiedzieć, ale to nie miało znaczenia. Moment później, znowu był całkowicie rzeczowy.

- Tam. Widzisz nazwę kina?

Rozglądałam się wzdłuż drogi, przy której było tak dużo restauracji i sklepów, że znaki sprawiały w nocy wrażenie świecącej mgły. Wreszcie zobaczyłam to, co miał na myśli: KINO WESTLAND.

- Tak.
- Tam się spotkamy.

Rozdzielaliśmy się? Chciałam tego, ale nie w ten sposób. Wobec stojącego przed nami niebezpieczeństwa to był okropny pomysł. Jednak obiecałam się nie sprzeczać i słuchałam dalej.

- Jeśli nie będzie mnie tam za pół godziny, zadzwoń pod ten numer i idź beze mnie.

Dymitr podał mi mały kawałek papieru który wyciągnął z kieszeni swojego prochowca. Nie rozpoznałam numeru, który był na niej nagryzmołony. *Jeśli nie będzie mnie tam za pół godziny.* Słowa zszokowały mnie tak bardzo, że tym razem nie mogłam powstrzymać się od protestu..

- Co masz na myśli, że jeśli– ach!

Dymitr po raz kolejny raptownie skręcił, co spowodowało przejechanie na czerwonym świetle, ledwo unikając kilku samochodów. Rozległo się jeszcze więcej trąbnięć, ale ruch był zbyt duży, by nasz ogon mógł za nami nadążyć. Zobaczyłam naszych speców od ścigania na głównej drodze, błyskających światłami hamowania, gdy szukali miejsca w którym mogliby zawrócić.

Dymitr zabrał nas na parking centrum handlowego pełnego samochodów. Spojrzałam na zegar, by z grubsza określić ludzki czas. Była prawie ósma wieczorem, co było wczesnym dniem dla morojów, a dla ludzi najlepszym czasem rozrywki. Dymitr przejechał obok kilku wejść do centrum by w końcu wybrać jedno, parkując w trudno zauważalnym miejscu. Jednym płynnym i szybkim ruchem wydostał się z samochodu, a ja równie szybko poszłam w jego ślady.

- Tu się rozdzielamy – powiedział, biegnąc w kierunku drzwi. – Gdy będziemy w środku poruszaj się szybko, ale nie biegnij. Nie zwracaj na siebie uwagi. Wmieszaj się w tłum. Pokręć się trochę wśród ludzi, po czym wyjdź jakimkolwiek wyjściem oprócz tego. Trzymaj się blisko grupy ludzi, a następnie skieruj się w stronę kina. – Weszliśmy do centrum. – Idź!

Byłam jednak zbyt wystraszona żeby się ruszyć, więc nieznacznie popchnął mnie w stronę ruchomych schodów, podczas gdy sam wmieszał się w tłum na parterze. Była pewna część mnie, która po prostu chciała bym zamarła i stała tam w bezruchu, która była oniemiała przez nagły atak ludzi, światła i ruchu. Szybko odepchnęłam tę zaskoczoną część i zaczęłam jechać w górę schodami. Szybki refleks i instynktowne reakcje były częścią mojego szkolenia.

Wszystko czego mnie nauczono o wymykaniu się na nowo wdzierało się do mojej głowy. To co chciałam zrobić bardziej niż cokolwiek innego to obejrzeć się za siebie i zobaczyć czy byłam śledzona, jednak to z pewnością przyciągnęłoby uwagę. Musiałam sobie wyobrazić – w większości – że mieliśmy najwyżej kilka minut przewagi nad naszym pościgiem. Musieliby zawrócić do centrum, następnie znaleźć nasz samochód na parkingu i zauważyć, że weszliśmy do środka. Nie sądziłam by w Harissbourg była wystarczająca ilość morojów by zwołać wielu strażników w tak krótkim czasie. Tych, których mieli prawdopodobnie rozdzielili by niektórzy szukali w centrum handlowym, a inni strzegli wejść. To miejsce miało zbyt wiele drzwi, aby obserwować je wszystkie; mój wybór ucieczki będzie czystym trafem.

Szłam tak szybko jak tylko mogłam, przepychając się przez pary, rodziny z wózkami i chichoczące nastolatki. Zazdrościłam tej ostatniej grupie. Ich problemy wyglądały na tak łatwe w porównaniu do moich. Przechodząc obok zwykłych sklepów zauważałam ich nazwy, ale nic więcej: Ann Taylor, Abercrombie, Forever 21... Przed sobą mogłam zobaczyć środek centrum, gdzie rozgałęziało się kilka korytarzy. Wkrótce będę musiała któryś wybrać.

Mijając sklep z dodatkami dałam nura do środka i udawałam, że oglądałam opaski. Zrobiłam to by ukradkiem przyjrzeć się zewnętrznej części środka pasażu. Nikt się nie zatrzymał, ani nikt nie wszedł za mną do sklepu. Obok opasek był kosz wypełniony rzeczami na wyprzedaż, które oczywiście na to zasłużyły. Jedną z nich była „dziewczęca” jaskraworóżowa czapka z daszkiem i gwiazdą zrobioną z kryształków w kolorach tęczy na przedzie. Była obrzydliwa.

Kupiłam ją jednak, wdzięczna że strażnicy nie zabrali mizernej ilości gotówki, którą miałam przy sobie, gdy mnie aresztowali. Prawdopodobnie pomyśleli, że to za mało, by kogoś przekupić. Kupiłam też gumkę do związywania włosów, przez cały czas patrząc na otwarte drzwi sklepu. Przed wyjściem, związałam swoje włosy na tyle ile pozwoliła mi gumka, a następnie założyłam czapkę.

Było coś głupiego w tym że musiałam się przebrać, jednak moje włosy sprawiały, że łatwo było można mnie zidentyfikować. Były ciemnobrązowe, prawie czarne, a brak jakiegokolwiek strzyżenia spowodował, że sięgały do połowy pleców. Właściwie to zarówno przez ich długość jak i wzrost Dymitra, stanowilibyśmy tu bardzo widoczną parę.

Odeszłam od kasy i szybko dotarłam do centrum pasażu. Nie chcąc okazać żadnych wątpliwości, skręciłam w lewo w kierunku Macy's.

Gdy szłam, czułam się lekko zakłopotana w tej czapce, pragnąc przynajmniej mieć czas, by znaleźć bardziej stylową. Kilka minut później, kiedy zauważyłam strażnika, byłam zadowolona z tak szybkiego wyboru.

Był niedaleko jednego z tych samochodów, które zawsze można zobaczyć w środku centrów. Udawał zainteresowanie telefonem komórkowym, który trzymał. Rozpoznałam go po pierwsze dzięki jego postawie i sposobowi w jaki obsługiwał telefon w zębę, jednocześnie ukrywając przeszukiwanie przestrzeni wokół niego. W dodatku dampiry zawsze potrafią odróżniać siebie od ludzi jeśli są dostatecznie blisko, żeby to stwierdzić. W większości obie rasy wydawały się prawie identyczne, ale umiałam rozpoznać kogoś ze swojej.

Upewniłam się nie patrząc wprost na niego, po czym poczułam jak jego oczy przesuwają się na mnie. Nie znałam go co oznaczało, że prawdopodobnie on też mnie nie znał. Prawdopodobnie szukał dziewczyny ze zdjęcia, które zobaczył tylko raz i oczekiwał, że moje włosy będą sporą pomocą. Utrzymując tak swobodny wygląd jak tylko mogłam, przeszłam obok niego wolnym krokiem patrząc w witryny, przez które byłam odwrócona do niego plecami, ale nie wysłałam żadnych oczywistych sygnałów, że uciekam. Przez cały ten czas moje serce niesamowicie waliło w klatce piersiowej. Strażnicy mogli zabić mnie gdy tylko mnie dostrzegą. Czy to się tyczyło również centrum handlowego? Nie chciałam się tego dowiedzieć.

Gdy byłam za samochodem przyspieszyłam kroku. Sklep Macy miał własne wyjściowe drzwi. Pora było zaryzykować i przekonać się czy dobrze wybrałam idąc w tym kierunku. Weszłam do sklepu, zjechałam po jego ruchomych schodach i skierowałam się do głównego wyjścia – przechodząc obok ślicznych beretów i kapeluszy. Zatrzymałam się obok nich, ale nie dlatego że chciałam wymienić czapkę, tylko dlatego, że pozwoliło mi to wmieszać się w grupkę dziewczyn, które stamtąd wychodziły.

Wyszliśmy z centrum handlowego razem, moje oczy szybko przyzwyczyły się do zmiany światła. Dokoła było mnóstwo ludzi, ale znowu nie widziałam zagrożenia. Moja grupka zatrzymała się, by pogadać, dając mi tym samym okazję do udawania normalnego zachowania, bez którego byłam całkowicie zgubiona. Spojrzałam w prawą stronę na ruchliwą drogę, z której Dymitr i ja musieliśmy wyjść. Wiedziałam jak dostać się stamtąd do kina. Odetchnęłam z ulgą i przeszłam w poprzek parkingu nadal obserwując otoczenie.

Im dalej odchodziłam od centrum handlowego tym mniej wypełniony był parking. Słupy latarni powstrzymywały zapadnięcie zupełnej ciemności, ale nadal miałam upiorne uczucie jakby wszystko było coraz cichsze. Moim początkowym impulsem było skierowanie się w prawo na chodnik prowadzący bezpośrednio do kina. Miejsce było dobrze oświetlone i poruszało się tamtędy dużo ludzi. Jednak chwilę później zdecydowałam, że to było zbyt rzucające się oczy. Byłam całkiem pewna, że przecinając w poprzek parking mogłabym dużo szybciej dostać się do kina, co okazało się prawdą – poniekąd. Miałam przed sobą kino kiedy zdałam sobie sprawę, że jednak byłam śledzona. Niedaleko przede mną coś było nie tak z cieniem parkingowej latarni. Był zbyt szeroki. Ktoś się tam ukrywał. Wątpiłam, by strażnik przypadkowo wybrał to miejsce w nadziei, że Dymitr albo ja będziemy tamtędy przechodzić. Najprawdopodobniej był to zwiadowca, który zobaczył mnie i sprowadził w zasadzkę.

Szłam nadal próbując nie zwalniać, ale każdy mięsień w moim ciele napiął się do ataku. Musiałam być tą, która zaatakuje pierwsza. Musiałam mieć kontrolę. Mój moment nadszedł sekundę przed tym, nim spodziewałam się ruchu mojego prześladowcy. Wyskoczyłam

rzucając nim – okazało się, że to był dampir, którego nie rozpoznałam – na samochód znajdujący się obok. Tak. Zaskoczyłam go. Oczywiście niespodzianka była wzajemna, kiedy włączył się alarm samochodowy, głośno wyjąc w nocy. Skrzywiłam się próbując ignorować hałas, kiedy uderzyłam swojego jeńca w lewą stronę jego szczęki. Musiałam skorzystać z okazji, póki był przeze mnie przygwożdżony. Siła mojej pięści uderzyła jego głowę o samochód, ale przyjął to w sposób godny podziwu, w tym samym czasie odpychając mnie by się uwolnić. Był silniejszy. Zatoczyłam się trochę, ale nie wystarczająco żeby stracić równowagę. Czego nie miałam w sile odbiłam sobie w prędkości. Uchylałam się przed każdą próbą uderzenia, ale przynosiło mi to mało satysfakcji. Ten głupi alarm wciąż wył, co w końcu spowodowałoby przyciągnięcie tu innych strażników lub ludzkich władz. Rzuciłam się do ucieczki okrążając samochód, ale ruszył za mną w pościg zatrzymując się gdy stanęliśmy po przeciwnych stronach.

Wyglądało to jak zabawa dwójki dzieci w głupiego Jasia. Byliśmy swoimi odbiciami, kiedy próbował przewidzieć jaki wybiorę kierunek. W słabym świetle latarni zobaczyłam coś zaskakującego wsuniętego za pasek jego spodni: pistolet. Zmroziło mi krew. Strażnicy byli wykwalifikowani do używania z broni palnych, ale rzadko z nich korzystali. Normalnie wybieraliśmy kołki. Mieliśmy zwyczaj zabijać strzygi, przeciwko którym bronie palne były nieskuteczne. Ale przeciwko mnie? Tak. Pistolet uprościłby jego pracę, jednak wyczułam jego wahanie. Alarm samochodowy mógł być winą kogoś przypadkowo stojącego zbyt blisko, ale wystrzał? Spowodowałoby wezwanie policji. Ten facet nie wystrzeliłby jeśli mógłby inaczej temu zaradzić – ale *zrobiłby* to, gdyby wyczerpały mu się opcje. To musiało zostać szybko rozstrzygnięte.

W końcu ruszyłam w stronę przodu samochodu. Spróbował mnie zatrzymać, ale zaskoczyłam go wskakując na maskę samochodu (no bo szczerze mówiąc, w tym momencie nie wyglądało na to, by cokolwiek mogło sprawić, żeby alarm był jeszcze głośniejszy). W ułamku sekundy mojej przewagi rzuciłam się na niego z samochodu, przewracając go płasko na ziemię. Wylądowałam na jego brzuchu przytrzymując go całą swoją wagą, podczas gdy moje ręce zacisnęły się na jego szyi. Walczył, próbując mnie zrzucić i niemal osiągnął swój cel. Ale w końcu zwyciężył brak powietrza. Przestał się ruszać i stracił przytomność. Puściłam go.

Na krótką chwilę przeniosłam się myślami do naszej ucieczki z Dworu, kiedy użyłam takiej samej techniki na Meredith. Ponownie zobaczyłam jak leżała na ziemi i poczułam ten sam ból z powodu poczucia winy. Wtedy się z tego otrząsnęłam. Meredith była niezła. Ale Meredith tutaj nawet nie było. Nic z tego nie miało znaczenia. Wszystko co było ważne to, że ten facet leżał nieprzytomny, a ja musiałam się stąd wydostać. Teraz.

Nie oglądając się za siebie by sprawdzić czy nadchodzili inni, przedarłam się przez parking w stronę kina. Zatrzymałam się gdy dzieliła mnie duża odległość od hałaśliwego samochodu, używając innego pojazdu do ukrycia się. Nikogo nie zobaczyłam obok strażnika, ale bliżej centrum, po drugiej stronie parkingu, coś się działo. Nie zostałam dłużej by się temu bliżej przyjrzeć. Cokolwiek się tam działo nie było dla mnie dobre. Dotarłam do kina parę minut później, zdyszana bardziej ze strachu niż wyczerpania. Wytrzymałość do biegania była czymś, co rozwinęło się dzięki Dymitrowi. Ale gdzie *był* Dymitr? Kinomaniacy stłoczyli się

wokół rzucając dziwne spojrzenia na mój niechlujny stan, podczas gdy czekali na film, albo rozmawiali o filmie, który dopiero co widzieli. Nie widziałam żadnego śladu Dymitra.

Nie miałam zegarka. Ile czasu minęło odkąd się rozdzieliliśmy? Na pewno nie pół godziny. Obeszłam wkoło kino pozostając w mętym tłumie i szukając jakichkolwiek oznak Dymitra, albo większej ilości ścigających nas osób. Nic. Mijały minuty. Z trudem włożyłam rękę do swojej kieszeni i dotknęłam kawałka papieru z numerem telefonu. Wyjdź, powiedział mi. Wyjdź i zadzwoń pod ten numer. Oczywiście nie miałam żadnego telefonu komórkowego, ale w tej chwili to był najmniejszy z moich problemów...

– Rose!

Samochód zatrzymał się przy krawężniku, gdzie zwykle wysadzano innych ludzi. Dymitr wychylał się z okna po stronie kierowcy, na co niemal prawie przewróciłam się z ulgi. No dobra, nie prawie. W rzeczywistości wskakując na siedzeniu pasażera nie marnowałam czasu na pospieszenie go. Bez słowa wcisnął gaz i odjechaliśmy z dala od kina, z powrotem wjeżdżając na główną drogę.

Na początku nic nie mówiliśmy. Był tak zdenerwowany, że wystarczyłaby jedna niewielka prowokacja, by jego nerwy puściły. Jechał tak szybko jak mógł żeby nie zwrócić uwagi policji, cały czas patrząc we wsteczne lusterko.

- Czy ktoś za nami jedzie? – spytałam, ponieważ znów wjeżdżaliśmy na autostradę.
- Nie wygląda na to. Zorientowanie się w jakim jesteśmy samochodzie zajmie im trochę czasu.

Nie zwróciłam dużo uwagi na samochód, gdy do niego wchodziłam, ale okazało się, że jechaliśmy Hondą Accord – innym zwyczajnym samochodem. Zauważyłam brak kluczyków w stacyjce.

- Odpaliłeś samochód przez kable? – potem sprecyzowałam pytanie. – *Ukradłeś* ten samochód?
- Masz ciekawy zestaw moralności – zauważył. – Uciekanie z więzienia jest w porządku, ale gdy dojdzie do kradzieży samochodu, brzmisz na całkowicie oburzoną.
- Jestem po prostu bardziej zaskoczona, niż oburzona – powiedziałam opierając się plecami o siedzenie. Westchnęłam. – Bałam się... Cóż, chwilę temu, bałam się, że nie przyjdiesz. Że cię złapali czy coś.
- Nie. Większość czasu spędziłem na wymykaniu się i znalezieniu odpowiedniego samochodu.

Na kilka minut zapadła cisza.

- Nie spytałeś co mi się przytrafiło – zauważyłam trochę dotknięta.
- Nie muszę. Jesteś tu i to się liczy.
- Walczyłam.
- Wiem. Twój rękaw jest rozerwany.

Spojrzałam w dół. Tak, rozdarty. I w swoim szaleńczym pędzie zgubiłam czapkę. Niewielka strata.

- Nie chcesz się czegoś dowiedzieć o walce?

Jego oczy pozostały skupione na drogę przed nami.

- Już wiem. Zdjąłeś swojego wroga. Zrobiłeś to dobrze i szybko, ponieważ jesteś właśnie tak dobra.

Przez moment rozważałam jego słowa. Nadal były rzeczowe i służbowe... a jednak jego oświadczenie sprawiło, że na moich wargach pojawił się niewielki uśmiech.

- Dobra, to co teraz generale? Nie pomyślałeś, że przejrzą raporty skradzionych samochodów i zdobędą nasz numer rejestracyjny?
- Prawdopodobnie. Ale do tego czasu zdobędziemy nowy samochód – o czym nie mają pojęcia.

Zmarszczyłam brwi.

- Jak zamierzasz tego dokonać?
- Za kilka godzin kogoś spotkamy.
- Cholera. *Naprawdę* nienawidzę być ostatnią osobą, która się o wszystkim dowiaduje.

‘Kilka godzin’ umieściło nas w Roanoke w Wirginii. Większa część naszej podróży do tego miejsca minęła spokojnie, ale gdy na horyzoncie pojawiło się miasto, zauważyłam że Dymitr zaczął obserwować znaki wyjazdu do czasu, gdy nie znalazł tego którego potrzebował. Zjeżdżając z autostrady międzystanowej kontynuował sprawdzanie tyłów, ale były czyste. Wjechaliśmy w kolejną ulicę pełną sklepów i podjechaliśmy pod McDonald’s, który wyraźnie odstawał od reszty sklepów.

- Nie przypuszczam – powiedziałam – by to była przerwa na jedzenie?
- To – odpowiedział – jest miejsce, gdzie złapiemy następną podwózkę.

Kręcił się po terenie parkingowym, skanując go w poszukiwaniu czegoś, jednak z początku nie wiedziałem czego. Dostrzegłem to ułamek sekundy wcześniej nim on to zrobił. W dalekim kącie parkingu dostrzegłam kobietę opierającą się o jasnobrązowego SUVa, stojącą do nas tyłem. Nie widziałam jej zbyt dobrze poza tym, że nosiła ciemną koszulę i miała zmierzwione blond włosy, które prawie dotykały jej ramion. Gdy Dymitr zaparkował obok jej pojazdu, wyskoczyłam z auta w chwili kiedy nacisnął hamulec. Rozpoznałem ją zanim w ogóle się odwróciła.

- Sydney?

Imię wyszło z moich ust jako pytanie chociaż, byłam pewna, że to była ona. Jej głowa obróciła się i dostrzegłem znajomą ludzką twarz z brązowymi oczami, które w słońcu były bursztynowe i niewyraźnym złotym tatuażem na jej policzku.

- Hej, Rose – powiedziała ze smutnym uśmiechem grającym na jej wargach, podnosząc torbę z McDonalda. – Pomyślałam, że będziesz głodna.

Tłumaczenie: WhiteFlag

Korekta: Yennefer31, Diotima

Rozdział szósty

NAPRAWDĘ, KIEDY O TYM POMYŚLEĆ to pojawienie się Sydney nie było dziwniejsze od połowy innych rzeczy, które zdarzały mi się ostatnio regularnie. Sydney była jednym z alchemików, którego spotkałam w Rosji, kiedy próbowałam znaleźć i zabić Dymitra. Była w moim wieku i nie cierpiała być tam przydzielona, chociaż ja z pewnością doceniałam jej pomoc. Jak zauważył wcześniej Dymitr, alchemicy chcieli pomóc morojom w złapaniu mnie. Mimo to, sądząc z emanującego w samochodzie napięcia zarówno jej jak i Dymitra, stało się oczywiste, że pomagała w tej ucieczce.

Z wielkim wysiłkiem odepchnęłam na bok wszystkie pytania – jak na razie. Nadal byliśmy uciekinierami i bez wątpienia nadal ścigani. Nowym samochodem Sydney była Honda CR– V z tablicami rejestracyjnymi Luizjany i naklejkami wynajmu.

- Co do diabła? – spytałam. – Czy ta brawurowa ucieczka została zasponsorowana przez Hondę? – Kiedy nie otrzymałam odpowiedzi, przeszłam do następnego oczywistego pytania, które było skierowane do Sydney – Jedziemy do Nowego Orleanu?

W tej chwili zwiedzanie było ostatnią rzeczą, o której myślałam, ale jeśli mieliśmy uciekać, to dlaczego nie w jakieś ładne miejsce?

- Nie – powiedziała wycofując z parkingu. – Jedziemy do zachodniej Wirginii.

Spojrzałam ostro na Dymitra siedzącego na tylnym siedzeniu w nadziei, że zaprzeczy. Nie zrobił tego.

- Przypuszczam, że mówiąc 'Zachodnia Wirginia' masz na myśli Hawaje – powiedziałam. – Albo inne tak samo pasjonujące miejsce.
- Szczerze mówiąc myślę, że lepiej gdybyś natychmiast zaczęła unikać radosnego podniecenia. – zauważyła. Samochodowy GPS wskazał jej następny kierunek, sprowadzając nas z powrotem na I–81. Nieznacznie zmarszczyła brwi. – Zachodnia Wirginia jest właściwie naprawdę ładna.

Pamiętałam, że mieszkała w Utah i nikt nie mógł wiedzieć od niej tego lepiej. Już dawno machnęłam ręką na przejęcie jakiegokolwiek kontroli nad tą ucieczką i przeszłam do następnego zestawu pytań.

- Dlaczego nam pomagasz? – poczułam jak Sydney uśmiechnęła się krzywo w ciemnościach.
- A jak myślisz?
- Abe.

Westchnęła.

- Naprawdę zaczynam się zastanawiać, czy Nowy Orlean był tego warty.

Ostatnio dowiedziałam się, że Abe – ze swoim niewytłumaczalnym, obszernym wpływem – był odpowiedzialny za wyciągnięcie jej z Rosji. Nie wiedziałam jak to zrobił, ale wiedziałam, że Sydney stała się jego dłużniczką na czas nieokreślony, kiedy zaczął używać swoich przysług. Czasami zastanawiałam się czy to nie było więcej, niż tylko zmiana miejsca pracy: jakby zrobił coś jeszcze i nie powiedział mi o tym. Mimo to ponownie zaczynałam udzielać jej ostrej reprimendy, że powinna przemyśleć ten pakt z diabłem, ale zastanowiłam się jeszcze raz. Z hordą goniących nas strażników, to prawdopodobnie nie był mądry pomysł, żeby drażnić kogoś, kto mi pomagał.

Zadałam inne pytanie.

- Okej. W takim razie dlaczego jedziemy do Zachodniej Wirginii?

Sydney już otwierała usta, żeby powiedzieć, ale przerwał jej Dymitr:

- Nie teraz.

Odwróciłam się ponownie i posłałam mu gniewne spojrzenie.

- Mam tego serdecznie dosyć! Jesteśmy w drodze od sześciu godzin, a ja nadal nie znam wszystkich szczegółów. Zgaduję, że oddaliśmy się od strażników, ale naprawdę jedziemy do Zachodniej Wirginii? Zrobimy z jakiejś chatki bazę naszej operacji? Jak na przykład gdzieś w ustroniu gór gdzie nie ma kanalizacji?

Sydney obdarzyła mnie jednym z jej irytujących westchnień, które były jej znakiem rozpoznawczym.

- Czy ty naprawdę coś wiesz o Zachodniej Wirginii?

Nie lubiłam, kiedy ona i Dymitr tworzyli zespół trzymający mnie w nieświadomości. (chyba raczej zespół napięcia przedmiesiączkowego – przyp. Ginger) Oczywiście małowówność Sydney mogła zależeć od wielu rzeczy. To mogły być rozkazy Abe. Albo może nie chciała ze mną rozmawiać. Odkąd większość alchemików uważała, że dąmpiry i wampiry to potwory z piekieł, nie byli dla nas zbyt przyjaźni. Spędzenie ze mną trochę czasu na Syberii zmieniło odrobinę jej pogląd. A przynajmniej miałam taką nadzieję. Czasami miałam wrażenie, że nie jest zbyt dobrą towarzyszką rozmów.

- Wiesz, że zostaliśmy wrobieni, prawda? – zapytałam ją. – My naprawdę nie zrobiliśmy niczego złego. Oni mówią, że zabiłam królową, ale—
- Wiem – przerwała mi Sydney. – Wszystko słyszałam. Wszyscy alchemicy o tym wiedzą. Wasza dwójka jest na szczycie naszej listy najbardziej poszukiwanych.

Próbowała mówić rzeczowym tonem, ale nie potrafiła całkowicie ukryć swojego niepokoju. Czułam, że obecność Dymitr denerwowała ją bardziej niż ja, co było zrozumiałe, ponieważ tak samo reagowali na niego nasi ludzie.

- Nie zrobiłam tego – naciskałam. Z jakiegoś powodu ważne było, żeby to wiedziała.
- Powinnaś coś zjeść. Jedzenie robi się zimne. Przed nami ponad trzy godziny jazdy bez

przystanku, oprócz zatankowania gazu – powiedziała, nie przyznając racji mojemu komentarzowi.

Poznałam ostateczność w jej głosie, a także logikę. Nie chciała więcej o tym rozmawiać. Wewnątrz torby znalazłam dwa gigantyczne zestawy frytek i trzy cheeseburgery. Widocznie znała mnie całkiem dobrze. Zebrałam całe swoje opanowanie, żeby natychmiast nie upchać frytek w swoich ustach i podałam Dymitrowi cheeseburgera.

- Chcesz jednego? Musisz zachować swoje siły.

Zanim go wziął, zawahał się na kilka sekund. Wydawało się, że traktuje to jak pewnego rodzaju cud i uderzyło mnie to, że dla niego jedzenie nadal było nowością po tych kilku ostatnich miesiącach. Strzygi egzystowały tylko dzięki krwi. Podałam mu też kilka frytek, a potem odwróciłam się z powrotem żeby pożreć resztę. Nie zawracałam sobie głowy, żeby poczęstować Sydney. Była znana ze swojego braku apetytu, a ponadto myślałam, że gdyby chciała to zjadłaby czekając na nas.

- Myślę, że to dla ciebie – powiedział Dymitr, podając mi niewielki plecak. Otworzyłam go i znalazłam kilka ubrań na zmianę, jak również jakieś podstawowe przybory toaletowe. Dokładnie przejrzałam stroje.
- Kilka szortów, koszulek i sukienka. Nie mogę w tym walczyć. Potrzebuję dzinsów.

Sukienka była urocza: długa zwiewna i letnia, malowana akrylami w kolorach czarnym, białym i szarym. Ale była bardzo niepraktyczna.

- To niewdzięczność z twojej strony – powiedziała Sydney. – To stało się bardzo szybko. Tylko tyle mogłam zdobyć.

Rzucając okiem za siebie zobaczyłam jak Dymitr rozpakowuje własną torbę. Była tam podstawowa odzież tak jak i u mnie, oraz...

- Prochowiec?! – krzyknęłam, przyglądając się wyciąganemu długiemu skórzanemu płaszczowi. Jak coś takiego mogło istnieć wbrew prawom fizyki? – Dałaś sobie radę z przyniesieniem mu prochowca, ale nie mogłaś znaleźć dla mnie pary jeansów?
- Abe powiedział, że to niezbędne – powiedziała niewzruszona moim oburzeniem. – A poza tym jeśli wszystko pójdzie tak jak powinno, nie będziesz walczyć.

Nie spodobało mi się to, co usłyszałam. Bezpieczna i oddalona o mile.

Widząc, że miałam najprawdopodobniej najcichszych towarzyszy podróży samochodem na świecie, wiedziałam że lepiej nie spodziewać się prawdziwych rozmów przez następne trzy godziny. Przypuszczałam, że to również było dobre, gdyż mogłam sprawdzić co u Lissy. Nie mogłam spędzić dużo czasu w jej głowie gdyż nadal znajdowałam się na krawędzi własnej ucieczki, więc zrobiłam szybki wgląd by oszacować życie w Dworze.

Tak jak przewidział Dymitr, strażnicy szybko przywrócili porządek. Dwór był pod strażą, a każdy kto był ze mną związany, był szczegółowo przesłuchiwany. Szkopuł w tym, że wszyscy mieli alibi. Każdy mógł zobaczyć moich sojuszników na pogrzebie, lub jak w

przypadku Abego, myśleć że go widzieli. Kilka dziewczyn przysięgało, że było z Adrianem, co mogłam sobie wyobrazić, że było jedynie wynikiem kompulsji. Czułam przez wież satysfakcję Lissy, gdy frustracja strażników rosła i rosła.

Mimo, że nie miała pojęcia kiedy mogę ją sprawdzać, wysłała do mnie przez wież wiadomość: *Nie martw się, Rose. Zajmę się wszystkim. Oczyszczymy twoje imię.*

Osunęłam się z powrotem na siedzenie w samochodzie, niepewna co czuć odnośnie tej sytuacji. Opiekowałam się nią całe swoje życie. Chroniłam ją przed niebezpieczeństwem i wychodziłam z siebie by trzymać ją z dala od jakichkolwiek zagrożeń. Teraz role się odwróciły.

Dla mnie dokonała przemiany Dymitra, a teraz mój los był w jej – i najwyraźniej wszystkich innych – rękach, tak długo jak dotyczyło to ucieczki. To szło wbrew wszelkim instynktom jakie posiadałam i gryzło mnie. Nie byłam przyzwyczajona do tego, że inni mnie chronią, nie mówiąc już o niej.

Przesłuchania wciąż trwały. Lissa nie doczekała się jeszcze swojego, ale coś mi powiedziało, że moi przyjaciele wybawią się z opresji. Nie zostaną ukarani za moją ucieczkę, i na razie to ja byłam naprawdą jedyną w niebezpieczeństwie — co zdecydowanie wolałam.

Zachodnia Wirginia mogła być tak wspaniała jak twierdziła Sydney, ale nie mogłam tego stwierdzić, ponieważ gdy przybyliśmy był środek nocy. Przez większość czasu czułam jakbyśmy przejeżdżali przez góry, gdyż w trakcie przedostawania się przez kręte drogi i tunele, odczuwałam wznoszenia i obniżenia,

Po prawie trzech godzinach, toczyliśmy się do małej miasteczkowej dziury, która miała jedno światła na skrzyżowaniu i restaurację, która nazywała się RESTAURACJA. Przez ponad godzinę nie było jakiegokolwiek ruchu na ulicy, co było chyba tutaj najważniejsze. Nie byliśmy śledzeni.

Sydney zawiozła nas pod budynek ze znakiem MOTEL. Widocznie to miasto lubiło trzymać się podstaw, gdy chodziło o nazwy. Nie byłabym zaskoczona, gdyby w rzeczywistości to miasto nazywano po prostu MIASTO. Przeszliśmy przez parking i byłam zaskoczona czując, jak bardzo moje nogi były obolałe. Każda partia mojego ciała bolała, więc sen brzmiał dla mnie fantastycznie. Odkąd zaczęła się ta przygoda, minęło więcej niż pół dnia.

Sydney zarejestrowała nas pod fałszywymi nazwiskami. Śpiący recepcjonista nie zadawał żadnych pytań. Szliśmy wzdłuż korytarza, który nie był brudny, ale nie zbliżał się również do niczego królewskiego. Wózek do sprzątnięcia stał oparty o jedną ścianę, jakby wcześniej ktoś machnął ręką i go porzucił. Sydney nagle zatrzymała się przed pokojem i podała nam klucz. Zdałam sobie sprawę, że kierowała się do innego pokoju.

- Nie zostajemy razem? – spytałam.
- Hej, jeśli zostaniecie złapani, nie chcę być blisko was – powiedziała z uśmiechem. Miałam wrażenie, że jednak nie chciała spać w jednym pokoju ze „złymi kreaturami nocy” – Ale nadal będę w pobliżu. Porozmawiamy rano.

To uświadomiło mi coś jeszcze. Spojrzałam na Dymitra.

- Dzielimy jeden pokój?
- To wszystko dla lepszej obrony – wzruszyła ramionami Sydney.

Zostawiła nas nagle w typowy dla siebie sposób. Dymitr i ja spojrzeliśmy na siebie zanim weszliśmy do pokoju. Podobnie jak reszta motelu, nie był luksusowy, chociaż mógłby być. Dywan był przetarty, ale nienaruszony i doceniłam małe próby marnych zdobień w kształcie jakiś gruszek. Małe okno wyglądało przygnębiająco. I było tylko jedno łóżko.

Dymitr zamknął drzwi na klucz i łańcuch, a następnie usiadł na jedyne krzesło w pokoju. Było drewniane z prostym oparciem, ale wydawało się, że uważał je za najwygodniejszą rzecz na świecie. Wciąż nosił ten perfekcyjnie czujny wygląd, ale gdzieś tam mogłam zobaczyć wyczerpanie. Dla niego to też była długa noc.

- To co teraz? – usiadłam na krawędzi łóżka.
- Teraz czekamy – powiedział.
- Na co?
- Na to by Lissa i inni oczyścili twoje imię i znaleźć mordercę, który zabił królową.

Oczekiwałam więcej wyjaśnień, ale wszystko co dostałam to cisza. Zaczęło we mnie narastać niedowierzanie. Dzisiejszego wieczoru pozostałam cierpliwa na tyle ile mogłam, zawsze przypuszczając, że Dymitr wprowadzi mnie w jakąś tajemniczą misję, mającą na celu pomóc w rozwiązaniu morderstwa. Gdy powiedział, że zamierzamy czekać, oczywiście nie miał na myśli, że będziemy tylko... no cóż, czekać?

- Co będziemy robić? – nalegałam. – Jak zamierzamy im pomóc?
- Powiedziałem ci wcześniej: nie możesz szukać wskazówek na Dworze. Musisz trzymać się z dala. Musisz być bezpieczna.

Szczęka mi opadła, gdy wykonałam gest wskazując na brudny pokój.

- Co? To jest to? Tutaj zamierzasz mnie przechować? Myślałam... Myślałam, że coś tutaj będzie. Coś, co pomoże.
- To jest pomocne – powiedział w ten swój cholernie spokojny sposób. – Sydney i Abe przeszukali to miejsce i zdecydowali, że taka odległość wystarczy, żeby uniknąć odnalezienia.

Poderwałam się z łóżka.

- Dobra, towarzyszu. W twojej logice jest jeden poważny problem. Zachowujecie się jakby trzymanie mnie z daleka pomagało.
- Poważnym problemem jest ciągle powtarzanie tej rozmowy. Odpowiedzi kto zamordował Tatianę są na Dworze, a tam są twoi przyjaciele. Oni to rozwiążą.
- Nie wzięłam udziału w niesamowicie szybkim pościgu i nie przeskoczyłam linii stanu tylko po to by zaszyć się w jakimś gównianym hotelu! Jak długo zamierzasz „trzymać się z dala”?

Dymitr skrzyżował ręce na piersi.

- Tak długo, jak to potrwa. Mamy wystarczająco funduszy, żeby pozostać tutaj na czas nieokreślony.
- Tak, prawdopodobnie mam dosyć dodatkowych oszczędności, żeby zostać tutaj na czas nieokreślony, ale to się nie stanie. Muszę coś zrobić. Nie wezmę tak prostego wyjścia i nie usiądę z założonymi rękami.
- Przetrawianie nie jest takie proste, jak myślisz.
- O Boże – jęknęłam. – Zakolegowałeś się z Abe, prawda? Pamiętasz, że kiedy byłeś strzygą, kazałeś mi się trzymać od niego z daleka? Może sam powinieneś zastosować się do swoich rad.

Pożałowałam swoich słów w chwili, gdy opuściły moje usta i zobaczyłam w jego oczach, że zadałam mu spory ból. Podczas tej ucieczki mógł działać jak stary Dymitr, ale jego czas spędzony jako strzyga nadal go dręczył.

- Przepraszam. – powiedziałam. – Nie miałam na myśli...
- Skończyliśmy tę dyskusję – powiedział ostro. – Lissa powiedziała, że tu zostajemy, więc tu zostajemy.
- To dlatego to robisz? – Moja złość odsunęła na bok poczucie winy. – Ponieważ Lissa ci kazała?
- Oczywiście. Przysięgałem, że zawsze będę jej służył i pomagał.

Właśnie w tym momencie puściły moje zapory. Wystarczająco złe było to, że kiedy Lissa przywróciła go do postaci daimona, Dymitr myślał, że to w porządku kręcić się w pobliżu Lissy i w tym samym czasie odtrącając mnie. Pomimo faktu, że to *ja* byłam tą, która udała się na Syberię i że byłam *ta*, która dowiedziała się o tym, że brat Wiktora – Robert – wiedział, jak przywrócić strzygi... ale cóż, najwyraźniej te rzeczy nie były ważne. Tylko Lissa trzymająca kołek wydawała się dla niego liczyć i Dymitr uważał ją teraz za jakiś rodzaj anielskiej bogini, zrobił się archaiczny i jak rycerz przysięgną jej służyć.

- Zapomnij – powiedziałam. – *Nie* zostanę tutaj.

Zrobiłam trzy kroki do drzwi i udało mi się zdjąć łańcuch, ale Dymitr w ciągu kilku sekund wstał z krzesła i popchnął mnie na ścianę. Naprawdę, to był bardzo powolny czas jego reakcji. Liczyłam na to, że powstrzyma mnie zanim zrobię dwa kroki.

- Zostajesz tutaj – powiedział spokojnie, chwytając moje nadgarstki. – Czy ci się to podoba, czy nie.

Teraz miałam kilka opcji. Mogłam oczywiście zostać i spędzać całe dni, tygodnie, a nawet miesiące w tym motelu, do czasu gdy Lissa oczyściłaby moje imię. Przepuszczalne było to, że Lissa zdoła oczyścić moje imię, a ja nie dostałabym zatrucia pokarmowego w restauracji RESTAURACJA. To było najbezpieczniejsze rozwiązanie. Ale jak dla mnie najnudniejsze.

Innym rozwiązaniem była walka z Dymitrem, co nie było ani bezpieczne, ani łatwe. Byłoby to także szczególnie ambitne, ponieważ musiałabym się starać, by walczyć w taki sposób,

który pozwoliłby mi uciec, ale nie zabiłby lub nie spowodowałby naszych poważnych obrażeń.

Albo mogłam rzucić ostrożność w diabły i nie powstrzymywać się. Cholera, facet walczył ze strzygami i połową Dworskich strażników. Mógłby sobie ze mną poradzić nawet gdybym wykorzystwała wszystko co mogę. Z pewnością w świętym Władimirze odbyliśmy kilka całkiem ciężkich sparingów. Czy byłam dość dobra, żeby uciec? Czas się przekonać.

Kopnęłam go kolanem w brzuch, czego najwyraźniej nie oczekiwał. Jego oczy powiększyły się w wstrząsie — i trochę z bólu — dając mi wolną przestrzeń do wyswobodzenia się z jego chwytu. To wystarczyło mi by otworzyć zamek drzwi. Jednak zanim sięgnęłam po klamkę, Dymitr znowu trzymał mnie w garści. Chwycił mnie mocno i rzucił mnie na początku przodem na łóżko, przyszpilając mnie do niego zarówno swoją wagą jak i uniemożliwiając moim kończynom robienie zaskakujących kopnięć. To zawsze stanowiło dla mnie największy problem w walkach: przeciwnicy — zazwyczaj mężczyźni — byli ciężsi i mieli więcej siły. W tych sytuacjach prędkość była moim największym atutem, ale bycie przygwożdżonym ukrócało okazje na wymknięcie się i zrobienie uniku. Mimo wszystko, nadal każda moja część walczyła, sprawiając mu trudność w przytrzymaniu mnie.

- Przystań – powiedział mi do ucha, niemal dotykając go ustami. – Bądź chodź raz rozsądna. Nie możesz mnie ominąć.

Jego ciało było ciepłe i silne przy moim, i ja obiecałam sobie, że później surowo zbesztam swoje. *Zakończ to*, pomyślałam. *Skup się na wydostaniu stąd, a nie na tym co on czuje.*

- Nie jestem nierozsądna – warknęłam do niego odwracając twarz. – To ty porwałś się na szlachetną obietnicę, która nie ma sensu. I wiem, że tak samo jak ja nie lubisz siedzieć beczynnice. Pomóż mi. Pomóż mi znaleźć mordercę i zrobić coś pożytecznego. – Przystałam walczyć i udawałam, że nasza kłótnia mnie rozprasza.
- Nie lubię siedzieć beczynnice, ale nie lubię też postępować pochopnie w niemożliwej sytuacji!
- Niemożliwe sytuacje są naszą specjalnością – zauważyłam.

Przez ten czas próbowałam ocenić jego uścisk. Nie poluzował uchwytu, ale miałam nadzieję, że może rozmowa go rozproszyła. Zwykle Dymitr był zbyt dobry, żeby dać się zdekoncentrować. Ale wiedziałem, że był zmęczony. I może, tylko może, mógł być trochę nieostrożny, ponieważ to byłam ja, a nie strzyga.

Nie.

Nagle zaatakowałam próbując wygrzebać się i uwolnić spod niego. Najlepsze co mi się udało zrobić to sturlanie się zanim znowu mnie chwycił, zostawiając mnie na wpół leżącą na łóżku, a pół na podłodze. Będąc tak blisko niego... jego twarz, usta... jego ciepło na mojej skórze... Cóż. Okazało się, że wszystko co osiągnęłam sprawiło, że wpakowałam się w jeszcze bardziej niekorzystną sytuację. Na pewno nie odczuwał naszej bliskości ciał. Nadal nosił minę wypełnioną tą typową dla siebie determinacją, i mimo że to było z mojej strony głupie,

nawet jeśli wiedziałam, że nie powinno mnie obchodzić, że był nade mną... cóż, obchodziło mnie to.

- Jeden dzień? – powiedział. – Nie możesz poczekać nawet jednego dnia?
- Może w ładniejszym hotelu. Z kablówką.
- To nie czas na żarty, Rose.
- To pozwól mi coś zrobić. Cokolwiek.
- Nie. Mogę.

Powiedzenie tych słów wyraźnie go raniło i w międzyczasie coś sobie uświadomiłam. Byłam na niego wściekła, bardzo wściekła za to, że próbował zmusić mnie do bezczynnego siedzenia i ostrożnego działania, podczas gdy sam nie lubił postępować w jakikolwiek z tych sposobów. Jak mogłam zapomnieć, że jesteśmy do siebie tak podobni? Obydwoje pragnęliśmy działania, chcieliśmy pomagać tym o których się troszczyliśmy. To jego samo postanowienie pomocy Lissie sprowadziło go tutaj do pracy niańki. Twierdził, że mój rychły powrót na Dwór był lekkomyślny, ale miałam wrażenie, że gdyby nie był za mnie odpowiedzialny — albo myślał, że był — to również w tej chwili by tam wrócił.

Przestudiowałam go obserwując jego zdeterminowane ciemne oczy i wyraz twarzy złagodzony przez jego brązowe włosy, które uciekły z jego kitki. Otaczały teraz jego twarz, zaledwie dotykając mojej. Mogłam spróbować uwolnić się jeszcze raz, ale straciłam nadzieję, że to zadziała. Był zbyt gwałtowny i zbyt zdecydowany, by zapewnić mi bezpieczeństwo. Przypuszczałam, że ujawnienie mojego podejrzenia, iż również chciał wrócić do Dworu, nie zrobiłoby niczego dobrego. Czy to prawda czy nie, spodziewał się, że będę sprzeczała się z nim tą swoją Rose–logiką. To przecież był Dymitr. Spodziewał się wszystkiego.

No może prawie.

Pomysł trafił do mnie tak szybko, że nie zdążyłam go przemyśleć. Po prostu zadziałałam. Moje ciało mogło być ograniczone, ale moja głowa i szyja miały tyle swobody, żeby się przesunąć... i go pocałować.

Moje wargi dotknęły jego i nauczyłam się kilku rzeczy. Po pierwsze, można było zaskoczyć go totalnie przez niespodziankę. Jego ciało zamarło i spięło się, wstrząśnięte nagłą zmianą wydarzeń. Zdałam sobie również sprawę, że całował tak dobrze, jak zapamiętałam. Ostatnim razem całowaliśmy się kiedy był strzygą. Emanował wtedy niesamowitą seksownością, ale nie można było tego porównywać do gorąca i energii gdy był żywy. Jego wargi były takie jak je zapamiętałam od czasu naszego pobytu w Akademii świętego Władimira, w tym samym czasie miękkie i głodne. Gdy odwzajemnił pocałunek, po reszcie mojego ciała rozlała się elektryczność. To było zarówno pocieszenie jak i upojenie.

I to była trzecia rzecz, którą odkryłam. *Odwzajemnił mój pocałunek*. Może po prostu Dymitr nie był taki stanowczy jak twierdził. Może pod całą tą winą i pewnością, że nie mógł już kochać, nadal mnie pragnął. Bardzo chciałabym się tego dowiedzieć, ale nie miałam na to czasu.

Zamiast tego uderzyłam go pięścią.

Wprawdzie uderzyłam pięścią mnóstwo facetów, którzy mnie całowali, ale nigdy kogoś, kogo naprawdę *pragnęłam* całować. Dymitr ciągle trzymał mnie w niewzruszonym uścisku, ale szok wywołany pocałunkiem osłabił jego czujność. Moja pięść uderzyła w bok jego twarzy. Nie tracąc szansy, zepchnęłam go z siebie tak mocno jak tylko mogłam i odskoczyłam od łóżka biegnąc w kierunku drzwi. Otwierając szeroko drzwi usłyszałam jak podnosi się na nogi. Wystrzeliłam z pokoju i zatrzęsłam drzwi, zanim mogłam zobaczyć co potem zrobił. Ale nie, żebym musiała. Ścigał mnie.

Bez chwili wahania, pchnęłam wózek ze sprzętem do sprzątania przed drzwi pokoju i pobiegłam sprintem wzdłuż holu. Parę sekundy później, drzwi otworzyły się i usłyszałam okrzyk irytacji — równie dobrze jak bardzo, bardzo wulgarne rosyjskie słowo — gdy wpadł na wózek. Kilka sekund zabrało mu odepchnięcie go, ale to było wszystko, czego potrzebowałam. Błyskawicznie zbiegłam schodami w dół do mizernego holu, gdzie znudzony recepcjonista czytał książkę. Niemal wyskoczył ze swojego krzesła, gdy przebiegłam.

– Ten facet mnie goni! – zawołałam kierując się do drzwi.

Recepcjonista naprawdę nie wyglądał jak ktoś, kto spróbowałby zatrzymać Dymitra, i miałam przeczucie, że Dymitr nie zatrzymałby się, gdyby ten facet go o to poprosił. W najbardziej skrajnym przypadku, ten człowiek zadzwoniłby po policję. W tym mieście, POLICJA prawdopodobnie składała się z jednego faceta i psa.

Jednakże to nie był już mój problem. Wyszłam z motelu i znalazłam się w środku uśpionego górskiego miasteczka, którego ulice były pogrążone w cieniu. Dymitr mógł być tuż za mną, ale gdy zagłębiłam się w jakieś najbliższej znajdujące się lasy wiedziałam, że zgubienie go w ciemności będzie łatwe.

Tłumaczenie: WhiteFlag

Korekta: Yennefer31, Diotima

Rozdział siódmy

PROBLEMEM BYŁO OCZYWIŚCIE TO, że szybko zgubiłam się w ciemności.

Po mieszkaniu w dzikiej Montanie byłam przyzwyczajona do tego, jak noc mogła kompletnie pochłonąć cię, kiedy tylko oddaliłaś się od nawet najmniejszego cienia cywilizacji. Byłam także przyzwyczajona do spacerowania po skrętach i zwrotach ciemnego lasu. Ale teren wokół św. Władimira był znajomy. A lasy Zachodniej Wirginii były nowe i obce, i całkowicie straciłam orientację.

Kiedy byłam już pewna, że odległość ode mnie do motelu jest wystarczająca, zatrzymałam się i rozejrzałam. Nocne insekty bzyczały i śpiewały, wokół mnie unosiła się duszna wilgotność lata. Spoglądając w górę przez liściaste sklepienie z drzew, mogłam zobaczyć olśniewające gwiazdziste niebo, nietknięte przez światła miasta. Czując się jak prawdziwy niedobitek w dziczy, wpatrywałam się w gwiazdy, dopóki nie znalazłam Wielkiego Wozu i pojęłam gdzie jest północ. Góry, przez które Sydney nas przewiozła, znajdowały się na wschodzie, więc na pewno nie chciałam iść w tamtym kierunku. Wydawało się sensowne, że jeśli bym powędrowała na północ w końcu dotarłabym do międzystanówki, a złapanie stopa lub pójście pieszo zaprowadziłoby mnie z powrotem do cywilizacji. To nie był najlepszy plan, ale nie był też najgorszy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek miałam, nie przez długi okres czasu.

Nie byłam ubrana odpowiednio na pieszą wędrówkę, ale kiedy moje oczy przyzwyczały się do ciemności, udawało mi się omijać drzewa i inne przeszkody. Pójście wzdłuż wąskiej drogi za miastem mogłoby być łatwiejsze, ale tego też spodziewałby się po mnie Dymitr.

Wpadłam w jednostajny, podświadomy rytm i poszłam na północ. Zdecydowałam, że to odpowiedni moment, żeby sprawdzić co u Lissy – teraz, gdy miałam dużo wolnego czasu i żadnych strażników próbujących mnie zaaresztować. Wślizgnęłam się do jej umysłu i znalazłam ją w głębi głównej siedziby strażników, siedzącą w holu z rzędem krzesel. Inni moroje siedzieli w pobliżu, włączając w to Taszę i Christiana.

- Będą was intensywnie przesłuchiwać – szepnęła Tasza. – Szczególnie ciebie – skierowała się do Christiana. – Byłbyś moim pierwszym podejrzanym, gdyby coś nielegalnego wyleciało w powietrze.

Wyglądało na to, że taką opinię mają wszyscy. Patrząc na jej zaniepokojoną twarz widziałam, że Tasza jest równie mocno zaskoczona moją ucieczką jak ja. Nawet jeśli moi przyjaciele nie włączyli jej jeszcze w całą historię, prawdopodobnie ułożyła już sobie wszystko, a przynajmniej to, kto za tym stał.

Christian posłał jej tak słodki uśmiech, na jaki tylko było go stać, niczym dziecko, które próbuje uniknąć szlabanu.

- Powinni już wiedzieć, że to nie było spowodowane magią – powiedział. – Strażnicy przeszukają każdy cal tych posągów.

Nie omawiał szczegółów, nie publicznie, ale umysł Lissy równocześnie podążał tymi samymi torami co jego. Strażnicy wiedzieli już, że wybuch nie pochodził z żywołu. I nawet jeśli moi przyjaciele byli głównymi podejrzanymi, władze musiały się zastanowić – zupełnie tak jak ja – jak nastolatki mogły zdobyć C4.

Lissa pochyliła się i położyła swoją rękę na jego.

– Będzie dobrze.

Jej myśli skierowały się na Dymitra i na mnie, zastanawiając się czy wszystko udało się nam zgodnie z planem. Nie mogła się skupić na odnalezieniu zabójcy Tatiany dopóki nie dowie się, czy byliśmy bezpieczni. Jak dla mnie, ucieczka była trudnym wyborem; uwolnienie mnie stawiało mnie w większym niebezpieczeństwie, niż trzymanie mnie zamkniętą. Jej emocje były wzburzone, pobudzone i trochę bardziej porywcze niż bym sobie tego życzyła. Tak wiele ducha, zdałam sobie sprawę. Używa go zbyt wiele. W szkole kierowała nim lekami na receptę, a potem poprzez samokontrolę. Ale, gdy nasza sytuacja stawała się coraz bardziej skomplikowana, pozwalała sobie dźwżyć go więcej i więcej. W ostatnim czasie używała zadziwiających ilości i przyjmowaliśmy to za rzecz oczywistą. Wcześniej czy później poleganie na duchu osiągnie ją. Nas.

– Księżniczko? – drzwi na przeciwko Lissy się otworzyły i wyrzwał zza nich strażnik. – Czekamy na ciebie.

Strażnik odsunął się i w środku pokoju, Lissa usłyszała znajomy głos mówiący:

– Rozmawianie z tobą jest przyjemnością. Powinniśmy kiedyś to powtórzyć, Hans.

Następnie pojawił się Abe, krocząc dumnie ze swoją zwykłą wyniosłością. Przeszedł obok strażnika w wejściu i posłał Ozerom ujmujący wszystko–na–świecie–jest–dobrze uśmiech. Bez słowa pomaszerował obok nich w stronę wyjścia. Lissa prawie się uśmiechnęła, ale pohamowała się, przyjmując poważną minę, gdy ona i jej kompani weszli. Drzwi się za nimi zamknęły i zobaczyła, że stoi przed trzema strażnikami siedzącymi za stołem. Jednego z nich kiedyś widziałam, ale nigdy nie poznałam. Myślę, że miał na nazwisko Steele. Pozostałych dwóch znałam dobrze. Pierwszym z nich był Hans Croft, ten który prowadził działalność strażników na Dworze. Obok niego, ku mojemu zdziwieniu, była Alberta, która nadzorowała strażników i nowicjuszy w św. Władimirze.

– Uroczu – burknął Hans. – Całe towarzystwo.

Christian nalegał, żeby być obecnym podczas przesłuchiwania Lissy, a Tasza nalegała, żeby być obecną z Christianem. Gdyby Abe wiedział kiedy jest przesłuchanie, prawdopodobnie również by się przyłączył do grupy, bez wątplenia z podążającą za nim moją matką...Hans nie miał pojęcia, że uniknął domówki.

Lissa, Christian i Tasza usiedli na przeciwko strażników.

– Strażniczko Petrow – powiedziała Lissa ignorując dezaprobatę Hansa – Co tutaj robisz?

Alberta lekko się uśmiechnęła do Lissy, ale po za tym pozostała w profesjonalnej, strażniczej postawie.

- Byłam na pogrzebie i strażnik Croft zdecydował, że pragnąłby opinii o śledztwie kogoś z zewnątrz.
- Jak również kogoś znającego Rose Hathaway i jej, uh, towarzyszy – dodał Hans. Hans był typem faceta, który przechodził od razu do sedna sprawy. Zazwyczaj jego postawa mi przeszkadzała – takie było moje normalne nastawienie do władz – ale szanowałam sposób, w jaki prowadził tutaj działalność. – To spotkanie było przewidziane tylko dla ciebie księżniczko.
- Nie odezwiemy się słowem – powiedział Christian. Lissa przytaknęła i utrzymała łagodny i uprzejmy wyraz twarzy, mimo że jej głos drżał.
- Chcę pomóc...byłam taka... nie wiem. Jestem taka oszołomiona wszystkim co się zdarzyło.
- Jestem pewien – powiedział Hans sucho. – Gdzie byłaś kiedy posągi eksplodowały?
- Z orszakiem pogrzebowym – powiedziała. – Byłam częścią eskorty.

Steele miał przed sobą stertę papierów.

- To prawda. Jest wielu świadków.
- Bardzo wygodne. Co potem? – zapytał Hans. – Gdzie poszłaś, kiedy tłum spanikował?
- Z powrotem do budynku Rady. Tam wszyscy inni się spotykali i pomyślałam, że tam będzie najbezpieczniej. – Nie mogłam zobaczyć jej twarzy, ale mogłam wyczuć jak próbuje wyglądać na wystraszoną. – Bałam się, kiedy wszystko zaczęło wariować.
- Na to również mamy świadków – powiedział Steele.

Hans bębnił palcami o stół.

- Czy wiedziałaś wcześniej o czymkolwiek? O eksplozjach? Ucieczce Hathaway?

Lissa potrząsnęła głową.

- Nie! Nie miałam pojęcia. Nie wiedziałam nawet, że można się wydostać z cel. Myślałam, że były zbyt dobrze strzeżone.

Hans zignorował przytyk o swoich działaniach.

- Macie więź, prawda? Nie wylapałaś z niej niczego?
- Nie czytam jej – wyjaśniła Lissa. – Ona widzi moje myśli, ale nie na odwrót.
- To – powiedziała Alberta odzywając się w końcu – jest prawda.

Hans nie zaprzeczył jej, ale nadal nie kupował niewinności moich przyjaciół.

- Zdajesz sobie sprawę, że jeśli zostaniesz złapana na ukrywaniu informacji – lub pomaganiu jej – spotkasz się z niemal z takimi samymi konsekwencjami co ona. Wy wszyscy. Królewskie pochodzenie nie zwalnia was od uwięzienia.

Lissa spuściła wzrok jakby jego groźba ją przestraszyła.

- Po prostu nie mogę uwierzyć...nie mogę uwierzyć, że mogła to zrobić. Była moją przyjaciółką. Myślałam, że ją znam. Nie myślałam, że mogłaby zrobić którąkolwiek z tych rzeczy... Nigdy nie pomyślałam, że mogłaby kogoś zamordować. – Gdyby nie uczucia w więzi, mogłabym się obrazić. Ale znałam prawdę. Grała, próbując odsunąć siebie ode mnie. To było sprytne.
- Naprawdę? Nie tak dawno przysięgałaś, że była niewinna – wytknął Hans.

Lissa spojrzała z powrotem w górę rozszerzając oczy.

- Myślałam, że była! Ale potem... potem usłyszałam o tym co zrobiła tym strażnikom podczas ucieczki...

Jej zmartwienie nie było tym razem w całości udawane. Nadal musiała zachowywać się jakby myślała, że była winna, ale wiadomość o stanie Meredith dotarła do niej – co nią naprawdę wstrząsnęło. To było nas dwie, ale teraz przynajmniej wiedziałam, że z Meredith było wszystko w porządku. Hans nadal patrzył sceptycznie na zmianę w zachowaniu Lissy, ale machnął na to ręką.

- Co z Bielikowem? Przysięgałaś, że nie był już strzygą, ale to jasne, że coś również poszło nie tak.

Christian poruszył się za Lissą. Niczym adwokat Dymitra, Christian był rozwścieczony na posądzenia i pomówienia. Lissa odezwała się zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Nie jest strzygą! – Skrucha Lissy nade mną zniknęła, zastąpiona przez jej dawną, zaciekłą obronę Dymitra. Nie spodziewała się takiego rodzaju pytań o nim. Była przygotowana na bronienie mnie i jej alibi. Hans wyglądał na zadowolonego z reakcji i patrzył na nią uważnie.
- Więc jak wyjaśnisz jego udział?
- To nie z powodu bycia strzygą – powiedziała Lissa, zmuszając się do kontroli. Jej serce biło gwałtownie. – On się zmienił. Nie ma już strzygi.
- Jednak zaatakował wielu strażników – i to nie raz.

Wyglądało na to, że Tazsa chciała się wtrącić i również bronić Dymitra, ale wyraźnie przygryzła wargę. To było nadzwyczajne. Ozerowie lubili mówić co myślą, nie zawsze taktownie.

- To nie z powodu bycia strzygą – Lissa powtórzyła. – I nie zabił żadnego z tych strażników. Ani jednego. Rose zrobiła to, co zrobiła bo... cóż, nie wiem dlaczego. Zgaduję, że nienawidziła Tatiany. Wszyscy to wiedzieli. Ale Dymitr... mówię wam, bycie strzygą nie ma nic do tego. Pomógł jej, ponieważ kiedyś był jej nauczycielem. Myślał, że ma kłopoty.
- To dość niezwykle jak na nauczyciela, szczególnie takiego, który – zanim przemienił się w strzygę – był znany z dużej rozwagi i rozsądku.
- Tak, ale nie myślał racjonalnie, ponieważ–

Lissa zacięła się, nagle złapana w złą sytuację. Hans chyba szybko zorientował się po rozmowie, że jeśli Lissa była zamieszana w ostatnie wydarzenia – i nie sędzę, żeby był tego na razie pewny – miałyby jakieś spójne alibi. Rozmowa z nią, natomiast dała mu szansę na odkrycie innej zagadki mojej ucieczki: udziału Dymitra. Dymitr poświęcił się biorąc odpowiedzialność za to wszystko, nawet jeśli oznaczało to ponowną utratę zaufania innych. Lissa myślała, że mogłaby zmusić ich do myślenia, iż jego działania były obronnym instynktem byłego nauczyciela, ale najwyraźniej nie wszyscy to kupowali.

– Nie myślał racjonalnie ponieważ? – podpowiedział Hans, przenikliwie patrząc.

Przed morderstwem Hans wierzył, że Dymitr naprawdę stał się znowuampirem. Coś mi mówiło, że nadal w to wierzył, ale wyczuł, że wisiało przed nim coś dużego. Lissa milczała. Nie chciała, żeby ludzie myśleli, że Dymitr jest strzygą. Chciała, żeby wierzyli w jej moce przywracania nieumarłych. Ale jeśli Dymitr pomagający uczniom nie wyglądał przekonująco i cała nieufność mogła znów wypłynąć.

Spoglądając na śledczych, Lissa nieoczekiwanie spotkała oczy Alberty. Starsza strażniczka nic nie mówiła. Nosila ten neutralny, kontrolowany wyraz twarzy, którym odznaczali się strażnicy. Roztaczała też atmosferę rozważgi wokół siebie i Lissa na krótko pozwoliła duchowi pokazać sobie aurę Alberty. Miała dobre, pewne kolory i energię.

I wówczas, w oczach Alberty, Lissa mogłaby przysiąc, że widziała wiadomość, porozumiewawczy błysk. *Powiedz im, zdawały się mówić. To stworzy problemy – ale nie tak duże jak twoje obecne.* Lissa wytrzymała to spojrzenie, zastanawiając się, czy ona sama po prostu nie projektowała własnych myśli do umysłu Alberty. Nie miało znaczenia od kogo pochodziła myśl. Lissa wiedziała, że była słuszna.

– Dymitr pomógł Rose ponieważ... ponieważ byli ze sobą związani.

Tak jak przypuszczałam, Alberta nie była zaskoczona i wyglądała na uspokojoną wyjawieniem prawdy. Natomiast Hans i Steele byli bardzo zdumieni. Tylko kilka razy widziałam Hansa zszokowanego.

– Mówiąc 'związani' masz na myśli... – wstrzymał się, żeby uformować swoje słowa –
Masz na myśli romantycznie związani?

Lissa kiwnęła głową czując się strasznie. Odkryła wielki sekret, który przysięgła mi zachować, ale jej nie winiłam. Nie w tej sytuacji. Miłość – miałam nadzieję – obroni czyny Dymitra.

– Kochał ją – powiedziała Lissa. – A ona kochała jego. Jeśli pomógł jej uciec –
– On pomógł jej uciec – przerwał Hans. – Zaatakował strażników i wysadził bezcenne, wiekowe posągi przywiezione z Europy!

Lissa wzruszyła ramionami.

– Tak jak mówiłam, nie zachowywał się racjonalnie. Chciał jej pomóc i prawdopodobnie myślał, że była niewinna. Zrobiliby dla niej wszystko – i nie ma to nic wspólnego ze

strzygami.

- Miłość tylko tyle usprawiedliwia – Hans wyraźnie nie był romantykiem.
- Ona jest niepełnoletnia! – zawołał Steele. Ta część mu nie umknęła.
- Ma osiemnaście lat – poprawiła go Lissa.

Hans spojrział na nią zacięcie.

- Umiem liczyć księżniczko. O ile nie udało im się stworzyć pięknego, urzekającego romansu w ciągu ostatnich kilku tygodni – kiedy on był głównie w odosobnieniu – to w szkole działy się rzeczy, które powinny być przez kogoś zgłoszone.

Lissa milczała, ale kątem oka widziała Taszę i Christiana. Starali się zachować neutralne wyrazy twarzy, ale było oczywiste, że ta wieść nie była dla nich niespodzianką, bez wątpienia potwierdzając podejrzenia Hansa, że działy się nielegalne rzeczy. Właściwie nie zdawałam sobie sprawy z tego, że Tasia wiedziała o mnie i Dymitrze i źle się z tym czułam. Czy wiedziała, że ja byłam przyczyną jego odmowy? I jeśli tak, to ile innych osób wiedziało? Christian prawdopodobnie ją ostrzegł, ale coś mi mówiło, że więcej ludzi miało się wkrótce dowiedzieć. Moja reakcja po ataku na szkołę była pewnie sporą wskazówką o moich uczuciach do Dymitra. Może mówienie tego Hansowi nie było ostatecznie taką dużą sprawą. Tajemnica nie byłaby już więcej tajemnicą. Alberta odchrząknęła, w końcu się odzywając.

- Myślę, że mamy teraz ważniejsze powody do zmartwień, niż jakiś romans który mógł lub nie mógł się zdarzyć.

Steele spojrział na nią z niedowierzaniem i trzasnął ręką w stół.

- To jest bardzo poważna sprawa. Wiedziałaś o tym?
- Wszystko co wiem, to to, że nie skupiamy się tu na problemie – odpowiedziała zgrabnie unikając pytania. Alberta była około dwadzieścia lat starsza od Steela, a ciężki wzrok jaki mu posłała mówił, że był on dzieckiem marnującym jej czas. – Myślałam, że jesteśmy tu, aby odkryć, czy panna Hathaway miała jakichś współników, a nie drążyć przeszłość. Na razie jedyną osobą, o której możemy na pewno powiedzieć, że jej pomogła, jest Bielikow, który zrobił to z powodu irracjonalnego uczucia. To robi z niego zbiega i głupca, nie strzygę.

Nigdy bym nie pomyślała, o moim związku z Dymitrem jako 'irracjonalnym uczuciu', ale cel Alberty został osiągnięty. Coś w twarzach Hansa i Steela mówiło mi, że wkrótce dowie się o nas cały świat, ale to było nic w porównaniu z morderstwem. I jeśli oczyszczało to Dymitra z bycia strzygą, oznaczało to, że zostałby aresztowany, a nie zakołkowany, gdyby kiedykolwiek go złapali. Małe błogosławieństwa.

Przesłuchanie Lissy przedłużyło się trochę, zanim strażnicy uznali, że była wolna i czysta jeśli chodzi o jakikolwiek element mojej ucieczki (który mogliby udowodnić). Dobrze się spisała grając zaskoczoną i zdezorientowaną przez cały czas, a nawet roniąc kilka łez nad tym, jak mogła mnie tak błędnie osądzić. Dorzuciła też do swojego występu trochę kompulsji – nie tyle, żeby wyprać komuś mózg, ale wystarczająco, żeby wcześniejsze oburzenie Steela zamieniło się w sympatię. Z Hansem było trudniej, ale gdy moja grupa wyszła, przypomniał

Taszy i Christianowi, że będzie z każdym z nich mówił później na osobności, raczej bez towarzystwa.

Na razie następną osobą czekającą na gorącym krześle w holu był: Eddie. Lissa posłała mu taki sam uśmiech, jaki dałaby któremukolwiek znajomemu. Nie było żadnej oznaki, że oboje byli częścią konspiracji. Eddie kiwnął w odpowiedzi, gdy został wezwany do pokoju na przesłuchanie. Lissa niepokoiła się o niego, ale ja wiedziałam, że jego strażnicza samokontrola zapewniała, że będzie trzymał się historii. Pewnie nie uroni łez jak Lissa, ale będzie grał tak zszokowanego moją 'zdradą', jak ona.

Tasza zostawiła Lissę i Christiana, kiedy byli na zewnątrz, uprzednio ostrzegając ich, żeby byli ostrożni.

- Na razie wybrnęliście z tego, ale nie sądzę, że strażnicy oczyścili was do końca. Szczególnie Hans.
- Hej, umiem o sobie zadbać – powiedział Christian.

Tasza wywróciła oczami.

- Tak. Widzę co się dzieje, gdy jesteście zostawieni swojej własnej pomysowości.
- Hej, nie wkurzaj się tylko dlatego, że ci nie powiedzieliśmy! – wykrzyknął. – Nie mieliśmy czasu i nie mogliśmy w to wmieszać wielu ludzi. A poza tym, miałaś już wcześniej swój wkład w szalonych planach.
- Prawda – przyznała Tasza. Nie była wzorem, jeśli chodziło o przestrzeganie zasad. – Tylko, że wszystko się pokomplikowało. Rose się ukrywa. A teraz Dymitr... – westchnęła i nie potrzebowałam, żeby dokończyła, by odgadnąć jej myśli. W jej spojrzeniu był głęboki smutek, który sprawił, że poczułam się winna. Tak jak my wszyscy, Tasza chciała, żeby reputacja Dymitra była odbudowana. Uwalniając oskarżoną o zabójstwo królowej morderczynię, bardzo poważnie zniszczył jakąkolwiek szansę na akceptację. Naprawdę chciałabym, żeby nie został w to zamieszany i miałam nadzieję, że moja bieżąca ucieczka się opłaci.
- Wszystko się ułoży – powiedział Christian – Zobaczysz. – Nie wyglądał na tak pewnego jak mówił i Tasza posłała mu mały, rozbawiony uśmiech.
- Bądźcie po prostu ostrożni. Proszę. Nie chcę was również widzieć w celi. Nie mam czasu na więzienne wizyty z tym wszystkim co się dzieje.

Jej rozbawienie zgasło i jej otwarty, aktywny tryb się włączył.

- Nasza rodzina była niedorzeczna, wiesz. Możesz uwierzyć, że rozmawiają o tym, żeby Esmond startował z naszej rodziny? Dobry Boże. Już mamy tu jeden dramat na drugim. Powinniśmy przynajmniej spróbować uratować cokolwiek z tego bałaganu.
- Chyba nie znam Esmonda – powiedział Christian.
- Kretyn – powiedziała rzeczowo – To znaczy on, nie ty. Ktoś musi przemówić naszej rodzinie do rozsądku, zanim zawstydzą samych siebie.

Christian się wyszczerzył.

- Pozwól mi zgadnąć: ty będziesz tą osobą?
- Oczywiście – powiedziała z figlarnym błyskiem w oku. – Już sporządziłam listę idealnych kandydatów. Nasza rodzina potrzebuje jedynie trochę perswazji, żeby zobaczyć jacy są idealni.
- Współczułbym im, gdyby nadal nie byli dla nas dupkami – zauważył Christian, patrząc jak jego ciotka odchodzi.

Piętno rodziców zmienionych w strzygi nadal dawało o sobie znać, nawet po tylu latach. Tasia zaakceptowała je z większym wdziękiem – mimo jej narzekania – aby tylko móc uczestniczyć w ważniejszych decyzjach rodziny Ozerów. Christian nie podejmował takich prób przez grzeczność. Bycie traktowanym gorzej niż inni moroje było wystarczająco potworne, odmówiono im posiadania strażnika i innych rzeczy, do których arystokraci byli uprawnieni. Ale przez rodzinę? To było szczególnie przykre. Christian odmówił udawania, że to jest do przyjęcia.

- W końcu ich oświeci – powiedziała Lissa brzmiąc bardziej optymistycznie niż się czuła.

Jakakolwiek odpowiedź Christiana została przełknięta, kiedy zwałił się na nich nowy towarzysz: mój ojciec. Jego obcesowy wygląd przestraszył oboje moich przyjaciół, ale nie byłam zaskoczona. Prawdopodobnie wiedział o przesłuchaniu Lissy i czaił się na zewnątrz budynku czekając, żeby z nią pogadać.

- Ładna pogoda – powiedział Abe uprzejmie, patrząc na drzewa i kwiaty jakby ich trójka była na zwykłej przechadzce przez dziedziniec Dworu. – Ale będzie upalnie, kiedy słońce się ukaże.

Ciemność, która sprawiała mi tyle kłopotu w lasach Zachodniej Wirginii, była miłym 'południem' dla tych z wampirzym harmonogramem. Lissa spojrzała na niego z boku. Z oczami dobrze przystosowanymi do słabego światła, nie miała problemu z zauważeniem błyszczącej koszuli do smokingu pod jego beżową, sportową kurtką. Być może nawet ślepy widział by go w tym kolorze.

Lissa wykpiła jego fałszywą niedbałość. To było w jego zwyczaju, zacząć od małej pogawędki przed przejściem do bardziej zbrodniczych tematów.

- Nie jesteś tu, by mówić o pogodzie.
- Staram się być cywilizowany, to wszystko – ucichł, gdy para morojskich dziewcząt ich minęła. Kiedy znalazły się poza zasięgiem słuchu, zapytał niskim głosem. – Zakładam, że wszystko poszło dobrze na waszym małym spotkaniu?
- W porządku – powiedziała, nie kłopotząc się by wspomnieć o 'irracjonalnym uczuciu'. Wiedziała, że wszystko co chce wiedzieć, to czy żaden z ich współników nie został wplątany.
- Strażnicy mają teraz Eddiego – powiedział Christian. – I chcą mnie później, ale myślę, że dotyczy to nas wszystkich.

Lissa westchnęła.

- Szczerze mówiąc, mam przeczucie, że przesłuchanie było łatwiejszą częścią w porównaniu z tym, co nadejdzie. – Miała na myśli odkrywanie tego, kto naprawdę zabił Tatianę.
- Wszystko po kolei – mruknął Abe. – Nie ma sensu pozwalać, by przygniatał nas większy obraz. Zaczniemy od samego początku.
- To jest problem – powiedziała Lissa kopiąc gniewnie gałąź leżącą na brukowanej ścieżce przed nią. – Nie mam pojęcia gdzie zacząć. Ktokolwiek zabił Tatianę, wykonał kawał dobrej roboty ukrywając tropy i zrzucając wszystko na Rose.
- Wszystko po kolei – powtórzył Abe.

Mówił tym swoim chytrym tonem, który mnie czasami denerwował, ale dzisiaj był dla Lissy niemiły. Aż do teraz, cała jej energia skupiała się na wyciągnięciu mnie z więzienia do jakiegoś bezpiecznego miejsca. To był cel, który ją prowadził i pomógł jej przejść przez następstwa mojej ucieczki.

Teraz, gdy nasilenie nieco przygasło, presja tego wszystkiego zaczęła ją przygniatać. Christian objął ją ramieniem wyczuwając jej konsternację. Obrócił się do Abe, niezwykle poważnie.

- Masz jakieś pomysły? – Christian zapytał Abe. – Z pewnością nie mamy żadnych prawdziwych dowodów.
- Mamy uzasadnione przypuszczenia – odpowiedział Abe. – Jak to, że ktokolwiek zabił Tatianę, miał dostęp do jej prywatnych pokoi. To nie jest długa lista.
- Nie jest też krótka – Lissa wyliczała ludzi na palcach. – Królewscy strażnicy, przyjaciele i rodzina... i to zakładając, że nikt nie zmienił strażniczego rejestru jej gości. I z tego co wiemy, niektóre odwiedziny nigdy nie były w ogóle rejestrowane. Prawdopodobnie ciągle miała tajne biznesowe spotkania.
- Mało prawdopodobne, żeby miała służbowe posiedzenia w swojej sypialni, w koszuli nocnej – dumął Abe. – Oczywiście sądzę, że to zależy od rodzaju interesu.

Lissa potknęła się, ogłuszona spostrzeżeniem.

- Ambrose.
- Kto?
- To dampir... naprawdę przystojny... on i Tatiana byli, em...
- Związani? – powiedział Christian z uśmiechem, wtórując przesłuchaniu.

Teraz to Abe przystanął. Lissa zrobiła to samo, i jego ciemne oczy spotkały jej.

- Widziałem go. To trochę typ basenowego chłopca.
- Mógł mieć dostęp do jej pokoju – powiedziała Lissa. – Ale po prostu nie mogę... sama nie wiem. Nie widzę go robiącego to.
- Pozory bywają mylące – powiedział Abe. – Wtedy na sali sądowej był strasznie zainteresowany Rose.

Kolejne zaskoczenie dla Lissy.

- O czym ty mówisz?

Abe pogładził się po policzku niczym czarny charakter.

- Rozmawiał z nią... lub dał jej jakiś sygnał. Nie jestem do końca pewien, ale była między nimi jakaś interakcja.

Mądry, uważny Abe. Zauważył Ambrosego dającego mi wiadomość, ale nie uświadomił sobie do końca, co się stało.

- Powinniśmy więc z nim pomówić – powiedział Christian.

Lissa przytaknęła. Burzyły się w niej sprzeczne uczucia. Była podekscytowana rozwiązaniem, ale zdenerwowana, że to oznaczało, iż uprzejmy, łagodny Ambrose mógł być podejrzanym.

- Zajmę się tym – powiedział bezceremonialnie Abe.

Poczułam jak przenosi się na niego jej ciężki wzrok. Nie mogłam zobaczyć jej wyrazu twarzy, ale widziałam jak Abe mimowolnie się cofnął, z bojaźliwym przebłyskiem zaskoczenia w oczach. Nawet Christian się wzdrygnął.

- Zamierzam tam być razem z tobą – powiedziała stalowym głosem. – Nie próbuj żadnych szalonych przesłuchiwań z torturami beze mnie.
- Chcesz tam być podczas tortur? – zapytał Abe przytomniejąc.
- Nie będzie żadnych. Pogadamy z Ambrosem jak cywilizowani ludzie, jasne? – ponownie patrzyła się na niego twardo i Abe ostatecznie wzruszył ramionami w geście przyzwolenia, jak gdyby bycie pokonanym przez kobietę o połowę młodszą od niego nie było wielką sprawą.
- Niech będzie. Zrobimy to razem.

Lissa była trochę podejrzliwa co do jego dobrych chęci, co musiał zauważyć.

- Tak będzie – powiedziała kontynuując chód. – Jest dobry czas, cóż tak dobry jak każdy inny, na dochodzenie. Dwór będzie bezładny, kiedy ruszy elekcja monarchy. Wszyscy tutaj będą zajęci i zaczną masowo napływać nowi ludzie.

Wiatr, ciężki od wilgoci, zwichrzył włosy Lissy. Była w nim obietnica upału i wiedziała, że Abe miał rację co do wschodu słońca. Byłoby warto iść wcześniej do łóżka.

- Kiedy odbędą się wybory? – zapytała.
- Jak tylko złożą ciało umiłowanej Tatiany na wieczny spoczynek. Takie rzeczy dzieją się szybko. Potrzebujemy przywrócenia władzy. Zostanie pochowana jutro, z ceremoniałem i nabożeństwem w kościele, ale nie powtórzą procesji. Nadal są zbyt niespokojni.

Poczułam się poniekąd źle, że w końcu nie doświadczyła pełnego, właściwego dla królowej pogrzebu, ale za to, jeśli to oznaczało, że jej prawdziwy morderca będzie odnaleziony, może wołała, żeby tak było.

- Gdy pogrzeb się odbędzie i wybory się zaczną – kontynuował Abe – każda rodzina, która chce wystawić kandydata do korony będzie musiała to zrobić – a oczywiście będą chcieli. Nigdy nie widziałaś elekcji monarchy, prawda? To dość efektowne. Oczywiście zanim nastąpi głosowanie, wszyscy kandydaci będą musieli zostać poddani testom.

Było coś złowieszczonego w sposobie, w jakim powiedział 'poddani testom', ale myśli Lissy były gdzie indziej. Tatiana była jedyną królową, jaką kiedykolwiek poznała i pełen wstrząs zmiany rządu wprawiał w oszołomienie.

- Nowy król lub królowa może zmienić wszystko – na lepsze lub gorsze. Mam nadzieję, że to ktoś dobry. Może któryś z Ozerów. Jeden z ludzi Taszy. – Spojrzała z nadzieją na Christiana, który mógł jedynie wzruszyć ramionami. – Albo Ariana Szelski. Lubię ją. Nie, żeby miało znaczenie kogo chcę – dodała gorzko. – Odkąd nie mogę głosić.

Głosy Rady ustalały zwycięzcę wyborów, więc ponownie, była wykluczona z morojskiego prawnego procesu.

- Nominacje pochłoną wiele pracy – wyjaśnił Abe, pomijając jej ostatni komentarz. – Każda rodzina będzie chciała kogoś, kto poprze jej interesy i ma również szansę na otrzymanie głosów od–
- Oomph!

Zostałam ostro wypchnięta z wyrachowanego świata morojskiej polityki, z powrotem do dziczy Zachodniej Wirginii – bardzo boleśnie. Coś masywnego i gwałtownego trzasnęło mną o mocno ubitą ziemię, z liśćmi i gałęziami kaleczącymi moją twarz i ręce. Silne ręce przytrzymały mnie i Dymitr powiedział mi do ucha:

- Powinnaś się po prostu ukryć w mieście – powiedział lekko rozbawiony. Jego ciężar i pozycja nie zostawiały mi miejsca na ruch – To byłoby ostatnie miejsce, w którym bym szukał. A tak, dokładnie wiedziałem gdzie poszłaś.
- Wszystko jedno. Nie udawaj takiego mądrego – powiedziałam przez zaciśnięte zęby, próbując uwolnić się z jego uchwytu. Cholera. Był sprytny. I znowu jego bliskość była dezorientująca. Wcześniej wyglądało na to, że na niego również to działało, ale najwyraźniej odrobił swoją lekcję. – Po prostu miałaś szczęście, to wszystko.
- Nie potrzebuję szczęścia Roza. Zawsze cię znajdę. Tak naprawdę, to od ciebie zależy jak trudna będzie ta sytuacja. – W jego głosie był niemal towarzyska nuta, która sprawiła, że sytuacja, w której się znaleźliśmy, była jeszcze bardziej absurdalna. – Możemy to robić w kółko, albo możesz zrobić coś rozsądnego i po prostu zostać ze mną i Sydney.
- To nie jest rozsądne! To jest marnotrawstwo.

Pocił się od gorąca i bez wątplenia dlatego, że musiał bardzo intensywnie biec, by mnie dogonić. Adrian używał wody kolońskiej, która mnie zawsze upajała, ale naturalna woń ciepłej skóry Dymitra również była oszałamiająca. Zdumiewało mnie to, że nadal mogłam

zauważać te małe rzeczy – i być przez nie przyciągana – nawet jeśli byłam na niego szczerze zła za trzymanie mnie w niewoli. Może złość była moim afrodyzjakiem.

- Ile razy muszę tłumaczyć logikę tego co robimy? – zapytał w irytacji.
- Aż się poddasz.

Odepchnęłam się od niego, znowu próbując się wyswobodzić, ale wszystko co zrobiłam, to zbliżenie się nas do siebie. Miałam przecucie, że sztuczka z całowaniem tym razem by nie wyszła.

Szarpnął mnie za nogi, utrzymując moje ramiona i dłonie przyszpilone za moimi plecami. Miałam trochę więcej przestrzeni do manewrowania niż na ziemi, ale nie dość by się uwolnić. Powoli, zaczął próbować zmuszać mnie do pójścia z powrotem w kierunku, z którego przyszłam.

- Nie pozwolę tobie i Sydney ryzykować wpadnięcia ze mną w kłopoty. Poradzę sobie sama, więc po prostu pozwól mi odejść! – powiedziałam dosłownie wlokąc moje stopy.

Widząc wysokie, chuderlawe drzewo, wysunęłam jedną stopę i wczepiłam się w pień, kompletnie doprowadzając nas do zatrzymania się. Dymitr stęknął i zmienił swój uścisk, żeby wy dostać mnie z drzewa. To mi niemal dało sposobność ucieczki, ale nawet nie udało mi się zrobić dwóch kroków, zanim znowu mnie złapał.

- Rose – powiedział ciężko. – Nie wygrasz.
- Jak tam twoja twarz? – zapytałam. Nie mogłam zobaczyć żadnych śladów w słabym oświetleniu, ale wiedziałam, że cios pięścią, który mu zadałam, zostawi jutro ślad. Szkoda było psuć mu tak twarz, ale wyzdrowiałby i może to by go nauczyło czegoś o zadzieraniu z Rose Hathaway.

Albo nie. Znowu zaczął mnie wlec.

- Jestem bardzo bliski przerzucenia cię przez ramię – ostrzegł.
- Chciałabym zobaczyć jak próbujesz.
- Jak myślisz, jak Lissa by się poczuła, gdybyś została zabita? – jego chwyt się wzmocnił i podczas gdy uważałam, że całkiem dobrze wyszła mu ta groźba z przerzuceniem przez ramię, podejrzewałam również, że chciał mną wstrząsnąć. Był aż tak zdenerwowany. – Możesz sobie wyobrazić, co by z nią się stało, gdyby cię straciła?

Na moment zrezygnowałam z aktywnej ucieczki. Nie chciałam umrzeć, ale ryzykowanie mojego życia dokładnie tym było: ryzykowaniem mojego życia. Niczyjego innego. Niemniej jednak miał rację. Lissa byłaby zrozpaczona, gdyby cokolwiek mi się przytrafiło. Jednak... było to ryzyko, które musiałam podjąć.

- Miej trochę wiary, towarzyszu. Nie zostanę zabita – powiedziałam nieustępliwie. – Pozostanę przy życiu.

Nie była to odpowiedź, jakiej chciał. Zmienił chwyt.

- Są inne sposoby by jej pomóc, niż jakiegokolwiek szaleństwo, o którym myślisz.

Nieoczekiwanie stałam się bezwładna. Dymitr się potknął, złapany przez mój niespodziewany brak oporu.

- O co chodzi? – zapytał zarówno zdziwiony jak i podejrzliwy.

Spojrzałam w noc, nie skupiając na niczym oczu. Zamiast tego widziałam Lissę i Abe z powrotem na Dworze, przypominając sobie poczucie bezradności Lissy i tęsknotą za jej głosem. Wiadomość Tatiany wróciła do mnie i przez chwilę mogłam usłyszeć jej głos w mojej głowie. *Ona nie jest ostatnią z Dragomirów. Żyje jeszcze ktoś.*

- Masz rację – powiedziałam w końcu.
- Rację w czym...? – Dymitr całkowicie się pogubił. To była zwykła reakcja ludzi, gdy zgadzałam się z czymś rozsądnym.
- Pędzenie z powrotem do Dworu nie pomoże Lissie.

Cisza. Nie mogłam całkowicie odgadnąć wyrazu jego twarzy, ale prawdopodobnie był pełny szoku.

- Wrócę z tobą do motelu i nie zwięję do Dworu – Jeszcze jeden Dragomir. Jeszcze jeden Dragomir, którego trzeba odnaleźć. Wzięłam głęboki wdech. – Ale nie mam zamiaru siedzieć i nic nie robić. Mam zamiar zrobić coś dla Lissy – a ty i Sydney mi pomożecie.

Tłumaczenie: Marysia-K

Korekta: Diotima

Rozdział ósmy

OKAZAŁO SIĘ, ŻE MYLIŁAM się zakładając, iż departament lokalnej policji składa się jedynie z jakiegoś faceta i jego psa. Kiedy wróciliśmy do motelu, na parkingu stał radiowóz na sygnale i mała grupka gapiów.

- Zbiegło się tu chyba całe miasteczko.

Dymitr przytaknął.

- Oczywiście musiałaś coś powiedzieć recepcjoniście, prawda?

Zatrzymaliśmy się kawałek od motelu, ukryci w cieniu pobliskiego zrujnowanego budynku.

- Myślałam, że to cię spowolni.
- W tej chwili to *nas* spowolni.

Omiótł wzrokiem okolice, sprawdzając wszystkie szczegóły jakie mógł dostrzec w świetle rzucanym przez migające syreny radiowozu.

- Samochód Sydney zniknął. To już przynajmniej coś.

Moja wcześniejsza zarozumiałość nagle zniknęła bez śladu.

- Że co? Właśnie straciliśmy nasz transport!
- Nie zostawiłaby nas. Była za to na tyle sprytna, że zwinęła się stąd zanim policja zapukała do jej drzwi. – Odwrócił się i dokładnie zlustrował główną ulicę. – Chodź. Sydney musi być gdzieś blisko. No i oczywiście istnieją spore szanse na to, że policja właśnie zaczęła przeszukiwać okolice myśląc iż jakaś bezbronna dziewczyna jest prześladowana.

Ton jakiego użył przy słowie „bezbronna” wiele mówił.

Dymitr zarządził, że pójdziemy wzdłuż drogi którą dotarliśmy do miasta, zakładając że Sydney chciała się stąd wydostać po tym, jak zrujnowałam naszą przykrywkę. Wmieszanie w to policji skomplikowało wiele spraw, ale miałam małe wyrzuty sumienia z powodu tego co zrobiłam. Byłam podekscytowana planem, który przyszedł mi na myśl w lesie i jak zwykle chciałam ruszyć natychmiast w drogę. Jeśli pomoże to nam wydostać się z tego zadupia, zwanego miastem, tym lepiej.

Przecucia Dymitra co do zachowania Sydney sprawdziły się. Jakieś pół mili za miastem dostrześliśmy zaparkowanego na poboczu CR-V. Silnik i światła były wyłączone, ale auto i tak było na tyle dobrze widoczne, że mogłam rozpoznać tablice rejestracyjne Luizjany. Podeszłam do okna po stronie kierowcy i zapukałam w szybę. Sydney wzdrygnęła się po czym opuściła szybę z niedowierzającym wyrazem twarzy.

- Coście narobili?! Zresztą, nie ważne. Nie ma się czym przejmować. Po prostu wsiadajcie.

Oboje z Dymitrem posłuchaliśmy jej. Pod jej pełnym dezaprobaty wzrokiem czułam się jak jakiś nieposłuszny dzieciak. Bez słowa zapaliła samochód i ruszyła w kierunku, z którego przyjechaliśmy, wjeżdżając na wąską drogę szybkiego ruchu, która prowadziła do drogi międzystanowej. To było obiecujące. Gdy tylko przejechaliśmy kilka mil ponownie skręciła, tym razem trafiając na ciemny zjazd, gdzie, jak mi się wydawało, raczej nic nie było. Zatrzymała samochód i odwróciła się do tylnego siedzenia by na mnie spojrzeć.

- Uciekłaś, prawda?
- Taa, ale załapałam, że...

Uciszyła mnie podnosząc rękę.

- Nie, wcale nie. Jeszcze nie. Chciałabym, żebyś przeprowadziła tę swoją brawurową ucieczkę bez ściągania na nas uwagi władz.
- Ja również – dodał Dymitr.

Spojrzałam na nich wilkiem.

- Halo, przecież jestem z powrotem, no nie? – Dymitr znacząco uniósł brew, wyraźnie kwestionując dobrowolność mojego powrotu. – No i wiem teraz, co musimy zrobić, żeby pomóc Lissie.
- To co musimy zrobić to znalezienie bezpiecznej kryjówki – powiedziała Sydney.
- Wróćmy po prostu do cywilizowanego świata i wybierzmy motel. Taki z obsługą pokojową. Możemy zrobić z niego naszą bazę operacyjną w trakcie opracowywania nowego planu.
- Specjalnie wybraliśmy to miejsce! – odparła Sydney. – Nie możemy jechać do jakiegoś przypadkowego miejsca – przynajmniej nie w pobliżu. Wątpię czy udało im się spisać moje numery rejestracyjne, ale mogą rozesłać wiadomość, aby rozglądać się za tym modelem samochodu. Jeśli je mają łącznie z naszymi rysopisami i dostarczą to policji stanowej, to dowiedzą się o tym również Alchemicy, a wtedy to...
- Spokojnie – przerwał jej Dymitr dotykając jej ramienia. Nie było nic intymnego w tym geście, ale i tak poczułam ukucie zazdrości, zwłaszcza po trudnych uczuciach których doświadczyłam niemalże będąc wywleczona z lasu siłą.
- Nie wiemy czy cokolwiek z tego się wydarzy. Dlaczego po prostu nie zadzwonisz do Abe?
- Jasne – mruknęła ponuro. – To jest właśnie to, czego pragnę. Powiedzieć mu, że spieprzyłam¹⁰ plan w niecałe 24 godziny.
- Cóż – powiedziałam – jeśli to poprawi ci nastrój, to plan i tak by się zmienił–
- Cicho bądź – warknęła. – Oboje bądźcie. Muszę pomyśleć.

¹⁰ wersja dla grzecznych: *zniszczyłam* – przyp. Justa

Wymieniliśmy z Dymitrem spojrzenia, ale pozostaliśmy cicho. Był zaintrygowany, gdy powiedziałam mu, że wiem w jaki sposób naprawdę można pomóc Lissie. Czułam, że chciał poznać szczegóły, ale musieliśmy poczekać na Sydney.

Włączyła światło i rozłożyła mapę stanu. Po przestudiowaniu jej przez minutę złożyła ją i wpatrywała się przed siebie. Nie widziałam jej twarzy, ale podejrzewałam że marszczyła brwi. W końcu westchnęła w ten swój zbolwały sposób, zgasła światło i odpaliła samochód. Wpatrywałam się jak na GPS'ie ustawiała miejsce docelowe – Altswood, Zachodnia Wirginia.

- Co jest w Altswood ? – zapytałam zawiedziona, że nie wybrała takiego miasta jak np. Atlanta.
- Nic – odparła zawracając na drogę. – Ale to najbliższe miejsce jakie GPS mógł znaleźć, do którego możemy jechać.

Światła auta przejeżdżającego koło nas na krótko oświetliły twarz Dymitra, na której również gościła ciekawość. A zatem nie byłam już jedyną niewtajemniczoną. GPS pokazywał prawie półtorej godziny jazdy do celu. Dymitr nie podważył wyboru Sydney i obrócił się do mnie.

- Więc o co chodziło z Lissą? Jaki jest ten twój świetny plan? – spojrzał na Sydney. – Rose mówi, że mamy coś ważnego do zrobienia.
- Już to załapałam – odpowiedziała sucho. Dymitr spojrzał na mnie wyczekująco.

Wzięłam głęboki wdech. Nadszedł czas na ujawnienie sekretu, który dusiłam w sobie od czasu mojego przesłuchania.

- Więc.... um... Okazuje się, że Lissa ma brata lub siostrę. Uważam, że powinniśmy go lub ją odnaleźć.

Kiedy mówiłam starałam się brzmieć spokojnie i zwyczajnie. Za to wewnątrz moje serce szalało. Nawet jeśli miałam mnóstwo czasu na przyswojenie sobie treści z listu Tatiany, mówienie na głos nadało tym słowom prawdziwego znaczenia, którego wcześniej nie posiadały. Prawdziwe znaczenie tej informacji uderzyło we mnie pełną siłą zaskakując mnie i zmieniając wszystko w co tak długo wierzyliśmy.

Oczywiście mój szok był niczym w porównaniu do tego, którego doznała reszta. Jeden zero dla Rose i jej elementu zaskoczenia. Sydney nie usiłowała nawet ukryć swojego zszokowania ze świstem łapiąc powietrze. Nawet Dymitr wyglądał na nieco zdziwionego.

Gdy tylko ochłonęli, dosłownie mogłam dostrzec jak przygotowują swoje protesty. Oboje żądaliby jakiś dowodów lub po prostu uznaliby tę ideę za śmieszna. Bezzwłocznie rzuciłam się do akcji zanim zdążyli wytoczyć swoje argumenty. Przedstawiłam im liścik Tatiany, czytając go na głos, a potem pozwoliłam Dymitrowi go obejrzeć. Opowiedziałam im także o moim spotkaniu z duchami – o tym jak to zaniepokojony duch królowej utwierdził mnie w przekonaniu, że to prawda. Mimo to moi towarzysze odnosili się do tego sceptycznie.

- Nie masz dowodu na to, że Tatiana napisała ten liścik – zauważył Dymitr.

- Alchemicy nie mają żadnych danych o jeszcze jednym Dragomirze – odezwała się Sydney.

Oboje powiedzieli dokładnie to, czego się spodziewałam. Dymitr był osobą zawsze gotową na jakąś pułapkę lub podpuchę. Był podejrzliwy wobec wszystkiego co nie było oparte na mocnych dowodach. Natomiast Sydney żyła w świecie faktów i danych, a ponadto miała bezgraniczne zaufanie do Alchemików i ich informacji. Jeżeli oni nie wierzyli, to ona również. Poświadczenie przez ducha nie przekonywało ich.

- Naprawdę nie widzę powodu, dla którego duch Tatiany miałby mnie oszukać – spierałam się. – Alchemicy nie są przecież wszechwiedzący. List mówi, że to jest całkiem niezłe strzeżony przed morojami sekret, z czego wynika, że może być także sekretem dla Alchemików.

Sydney nadała się, gdyż nie przypadł jej do gustu mój komentarz o „wszechwiedzących”, ale pozostała cicho. To Dymitr był tym, który brnął w to dalej, odmawiając uwierzenia w cokolwiek na co nie było większej ilości dowodów.

- Powiedziałaś kiedyś, że nie zawsze jest jasne, co duchy chcą ci przekazać – zauważył. – Może jej nie rozumiałaś.
- Nie wiem... – ponownie pomyślałam o poważnej, świecącej twarzy królowej. – Uważam, że to ona napisała ten list. Instynkt mi to podpowiada. – Zmrużyłam oczy – Dobrze wiesz że wcześniej się nie mylił. Możesz mi w tym zaufać?

Dymitr gapił się na mnie przez chwilę, a ja pewnie podtrzymałam to spojrzenie. Dzięki naszemu tajemniczemu połączeniu mogłam się domyśleć o czym myśli. Cała ta sytuacja była trochę naciągana, ale i tak wiedział, że mam rację co do mojej intuicji. Sprawdziła się w przeszłości. Nie ważne, przez co Dymitr przeszedł i nie ważne, jak wrogie było teraz nasze nastawienie do siebie, wciąż znał mnie na tyle dobrze, by mi w tym zaufać.

Powoli, niemal niechętnie, kiwnął głową.

- Ale jeśli rozpoczniemy poszukiwanie tego domniemanego rodzeństwa, nie będziemy stosować się do instrukcji Lissy. Mieliśmy pozostać na miejscu.
- Wierzysz temu listowi? – zawołała Sydney. – Bierzesz pod uwagę słuchanie go?!

Zapłonął we mnie płomyk gniewu, który starałam się ukryć. No jasne. To oczywiste, że pojawi się nowa przeszkoda: niezdolność Dymitra do nieposłuszeństwa Lissie. Sydney bała się Abe, co w sumie byłam w stanie zrozumieć, ale to zmartwieniem Dymitra były wzniesłe śluby rycerskie jakie złożył Lissie. Wzięłam głęboki wdech. Mówienie mu, jak absurdalnie się zachowywał, nie pomogłoby mi w osiągnięciu celu.

- Technicznie rzecz biorąc, to tak. Bardzo by jej pomogło, gdybyśmy mogli udowodnić, że nie jest ostatnią ze swojej rodziny. Nie możemy przepuścić takiej szansy, a jeśli uda wam się trzymać mnie z dala od kłopotów, gdy będziemy to robić – na te słowa starałam się nie zrobić żadnego grymasu – wtedy nie powinno być problemu.

Dymitr zastanawiał się nad tym. Znał mnie. Wiedział także, że użyję pokrętej logiki, jeśli będę chciała dopiąć swego.

- Zgoda – powiedział w końcu i dostrzegłam zmianę w jego postawie. Decyzja została podjęta i teraz będzie się jej trzymał. – Ale gdzie zaczniemy? Nie masz żadnych innych wskazówek, oprócz tych, z tajemniczego liściku.

To był moment déjà vu, przypominający mi wcześniejszą rozmowę Lissy i Christiana z Abe, kiedy to zastanawiali się gdzie powinni zacząć swoje dochodzenie. Wydawało się, że Lissa i ja żyłyśmy równolegle, obie układając trudne do rozgryzienia puzzle z ledwo zarysowanych tropów. Odtwarzając ich rozmowę próbowałam użyć tego samego rozumowania, którym kierował się Abe: nie mając poszlak zacznij poszukiwania od oczywistych wniosków.

- Oczywiście to jest sekret – powiedziałam. – I to ważny. Najwyraźniej, jacyś ludzie, chcieli go ukryć – wystarczająco by spróbować ukraść archiwa na ten temat i utrzymać Dragomirów z dala od władzy.

Ktoś włamał się do siedziby Alchemików i zabrał papiery wskazujące na to, że Eric Dragomir sponsorował jakąś tajemniczą kobietę. Uświadomiłam moim towarzyszom, że jak dla mnie, bardzo prawdopodobne jest iż to ona była matką jego dziecka z nieprawego łoża.

- Mogłabyś poszukać czegoś więcej o tej sprawie. – Te słowa były skierowane do Sydney. Może i nie obchodził ją kolejny Dragomir, ale Alchemicy chcieliby dowiedzieć się kto ich okradł.
- Hej, chwila. Jak to się stało, że w ogóle nie brałam udziału w podejmowaniu decyzji? – Wciąż nie doszła do siebie, w momencie, gdy nasza rozmowa nagle zaczęła odbywać się bez niej. Po tym jak do tej pory mijała nasza noc, nie wyglądała na specjalnie zachwyconą perspektywą bycia wciągniętą w moje kolejne szelmowskie intrygi. – Może łamanie nakazów Lissy nie jest dla was wielką sprawą, ale ja odpowiadam przed Abe. On może nie być taki wyrozumiały.

Słuszna uwaga.

- Podciągnę to pod przysługę dla córki – zapewniłam ją – Poza tym, starszerek uwielbia sekrety. Wszedłby w to, uwierz mi. I tak zresztą znalazłaś już najważniejszy trop ze wszystkich. Mam na myśli to, że jeśli Eric przelewał pieniądze dla jakiejś anonimowej kobiety, to dlaczego nie mogłaby to być jego kochanka z dzieckiem?
- „Anonimowa” jest kluczowym słowem. – odparła Sydney wyraźnie sceptyczna do „wyrozumiałości” Zmey’a. – Jeśli twoja teoria jest prawdziwa i to rzeczywiście jest jakiś rodzaj skoku w bok, wciąż nie mamy pojęcia kim ona jest. Skradzione dokumenty nie mówiły nic na ten temat.
- Czy są jakieś inne zapisy, które nawiązują do tych skradzionych? Albo czy nie możesz sprawdzić banku, do którego przelewał pieniądze?

Początkowym problemem Alchemików było to, że ktoś ukradł papierowe kopie ich dokumentów. Jej koledzy odkryli co zostało zabrane, ale nie przykładali większej wagi do ich

zawartości. Mogłabym się założyć, że nie szukali żadnych innych zapisów powiązanych z tym tematem. Sama to potwierdziła.

- Nie masz zielonego pojęcia jak działa „przeszukiwanie akt”, prawda? To nie jest takie proste – powiedziała. – Może trochę potrwać.
- Cóż.... Sądzę, że dlatego dobrze, że wybieramy się w jakieś... um... bezpieczne miejsce, co nie? – zapytałam. Powalona spostrzeżeniem, że możemy potrzebować trochę czasu zanim posuniemy się dalej, mogłam niemalże zobaczyć niekorzyści płynące z utracenia naszej kryjówki na uboczu.
- Bezpieczne... – potrząsnęła głową. – No cóż, zobaczymy. Mam nadzieję, że nie robię niczego głupiego.

I z tymi złowrogimi słowami, zapadła cisza. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o miejscu do którego jedziemy, ale czułam że nie powinnam naruszać małego zwycięstwa, które odniosłam. Przynajmniej myślałam, że je odniosłam. Nie byłam do końca pewna czy Sydney, na sto procent jest z nami na pokładzie, ale Dymitr zdecydowanie był przekonany. Lepiej było jej teraz nie wkurzać. Spojrzałam na GPS. Prawie godzina. Wystarczająco dużo czasu żeby sprawdzić co u Lissy.

Rozpoznanie, gdzie jest Lissa zabrało mi około minuty – pewnie dlatego że spodziewałam się, że wróciła do swojego pokoju. Ale nie, była w miejscu, które odwiedziłam tylko raz: w domu rodziców Adriana. Zaskakujące. Przez chwilę odczytywałam z jej umysłu powody. Jej aktualny apartament znajdował się w budynku dla gości i w wyniku paniki po mojej ucieczce roił się tam teraz od gości próbujących wyjechać. W posiadłości Iwaszkowów znajdującej się na obszarze dla starych rezydentów było o wiele spokojniej – choć i stąd nie wybywało paru sąsiadów.

Adrian siedział na fotelu z nogami beztrąsko spoczywającymi na drogim stoliku do kawy, przy którego wyborze pomagał jego matce zapewne jakiś wybitny dekorator wnętrz. Lissa z Christianem dopiero przyszli, ale Lissa wyczuwała w powietrzu woń papierosowego dymu, co kazało jej myśleć, że przed chwilą Adrian oddawał się złym nałogom.

- Jeśli będziemy mieć szczęście – mówił – rodzicielskie jednostki będą zajęte przez jakiś czas i dadzą nam chwilę spokoju i ciszy. Jak poszły wasze przesłuchania?

Lissa i Christian usiedli na kanapie, której główną funkcją był ładny wygląd – a nie wygoda. Lissa pochyliła się ku niemu i westchnęła.

- Nie tak źle. Nie jestem pewna czy są całkowicie przekonani do tego, że nie mieliśmy nic wspólnego z ucieczką Rose... ale zdecydowanie nie mają przeciwko nam żadnych dowodów.
- Myślę, że będziemy mieć większe kłopoty z cicią Taszą – powiedział Christian. – Była nieźle wkurzona, że nie powiedzieliśmy jej co się święci. Sądzę, że prawdopodobnie własnoręcznie chciałyby wysadzić posągi.
- Uważam, że jest bardziej zdenerwowana tym, że wmieszaliśmy w to Dymitra – zauważyła Lissa. – Sądzi, że w ten sposób zawaliliśmy jego szansę na ponowną akceptację.

- Ma rację – powiedział Adrian. Podniósł pilota i włączył gigantyczny telewizor plazmowy. Wyciszył głos i zaczął losowo przeskakiwać po kanałach. – Ale nikt go nie zmuszał.

Lissa przytaknęła, choć po cichu zastanawiała się, czy przypadkiem go nie zmusiła. Jego deklaracja, że będzie ją chronił, nie była tajemnicą. Christian zdawał się wychwycić jej zmartwienie.

- Hej, z tego co wiemy, to on nigdy by...

Przeszkodziło mu pukanie do drzwi.

- Cholera – powiedział Adrian, wstając. – To tyle jeśli chodzi o ciszę i spokój.
- Twoi rodzice by nie pukali – zauważył Christian
- Prawda, ale to zapewne któryś z ich przyjaciół chcący wypić coś i poplotkować o tej dzisiejszej morderczej młodzieży – zawołał w odpowiedzi Adrian.

Lissa usłyszała otwieranie drzwi i zagłuszoną rozmowę. Kilka chwil później Adrian powrócił z młodym morojem, którego nie знаła.

- Słuchaj – mówił rozglądając się niespokojnie – Mogę przyjść później.

Zobaczył Lissę oraz Christiana i zamarł.

- Nie, nie – powiedział Adrian. Jego przeskok z złego humoru do uprzejmości był tak szybki jak zgaszenie i zapalenie światła. – Jestem pewny, że wróci za minutkę. Czy wy wszyscy się znacie?

Facet przytaknął, gdy jego oczy przeskakiwały z twarzy na twarz.

- Oczywiście.

Lissa zmarszczyła brwi.

- Ja ciebie nie znam.

Uśmiech ani na chwilę nie opuszczał twarzy Adriana, ale Lissa szybko załapała, że dzieje się coś ważnego.

- To jest Joe. Jest portierem który pomógł mi zeznając, że nie byłem z Rose, kiedy ciotka Tatiana została zamordowana. To on pracował w budynku Rose.

Lissa i Christian wyprostowali się.

- Mieliśmy fart, że to wyszło na jaw przed przesłuchaniem. – powiedział ostrożnie Christian. Przez jakiś czas panowała panika, że Adrian razem ze mną może zostać posądzony o morderstwo, ale Joe w porę pojawił się z zeznaniem, co do czasu, kiedy widział nas oboje w moim budynku.

Joe cofnął się parę kroków w kierunku korytarza.

- Naprawdę muszę już iść. Przekażcie proszę Lady Iwaszkow, że tu byłem, i że opuszczam Dwór, ale wszystko jest załatwione.
- Co jest załatwione? – spytała Lissa powoli wstając.
- Ona... ona będzie wiedziała o co chodzi. – Wiedziałam, że Lissa nie wyglądała groźnie. Była słodka, szczupła i śliczna, ale sądząc po strachu na twarzy Joego... cóż... Musiała uraczyć go swoim przerażającym wzrokiem. Przywodziło mi to na myśl wcześniejsze spotkanie z Abe.
- Naprawdę – dodał. – Muszę lecieć.

Zaczął się ponownie przemieszać, gdy nagle poczułam, że przez Lissę przechodzi fala mocy ducha. Zatrzymał się, a ona stanęła przed nim.

- O czym musiałeś porozmawiać z Lady Iwaszkow? – zażądała Lissa.
- Spokojnie, kuzynko – mruknął Adrian. – Nie musisz używać aż tyle ducha, żeby uzyskać odpowiedzi.

Lissa używała na Joe kompulsji tak silnej, że równie dobrze mógłby być jej marionetką na sznurkach.

- O pieniądzach – wydyszał z wytrzeszczonymi oczami. – Dotarli.
- Jakie pieniądze? – zapytała.

Zawahał się tak, jakby chciał się oprzeć kompulsji lecz wkrótce się poddał. Nie mógł walczyć z tak silną mocą, tym bardziej że pochodziła od użytkownika ducha.

- Pieniądze... za potwierdzenie... o tym gdzie on był... – wskazał głową na Adriana.

Wyluzowana mina Adriana trochę zrzędała.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Masz na myśli noc gdy zmarła moja ciotka? Twierdzisz, że...

Christian podjął wątek od miejsca, w którym Adrian nie mógł się już wysłowić.

- Czy Lady Iwaszkow zapłaciła ci za powiedzenie, że widziałeś Adriana?
- Widziałem go – załkał Joe. Cały się pocił. Adrian miał rację, Lissa używała za dużo ducha, co fizycznie krzywdziło Joego. – Ja... Ja tylko.... Nie pamiętam kiedy.... Nie pamiętam żadnej godziny.... To samo powiedziałem także temu drugiemu facetowi. Ona zapłaciła mi, żebym podał czas kiedy tam byłem.

Adrianowi ani trochę się to nie podobało. Na swoje szczęście zachował spokój.

- Co masz na myśli mówiąc „temu drugiemu” ?
- Kto jeszcze? – powtórzyła Lissa. – Kto jeszcze z nią był?

- Nikt. Lady Iwaszkow chciała się tylko upewnić, że jej syn będzie czysty. Sfałszowałem dla niej szczegóły. To ten facet.... Ten inny facet, który przyszedł później... on chciał wiedzieć kiedy Hathaway tam była...

Rozległo się kliknięcie z przedsionka i odgłos otwieranych drzwi. Lissa pochyliła się do przodu, zwiększając kompulsję.

- Kto? Kim on był? Czego chciał?

Joe wyglądał jakby odczuwał teraz naprawdę silny ból. Z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Nie wiem kto to był ! Nie widziałem go wcześniej! Jakiś moroj. Chciał tylko żebym zeznawał kiedy widziałem Hathaway.... Zapłacił mi więcej niż Lady Iwaszkow. Nic się.... – desperacko spojrzał na Lissę. – Nic się nikomu nie stało przez to, że pomogłem im obojgu ... zwłaszcza że Hathaway to zrobiła...
- Adrian? – odezwał się głos Daniela w korytarzu. – Jesteś tutaj?
- Wycofaj się – Adrian ostrzegł Lissę niskim głosem. Żarty się skończyły.

Jej głos był delikatny, a uwaga skupiona na Joe.

- Jak wyglądał ten moroj? Opisz go.

Na drewnianej podłodze w korytarzu odezwał się stukot obcasów.

- Jak nikt! – powiedział Joe. – Przysięgam! Zwykle. Pospolicie. Oprócz ręki... Proszę pozwól mi odejść...

Adrian odsunął Lissę na bok, przerywając połączenie między nią a Joe. Portier prawie osunął się na podłogę, ale nagle zeszywniał gdyż napotkał spojrzenie Adriana. Więcej kompulsji, ale znacznie słabszej niż ta Lissy.

- Zapomnij o tym – syknął Adrian. – Nigdy nie odbyliśmy tej rozmowy.
- Adrian co ty—

Daniela zatrzymała się w wejściu do salonu, przyglądając się tej dziwnej scenie. Christian był wciąż na kanapie, ale Adrian i Lissa stali kilka cali od Joego, którego koszula była całkowicie przesiąknięta potem.

- Co tu się dzieje? – zawołała Daniela.

Adrian cofnął się i obdarzył matkę jednym ze swoich czarujących uśmiechów, które urzekały tak wiele kobiet.

- Ten facet przyszedł, żeby się z tobą zobaczyć, mamó. Powiedzieliśmy mu, żeby zaczekał aż wrócisz. Właśnie mieliśmy wychodzić.

Daniela spoglądała to na swego syna, to na Joe. Była zdecydowanie zaniepokojona tym co zastała, a także trochę zmieszana. Lissę zdziwił kawałek o „wychodzeniu”, ale podążyła za przykładem Adriana. Christian także.

- Miło było cię zobaczyć – powiedziała z uśmiechem, który mógł dorównać temu, którego użył Adrian.

Joe wyglądał na totalnie skołowanego. Po ostatnim rozkazie Adriana, biedny portier musiał także zapomnieć jak dostał się do mieszkania Iwaszkowów.

Lissa i Christian pospieszyli za Adrianem zanim Daniela mogłaby powiedzieć coś jeszcze.

- Co to do cholery miało być? – zapytał Christian gdy tylko wyszli na zewnątrz. Nie byłam pewna czy chodziło mu o przerażającą kompulsję Lissy, czy też o to, co ujawnił Joe.
- Nie jestem pewien – powiedział z posępnym wyrazem twarzy Adrian. – Ale powinniśmy porozmawiać z Michailem.
- Rose.

Łagodny głos Dymitra ściągnął mnie z powrotem do niego, Sydney i samochodu. Bez wątpienia rozpoznał wyraz mojej twarzy i wiedział gdzie byłam.

- Wszystko tam w porządku?

Wiedziałam, że „tam” oznaczało Dwór, a nie tylne siedzenie samochodu. Przytaknęłam, choć zdecydowanie „w porządku” nie było odpowiednim słowem na określenie tego, czego byłam przed chwilą świadkiem. Czego ja w ogóle byłam świadkiem? Przyznania się do składania fałszywych zeznań. Przyznania do sfalszowania dowodów przeciwko mnie. Nie ruszało mnie, że Joe skłamał żeby Adrian był bezpieczny. Adrian nie był zamieszany w morderstwo Tatiany. Chciałam, żeby był wolny i czysty od podejrzeń. Ale co z tą drugą częścią rozmowy? Jakiś „zwyczajny” moroj zapłacił Joe żeby skłamał na temat mojego miejsca pobytu podczas popełnienia morderstwa, pozostawiając mnie bez jakiegokolwiek alibi?

Zanim zdążyłam całkowicie przetworzyć moje domysły samochód się zatrzymał. Zmuszając się do wyrzucenia z myśli „sprawy Joego” próbowałam ponownie wdążyć się w nasze nowe położenie.

- Gdzie jesteśmy? – Wyrzałam przez okno. W świetle lamp zobaczyłam starą, nieczynną stację paliw.
- W Altswood – odparł Dymitr.

Wedle mojej oceny nie było tu nic więcej poza tą stacją.

- Przy tym pustkowiu nasze stare miasto urosło do rangi Nowego Yorku.

Sydney zamknęła laptop i podała go do tyłu, a ja położyłam go na siedzeniu obok mnie, w pobliżu toreb, które w jakiś magiczny sposób udało się jej wydostać z motelu podczas ucieczki. Skierowała samochód ku podjazdowi przy okazji wycofując go z parkingu. Nie tak

bardzo w oddali widać było autostradę, którą jak sądziłam, zapewne pojedziemy. Zamiast tego, przejechała obok stacji, jadąc jeszcze głębiej w ciemność. Podobnie jak w poprzednim miejscu i tu byliśmy otoczeni górami i lasami. Wlekliśmy się w ślimaczym tempie dopóki Sydney nie dostrzegła wąskiej, żwirowej dróżki, która zniknęła pośród drzew. Była wystarczająco szeroka, aby mógł nią przejechać jeden samochód ale jakoś nie spodziewałam się tu wielkiego ruchu. Podobne drogi prowadziły nas dalej i dalej, i chociaż nie widziałam twarzy Sydney, jej napięcie stawało się niemalże namacalne w samochodzie.

Minuty ciągnęły się jak godziny dopóki nasza wąska droga nie doprowadziła nas do dużej, błotnistej leśnej polany. Były tam zaparkowane inne pojazdy wyglądające na bardzo stare. Było to dziwne miejsce na parking, zwłaszcza że znajdował się pośrodku ciemnego lasu. Sydney wyłączyła samochód.

- Jesteśmy na biwaku? – spytałam.

Nie odpowiedziała, w zamian patrząc na Dymitra.

- Czy jesteś aż tak dobry jak wszyscy mówią?
- Co? – zapytał zaskoczony.
- W walce. Wszyscy powtarzają jaki to jesteś niebezpieczny. To prawda? Jesteś aż tak dobry?

Dymitr zastanowił się.

- Całkiem niezły.

Prychnęłam.

- *Bardzo* dobry.
- Mam nadzieję, że to wystarczy – powiedziała Sydney łapiąc za klamkę.

Ja również otworzyłam drzwi.

- Nie masz zamiaru zapytać o mnie?
- Już wiem, że jesteś niebezpieczna – powiedziała. – Widziałam cię w akcji.

Jej komplement zapewnił mi trochę pewności siebie, gdy szliśmy przez polny parking.

- Czemu się zatrzymaliśmy?
- Bo teraz musimy iść pieszo. – Włączyła latarkę świecąc po obwodzie obszaru. W końcu światło padło na ścieżkę wijącą się między drzewami. Była mała i łatwa do przeoczenia, bo zachodziły na nią chwasty i inne rośliny. – Tam – zaczęła iść we wskazanym przez siebie kierunku.
- Zaczekaj – powiedział Dymitr i stanął przed nią ruszając jako pierwszy.

Bezwłocznie zajęłam miejsce z tyłu naszej grupy. To był standardowy szyk strażników. Oslanialiśmy ją, jakby była morojem. Wszystkie wcześniejsze myśli o Lissie uciekły z mojej głowy. Moja uwaga była całkowicie skupiona na bieżącej sytuacji, wszystkie zmysły

wyłożone w pogotowiu na oznakę jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Mogłam zobaczyć, że Dymitr przyjął taką samą postawę, oboje trzymaliśmy kołki.

- Gdzie idziemy? – zapytałam, ostrożnie omijając wystające korzenie i dziury na ścieżce.
- Do ludzi, którzy cię nie wydadzą. Gwarantuję – odparła ponurym głosem.

Na moje usta cisnęło się więcej pytań, gdy nagle oślepiło mnie jaskrawe światło. Moje oczy przywykły do ciemności, więc ta niespodziewana jasność była zbyt szybką zmianą. Pośród drzew rozległy się szelesty, wskazujące na obecność wielu osób. Gdy tylko wróciła mi zdolność widzenia, wszędzie ujrzałam wampirze twarze.

Tłumaczenie: Justa2705

Korekta: LizziElizabethH, Vampire_Juliett

Rozdział dziewiąty

NA SZCZĘŚCIE BYŁY TO TWARZE MOROJÓW.

To jednak nie powstrzymało mnie przed podniesieniem kołka i przysunięciu się do Sydney. Nikt nas nie atakował, więc pozostałam w tej pozycji – nie żeby to prawdopodobnie miało jakieś znaczenie. Im więcej docierało do mnie ze scenerii, tym lepiej widziałam, że jesteśmy całkowicie otoczeni przez jakieś dziesięć osób. Powiedzieliśmy Sydney, że jesteśmy dobrzy i to była prawda: wraz z Dymitrem najprawdopodobniej byliśmy w stanie załatwić grupę taką jak ta, jednak kiepskie warunki walki mogły uczynić to trudnym. Dotarło do mnie także, że grupa nie była złożona wyłącznie z morojów. Ci najbliżej nas byli nimi, ale dalej stały dąmpiry. A światło, które jak sądziłam pochodziło od latarek i pochodni, tak naprawdę rzucała kula ognia trzymana w rękach przez jednego z morojów.

Jeden z morojów w wieku podobnym do Abe, wysunął się naprzód. Miał krzaczastą, brązową brodę i srebrny kołek w dłoni. Jakaś część mnie zauważyła, że w porównaniu do mojego, jego kołek został prymitywnie wykonany, ale i tak był jednakowo groźny. Spojrzenie mężczyzny przesunęło się po mnie i Dymitrze, i opuścił kołek. Sydney stała się teraz jego obiektem badań i nagle podszedł do niej. Dymitr i ja ruszyliśmy by go zatrzymać, ale przytrzymały *nas* inne dłonie. Mogłam je zrzucić, ale zamarłam gdy Sydney wydusiła:

– Czekaj.

Brodaty moroj chwycił za jej podbródek i odwrócił jej głowę tak, że światło padło na jej policzek oświetlając złoty tatuaż. Uwolnił ją z uścisku i cofnął się.

– Liliowa dziewczyna – mruknął.

Pozostali nieznacznie się rozluźnili, choć wciąż trzymali swoje kołki w pogotowiu, gotowi do ataku, gdy się ich sprowokuje. Morojski lider przeniósł swoją uwagę z Sydney na mnie i Dymitra.

- Jesteście tu by się do nas przyłączyć? – zapytał ostrożnie.
- Potrzebujemy schronienia – odparła Sydney lekko dotykając swojego gardła. – Oni są poszukiwani przez... przez Splamionych.¹¹

Kobieta podtrzymująca płomień wyglądała na sceptyczną.

- Wyglądają bardziej na ich szpiegów.
- Królowa Splamionych nie żyje – powiedziała Sydney. Skinieniem głowy wskazała na mnie. – Uważają, że ona ją zabiła.

Wścibska część mnie już zaczynała mówić, ale w porę się zamknęłam, na tyle mądra by wiedzieć, że ten dziwaczny rozwój wydarzeń najlepiej pozostawić w rękach Sydney. Nie

¹¹ *Tainted* – Zbrukani, Splamieni (Czarna twierdzi, że nie stać ich na Vanish co by mogli się wyprać) Skażeni, radioaktywne biedronki i inny świecący się szajs – przyp. Badasski.

rozumiałam, o czym mówiła. Kiedy powiedziała, że Splamieni nas tropią, myślałam, że chciała wmówić tej grupie, iż ścigają nas strzygi. Teraz, kiedy wspomniała o królowej, nie byłam już tego tak pewna. Nie byłam też przekonana, czy przedstawianie mnie jako potencjalnego mordercę było mądre. Z tego co wiedziałam, Brązowa Broda mógłby mnie wydać i zgarnąć nagrodę.

Ku mojemu zaskoczeniu, wiadomość ta wywołała uśmiech na jego twarzy.

- Więc przeminął kolejny uzurpator. Czy jest już nowy?
- Nie – powiedziała Sydney. – Niedługo odbędzie się elekcja i wybory.

Uśmiechy grupy zostały zastąpione przez wyrażające pogardę spojrzenia i pomruki dezaprobaty względem elekcji. Nie mogłam się powstrzymać.

- Jak inaczej mieliby wyznaczyć nowego króla lub królową?
- W prawdziwy sposób – powiedział stojący blisko dampir. – W sposób, w jaki odbywało się to dawno temu. W bitwie na śmierć i życie.

Czekałam na puentę, ale gość był zupełnie poważny. Chciałam zapytać Sydney w co nas wpakowała, ale rzecz w tym, że najwyraźniej przeszliśmy inspekcję. Przywódca odwrócił się i zaczął iść wzdłuż ścieżki. Grupa podążyła za nim, zabierając nas ze sobą.

Przysłuchując się ich rozmowę, nie mogłam się lekko nie skrzywić – i to nie dlatego, że nasze życia mogły być w niebezpieczeństwie. Byłam zaintrygowana ich akcentem. Recepcjonista w motelu miał ciężki południowy akcent, dokładnie taki jakiego się można spodziewać w tej części kraju. Ci kolesie, wciąż brzmiąc podobnie, posiadali kilka rodzaj akcentów zmieszanych w jeden. To niemalże przypominało mi akcent Dymitra.

Byłam tak spięta i podenerwowana, że ledwo mogłam się skupić na tym, ile zajął nam marsz. Ostatecznie ścieżka doprowadziła nas do wydającego się na dobrze ukryte obozowiska. Na wolnej przestrzeni buzoowało wielkie ognisko, wokół którego siedzieli ludzie. Były tam jakieś budowle wzniesione po jednej stronie, sięgające do lasu wzdłuż szerokiej teraz ścieżki. Nie była to jeszcze droga, ale dawało to złudzenie małego miasteczka albo chociaż wioski. Budynki były małe i brudne, ale też solidne. Po drugiej stronie ognia, grunt ostro się podnosił ku Appalachom, zasłaniając gwiazdy. W migotliwym świetle mogłam zobaczyć górskie szczyty pokryte ostrymi skałami i rozproszonymi po nich drzewami, i usianymi gdzieś niedługo ciemnymi dziurami.

Ponownie skierowałam uwagę na tubylców. Tłum skupił się wokół ogniska – parę tuzinów ludzi, czy coś koło tego – i zamilkł, gdy nasza eskorta doprowadziła nas na miejsce. Pierwsze co dostrzegłam to ich ilość. Wojownicza cześć mnie liczyła przeciwników i układała plan ataku. I wówczas, tak jak wcześniej, naprawdę przyjrzałam się ich twarzom. Kolejni moroje wymieszani z dampirami. I – co mnie zszokowało, gdy to odkryłam – ludzie.

Ci tutaj nie byli karmicielami. A przynajmniej nie w takim sensie, w jakim znałam pojęcie karmiciel. Nawet w ciemności mogłam przelotnie dostrzec ślady po ukąszeniach na ich szyjach, ale sądząc po ich czujnych minach, mogłam powiedzieć, że nie oddają krwi

regularnie. Nie było ich wielu. Byli wymieszani pomiędzy morojami i dampirami, siedząc, stojąc, rozmawiając, żartując – cała grupa niewątpliwie była częścią jakiegoś rodzaju społeczności. Zastanawiałam się, czy ci ludzie byli tacy jak alchemicy. Może z moją rasą łączyły ich jakieś biznesowe związki.

Ciasna formacja wokół nas nieco się rozproszyła, a ja przysunęłam się do Sydney.

- Na litość boską, co to ma być?
- Odszczepieńcy.¹²
- Odszczepieńcy? Co to oznacza?
- To – odparł brodaty moroj – że w przeciwieństwie do waszych ludzi, my ciągle trzymamy się starych zwyczajów, dróg, których naprawdę powinniśmy.

Łypnęłam na tych „Odszczepieńców” w znoszonych ubraniach i na ich brudne, bose dzieci. Biorąc pod uwagę, jak daleko byliśmy od cywilizacji – i bazując na tym, jak ciemno było z dala od ogniska – mogłam się założyć, że nie mieli tu elektryczności. Już byłam blisko powiedzenia, że myślę, iż nikt nie powinien tak żyć, ale wówczas przypominałam sobie w jak lekki sposób mówili o walkach na śmierć i życie, i zdecydowałam się zatrzymać swoje opinie dla siebie.

- Czemu oni tu są, Raymondzie? – zapytała kobieta siedząca przy ognisku. Była człowiekiem, ale mówiła do brodatego moroja w sposób całkowicie zwyczajny i poufały. To nie przypominało rozmarzonego sposobu bycia karmicieli, który zwykle przejawiali przy morojach. To nie było nawet jak sztuczne konwersacje między moim rodzajem, a alchemikami. – Czy oni dołączają do nas?

Raymond pokręcił głową.

- Nie. Są poszukiwani przez Splamionych za zabicie królowej.

Sydney szturchnęła mnie, zanim zdążyłam zaprzeczyć tym pomówieniom. Zaciśnęłam zęby, czekając na zlinczowanie. Byłam zaskoczona, gdy tłum zaczął się we mnie wpatrywać z mieszkanką strachu i podziwu, jakby to była jakaś impreza powitalna.

- Udzielamy im schronienia – wyjaśnił Raymond. Uśmiechnął się do nas, jednak nie wiedziałam, czy jego aprobatą wynikała z tego, że byliśmy zabójcami, czy też dlatego, że po prostu lubił być w centrum uwagi. – Jednakże, jesteście mile widziani jeżeli tylko zechcecie do nas dołączyć i zamieszkać tutaj. Mamy miejsce w jaskiniach.

Jaskiniach? Szarpnęłam głową w stronę klifów wznoszących się nad ogniem, nagle uświadamiając sobie skąd te wszystkie ciemne dziury. Nawet w tej chwili kilkoro ludzi odłączyło się od nocnego zgromadzenia i zniknęło w mrocznych otchłaniach gór.

¹² *Keepers* – znaczenia: 1. Podstawowe: strażnik, opiekun, przechowawca, „odszczepieniec”... itp. 2. Inne: bojownicy, ludzie żyjący w zgodzie z naturą, koczownicy, partyzanci, leśni ludzie, dzicy, tarzany, renegaci, murzynki bambo skaczące po syberyjskich drzewach, nudyści, feministki, amazonki, ufoludki z planety zezda. Żeby sobie życia nie utrudniać z wymyśleniem jakiejś polskiej nazwy dla tego złożonego znaczenia w którym chodzi o to, że ci ludzie zachowywali stare prawa i zwyczaje, poszliśmy po bandzie i dałyśmy po prostu *odszczepieńcy*. Poprawne nazwanie tej grupy ludzi i wypranie sobie przy tym mózgu pozostawiamy oficjalnej wersji – przyp. Badasski

Podczas gdy ja starałam się ukryć zgrozę na twarzy, Sydney zabrała się za odpowiedź.

- Musimy tu zostać... – jej głos zamarł, co nie było dziwne, biorąc pod uwagę jak ogólnikowe stały się nasze plany. – Prawdopodobnie parę dni.
- Możecie zostać z moją rodziną – odparł Raymond. – Nawet ty. – To było skierowane do Sydney i brzmiał przy tym jakby robił jej łaskę.
- Dziękuję – powiedziała. – Będziemy wdzięczni mogąc spędzić noc w twoim *domu*.

Zdałam sobie sprawę, że nacisk wywarty na te ostatnie słowo był tak naprawdę informacją dla mnie. Drewniane budowle wzdłuż zakurzonej ścieżki w żaden sposób nie wyglądały na luksusowe, ale i tak wołałam jedną z nich, niż choćby jeden dzień w jaskini.

Wioska, komuna, czy cokolwiek to nie było, stawała się coraz bardziej podekscytowana naszym pojawieniem się. Bombardowali nas nawałnicą pytań, zaczynając od zwykłych rzeczy, jak nasze imiona, ale szybko przeszli do specyficznych szczegółów tego, jak dokładnie zabiłam Tatianę.

Od udzielania odpowiedzi uratowało mnie wkroczenie do akcji ludzkiej kobiety, która wcześniej rozmawiała z Raymondem, a która teraz zgarnęła naszą trójkę.

- Wystarczy – powiedziała z naganą. – Robi się późno, a jestem pewna, że nasi goście są głodni.

Właściwie to umierałam z głodu, ale i tak nie miałam pewności, czy osiągnęłam punkt, w którym mogłabym tknąć gulasz z oposa, czy cokolwiek oni tu mieli. Obwieszczenie kobiety spotkało się z pewnym rozczarowaniem, ale zapewniła resztę, że będą mogli porozmawiać z nami jutro. Rozglądając się wokół, zauważyłam purpurowy blask w miejscu, gdzie powinien być wschód. Świtało. Ta „tradycjonalistyczna grupa morojów zapewne trzymała się nocnego rozkładu, co znaczyło, że mają tylko kilka godzin do pory snu.

Kobieta powiedziała, że ma na imię Sara i poprowadziła nas na zakurzoną ścieżkę. Raymond obiecał, że wkrótce się z nami zobaczy. Gdy ruszyliśmy, naszym oczom ukazało się więcej ludzi rozpraszających się w pobliżu ruderowatych domów, którzy byli w drodze do łóżek lub zostali obudzeni przez zamieszanie.

Sara spojrzała na Sydney.

- Przyniosłaś nam coś?
- Nie – odparła Sydney. – Jestem tu tylko po to, by ich eskortować.

Sara wyglądała na rozczarowaną, ale skinęła głową.

- To ważne zadanie.

Sydney zmarszczyła brwi, wyglądając na jeszcze bardziej zaniepokojoną.

- Jak dużo czasu minęło odkąd ostatnio moi ludzie coś wam przynieśli?
- Kilka miesięcy – odpowiedziała Sara po chwili zastanowienia.

Mina Sydney stała się jeszcze bardziej mroczna, ale nie powiedziała nic więcej.

W końcu Sara zabrała nas do jednego z większych i lepiej wyglądających domów, choć wciąż jednak zbudowanego ze zwykłych, niepomalowanych desek. Wewnątrz panowały egipskie ciemności i poczekaliśmy, aż Sara zapali staromodne lampy. Miałam rację. Żadnej elektryczności. To natychmiast sprawiło, że zaczęłam się zastanawiać nad kanalizacją.

Podłoga była zrobiona z tego samego drewna, co ściany i przykryta wielkim dywanem w jasne wzory. Zorientowaliśmy się, że znajdujemy się w czymś, co było połączeniem kuchni z salonem i jadalnią. W centralnym punkcie pokoju znajdował się olbrzymi kominek, który z jednej strony miał drewniany stół i krzesła, a z drugiej leżały ogromne poduszki, które, jak sądziłam, służyły jako sofa. Stojaki do suszenia wisały blisko kominka, napełniając pomieszczenie aromatem przypraw wymieszanym z zapachem palonego drewna. Na tylnej ścianie znajdowały się trzy pary drzwi i Sara wskazała nam jedne.

- Możecie spać w pokoju dziewczynek – powiedziała.
- Dzięki – odpowiedziałam nie do końca pewna, czy chcę wiedzieć, jak wygląda nasze zakwaterowanie. Już tęskniłam za MOTELEM. Z ciekawością przyglądałam się Sarze. Wyglądała jakby była w wieku Raymonda. Miała na sobie zwykłą, sięgającą do kolan niebieską sukienkę. Jej jasne włosy były zaczesane do tyłu i spięte na karku w kucyk, a ona sama wyglądała dla mnie na tak niską, jak reszta ludzi. – Jesteś gosposią Raymonda?

To była jedyna rola, jaką mogłam dla niej wymyślić. Miała kilka znaków po ugryzieniach, ale było jasne, że nie jest karmicielką. W każdym razie nie w pełnym wymiarze. Może w tej okolicy karmiciele występowali także jako pomoc domowa.

Uśmiechnęła się.

- Jestem jego żoną.
- Och. – Było świadectwem mojej samokontroli, że nie odpowiedziałam w żaden inny sposób.

Utkwione we mnie ostre spojrzenie Sydney jasno ostrzegало, żeby dać temu spokój. Ponownie zacisnęłam szczęki i lekko kiwnęłam głową, żeby wiedziała, że rozumiałam.

Pomijając fakt, że nie rozumiałam. Dampiry i moroje cały czas romansowali ze sobą. Dampiry musiały. Bardziej stałe związki były skandaliczne – ale nie całkowicie poza sferą możliwości.

Ale ludzie z morojami? To przekraczało ludzkie pojęcie. Te rasy nie stykały się ze sobą przez wieki. Dampiry powstały dawno temu, ale, gdy świat ruszył do przodu, moroje całkowicie zerwali wszelkie (intymne) kontakty z ludźmi. Jasne, żyliśmy pośród nich. Moroje i dampiry pracowały z ludźmi, zajmowały domy w ich sąsiedztwie i miały dziwne porozumienia z sekretnymi organizacjami jak alchemicy. I oczywiście, moroje żywili się ludzką krwią – i w tym szkopał. Jeżeli trzymałeś człowieka blisko siebie to dlatego, że był karmicielem. W pewien sposób było to intymne, ale proste i jasne było to, że karmiciele byli pożywieniem.

Dobrze traktowanym jedzeniem, rzecz jasna, ale nie zawiera się przyjaźni z pożywieniem. Moroj uprawiający seks zampirem? Typowe. Moroj uprawiający seks zampirem *i* pijący jego krew? Haniebne i upokarzające. Moroj uprawiający seks z człowiekiem – razem z lub bez picia krwi? Nie do przyjęcia.

Było tu kilka rzeczy, które mnie zszokowały lub uraziły. Byłam dość liberalna w swoich poglądach jeśli chodziło o romanse, ale pomysł małżeństwa między człowiekiem a morojem mnie powalił. Nie miało znaczenia, czy człowiek był karmicielem – Sara wydawała się nim być – lub kimś „lepszym”, jak na przykład Sydney. Ludzie i moroje nie wchodzili w związki. To było prymitywne i niewłaściwe, dlatego nie praktykowano tego dłużej. A przynajmniej nie tam skąd pochodzę.

W przeciwieństwie do twoich ludzi, my wciąż trzymamy się starych zwyczajów.

Zabawną rzeczą było to, że nie ważne jak źle myślałam o tym wszystkim, Sydney ze swoim nieuzasadnionym lękiem przed wampirami musiała odczuwać to jeszcze silniej. Jednakże spodziewałam się, że będzie przygotowana, dlatego mogła posłużyć się swoim niewzruszonym wyrazem twarzy. Nie była zaskoczona tak jak ja i Dymitr, ponieważ czułam, że z pewnością podzielał moje uczucia. Po prostu była lepsza w ukrywaniu zdziwienia.

Zamieszanie za drzwiami wyciągnęło mnie z mojego szoku. Pojawił się Raymond i nie był sam. Dampirzy chłopczyk mający koło ośmiu lat siedział mu na ramionach, a dampirza dziewczynka w podobnym wieku biegła tuż za nimi. Podeszła także ładna morojka, wyglądająca na dwudziestoletnią, a za nią słodki dampir, który nie mógł być więcej niż kilka lat starszy ode mnie, jeśli nie był dokładnie w moim wieku.

Rozpoczęło się zapoznanie. Dzieciaki nazywały się Phill i Molly, zaś morojka miała na imię Paulette. Wszyscy wydawali się tu mieszkać, ale nie mogłam precyzyjnie określić relacji między nimi, poza chłopakiem w moim wieku. Był synem Raymonda i Sarah, i nazywał się Joshua. Miał przygotowany uśmiech dla nas wszystkich – zwłaszcza mnie i Sydney – i oczy, które przypominały mi przenikliwy, krystaliczny błękit Ozerów. Tyle, że rodzina Christiana przejawiała tendencję do posiadania ciemnych włosów, zaś Joshua był piaskowym blondynem z kilkoma złotymi pasemkami. Musiałam przyznać, że to był atrakcyjna kombinacja, ale zszokowana część mojego mózgu przypominała mi, że był zrodzony z połączenia człowieka i moroja, a nie dambira i moroja tak jak ja. Na końcu produkt był ten sam, ale sposób był dziwaczny. (To brzmi jakby sex moroja i człowieka był jakiś dziwny w sensie co? Nie ten otwór? Inna pozycja? Rose się strasznie czepia – przyp. Czarna)

- Umieściłam ich w twoim pokoju – powiedziała Sarah do Paulette. – Reszta z was może odpocząć na strychu.

Zajął mi chwilę, nim zrozumiałam co mówi. 'Reszta z was' oznaczała Paulette, Joshuę, Molly i Phila. Spoglądając w górę, rzeczywiście dostrzegłam coś, co przypominało strych i zajmowało połowę szerokości domu. Nie wyglądał na wystarczająco duży dla czworga ludzi.

- Nie chcemy sprawiać kłopotu – powiedział Dymitr, jakbyśmy dzielili się myślami. Był

cicho prawie przez całą podróż przez teren lasu,¹³ zachowując swoją energię na czyny, nie słowa. – Tutaj będzie nam dobrze.

- Nie martwcie się o to – powiedział Joshua, posyłając mi kolejny śliczny uśmiech. – Nie mamy nic przeciwko. Angelina też nie będzie mieć.
- Kto? – zapytałam.
- Moja siostra.

Skrzywiłam się. Pięcioro z nich będzie tłoczyć się na górze, byśmy mogli mieć pokój.

- Dziękujemy – powiedziała Sydney. – Doceniamy to. Naprawdę nie zostaniemy na długo.

Jej niechęć do wampirów została odłożona na bok. Alchemicy mogli być mili i uprzejmi, jeśli tylko chcieli.

- Nie dobrze – powiedział Joshua.
- Przestań flirtować Josh – powiedziała Sarah. – Czy wasza trójka chce coś do jedzenia, zanim pójdziecie do łóżek? Mogę podgrzać trochę gulaszu. My jedliśmy go już wcześniej z chlebem Paulette.

Przy słowie 'gulasz', cały mój strach przed oposami powrócił.

- Nie trzeba – powiedziałam pospiesznie. – Wystarczy mi kawałek chleba.
- Mnie też – powiedział Dymitr.

Zastanawiałam się czy chciał zaoszczędzić im pracy, czy też podzielał mój strach przed jedzeniem. Prawdopodobnie nie to drugie. Dymitr przypominał typ faceta, którego mógłbyś zostawić na pustkowiu, a on przetrwałby nie mając nic ze sobą.

Paulette widocznie upiekła dużo chleba, więc pozwolono nam urządzić piknik w naszym małym pokoju, z całym bochenkiem chleba i miseczką masła, które Sarah prawdopodobnie zrobiła sama w maselnicy. Pokój miał podobny rozmiar do mojego pokoju w Św. Władimirze, dwa wypchane materace starannie przykryte kołdrami leżały na podłodze. Kołdry prawdopodobnie nie były używane od miesięcy z tymi temperaturami. Przeżuając kawałek chleba, który był zaskakująco dobry, przesunęłam ręką po jednej z kołder.

- Przypomina mi pewien wzór, który widziałam w Rosji – powiedziałam. Dymitr także przyjrzał się wzorowi.
- Podobny, ale nie taki sam.
- To ewolucja kultur – powiedziała Sydney. Była zmęczona, ale nie tak by wyrzec się podręcznikowego sposobu bycia. – Tradycyjne rosyjskie formy zostały tu przywiezione i ostatecznie połączone z typową amerykańską patchworkową¹⁴ formą.

Rany.

¹³ *wood* – land. *wood* to też erekcja, więc mógł być cicho przez całą drogę do erekcji xD – przyp. Czarna

¹⁴ *patchworkowa* – zszyta z wielu kawałków – przyp. Czarna

- Dobrze wiedzieć.

Rodzina zostawiła nas samych i poszła szykować się do snu, a ja ostrożnie przyglądałam się naszym rozwalającym się drzwiom. Z hałasem i ożywieniem na zewnątrz, wyglądało na to, że nikt nas nie podsłucha, ale i tak zniżyłam głos.

- Jesteś gotowa wyjaśnić, kim do diabła są ci ludzie?

Wzruszyłam ramionami.

- Odszczepieńcami.
- Tak, załapałam. A my jesteśmy Splamieni. Brzmi jak lepsza nazwa dla strzyg.
- Nie – Sydney oparła się o drewnianą ścianę. – Strzygi są Straconymi. Ty jesteś Splamiona, ponieważ należysz do nowoczesnego świata i zostawiłaś za sobą ich starodawne obyczaje dla swoich własnych popapranych tradycji.
- Hej – odcięłam się – Nie jesteśmy jednymi z tych w ogrodniczkach i z bandzo.¹⁵
- Rose – Dymitr zgał mnie, ze znaczącym spojrzeniem na drzwi. – Bądź ostrożna. A poza tym widzieliśmy tylko jedną osobę w ogrodniczkach.
- Jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej – powiedziała Sydney – Myślę, że wasze zwyczaje są lepsze. Widząc ludzi mieszających się z tymi wszystkimi... –Przyjemna, zawodowa twarz, którą miała dla Odszczepieńców, zniknęła. Jej szczerą naturą wróciła. – To obrzydliwe. Bez urazy.
- Nie biorę tego do siebie – powiedziałam z drżeniem – Uwierz mi. Czuję to samo. Nie mogę uwierzyć... Nie mogę uwierzyć, że oni tak żyją.

Potaknęła, wyglądając na wdzięczną, że podzielałam jej zdanie.

- Lubię was bo, trzymacie się ze swoim gatunkiem i tak jest lepiej. Tyle, że...
- Tyle, że? – naciskałam.

Wyglądała na zawstydzoną.

- Nawet jeśli tam, skąd pochodzicie wasi pobratymcy nie poślubiają ludzi, wciąż macie z nimi kontakt i mieszkanie w ich miastach. Oni nie.
- Co alchemicy wolą – zgadł Dymitr – Nie aprobujesz tradycji tej grupy, ale lubisz mieć ich wygodnie skrytych poza społeczeństwem.

Sydney pokiwała głową

- Im jest więcej wampirów zostających w swoich własnych lasach, tym lepiej, nawet jeśli ich styl życia jest szalony. Ci ludzie trzymają się razem, a innych trzymają z dala.
- To znaczy, jak, przez wrogość? – zapytałam. Zostaliśmy przywitani przez grupę wojowników, czego się nie spodziewała. Wszyscy byli gotowi walczyć: moroje, dampiry i ludzie.
- Na szczęście nie są aż tacy wrodzy – powiedziała wymijająco.
- Pozwolili ci przejść – powiedział Dymitr. – Znają alchemików. Dlaczego Sarah pytała,

¹⁵ Bandzo (banjo) – muzyczny instrument podobny do gitary – przyp. Czarna

czy coś im przyniosłaś?

- Ponieważ to jest to, co robimy – powiedziała. – Czasami dostarczamy zapasy grupom takim jak ta: jedzenie dla wszystkich, leki dla ludzi. – Znowu usłyszałam drwinę w jej głosie, ale szybko stała się niespokojna. – Rzecz w tym, że jeśli Sarah ma rację, przysługuje im wizyta alchemików. To byłoby nasze głupie szczęście, gdybyśmy tu byli, gdy to się zdarzy.

Zamierzałam uspokoić ją, że musimy zostać tu tylko kilka dni, gdy uderzyły we mnie wcześniejsze słowa.

- Czekaj. Powiedziałaś 'grupy takie jak ta'? Jak wiele jest takich komunopodnych miejsc? – odwróciłam się do Dymitra. – To niepodobne do alchemików, co nie? Czy to coś, o czym wie tylko część z nas i trzyma to z dala od reszty ?

Potrząsnął głową.

- To wszystko zadziwia mnie tak samo jak ciebie.
- Któryś z twoich przywódców na pewno wie o Odszczepieńcach, choć raczej mgliście – powiedziała Sydney. – Ale żadnych szczegółów. Żadnej lokalizacji. Ci ludzie ukrywają się całkiem nieźle i od razu wychwyca każdy ruch. Trzymają się z daleka od twoich ludzi. Nie lubią ich.

Westchnęłam.

- I to dlatego nie chcą nas wydać. I dlatego byli tak podekscytowani faktem, że mogłam zabić Tatianę. Tak przy okazji, dzięki za to.

Sydney wcale nie wyglądała na zasmuconą. –

- Dają nam schronienie. Jest jakie jest – powstrzymała ziewnięcie. – Ale teraz jestem wyczerpana. Nie mam zamiaru podążać za jakimkolwiek szalonym planem – twoim, czy Abego – jeśli się nie prześpię.

Wiedziałam, że jest zmęczona, ale dopiero teraz uderzył mnie rozmiar tego zmęczenia.

Sydney nie była jak my. Potrzebowaliśmy snu, ale wytrzymałość mogła go odsunąć w razie potrzeby. Była na nogach przez całą noc, a do tego została zmuszona do bycia w sytuacji, która definitywnie wykraczała poza jej strefę komfortu. Wyglądała jakby mogła zasnąć pod ścianą tu i teraz. Odwróciłam się do Dymitra, który na mnie patrzył.

- Zmiany? – zapytałam. Wiedziałam, że żadne z nas nie mogło zostawić grupy niestrzeżonej w tym miejscu, nawet jeśli rzekomo byliśmy herosami, którzy zabili królową. Potaknął głową.
- Ty bierzesz pierwszą, a ja –

Drzwi otworzyły się gwałtownie, na co z Dymitrem niemal skoczyliśmy do ataku. Stała tam dampirka, która piorunowała nas wzrokiem. Była kilka lat młodsza niż ja, w wieku mojej przyjaciółki Jill Mastrano, uczennicy z Św. Władimira, która chciała być walczącym morojem. Ta dziewczyna wyglądała jakby i ona chciała, tyle że stała tam sama. Miała

szczupłe, umięśnione jak większość dampirów ciało, które było napięte, jakby miała stawić czoło któremuś z nas.

Jej proste włosy sięgały do pasa, były ciemne ze złotymi i miedzianym pasmami, które powstały od słońca. Miała te same niebieskie oczy co Joshua.

- A więc – powiedziała – to wy jesteście wielkimi bohaterami, którzy zabierają mi łóżko.
- Angelina? – zgadłam, przypominając sobie jak Joshua mówił o swojej siostrze. Jej oczy się zwęziły. Nie spodobało jej się, że wiedziałam kim jest.
- Tak – przyglądała mi się z determinacją i nie wyglądało na to, żeby aprobowała to co zobaczyła. Następnie przeniosła ostre spojrzenie na Dymitra. Spodziewałam się, że złagodnieje i że zacznie wznosić modły do jego boskiego wyglądu, tak jak robi to większość kobiet, ale nie.
- Nie wierzę w to – ogłosiła. – Jesteście zbyt delikatni, zbyt zadbani.

Zadbani? Naprawdę? Nie czułam się tak, zwłaszcza w moich pokiereszowanych bitwą jeansach i koszulce. Patrząc na jej strój, może jednak mogłam zrozumieć jej nastawienie. Jej ubrania były czyste, ale jej jeansy były znoszone, na obu kolanach wystawały nici. Koszulka była prosta – bezrękawnik w kolorze złamanej bieli, wyglądający na domowej roboty. Nie wiedziałam, czy początkowo był biały. Może jednak w porównaniu do niej byłam zadbana. Oczywiście, jeśli ktoś zasługiwał na tytuł zadbanej, była to Sydney. Jej ubrania mogłyby być włożone na spotkanie biznesowe, gdyż ostatnio nie brała udziału w żadnych walkach czy włamaniach do więzienia.

A mimo to, Angelina nie posłała jej nawet drugiego spojrzenia. Miałam wrażenie, że alchemicy byli tu jakąś dziwną kategorią, innym rodzajem ludzi niż ci, którzy zawierali małżeństwa z Odszczepieńcami. Alchemicy przynosili zaopatrzenie i odchodzili. Byli dla tych ludzi prawie jak karmiciele, którzy naprawdę mogli namieszać w głowach. Odszczepieńcy mieli więcej szacunku dla tych ludzi, nad którymi mojej kulturze wydawało się, że góruje.

Mimo wszystko nie wiedziałam co powiedzieć Angelinie. Nie podobało mi się nazywanie mnie miękką, czy poddawanie mojej sprawności bitewnej w wątpliwość. Mój temperament zapłonął, ale odrzuciłam pomysł narobienia kłopotów, rozpoczynając walkę z córką gospodarza. Nie żebym też chciała wyjaśniać szczegóły morderstwa Tatiany. Po prostu wzruszyłam ramionami.

- Wygląd może mylić – powiedziałam.
- Tak – Angelina powiedziała oziębło. – Myli.

Podeszła do małego kuferka w rogu i wyjęła z niego coś, co wyglądało jak koszula nocna.

- Lepiej nie zrujnuj mi łóżka – ostrzegła mnie. Spojrzała na Sydney siedzącą na materacu. – Nie obchodzi mnie co zrobisz z łóżkiem Paulette.
- Paulette to twoja siostra? – zapytałam, wciąż próbując złożyć tą rodzinę w całość. To nie wydawało się być czymś, czego powiedzenie mogło obrazić tę dziewczynę.

- Oczywiście, że nie – warknęła, trzaskając drzwiami przy wyjściu. Wpatrywałam się w nie w zdumieniu.

Sydney ziewnęła i wyciągnęła się na łóżku.

- Paulette jest prawdopodobnie... ech. Nie wiem. Kochanką Raymonda. Konkubina.
- Co? – wykrzyknęłam. Moroje żeniący się z ludźmi i mający romanse z morojami. Nie byłam pewna, ile jeszcze mogę znieść. – Mieszka z jego rodziną?
- Nie prosz mnie, żebym to tłumaczyła. Nie chcę wiedzieć o waszych pokreconych zwyczajach więcej niż muszę.
- To nie jest mój zwyczaj – odcięłam się.

Wkrótce potem Sarah przyszła przeprosić za Angelinę i spytać, czy nie trzeba nam nic więcej. Zapewniliśmy ją, że mamy się dobrze i wylewnie podziękowaliśmy za jej gościnność. Gdy wreszcie poszła, Dymitr i ja ustaliliśmy warty. Wolałbym żebyśmy oboje pozostali czujni, zwłaszcza od chwili gdy byłam pewna, że podczas snu Angelina mogłaby poderżnąć komuś gardło. Ale potrzebowaliśmy odpoczynku i oboje wiedzieliśmy, że zareagowalibyśmy natychmiast, gdyby ktokolwiek wszedł przez drzwi.

Tak więc pozwoliłam objąć Dymitrowi pierwszą wartę, a sama wtuliłam się w łóżko Angeliny, starając się go nie zrujnować. Było zadziwiająco wygodne. A może po prostu byłam, aż tak zmęczona. Pozwoliłam odejść swoim obawom o egzekucji, zagubionym rodzeństwie i wampirzym zadupiu.¹⁶ Zapadłam w głęboki sen. I zaczęłam śnić... ale nie zwykły sen. To było przesunięcie mojego wewnętrznego świata, poczucie bycia w i poza rzeczywistością. Byłam wciągana do snu wywoływanego przez ducha.

Adrian!

Ta myśl mnie podekscytowała. Tęskniłam za nim i chciałam porozmawiać z kimś, kto był bezpośrednio na Dworze. Nie było zbyt wiele czasu na rozmowy podczas mojej ucieczki, a po tej dziwacznej puszczy z którą się zetknęłam, naprawdę potrzebowałam odrobiny normalności i cywilizacji.

Senny świat formował się wokół mnie, stając się czystszy i wyraźniejszy. To było miejsce, którego nigdy nie widziałam, formalny salon z krzesłami i kanapami przykrytymi lawendowymi poduszkami w orientalne wzory. Olejne obrazy wisiały na ścianach, a w kącie stała duża harfa. Dawno temu nauczyłam się, że nie można przewidzieć, gdzie Adrian mnie wyśle – lub w co mnie ubierze. Na szczęście byłam w jeansach i koszulce, a wokół mojej szyi był okręcony mój błękitny nazar.

Odwróciłam się z niepokojem szukając go, by obdarzyć go wielkim uściskiem. Jednak gdy moje oczy zlustrowały pokój, nagle zdałam sobie sprawę, że nie patrzę na twarz Adriana.

Tylko Roberta Doru.

Z którym był Wiktor Daszkow.

¹⁶ *hillbillies* – pogardliwe określenie kogoś z dalekich lasów lub gór – przyp. Czarna

Tłumaczenie: Justa2705, Czarna_wilczyca

Korekta: Diotima

Rozdział dziesiąty

KIEDY TWÓJ CHŁOPAK potrafi chodzić w snach, uczysz się paru nowych rzeczy. Jedną z najważniejszych jest to, że kontakt fizyczny we śnie odczuwasz dokładnie tak samo, jakbyś robił to w rzeczywistym świecie. Powiedzmy jak na przykład całowanie kogoś. Adrian i ja często całowaliśmy się w snach, i to na tyle intensywnie, że moje ciało zaczynało domagać się czegoś więcej. Chociaż we śnie nigdy nikogo nie zaatakowałam, mogłabym się założyć, że cios z pięści byłby tak samo bolesny jak ten prawdziwy.

Bez wahania rzuciłam się na Wiktora, niepewna czy powinnam go uderzyć czy też podduścić. Obie wersje wydawały się być całkiem dobrymi pomysłami. Okazało się, że nie zrealizowałam żadnego z nich. Zanim zdołałam go dosięgnąć, uderzyłam się o niewidzialną ścianę – mocno. Nie tylko odgrodziła mnie od niego ale i odbiła do tyłu z pełnym impetem. Zachwiałam, próbując odzyskać równowagę, ale zamiast tego wylądowałam boleśnie na ziemi. Taa... w snach odczuwa się wszystko jak w prawdziwym życiu.

Spojrzałam na Roberta odczuwając kombinację gniewu z niepokojem. Próbowałam ukryć tę drugą emocję.

- Jesteś użytkownikiem ducha z telekinezą?

Wiedzieliśmy, że jest to możliwe, ale ani Lissa, ani Adrian nie opanowali tej umiejętności. W ogóle nie podobał mi się pomysł, że Robert może posiadać moc rzucania dokoła przedmiotami i tworzenia niewidzialnych barier. Nie potrzebowaliśmy takiej „niedogodności”. Wyraz twarzy Roberta pozostał nieodgadniony.

- Kontroluję sen.

Wiktor spoglądał na mnie z góry z tą swoją zadowoloną, wykalkulowaną miną. Uświadamiając sobie w jak niedogodnym znajdowałam się położeniu, zerwałam się na równe nogi. Utrzymałam nieugiętą postawę, moje ciało napięło się i przygotowało do ataku gdy zastanawiałam się czy Robert będzie stale utrzymywał barierę.

- Skończyłaś już z tą swoją furią? – zapytał Wiktor – Zachowywanie się jak cywilizowana osoba sprawi, że nasza rozmowa przebiegnie znacznie przyjemniej.
- Nie jestem zainteresowana gadaniem z tobą – warknęłam. – Jediną rzeczą jaką chcę zrobić jest upolowanie ciebie w rzeczywistym świecie i zaciągnięcie przed oblicze władz.
- Uroczo – odparł Wiktor. – Możemy dzielić cełę.

Skrzywiłam się.

- Tak – kontynuował. – Wiem o wszystkim. Biedna Tatiana. To taka tragedia. Tak wielka strata.

Jego szyderczy, melodramatyczny ton wypowiedzi podsunął mi niepokojącą myśl.

- Ty... nie miałaś z tym nic wspólnego, prawda? – Ucieczka Wiktora z więzienia wywoła wśród morojów lawinę strachu i paranoi. Byli przekonani, że nadchodzi po nich wszystkich. Znając prawdę o jego ucieczce, zlekceważyłam jego gadaninę i stwierdziłam, że najzwyczajniej w świecie kłamał. Teraz, przypominając sobie jak chciał zapoczątkować rewolucje pośród morojów, zastanawiałam się czy mordercą królowej nie był przypadkiem największy nikczemnik (czyt. złamas – przyp. Justa) jakiego znamy.

Wiktor prychnął.

- Chciałabyś. – Założył ręce za plecami przechadzając się po pokoju i udając, że przygląda się dziełom sztuki. Ponownie zaczęłam się zastanawiać jak daleki zasięg ma bariera stworzona przez Roberta. – Mam o wiele bardziej wyrafinowane metody osiągnięcia swoich celów. Nie zniżyłbym się do takiego poziomu. Zresztą, ty również.

Miałam ochotę mu wygarnąć, że zabawianie się umysłem Lissy nie było nazbyt taktowne, ale jego ostatnie słowa przyciągnęły moją uwagę.

- Nie uważasz, że ja to zrobiłam?

Spojrzał na mnie z miejsca gdzie podziwiał mężczyznę w cylindrze z laską w dłoni.

- Oczywiście, że nie. Nigdy nie zrobiłabyś czegoś co wymaga aż tak wiele przezorności. I jeśli to co usłyszeliśmy o okolicznościach popełnienia zbrodni jest prawdą, nigdy nie pozostawiłabyś za sobą tylu dowodów.

To była jednocześnie zniewaga i komplement.

- Cóż, dzięki za głos zaufania. Bardzo mnie martwiło, co będziesz o tym myślał. – Zyskałam tym uśmiech i skrzyżowałam ręce na piersi.
- Jakim cudem w ogóle wiecie co dzieje się na Dworze? Macie szpiegów? (szpieg z krainy Deszczowców od tego Baltazara Gąbki im doniósł ;D – przyp. Justa. Ha! Wiedziałam, że mignął nam przed oczami Don Pedro z różową latarką! A Czarna mówiła, że mam zwidy – przyp. Ginger. Karrrramba:D – przyp. VJ)
- Tego rodzaju informacje rozprzestrzeniają się w świecie morojów w mgnieniu oka – odparł Wiktor – Nie jestem aż tak odizolowany. Dowiedziałem się o morderstwie zaraz po tym jak to się stało. O twojej nadzwyczaj imponującej ucieczce także.

W większości skupiałam swoją uwagę na Wiktorze, ale rzuciłam szybkie spojrzenie na Roberta. Siedział cicho, a przez jego pusty, rozproszony wyraz oczu zastanawiałam się, czy jest w ogóle świadomy o czym się koło niego mówi. Patrzenie na niego zawsze sprawiało, że przechodziły mnie ciarki. Był uderzającym przykładem tego, do czego może doprowadzić używanie ducha.

- Czemu to cię obchodzi? – naciskałam. – I dlaczego do cholery nachodzisz mnie w snach?

Kontynuował swoją inscenizację przebiegając koniuszkami palców po gładkiej, drewnianej obudowie harfy.

- Ponieważ jestem bardzo zainteresowany polityką morojów. Chciałbym wiedzieć kto jest mordercą i w co pogrywa.

Uśmiechnęłam się wymuszenie.

- Brzmi jakbyś był zazdrosny o to, że oprócz ciebie ktoś inny pociąga za sznurki i wprowadza zmiany. Bez obrazy.

Jego ręka zjechała z harfy opadając mu z powrotem na bok. Utkwił swoje ostre spojrzenie we mnie, patrząc oczami tak samo jasno zielonymi jak te, które miała Lissa.

- Twój dowcipny komentarz do niczego cię nie doprowadzi. Możesz pozwolić nam sobie pomóc lub nie.
- Jesteś ostatnią osobą od której potrzebuję pomocy. Nie chce jej.
- Tak. Wygląda na to, że wszystko układa się dla ciebie pomyślnie, zwłaszcza, że jesteś teraz poszukiwanym zbiegiem, który ucieka z facetem przez wielu uważanym za strzygę. – Wiktor zrobił specjalną przerwę. – Naturalnie to ostatnie nie przeszkadza ci za bardzo. Wiesz, gdybym was odnalazł, prawdopodobnie mógłbym was zastrzelić i zostałbym przywitany z powrotem jako bohater.
- Lepiej się o to nie zakładaj. – Zapłonęła we mnie wściekłość zarówno z powodu jego insynuacji, jak i tego, że sprawił mnie i Dymitrowi sporo kłopotów w przeszłości. Całą siłą woli zmusiłam się do spokoju i odpowiedziałam mu niskim, groźnym głosem. – Znajdę cię. I zapewne nie dożyjesz ujrzenia władz.
- Już ustaliliśmy, że mordowanie nie wchodzi w zestaw twoich umiejętności. – Wiktor usiadł wygodnie na jednym z obitych poduszkami krzeseł. Robert nadal stał z nieprzytomną miną. – Jedną z pierwszych rzeczy które musimy zrobić, jest ustalenie dlaczego ktoś chciał zabić naszą królową. Jej czarująca osobowość jest niezłym motywem, ale jestem przekonany, że nie o to chodziło. Tacy ludzie robią tego rodzaju rzeczy dla władzy i dla przewagi nad innymi, by móc przeforsować swoje ustawy. Z tego co słyszałem, ostatnim najbardziej kontrowersyjnym posunięciem Tatiany było ustanowienie tego prawa o wieku... – tak, to jest to. To, co sprawia, że rzucasz mi groźne spojrzenia. Rzecz jasna jej morderca był mu oczywiście przeciwny.

Wcale nie chciałam stosować się do jego poleceń. Nie chciałam przeprowadzać z nim rozsądnej dyskusji. Tym, czego chciałam, była wskazówka, gdzie się teraz znajdował w rzeczywistym świecie, a potem chciałam jeszcze raz spróbować przedostać się przez niewidzialną ścianę. To mogło być warte ryzyka, jeśli udałoby mi się spowodować jakieś szkody. Tak więc byłam niezłe zaskoczona gdy odezwałam się ponownie.

- Albo ten, ktokolwiek to zrobił, chciał przepchnąć coś gorszego, coś bardziej przykrego dla dampirów. Oni myśleli, że jej dekret był zbyt łagodny.

Przyznaję, zbijanie Wiktora Daszkowa z tropu było jedną z największych radości w moim życiu. Odczuwałam niezłą satysfakcję widząc jak jego brwi podnoszą się w zdumieniu. Nie było łatwo wysunąć teorię, której taki mistrz intryg jeszcze nie rozważył.

- Interesujące – powiedział w końcu. – Być może nie doceniałem cię, Rose. To doskonały wniosek.
- Cóż, um... to nie jest tak do końca mój wniosek.

Wiktor milczał wyczekująco. Nawet Robert otrząsnął się z otumanienia i skupił uwagę na mnie. To było niepokojące.

- To Tatiana. To znaczy, to nie był jej wniosek. Ona powiedziała to wprost, a w każdym razie napisała w liściku, który mi zostawiła. – Dlaczego mówiłam tak chaotycznie przy tych koleśkach? Cóż przynajmniej ponownie udało mi się zaskoczyć Wiktora.
- Tatiana Iwaszkow zostawiła ci list z tajnymi informacjami? Dlaczego?

Przygryzłam wargę i skupiłam uwagę na jednym z obrazów. Przedstawiał elegancką kobietę morojskiego pochodzenia z tymi zielonymi oczami, które miała większość Daszkowów i Dragomirów. Zaczęłam się zastanawiać, czy Robert nie umieścił tego snu w jakiejś posiadłości Daszkowów, którą pamiętał z dzieciństwa. Ruch na granicy mojego wzroku sprawił, że gwałtownie odwróciłam się do braci.

Wiktor wstał i zrobił parę kroków w moim kierunku, cały przepełniony ciekawością i przebiegłością.

- Jest coś jeszcze. Co ci powiedziała? Wiedziała, że jest w niebezpieczeństwie. Wiedziała, że to ustawa była tego częściowym powodem.... ale to nie wszystko, prawda?

Pozostałam cicho, choć w mojej głowie zaczęła naradzać się szalona teoria. Rozważałam teraz, czy Wiktor może mi pomóc. Oczywiście patrząc z perspektywy czasu, to nie była znowu taka wariacka myśl, jeśli wziąć pod uwagę, że już raz wyciągnęłam go z więzienia, żeby uzyskać jego pomoc.

- Tatiana powiedziała....

Powinnam to powiedzieć? Czy powinnam zdradzić sekret, którego nie znała nawet Lissa? Jeśli Wiktor się dowie, że jest jeszcze jeden Dragomir, może użyć tej wiedzy do jednej ze swoich intryg. Jak? Nie byłam pewna, ale nauczyłam się, żeby spodziewać się po nim nieprzewidywalnego. A jednak... Wiktor znał wiele morojskich sekretów. Miałabym niezły ubaw obserwując jak on i Abe pojedynkują się o tytuł mistrza ciętej riposty. Nie miałam wątpliwości, że posiadał dużą wiedzę o sprawach Dragomirów i Daszkowów. Oczyszczałam gardło.

- Tatiana powiedziała, że jest jeszcze jeden Dragomir. Że ojciec Lissy miał romans i jeśli zdołam odnaleźć to dziecko, przywrócę Lissie władzę w Radzie.

Kiedy Wiktor i Robert wymienili się zszokowanymi spojrzeniami wiedziałam, że mój plan spalił na panewce. Wiktor nie mógł mi niczego zaoferować. To ja byłam jedyną, która ujawniła cenną informację. Cholera, cholera, cholera.

Ponownie zwrócił się do mnie z zamyśloną miną.

- Cóż. Eric Dragomir nie był jednak taki święty, jakiego zwykle udawał.

Zacisnęłam pięści.

- Nie obrażaj jej ojca.
- Ani mi się śni. Niezmiernie lubiłem Erica. Ale tak... jeśli to prawda, Tatiana ma rację. Wasylisa miałyby technicznie wsparcie rodziny, a z jej liberalnymi poglądami z pewnością zapoczątkowałyby tarcia w Radzie, która nigdy nie wydawała się zmieniać swoich poglądów – zachichotał. – Tak, zdecydowanie mogę zobaczyć jak to rozwściecza pewnych ludzi... włącznie z mordercą, który chciałby gnębić dampiry. Mogę sobie wyobrazić że on, lub ona, nie chciałby, żeby ta wiedza wydostała się na zewnątrz.
- Ktoś już chciał się pozbyć akt łączących ojca Lissy z jego kochanką.

Po raz kolejny wypaplałam coś bez wcześniejszego myślenia. Nienawidziłam się za to. Nie chciałam im podawać żadnych więcej informacji. Nie chciałam grać tak jakbyśmy wszyscy współpracowali.

- Niech zgadnę – powiedział. – To usiłujecie zrobić, prawda? Chcecie znaleźć tego bękarta.
- Hej, nie—
- To tylko taki zwrot – przerwał mi. – Jak zna m was dwie – a jestem przekonany, że tak jest – Wasylisa desperacko usiłuje oczyścić twoje imię na Dworze, kiedy ty i Bielikow odbywacie swoją przepelnioną napięciem seksualnym przygodę, by znaleźć jej brata lub siostrę.
- Nic o nas nie wiesz – warknęłam. Napięcie seksualne, no doprawdy.

Wzruszył ramionami.

- Masz to wypisane na twarzy. I naprawdę, to nie jest znowu taki zły pomysł. Nie jest też wyśmienity, ale niezły. Dasz rodzinie Dragomirów kworum, i będziesz miała opowiadający się za tobą głos w Radzie. Przypuszczam, że nie masz żadnych tropów?
- Pracujemy nad tym – odpowiedziałam wymijająco.

Wiktor spojrział na Roberta. Wiedziałam, że ta dwójka nie komunikuje się za pomocą umysłów, ale gdy tylko wymienili się spojrzeniami odniosłam wrażenie, że oboje pomyśleli o tym samym i tylko to między sobą potwierdzają. W końcu Wiktor przytaknął i odwrócił się do mnie.

- Zatem dobrze. Pomożemy wam. – Brzmiał tak jakby właśnie się zgodził wyświadczyć mi wielką przysługę.
- Nie potrzebujemy pomocy!

- Oczywiście, że potrzebujecie. To jest poza twoją ligą, Rose. Włazisz w obrzydliwe gniazdo skomplikowanej polityki, w coś z czym nigdy nie miałaś do czynienia. Przyznanie tego nie jest wstydem, tak jak ja nie czuję się zawstydzony potwierdzając, że w irracjonalnej, kiepsko zaplanowanej walce na pięści z pewnością okazałabyś się ode mnie lepsza.

Kolejny dwuznaczny komplement.

- Poradzimy sobie. Pomaga nam Alchemik. – O. To mu pokaże kto tu jest poza czyją ligą. Ku mojemu zaskoczeniu rzeczywiście wyglądał jakby był nieco pod wrażeniem. Nieco.
- Lepiej niż podejrzewałem. Czy znalazł już jakąś wskazówkę lub lokalizację?
- Pracuję nad tym – powtórzyłam.

Westchnął z frustracją.

- Będziemy więc potrzebować czasu, tak? Dla Wasylisy prowadzącej śledztwo na Dworze i ciebie tropiącej tamto dziecko.
- Jesteś jedyną osobą, która zawsze zachowuje się jakby wszystko wiedziała – zauważyłam. – Założyłam więc, że będziesz coś wiedział na ten temat.
- Żałuję, ale nie. – Wiktor nie brzmiał jakby naprawdę żałował. – Ale tak szybko jak tylko znajdziemy jakiś punkt zaczepienia to zapewniam cię, że będę niezbędny do rozwikłania zagadki. – Podeszedł do swojego brata i poklepał go pocieszająco po ramieniu, a ten spojrzał na niego z uwielbieniem. – Odwiedzimy cię ponownie. Daj nam znać jeśli dowiesz się czegoś użytecznego, wtedy się z tobą spotkamy.

Moje oczy się rozszerzyły.

- Nie, zrobisz tak... – Zawahałam się. Pozwoliłam uciec Wiktorowi w Las Vegas. Teraz oferował, że do mnie przyjdzie. Może będę mogła naprawić tamten błąd i spełnić moją wcześniejszą groźbę. Szybko spróbowałam ukryć swoje zawahanie mówiąc – Skąd mam wiedzieć, czy mogę ci zaufać?
- Nie możesz – oznajmił dosadnie. – Musisz uwierzyć, że wróg twojego wroga jest twoim przyjacielem.
- Nigdy nie lubiłam tego powiedzenia. Zawsze będziesz moim wrogiem.

To była niezła niespodzianka gdy nagle Robert powrócił do życia. Spojrzał na mnie i zrobił krok do przodu.

- Mój brat jest dobrym człowiekiem, dziewczyno naznaczona cieniem! Jeśli go skrzywdzisz... jeśli mu coś zrobisz... zapłacisz za to. Następnym razem nie uda ci się wrócić. Świat zmarłych nie da ci drugiej szansy.

Byłam zbyt mądra by brać groźby szalonego człowieka na poważnie, ale te jego ostatnie słowa wywołały u mnie ciarki.

- Twój brat jest psycho—

- Wystarczy, wystarczy. – Wiktor ponownie poklepał Roberta uspokajająco. Wciąż groźnie mierząc mnie wzrokiem, młodszy brat Daszkowa wycofał się, choć byłam gotowa się założyć, że ta jego niewidzialna ściana powróciła na miejsce. – To nie przynosi nam nic dobrego. Tracimy tylko czas... którego zresztą nie mamy za dużo. Potrzebujemy go więcej. Królewska elekcja rozpocznie się na dniach, a możliwe jest, że morderca Tatiany macza w tym palce, jeśli rzeczywiście mają tam miejsce jakieś machlojki. Musimy opóźnić wybory – nie tylko po to, aby pokrzyżować plany zabójcy, ale także by zyskać na czasie i zakończyć nasze zadania.

Zaczynało mnie to wszystko już męczyć.

- Naprawdę? A jak według ciebie mamy to zrobić?

Na twarzy Wiktora pojawił się uśmiech.

- Przez wystawienie Wasylisy jako kandydatki do tronu.

Biorąc pod uwagę, że mieliśmy do czynienia z Wiktorem Daszkowem, naprawdę nie powinno mnie zdziwić nic co powie. To że nieustannie mnie zaskakiwał świadczyło o poziomie jego szaleństwa.

- To – oświadczyłam – jest niemożliwe.
- Niespecjalnie – odpowiedział.

Z rozdrażnieniem rozłożyłam ręce.

- Nie przykładałeś w ogóle uwagi do tego, o czym rozmawialiśmy? Szkopuł tkwi w tym, że mamy przywrócić Lissie wszystkie prawa, jakie jej przysługują. Ona nie może nawet głosować! Jak może ubiegać się o stanowisko królowej?
- Właściwie, to prawo mówi, że może. Zgodnie z tym, co jest napisane w prawie nominacji, o pozycję monarchy może ubiegać się jedna osoba z każdego arystokratycznego rodu. I to jest wszystko o czym mówi. Jedna osoba z każdego rodu może wystartować. Nie wspomina o tym ile żyjących osób musi być w jej rodzinie, tak jak jest w przypadku możliwości głosowania w Radzie. Po prostu potrzebuje trzech nominacji – prawo nie precyzuje jaka rodzina musi je wysunąć.

Wiktor mówił w tak precyzyjny, szorstki sposób, że równie dobrze mogłaby to być recytacja z jakiejś prawniczej książki. Podejrzewałam, że jeśli się planowało karierę łamacza praw, jednocześnie musiało się je dobrze znać.

- Ktokolwiek napisał te prawo zapewne przyjął, że kandydaci posiadają członków rodziny. Po prostu nie tracili czasu na wyszczególnianie tego. To właśnie powiedzą, jeśli Lissa wystartuje. Będą z tym walczyć.
- Mogą walczyć ile chcą. Ci, którzy odmawiają jej miejsca w Radzie, bazują na linii prawniczych argumentów, która wspomina o innych członkach rodziny. Jeśli ich argumentem jest to, że musi być spełniony każdy szczegół zapisany w prawie to wówczas będą musieli tak samo potraktować prawa wyborcze – które, jak już

mówiłem, nie wspominają o poparciu rodziny. I w tym tkwi piękno tego kruczka. Jej przeciwnicy nie przeforsują tego argumentu w obu przypadkach. – Wiktor skrzywił usta w uśmiechu, bardzo z siebie zadowolony. – Zapewniam cię, że w tym sformułowaniu nie ma absolutnie nic, co uniemożliwiłoby jej zrobienie tego.

- A co z jej wiekiem? – zauważyłam. – Książęta i księżniczki, którzy kandydują zwykle są starzy.

Tytuł księcia lub księżniczki przechodził na najstarszego członka rodziny, który tradycyjnie był osobą, która kandydowała na króla bądź królową. Rodzina mogła zdecydować, aby był to ktoś inny, bardziej odpowiedni, ale nawet wtedy – z tego co wiem – zawsze był to ktoś starszy i doświadczony.

- Jedynym wymogiem jest bycie pełnoletnim – odpowiedział Wiktor. – Ona ma 18 lat. Nadaje się. Inne rody mają znacznie większe pole manewru co do wyboru, więc oczywiście wybiorą kogoś, kto wydaje się być najbardziej doświadczony. Ale w przypadku Dragomirów? Nie ma teraz takiej opcji, prawda? Poza tym, młodzi monarchowie też osiągają sukcesy. Była kiedyś bardzo sławna królowa – Aleksandra – nie wiele starsza od Wasylisy. Bardzo kochana i niezwykła. Jej posąg stoi przy dworskim kościele.

Poruszyłam się niespokojnie.

- Właściwie... um... już go nie ma. On tak jakby eksplodował.¹⁷

Wiktor po prostu się na mnie gapił. Najwyraźniej słyszał o mojej ucieczce, ale nie o wszystkich jej szczegółach.

- Nie ważne – dodałam szybko, czując się winna, że pośrednio odpowiadałam za wysadzenie w powietrze sławnej królowej. – Ten cały pomysł o użyciu Lissy jest absurdalny.
- Nie będziesz jedyną, która tak pomyśli – powiedział Wiktor. – Ludzie będą się kłócić i dyskutować, ale koniec końców, prawo będzie górą. Będą musieli pozwolić jej kandydować. Będzie poddana testom i prawdopodobnie przejdzie je pomyślnie. Dopiero gdy nadejdzie głosowanie, prawo narzuca pewne procedury nawiązujące do członków rodu asystujących przy głosowaniu.

Do tego miejsca już mi się kręciło w głowie. Czułam się mentalnie wyczerpana słuchając o tych wszystkich prawnych kruczkach i szczegółach technicznych.

- Po prostu przejdź do rzeczy i użyj prostego języka – zażądałam.
- Gdy nadejdzie głosowanie nie będzie można na nią głosować. Nie posiada rodziny, która spełni wymaganą rolę podczas decydujących wyborów. Innymi słowy, prawo mówi, że może kandydować i podejść do testów. Ale ludzie nie będą mogli na nią głosować, bo nie ma rodziny.
- To jest... idiotyczne.

¹⁷ Jakbyśmy nie wiedziały, że Abe maczał w tym palce, to mogłyśmy się założyć, że babka Dymitra niechcący powaliła go swoim kapciem, gdy rzuciła nim w miauczącego pod oknem kota – przyp. Badasski

- Zgadzą się – przerwał. Wydaje mi się, że żadne z nas nigdy nie spodziewało się, że w czymkolwiek się zgodzimy.
- To się nie spodoba Lissie. Ona nigdy, przenigdy nie chciała zostać królową.
- Nie nadążasz za tym? – zawołał Wiktor – Nie będzie królową. Nie może nią być. To źle sformułowane prawo i sytuacja, której nikt nie przewidział. To partactwo. Ale to tak bardzo opóźni elekcję, że uzyskamy dodatkowy czas na odnalezienie rodzeństwa Wasylisy i odkrycie kto naprawdę zamordował Tatianę.
- Hej! Mówiłam ci już: Nie ma żadnych *nas!* Nie zamierzam —

Wiktor i Robert wymienili się spojrzeniami.

- Załatw nominację Wasylisy – powiedział nagle Wiktor. – Wkrótce skontaktujemy się z tobą w sprawie spotkania, by szukać Dragomira.
- To nie—

Obudziłam się.

Moją pierwszą reakcją była chęć przeklęcia, ale wtedy przypomniałam sobie gdzie się znajduje i zadowolłam się przeklinaniem w myślach. Rozpoznałam w rogu sylwetkę Dymitra, ostrożnego i czujnego. Nie chciałam żeby wiedział, że nie śpię. Zamykając oczy, zmieniłam pozycję na bardziej wygodną, modląc się o głęboki sen, który nie będzie zawierał w sobie braci Daszkow i ich nedorzecznych intryg. Lissa ubiegająca się o tron? To było szaleństwo. A jednak... to nie było dużo bardziej zwariowane niż większość rzeczy, które robiłam.

Odkładając to na później, pozwoliłam mojemu ciału się rozluźnić, czując jak zaczynam zapadać się w prawdziwy sen. Z naciskiem na *zaczynam*. Bo nagle poczułam jak wokół mnie pojawia się kolejny sen wywołany duchem.

Najwyraźniej zapowiadała się pracowita noc.

Tłumaczenie: Justa2705

Korekta: Vampire Juliett

Rozdział jedenasty

PRZYGOTOWAŁAM SIĘ, SPODZIEWAJĄC SIĘ zobaczyć jak pojawiają się bracia Daszkow z jakąś "radą" na ostatnią chwilę. Zamiast nich zobaczyłam...

– Adrian!

Przebiegłam przez ogród, w którym się pojawiłam i zarzuciłam na niego ramiona. Przytulił mnie równie mocno i podniósł mnie do góry.

– Little dampir – powiedział, stawiając mnie na ziemi. Jego ręce dalej otaczały moją talię. – Tęskniłem za tobą.

– Ja za tobą również.

I naprawdę miałam to na myśli. Ostatnie kilka dni i ich dziwaczne wydarzenia całkowicie wytrąciły z równowagi moje życie, a bycie z nim – nawet we śnie – było komfortowe. Stałam na palcach i pocałowałam go, ciesząc się ciepłem i spokojem chwili, w której nasze usta się spotkały.

– Nic ci nie jest? – zapytał, gdy się odsunęłam. – Nikt mi nie mówi wiele na twój temat. Twój starszy brat twierdzi, że jesteś bezpieczna i że alchemicy dadzą mu znać, jeśli cokolwiek pójdzie źle.

Nie kłopotowałam się by powiedzieć Adrianowi, że to prawdopodobnie nieprawda, odkąd Abe nie wiedział, że na własną rękę udaliśmy się do jakiś wampirów zamieszkujących puszcę.

– Nic mi nie jest – zapewniłam Adriana. – Jestem głównie znudzona. Zaszyliśmy się w tym zatechłym mieście. Nie sądzę, by ktokolwiek przyjechał nas tutaj szukać. Nie sądzę by chcieli.

Na jego twarz wstąpił wyraz ulgi i dotarło do mnie, jak bardzo się martwił.

– Cieszę się, Rose. Nie możesz sobie wyobrazić jak tu jest. Oni nie tylko przesłuchują ludzi, którzy mogą być z oba powiązani. Strażnicy układają wszelkiego rodzaju plany, by cię wytropić. Ciągłe gadają o „śmiertelnym użyciu siły.”

– No cóż, nie znajdują mnie. Jestem w całkiem odległym miejscu.

Bardzo odległym.

– Chciałbym pójść z tobą.

Nadal wyglądał na zmartwionego. Położyłam mu palec na usta.

– Nie. Nie mów tak. Lepiej, żebyś był tam, gdzie jesteś i żebyś nie wiązał się ze mną bardziej, niż już się związałeś. Byłeś już przesłuchiwany?

- Taa, ale nie wyciągnęli ode mnie niczego użytecznego. Miałem zbyt mocne alibi. Zabrali mnie, gdy poszedłem znaleźć Michaiła, bo rozmawialiśmy z...
- Wiem, z Joe.

Zaskoczenie Adriana było krótkie.

- Little dampir, szpiegowałaś.
- Trudno tego nie robić.
- Wiesz, tak bardzo jak podoba mi się pomysł posiadania kogoś, kto zawsze będzie wiedział, że mam kłopoty, to na swój sposób się cieszę, że nikt nie jest do mnie przywiązany. Nie jestem pewien, czy chciałbym by zagłądano mi w głowę.
- Nie sądzę, by ktokolwiek chciał w nią zagłądać. Jedna osoba żyjąca życiem Adriana Iwaszkowa jest zupełnie wystarczająca. – W jego oczach błysnęło rozbawienie, lecz zniknęło gdy wróciłam do interesów. – W każdym razie, tak. Słyszałam jak Lissa... um, przesłuchuje Joego. To poważna rzecz. Co na to powiedział Michaił? Jeśli Joe skłamał, to oczyszcza połowę dowodów przeciwko mnie.

Teoretycznie zabija też alibi Adriana.

- Niezupełnie połowę. Byłoby lepiej, gdyby Joe powiedział, że podczas morderstwa byłaś w swoim pokoju, zamiast przyznawać, że jest oszustem, który niczego nie pamięta. Byłoby również lepiej, gdyby nie powiedział tego wszystkiego pod wpływem kompulsji Lissy. Michaił nie może tego zgłosić.

Westchnęłam. Przebywając z użytkownikami ducha, zaczynałam uznawać kompulsję za coś oczywistego. Łatwo było zapomnieć, że wśród morojów była tabu i tego rodzaju rzecz, przez którą mogło się wpaść w poważne kłopoty. W rzeczywistości, Lissa nie miałaby kłopotów z tylko powodu nielegalnego używania wpływu. Mogła również zostać oskarżona o zmuszanie Joego do powiedzenia wszystkiego, co chce. Cokolwiek powiedziałaby na moją obronę byłoby podejrzane. Nikt by w to nie uwierzył.

- Ponadto – dodał Adrian, wyglądając na zniesmaczonego – jeśli wyjdzie na jaw to, co powiedział Joe, świat dowie się o niefortunnych wyrazach miłości mojej matki.
- Przykro mi – powiedziałam otaczając go ramionami. Cały czas narzekał na rodziców, ale naprawdę troszczył się o swoją matkę. Dowiedzenie się o jej łapówkarstwie musiało być dla niego trudne. Wiedziałam również, że śmierć Tatiany nadal go bolała. Wydawało się, że ostatnio sporo przebywałam wśród cierpiących mężczyzn. – Chociaż naprawdę się cieszę, że oczyściła cię z jakichkolwiek powiązań.
- To było głupie z jej strony. Jeśli ktokolwiek się o tym dowie, znajdzie się w nie lada tarapatach.
- A co doradził Michaił?

- Ma zamiar znaleźć Joego i prywatnie go przesłuchać. Zacząć stamtąd. Ale jak na razie nie wiele możemy zrobić z tą informacją. Jest dla nas bezużyteczna... ale nie dla systemu prawnego.
- Tak – przyznałam próbując nie czuć się zniechęcona. – Sądzę, że to lepsze niż nic.

Adrian skinął głową, po czym odgonił swój ponury nastrój, przybierając swój typowy styl. Nadal trzymając mnie w ramionach, odsunął się lekko i uśmiechnął, patrząc na mnie w dół.

- Tak przy okazji, ładna sukienka.

Zmiana tematu zaskoczyła mnie, chociaż do teraz powinnam się przyzwyczylić, że to było dla niego typowe. Podążając za jego wzrokiem zauważyłam, że byłam ubrana w swoją starą, seksowną czarną sukienkę, którą miałam na sobie kiedy Wiktor wykorzystał na mnie i Dymitrze urok pożądania. Odkąd Adrian nie wybrał dla mnie stroju we śnie, moja podświadomość podyktowała mój wygląd. To było nieco dziwne, że wybrała akurat to.

- Och... – Nagle poczułam się zażenowana, choć nie wiedziałam czemu. – Moje własne ubrania zostały rozdarte. Sądzę, że chciałam czegoś, co będzie ich przeciwieństwem.
- Cóż, dobrze na tobie wygląda – palec Adriana przejechał wzdłuż ramiączka. – *Naprawdę* dobrze.

Nawet we śnie, ten dotyk sprawił, że moją skórę przeszło mrowienie.

- Uważaj, Iwaszkow. Nie mamy na to czasu.
- Śpimy. Co innego zamierzamy robić?

Moje protesty zostały stłumione pocałunkiem, który mnie pochłonął. Jedną z jego rąk zjechała w dół do mojego uda, blisko krawędzi sukienki. Zabrało mi wiele energii, by przekonać samą siebie, że zdjęcie przez niego sukienki prawdopodobnie nie oczyści mojego imienia. Niechętnie się cofnęłam.

- Mamy zamiar rozgryźć, kto zabił Tatianę – powiedziałam próbując złapać oddech.
- Nie ma „my” – powiedział wykorzystując linię, którą dopiero co wykorzystałam na Wiktorze. – Jestem ja. I Lissa i Christian oraz reszta naszych źle ubranych przyjaciół. – Pogłaskał moje włosy, a następnie ponownie przyciągnął mnie bliżej, całując mnie w policzek. – Nie martw się, little dampir. Zatoszcz się o siebie i zostań tam, gdzie jesteś.
- Nie mogę – powiedziałam. – Nie rozumiesz tego? Ja nie mogę tak po prostu nic nie robić.

Słowa wypłynęły z moich ust, zanim zdołałam je powstrzymać. Jedną rzeczą było buntowanie się Dymitrowi z powodu mojej bezczynności, ale co do Adriana... musiałam sprawić, by on i cała reszta w Dworze myśleli, że robię „właściwą rzecz.”

- Musisz. Zajmiemy się twoją sprawą.

Zdałam sobie sprawę, że nie załapał. Nie rozumiał jak okropnie musiałam zrobić coś pomocnego. Na jego konto trzeba zapisać to, że jego intencje były dobre. Myślał, że zatroszczenie się o mnie jest poważną sprawą. Chciał utrzymać mnie w bezpieczeństwie, ale tak naprawdę nie zdawał sobie sprawy, jaką agonią był dla mnie brak działania. – Znajdziemy tę osobę i powstrzymamy ich przed robieniem tego, cokolwiek to jest... a co chcą zrobić. To może zająć sporo czasu, ale uporamy się z tym.

- Czasu... – mruknęłam wtulona w jego klatkę, odpuszczając sobie kłótnię.

Nigdzie bym nie doszła przekonując go, że muszę pomóc przyjaciółom. Zresztą, miałam teraz własne zadanie. Tak wiele do zrobienia, a tak mało czasu. Wpatrzyłam się w krajobraz, jaki stworzył. Już wcześniej zauważyłam drzewa i kwiaty, ale dopiero teraz uświadomiłam sobie, że byliśmy na przykościelnym dziedzińcu na Dworze, który wyglądał tak, jak przed desantem Abe. Statua królowej Aleksandry była nietknięta, jej długie włosy i uprzejme oczy były utrwalone w kamieniu.

Śledztwo w sprawie morderstwa naprawdę leżało teraz w rękach moich przyjaciół, jednak Adrian miał rację: to może trochę zająć. Westchnęłam.

- Czas. Potrzebujemy więcej czasu.

Adrian lekko się odchylił.

- Hmm? Co mówiłaś?

Spojrzałam na niego w górę, przygryzając dolną wargę, gdy przez mój umysł przewijały się miliony myśli.

Ponownie spojrzałam na Aleksandrę i podjęłam decyzję, zastanawiając się czy właśnie ustanawiałam nowe rekordy w głupocie. Z powrotem odwróciłam się do Adriana i uściśniłam jego dłoń.

- Powiedziałam, że potrzebujemy więcej czasu. I wiem, jak możemy go zdobyć... ale... cóż, jest coś, co musisz dla mnie zrobić. I prawdopodobnie, uch, nie powinieneś wspominać o tym Lissie.... jeszcze...

Miałam wystarczającą ilość czasu, by przekazać moje instrukcje Adrianowi – który był tak zszokowany, jak podejrzewałam – zanim Dymitr obudził mnie na moją zmianę. Zmieniliśmy się niewiele rozmawiając. Miał swój typowy wyraz twarzy, ale mogłam zobaczyć linie zmęczenia wyryte na jego twarzy. Nie chciałam go martwić – jeszcze nie – swoim spotkaniem z Robertem i Wiktorem. Nie wspominając o tym, co właśnie kazałam zrobić Adrianowi. Później będzie mnóstwo czasu na streszczenie. Dymitr zasnął w ten swój łatwy sposób, a Sydney ani razu nie poruszyła się przez cały ten czas. Zazdrościłam jej pełnej nocy snu, jednak nie mogłam powstrzymać uśmiechu, gdy pokój stawał się coraz jaśniejszy. Przypadkowo została wrzucona w wampirzy harmonogram po naszych całonocnych przygodach.

Oczywiście Lissa była na tym samym rozkładzie dnia, co oznaczało, że nie mogłam jej odwiedzić w ciągu swojej zmiany. To też było dobre. Musiałam trzymać oko na tę odrażającą zbieraninę, w którą weszliśmy. Odszczepieńcy może i nie chcieli nas wydać, ale to nie sprawiało też, że byli niegroźni. Nie zapomniałam również o strachu Sydney odnośnie niespodziewanej wizyty alchemików.

Kiedy dla reszty świata nadeszło późne popołudnie, usłyszałam krzątanicę dochodzącą ze środka domu. Delikatnie dotknęłam ramienia Dymitra, który natychmiast się zerwał.

- Spokojnie – powiedziałam, nie mogąc skryć uśmiechu. – To tylko pobudka. Brzmi jakby nasi nabożni przyjaciele wstawali.

Tym razem nasze głosy obudziły Sydney. Przewróciła się w naszym kierunku, a jej oczy zmrużyły się na światło przenikające przez źle zasłonięte okno.

- Która jest godzina? – spytała, rozprostowując kończyny.
- Nie jestem pewna. – Nie miałam zegarka. – Prawdopodobnie jest po południu Trzecia? Czwarta?

Usiadła niemal tak szybko jak Dymitr.

- Po południu? – Światło słoneczne udzieliło jej odpowiedzi. – Niech was cholera i ten wasz bezbożny rozkład dnia.
- Czy ty właśnie powiedziałaś „cholera”? Czy to nie jest wbrew zasadom alchemików? – drażniłam ją.
- Czasami to niezbędne. – Przetarła oczy i spojrzała w kierunku drzwi. Ciche hałasy, które słyszałam teraz były głośniejsze i słyszalne również dla jej ucha. – Myślę, że potrzebujemy planu.
- Mamy już jeden – powiedziałam. – Znaleźć rodzeństwo Lissy.
- Nigdy się z tym w pełni nie zgadzałam – przypomniała mi. – W dodatku wy ciągle myślicie, że aby znaleźć wszystkie wasze odpowiedzi, mogę w magiczny sposób wpisać coś do komputera, jak jakiś haker w filmie.
- Cóż, przynajmniej to jest miejsce... – Przyszła mi do głowy myśl, która mogła narobić niezłego bigosu. – Cholera. Twój laptop nie będzie nawet tutaj działał.
- Ma satelitarny modem, ale bateria jest zmartwieniem. – Sydney westchnęła i wstała, poprawiając swoje zmięte ubrania z konsternacją. – Potrzebuję kawiarni albo czegoś w tym stylu.
- Sądzę, że widziałam jedną w jaskini wzdłuż drogi – powiedziałam.

To niemal wywołało u niej uśmiech.

- Gdzieś blisko musi być jakieś miasto, gdzie mogłabym użyć swojego laptopa.
- To prawdopodobnie nie jest dobry pomysł, żeby gdziekolwiek zabierać samochód, będąc w tym stanie – powiedział Dymitr. – Na wypadek gdyby ktoś z motelu miał twój numer rejestracyjny.
- Wiem – powiedziała ponuro. – Też o tym myślałam.

Nasze genialne układanie planu zostało przerwane przez pukanie do drzwi. Nie czekając na odpowiedź, Sara wsadziła do środka głowę i uśmiechnęła się.

- Och, dobrze, że nie śpicie. Właśnie przygotowujemy śniadanie. Jeśli chcecie, możecie do nas dołączyć.

Przez uchylone drzwi przypląnął do nas aromat czegoś, co pachniało jak normalne śniadanie: bekon, jajka... Chleb wystarczył mi w ciągu nocy, ale byłam gotowa na normalne jedzenie i skłonna pochłonąć do okruszka cokolwiek, co oferowała rodzina Raymonda.

W głównej części domu, zastaliśmy spore domowe poruszenie. Raymond wydawał się gotować coś nad kominkiem, zaś Paulette zastawiała długi stół. Już stał na nim półmisek zupełnie przeciętnej jajecznicy i więcej kromek wczorajszego chleba.

Raymond wstał spod kominka, trzymając dużą metalową blachę, pełną chrupiącego bekonu. Gdy nas dostrzegł, na jego brodatą twarz wstąpił uśmiech. Im więcej widziałam tych Odszczepieńców, tym więcej zaczynałam zauważać. Nie trudzili się ukrywaniem swoich zębów. Moi moroje od dzieciństwa byli uczeni uśmiechać się i mówić w taki sposób, aby zminimalizować ekspozycję kłów, w razie gdyby znaleźli się w ludzkim mieście. Tutaj jednak nie było czegoś takiego.

- Dzień dobry – powiedział Raymond, ostrożnie zrzucając bekon na kolejny półmisek na stole. – Mam nadzieję, że wszyscy jesteście głodni.
- Myślicie, że to *prawdziwy* bekon? – szepnęłam do Sydney i Dymitra. – A nie jakaś wiewiórka czy coś?¹⁸
- Wygląda mi na prawdziwy – powiedział Dymitr.
- Też bym tak powiedziała – odezwała się Sydney. – Chociaż gwarantuję, że jest z ich własnych świń, a nie ze sklepowej półki.

Dymitr roześmiał się na jakikolwiek wyraz twarzy, który przeleciał przez moją twarz.

- Zawsze uwielbiałem widzieć, kiedy coś cię martwi.¹⁹ Strzygi? Nie. Podejrzane jedzenie? Tak.
- Co ze strzygami?

¹⁸ pewnie ta z drzewa, co ją Dymitr zobaczył xD – przyp. Ginger. A nie, bo szop pracz:D – przyp. Czarna

¹⁹ Dosł. *Widzieć, co cię martwi*. – przyp. Ginger

Do domu weszli Joshua i Angelina. On niósł miskę jeżyn, a ona wpychała do środka dzieciaki. Sądząc po ich ubrudzonych twarzach i jękach, najwyraźniej chciały wrócić na zewnątrz. To Angelina zadała pytanie.

Dymitr skrył moją przesadną delikatność.

- Po prostu rozmawiamy o niektórych zabójstwach strzyg, dokonanych przez Rose.

Joshua zatrzymał się i wpatrzył we mnie, a jego ładne niebieskie oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Zabijałaś Straconych? Er... strzygi? – Doceniłam jego próbę użycia „naszego” terminu. – Jak wielu?

Wzruszyłam ramionami.

- Tak naprawdę nie wiem ilu.
- Nie używacie znaków? – odezwał się karcącym tonem Raymond. – Nie sądziłem, że Splamieni z nich zrezygnowali.
- Znaki... och, tak. Nasze tatuaże? Używamy.

Odwróciłam się i uniosłam włosy. Słyszałam szamotanie stóp, a potem poczułam palec dotykający mojej skóry. Wzdrygnęłam się i odskoczyłam z powrotem się odwracając, w samą porę by zobaczyć, jak Joshua z zakłopotaniem opuszcza swoją rękę.

- Przepraszam – powiedział. – Po prostu niektórych z nich nigdy nie widziałem. Tylko znaki *molnija*. Tak liczymy zabite przez siebie strzygi. Ty masz ich... wiele.
- Znak w kształcie „s” jest dla nich *wyjatkowy* – powiedział z dezaprobatą Raymond. Jego mina została szybko zastąpiona podziwem. – Ten inny to *zvezda*.

To spowodowało gwałtowne wdechy Joshuy i Angeliny i „że co?” ode mnie.

- To bitewny znak – powiedział Dymitr. – Niewielu ludzi nazywa go jeszcze zvezdą, co oznacza „gwiazdę”.
- Huh, to ma sens – powiedziałam.

Tatuaż w rzeczy samej miał kształt gwiazdy i był dawany komuś, kto walczył w wystarczająco dużej bitwie i stracił rachubę w ilości zabitych strzyg. W końcu mieliśmy tylko tyle znaków *molnija*, ile można było upchnąć na szyi.

Joshua uśmiechnął się do mnie w sposób, który sprawił, że mój żołądek nieco zatrzepotał. Może był częścią pseudo-Amiszowego kultu, ale to nie zmieniało faktu, że nadal dobrze wyglądał.

- Teraz rozumiem jak mogłaś zabić królową Splamionych.

- Prawdopodobnie jest fałszywy – odezwała się Angelina.

Miałam właśnie zaprotestować na część o zabiciu królowej, ale jej komentarz mnie wykoleił.

- Nie prawda! Zarobiłam go, gdy strzygi zaatakowały naszą szkołę. A potem było jeszcze wiele strzyg, które zabiłam.
- Ten znak nie może być aż tak rzadki – powiedział Dymitr. – Wasi ludzie raz na jakiś czas muszą mieć ze strzygami duże bitwy.
- Niespecjalnie – przyznał Joshua, z oczami nadal utkwionymi we mnie. – Większość z nas nigdy nie walczyła, ani w ogóle nie widziała Straconych. Oni tak naprawdę nas nie niepokoją.

To było zaskakujące. Jeśli kiedykolwiek istniał jakiś cel strzyg, to byłaby nim grupa morojów, dampirów i ludzi gdzieś pośrodku niczego.

- Dlaczego nie? – spytałam.

Raymond puścił mi oko.

- Bo odpowiadamy na atak.

Zastanawiałam się nad jego enigmatycznym oświadczeniem, gdy rodzina usiadła by zjeść. Znowu pomyślałam o gotowości całej społeczności do walki, kiedy tutaj przyjechaliśmy. Czy to wystarczało, by odstraszyć strzygi? Może nie tyle je odstraszało, ale być może z pewnymi rzeczami wiązało się zbyt wiele niedogodności, którymi należało się zająć. Zastanawiałam się jaka byłaby opinia Dymitra na ten temat. Jego własna rodzina pochodziła ze społeczności, która odseparowała się nieco od głównego nurtu morojskiego życia, ale to nie było nic podobnego do tego. Wszystko to wirowało w moim umyśle, podczas gdy jedliśmy i rozmawialiśmy. Odszczepieńcy nadal mieli wiele pytań dotyczących nas i Tatiany. Jediną nie uczestniczącą w rozmowie była Angelina. Jadła tak mało jak Sydney i ciągle patrzyła na mnie z gniewną miną.

- Potrzebujemy jakiegoś zaopatrzenia – powiedziała nagle Sydney, przerywając mi w trakcie makabrycznej historii. Nie miałam nic przeciwko, ale reszta wyglądała na zadowoloną. – Gdzie jest najbliższe miasteczko, w którym jest kawiarnia... albo jakaś restauracja?
- No cóż – powiedziała Paulette – Rubysville jest nieco ponad godzinę drogi na północ. Ale mamy tutaj mnóstwo jedzenia również i dla was.
- Nie chodzi o jedzenie – powiedziałam szybko. – Wasze jest świetne. – Spojrzałam na Sydney. – Godzina to nie tak źle, prawda?

Przytaknęła, a następnie niepewnie rzuciła okiem na Raymonda.

- Czy jest jakiś sposób.... żebyśmy mogli pożyczyć samochód? Mogę... – Następne słowa wyraźnie zadały jej ból. – Zostawię klucze od swojego auta do czasu, aż wrócimy.

Wygiął brew w łuk.

- Macie niezły samochód.

Sydney wzruszyła ramionami.

- Im mniej jeździmy nim po tej okolicy, tym lepiej.

Powiedział nam, że możemy wziąć jego samochód, i że „prawdopodobnie” nie będzie musiał w ogóle korzystać z CR–V. Sydney posłała mu cierpki uśmiech podziękowania, ale wiedziałam, że po jej głowie tańczył obraz wampirów zabierających jej samochód na przejażdżkę.

Wkrótce po tym wyruszyliśmy, chcąc wrócić zanim zajdzie słońce. Ludzie byli poza domem gromadząc się w komunie i wypełniając swoje obowiązki, czy cokolwiek robili ze swoimi żywotami. Grupa dzieci siedziała wokół czytającego im książkę daimona, co zaintrygowało mnie, jakiego rodzaju mieli tutaj edukację.

Wszyscy Odszczepieńcy przerywali cokolwiek robili, gdy ich mijaliśmy, obdarzając nas zaciekawionymi spojrzeniami lub wyraźnymi uśmiechami. Od czasu do czasu odwzajemniałam uśmiechy, ale w większości patrzyłam wprost przed siebie. Joshua odprowadzał nas na „teren parkingowy” i zdołał iść obok mnie, gdy dotarliśmy do wąskiej drogi.

- Mam nadzieję, że nie wyjedziecie na długo – powiedział. – Chciałbym żebyśmy mogli dłużej porozmawiać.
- Jasne – powiedziałam. – To byłoby fajne.

Pojaśniał i szarmancko odepchnął na bok nisko usadowioną gałąź.

- Może mógłbym ci pokazać moją jaskinię.
- Twoją– czekaj, co? Nie mieszkasz ze swoim tatą?
- Na razie. Ale mam swoje własne miejsce. – W jego głosie była duma. – Oczywiście nie jest tak duże jak jego, ale to dobry początek. Jest prawie doprowadzona do porządku.
- To naprawdę, um, świetnie. Zdecydowanie powinieneś mi ją pokazać, kiedy wrócimy – słowa łatwo przyszły na moje usta, ale mój umysł rozważał fakt, że dom Raymonda rzeczywiście był „duży”.

Joshua rozstał się z nami, gdy dotarliśmy do samochodu Raymonda – dużego, czerwonego pick upa z siedzeniem, które ledwie mogło pomieścić naszą trójkę. Zważając na to, że

Odszczepieńcy nie często opuszczali lasy, furgonetka wyglądała jakby miała za sobą wiele mili. Albo może tylko wiele lat nieużytkowania.

- Nie powinnaś wodzić go w ten sposób – powiedział Dymitr, po pięciu minutach jazdy. Zaskakujące było to, że Sydney pozwoliła mu prowadzić. Sądziłam, że myślała, iż męska furgonetka zasługuje na męskiego kierowcę.

Teraz, gdy jechaliśmy, mój umysł z powrotem skupił się na zadaniu, jakie mieliśmy wkrótce wykonać: znalezieniu jeszcze jednego Dragomira.

- Huh?
- Joshua. Flirtowałaś z nim.
- Nie prawda! Tylko rozmawialiśmy.
- Nie jesteś z Adrianem?
- Tak! – wykrzyknęłam, rzucając Dymitrowi piorunujące spojrzenie. Jego oczy były skupione na drodze. – I właśnie dlatego nie flirtowałam. Jak możesz tak wiele temu przypisywać? Joshua nawet mnie nie lubi w ten sposób.
- Właściwie – powiedziała siedząca między nami Sydney – to lubi.

Skierowałam ku niej swoje niedowierzenie.

- Skąd wiesz? Podesłał ci liścik w klasie, czy co?

Przewróciła oczami.

- Nie. Ale ty i Dymitr jesteście w obozie jak bogowie.
- Jesteśmy outsiderami – przypomniałam jej. – Splamionymi.
- Nie. Jesteście postrzegani jako zdiczała strzyga i morderczyni królowej. Tam to może być tylko południowy czar i gościnność, ale ci ludzie mogą być bestialscy. Kładą duży nacisk na bycie zdolnym do skopywania ludziom tyłków. I patrząc na to, jak większość z nich jest niechlujna, wy jesteście... cóż... powiedzmy po prostu, że jesteście dwoma najgorętszymi chodliwymi towarami, które pojawiły się tu od jakiegoś czasu.
- A ty nie jesteś gorąca? – spytałam.
- To nie wiąże się z tematem – powiedziała, czerwieniąc się na komentarz. – Alchemicy nie są nawet na ich radarze. My nie walczymy. Uważają, że jesteśmy słabi.

Wróciłam myślami do zachwyconych twarzy i musiałam przyznać, że wielu ludzi miało zwietrzały, znużony wygląd. Niemal.

- Rodzina Raymonda wygląda całkiem niezłe – zauważyłam. Usłyszałam chrząknięcie pochodzące od Dymitra, który bez wątpienia odczytał to jako dowód mojego flirtowania z Joshuą.
- Tak – powiedziała. – Prawdopodobnie dlatego, że są najważniejszą rodziną w miasteczku. Jedzą lepiej i być może nie muszą zbyt wiele pracować w słońcu. Tego rodzaju rzeczy stwarzają różnice.

W dalszej drodze nie było więcej rozmów o flirtowaniu. W dobrym czasie dotarliśmy do Rubysville, które wyglądało niesamowicie podobnie do pierwszego miasta, w którym się zatrzymaliśmy. Kiedy zatrzymaliśmy się na czymś, co wyglądało na jedyną stację gazu w Rubysville, Sydney wbiegła do środka zapytać o kilka rzeczy. Gdy wróciła, poinformowała nas, że rzeczywiście jest tam pewnego rodzaju kawiarnia, gdzie mogła podłączyć do kontaktu swojego laptopa i spróbować znaleźć to czego potrzebowaliśmy.

Zamówiła kawę, a my usiedliśmy z nią, zbyt pełni po śniadaniu by zamówić cokolwiek znacznego. Po otrzymaniu kilku dezaprobujących spojrzeń od kelnerki, która wydawała się uważać nas za włóczęgi, Dymitr i ja zdecydowaliśmy się przespacerować po miasteczku. Sydney wyglądała na niemal tak samo zadowoloną z tego faktu co kelnerka. Nie sądzę, żeby podobało jej się nasze wiszenie jej nad głową.

Skarżyłam się Sydney na Zachodnią Wirginię, ale musiałam przyznać, że widok był piękny. Miasteczko otaczały wynoszące się ponad nie drzewa, które latem były w pełni pokryte liśćmi. Wydawało się jakby brały je w objęcia. Za nimi wylaniały się góry, które były zupełnie inne od tych w pobliżu Św. Władimira, gdzie dorastałam. Te były walcowate i zielone, pokryte większą ilością drzew. Większość gór w Św. Władimirze była skalista i postrzępiona, często z ośnieżonymi szczytami. Ogarnęło mnie dziwne uczucie nostalgii, myśląc o Montanie. Istniało spore prawdopodobieństwo, że już nigdy więcej jej nie zobaczę. Jeśli spędzę resztę życia uciekając, Św. Władimir był ostatnim miejscem, w które mogłam pójść. Gdybym została złapana, cóż... wtedy zdecydowanie nigdy nie zobaczyłabym znowu Montany.

- Ani żadnego innego miejsca – mruknęłam, mówiąc to na głos zanim się zorientowałam.
- Hmm? – spytał Dymitr.
- Po prostu myślałam o tym, co będzie jeśli złapią nas strażnicy. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak wiele rzeczy, które chcę zobaczyć. I nagle to wszystko wisi na włosku, rozumiesz? – Zeszliśmy na pobocze, gdy przejechał obok nas pomarańczowy pick up. Dzieci, które skończyły lekcje, krzyczały i śmiały się siedząc z tyłu. – Dobra. Przypuśćmy, że moje imię nie jest oczyszczone i nigdy nie znaleźliśmy mordercy. Jaki jest następny najlepszy scenariusz w tym przypadku? Ja, zawsze uciekająca, zawsze się ukrywająca. Takie będzie moje życie. Z tego co wiem, to *będę* musiała żyć z Odszczepieńcami.

- Nie sędę, żeby do tego doszło – powiedział Dymitr. – Abe i Sydney pomogliby ci znaleźć jakieś bezpieczne miejsce.
- Czy takie w ogóle istnieje naprawdę? Adrian powiedział, że strażnicy zwiększają swoje wysiłki, by nas znaleźć. Prawdopodobnie skłonili alchemików i ludzi żeby również nas szukali. Nie ważne gdzie pójdziemy, ryzykujemy wykrycie. A gdy to nastąpi, będziemy musieli się przenieść. I tak będzie wiecznie.
- Będiesz żyła – zauważył. – I to się liczy. Ciesz się z tego co masz, ciesz się każdym małym szczegółem jakiegokolwiek miejsca, w którym jesteś. Nie skupiaj się na tym, gdzie cię *nie ma*.
- Tak – zgodziłam się, próbując zastosować jego radę. Niebo wydawało się trochę bardziej niebieskie, a ptaki odrobinę głośniejsze. – Przypuszczam, że nie powinnam użalać się nad wymarzonymi miejscami, których nie zobaczę. Powinnam być wdzięczna, że w ogóle cokolwiek widzę. I że nie mieszkam w jaskini.

Spojrzał na mnie i się uśmiechnął, a w jego oczach pojawiło się coś, czego nie mogłam odczytać.

- Gdzie chciałabyś pójść?
- Ale tak teraz? – Rozejrzałam się wokół, rozważając nasze opcje. Sklep z przynętami i sprzętem wędkarskim, apteka i lodziarnia. Miałam wrażenie, że to ostatnie będzie naszym obowiązkowym przystankiem zanim opuścimy miasto.
- Nie, na świecie.

Przyjrzałam mu się ostrożnie.

- Sydney będzie wkurzona jeśli odlecimy do Istambułu czy gdzieś.

To obdarzyło mnie stuprocentowym śmiechem.

- Nie to miałem na myśli. Chodź.

Poszłam za nim w kierunku, który wyglądał na sklep z przynętami i sprzętem wędkarskim, po czym zauważyłam schowany za nim mały budynek. PUBLICZNA BIBLIOTEKA RUBYSVILLE.

- Hej, chwila – powiedziałam. – Jedną z kilku dodatkowych zalet ukończenia szkoły jest unikanie takich miejsc.
- Prawdopodobnie jest klimatyzowana – zauważył.

Spojrzałam w dół na mój przemoczony potem top, zauważając lekko różowy odcień mojej skóry. Przy mojej opalanej cerze, rzadko się spiekałam, ale świeciło mocne słońce – nawet o tak późnej porze dnia.

- Prowadź – powiedziałam do niego.

Biblioteka na szczęście była chłodna, choć jeszcze mniejsza niż ta w Św. Włodimirze. Z jakimś niesamowitym instynktem (albo może po prostu znajomością katalogu bibliotecznego), Dymitr zaprowadził nas do sekcji podróźniczej, która zawierała jakieś dziesięć książek, z których trzy były o Zachodniej Wirginii. Skrzywił się.

- Niezupełnie tego się spodziewałem.

Dwukrotnie przejrzał półkę, po czym wziął z niej wielką książkę z kolorową okładką, zatytułowaną „100 Najlepszych miejsc do zobaczenia na świecie.”

Usiedliśmy po turecku na podłodze i podał mi książkę.

- Nie ma mowy, towarzyszu – powiedziałam. – Wiem, że książki są podróżą dla wyobraźni, ale nie sądzę, że dzisiaj jestem na to gotowa.
- Po prostu ją weź – powiedział. – Zamknij oczy i wybierz losowo stronę.

To wydawało się głupie, biorąc pod uwagę wszystko dziejące się w naszych życiach, ale jego twarz mówiła, że jest poważny. Spełniając jego życzenie, zamknęłam oczy i wybrałam stronę ze środka. Otworzyłam na niej.

- Mitchell, Południowa Dakota? – wykrzyknęłam. Przypominając sobie, że jestem w bibliotece, ściszyłam głos. – Ze wszystkich miejsc na świecie, to jest w pierwszej setce?

Znowu się uśmiechał. Zapomniałam jak bardzo mi tego brakowało.

- Przeczytaj.
- Położone dziewięćdziesiąt minut drogi od Sioux Falls,²⁰ Mitchell jest domem Kukurydzianego Pałacu²¹. – Spojrzałam na niego w górę z niedowierzaniem. – *Kukurydzianego Pałacu?*

Przechylił się w moja stronę, przysuwając się bliżej by spojrzeć na zdjęcie.

- Wyobrażałem sobie, że jest zrobiony z liści kukurydzy – zauważył. Zdjęcie pokazywało coś, co wyglądało na budynek w stylu Wschodnioeuropejskim – albo nawet rosyjskim – z wieżyczkami i kopułami w kształcie cebuli.
- Ja również. – Po chwili niechętnie dodałam – Chciałabym go zwiedzić. Założę się, że mają świetne koszulki.
- A ja – powiedział z chytrym spojrzeniem – założę się, że żaden strażnik nie będzie nas tam szukał.

Nie podjęłam żadnych prób ukrycia mojego śmiechu, wyobrażając sobie jak przez resztę naszego życia żyjemy jako uciekinierzy mieszkając w Kukurydzianym Pałacu. Moje

²⁰ **Sioux Falls** – miasto w USA, największe w stanie Południowa Dakota, położone nad rzeką Bois de Sioux – przyp. Ginger

²¹ **Corn Palace** – Jest to Pałac z kukurydzy mieszczący się w Mitchell. Odbývają się tam jakieś coroczne festyny zbiorów, które przyciągają turystów. U nas mówią, że to największy karmnik dla ptaków na świecie – przyp. Ginger

rozbawienie przyniosło nam burę od bibliotekarza. Uspokoił się, kiedy nadeszła kolej Dymitra. San Paolo, Brazylia. Potem była moja kolej: Honolulu, Hawaje. Podawaliśmy sobie książkę tam i z powrotem, i wkrótce oboje leżeliśmy obok siebie na podłodze, dzieląc się naszymi różnymi reakcjami, **gdy** kontynuowaliśmy te „światowe tournée po wyobraźni”. Nasze ramiona i nogi ledwie się dotykały.

Gdyby czterdzieści osiem godzin temu ktoś mi powiedział, że będę leżała w bibliotece z Dymitrem, czytając podróżniczą książkę, powiedziałabym, że zwariował. Niemal tak samo zwariowane było uświadomienie sobie, że robiłam z nim coś zupełnie zwykłego i swobodnego. Od momentu gdy się spotkaliśmy, w naszych życiach była skrytość i niebezpieczeństwo. I naprawdę, to *nadal* ciągle w nich dominowało. Ale w przeciągu tych kilku spokojnych godzin, czas wydawał się stać w miejscu. Miedzy nami był pokój. Byliśmy przyjaciółmi.

- Florencja, Włochy – przeczytałam. Stronę wypełniały zdjęcia wyszukanych kościołów i galerii. – Sydney chce tam jechać. Właściwie to chciała tam studiować. Jeśli Abe zdołałby to załatwić, to sądzę, że służyłaby mu do końca życia.
- Już jest całkiem posłuszna – spostrzegł Dymitr. – Nie znam jej dobrze, ale jestem całkiem pewien, że Abe coś na nią ma.
- Wyciągnął ją z Rosji z powrotem do USA.

Pokręcił głową.

- To musi być coś więcej niż to. Alchemicy są lojalni swoim rozkazom. Nie lubią nas. Ukrywa to, gdyż są do tego szkoleni, ale każda minuta z Odszczepieńcami jest agonią. Skoro nam pomaga i zdradza swoich przełożonych, musi mu wisieć poważną przysługę. – Oboje przerwaliśmy podróż na moment, zastanawiając się jaki tajemniczy układ zawarł z nią mój ojciec. – To jednak nie wiąże się z tematem. Pomaga nam, co się liczy... i prawdopodobnie powinniśmy do niej wracać.

Wiedziała, że miał rację, ale nie chciałam iść. Chciałam tu zostać, w tej iluzji spokoju i bezpieczeństwa, pozwalając sobie wierzyć, że naprawdę mogę pojechać do Partenonu, a któregoś dnia nawet do Kukurydzianego Pałacu. Z powrotem podałam mu książkę.

- Jeszcze raz.

Wybrał na ślepo stronę i otworzył. Jego uśmiech zniknął.

- Sankt Petersburg.

Dziwna mieszanina uczuć splątała się w mojej klatce. Nostalgia – bo miasto było piękne. Żal – bo moja wizyta została splamiona przez okropne zadanie, dla którego tam pojechałam. Dymitr wpatrywał się w stronę przez długi czas ze smutkiem na twarzy. Przyszło mi wtedy do głowy, że pomimo swoich wcześniejszych słów podnoszących na duchu, musiał doświadczać tego, co ja przy Montanie: nasze dawne, ulubione miejsca były dla nas stracone.

Trącałam go lekko.

- Hej, ciesz się tym, gdzie jesteś, pamiętasz? Nie tym, gdzie nie możesz jechać.

Niechętnie zamknął książkę i odwrócił od niej wzrok.

- Od kiedy to stałaś się taka mądra? – drażnił się.
- Miałam dobrego nauczyciela.

Uśmiechnęliśmy się do siebie i coś przyszło mi do głowy. Przez cały ten czas uważałam, że pomógł mi wyciągnąć z więzienia z powodu polecenia Lissy. Może było w tym coś więcej.

- To dlatego ze mną uciekłeś? – zapytałam. – By zobaczyć tyle zakątków świata, ile możesz?

Jego zaskoczenie było krótkie.

- Nie potrzebujesz mnie, żeby być mądra, Rose. Sama sobie dajesz radę. Tak, po części dlatego. Być może ostatecznie mógłbym zostać z powrotem zaakceptowany, ale istniało ryzyko, że nie. Po tym... po byciu strzygą... – zająknął się nieco przy tych słowach. – Zacząłem na nowo doceniać życie. To zajęło trochę czasu, choć nadal nie do końca to robię. Mówimy o skupieniu się na teraźniejszości, nie na przyszłości – ale to przeszłość mnie prześladowa. Twarze. Koszmary. Im dalej jestem od świata zmarłych, tym więcej chcę czerpać z życia. Zapach tych książek i twoich perfum. Sposób, w jaki światło wpada przez to okno. Nawet smak śniadania zjedzonego z Odszczepieńcami.
- Mówisz teraz jak poeta.
- Nie, po prostu zaczynam uświadamiać sobie prawdę. Szanuję prawo i zwyczaje naszego społeczeństwa, ale nie było mowy, żebym ryzykował zmarnowanie życia w jakiejś celi tuż po tym, jak je na nowo odnalazłem. Też chciałem uciec. Dlatego ci pomogłem. Dlatego i dlatego, że...
- Dlaczego?

Studiowałam go, rozpaczliwie pragnąc, by nie był tak dobry w trzymaniu swoich uczuć z dala od twarzy. Znałam go dobrze i rozumiałam go, ale nadal mógł ukryć przede mną pewne rzeczy.

Usiadł nie spotykając moich oczu.

- To nie ma znaczenia. Wracajmy do Sydney i zobaczmy, czy znalazła cokolwiek... chociaż tak bardzo jak nie cierpię tego przyznawać, to sędzę, że to mało prawdopodobne.
- Wiem. – Wstałam z nim, nadal się zastanawiając co jeszcze chciał powiedzieć. – Prawdopodobnie poddała się i zaczęła grać w *minisopera*.

Skierowaliśmy się z powrotem do kawiarni, zatrzymując się na krótko na lody. Jedzenie ich podczas marszu stanowiło pewne wyzwanie. Słońce zbliżało się do horyzontu, malując wszystko pomarańczem i czerwienią, ale gorąco pozostało. *Ciesz się tym, Rose*, powiedziałam sobie. *Kolorami. Smakiem czekolady*. Oczywiście zawsze kochałam czekoladę. Moje życie nie musiało wisieć na włosku, żebym delectowała się deserem.

Dotarliśmy do kawiarni zastając Sydney pochylającą się nad swoim laptopem. Na stole stał ledwie tknięty duński placek drożdżowy i jakieś cztery kubki kawy. Wślizgnęliśmy się na siedzenia obok niej.

- Jak tam.. Hej! *Grasz* w minisopera! – próbowałam bliżej przyjrzeć się ekranowi, ale odwróciła go ode mnie. – Miałaś się zająć znalezieniem jakiś powiązań z kochanką Erica.
- Już to zrobiłam – odpowiedziała prosto.

Wymieniliśmy się z Dymitrem zdumionymi spojrzeniami.

- Ale nie wiem jak to może być użyteczne.
- Wszystko będzie użyteczne – zapewniłam ją. – Czego się dowiedziałas?
- Po próbach wysledzenia wszystkich zapisów i transakcji bankowych – a powiem ci, że to wcale *nie* jest przyjemne – w końcu znalazłam mały strzępek informacji. Konto bankowe, na które mamy obecnie zamiary, jest nowe. Zostało przeniesione z innego banku jakieś pięć lat temu. Stare konto nadal widniało na nazwisko Jane Doe, *ale* miało klauzulę przekazującą je najbliższemu krewnemu na wypadek, gdyby coś się stało właścicielowi.

Prawie nie mogłam oddychać. Transakcje finansowe były dla mnie czarną magią, ale właśnie mieliśmy się dowiedzieć czegoś konkretnego.

- Jakies rzeczywiste imię?

Sydney przytaknęła.

- Sonia Karp.

Tłumaczenie: Ginger_90

Korekta: Justa2705

Rozdział dwunasty

DYMITR I JA ZAMARLIŚMY zszokowani, kiedy uderzył w nas dźwięk tego imienia. Sydney, spoglądając pomiędzy naszymi twarzami, uśmiechnęła się do nas sucho.

- Rozumiem, że wiecie kto to jest.
- Oczywiście! – zawołałam. – Była moją nauczycielką. Zwariowała i zmieniła się w strzygę.

Sydney kiwnęła głową.

- Wiem.

Moje oczy rozszerzyły się bardziej.

- Ona nie jest... Ona nie jest tą, która miała romans z ojcem Lissy?

O mój Boże. To byłoby jedno z najbardziej nieoczekiwanych odkryć w rollercoasterze,²² którym było moje życie. Nie mogłam nawet wyobrazić sobie, jakie byłyby tego efekty.

- Mało prawdopodobne. – powiedziała. – Konto zostało otwarte kilka lat przed tym jak została dodana jako spadkobierca – co stało się dokładnie, kiedy skończyła 18 lat. Więc jeśli założymy, że konto zostało stworzone mniej więcej w czasie kiedy urodziło się dziecko, wtedy byłaby na to za młoda. Sonia prawdopodobnie jest krewną.

Moje wcześniejsze zaszokowanie zmieniło się w podekscytowanie i mogłam zobaczyć, że to samo dzieje się z Dymitrem.

- Musisz mieć jakąś dokumentację o jej rodzinie – powiedział. – A jeśli nie, to niektórzy moroje mogą mieć. Kto jest blisko spokrewniony z Sonią? Ma siostrę?

Sydney potrząsnęła głową.

- Nie. Chociaż to byłby oczywisty wybór. Niestety ma sporo rodzinę – *tony* krewnych. Oboje jej rodzice pochodzą z ogromnych rodzin, więc ma mnóstwo kuzynostwa. Nawet niektóre z jej ciotek są w odpowiednim wieku.
- Możemy je sprawdzić, prawda? – zapytałam.

Przeszedł przeze mnie dreszcz oczekiwania. Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się aż tylu informacji. Prawda, było ich mało, ale to już coś. Jeśli Sonia Karp była powiązana z kochanką Erica, było to coś, co mogliśmy wyśledzić.

- Jest ich mnóstwo. – Sydney wzruszyła ramionami. – To znaczy, tak, moglibyśmy. Znalazienie historii życia każdej z nich zabierze nam sporo czasu, ale nawet wtedy – szczególnie, jeśli byłoby to wystarczająco dobrze ukryte – mielibyśmy kłopot z

²²*Rollecoaster* – czyli w kolejce górskiej. Wiecie, raz na górze raz pod spodem, jak to w życiu – przyp. Ginger

dowiedzeniem się, czy któraś z tych kobiet jest tą, której szukamy. Albo nawet jeśli któraś z nich wiedziała kim ona jest.

Głos Dymitra był cichy i rozważny kiedy przemówił.

- Jedna osoba wie kim jest Jane Doe.²³

Sydney i ja spojrzaliśmy na niego wyczekująco.

- Sonia Karp – odpowiedział.

Podniosłam ręce do góry.

- Tak, ale nie możemy z nią porozmawiać. Jest przegraną sprawą. Michaił Tanner spędził ponad rok polując na nią i nie mógł jej znaleźć. Jeśli on nie mógł, my też raczej nie damy rady.

Dymitr odwrócił się ode mnie i zaczął wpatrywać się w widok za oknem. Jego brązowe oczy wypełniły się smutkiem, gdy jego myśli na chwilę odpłynęły od nas. Nie rozumiałam dokładnie co się działo, ale ten spokojny moment w bibliotece – gdzie Dymitr uśmiechnął się i opowiedział mi o swoim marzeniu wiedzenia prostego życia – zniknął. I nie tylko moment. Ten Dymitr zniknął. Był znowu w swoim zagorzałym trybie, znowu nosząc na swoich barkach ciężar świata. W końcu westchnął i znowu na mnie spojrzał.

- To dlatego, że Michaił nie miał odpowiednich znajomości.
- Michaił był jej chłopakiem – wytknęłam. – Miał więcej znajomości niż ktokolwiek inny.

Dymitr nie przyznał mi racji i w zamian znowu stał się zamyślony. Mogłam zobaczyć zamieszanie za jego oczami, jakąś wewnętrzną walkę. W końcu decyzja musiała zostać podjęta.

- Czy twój telefon ma tutaj zasięg? – zapytał Sydney.

Kiwnęła głową i sięgnęła do swojej torebki, po czym podała mu swój telefon. Trzymał go przez chwilę wyglądając jakby dotykanie go przyprawiało go o mękę. W końcu z kolejnym westchnieniem, wstał i skierował się do drzwi. Sydney i ja wymieniliśmy zdziwione spojrzenia i obie ruszyliśmy za nim. Została za mną w tyle, gdyż musiała podrzucić pieniądze na stolik i złapać swojego laptopa. Pojawiłam się na zewnątrz w momencie kiedy Dymitr skończył wybierać numer i przyłożył telefon do ucha. Sydney dołączyła do nas i chwilę później osoba po drugiej stronie linii musiała odpowiedzieć.

- Boris? – zapytał Dymitr.

²³ *Jane Doe* to żeński odpowiednik Joe Doe – w USA używa się tego nazwiska dla osób o nieznanym tożsamości – takie nasze NN. – przyp. VJ

To było wszystko co zrozumiałam, bo reszta była potokiem szybkiej rosyjskiej gadaniny. Kiedy mówił rozprzestrzeniało się we mnie dziwne wrażenie. Byłam zmieszana i zagubiona z powodu języka... ale było tam coś więcej niż to. Poczułam chłód. Mój puls przyśpieszył ze strachu. Ten głos... Znałam ten głos. To był jego głos i już nie jego głos. Był to głos moich koszmarów, głos chłodu i okrucieństwa.

Dymitr grał strzygę.

Cóż, „grał” było naprawdę zbyt delikatnym słowem. Udawał było lepszym wyrażeniem do opisanego tego. Cokolwiek to było, było cholernie bardzo przekonujące. Obok mnie Sydney zamarła, ale nie sądziłam, żeby przeżywała to co ja. Nie znała go jako strzygi. Nie miała tych koszmarnych wspomnień. Jego zmiana postawy musiała być jasna, ale kiedy spojrzałam na jej twarz zrozumiałam, że była skupiona na śledzeniu rozmowy. Zapomniałam, że znała rosyjski.

– Co on mówi? – szepnęłam.

Jej brwi zmarszczyły się jeszcze bardziej albo z powodu rozmowy, albo dlatego że ją rozproszyłam.

– On... On brzmi jakby rozmawiał z kimś, z kim jakiś czas nie rozmawiał. Dymitr oskarża tą osobę o obijanie się kiedy był nieobecny. – Umilkła, kontynuując swoje własne mentalne tłumaczenie. W pewnym momencie głos Dymitra wzrósł w gniewie i obie się wzdrygnęłyśmy. Odwróciłam się do niej pytająco. – Jest wściekły o kwestionowanie jego autorytetu. Nie mogę tego stwierdzić, ale teraz... wygląda na to, że tamta osoba zaczyna się płaszczyć.

Chciałam znać każde słowo, ale to musiało być dla niej trudne żeby mi tłumaczyć i w tym samym czasie słuchać. Głos Dymitra powrócił do normalnego tonu – jednak nadal był wypełniony tą straszną grozą – i wśród deszczu słów usłyszałam „Sonia Karp” i „Montana”.

– Pyta o pannę Kar... Sonię? – mruknęłam. Nie była moją nauczycielką od dłuższego czasu. Mogłam ją równie dobrze nazywać teraz Sonią.
– Tak – powiedziała Sydney patrząc ciągle na Dymitra. – On pyta – eee, każe – tej osobie zlokalizować kogoś innego i sprawdzić czy może znaleźć Sonię. Ta osoba... – zrobiła pauzę żeby znowu posłuchać. – Ta osoba, o którą on pyta zna wielu ludzi na terenie, gdzie ostatnio była widziana.

Wiedziałam, że „ludzie” w tym kontekście oznaczali „strzygi”. Dymitr szybko zdobył wysoką pozycję wśród nich, narzucając innym swoją wolę i władzę. Większość strzyg pracowała solo, rzadko pracując w grupach, ale nawet te samotne rozpoznawały groźby i bardziej dominujące strzygi. Dymitr wyrobił sobie znajomości, tak jak wcześniej powiedział. Jeśli nawet jakieś strzygi słyszały o jego przemianie – i uwierzyły w nią – nie mogły szybko przekazać tych wiadomości, nie z ich brakiem organizacji.

W tej oto sytuacji, Dymitr zaczął grać wykorzystując innych by znaleźć źródła informacji, które mogły znać inne źródła, które mogły wiedzieć, gdzie ukrywa się Sonia. Dymitr znów

zaczął mówić głośno i gniewnie, a jego głos stał się – jeśli to możliwe – bardziej złowrogi. Nagle poczułam się złapana w pułapkę i nawet Sydney wyglądała teraz na przestraszoną. Przełknęła.

- Mówi temu facetowi, że jeśli nie odpowie do jutrzejszej nocy, to go znajdzie i rozerwie go na kawałki i... – Sydney nie przejmowała się kończeniem. Jej oczy się rozszerzyły. – Użyj swojej wyobraźni. To dosyć koszmarnie.

I wtedy zdecydowałam, że czułam coś na kształt zadowolenia, że nie słyszałam całej rozmowy po angielsku.

Kiedy Dymitr zakończył połączenie i oddał Sydney telefon, to maska zła stopniała z jego twarzy. Znowu był moim Dymitrem, Dymitrem dampirem. Promieniowały z niego przygnębienie i rozpacz, oparł się o ścianę kawiarni, wpatrując się w górę na niebo. Wiedziałam co robi. Próbował się uspokoić i odzyskać kontrolę nad emocjami, które toczyły w nim walkę. Właśnie zrobił coś, co mogło nam dać wskazówki, których potrzebowaliśmy... ale odbyło się to dla niego strasznym kosztem. Moje palce drgnęły. Chciałam go objąć pocieszająco, albo chociaż pogłaskać po ramieniu żeby wiedział, że nie jest sam. Ale cofnęłam się, podejrzewając, że nie spodobało by mu się to.

W końcu zwrócił swój wzrok z powrotem na nas. Odzyskał swoją kontrolę – przynajmniej tą zewnętrzną.

- Wysłałem kogoś żeby o nią popytał – powiedział ciężko. – Choć to może nie zadziałać. Strzygi są raczej ciężkim typem do umieszczenia w bazie danych. Ale czasem mają na oku inne z powodu ich instynktu samozachowawczego. Niedługo się dowiemy czy są jakieś ślady.
- Ja... wow. Dziękuję – powiedziałam, ostrożnie dobierając słowa. Wiedziałam, że nie potrzebował podziękowań, ale ja uważałam je za konieczne.

Kiwnął głową.

- Powinniśmy wrócić do Odszczepieńców... o ile myślicie, że to bezpieczne miejsce do zostania?
- Wolałabym zostać poza radarem cywilizacji – powiedziała Sydney ruszając w kierunku ciężarówki. – Poza tym, chcę odzyskać moje kluczyki.

Powrót wydawał się trwać dziesięć razy dłużej. Nastrój Dymitra rozprzestrzenił się po kabinie niemal przytłaczając nas swoją rozpaczą. Nawet Sydney mogła to wyczuć. Znowu pozwoliła mu prowadzić i nie mogłam zdecydować, czy to dobrze, czy źle. Czy droga rozproszy jego związane ze strzygami cierpienie? Czy jego ból nie pozwoli mu się skoncentrować na drodze i wpakuje nas do jakiegoś rowu?

Na szczęście wróciliśmy bezpieczni i zdrowi, znajdując na miejscu czekających na nas dwoje Odszczepieńców (vel nudystów xD – przyp. Mag), którymi byli morojka i ludzki mężczyzna. Oboje wyglądali agresywnie. Ciągłe nie mogłam się otrząsnąć z zadziwienia, w jakie wprawiała mnie gotowość do walki obu tych ras. Zastanawiałam się, czy tych dwoje jest parą.

Po powrocie zastaliśmy w obozie płonące ognisko i ludzi siedzących wokół niego. Niektórzy z nich jedli, niektórzy udzielali się towarzysko. Nauczyłam się na śniadaniu, że ognisko zawsze było dla tych, którzy chcieli zacieśnić więzi, jednakże wiele rodzin trzymało się własnego zacisza domowego.

Wróciliśmy do domu Raymonda, ale zastaliśmy tam tylko Sarę i Joshuę. Ona zmywała naczynia, a on siedział niespokojnie na krześle. W momencie kiedy zobaczył mnie w drzwiach, zerwał się, posyłając mi kolejny uśmiech z najwyższej półki.

- Rose! Wróciłaś. Zaczynaliśmy się martwić... Znaczący, nie żeby coś ci się stało – nie z twoimi zdolnościami – ale sadziliśmy, że może nas opuścić.
- Nie bez naszego samochodu – powiedziała Sydney, kładąc kluczyki na stole. Te od CR-V nadal tam leżały i na jej twarzy pojawiła się ulga, kiedy je porwała.

Sara ofiarowała nam resztki, których nie przyjęliśmy, zaopatrując się wcześniej w przekąski na stacji paliw w Rubysville.

- Cóż – powiedziała – jeśli nie będziecie jeść, możecie równie dobrze dołączyć do innych przy ognisku. Być może tej nocy Jess McHale zaśpiewa, jeśli zdołają ją wystarczająco upić. Pijana czy trzeźwa, ta kobieta ma najlepszy głos, jaki kiedykolwiek słyszałam.

Na krótko spojrzałam w oczy Dymitra i Sydney. Przyznaję, byłam trochę ciekawa jak ta grupa z dziczy się bawi, nawet jeśli światło księżyca i ludowe piosenki nie były moimi ulubionymi rozrywkami. Dymitr nadal miał ten udreńczony wygląd twarzy od czasu tamtej rozmowy telefonicznej.

Podejrzewałam, że byłby zadowolony, gdyby odizolował się w swoim pokoju, ale kiedy Sydney powiedziała, że wybrałaby się na ognisko, automatycznie powiedział „Też pójdę”. Natychmiast zrozumiałam co robi. Dręczyły go jego dni bycia strzygą, dręczyło go rozmawianie ze strzygą, i może – nie, na pewno – chciałby się gdzieś ukryć, żeby to zablokować, ale był Dymitrem. Dymitr chronił tych, którzy tego potrzebowali i chociaż słuchanie ogniskowych piosenek nie było właściwie zagrożeniem dla życia, to to wciąż nie było do końca bezpieczna sytuacja dla cywila takiego jak Sydney. Nie mógł jej tak zostawić. W dodatku wiedział, że Sydney czułaby bezpieczniejsza, jeśli oboje będziemy blisko.

Zacząłam mówić, że dołączę do nich, ale Joshua mnie uprzedził.

- Nadal chcesz zobaczyć moją jaskinię? Wciąż jest trochę światła na zewnątrz. Będiesz miała lepszy widok niż gdybyśmy użyli tylko pochodni.

Zdażyłam już zapomnieć o mojej ostatniej rozmowie z Joshuą i zaczęłam się wymigiwać, ale wtedy coś błysnęło w oczach Dymitra, coś dezaprobującego. Tak. Nie chciał, żebym się gdzieś wybrała z jakimś młodym, przystojnym facetem. Czy był to uzasadniony niepokój związany z Odszczepieńcami? Czy to była zazdrość? Nie, na pewno nie to ostatnie. Ustaliliśmy już – wiele, wiele razy – że Dymitr nie chciał mieć ze mną romantycznych relacji. Przypominał mi nawet wcześniej o Adrianie. Czy to była jakaś charakterystyczna

postawa byłych chłopaków? A propos Rubysville, wierzyłam, że ja i Dymitr możemy być przyjaciółmi, ale to się nie mogło stać, jeśli mu się wydawało, że może kontrolować mnie i moje życie miłosne. Znałam dziewczyny z takimi byłymi. Nie będę jedną z nich. Mogłam się umawiać z kim tylko chciałam.

- Jasne – powiedziałam. Mina Dymitra spochmurniała. – Bardzo chętnie.

Joshua i ja wyszliśmy, zostawiając pozostałych. Wiedziałam, że częścią mojej decyzji była próba udowodnienia mojej niezależności. Dymitr mówił, że jesteśmy partnerami, jednak to on podejmował cholerną większość decyzji w czasie tej ucieczki, bez konsultacji ze mną. Miło było poczuć, że trzymam rękę na sterze. Zresztą lubiłam Joshuę i byłam skora dowiedzieć się więcej o życiu tych ludzi. Nie sądziłam by Sydney chciała żebym wyszła, ale Dymitr mógł się nią zająć.

Gdy szliśmy z Joshuą, mijaliśmy tu i ówdzie mnóstwo Odszczepieńców. Tak jak wcześniej przyciągałam sporo spojrzeń. Zamiast poprowadzić nas w dół drogą przy której mieszkał jego ojciec, Joshua zabrał mnie ścieżką wijącą się wokół małej góry. Wciąż była spora, ale po życiu w cieniu Gór Skalistych wszystko w Appalachach wydawało mi się „małe”. Przypuszczam, że byłam górskim snobem.

Niemniej jednak góra wydłużyła naszą drogę i oddalaliśmy się coraz bardziej i bardziej od głównej osady Odszczepieńców. Drzewa stawały się coraz wyższe, a światło zaczęło się robić rzadkie, kiedy słońce w końcu zaczęło nikać za horyzontem.

- Jestem trochę typem odludka – wyjaśnił Joshua przepraszająco. – Jest nas coraz więcej, a nie ma za wiele przestrzeni w centrum miasta. – Jak dla mnie „miasto” było bardzo optymistycznym określeniem, ale nie powiedziałam tego. Tak. Zdecydowanie byłam snobem. – Ale jaskinie rozchodzą się w środku, więc wciąż jest w nich miejsce.
- Są naturalne? – zapytałam.
- Niektóre. Inne to opuszczone szyby kopalń.
- Ładnie tutaj – powiedziałam. Podobały mi się te wszystkie liściaste drzewa. Mogłam tęsknić za Montaną, ale liście były przyjemnym kontrastem do sosnowych igieł. – I w końcu masz tu trochę prywatności, prawda?
- Prawda – przyznał. – Zastanawiam się tylko, czy nie myślisz, że to... sam nie wiem. Zbyt prostackie. Albo dzikie. Pewnie myślisz tak o nas wszystkich.

Jego obserwacja zaskoczyła mnie. Większość Odszczepieńców była tak zawzięta w bronieniu swoich stylów życia, że nawet mi do głowy nie przyszło, że jakiś outsider może to kwestionować – albo, że któregośkolwiek Odszczepieńca obchodziło to, że my to robimy.

- To po prostu inne – powiedziałam dyplomatycznie. – Bardzo różne od tego, do czego przywykłam.

Poczułam ukłucie tęsknoty za tymi wszystkimi ludźmi i miejscami, od których byłam teraz odcięta. Lissa. Adrian. Nasi przyjaciele. Dwór. Święty Władimir. Otrząsnęłam się szybko z tych uczuć. Nie miałam czasu na roztkliwienie się i ostatecznie mogłam później sprawdzić Lisę.

- Byłem w ludzkich miastach. – kontynuował Joshua. – I w innych miejscach, gdzie żyją Splamieni. Nie dziwię się, że ci to odpowiada. – wydawał się trochę zakłopotany.
- Nie miałbym nic przeciwko elektryczności.
- Dlaczego jej nie używacie?
- Używalibyśmy, gdyby się dało. Jesteśmy po prostu za daleko i nikt tak na prawdę nie wie, że tu jesteśmy. Liliowi ludzie mówią, że lepiej dla nas, żebyśmy pozostali w ukryciu.

Dotarło do mnie, że oni po prostu znosili te warunki, bo zostali zmuszeni do ukrywania się. Zastanawiałam się, ile z ich decyzji wynika z trzymywania się tak zwanych starych dróg... a jak wiele wpływa od alchemików.

- Jesteśmy – powiedział Joshua, wytrącając mnie z zamyślenia.

Wskazał na mroczną dziurę w ziemi. Wejście było dość duże, by mógł przez nie przejść dorosły.

- Ładnie – powiedziałam.

Zauważyłam wcześniej, że niektóre z jaskiń są położone wyżej w górach i mogłam obserwować ich mieszkańców wspinających się po uchwytych w skale, lub drabinach. Wejście z łatwym dostępem wydawało się luksusem. Joshua wyglądał na zaskoczonego moją pochwałą.

- Naprawdę?
- Naprawdę.

W końcu skończyło się nam światło dzienne. Zatrzymał się, żeby zapalić pochodnię i wtedy poszłam za nim. Na początku musieliśmy się trochę pochylić, ale gdy wchodziliśmy w głąb jaskini, strop powoli zaczął się podnosić i otworzyła się przed nami szeroka, zaokrąglona przestrzeń. Za podłogę robiła twardo ubita ziemia, kamienne ściany były szorstkie i poszarpane. To była naturalna jaskinia, ale mogłam sobie wyobrazić ile wysiłku potrzeba, żeby ją ucywilizować. Podłoga była uprzątnięta i wyrównana, zobaczyłam w rogu jakieś kamienie i głązy, które wyglądały jakby zostały tam zebrane po oczyszczeniu przestrzeni. Wniesiono też trochę mebli: wąskie drewniane krzesło i materac, który wyglądał jakby ledwie mógł pomieścić jedną osobę.

- Pewnie myślisz, że jest mała – powiedział Joshua.

Nie dało się zaprzeczyć, ale jaskinia była właściwie większa niż mój pokój w dormitorium Świętego Władimira.

- Cóż... tak, ale ile właściwie masz lat?
- Osiemnaście.
- Tak jak ja – powiedziałam. Wyglądało na to, że to go uszczęśliwiło. – Posiadanie swojej własnej, hm, jaskini jest naprawdę świetne w wieku osiemnastu lat.

Byłaby jeszcze lepsza, gdyby miała elektryczność, internet i kanalizację, ale nie było potrzeby o tym wspominać.

Jego niebieskie oczy zaświeciły. Nic nie mogłam na to poradzić, że zauważyłam jak pięknie kontrastują z jego opaloną skórą. Odepchnęłam natychmiast te myśli. Nie byłam tu żeby szukać chłopaka. Ale najwyraźniej byłam tu jedyną, która w to wierzyła. Joshua zbliżył się o krok.

- Możesz zostać, jeśli chcesz – powiedział. – Inni Splamieni nigdy cię tu nie znajdą. Moglibyśmy zawrzeć małżeństwo, a gdybyśmy mieli dzieci, można byłoby zrobić strych jak u moich rodziców i...

Słowo „małżeństwo” sprawiło, że odskoczyłam w stronę wyjścia bardziej zszokowana i spanikowana niż gdyby zaatakowała mnie strzyga. Szczególnie, że zwykle miałam niezłe ostrzeżenie zanim coś takiego następowało.

- Czekaaj, czekaaj. Zwolnij. – Nie. Oświadczyń to się nie spodziewałam. – Dopiero się poznaliśmy.

Na szczęście nie podszedł bliżej.

- Wiem, ale czasami tak to już jest.
- Co, małżeństwa między ludźmi, którzy ledwie się znają? – spytałam niedowierzająco.
- Jasne. To się zdarza cały czas. I poważnie, minęło tak niewiele czasu a ja już wiem, że cię lubię. Jesteś wspaniała. Jesteś piękna i oczywiście świetna z ciebie wojowniczką. A sposób w jaki potrafisz o sobie zadbać... – potrząsnął głową z trwogą na twarzy. – Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

Wolałabym, żeby nie był tak uroczy i miły. Łatwiej było sobie poradzić z przerażającym facetem wyznającym swoje uwielbienie niż z takim, którego się lubiło. Przypomniało mi się, jak Sydney mówiła, że jestem tutaj gorącym towarem. Najwyraźniej lepiej pasowałoby słowo „palący”.

- Joshua, naprawdę cię lubię, ale... – dodałam szybko, widząc jego nadzieję. – Jestem za młoda żeby wychodzić za mąż.

Uniósł brwi.

- Nie mówiłaś, że masz osiemnaście lat?

No dobrze. Wiek prawdopodobnie nie był tutaj dobrym argumentem. Widziałam jak młodzi ludzie mieli dzieci w rodzinnym mieście Dymitra. W miejscu takim jak to, prawdopodobnie zawierano małżeństwa między dziećmi. Spróbowałam z innej strony.

- Nawet nie wiem, czy w ogóle chcę wychodzić za mąż.

To nie zbiło go z tropu. Przytaknął ze zrozumieniem.

- To mądre. Moglibyśmy najpierw pomieszkać razem i zobaczyć, jak by nam szło. – Jego poważna mina ponownie rozjaśniła się w uśmiechu. – Jestem całkiem bezproblemowy. Pozwolę ci wygrać w każdej kłótni.

Nie mogłam się powstrzymać i roześmiałam się.

- Świetnie, więc po prostu jestem skazana na zwycięstwo w tej dyskusji i mówię ci po prostu, że nie jestem gotowa na... cokolwiek z tego. Poza tym już jestem z kimś związana.
- Z Dymitrem?
- Nie. Z innym facetem. Został na Dworze Splamionych – ledwo mogłam uwierzyć, że to mówię.

Joshua uniósł brwi.

- W takim razie dlaczego nie ma go tutaj i cię nie broni?
- Ponieważ... to nie w jego stylu. I sama potrafię o siebie zadbać. – Nigdy nie podobało mi się przypuszczenie, że musiałam być chroniona. – Nawet gdyby jego nie było na tym obrazku, ja i tak wkrótce stąd odejdę. Nigdy by między nami nie wypaliło.
- Rozumiem – Joshua wyglądał na rozczarowanego, ale wyglądało na to, że poradzi sobie z odrzuceniem. – Może jeśli załatwisz swoje sprawy to wrócisz.

Zacząłam mu mówić, żeby lepiej na mnie nie czekał i powinien ożenić się z kimś innym (pomijając fakt, jakie to było absurdalne w jego wieku), ale zdałam sobie sprawę, że to miałyby się z celem. W fantazjach Joshuy prawdopodobnie mógł żenić się z kimś innym i dodać mnie później do swojego haremu, jak było z Sarą i Paulette. Więc po prostu powiedziałam:

- Może. – Próbując zmienić temat, rozejrzałam się za czymkolwiek, co mogłoby się nadać. Moje oczy padły na krzesło i wyrzeźbione na nim liściaste wzory. – Całkiem niezłe.
- Dzięki – powiedział, oddalając się. Ku mojej uldze nie kontynuował wcześniejszego tematu. Z czułością przebiegł palcami po pokrywających drewno ornamentach. Wzór wyglądał, jak splecione liście. – Sam to zrobiłem.
- Naprawdę? – spytałam szczerze zaskoczona. – To... zadziwiające.
- Jeśli ci się podoba... – Wyciągnął rękę a ja zaczęłam się bać, że nadchodzi pocałunek, albo uścisk. Zamiast tego sięgnął do kieszeni szortów i wyciągnął pięknie zdobioną drewnianą bransoletę. Były na niej proste, faliste wzory, naprawdę cudowne przez to, jak były wąskie i delikatne. Drewno było wypolerowane do połysku. – Proszę. – podał mi bransoletkę.
- To dla mnie? – Musnęłam palcem jej gładki brzóg.
- Jeśli chcesz. Zrobiłem ją kiedy dziś wyjechałaś, żebyś mnie pamiętała, gdy odejdiesz.

Zawahałam się, zastanawiając się, czy przyjęcie jej tylko go nie zachęci. Nie, zdecydowałam. Miałam w pełni ustalone swoje poglądy na małżeństwo, a on tak czy inaczej wyglądał na podenerwowanego, że nie chciałam zranić jego uczuć. Wsunęłam bransoletę na nadgarstek.

– Oczywiście, że będę pamiętać. Dziękuję ci.

Sądząc po jego szczęśliwej minie, przyjęcie bransoletki załagodziło moja wcześniejszą odmowę. Pokazał mi jeszcze kilka szczegółów na zewnątrz jaskini i posłuchał mojej sugestii, że powinniśmy wrócić do reszty przy ognisku. Słyszeliśmy muzykę odbijającą się echem wśród drzew na długo przed tym, jak dotarliśmy na miejsce i chociaż nie za bardzo mieściła się w moim guście, było coś ciepłego i przyjacielskiego w życiu tej wspólnoty. Nigdy nie byłam na letnim obozie, ale wyobrażałam sobie, że to coś takiego.

Sydney i Dymitr siedzieli blisko obrzeża grupy. Byli cicho, cały czas czujni, ale wszyscy inni śpiewali, klaskali i rozmawiali. Po raz kolejny byłam zaskoczona, jak łatwo tutejsze dąmpiry, ludzie i moroje wiążą się ze sobą nawzajem. Mieszane pary były wszędzie, a jedna z nich – ludzka kobieta i moroj – otwarcie migdalili się ze sobą. Za każdym razem gdy całował jej szyję, jednocześnie ją gryzł i pił trochę krwi. Odwróciłam wzrok.

Skierowałam się do moich przyjaciół. Sydney zauważyła mnie i odetchnęła z ulgą. Miny Dymitra nie dało się odczytać. Jak zwykle spojrzenia innych podążały za mną i ku mojemu zaskoczeniu, zauważyłam otwartą zazdrość na twarzach niektórych facetów. Miałam nadzieję, że nie myśleli, że Joshua i ja zmyśliśmy się, żeby pobyć trochę nago w jaskini. Zdecydowanie były to opinie, które chciałam mieć daleko za sobą.

– Muszę porozmawiać z Sydney – powiedziałam mu, przekrzykując hałas. Zdecydowałam, że najlepiej będzie utrzymać dystans, zanim zaczną się szerzyć jakieś plotki, a Sydney naprawdę wyglądała, jakby chciała mieć mnie przy swoim boku. Joshua przytaknął, a ja się odwróciłam. Zrobiłam może ze dwa kroki, gdy niespodziewanie czyjaś pięść uderzyła mnie w twarz.

Nie miałam żadnej obrony i ledwie miałam dość przytomności, żeby przechylić głowę tak, że zostałam trafiona w policzek, co i tak było lepsze niż skończenie ze złamanym nosem. Po początkowym zaskoczeniu, mój trening dał o sobie znać. Szybko odskoczyłam z linii ataku i przyjąłam pozycję do walki. Muzyka i śpiewy ucichły, gdy zwróciłam się ku napastnikowi.

Angelina.

Stała w pozycji podobnej do mojej z zaciśniętymi pięściami i oczami utkwionymi w moich.

– Dobra – powiedziała. – Teraz nadszedł czas, żeby się przekonać jak twarda naprawdę jesteś.

To był raczej czas, żeby ktoś – powiedzmy jak jej rodzice – pojawił się, odciągnął ją i ukarał za uderzenie gościa. Zdziwiałe było to, że nikt się nie ruszył aby ją powstrzymać. Nie... to nie do końca była prawda. Jedna osoba wstała. Dymitr wystrzelił do akcji natychmiast gdy zobaczył, że jestem zagrożona. Spodziewałam się, że odciągnie Angelinę, ale szybko

podeszła do niego grupa Odszczepieńców, którzy zaczęli mówić mu coś, czego nie mogłam dosłyszeć. Nie próbowali go powstrzymywać w żaden fizyczny sposób, ale cokolwiek mówili, zatrzymało go na miejscu. Chciałam się dopytać, co to było, ale Angelina zaczęła się ponownie zbliżać. Wyglądało na to, że jestem zdana na siebie.

Angelina była niska nawet jak na daimona, ale całe jej ciało było napakowane siłą. Była też naprawdę szybka, jednakże nie dość szybka, żeby zadać mi drugi cios. Zrobiłam szybki unik i zachowałam mój dystans, nie chcąc w żaden sposób atakować tej dziewczyny.

Prawdopodobnie mogła nieźle uszkodzić przeciwnika w walce, ale jej metody były niezdarne – nie, raczej niedoszlifowane. Była amatorką, kimś, kto prawdopodobnie wywoływał wiele burd, ale nie miał formalnego treningu.

- Oszalałaś? – wrzasnęłam, schodząc z trasy jej kolejnego natarcia. – Przestań. Nie chcę cię skrzywdzić.
- Jasne – powiedziała. – Chcesz, żeby wszyscy właśnie to myśleli, prawda? Jeśli w rzeczywistości nie będziesz musiała walczyć, oni wszyscy uwierzą, że twoje znaki są prawdziwe.
- Są prawdziwe! – Insynuacja, że mogłam sfałszować moje tatuaże pobudziła mój temperament, ale odmówiłam sobie wdania się w tą niedorzeczną bójkę.
- Udowodnij to – naciskała, jeszcze raz na mnie ruszając. – Udowodnij, że jesteś taka, jak mówisz.

Utrzymywanie się z dala od niej było jak taniec. Mogłam to robić przez całą noc a kilka przerażonych okrzyków z tłumu domagało się, żebyśmy „ruszyły z tym do przodu”.

- Nie muszę niczego udowadniać – poinformowałam ją.
- Więc to kłamstwo. – Jej oddech stał się ciężki. Męczyła się szybciej niż ja. – Splamieni tylko kłamią.
- Nie prawda – powiedziałam. Dlaczego Dymitr pozwalał na to? Zobaczyłam go kątem oka i jak mi dopomóż, on się *uśmiechał*.

W międzyczasie Angelina kontynuowała swoją tyradę, cały czas próbując mnie uderzyć.

- Wszyscy kłamiecie. Jesteście słabi. Zwłaszcza twoi „arystokraci”. Oni są najgorsi ze wszystkich.
- Wcale ich nie znasz. Nic o nich nie wiesz.

Mogła być zdolna do dalszej rozmowy, ale widziałam jej coraz bardziej narastającą frustrację. Gdyby nie fakt, że byłam całkiem pewna, że uderzyłaby mnie w plecy, mogłabym być szlachetna i po prostu odejść.

- Wiem wystarczająco – powiedziała. – Wiem, że są samolubni, zepsuci i nie robią nic, żeby się bronić. Nie dbają o nikogo innego. Wszyscy są tacy sami.

Właściwie zgadzałam się z Angeliną względem niektórych arystokratów, ale nie lubiłam, gdy ktoś uogólniał.

- Nie mów o sprawach, których nie rozumiesz – warknęłam. – Nie wszyscy są tacy.
- Są – powiedziała, ciesząc się, że mnie rozgniewała. – Chciałabym, żeby oni wszyscy byli martwi.

To wystarczyło, żeby włączyć mój tryb ofensywny, ale jej komentarz nie wystarczył, żeby zaćmić moje myśli i pozwoliłam jej przejść przez moją obronę – tylko trochę. Nigdy nie pozwoliłabym sobie na to ze strzygą, ale nie doceniłam tej dzikiej dziewczyny. Jej noga przemknęła ledwo wystarczająco by uderzyć moje kolano i to było, jak skrzesianie iskry nad zbiornikiem gazu. Wszystko eksplodowało.

Po tym uderzeniu potknęłam się nieznacznie, a ona wykorzystała swoją przewagę. Mój instykt bitewny przejął kontrolę i nie miałam innego wyboru niż kontratak nim zdoła mnie uderzyć. Ludzie zaczęli kibicować teraz, gdy walka „naprawdę się rozpoczęła”. Byłam w ataku, próbując ją zawojować, zasadnicze znaczenie miał fizyczny kontakt. Bez wątpienia, byłam wciąż od niej lepsza, ale gdy próbowałam się do niej dobrać, weszłam w jej zasięg. Skierowała we mnie parę ciosów, nic specjalnego, zanim zdołałam powalić ją na ziemię. Spodziewałam się, że to będzie koniec walki, ale zdołała mnie zepchnąć, zanim w pełni ją obezwładniłam. Przetoczyłyśmy się i to ona zaczęła zajmować dominującą pozycję. Nie mogłam na to pozwolić i wyprowadziłam cios w bok jej twarzy, ten był o wiele silniejszy niż wcześniejsze.

Myślałam, że to zakończy sprawę. Mój cios zrzucił ją ze mnie i zaczęłam wstawać, kiedy ta mała suka złapała mnie za włosy i pociągnęła w dół. Wykręciłam się z jej uścisku – jestem całkiem pewna, że trochę moich włosów zostało w jej dłoni – i tym razem w pełni ją przyszpiliłam przy użyciu całej mojej siły i wagi. Wiedziałam, że to musi być bolesne, ale nic mnie to nie obchodziło. Ona to zaczęła. Poza tym ta potyczka przekroczyła granice obrony. Łapanie kogoś za włosy było nieczystym zagranieniem.

Angelina podjęła jeszcze parę prób uwolnienia się, ale gdy stało się jasne, że nie zdoła, z widowni rozległy się gwizdy i owacje. Chwilę później mroczny i wściekły wyraz ustąpił z twarzy Angeliny, zastąpiony rezygnacją. Przyjrzałam się jej ostrożnie, nie tracąc czujności.

- Świetnie. – powiedziała. – Uważam, że to w porządku. Śmiało.
- Słucham? Co jest w porządku? – chciałam wiedzieć.
- Poślubienie mojego brata.

Tłumaczenie: Maggie111

Korekta: Vampire_Juliett

Rozdział trzynasty

- TO NIE JEST ZABAWNE!
- Masz rację – potwierdziła Sydney. – To nie jest śmieszne. To jest wręcz *przekomiczne*.

Byliśmy z powrotem w domu Raymonda, w zaciszu naszego pokoju. Całe wieki zajęło nam samo wymiganie się od ogniskowych uroczystości, a zwłaszcza już po poznaniu strasznego faktu o zwyczaju Koczowników. Cóż, przynajmniej ja myślałam, że to straszne. Okazało się, że jeśli ktoś zamierza poślubić lokalnego, potencjalna panna młoda i pan młody muszą stoczyć pojedynek z każdym krewnym wybranki, bądź wybranka tej samej płci.

Angelina dostrzegła zainteresowanie Joshuy od chwili gdy przybyłam, a kiedy zauważyła jeszcze bransoletkę, domyśliła się, że zapewne podjęto niezbędne kroki w tym kierunku. Dlatego padło na nią, jako jego siostrę, by upewniła się czy jestem go warta. Dotąd mnie nie lubiła, ba, nawet nie ufała mi, ale sprawdziwszy się jako zdolna wojowniczką zyskałam u niej trochę szacunku, co pozwoliło jej zgodzić się na nasze „zaręczyny”. Wymagało to wielu wyjaśnień by przekonać wszystkich – łącznie z Joshuą – że nie ma żadnych zaręczyn. Będąc tam dowiedziałam się też, że Dymitr musiałby stanąć jako mój „krewny” i walczyć z Joshuą.

- Przestań – skarciłam go. Dymitr stał oparty o ścianę ze skrzyżowanymi ramionami i obserwował jak pocieram obolały po uderzeniu Angeliny policzek. To nie był jeden z najgorszych urazów jakie kiedykolwiek doznałam, lecz jutro z pewnością będę mieć siniaka. Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech.
- Mówiłem ci, żebyś go nie zachęcała – nadeszła spokojna odpowiedź Dymitra.
- Nieważne. Nie mogłeś tego przewidzieć. Po prostu nie chciałeś... – ugryzłam się w język. Nie mogłam powiedzieć tego na głos: że Dymitr był zazdrosny. Lub zaborczy. Lub cokolwiek innego. Miałam pojęcie, że drażniło go moje przyjacielskie zachowanie wobec Joshuy... i bawiło moje oburzenie atakiem Angeliny. Nagle odwróciłam się do Sydney, która była tak samo rozbawiona jak Dymitr. W rzeczywistości byłam pewna, że nie widziałam by kiedykolwiek uśmiechała się tak szeroko. – *Wiedziałaś* o tym zwyczaju?
- Nie – przyznała – ale nie jestem zaskoczona. Mówiłam ci, że są prymitywni. Wiele codziennych problemów rozwiązują za pomocą walk, takich jak ta.
- To głupie – powiedziałam nie zwracając uwagi na to, że narzekam. Dotknęłam czubka głowy, marząc o lustrze, w którym mogłabym zobaczyć, czy Angelina wyrwała mi dostrzegalny kosmyk włosów.
- Aczkolwiek... nie była taka beznadziejna. Owszem jej ruchy były niedoszlifowane, ale nie najgorsze. Czy oni wszyscy są tak uparci? Ludzie i moroje?
- Tak przypuszczam.

Zastanowiłam się nad tym. Byłam zirytowana i zażenowana tym, co się wydarzyło, ale musiałam przyznać, że Koczownicy stali się nagle bardziej interesujący. Jak na ironię, ta zacofana grupa miała intuicję by uczyć wszystkich walczyć, bez względu na rasę. Tymczasem moja „oświecona” cywilizacja wciąż odmawiała nauki obrony.

- Dlatego strzygi ich nie zaczepiają – wymruczałam, przywołując pamięcią śniadanie. Nawe nie zdałam sobie sprawy, co powiedziałam wcześniej, póki uśmiech Dymitra nie opadł. Spojrzał w kierunku okna ze srogim wyrazem twarzy.
- Powiniennem ponownie skontaktować się z Borysem i zobaczyć co znalazł. – Odwrócił się w kierunku Sydney – To nie zajmie dużo czasu. Nie musimy iść tam wszyscy. Powiniennem chyba wziąć twój samochód, skoro to i tak niedaleko?

Sydney wzruszyła ramionami i sięgnęła po klucze. Już wcześniej dowiedzieliśmy się, że jej komórka łapała sygnał na terenie oddalonym od osady o 10 minut drogi. Dymitr miał rację. Nie było żadnego powodu byśmy wszyscy szli na jeden szybki telefon. Po moim pojedynku wydawało się, że jesteśmy z Sydney bezpieczni. Teraz nikt by ze mną nie zadzierał. Mimo to... nie podobało mi się, kiedy Dymitr przeżywał swoje dawne życie strzygi.

- I tak powinnaś iść – powiedziałam jej, myśląc szybko – Muszę sprawdzić co u Lissy. – Nie było to do końca kłamstwo. To co moi przyjaciele słyszeli od Joego wciąż mi ciążyło. – Zazwyczaj potrafię w tym samym czasie śledzić to co się dzieje wokół mnie, ale lepiej byłoby gdybyś wyszła, zwłaszcza jeśli pojawią się alchemicy.

Moja logika była błędna, choć jej koledzy wciąż stanowili problem.

- Wątpię żeby przyszli kiedy jest ciemno – powiedziała – ale nie chcę zostawać z tobą, jeżeli zamierzasz gapić się w przestrzeń.

Nie wytknęła mi mojego potknięcia, a ja nie musiałam mówić niczego, ale podejrzewałam że nie chciała, by ktokolwiek jechał gdzieś jej samochodem.

Dymitr uważał, że jej obecność była zbędna i nawet wyraził tę opinię na głos, ale w ostateczności chyba poczuł, że nie może nią rządzić, tak jak ja to robiłam do tej pory. Tak więc obydwójce wyruszyli w drogę zostawiając mnie samą w pokoju. Patrzyłam na nich smutno. Pomimo tego jak bardzo wkurzały mnie jego wcześniejsze kpiny, to martwiłam się o niego. Widziałam efekt ostatniej rozmowy telefonicznej i chciałam być tam teraz by go pocieszyć. Miałam przecucie, że nie pozwoliliby na to, więc uznałam towarzystwo Sydney jako małe zwycięstwo.

Gdy odjechali zdecydowałam, że naprawdę powinnam sprawdzić co u Lisy. Potraktowałam to bardziej jako wymówkę, ale prawdę mówiąc, wygrało to z alternatywą – pójściem na zewnątrz i uspołecznianiem się. Nie chciałam by więcej ludzi mi gratulowało i najwyraźniej Joshua zrozumiał moje „może”, a także przyjęcie bransoletki jako prawdziwe zobowiązanie. Nadal myślałam, że jest porażająco uroczy, ale nie mogłam znieść jego adoracji.

Siedząc po turecku na łóżku Angeliny otworzyłam umysł na więź i to co Lissa przeżywała. Szła przez hol jakiegoś budynku, którego z początku nie rozpoznawałam. Chwilę później zorientowałam się gdzie jestem. To był budynek przy Dworze, w którym mieściło się wielkie spa i salon – jak również kryjówka wróżki Rhondy. Wydawało się być dziwne, że Lissa wybierała się po wróżbę, ale gdy dojrzałam jej towarzystwo sprawa wydała się być jasna. Typowi podejrzani: Adrian i Christian byli z nią. Moje serce zabiło mocno na widok Adriana, zwłaszcza po incydencie z Joshuą. Ostatni duchowy sen był zbyt krótki. Christian trzymał Lisę za rękę, gdy szli. Jego uchwyt był ciepły i dodawał otuchy. Wyglądał na pewnego

siebie i zdeterminowanego, bez pominięcia typowego, złośliwego półśmiechu. Lissa z pośród ich dwójki, z pewnością była tą zdenerwowaną, która bacznie przygotowywała się na coś złego. Mogłam wyczuć, że obawia się następnego zadania, nawet jeśli wierzyła w jego konieczność.

- Czy to tutaj? – zapytała, zatrzymując się przed drzwiami.
- Tak mi się wydaje – odpowiedział Christian. – Recepcjonistka mówiła, że to te czerwone.

Lissa zawahała się na chwilę, po czym zapukała. Nic. Pokój musiał być pusty, lub ktoś po prostu ją zignorował. Znów podniosła dłoń i drzwi się otworzyły. W przejściu stał Ambrose, zachwycający jak zwykle, nawet jeśli był w jeansach i zwyczajnej, niebieskiej koszulce. Ciuchy idealnie opinały jego ciało w sposób ukazujący każdy mięsień. Równie dobrze mógł wyjść prosto od sesji z GQ²⁴.

- Hej – powiedział wyraźnie zaskoczony.
- Hej – odpowiedziała Lissa. – Zastanawialiśmy się, czy moglibyśmy z tobą porozmawiać?

Ambrose przechylił lekko głowę, kierując uwagę ku pokojowi.

- Jestem teraz jakby zajęty.

Za nim, Lissa mogła zauważyć wielki stół do masarzu z morojską kobietą leżącą twarzą w dół. Dolne partie jej ciała były zakryte ręcznikiem, ale plecy pozostawały nagie i lśniące od olejku w przyćmionym świetle. Świece zapachowe ogrzewały pokój, a kojąca muzyka New Age przygrywała lekko w tle.

- Ło! – powiedział Adrian. – Nie tracisz czasu, prawda? Jest w grobie dopiero od kilku godzin, a ty już znalazłeś sobie kogoś nowego.

Tatiana w końcu została złożona do ziemi, wcześniej tego samego dnia, chwilę przed zachodem. Pogrzeb był znacznie mniejszym przedsięwzięciem, niż początkowo zakładano.

Ambrose posłał Adrianowi ostre spojrzenie.

- To moja klientka, moja praca. Zapominasz, że niektórzy, muszą pracować, żeby przeżyć.
- Proszę? – zapytała Lissa, pośpiesznie zasłaniając Adriana. – Nie zajmie nam to dużo czasu.

Ambrose przyjrzał się moim przyjaciółom ponownie i westchnął. Zerknął przez ramię.

- Lorraine? Muszę na chwilę wyjść. Zaraz wracam, okej?
- Okej – odpowiedziała kobieta. Przesunęła się twarzą do niego. Była starsza niż przypuszczałam, przełom czterdziestki, albo więcej. Domyślam się, że jeśli płacisz za ma-

²⁴ Miesięcznik dla mężczyzn, skupiający Siena modzie, aczkolwiek zahacza również o inne popularne dziedziny (Coś jak Cosmopolitan lub Glamour, tylko, że dla mężczyzn) – przyp. windy_dreams

saż, nie ma powodu, by nie wziąć kogoś o połowę lat od ciebie młodszego. – Pośpiesz się.

Posłał jej czarujący uśmiech, zamykając drzwi. Uśmiech, który znikł jak tylko został z nimi sam na sam.

– Dobra, co się dzieje? Nie podoba mi się wyraz waszych twarzy.

Ambrose mógł radykalnie wychylić się od normalnego życia daimona, ale przeszedł szkolenie, jak każdy ze strażników. Był spostrzegawczy. Szukał także potencjalnych korzyści.

– My, uh, chcieliśmy pogadać z tobą na temat... – Lissa zaczęła. Pogadanka o śledztwach i przesłuchaniach była jedną kwestią, ale przeprowadzanie tych dwóch czynności na własną rękę to już zupełnie co innego. – Na temat śmieci Tatiany.

Oczy Ambrosego uniosły się.

– Acha, rozumiem. Nie jestem pewien co tu jest do gadania, poza faktem, że nie wydaje mi się, aby Rose to zrobiła. Myślę, że wy też w to nie wierzycie, pomimo tego wszystkiego, co dzieje się naokoło. Wszyscy gadają jak zaskoczeni i zdenerwowani jesteście. Uzyskujecie mnóstwo współczucia z powodu bycia oszukiwanym przez tak niebezpiecznego i złowieszczonego „przyjaciela”.

Lissa poczuła, jak się czerwieni. Przez publiczne potępienie i wyrzeczenie się naszej przyjaźni, uniknęła kłopotów. Tak poradzili jej Abe i Tasha, a ona wiedziała, że mają rację. Jednak nawet jeśli była to gra, to i tak czuła się winna. Christian stanął w jej obronie.

– Odwal się. Dobrze wiesz, że to nie o tym mowa.
– O co więc chodzi? – zapytał Ambrose.

Lissa wtrącała się, obawiając się, że Christian i Adrian mogą wkurzyć Ambrosego i utrudnić uzyskanie odpowiedzi.

– Abe Mazur powiedział nam, że w sali rozpraw, powiedziałeś albo zrobiłeś coś Rose.

Ambrose wyglądał na zszokowanego i musiałam przyznać mu punkty za bycie przekonującym.

– Zrobiłem coś? Co to znaczy? Czy Mazur myśli, że co na przykład... uderzałbym do niej przed tymi wszystkimi ludźmi?
– Nie wiem – przyznała Lissa. – Po prostu coś widział. To wszystko.
– Życzyłem jej szczęścia – powiedział Ambrose, wciąż wyglądając na obrażonego. – Czy to w porządku?
– Tak, tak. – Lissa postarała się, żeby porozmawiać z Ambrose przed Abe, bojąc się, że metody jakie wykorzystywał Abe, mogły zawierać szantaże i wielokrotne użycie siły fizycznej. Teraz jednak zastanawiała się czy dobrze robi. – Hej, my tylko staramy się dowiedzieć kto naprawdę zabił królową. Byłeś blisko niej. Jeżeli jest coś, *cokolwiek*, o

czym wiesz, a mogłoby nam to pomóc, to bardzo byśmy to docenili. Potrzebujemy tego.

Ambrose rozejrzał się po nich ciekawsko. Nagle zrozumiał.

- Myślicie, że ja to zrobiłem! O to ta cała sprawa. – Żadne z nich nic nie odpowiedziało. – Nie mogę w to uwierzyć! Już słyszałem o tym od strażników... ale żeby od was? Myślałem, że mnie znacie.
- W ogóle cię nie znamy – odpowiedział bez wyrazu Adrian. – Wszystko, co o tobie wiemy, to to, że miałeś bardzo łatwy dostęp do mojej ciotki. – Wskazał na drzwi. – I najwyraźniej szybko posunąłeś się na przód.
- Ominąłeś część, w której wspomniałem ci, że to moja praca? Daję jej masaż i to tyle. Nie wszystko jest podłe i brudne. – Ambrose potrząsnął głową we frustracji i przecesał dłońią swoje brązowe włosy. – Mój związek z Tatianą też nie był brudny. Zależało mi na niej. Nigdy w życiu bym jej nie skrzywdził.
- Czy statystyki przypadkiem nie mówią, że najwięcej morderstw dzieje się pomiędzy bliskimi osobami? – zapytał Christian.

Lissa posłała jemu i Adrianowi piorunujące spojrzenie.

- Przestańcie. Oboje. – Spojrzała z powrotem na Ambrosego. – Nikt cię o nic nie oskarża, ale bardzo często się z nią widywałeś, a Rose mówiła mi, że byłeś wkurzony na prawo wieku.
- Kiedy pierwszy raz o nim usłyszałem, to tak – odrzekł Ambrose. – I nawet wtedy powiedziałem Rose, że musiała zajść jakaś pomyłka, że musi być coś, o czym nie wiemy. Tatiana nigdy nie wplątałaby tych młodych dampirów w niebezpieczeństwo, gdyby nie było dobrego powodu.
- Jak na przykład ustawienie pozornie pięknego obrazka przed tymi wszystkimi przestraszonymi królewiczami? – zapytał Christian.
- Uważaj – przestrzegł Adrian. Lissa nie mogła zdecydować, co było bardziej denerwujące: dwóch z jej facetów sparowanych przeciwko Ambrose, czy każdy z nich rzucający cięte riposty wobec siebie samych.
- Nie! – zabrzmiał głos Ambrose wzdłuż ścian korytarza. – Ona nie chciała tego zrobić. Ale gdyby tego nie uczyniła, mogły się przydarzyć różne rzeczy. Są ludzie, którzy chcieli i wciąż chcą schwytać wszystkie niewalczące daimiry i zmusić je do tego. Tatiana ustaliła prawo wieku, żeby tego uniknąć.

Zapadła cisza. Wiedziałam już o tym z notatki Tatiany, ale to wciąż były szokujące wieści dla moich przyjaciół. Ambrose kontynuował, zauważając iż przybiera autentyczności.

- Właściwie to była otwarta na wiele opcji. Chciała odkrywać moc ducha. Pochwalała pomysł włączenia morojów do walki.

To uzyskało reakcję od Adriana. Wciąż nosił ten sardoniczny wyraz twarzy, ale mogłam również spostrzec cienkie linie cierpienia i smutku. Pogrzeb musiał być dla niego ciężki, a usłyszenie informacji o kochanej osobie, o której nie wiedziałeś musiało boleć.

- Ja na pewno z nią nie sypiałem, jak ty – powiedział Adrian – ale znałem ją dosyć dobrze. Nigdy nie mówiła mi o czymkolwiek na ten temat.
- Nie publicznie – zgodził się Ambrose. – Nawet prywatnie. Tylko kilku ludzi wiedziało. Miała małą grupkę morojów trenowanych w sekrecie – mężczyźni i kobiety w różnym wieku. Chciała zobaczyć, jak wiele są się w stanie się nauczyć i czy jest to możliwe, by mogli się obronić. Wiedziała jednak, że ludzie będą się wściekać na to, więc kazała im milczeć.

Adrian zamilkł i mogłam zauważyć, jak jego myśli zmieniają tor obiegu. Rewelacje Ambrosego nie były dosłownie złe, ale on wciąż pozostawał zraniony myślą o ciotce, która ukrywała przed nim aż tak wiele. W międzyczasie, Lissa, chłonęła nowe wiadomości, mierząc i analizując każdą z nich.

- Kim oni byli? Ci trenowani moroje?
- Nie wiem – odpowiedział Ambrose. – Tatiana ukrywała to. Nigdy nie znałem ich imion, jedynie instruktora...
- Którym był...? – zachęcił Christian.
- Grant.

Christian wymienił razem z Lissą zaskoczone spojrzenia.

- Mój Grant? – zapytała. – Ten, którego Tatiana do mnie przydzieliła?

Ambrose przytaknął głową.

- Dlatego ci go dała. Ufała mu.

Lissa milczała, ale mogłam usłyszeć jej myśli bardzo głośno i wyraźnie. Była zadowolona i zaskoczona, kiedy Grant i Serena – strażnicy, którzy zastąpili mnie i Dymitra – zaoferowali naukę ruchów obronnych dla niej i Christiana. Lissa myślała, że po prostu dotarła niezdarnie do myślącego przyszłościowo strażnika, nie zdając sobie sprawy, że stała się pionierem w nauczaniu morojów walk.

Skrawki tego były ważne, obie byłyśmy tego pewne, ale żadna z nas nie mogła powiązać faktów. Lissa ciągle próbowała ułożyć wszystko w całość, nie protestując kiedy Adrian i Christian dodawali pytania od siebie. Ambrose wciąż był oburzony śledztwem, ale odpowiedział na wszystkie pytania z wymuszoną cierpliwością. Miał alibi, a jego uczucie i szacunek dla Tatiany ani na chwilę się nie ugięły.

Lissa wierzyła mu, choć Christian i Adrian nadal pozostawali sceptyczni.

- Wszyscy się mnie czepiali o jej śmierć – powiedział Ambrose – ale nikt nie kwestionował Blake`a aż tyle czasu.
- Blake`a? – zapytała Lissa.
- Blake Lazar. Ktoś inny z kim była...
- Związana? – zaproponował Christian, wywracając oczami.
- On? – wykrzyknął Adrian w odrazie. – Nie ma mowy. Nie upadłaby tak nisko.

Lissa przeszperała swój umysł w poszukiwaniu rodziny Lazar, jednak nie mogła znaleźć tego konkretnego osobnika. Było ich zwyczajnie zbyt wielu.

- Kim on jest?
- Idiotą – powiedział Adrian. – Sprawia, że przy nim wyglądam, jak honorowy obywatel.

Jego wypowiedź przywołała uśmiech na twarzy Ambrose.

- Zgadza się. On faktycznie jest niezłym idiotą, ale Tatiana właśnie to w nim lubiła. – Mogłam dostrzec uczucie w jego głosie, gdy wypowiadał jej imię.
- Z nim też sypiała? – zapytała Lissa. Adrian wzdrygnął się na myśl o życiu seksualnym swojej ciotki, ale z informacji tej mogło wyjść o wiele więcej możliwości. Więcej kochanków, znaczyło więcej podejrzanych. – Jak się z tym czujesz?

Rozbawienie Ambrosego zniknęło. Spojrzał na nią twardo.

- Nie byłem na tyle zazdrosny, żeby ją zabić, jeżeli o to pytasz. Mieliśmy porozumienie. Byliśmy ze sobą blisko, ale widywaliśmy też inne osoby.
- Zaczekaj – powiedział Christian. Miałam wrażenie, że właśnie zaczęło mu się to podobać. Morderstwo Tatiany z pewnością nie było żartem, ale nabierało nieco klimatów telenoweli. – Ty też sypiałeś z innymi? Ciężko nad tym nadążyć.

Ale nie dla Lissy. Właściwie, wydawało się to coraz jaśniejsze, że morderstwo Tatiany mogło być wykonane z pasji, aniżeli przez względy polityczne. Tak jak wspomniał już Abe, musiał to zrobić ktoś, kto miał dostęp do jej sypialni. A kobieta dzieląca kochankę z Tatianą? To mógł być dla nas najbardziej przekonujący motyw, jak na razie. Gdybyśmy tylko znali tą kobietę.

- Z kim? – zapytała Lissa. – Z kim jeszcze się widywałeś?
- Z nikim, kto mógłby ją zabić – odpowiedział surowo Ambrose. – Nie będę ci podawał nazwisk. Zasługuję na jakąś prywatność, oni też.
- Nie jeśli jedno z nich mogło zabić z zazdrości moją ciotkę – burknął Adrian. Joshua gardził Adrianem przez to, że mnie „nie chronił”, ale w tym momencie, w chwili obrony honoru ciotki, wyglądał na równie zaciętego, jak niejeden strażnik, bądź Koczownik. To było nawet seksowne.
- Żadne z nich nie zabiło jej. Jestem tego pewien – powiedział Ambrose. – I nawet jeśli to tak mocno mnie odrzuca, nie wydaje mi się, żeby Blake był do tego zdolny. Nie jest wystarczająco sprytny, żeby zwalić to wszystko na Rose i ją zrobić. – Ambrose zagestykułował w kierunku drzwi. Miał zaciśnięte zęby, a jego twarz na chwilę oszpeciły zmarszczki frustracji. – Słuchajcie, nie wiem co jeszcze mogę wam powiedzieć, żeby was przekonać. Muszę już wracać. Przepraszam, jeśli sprawiałem trudności, ale jest mi z tym ciężko, okej? Wierście mi, bardzo by mi się podobało, gdybyście znaleźli tego, który ją skrzywdził. – Wyraz cierpienia przemknął mu przez oczy. Przełknął ślinę i spojrzał w dół, jakby chciał ukryć przed nimi uczucia powierzone Tatianie. Gdy znów podniósł wzrok, jego spojrzenie nabrało surowości i zdeterminowania. – *Chcę*

byście go odnaleźli i pomogę, jeśli będę mógł, ale radzę wam, żebyście szukali kogoś z politycznymi motywami, nie romantycznymi.

Lissa wciąż miała z milion pytań. Ambrose mógł być przekonany, że morderca nie miał nic wspólnego z zazdrością i seksem, ale ona nie była już tego taka pewna. Chciałaby znać imiona jego innych kobiet, ale wołała nie naciskać za mocno. Przez chwilę rozważała jego zniewolenie, podobnie jak zrobiła z Joe. Ale nie. Nie przekroczy ponownie tej linii, zwłaszcza jeżeli chodzi o kogoś, kogo uważa za przyjaciela. Przynajmniej nie teraz.

– Okej – powiedziała niechętnie. – Dziękuję ci. Dziękuję za twoją pomoc.

Ambrose wyglądał na zaskoczonego jej grzecznością i twarz mu automatycznie złagodniała.

– Zobaczę, czy uda mi się wyciągnąć dla was jakieś brudy. W obecnej chwili trzymają wszystkie jej pokoje i posesje w zamknięciu, ale być może wciąż będę mógł się tam dostać. Dam wam znać.

Lissa uśmiechnęła się, prawdziwie wdzięczna.

– Dziękuję. Byłoby świetnie.

Dotyk na moim ramieniu przywołał mnie z powrotem do Zachodniej Wirginii. Sydney i Dymitr wpatrywali się we mnie.

– Rose? – zapytał Dymitr. Miałam wrażenie, że to nie był pierwszy raz, gdy starał się zwrócić moją uwagę.
– Hej – powiedziałam. Zamrugałam kilka razy, powracając do rzeczywistości. – Wróciłeś. Dzwoniłeś do strzyg?

Nie okazał reakcji na słowo, ale wiedziałam, że nie znosił jego brzmienia.

– Tak. Udało mi się skontaktować z Borysem.

Sydney objęła się ramionami.

– Szalona rozmowa. Część z niej przeprowadzili po angielsku. Było straszniej niż wcześniej.

Mimowolnie zadrżałam, szczęśliwa, że mnie przy tym nie było.

– Ale czy się czegoś dowiedzieliście?
– Borys dał mi imię strzygi, który zna Sonię i prawdopodobnie wie, gdzie ona przebywa – odrzekł Dymitr. – Właściwie to ktoś, kogo zdążyłem już poznać. Ale na tym kończą się rozmowy telefoniczne ze strzygami. Da się z nim skontaktować tylko przez osobiste odwiedziny. Borys miał tylko jego adres.
– Gdzie to jest? – spytałam.
– Lexington w Kentucky.
– Na miłość Boską – wyjęczałam. – Dlaczego nie Bahamy? Albo Corn Palace?²⁵

²⁵ Wiele funkcjonalna infrastruktura się w Mitchell w Południowej Dakocie.

Dymitr próbował ukryć uśmiech. Może stało się to moim kosztem, ale jeżeli miała być to cena za jego lepszy nastrój, to nie pozostaje mi nic innego, jak bycie wdzięczną.

- Jeżeli wyruszymy w tej chwili, mamy szansę spotkać się z nim przed porankiem.

Rozejrzałam się wokoło.

- Ciężka decyzja. Miałabym zostawić to wszystko dla elektryczności i kanalizacji?

Teraz to Sydney wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- I nigdy więcej propozycji małżeństwa.
- I prawdopodobnie będziemy musieli walczyć ze strzygami – dodał Dymitr.

Wstałam natychmiastowo.

- To kiedy jedziemy?

Tłumaczenie: Windy_dreams

Korekta: Diotima

Rozdział czternasty

KOCZOWNICY RÓŻNIE ZAREAGOWALI na nasze odejście. Zwykle byli szczęśliwi widząc odchodzących obcych, zwłaszcza od kiedy mieliśmy ze sobą Sydney.

Ale po bójkę stawiali mnie na piedestale jakbym była jakąś superbohaterką i zdawali się być oczarowani możliwością wżenienia mnie w swoje „rodziny”. Widzenie mnie w akcji spowodowało, że kilka kobiet zaczęło teraz dostrzegać również i Dymitra. Nie byłam w nastroju by przyglądać się jak z nim flirtują – zwłaszcza, że podążając za ich zasadami zalotów, ja zdecydowanie musiałam być tą, która będzie walczyć z jakąkolwiek przyszłą narzeczoną.

Oczywiście, że nie przedstawiliśmy Koczownikom naszych dokładnych planów, ale wspomnieliśmy, że prawdopodobnie spotkamy się ze strzygami – co wywołało odzew z ich strony. Większą część ich reakcji stanowiło podekscytowanie i strach, co zwiększało naszą reputację jako zagorzałych wojowników. Jednakże reakcja Angeliny była kompletnie niespodziewana.

- Weźcie mnie ze sobą – powiedziała łapiąc mnie za ramię, gdy tylko zaczęłam schodzić leśną ścieżką w kierunku samochodu.
- Wybacz – powiedziałam wciąż odrobinę zdziwiona jej wcześniejszą wrogością. – Musimy zrobić to sami.
- Mogę pomóc! Pokonałaś mnie... ale widziałas co potrafię. Jestem niezła. Mogłabym pokonać stryżę.

Choć była bardzo zawzięta, wiedziałam, że Angelina nie miała pojęcia z czym musiałaby się zmierzyć, jeśli kiedykolwiek spotkałaby się z prawdziwą strzygą. Kilko Koczowników noszących znaki *molnija* opowiadało odrobinę o swoich doświadczeniach²⁶ z grobowymi minami. Oni rozumieli. Angelina nie. Nie zdawała sobie również sprawy, że prawdopodobnie pokonał by ją pierwszy lepszy nowicjusz ze szkoły średniej Św. Władimira. Miała niewyszkolony potencjał, prawda, ale potrzebował wiele pracy.

- Mogłabyś to zrobić – powiedziałam, nie chcąc ranić jej uczuć. – Ale to po prostu nie-możliwe żebyś z nami poszła.

Mogłabym skłamać i dać jej wymijające „może kiedyś”, ale od kiedy pozwolili Joshule myśleć, że jesteśmy „tak jakby zaręczeni”, stwierdziłam, że lepiej tego nie robić. Spodziewałam się większej ilości przechwałek odnośnie jej bitewnych umiejętności. Zorientowaliśmy się, że była szanowana jako jeden z najlepszych i najmłodszych wojowników na terenie ich obozu, a z jej całkiem niezłym wyglądem, miała również wielu wielbicieli.

²⁶ Słowo „*encounters*” oznacza **doświadczenia** – głównie te niemiłe. (Bądź przygodę seksualną z osobą, której nie znamy – ale to raczej nie dotyczy tego tekstu:P) – przyp. Kati

Wiele z tego uderzyło jej do głowy, a ona lubiła mówić o tym jak mogłaby pokonać kogokolwiek lub cokolwiek. Znów przypomniała mi się Jill. Jill również musiała wiele się nauczyć o prawdziwym znaczeniu bitwy, ale wciąż była chętna w to wejść. Była cichsza i ostrożniejsza niż Angelina, dlatego też następne słowa Angeliny całkowicie mnie zaskoczyły.

- Proszę. Tu nie chodzi tylko o strzygi! Chcę zobaczyć świat. Ja *muszę* zobaczyć coś więcej poza tym miejscem! – Jej głos był niski i niesłyszalny dla innych. – Ledwo dwa razy byłam w Rubysvill, a oni powiedzieli, że nawet nie ma co porównywać go do innych miast.
- Bo nie ma – zgodziłam się z nią. Nawet nie myślałam o nim jako o mieście.
- Proszę – błagała dalej, tym razem drżącym głosem. – Zabierzcie mnie ze sobą.

Nagle zrobiło mi się jej żal. Jej brat też okazał odrobinę tęsknoty za światem zewnętrznym, ale nie aż tak bardzo. Żartował, że posiadanie elektryczności byłoby przyjemne, ale wiedziałam, że był wystarczająco szczęśliwy bez profitów współczesnego świata. Ale dla Angeliny ta sytuacja była zdecydowanie bardziej dobijająca. Ja też wiedziałam jak to jest, czuć się uwięzioną w czyimś życiu i naprawdę było mi przykro za to, co musiałam powiedzieć.

- Nie mogę, Angelino. Musimy wyruszyć sami. Przykro mi. Naprawdę.

Jej niebieskie oczy załśniły i popędziła w las nim zdążyłabym zobaczyć, że płacze. Po tym wszystkim czułam się paskudnie, a gdy już się ze wszystkimi pożegnaliśmy, nie mogłam przestać o niej myśleć. Byłam tak roztargniona, że nawet pozwoliłam Joshule przytulić mnie na dowidzenia.

Powrót na drogę był ulgą. Cieszyłam się będąc z dala od Koczowników. Byłam gotowa rzucić się do akcji i zacząć pomagać Lissie. Lexington było naszym pierwszym przystankiem. Mielśmy przed sobą sześć godzin drogi, a Sydney jak zwykle uparła się, że nikt inny nie będzie prowadził jej wozu. Dymitr i ja daremnie protestowaliśmy ostatecznie poddając się, gdy zrozumieliśmy, że jeśli w najbliższym czasie zamierzaliśmy stawić czoła strygom, najlepiej byłoby odpocząć i zebrać siły.

Adres Donovana – strzygi, która rzekomo знаła Sonię – dotyczył miejsca, gdzie dało się go znaleźć tylko nocą. A to oznaczało, że musieliśmy dotrzeć do Lexington przed wschodem słońca, żeby go nie zgubić, gdy będzie udawał się na swój dzienny spoczynek. Oznaczało to również, że spotkamy się ze strygamami w ciemnościach. Pewni, że raczej niewiele mogłoby się wydarzyć w trakcie jazdy – zwłaszcza, że byliśmy poza Zachodnią Wirginią – Dymitr i ja zgodziliśmy się na małą drzemkę, odkąd żadne z nas nie przespało całej nocy.

Pomimo że leżenie w zrelaksowanej pozycji w samochodzie uspokajało, dryfowałam pomiędzy niespokojnym snem, a przytomnością. Po kilku takich godzinach, najzwyczajniej w świecie przeniosłam się w stan transu, który zaprowadził mnie do Lissy. To też była dobra rzecz: natknęłam się na jedno z największych wydarzeń przytrafiających się morojom. Za chwilę miały się rozpocząć nominacje do wyborów króla lub królowej. Był to pierwszy z wielu kroków elekcji, a biorąc pod uwagę jak rzadko takie wybory były przeprowadzane, wszyscy byli bardzo podekscytowani. Było to wydarzenie, którego żadne z moich przyjaciół nie

spodziewało się ujrzeć w najbliższej przyszłości, a biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia... cóż, wszyscy byliśmy tym wyjątkowo zainteresowani. Zagrożona była przyszłość morojów.

Lissa siedziała na krawędzi krzesła w jednej z sal balowych, ogromnej rozległej przestrzeni z gwiazdzistym sklepieniem²⁷ i złotymi zdobieniami dosłownie wszędzie. Byłam już w tym olśniewającym pokoju z malowidłami naściennymi i zawiłym gzymsem. Dookoła pobłyskiwały żyrandole. Odbywał się tam lunch dla absolwentów, gdzie nowo zaprzysiężeni strażnicy chcieli pokazać się z jak najlepszej stron w nadziei, że załapią jakiś niezły przydział. Teraz pomieszczenie było zaaranżowane jako sala obrad, z długim stołem po jednej stronie pokoju, przy którym stało dwanaście krzesel. Obok niego znajdowały się rzędy i rzędy następnych krzesel – gdzie zasiadała widownia, gdy Rada obradowała. Z tą różnicą, że teraz krzesel było jakieś cztery razy więcej niż zwykle, co prawdopodobnie wyjaśniało zapotrzebowanie na tę właśnie salę. Każde pojedyncze krzesło było zajęte. W rzeczywistości, wielu ludzi stało, tłocząc się w gromadzie najlepiej jak potrafili. Wyglądający na pobudzonych (czyt; podnieconych – a co niech też chłopaki mają coś z życia;) – przyp. Diotima), strażnicy poruszali się wzdłuż tłumu trzymając go z dala od wyjść i upewniając się, że osoby postronne były ustawione w taki sposób, który gwarantował optymalne bezpieczeństwo.

Christian siedział po jednej ze stron Lissy, zaś Adrian siedział obok Christiana. Ku mojemu miłemu zaskoczeniu, Eddie i Mia również siedzieli niedaleko. Mia była naszą morojką przyjaciółką, która chodziła do Św. Władimira i była niemal tak hardcorowa, jak Tasza odnośnie samoobrony morojów. Mojego ukochanego tatusia nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Żadne z nich się nie odzywało. Konwersacja mogłaby być zbyt trudna przy buczeniu i szumie tak wielu ludzi, a poza tym, moi przyjaciele byli zbyt pełni podziwu dla tego, co miało się wydarzyć. Było tak dużo do zobaczenia i do doświadczenia, a w dodatku żadne z nich nie zdawało sobie sprawy z tego, jak wielki będzie ten tłum. Abe powiedział, że sprawy potoczą się znacznie szybciej, gdy Tatiana zostanie pochowana, i tak też się stało.

– Czy wiesz, kim jestem?

Donośny głos zwrócił uwagę Lissy, tylko odrobinę unosząc się nad hałasem. Lissa spojrzała w dół rzędu, kilka krzesel dalej od Adriana. Dwójka Morojów, mężczyzna i kobieta, siedzieli obok siebie i patrzyli w górę na bardzo zdenerwowaną kobietę. Trzymała ręce na biodrach, a różowa aksamitna sukienka, którą nosiła, wydawała się być dziwaczna w porównaniu do jeansów i koszulek owej pary. Sukienka nie wyglądała zbyt dobrze od kiedy kobieta wyszła spoza zasięgu klimatyzacji

Piorunujące spojrzenie wykręciło jej twarz.

– Jestem Marcela Badica. – Gdy to nie wywołało żadnej reakcji pary, dodała – Księżę Badica jest moim bratem, a nasza zmarła królowa była moją trzecią kuzynką w drugiej linii. Nie ma już wolnych miejsc, a ktoś taki jak ja *nie może* stać przy ścianie z całą resztą tego spóółstwa.

Para wymieniła spojrzenia.

²⁷ Tak właściwie to → gwiazdzistym sklepieniem krzyżowo-żebrowym – przyp. Kati

- Sądzę, że powinnaś była przybyć tutaj wcześniej, Lady Badica – powiedział mężczyzna.

Marcela gapiała się na nich z oburzeniem.

- Czy nie słyszałaś kim jestem? Czyżbyście nie wiedzieli, kim są wasi zwierzchnicy? *Nalegam*, byście oddali swoje miejsca.

Para jednak dalej wyglądała na niewzruszoną.

- Sesja otwarta jest dla wszystkich, a ostatnim razem gdy sprawdzałam nie było wyznaczonych miejsc – powiedziała kobieta. – Jesteśmy tak samo upoważnieni do tych miejsc, jak i ty.

Znieważona Marcela odwróciła się do strażnika, który wzruszył ramionami. Jego pracą było ochranianie jej przed niebezpieczeństwem. Nie zamierzał usuwać innych z ich krzeseł, w szczególności gdy nie łamali żadnych zasad. Marcela wydała z siebie wyniosłe „uhhh” nim nagle się odwróciła i odeszła sztywnym krokiem, bez wątpienia w celu szykanowania jakiejś innej, biednej duszy.

- To – powiedział Adrian – będzie zachwycające.

Lissa uśmiechnęła się i odwróciła, by przestudiować resztę ludzi w pomieszczeniu. Gdy to robiła, doszła do mnie świadomość czegoś zaskakującego. Nie mogłam do końca powiedzieć kto był kim, ale tłum nie składał się tylko z członków rodzin królewskich – co zwykle zdarzało się w trakcie obrad Rady. Pełno było „pospólstwa” – tak jak para siedząca obok moich przyjaciół. Większość morojów nie przejmowało się Dworem. Nie należeli do tego świata, żyli swoim życiem i próbowali przetrwać, podczas gdy arystokracja paradowała wokół Dworu i tworzyła prawa. Ale nie dziś. Wkrótce miał zostać wybrany nowy przywódca, a to leżało w interesie wszystkich morojów.

Kotłowanie i chaos trwały do czasu, aż jeden ze strażników ostatecznie zdecydował, iż sala jest prawie przepelniona. Ci z zewnątrz byli oburzeni, ale ich krzyki szybko zostały uciszone, gdy strażnicy zamknęli drzwi, odgradzając salę balową. Niedługo potem jedenastu członków Rady zajęło swoje miejsca i – ku mojemu zdziwieniu – ojciec Adriana, Nathan Iwaszkow, zajął dwunaste krzesło. Herold Dworu wrzasnął, prosząc wszystkich o uwagę. Był kimś, kto został wybrany z racji jego niesamowitego głosu. Zawsze zastanawiałam się, dlaczego oni po prostu nie używają w takich sytuacjach mikrofonu. Więcej starodawnych tradycji, jak mniemam. To, i doskonała akustyka.

Nathan przemówił, gdy tylko w pomieszczeniu nastał spokój.

- Wobec braku naszej ukochanej królowej... – zatrzymał się i zasmucony spojrział w dół, by zaoferować chwilę na uhonorowanie pamięci zmarłej, nim zaczął kontynuować.

W przypadku kogokolwiek innego, mogłabym podejrzewać, że jego uczucia są udawane, szczególnie po tym, jak widziałam go płaczącego się przed Tatianą. Ale nie. Nathan kochał swoją kaśliwą²⁸ ciotkę, tak bardzo jak Adrian.

- I w obliczu tej strasznej tragedii, będę przewodniczył nadchodzącym testom i wyborom.
- Co ja ci powiedziałem? – wymamrotał Adrian. Nie miał żadnej ukrytej sympatii dla swojego ojca. – Za-chwy-ca-ją-ce.

Nathan poburczał trochę o znaczeniu tego, co ma się wydarzyć i jakiś innych punktach dotyczących morojskiej tradycji. Jednak najbardziej oczywiste było, że każdy w pomieszczeniu tak, jak i ja chciał przejść do najważniejszej części: nominacji. Wyglądało na to, że i on zdał sobie z tego sprawę, więc przyspieszył formalności. W końcu dotarł do sedna.

- Każda rodzina, jeśli się zdecyduje, może mieć jednego kandydata do korony, który przejdzie testy, które musieli przejść wszyscy monarchowie od zarania dziejów.

Pomyślałam, że część o „zaraniu dziejów” była zuchwałą i prawdopodobnie niezweryfikowaną przesadą, ale co tam.

- Jedynymi pominiętymi są Iwaszkowie, gdyż monarchowie pochodzący z tej samej rodziny nie mogą jeden po drugim zasiadać na tronie. Do kandydowania wymagane są trzy nominacje od morojów mających królewską krew i odpowiedni wiek.

Potem wspomniał o kilku rzeczach, jakie dzieją się w przypadku, gdyby więcej niż jedna osoba z rodziny dostała nominacje, ale nawet ja wiedziałam, że szanse by doszło do czegoś takiego praktycznie nie istniały. Każdy królewski dom chciał otrzymać jak największą przewagę, a to wymagałoby jednomyślnego stania za czyjąś kandydaturą.

Zadowolony, że wszyscy zrozumieli, Nathan pokiwał głową i skinął efektownie na widownię.

- Rozpocznijmy nominacje.

Przez chwilę nic się nie wydarzyło. To jakoś przypomniało mi czas, kiedy byłam w szkole, gdy nauczycielka mówiła coś takiego jak: Kto chciałby pierwszy zaprezentować swoją pracę? Wszyscy czekali na kogoś innego, kto rozpocząłby prezentację, i ostatecznie tak też się działo.

Wstał mężczyzna, którego nie rozpoznałam.

- Nominuję Księżniczkę Arianę Szelski.

Ariana jako księżniczka, miała swoje miejsce w Radzie i jej wybór był przewidywalny. Wytwornie skinęła w stronę mężczyzny. Drugi mężczyzna, prawdopodobnie również z ich rodziny, także wstał i oddał drugą nominację. Trzecia i ostatnia nominacja nadeszła od następnego Szelskiego – bardzo nieoczekiwanego Szelskiego. Był to brat Ariany, podróżnik, którego praktycznie nigdy nie było na Dworze, i także mężczyzna, którego strzegła moja

²⁸ Tiaa, gra słów z mojej strony nie jest przypadkowa ;)

matka. Zrozumiałam, że obecność Janine Hathaway w tym pokoju była bardzo prawdopodobna. Chciałam, żeby Lissa rozejrzała się dookoła i ją odnalazła, ale ona była zbyt skupiona na obradach. Po wszystkim co przeszłam, nagle desperacko zapragnęłam zobaczyć moją matkę.

Mając trzy nominacje, Nathan zadeklarował:

- Księżniczka Ariana Szelski zostaje uznana za kandydatkę. – Nagryzmolił coś na kartce papieru, która przed nim leżała, jego gesty były wyolbrzymione. – Kontynuujmy.

Po tym nominacje szły w szybkim tempie. Wiele było książąt i księżniczek, ale byli też szanowani – i ciągle wysoko sytuowani – członkowie rodzin. Ronald, kandydat Ozery, nie był jednym z członków Rady z ich rodziny, ani nikim kogo bym znała.

- Roland nie jest jednym z ‘idealnych’ kandydatów cioci Taszy – wymruczał do Lissy Christian. – Ale przyznała, że nie jest kretynem.

O reszcie kandydatów też niewiele wiedziałam. O kilku, jak o Arianie Szelski, miałam dobre mniemanie. Ale było też kilku, których zawsze uważałam za przerażających. Dziesiątym kandydatem był Rufus Tarus, kuzyn Daniela. Daniela wżeniła się w Iwaszkowów z rodziny Tarus i wydała się być przeszczęśliwa widząc, że jej kuzyn dostał nominację.

- Nie lubię go – powiedział Adrian, krzywiąc twarz. – Zawsze powtarza mi, żebym zrobił ze swoim życiem coś użytecznego.

Nathan zapisał imię Rufusa, a potem zrolował papier jak zwój.

Pomimo starodawnego wyglądu tradycji, podejrzewałam, że sekretarka na widowni zapisywała na laptopie wszystko, co zostało powiedziane.

- Cóż powiedział Nathan, wygląda na to, że –
- Nominuję Księżniczkę Wasylisę Dragomir.

Głowa Lissy szarpnęła w lewo, i przez jej oczy rozpoznałam znajomą postać. Taszę Ozerę. Stała i wymawiała słowa głośno i pewnie, spoglądając dookoła tymi lodowo niebieskimi oczami, gdyby ktoś ośmielił się nie zgodzić.

Sala zamarła. Nie było żadnych szeptów, ani wiercenia na krzesłach. Jedynie bezdenna i całkowita cisza. Oceniając po twarzach, nominowany z rodziny Ozerów był drugim najbardziej zszokowanym człowiekiem w pomieszczeniu słysząc słowa Taszy. Pierwszym oczywiście była Lissa we własnej osobie.

Nathanowi zajęło chwilę, by znów był w stanie przemówić.

- To nie jest–

Christian nagle wstał z krzesła obok Lissy.

- Podwajam nominację.

Zanim Christian zdążył nawet usiąść, Adrian był już na nogach.

- Potwierdzam nominację.

Wszystkie oczy w sali zwrócone były na Lissę i jej przyjaciół, a potem tłum jak jeden mąż odwrócił się w stronę Nathana Iwaszkowa. Znowu wyglądało na to, że miał problemy z odnalezieniem głosu.

- To – zdołał w końcu przemówić – nie jest legalna nominacja. Ze względu na obecną pozycję w Radzie, linia Dragomirów niestety nie spełnia odpowiednich warunków, by przedstawić swojego kandydata.

Tasza, która nigdy nie bała się przemawiać w tłumie czy podejmować się przegranych spraw, stawiać czoła niemożliwym dziwactwom, ponownie poderwała się do góry. Mogłam przysiąc, że się do tego paliła. Była dobra w wygłaszaniu przemówień i wyzywaniu systemu.

- Kandydat na monarchę nie potrzebuje pozycji w Radzie, czy kworum, by objąć tron.
- To nie ma sensu – powiedział Nathan i rozległy się mamrotania zgody.
- Sprawdź księgę praw, Nate– to znaczy Lordzie Iwaszkow.

No, nareszcie się znalazł. Mój taktowny ojciec dołączył do konwersacji. Abe opierał się o ścianę obok wejścia, ubrany znakomicie w czarny garnitur z koszulą i krawatem, które były dokładnie w tym samym odcieniu szmaragdowej zieleni. Moja matka stała obok niego z nieznacznym śladem uśmiechu na twarzy. Przez chwilę byłam zniewolona, gdy przyglądałam im się z każdej strony. Moja matka: doskonały obraz strażniczkiej perfekcji i dobrych manier. Mój ojciec: zawsze zdolny do osiągania własnych celów, nie ważne jak pokręcony byłby sposób ich osiągnięcia.

Z trudem zaczęłam rozumieć jak odziedziczyłam moją dziwną osobowość.

- Nominowani nie mają określonych wymagań dotyczących tego, jak wielu członków jest w ich rodzinach – jowialnie kontynuował Abe. – By zostać zaprzysiężeni, potrzebują jedynie trzech nominacji od członków rodzin królewskich.

Nathan wykonał gniewny gest w stronę, gdzie siedział jego krnąbrny syn i Christian.

- Oni nie są z jej rodziny!
- Nie muszą być– kontynuował Abe. – Wystarczy, że są z królewskiej rodziny. I są. Jej kandydatura jest zgodna z prawem – o ile księżniczka ją zaakceptuje.

Teraz wszystkie głowy obróciły się w stronę Lissy, jak gdyby wszyscy nagle zaczęli ją zauważać. Lissa nawet nie drgnęła od chwili rozpoczęcia się tych zadziwiających wydarzeń. Była w zbyt dużym szoku. Jej myśli zdawały się krążyć, raz szybko, raz wolno. Część niej nie mogła nawet zrozumieć tego, co działo się dookoła. Czy to był żart? A może to halucynacje wywołane więzią z duchem? Czy ona już totalnie sfiksowała? To jej się śniło? Czy to był przekręt? Jeśli to była prawda, to dlaczego jej przyjaciele byli za to odpowiedzialni? Dlaczego oni jej to robili? I na litość boską, czy wszyscy mogli by się przestać na nią gapić?

Mogła wytrzymać ich zainteresowanie. Została do tego urodzona i wychowana, i podobnie jak Tasza, Lissa mogła przemawiać do tłumu i wygłaszać śmiałe mowy – gdy je popierała i była do nich przygotowana. Żadna z tych rzeczy nie obowiązywała w tej sytuacji. To najprawdopodobniej była ostatnia rzecz na świecie jakiej mogłaby się spodziewać, albo chcieć. Tak więc, nie mogła zmusić się do reakcji, czy choćby rozważenia odpowiedzi. Została gdzie była, cicha i wstrząśnięta.

Wtem coś ją wyrwało z transu. Ręka Christiana. Złapał dłoń Lissy, złączając jej palce ze swoimi. Delikatnie ją uściśnął, a żar i energia którą jej przesłał, przywróciły ją do życia.

Zobaczyła zdeterminowany wzrok Taszy, chytry wygląd mojego ojca i nawet nadzieję mojej mamy. Ta ostatnia wydała jej się najbardziej wstrząsająca. Jak Janine Hathaway – która zawsze robiła, to co należy i ledwo była w stanie opowiedzieć żart – mogła brać w tym udział?

Jak przyjaciele Lissy mogli w tym współdziałać? Czyżby jej nie kochali i nie troszczyli się o nią?

Rose, pomyślała. Chciałabym, żebyś tutaj była i powiedziała mi co robić.

Ja też bym chciała. Przekłeta jednostronna więź. Ufała mi bardziej, niż komukolwiek na świecie, ale potem zdała sobie sprawę z tego, że ufała także wszystkim swoim przyjaciołom – cóż, może z pominięciem Abe, ale to było zrozumiałe. Ale skoro oni się tak zachowywali, to z pewnością – z pewnością – musiał być jakiś powód, prawda?

Prawda?

To nie miało dla niej sensu, jednak Lissa poczuła, że jej nogi poruszają się gdy na nich stała. I pomimo strachu i zamętu, które ciągle się przez nią przelewały, znalazła w sobie głos, który rozbrzmiał w pomieszczeniu, niewytłumaczalnie czysto i pewnie.

– Przyjmuję nominację.

Tłumaczenie: Kati_Lady_92

Korekta: Diotima

Rozdział piętnasty

NIE SPODOBAŁO MI SIĘ, że Wiktor Daszkow miał rację. Ale, och, jakby nigdy nie miał. Wraz z obwieszczeniem Lissy, pomieszczenie, które wstrzymywało oddech, nagle wybuchło. Zastanawiałam się, czy w historii morojów odbyło się chociaż jedno spokojne posiedzenie Rady, czy tylko ja przypadkowo wpadałam na kontrowersyjne zebrania. To, co zaistniało dzisiaj, w dużym stopniu przypominało mi dzień, w którym został uchwalony dekret wieku dotyczący dampirów. Krzyki, klótnie, ludzie zrywający się z krzeseł... Strażnicy, którzy normalnie podpierali ściany i obserwowali, tym razem byli pomiędzy ludźmi. Na ich twarzach wypisana była obawa, gdy przygotowywali się do możliwych sporów, które mogłyby wykroczyć poza słowa.

Tak szybko, jak Lissa znalazła się w centrum uwagi, pokój wydawał się o niej zapomnieć. Usiadła, a Christian odszukał jej dłoń. Ścisnęła ją mocno, tak mocno, że zaczęłam zastanawiać się, czy nie odcięła mu dopływu krwi. Patrzyła przed siebie, ciągle wstrząśnięta. Jej umysł nie skupiał się na całym tym chaosie, ale docierało do mnie wszystko co widziała i słyszała. Poważnie, jedyną rzeczą jaka przyciągnęła uwagę moich przyjaciół było nadejście Daniela i zruganie Adriana za nominowanie kogoś spoza ich rodziny. Zbył to swoim zwyczajowym wzruszeniem ramion, na co ona zirytowała się, uświadamiając sobie – tak jak i wielu z nas – że tak naprawdę, nie ma sensu próbować przekonywać do czegoś Adriana.

Moglibyście pomyśleć, że w pomieszczeniu, gdzie wszyscy walczą o przewagę swojej rodziny, każda osoba będzie kwestionować ważność nominacji Lissy. Jednakże nie w tym przypadku – szczególnie, że nie wszyscy na sali byli arystokratami. Tak jak zauważyłam wcześniej, zjechali się tu moroje z całego świata, by być świadkami wydarzeń, które miałyby zdecydować o ich przyszłości. I wielu z nich przyglądało się z zainteresowaniem dziewczynie Dragomirów, tej księżniczce z wymierającej linii, która rzekomo mogła czynić cuda. Nie skandowali zachłannie jej imienia, ale wielu było w wirze dyskusji, twierdząc, że miała wszelkie prawa by wystąpić w roli kandydatki swojej rodziny. Część mnie podejrzewała również, że niektórzy z jej zwolenników z „pospólstwa”, najzwyczajniej w świecie polubili pomysł pokrzyżowania królewskiego programu. Młoda para, która była dręczona przez Lady Badicę, nie była jedyną nękaną przez ich „wyższość”.

Najbardziej zadziwiające było to, że znaleźli się arystokraci popierający Lisę. Mogli być lojalni w stosunku do swoich rodzin, ale nie wszyscy z nich byli nieczułymi, samolubnymi spiskowcami. Wielu miało poczucie dobra i zła – a jeśli Lissa miała prawo po swojej stronie, to mogła brać w tym udział. Dodatkowo, wielu arystokratów najzwyczajniej ją lubiło i szanowało. Ariana była jedną z osób, która popierała nominację Lissy, pomimo konkurencji jaką to tworzyło. Ariana dobrze знаła prawo i niewątpliwie zdawała sobie sprawę z luki jaka w nim była i bez wątplenia wiedziała, że mimo, iż Lissa dzięki niej może startować, to gdy nadejdzie czas elekcji, ona wyeliminuje Lisę. Jednakże, Ariana nie ugięła się, czym jeszcze bardziej mnie do siebie zjednała. Kiedy nadejdzie prawdziwe głosowanie, mam nadzieję, że to Ariana wygra koronę. Była inteligentna i sprawiedliwa – dokładnie kogoś takiego potrzebowali moroje.

Oczywiście Adriana nie była jedyną, która знаła prawo. Inni również wylapali tę lukę i kłócili się, twierdząc, że nominowanie kandydata, na którego nikt nie będzie mógł zagłosować, jest bez sensu. Normalnie zgodziłabym się z tym. Debata stawiała się coraz bardziej zagorzała, gdy moi przyjaciele siedzieli po cichutku w centrum huraganu. Ostatecznie sprawa została rozstrzygnięta w sposób, w jaki powinny być podejmowane wszystkie decyzje: poprzez głosowanie. Z Lissą wciąż nie mogącą zająć swojego miejsca w Radzie, pozostawało jedenastu członków, którzy mieli zadecydować o jej przyszłości. Sześciu z nich zaakceptowało jej kandydaturę, czyniąc ją oficjalną. Mogła wystartować w wyborach. Podejrzywałam, że kilku z tych, którzy na nią głosowali, tak naprawdę nie chciało by kandydowała, ale zwyciężył ich szacunek dla prawa.

Wielu morojów nie obchodziło co mówiła Rada. Jasno dali do zrozumienia, iż uważają, że ta sprawa jeszcze się nie zakończyła. Tym samym udowodnili to, co powiedział Wiktor, że to przez jakiś czas będzie wywoływało oburzenie i byłoby jeszcze gorzej, gdyby Wasylisa rzeczywiście zdała testy i przeszła do etapu głosowania. Tymczasem tłum się rozchodził, pozornie ułagodzony – nie tylko dlatego, że chcieli uciec od wrzasków, ale również dlatego, że chcieli rozgłosić tę sensacyjną wiadomość.

Lissa dalej niewiele mówiła, gdy opuszczała pomieszczenie z przyjaciółmi. Idąc między gapiami, przypominała wzór królewskości i spokoju, jak gdyby już została publicznie ogłoszona królową. Ale gdy już udało jej się od tego uciec i była z powrotem w swoim pokoju z innymi, wszystkie te pozamykane, zastygłe uczucia eksplodowały.

- Co wy sobie *do cholery* myśleliście? – wrzeszczała. – Co wyście mi zrobili?

Zaraz za Adrianem, Christianem i Eddiem pojawiła się reszta konspiratorów: Tasza, Abe i moja mama. Każde z nich było tak kompletnie zszokowane reakcją słodkiej Lissy, że nikt nie zebrał się na to, by jej odpowiedzieć. Lissa wykorzystała ich milczenie.

- Wrobiliście mnie! Rzuciliście mnie w sam środek politycznego koszmaru! Myśleliście, że tego chcę? Czy wy naprawdę sądzicie, że chcę być królową?

Naturalnie, to Abe odezwał się pierwszy.

- Nie będziesz królową – powiedział, niecharakterystycznie jak na niego gładkim głosem. – Ludzie sprzeczący się o drugą część prawa mają rację: nikt tak naprawdę nie może na ciebie głosować. Potrzebujesz do tego rodziny.
- Więc o co chodzi? – zawołała.

Była wściekła. I miała do tego pełne prawo. Ale to oburzenie, ten gniew... były podsycane przez coś gorszego, niż ta pojedyncza sytuacja. Duch nadchodził, by zażądać swojej zapłaty, sprawiając, że była jeszcze bardziej zdenerwowana, niż była wcześniej.

- Chodzi o – powiedziała Tasza – całe to szaleństwo, które dopiero co widziałas w sali obrad. Z każdą dodatkową kłótnią, za każdym razem, gdy ktoś wyciąga księgę praw, mamy więcej czasu, by ratować Rose i dowiedzieć się, kto zamordował Tatianę.

- Ktokolwiek to zrobił, musiał mieć interes w dojściu do tronu – wyjaśnił Christian. Położył dłoń na ramieniu Lissy, ale ona ją strzepnęła. – Albo dla siebie, albo dla kogoś znajomego. Im bardziej opóźnimy ich plany, tym więcej czasu mamy na dowiedzenie się, kto to był.

Lissa w frustracji przeczesała dłońmi swoje długie włosy. Próbowałam wyciągnąć z niej to ziarno wściekłości, zabierając je do siebie. Odrobinę mi się to udało, wystarczająco by opuściła ręce na boki. Ale i tak dalej była wkurzona. (Czyt. *podkurwiona* – przyp. Kati)

- Jak niby mam szukać mordercy, jeśli mam związane ręce, zajmując się tymi głupimi testami? – zaprotestowała.
- Nie będziesz go szukała – powiedział Abe. – My będziemy.

Jej oczy rozszerzyły się.

- To nigdy nie było częścią planu! Nie będę skakała przez arystokrackie obręcze, gdy Rose mnie potrzebuje. Chcę jej pomóc!

To było prawie komiczne. Prawie. Ani Lissa, ani ja nie mogłyśmy znieść „bezczylnego siedzenia”, gdy sądziłyśmy, że ta druga potrzebuje naszej pomocy. Chciałyśmy być w środku wydarzeń, aktywnie pomagając w tym, co mogło naprawić sytuację.

- Pomagasz jej – powiedział Christian. Jego ręka drgnęła, ale nie spróbował jej ponownie dotknąć. – W inny sposób niż myślałaś, ale ostatecznie to jej pomoże.

Dokładnie tego samego argumentu wszyscy używali na mnie. Tak jak i mnie, ją też wprowadził we wściekłość, więc desperacko rozwiązałam fale szaleństwa, które wzbudzał w niej duch. Lissa krążyła po pokoju, patrząc oskarżycielsko w każdą z twarzy.

- Kto do licha wpadł na ten pomysł?

Nastąpiło jeszcze więcej niewygodnej ciszy.

- Rose – powiedział ostatecznie Adrian.

Lissa odwróciła się i spojrzała na niego.

- To nie ona! Ona nie zrobiłaby mi czegoś takiego!
- Zrobiła – powiedział. – Rozmawiałem z nią we śnie. To był jej pomysł i... był dobry.
– Nie do końca podoba mi się, jak bardzo wydało mu się to zaskakujące. – Poza tym, ty też postawiłaś ją w kiepskiej sytuacji. Ciągłe powtarza, jak bardzo do bani jest to miasteczko, w którym przebywa.
- Dobra – rzuciła wściekle Lissa, ignorując część o mojej niedoli. – Zakładając, iż prawdą jest, że to Rose podsunęła ci ten „cudowny” pomysł, to dlaczego nikt się nie pofatygował, *żeby mi o tym powiedzieć?* Nie pomyśleliście, że małe ostrzeżenie mogłoby pomóc?

I znowu zabrzmiało to dokładnie jak ja, żaląca się o utrzymywanie przede mną w sekrecie ucieczki z więzienia.

- Nie bardzo – powiedział Adrian. – Doszliśmy do wniosku, że zareagowałabyś dokładnie tak jak teraz i miałabyś czas na wymyślenie odmowy. Właściwie to zakładaliśmy się, czy jeśli zostaniesz wzięta z zaskoczenia, zaakceptujesz nominację.
- To było raczej ryzykowne – stwierdziła.
- Ale zadziałało – nadeszła szczerza odpowiedź Taszy. – Wiedzieliśmy, że spiszesz się dla nas na medal. – Puściła oczko. – I jeśli to jest ważne, to sądzę, że byłabyś świetną królową.

Lissa spojrzała na nią ostro, a ja jeszcze raz spróbowałam odciągnąć cząstkę ciemności. Koncentrowałam się na tych kłębiących się emocjach, wyobrażając je sobie we mnie, zamiast niej. Nie wyciągnęłam ich wszystkich, ale udało mi się zabrać je na tyle, by osłabić jej wojowniczy nastrój. Nagle wybuchnęła we mnie wściekłość, chwilowo mnie oślepiając, ale byłam w stanie zepchnąć ją w odległy róg swego umysłu. Nagle Lissa poczuła się wykończona. Ja po części też.

- Pierwszy test odbywa się jutro – powiedziała cicho. – Jeśli go obleję, wypadam. Tak samo jak i plan.

Christian jeszcze raz spróbował owinać dookoła niej swoje ramiona, i a tym razem mu na to pozwoliła.

- Nie oblejesz go.

Lissa nie powiedziała już niczego więcej, więc mogłam dostrzec ulgę malującą się na twarzach wszystkich zebranych. Nikt nawet przez sekundę nie wierzył, że będzie jej się to podobało, ale wszyscy zdawali się myśleć, że nie zamierzała wycofywać swojej nominacji, co według mnie było sporą wiarą w nią. Moja mama i Eddie nie powiedzieli ani słowa przez cały ten czas. Wspólnym przyzwyczajeniem strażników było to, że trzymali się tła przypominając cienie, gdy przeprowadzane były morojskie interesy. Gdy minęła już początkowa burza, moja matka wystąpiła do przodu. Skinęła w stronę Eddiego.

- Będziemy się starać by jedno z nas zawsze z tobą było.
- Dlaczego? – spytała zdziwiona Lissa.
- Ponieważ wiemy, że jest tam ktoś, kto nie boi się zabić, by zdobyć to, czego pragnie – odpowiedziała Tasza. Kiwnęła głową w stronę Eddiego i mojej mamy. – Ta dwójka i Michaił są jedynymi strażnikami, którym możemy ufać.
- Jesteś pewna? – Abe posłał Taszy figlarne spojrzenie. – Jestem zdziwiony, że nie wciągnęłaś na pokład swojego wyjątkowego ‘przyjaciela’ strażnika.
- Jakiego wyjątkowego przyjaciela? – zażądał odpowiedzi Christian, natychmiast wylapując insynuację. Tasza, ku mojemu zdumieniu, poczerwieniała.
- To tylko facet, którego znam.
- Który chodzi za tobą z oczami szczeniaczka – kontynuował Abe. – Jak on ma na imię? Evan?

- Ethan – poprawiła go.

Moja matka, wyglądająca na zirytowaną tą niedorzeczną rozmową, bezzwłocznie położyła jej kres – co było świetnym posunięciem, zwłaszcza że Christian wyglądał jakby chciał dodać kilka słów od siebie.

- Zostaw ją w spokoju – ostrzegła Abe. – Nie mamy na to czasu. Ethan to dobry facet, ale im mniej ludzi o tym wie, tym lepiej. Dopóki Michał ma stałą pracę, Eddie i ja będziemy ją chronić.

Zgadzałam się ze wszystkim co powiedziała, ale uderzyło we mnie, że aby wprowadzić w sprawę moją matkę, ktoś – prawdopodobnie Abe – wciągnął ją w jedno z tych zakazanych działań. Albo był bardzo przekonujący, albo to ona bardzo mnie kochała. Niechętnie podejrzewałam, że obie opcje były prawdziwe. Gdy moroje byli na Dworze, ich strażnicy nie musieli im wszędzie towarzyszyć, co oznaczało, że moja mama prawdopodobnie większość czasu będzie wolna od swoich zadań, odkąd Lord Szelski tutaj przebywał. Eddie wciąż nie dostał przydziału, co również dawało mu dużo swobody. Lissa zaczęła mówić coś innego, gdy ostry wstrząs w mojej własnej rzeczywistości odciął mnie od niej.

- Przepraszam – powiedziała Sydney. Jej ostre hamowanie było tym, co przywróciło mnie do rzeczywistości. – Ten palant zajechał mi drogę.

Choć nie była to wina Sydney, to czułam irytację, że mi przerwała i chciałam na nią nakrzyczeć. Biorąc głęboki oddech, przypominałam sobie, że najzwyczajniej w świecie czułam efekty działania ducha i nie mogłam pozwolić, by doprowadzały mnie do irracjonalnych zachowań. Efekty zanikłyby jak zwykle, lecz jakaś część mnie wiedziała, że nie będę mogła wiecznie odbierać od Lissy tej ciemności. Nie zawsze będę w stanie ją kontrolować.

Teraz gdy byłam już sobą, wyjrzałam przez okno przyglądając się otoczeniu. Nie byliśmy już w górach. Dotarliśmy właśnie do obszaru miejskiego i choć ruch był raczej niewielki (biorąc pod uwagę, że to wciąż był środek ludzkiej nocy), to samochodów było definitywnie więcej, niż zdarzyło nam się ostatnio zobaczyć.

- Gdzie jesteśmy? – spytałam.
- Na peryferiach Lexington – odpowiedziała mi Sydney. Zatrzymała się na pobliskiej stacji benzynowej, by ponownie napełnić bak i byśmy mogli wstukać adres Donovana w jej GPS–ie. Jego mieszkanie było jakieś osiem i pół kilometra od nas.
- To nie najlepsza część miasta, z tego co słyszałem – powiedział Dymitr. – Donovan prowadzi tam salon tatuażu, który jest otwarty tylko nocą. Kilka strzyg pracuje razem z nim. Zbierają imprezowiczów, pijane dzieciaki... ludzi tego typu, którzy łatwo mogą zniknąć. Takich, których kochają strzygi.
- Wydawałoby się, że policja w końcu zauważy, że za każdym razem gdy ktoś idzie po tatuaż, to znika – zauważyłam. Dymitr zaśmiał się szorstko.
- Cóż, „najśmieszniejszą” rzeczą jest to, że nie zabijają każdego, kto do nich wejdzie. Niektórym robią tatuaże i wypuszczają ich. Szmuglują tam też dragami.

Przyglądałam mu się z zaciekawioną, gdy Sydney z powrotem wśliznęła się do samochodu.

- Pewnie wiesz całkiem sporo.
- W moim interesie było dużo wiedzieć. Strzygi też muszą mieć dach nad głową. Tak właściwie, to raz spotkałem się z Donovanem i dostałem większość tych informacji prosto ze źródła. Nie wiem, gdzie dokładnie pracował do tej pory.
- Okej, więc mamy o nim jakieś informacje. Co z nimi zrobimy?
- Wywabimy go. Poślemy „klienta” z wiadomością ode mnie, że chcę się z nim spotkać. Nie jestem typem osoby, którą będzie mógł zignorować – cóż, którą mógł zignorować – nie ważne. Gdy będzie już na zewnątrz, zabierzemy go do miejsca, które *to my* wybieramy.

Przytaknęłam.

- Mogę to zrobić.
- Nie – powiedział Dymitr. – Nie możesz.
- Dlaczego nie? – spytałam, zastanawiając się, czy uważał, że to dla mnie za bardzo niebezpieczne.
- Ponieważ będą wiedzieli, że jesteś dampirem, jak tylko cię zobaczą, choć prawdopodobnie najpierw to wyczują. Nie, strzyga nie może mieć dampa, który by dla niego pracował – tylko ludzi.

W samochodzie zapadła niewygodna cisza.

- Nie! – powiedziała Sydney. – *Nie* zrobię tego!

Dymitr potrząsnął głową.

- Mi też się to nie podoba, ale nie mamy zbyt wielu opcji. Jeśli pomyśli, że dla mnie pracujesz, nie skrzywdzi cię.
- Naprawdę? A co jeśli mi nie uwierzy? – naciskała.
- Nie sądzę, że zdecyduje się na taką możliwość. Prawdopodobnie pójdzie z tobą, by sprawdzić o co chodzi, mając na uwadze opcję zabicia cię, jeśli okaże się, że kłamiesz.

Nie wydawało się, żeby te słowa sprawiły, by poczuła się odrobinę lepiej. Jęknęła.

- Nie możesz jej tam wysłać – powiedziałam. – Będą wiedzieli, że jest Alchemiczką. Żaden z nich, też nie pracuje dla Strzyg.

Zaskakujące, Dymitr o tym nie pomyślał. Znów zamilkliśmy i to Sydney niespodziewanie była tą, która przyszła z rozwiązaniem.

- Gdy byłam wewnątrz stacji benzynowej – powiedziała powoli – mieli tam coś jak regał z kosmetykami. Moglibyśmy ukryć większą część mojego tatuażu pod pudrem.

Tak też zrobiliśmy. Jedyne pudro sprzedawane na stacji raczej nie pasował do jej tonacji, ale nałożyliśmy odpowiednią warstwę, by przyciemnić złotą lilię na jej policzku. Przeczesałam jej

włosów na przód, też trochę pomogło. Zadowoleni, że zrobiliśmy wszystko co tylko się dało, wyruszyliśmy do Donovana.

To faktycznie była podniszczona część miasta. Kilka bloków od studia tatuazu, zauważyliśmy coś, co wyglądało jak klub nocny, ale mimo to okolica wydawała się być wymarła. Cóż, nie byłam głupia. To nie było miejsce, po którym chciałbyś kręcić się samotnie nocą. Wprost wrzeszczało ‘napad’. Albo i jeszcze gorzej.

Przeszukiwaliśmy obszar do czasu, aż Dymitr znalazł miejsce, które uważał za najlepsze. Był nim postronny zaułek, o dwa budynki oddalony od studia tatuazu. Po jednej stronie znajdowało się wykrzywione odrutowane ogrodzenie, zaś drugą stronę oskrzydlał niski, ceglany budynek. Dymitr poinstruował Sydney jak ma doprowadzić do nas strzygi. Zgodziła się na to wszystko kiwając głową, lecz w jej oczach mogłam dostrzec strach.

- Musisz wyglądać na onieśmioną – powiedział jej. – Ludzie, którzy służą strzygom wielbią ich i są chętni ich zadowolić. Odkąd sporo przebywają wśród strzyg, nie są przerażeni, ani zdziwieni. Oczywiście nadal trochę się boją, ale nie tak bardzo jak ty w tej chwili.

Przełknęła ślinę.

- Naprawdę nie mogę nic na to poradzić.

Współczułam jej. Mocno wierzyła, że wszystkie wampiry są złe, a teraz wysyłaliśmy ją do gniazda tych najgorszego rodzaju, narażając ją na wielkie ryzyko. Wiedziałam również, że tylko raz w życiu widziała żywą strzygę, i pomimo wskazówek od Dymitra, wydawało się, że zobaczenie ich więcej mogło ją całkowicie zamknąć w skorupie szoku. Jeśli zastygnie przed Donovanem, wszystko może trafić szlag.

W przyptywie impulsu uścisnęłam ją mocno. Ku mojemu zaskoczeniu nie zaoponowała.

- Możesz to zrobić – powiedziałam. – Jesteś silna, a oni za bardzo boją się Dymitra. W porządku?

Po kilku głębokich wdechach, Sydney skinęła głową. Dałam jej jeszcze kilka zachęcających słów, a potem zwróciła się do rogu budynku, kierując się w stronę ulicy i zniknęła z zasięgu naszego wzroku. Rzuciłam okiem na Dymitra.

- Właśnie mogliśmy posłać ją na śmierć.

Jego twarz była ponura.

- Wiem, ale teraz nie możemy nic zrobić. Lepiej zajmij swoją pozycję.

Z jego pomocą zdołałam wspiąć się na dach niskiego budynku. Nie było nic intymnego w sposobie w jaki mnie podniósł w górę, ale nie mogłam powstrzymać tego samego przepływu elektryczności, jaki wywoływał kontakt z nim i który wskazywał, jak łatwo ze sobą pracowaliśmy. Gdy zajęłam już odpowiednią pozycję, Dymitr skierował się do przeciwnej

strony budynku, za którym zniknęła Sydney. Przyczaił się tuż za rogiem i nie pozostawiało nam nic, tylko czekać.

To była męczarnia – i nie tylko dlatego, że byliśmy na skraju walki. Nie mogłam przestać myśleć o Sydney, o tym o co ją poprosiliśmy. Moją pracą było chronienie niewinnych przed złem – nie wpychanie ich w jego środek. Co jeśli nasz plan zawiedzie? Gdy minęło kilka minut, w końcu usłyszałam odgłosy kroków i pomruki głosów, w tym samym czasie odczuwając przechodzące przeze mnie znajome fale mdłości. Wyciągnęliśmy strzygi. Cała trójka wyszła zza rogu budynku, z Sydney na czele. Zatrzymali się i dostrzegłam Donovana. Był najwyższy – jako były moroj – z ciemnymi włosami i bródką, która przypominała mi Abe. Dymitr opisał mi jego wygląd, żebym (miejmy nadzieję) nie zabiła go. Sługusy Donovana krążyły za nim, wszyscy uważni i czujni. Spięłam się, mocno trzymając kołek w prawej ręce.

- Bielikow? – zapytał Donovan ostrym głosem. – Gdzie jesteś?
- Tutaj – nadeszła jego odpowiedź – tym zimnym, strasznym głosem strzygi. Wylonił się zza przeciwległego rogu budynku, pozostając w cieniu.

Donovan rozluźnił się odrobinę rozpoznając Dymitra – ale nawet w ciemności ujawnił się jego prawdziwy wygląd. Donovan zeszywniał – nagle dostrzegając zagrożenie, nawet jeśli to go dezorientowało i poddawało w wątpliwość to, co widział. Dokładnie w tym samym momencie, jeden z jego facetów gwałtownie obrócił swoją głowę.

- Dampiry! – zawołał.

To nie cechy Dymitra dały mu o tym znać, tylko nasz zapach. Wydyszałam cichą modlitwę w podziękowaniu za to, że tak dużo czasu zajęło im zauważenie tego.

A potem skoczyłam z dachu. To nie był łatwy dystans do skoku – ale też nie taki, który mógłby mnie zabić. W dodatku mój upadek został stłumiony przez strzygę. Wylądowałam na jednym ze sługusów Donovana, powalając go na ziemię. Zamachnęłam się kołkiem w jego serce, ale jego refleks był szybki, a przy mojej lekkiej wadze byłam łatwa do zrzucenia. Spodziewałam się tego, jednak poradziłam sobie z utrzymaniem swojej postawy. Kątem oka zobaczyłam, że Sydney – zgodnie z naszymi instrukcjami – pochyla się nisko i rzuca do ucieczki z tego miejsca. Chcieliśmy by była z dala od linii ognia i kazaliśmy jej iść do samochodu, aby przygotowała się na ucieczkę, gdyby sprawy poszły źle.

Oczywiście ze strzygami sprawy zawsze miał się źle. Donovan i drugi z jego sługusów ruszyli na Dymitra, biorąc go za większe zagrożenie. Wnioskując z wyszczerzonego kłami uśmiechu mojego przeciwnika, wcale nie wydawał się uważać mnie za zagrożenie. Rzucił się na mnie, jednak wymknęłam mu się, lecz nie bez wcześniejszego wymierzenia mu kopniaka, który trafił w kolano. Mój cios nie wydawał się go zranić, ale pozbawił go równowagi. Wykonałam kolejne uderzenie kołkiem i znowu zostałam odrzucona, mocno uderzając w ziemię. Moje gołe nogi otarły się o szorstkie podłoże, zdzierając skórę. Ponieważ moje dżinsy stały się zbyt brudne i podarte, zostałam zmuszona do założenia pary szortów z plecaka, który przyniosła mi Sydney.

Zignorowałam ból, z powrotem wystrzeliwując w górę z szybkością, jakiej strzyga się nie spodziewała. Mój kołek znalazł jego serce. Uderzenie nie było tak mocne, jak bym chciała, ale wystarczyło by odrzucić go do tyłu, a potem pozwolić mi mocniej zagłębić kołek i wykończyć go. Nie chcąc nawet widzieć jak upada, wyszarpnęłam z niego swój kołek i odwróciłam się do pozostałych.

Ani razu nie zawahałam się podczas walki, którą przed chwilą stoczyłam, ale teraz zatrzymałam się przed tym co zobaczyłam. Twarz Dymitra była... przerażająca. Dzika. Miał podobny wyraz twarzy, kiedy bronił mnie przed aresztowaniem – ten wyraz niepokonanego Boga walki, który mówił, że może podjąć się samodzielnej walki z piekłem. Ale sposób w jaki teraz wyglądał... cóż, nadawał tej zagorzałości całkiem nowy poziom. Uświadomiłam sobie, że to było osobiste. Walczenie z tymi strzygami nie było tylko spowodowane odnalezieniem Sonii i chęcią pomocy Lissie. Tu szło o odpokutowanie, próbę zniszczenia swojej przeszłości przez zniszczenie zła, stojącego bezpośrednio na jego drodze. Ruszyłam by do niego dołączyć akurat w chwili, gdy zakołkował drugiego poplecznika Donovaną.

W tym uderzeniu była moc, dużo więcej niż Dymitr potrzebował przy rzuceniu strzygą o ceglana ścianę i przebicie jej serca. To było niemożliwe, ale mogłam sobie wyobrazić jak kołek na wskroś przechodzi przez ciało i uderza w ścianę. Dymitr włożył więcej uwagi i wysiłku w to zabójstwo niż powinien. Powinien odpowiedzieć tak jak ja i natychmiast przejść do następnego zagrożenia, gdy strzyga była już martwa. Zamiast tego, Dymitr był tak pochłonięty swoją ofiarą, że nie zauważył Donovaną wykorzystującą sytuację. Na szczęście dla Dymitra, pilnowałam jego pleców.

Rzuciłam się całym ciałem na Donovaną, odpychając go od niego. Gdy to zrobiłam, zobaczyłam że Dymitr wyciąga swój kołek z ciała i jeszcze raz rzuca nim o ścianę. W międzyczasie z sukcesem odciągnęłam uwagę Donovaną i teraz miałam trochę trudności z uchylaniem się przed nim, bez zabijania go.

– Dymitr! – krzyknęłam. – Chodź mi pomóc. Potrzebuję cię!

Nie mogłam zobaczyć co robił Dymitr, ale kilka sekund później był przy moim boku. Z czymś co brzmiało jak ryk, skoczył na Donovaną z zaskoczenia i powalił strzygę na ziemię. Odetchnęłam z ulgą i ruszyłam by pomóc mu go poskromić. I wtedy zobaczyłam jak Dymitr wymierza kołek w serce Donovaną.

– Nie! – Runęłam na ziemię próbując zarówno utrzymać Donovaną i odepchnąć rękę Dymitra. – Jest nam potrzebny! Nie zabijaj go!

Z wyrazu twarzy Dymitra nie było jasne, czy mnie w ogóle słyszał. W jego oczach była śmierć. Chciał zabić Donovaną. Nagle to pragnienie przejęło pierwszeństwo. Nadal starając się jedną ręką przytrzymać Donovaną, drugą uderzyłam Dymitra w twarz – ale nie w stronę, w którą uderzyłam go innej nocy. Nie sądzę by w szale adrenaliny poczuł ból, ale uderzenie zwróciło jego uwagę.

– Nie zabijaj go! – powtórzyłam.

Polecenie w końcu dotarło do Dymitra. Niestety nasza walka dała Donovanowi przestrzeń do manewrowania. Zaczął się uwalniać od nas, ale wówczas oboje jak jeden mąż rzuciliśmy się na Donovana, by go przytrzymać. To przypomniało mi o czasie, kiedy przesłuchiwałam w Rosji strzygi. Zniwolenie jednej z nich wymagało całej grupy dampirów, lecz Dymitr wydawał się mieć nadnaturalną siłę.

– Kiedy przesłuchiwaaliśmy strzygi, używaliśmy—

Moje słowa zostały przerwane, gdy Dymitr zdecydował wykorzystać swoje własne metody przesłuchania. Chwycił Donovana za ramiona i mocno nim potrząsał, powodując ciągłe uderzania głowy strzygi o podłogę.

– Gdzie jest Sonia Karp? – ryknął Dymitr.

– Nie wie... – zaczął Donovan, ale Dymitr nie miał cierpliwości na wykręty strzygi.

– Gdzie ona jest? Znasz ją!

– Ja —

– Gdzie ona jest?

Na twarzy Donovana zobaczyłam coś, czego jeszcze nigdy nie widziałam u strzygi: strach. Myślałam, że to emocja, której po prostu nie posiadają. Albo jeśli już, to była zarezerwowana na bitwy, w których strzyga walczyła przeciwko strzydze. Nie tracili czasu na okazywanie strachu przy słabych dampirach.

Ale och, Donovan bał się Dymitra. I szczerze mówiąc, ja też. Te oczy z czerwonym pierścieniem w środku były szeroko rozwarłe – szeroko, desperacko i z przerażeniem. Gdy Donovan wyrzucił z siebie następne słowa, coś mi powiedziało, że były prawdziwe. Jego strach nie dawał mu szansy na kłamanie. Był zbyt zszokowany i nieprzygotowany na to wszystko.

– Paryż – wydyszał. – Jest w Paryżu!

– Chryste! – wykrzyknęłam. – Nie możemy jechać do Paryża.

Donovan pokręcił głową (na tyle ile mógł, przy potrząsaniu Dymitra).

– To małe miasteczko jakąs godzinę drogi stąd. Jest tam małe jezioro. Prawie nikt tam nie ucęszcza. Niebieski dom.

Niejasne wskazówki. Potrzebowaliśmy więcej.

– Czy masz adr—

Dymitr najwyraźniej nie podzielał mojej potrzeby zdobycia więcej informacji. Zanim zdołałam dokończyć zdanie, jego kołek był już podniesiony – i znajdował się w sercu

Donovana. Strzyga wydała z siebie przerażający, mrozący krew w żyłach krzyk, który zaniknął, gdy zabrała ją śmierć. Skrzywiłam się. Jak dużo czasu minęło, odkąd ktoś usłyszał krzyki i zadzwonił po policję?

Dymitr wyciągnął swój kołek – po czym znowu dźgnął Donovaną. I znowu. Gapiłam się na to z niedowierzaniem i przerażeniem, zmrożona na kilka sekund, po czym złapałam ramię Dymitra i zaczęłam nim potrząsać, choć czułam się, jakbym wywołała więcej efektu potrząsając znajdującym się za mną budynkiem.

– Dymitr, on nie żyje. On nie żyje! Przestań, proszę!

Twarz Dymitra nadal miała ten straszny wyraz wściekłości, którą znaczyła teraz odrobina rozpacz. Rozpacz, która mówiła mu, że jeśli tylko zdoła unicestwić Donovaną, być może zdoła wymazać całe zło ze swojego życia.

Nie wiedziałam co robić. Musieliśmy się stąd wynosić. Musieliśmy iść po Sydney i kazać jej unicestwić ciała. Czas tykał, a ja dalej tylko powtarzałam swoje słowa.

– On nie żyje! Proszę, odpuść. On nie żyje!

I wtedy, jakimś cudem i w jakiś sposób przedarłam się do Dymitra. Jego ruchy zwolniły i w końcu się zatrzymał. Dłoń trzymająca kołek opadła luźno na bok, gdy patrzył na to, co zostało z Donovaną – co nie było piękne. Wściekłość na twarzy Dymitra kompletnie ustąpiła miejsca desperacji... a potem to zamieniło się w rozpacz. Delikatnie pociągnęłam go za ramię.

- To koniec. Wystarczająco już zrobiłeś.
- To nigdy nie wystarczy, Rose – wyszeptał. Żal w jego głosie zabijał mnie. – I nigdy nie wystarczy.
- Na razie wystarczy – powiedziałam przyciągając go do siebie.

Nie stawiając oporu wypuścił z ręki kołek i ukrył twarz w moim ramieniu. Ja także rzuciłam kołek i objęłam go, przyciągając bliżej. W odpowiedzi objął mnie ramionami, szukając kontaktu z inną żyjącą istotą, kontaktu, którego wiedziałam, że potrzebuje.

- Jesteś jedyną – jeszcze mocniej mnie objął. – Jedyną osobą, która rozumie. Jedyną osobą, która widziała jaki byłem. Nigdy nie umiałem tego nikomu wyjaśnić... jesteś jedyną osobą. Jedyną, której mogę powiedzieć...

Zamknęłam swoje oczy na chwilę, obezwładniona tym, co mówił. Mógł złożyć przysięgę wierności Lissie, ale to nie oznaczało, że całkowicie odkrył dla niej swoje serce. Przez bardzo długi czas, on i ja byliśmy w doskonałej synchronizacji, zawsze się rozumiejąc. To nadal się liczyło, nie ważne czy byliśmy razem, czy byłam z Adrianem. Dymitr zawsze ukrywał swoje serce i uczucia, dopóki nie spotkał mnie. Sądziłam, że z powrotem zamknął je na klucz, ale najwyraźniej nadal ufał mi na tyle, by ujawnić mi to, co zabijało go od środka.

Otworzyłam swoje oczy i napotkałam jego ponure, poważne spojrzenie.

- Wszystko w porządku – powiedziałam. – Już dobrze. Jestem tutaj. Zawsze będę tu dla ciebie.
- Śnię o nich. O wszystkich niewinnych, których zabiłem. – Jego oczy przeniosły się na ciało Donovana. – Nie mogę przestać myśleć, że... może jeśli zniszczę dość strzyg, koszmary odejdą. Że będę pewny, iż nie jestem jednym z nich.

Dotknęłam jego brody z powrotem odwracając jego twarz do mnie, z dala od Donovana.

- Nie. Musisz niszczyć strzygi, bo są złe. Bo to właśnie robimy. Jeśli chcesz by koszmary odeszły, musisz żyć. To jedyny sposób. Mogliśmy właśnie zginąć, ale nie zginęliśmy. Może umrzemy jutro. Tego nie wiem. Ważne jest to, że w tej chwili żyjesz.

Błądziłam w tym miejscu. Nigdy nie widziałam Dymitra tak słabego od czasu jego przywrócenia. Twierdził, że bycie strzygą zabiło mnóstwo jego emocji, ale tak nie było. Uświadomiłam sobie, że one tam były. Wszystko co miał, nadal było w jego wnętrzu, jednak ujawniało się wybuchami – jak ten moment wściekłości i stracenia nadziei. Albo kiedy bronił mnie przed aresztującymi mnie strażnikami. Dawny Dymitr nie odszedł. Był tylko zamknięty, a ja nie wiedziałam jak go uwolnić. Nie byłam do tego przyzwyczajona. To on zawsze był tym, który posiadał mądre słowa i spostrzeżenia. Nie ja. Jednak w tej chwili mnie słuchał. Absorbowałam jego uwagę. Co mogłam powiedzieć? Jak mogłam się do niego dostać?

- Pamiętasz, co powiedziałeś mi wcześniej? – spytałam. – W Rubysville? Życie tkwi w szczegółach. Musisz je docenić. To jedyna droga by zwalczyć to, co zrobiły z tobą strzygi. Jedyna droga, by przywrócić z powrotem to, kim naprawdę jesteś. Sam powiedziałeś, że uciekłeś ze mną, by znowu poczuć świat i jego piękno.

Dymitr ponownie zaczął odwracać się ku Donovanowi, ale nie pozwoliłam mu na to.

- Tu nie ma nic pięknego. Tylko śmierć.
- To jest prawdą tylko wtedy, kiedy pozwolisz im sprawić by tak było – powiedziałam zdesperowana, nadal czując presję czasu. – Znajdź jedną rzecz. Jedną rzecz, która jest piękna. Cokolwiek. Cokolwiek co pokaże, że nie jesteś jednym z nich.

Jego oczy z powrotem patrzyły na mnie, w milczeniu studiując moją twarz. Wystrzeliła we mnie panika. To nie działało. Nie mogłam tego zrobić. Będziemy musieli się stąd wydostać nie zważając na stan, w jakim był. Wiedziałam, że on również stąd pójdzie. Jeśli nauczyłam się czegokolwiek, to tego, że instynkty walki Dymitra nadal działały. Gdybym powiedziała, że zbliża się zagrożenie, odpowiedziałyby natychmiast, nie ważne jak czułby się udręczony. Jednakże nie chciałam tego. Nie chciałam by opuścił to miejsce w rozpacz. Chciałam by wyszedł stąd robiąc jeden krok bliżej bycia człowiekiem, którym wiedziałam, że może być. Chciałam żeby miał jeden koszmar mniej.

Ale to było poza moimi możliwościami. Nie byłam żadnym terapeutą. Miałam już mu powiedzieć, że musimy stąd zniknąć, sprawić by zbudziły się jego żołnierskie odruchy, gdy niespodziewanie przemówił. Jego głos był ledwie słyszalnym szeptem.

- Twoje włosy.
- Co?

Przez sekundę myślałam, że płoną czy coś. Dotknęłam zbłąkany lok. Nie, nic się nie działo poza tym, że były w nieładzie. Związałam je na walkę tak jak Angelina, by uniemożliwić strygom ich chwycenie. Jednak większość z nich wysunęła się podczas bójki.

- Twoje włosy – powtórzył Dymitr. Jego oczy były szeroko otwarte, niemal oniemiałe z wrażenia. – Twoje włosy są piękne.

Nie sądziłam by tak było, nie w ich obecnym stanie. Oczywiście biorąc pod uwagę, że znajdowaliśmy się w ciemnym zaułku wypełnionym ciałami, wybór był nieco ograniczony.

- Widzisz? Nie jesteś jednym z nich. Strzygi nie dostrzegają piękna. Tylko śmierć. Znalazłeś coś pięknego. Jedną rzecz, która jest piękna.

Niepewnie i nerwowo przejechał palcami po kosmykach, które wcześniej dotknęłam.

- Ale czy to wystarczy?
- Na razie tak. – Przycisnęłam usta do jego czoła w pocałunku, a potem pomogłam mu wstać. – Na razie tak.

Tłumaczenie: Kati_lady_92, Ginger_90

Korekta: Diotima

Rozdział szesnasty

BIORĄC POD UWAGĘ, ŻE SYDNEY nieustannie niszczyła martwe ciała, dość zaskakujące było to, że tak bardzo zszokował ją nasz wygląd po walce. Może ciała martwych strzyg były dla niej jedynie przedmiotami, a Dymitr i ja byliśmy prawdziwymi, żywymi istotami i to nieźle poturbowanymi.

- Mam nadzieję, że nie poplamicie tapicerki – powiedziała, gdy tylko pozbyliśmy się ciał i wyruszyliśmy w drogę. Myślę, że to była jej najlepsza próba zartowania, na którą wysiliła się w celu ukrycia swojego dyskomfortu pogłębianego przez nasze podarte i zakrwawione ubrania.
- Jedziemy do Paryża? – spytałam obracając się do Dymitra.
- Paryża? – spytała zaskoczona Sydney.
- Jeszcze nie – odparł Dymitr, ponownie opierając swoją głowę o oparcie.

Znowu wyglądał jak opanowany strażnik. Wszystkie oznaki jego wcześniejszego załamania zniknęły, a ja nie miałam zamiaru roztrząsać tego, co się stało, zanim zabraliśmy z powrotem Sydney. Tak małe... a jednak tak ważne. I bardzo prywatne. Na chwilę obecną zdecydowanie wyglądał na zmęczonego.

- Powinniśmy poczekać aż nadejdzie dzień. Musieliśmy zapolować na Donavana w czasie nocy, ale jeśli Sonia posiada dom, zapewne przesiaduje w nim cały czas. Bezpieczniej dla nas będzie w świetle dnia.
- Skąd wiecie, że nie kłamał? – zapytała Sydney.

Prowadziła samochód bez żadnego konkretnego celu podróży, tylko po to żeby jak najszybciej zabrać nas z tej okolicy, zanim ludzie zgłoszą krzyki i odgłosy walki. Wróciłam myślami do przerażenia na twarzy Donavana i zadrżałam.

- Nie sądzę, żeby kłamał.

Sydney przestała zadawać więcej pytań, oprócz tych o kierunek jazdy, w którym mamy się udać. Dymitr zasugerował, że powinniśmy się zatrzymać w kolejnym hotelu, aby doprowadzić się do porządku i trochę odpocząć przed naszą jutrzejszą misją. Na szczęście Lexington miało większy wybór hoteli, niż poprzednie miasto. Nie zależało nam na luksusie, ale duże, wyglądające na nowoczesne miejsce, które wybraliśmy, było całkiem niezłe, czyste i stylowe. Sydney zameldowała nas i poprowadziła do środka bocznymi drzwiami tak, że nie zaskoczyliśmy żadnych gości, którzy wciąż mogli być na nogach w środku nocy.

Dostaliśmy jeden pokój z dwoma podwójnymi łózkami. Nikt tego nie skomentował, ale myślę, że wszyscy podzielaliśmy potrzebę pozostania razem po naszym wcześniejszym spotkaniu ze strzygami.

Dymitr był w znacznie większym nieładzie niż ja, co zawdzięczał rozharataniu Donavana, więc jego pierwszego wysłałam pod prysznic.

- Byłaś wspaniała – powiedziałam Sydney gdy czekałyśmy. Usiadłam na podłodze (która była zresztą znacznie czystsza, niż te w poprzednich hotelach) nie chcąc ubrudzić łóżek. – To był naprawdę odważny czyn z twojej strony.

Skrzywiła się w uśmiechu.

- Typowe. Wy dostajecie po dupie i omal nie zostajecie zabici, ale to mnie chwalicie.
- Hej, ja to robię cały czas. Pójdźcie tam samotnie jak to zrobiłaś... cóż, to był niezły hardcor. No i nie dostałam znowu aż tak po dupie.²⁹

Nie przejmowałam się swoimi ranami tak jak zrobiłby to Dymitr, jednak obserwująca mnie Sydney widziała je aż za dobrze. Moje nogi były bardziej podrapane niż sądziłam. Moja skóra była przecięta i krwawiłam w miejscu, które zetknęło się z betonem podczas mojego upadku. Jedna z moich kostek protestowała po skoku z dachu, miałam też sporo rozcięć i siniaków rozsianych po całym moim ciele.

Sydney potrząsnęła głową.

- Nie wiem jakim cudem udaje się wam nie złapać zakażenia.

Obie wiedziałyśmy czemu tak jest. To była część wrodzonej odporności, z którą przyszłam na świat jako dampir, zgarniając najlepsze cechy obu ras. Moroje także cieszyli się niezłym zdrowiem, choć czasami zapadali na choroby rzadkie dla ich rasy. Wiktor był tego przykładem. Miał przewlekłą chorobę i raz zmusił Lissę, by go wyleczyła. Na jakiś czas jej magia przywróciła mu pełne zdrowie, ale choroba powoli dawała o sobie znać.

Wzięłam prysznic po Dymitrze, a wtedy Sydney zmusiła nas, żebyśmy pozwolili jej skorzystać z apteczki pierwszej pomocy. Kiedy, ku jej satysfakcji, byliśmy zabandażowani i zdezynfekowani, wyjęła swój laptop i włączyła mapę Paryża w Kentucky. Nasza trójka stłoczyła się przed ekranem.

- Dużo potoków i rzek – mruknęła przewijając się po trasie. – Po drodze nie ma wielu jezior.

Wskazałam na ekranie punkt.

- Myślicie, że to może być to? – Był to niewielki zbiornik wodny oznaczony jako „Jezioro Applewood”.
- Może. Ach, tu jest kolejny staw. Ten też jest prawdopodobny, albo... Och! A tutaj? – Dotknęła ekranu pokazując kolejny zbiornik, odrobinę większy niż stawy: „Jezioro Martin”.

Dymitr cofnął się i potarł oczy ziewając.

- To mi wygląda na najbardziej prawdopodobną opcję. Jeśli jednak mylimy się, nie powinno nam zająć długo sprawdzenie pozostałych.

²⁹ *Beat up* – w sumie pobita, ale „dostać po dupie” lepiej brzmi © – przyp. Justa

- To jest twój plan? – zapytała Sydney. – Jeżdżenie po okolicy w poszukiwaniu niebieskiego domu?

Wymieniłam się z Dymitrem spojrzeniami i wzruszyłam ramionami. Sydney może i pokazywała swoją odwagę podczas tej podróży, ale wiedziałam, że jej wyobrażenie „planu” było troszkę inne niż nasze. Jej plany były starannie opracowane, przemyślane i miały jasne cele. A także szczegóły.

- Jest bardziej konkretny, niż większość naszych poprzednich planów – powiedziałam w końcu.

Słońce miało wzejść już wkrótce. Niepokoiłam się, chcąc iść po Sonię, ale Dymitr nalegał na sen do południa. On zajął jedno łóżko, a Sydney i ja drugie. Tak naprawdę nie sądziłam, że potrzebuje odpoczynku na który tak nalegał, ale moje ciało miało inne zdanie. Niemal natychmiast zapadłam w sen.

Jak zwykle ostatnimi czasy, zostałam wciągnięta w sen wywołany duchem. Miałam nadzieję, że to Adrian przyszedł dokończyć naszą ostatnią rozmowę, jednak zamiast tego pojawiła się wokół mnie oranżeria ze stojącą harfą i obitymi poduszkami meblami. Westchnęłam i zwróciłam się do braci Daszkow.

- Świetnie – powiedziałam – Kolejna telekonferencja. Naprawdę muszę zacząć blokować twój numer.

Wiktor obdarzył mnie krótkim ukłonem.

- Zawsze do usług, Rose. – Robert ponownie jedynie gapił się w przestrzeń. Fajnie wiedzieć, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.
- Czego chcecie? – domagałam się odpowiedzi.
- Wiesz czego chcemy. Jesteśmy tu by wesprzeć cię w pomaganiu Wasylisie. – Nie wierzyłam w to ani przez chwilę. Wiktor knuł jakąś intrygę, ale miałam nadzieję, że dorwę go, zanim wyrządzi jakieś dalsze szkody. Patrzył na mnie wyczekująco. – Czy znalazłaś już kolejnego Dragomira?

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Minał tylko jeden dzień! – Musiałam prawie poprawić moją matematykę, żeby to zweryfikować. Czułam się bardziej, jakby minęło dziesięć lat. Ale nie. Minał tylko jeden dzień, odkąd ostatnio rozmawiałam z Wiktorem.
- I? – spytał Wiktor.
- I, za jak dobrych nas masz?

Zastanowił się.

- Całkiem niezłych.

- Cóż, dzięki za wotum zaufania, ale to wcale nie jest takie proste jakby się wydawało. A prawdę mówiąc... jeśli pomyśleć, jak to wszystko zostało ukryte, to ani trochę nie wydaje się proste.
- Ale odkryliście coś? – naciskał Wiktor.

Nie odpowiedziałam.

W jego oczach rozbłysła niecierpliwość i zrobił krok w moją stronę. Natychmiast cofnęłam się o jeden.

- *Odkryliście coś.*
- Może.

Ponownie ogarnęło mnie takie samo niezdecydowanie jak poprzednio. Czy Wiktor, z tymi swoimi wszystkimi spiskami i manipulacjami wiedział coś, co mogłoby nam pomóc? Ostatnim razem nic nam nie dał, ale teraz posiadaliśmy więcej informacji. Co poprzednio powiedział? Że jeśli znajdziemy poszlakę, to on to rozwiąże?

- Rose – Wiktor zaczął mówić do mnie takim tonem, jakbym była małym dzieckiem. W taki sam sposób zwykł mówić do Roberta. To sprawiło, że rzuciłam mu ostrzegawcze spojrzenie. – Już ci mówiłem: nie ma znaczenia czy ufasz mi, albo moim intencjom. Jak na razie mamy wspólny, krótkoterminowy cel. Nie pozwól przyszłym zmartwie-
niom zrujnować swojej obecnej szansy.

Zabawne, ale to było podobne do zasad, według których działałam przez większość życia. Żyłam chwilą obecną. Wkraczam natychmiast do akcji, a konsekwencjami przejmowałam się dopiero później. Teraz wahałam się, starając się wszystko przemyśleć zanim podejmę decyzję. W końcu zdecydowałam, że podejmę ryzyko. Liczyłam bowiem, że Wiktor będzie w stanie nam pomóc.

- Uważamy, że matka... matka siostry lub brata Lissy... jest jakoś powiązana z Sonią Karp. – Wiktor uniósł brwi. – Wiesz kim ona jest?
- Pewnie. Zmieniła się w strzygę – rzekomo dlatego, że straciła zmysły. Ale oboje zdajemy sobie doskonale sprawę, że to troszkę bardziej skomplikowane.

Niechętnie przytaknęłam.

- Była użytkownikiem ducha. Nikt o tym nie wiedział.

Głowa Roberta poruszyła się tak szybko, że prawie podskoczyłam.

- Kto jest użytkownikiem ducha?
- *Był* użytkownikiem ducha – odparł Wiktor natychmiast włączając swój łagodny tryb. – Zmieniła się w strzygę, aby od tego uciec.

Gwałtowne skupienie się Roberta na naszej dwójce, rozpląnęło się w jego zwykłe rozmarzenie.

- Tak... zawsze do tego kusi... zabijać by żyć, żyć by zabijać. Nieśmiertelność oraz wolność od kajdanów, ale och, cóż to za strata...

To były szalone majaczenia, chociaż posiadały straszliwe podobieństwo do tego, co czasami mówił Adrian. Wcale mi się to nie podobało. Próbując udawać, że Roberta nie ma w pomieszczeniu, zwróciłam się do Wiktora.

- Wiesz coś o niej? Z kim jest spokrewniona?

Potrząsnął głową.

- Ma dużą rodzinę.

Rozłożyłam w rozdrażnieniu ręce.

- Możesz być jeszcze bardziej beużyteczny? Ciągłe zachowujesz się tak jakbyś dużo wiedział, ale mówisz nam tylko to, co już zdążyliśmy odkryć! Nie pomagasz!
- Pomoc przybiera różne formy, Rose. Znaleźliście Sonię?
- Tak – potwierdziłam – Cóż, no nie do końca. Wiemy gdzie jest. Mamy zamiar spotkać się z nią jutro i ją przepytąć.

Wyraz twarzy Wiktora jednoznacznie mówił, że uważał to za strasznie niedorzeczne.

- Jestem pewien, że będzie skłonna do pomocy.

Wzruszyłam ramionami.

- Dymitr jest bardzo przekonujący.
- Tak słyszałem – powiedział Wiktor. – Ale Sonia Karp nie jest podatną na wpływy nastolatką. – Miałam ochotę go walnąć, ale martwiłam się, że Robert i tym razem mógł utrzymać wokół nich swoją tarczę. Wiktor nie przejmował się moim gniewem. (czyt. wkurwem – przyp. Justa) – Powiedz mi gdzie jesteście. Przyjedziemy do was.

I znowu dylemat. Nie wydawało mi się, żeby bracia mogli wiele zrobić. Ale to może być okazja do pojmania go. Poza tym, jeśli będziemy mieć go na miejscu, może przestanie nachodzić mnie w snach.

- Jesteśmy w Kentucky – powiedziałam w końcu. – W Paryżu, w Kentucky.

Podaliśmy im pozostałe informacje o niebieskim domu, którymi dysponowaliśmy.

- Jutro będziemy na miejscu – powiedział Wiktor.
- Więc gdzie teraz jesteście—

I tak jak poprzednio, Robert nagle zakończył sen, pozostawiając mnie w niepewności. W co ja się z nimi wpakowałam? Zanim w ogóle zdążyłam to zarejestrować, zostałam nagle wciągnięta w kolejny sen wywołany duchem. Dobry Boże. To na prawdę było déjà vu. Wszyscy chcieli ze mną gadać podczas snu. Na szczęście, tak jak ostatnio, moim drugim gościem był Adrian.

Tym razem byliśmy w sali balowej, gdzie spotykała się Rada. Nie było tu żadnych krzeseł ani ludzi i moje kroki głośno rozbrzmiewały na drewnianej podłodze. Sala, która wyglądała na tak potężną i imponującą, gdy odbywały się w niej imprezy, teraz wywoływała złowrogie uczucie osamotnienia.

Adrian stał w pobliżu jednego z wysokich, łukowatych okien i obdarzył mnie swoim szelmowskim uśmiechem, gdy go uściskałam. Biorąc pod uwagę jak wszystko było brudne i popieprzone w prawdziwym świecie, Adrian wydawał się być nieskazitelny i idealny.

- Zrobiłeś to. – Dałam mu szybkiego całusa w usta. – Namówiłeś ich do nominowania Lissy.

Po naszym ostatnim spotkaniu we śnie, kiedy uświadomiłam sobie, że w sugestii Wiktora może coś jednak być, musiałam się nieźle napracować, żeby przekonać Adriana, że pomysł z nominowaniem Lissy jest dobry – szczególnie, że sama nie byłam tego do końca pewna.

- Taa, przekonanie tej bandy było dość łatwe. – Wydawało się, że jest zadowolony z mojego podziwu, ale nagle jego mina stała się pochmurna, gdy rozważał moje słowa. – Nie jest z tego powodu szczęśliwa. Rany, dała nam za to potem popalić.
- Widziałam. Masz rację, że jej się to nie podoba... ale to było coś więcej. To była ciemność wynikająca z ducha. Przejęłam część z niej, ale tak... to nie było przyjemne. – Przypomniało mi się jak zabrana od niej złość na krótko we mnie zapłonęła. Duch nie uderzył we mnie tak mocno jak w nią, gdyż było to tylko przejściowe. Ewentualnie, jeśli zabiorę od niej dość przez lata, to w końcu przejmie nade mną władzę. Zamknęłam w uścisku dłoń Adriana i posłałam mu najbardziej błagalne spojrzenie, na jakie było mnie stać. – Miej na nią oko. Zrobię wszystko co w mojej mocy, ale wiesz równie dobrze jak ja, w jaki sposób stres i zmartwienia podburzają ducha. Boję się, że stanie się jak poprzednio. Chciałabym móc tam być żeby się nią zaopiekować. Proszę, pomóż jej.

Założył mi za ucho zabłąkany kosmyk włosów, w jego szmaragdowozielonych oczach czaiło się zmartwienie. Po raz pierwszy pomyślałam, że martwi się nie tylko o Lissę.

- Zrobię to – powiedział. – Zrobię co tylko będę mógł. Tylko Rose... czy to przydarzy się także mnie? Taki się stanę? Jak ona i inni?

Adrian nigdy nie przejawiał tak ekstremalnych skutków ubocznych jak Lissa, zapewne dlatego, że nie używał tak dużo ducha i stosował samoleczenie alkoholem. Nie miałam pojęcia jak długo będzie to skutkowało. Z tego co zauważyłam było tylko kilka rzeczy, które mogły opóźnić szaleństwo: samodyscyplina, leki antydepresyjne (Tam wszyscy jadą na psychotropach – przyp. Justa. No a jak, z Dymkiem i Abe na czele! – przyp. Ginger) i nawiązanie więzi z kimś naznaczonym pocałunkiem cienia. Adrian nie wydawał się być zainteresowany żadną z tych opcji.

To było dziwne, ale w tym momencie, gdy się odkrył, przypomniało mi się, co właśnie przytrafiło się Dymitrowi. Obaj ci mężczyźni, tak silni i na swój sposób tak pewni siebie, potrzebowali mojego wsparcia. „*Ty jesteś tą silną, Rose*” wyszeptał głos w mojej głowie.

Adrian wpatrywał się we mnie.

- Czasami... Czasami wierzę, że wyobraziłem sobie to całe szaleństwo, wiesz? Nigdy nie czułem się, jak inni... jak Lissa, czy stary Władimir. Ale raz na jakiś czas... – zatrzymał się. – Nie wiem. Czuje że jestem tak blisko, Rose. Tak blisko krawędzi. Tak, że jeśli pozwolę sobie na małe potknięcie, pogrążę się w tym i nigdy już nie wrócę.

Już wcześniej mówił takie rzeczy, gdy wpadał w jeden ze swoich dziwnych nastrojów i kiedy połowa z jego słów nie miała sensu. To było najbliższe stadium, w jakim kiedykolwiek się znajdował, a które pokazywało, że duch może także pomieszać mu w głowie. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że w tych momentach był tego świadomy i wiedział co mogą oznaczać.

Spojrzał na mnie w dół.

- Gdy piję... Nie martwię się tym. Nie martwię się, że mogę oszaleć. Ale potem myślę, że... może już taki jestem. Może jestem szalony, ale nikt nie widzi różnicy, gdy jestem pijany.
- Nie jesteś szalony – powiedziałam ostro, przyciągając go do siebie. Uwielbiałam jego ciepło i sposób w jaki dotykał mojej skóry. – Nic ci nie będzie. Jesteś silny.

Oparł policzek o moje czoło.

- Nie jestem o tym przekonany – powiedział. – Myślę, że ty jesteś moją siłą.

Było to słodkie i romantyczne wyznanie, ale coś w nim mnie zaniepokoiło.

- To nie jest do końca prawdą – powiedziałam, zastanawiając się jak ubrać moje uczucia w słowa. Wiedziałam, że można pomagać drugiej osobie w związku. Można dodawać mu siły i zapewniać wsparcie. Ale nie można zrobić za niego *wszystkiego*. Nie można rozwiązywać jego wszystkich problemów. – Musisz znaleźć to w swoim...

Hotelowy budzik zadzwonił i wyrwał mnie ze snu, pozostawiając mnie wnerwioną zarówno dlatego, że tęskniłam za Adrianem jak i dlatego, że nie zdążyłam powiedzieć *wszystkiego* co chciałam. Cóż, nic więcej nie mogę teraz dla niego zrobić. Mogłam mieć tylko nadzieję, że sam sobie da radę.

Sydney i ja byłyśmy ospałe i niechętnie przecierałyśmy oczy. To naturalne, że była wyczerpana od czasu, kiedy jej cały rozkład dnia – kiedy właściwie powinna jeszcze spać – został rozbity. A ja? Moje zmęczenie było mentalne. *Tak wielu ludzi*, pomyślałam. *Tak wielu ludzi mnie potrzebowało... ale tak trudno pomóc im wszystkim.*

Naturalnie Dymitr był już na nogach, gotowy do wyjścia. Obudził się przed nami. Załamanie ostatniej nocy, równie dobrze mogło nigdy się nie wydarzyć. Okazało się, że umierał z braku kawy, ale cierpliwie czekał na nas, nie chcąc zostawić nas śpiących i bezbronnych.

Wygoniłam go, a dwadzieścia minut później wrócił z kawą i pudełkiem pączków. W sklepie żelaznym po drugiej stronie ulicy zakupił także łańcuch o przemysłowej wytrzymałości, który

miał się przydać „*kiedy znajdziemy Sonię*”, co sprawiło, że zrobiłam się niespokojna. Do tego czasu byliśmy gotowe do wyjścia i zdecydowałam się wstrzymać z zadawaniem pytań. Nie byłam dość szalona, żeby ponownie założyć szorty, nie przy obecnym stanie moich nóg, ale również zbyt mocno chciałam dostać się do Sonii, żeby nalegać na wizytę w centrum handlowym.

Zdecydowałam jednak, że najwyższy czas ponaglić moich kompanów.

- Więc... – powiedziałam mimochodem. – Wiktor Daszkow może wkrótce do nas dołączyć.

Na korzyść Sydney było to, że udało jej się nie zjechać z drogi.

- Co? Ten Facet, który nawiał?

Sądząc po wyrazie oczu Dymitra, był w ciężkim szoku, ale jak zawsze pozostał opanowany i zachował kontrolę.

- Dlaczego – zaczął powoli – Wiktor Daszkow do nas dołącza?
- Cóż, to dość zabawna historia...

Po tym wstępie, opowiedziałam im wszystko krótko ale treściwie, rozpoczynając od przeszłości Roberta Doru, a kończąc na ostatnich wizytach braci w moich snach. Przemilczałam „tajemniczą” ucieczkę Wiktora sprzed kilku tygodni, ale coś mi podpowiadało, że Dymitr w ten nasz niesamowity sposób, w jaki zgadywaliśmy nawzajem swoje myśli, prawdopodobnie poskładał to wszystko w całość. I Lissa i ja powiedziałyśmy mu, że przez wiele przeszłyśmy, żeby dowiedzieć się jak go przywrócić, ale nigdy nie zdradziłyśmy całej historii – zwłaszcza tego epizodu o uwalnianiu Wiktora z więzienia, aby pomógł nam odnaleźć swojego brata.

- Słuchajcie, niezależnie od tego czy może nam pomóc czy też nie, to jest nasza szansa na złapanie go – dodałam pośpiesznie. – To chyba dobrze, no nie?
- To jest problem, którym zajmiemy się później – rozpoznałam ten ton głosu Dymitra. Używał go często w Św. Włodimirze. Zwykle znaczył, że w najbliższej przyszłości czeka mnie z nim prywatna rozmowa, na której zostaną wyciągnięte ze mnie wszelkie szczegóły.

Gdy jechaliśmy do Paryża, zauważyłam, że Kentucky jest naprawdę piękne. Po wydostaniu się z miasta, otoczyły nas faliste zielone tereny i łatwo było sobie wyobrazić dlaczego ktoś chciałby tu żyć w niewielkim domku. Zastanawiałam się nadaremnie, czy to właśnie zmotywowało Sonię i na tym się złapałam. Dopiero co powiedziałam Dymitrowi, że strzygi nie dostrzegają piękna. Czy się myliłam? Czy wspaniały krajobraz miałby dla niej znaczenie?

Odnalazłam odpowiedź na te pytanie gdy GPS doprowadził nas do Jeziora Martin. Było tu tylko kilka domków rozsianych dookoła niego, a pośród nich jedynie jeden był niebieski. Zatrzymując się odpowiednio daleko od domu, Sydney możliwie jak najlepiej zaparkowała samochód na poboczu drogi. Była wąska, otoczona drzewami i wysokimi trawami. Wysiedliśmy z samochodu i przeszliśmy kawalek, wciąż utrzymując odpowiedni dystans.

- No, to jest niebieski dom – oznajmiła pragmatycznie Sydney. – Ale czy należy do niej? Nie widzę tu nigdzie skrzynki pocztowej ani niczego w tym rodzaju.

Przyjrzałam się uważniej podwórzu. Przed gankiem rosły krzewy róż obsypane różowymi i czerwonymi kwiatami. Z dachu zwieszały się ciężkie kosze z białymi kwiatami, których nie potrafiłam nazwać, a po kratkach wspinały się niebieskie powoje. Ledwie można było rozpoznać drewniany płot wokół domu. Wyrastała ponad niego winorośl z pomarańczowymi kwiatami w kształcie trąbek.

Wtedy w moim umyśle błysnął obraz, który zniknął tak szybko, jak się pojawił. Panna Karp podlewająca w swojej klasie donice z kwiatami, które wydawały się rosnać niemożliwie szybko i wysoko. Jako nastolatka byłam bardziej zainteresowana wymigiwaniem się od zadań domowych i niewiele o nich myślałam. Dopiero później, po oglądaniu jak Lissa podczas eksperymentowania z możliwościami ducha sprawiała, że kwiaty wzrastały i zakwitały, zrozumiałam co miało miejsce w klasie panny Karp. I nawet teraz, pozbawiona ducha i opętana przez zło, Sonia Karp wciąż zajmowała się swoimi kwiatami.

- Tak... – powiedziałam – To jej dom.

Dymitr zbliżył się do ganku, uważnie obserwując każdy detal. Zaczęłam za nim podążać, ale zatrzymałam się.

- Co ty wyprawiasz? – zapytałam cichym głosem. – Może cię zobaczyć.

Wrócił do mnie.

- Są tam ciemne zasłony. Nie przepuszczają do wewnątrz światła, więc nic nie zobaczy. Co również znaczy, że spędza czas raczej na parterze niż w piwnicy.

Bez problemu załapałam jego tok myślenia.

- To dla nas świetne wieści.

Kiedy w ubiegłym roku razem z przyjaciółmi zostałam porwana przez strzygi, byliśmy przetrzymywani w piwnicy. Nie tylko było to wygodne dla unikających słońca strzyg, ale również mocno ograniczało opcje ucieczki i możliwości wyjścia. Uwieszenie ofiary w piwnicy nie było problemem dla strzygi. Im więcej mieliśmy dodatkowych drzwi i okien, tym lepiej.

- Zrobię rekonesans z drugiej strony – powiedział ruszając przez podwórko.

Dogoniłam go i złapałam za ramię.

- Pozwól, że ja to zrobię. Wyczuję strzygi – nie żeby wyszła na zewnątrz, ale cóż... tak na wszelki wypadek.

Zawahał się, a ja poczułam rosnącą irytację na myśl, że nie wierzy w moje uzdolnienia.

- Okej. Bądź ostrożna. – Gdy to powiedział zrozumiałam, że po prostu się o mnie martwił.

Ruszyłam wokół domu tak płynnie i cicho, jak zdołałam, szybko odkrywając, że drewniany płot naprawdę utrudnia zobaczenie podwórza. Bałam się, że wspięcie się na niego może ostrzec Sonię, że tu jestem i Sonia będzie miała czas przemyśleć swoje działanie. Moje rozwiązanie przybrało formę sporej skały leżącej nieopodal skraju ogrodzenia. Przeciągnęłam kamień i stanęłam na nim. Nie wystarczał, żeby pozwolić mi zajrzeć za nie, ale umożliwił mi łatwe złapanie dłońmi szczytu płotu i podciągnięcie się tak, że przy minimalnym hałasie mogłam za niego zerknąć.

To było jak zagłądanie w Rajski Ogród. Kwiaty przy froncie wydawały się być ledwie rozgrzewką. Jeszcze więcej róż, magnolie i jabłonie, irysy, i mnóstwo innych kwiatów, których nie rozpoznawałam. Podwórze Sonii było rajem o intensywnych kolorach. Sprawdziłam to, co mnie interesowało i pośpieszyłam z powrotem do Dymitra. Sydney nadal była w samochodzie.

- Drzwi na patio i dwa okna – raportowałam. – Wszystko zasłonięte. Jest tam też leżak, szpadel i taczki.
- Żadnych widel?
- Niestety, nie, ale po zewnętrznej stronie ogrodzenia tkwi świetny kamień. Jednak trudno byłoby go przenieść na podwórze. Lepiej użyjmy go do wspięcia się. Żadnej bramki w ogrodzeniu. Urządziła sobie twierdzę.

Przytaknął ze zrozumieniem i bez zbędnego gadania wiedziałam co należy robić. Zabraliśmy łańcuch z samochodu i powierzyliśmy go Sydney. Powiedzieliśmy jej, żeby na nas zaczekała na zewnątrz – ze ścisłymi instrukcjami, że ma stąd spadać jeśli nie wrócimy w przeciągu trzydziestu minut. Nienawidziłam mówienia tego typu rzeczy – a po minie Sydney, dało się zauważyć, że nie lubiła słuchania czegoś takiego – było to jednak niezbędne. Jeśli nie obezwładnimy Sonii w tym czasie, to w ogóle tego nie zrobimy – możliwe że nawet nie wyjdziemy stamtąd żywi. Jeśli poradzimy sobie z nią, damy Sydney jakiś sygnał by przyszła do środka z łańcuchem.

Bursztynowo-brązowe oczy Sydney były pełne niepokoju, gdy patrzyła jak zmierzamy w stronę domu. Prawie zaczęłam z niej pokpiwać, że troszczy się o złe kreatury nocy, ale w porę ugryzłam się w język. Mogła brzydzić się każdym innym dampirem i morojem w świecie, ale gdzieś po drodze polubiła mnie i Dymitra. To nie było coś z czego należy drwić.

Dymitr stanął na kamieniu i przeskanował wzrokiem podwórze.

Przez kilka ostatnich minut mamrotał mi instrukcje zanim mnie podniósł i podsadził przez płot. Jego wzrost uczynił ten manewr tak prostym i cichym – oczywiście nie bezgłośnie – jak tylko się dało. Wkrótce podążył za mną, łądując obok z cichym tupnięciem.

Po tym bezzwłocznie skoczyliśmy do akcji. Jeśli Sonia nas usłyszała, nie było sensu tracić ani chwili czasu. Potrzebowaliśmy każdej przewagi, jaką mogliśmy zdobyć. Dymitr złapał szpadel i mocno nim uderzył w szkło – raz, drugi. Pierwsze trafienie było na wysokości mojej głowy, drugie niżej. Szyba pod wpływem każdego z uderzeń pękała coraz bardziej. Zaraz po drugim uderzeniu, rzuciłam się do przodu, popychając taczki na drzwi. Podniesienie ich i uderzenie nimi w szkło byłoby o wiele lepsze, ale były zbyt nieporęczne, żeby je unieść

wysoko. Kiedy taczki rąbnęły w już osłabione szkło, potrzaskane powierzchnie pękły i rozpadły się na kawałki, tworząc dziurę dość dużą, żebyśmy oboje zdołali się przedostać. Musieliśmy się przeciskać – zwłaszcza Dymitr.

Zsynchronizowany atak z obu stron domu byłby wręcz idealny, ale to nie było tak, że Sonia mogła uciec frontowymi drzwiami. Mdłości dopadły mnie, gdy tylko zbliżyliśmy się do patio i osiągnęły pełną moc, gdy weszliśmy do salonu. Zignorowałam mój brzuch w doskonale wytrenowany sposób i spałam się przed tym, co nadchodziło. Włamaliśmy się naprawdę szybko, ale nie na tyle by wyprzedzić refleks strzygi.

Sonia Karp była tam, gotowa na nasze przybycie, robiąc wszystko co możliwe, aby uniknąć światła słonecznego wlewającego się do salonu. Gdy pierwszy raz zobaczyłam Dymitra jako strygę byłam w takim szoku, że zamarłam niezdolna do ruchu. To umożliwiło mu porwanie mnie, więc tym razem przygotowałam się w duchu, wiedząc, że poczuję te samo zaskoczenie, kiedy zobaczę moją byłą nauczycielkę jako strygę. I to *było* szokujące. Tak jak w jego przypadku, wiele cech Sonii było takich samych: kasztanowe włosy i wysokie kości policzkowe... ale jej uroda została wypaczona przez inne, okropne rzeczy: trupioblada skórę, czerwone oczy i tę postawę okrucieństwa, jaką wszystkie strzygi zdawały się przybierać.

Jeśli nas rozpoznała, nie okazała tego w żaden sposób i rzuciła się na Dymitra z warczeniem. Zwyczajową taktyką strzyg było pozbycie się większego zagrożenia i wkurwiało mnie (robiłam foch z przytupem – wersja dla młodzieży under 16:D – przyp. Justa), że zawsze uważano za takowe Dymitra. Wepchnął swój kołek za pasek, żeby móc zabrać ze sobą szpadel. Narzędzie nie mogło zabić strzygi, ale przy użyciu dostatecznej siły i rozmachu, utrzymywało Sonię na dystans. Uderzył ją szpadlem w ramię po jej pierwszym natarciu i chociaż nie upadła, zdecydowanie zaczęła zwlekać z kolejną próbą ataku. Podczas gdy oceniała swoje szanse, okrążali się nawzajem, jak wilki przygotowujące się do bitwy. Szpadel czy nie, jeden atak i jej większa siła mogła go powalić.

Wszystko to miało miejsce w ciągu kilku sekund, a obliczenia Sonii wyłączyły mnie z równania.

Przeprowadziłam mój własny atak, uderzając w jej drugi bok, jednak kątem oka zobaczyła jak się zbliżam i gwałtownie odpowiedziała odpychając mnie, ani na chwilę nie spuszczać z oczu Dymitra. Marzyłam o tym, żeby mieć teraz tą łopatę i móc walnąć ją w plecy z bezpiecznej odległości. Miałam tylko kołek, a musiałam z nim uważać, żeby jej nie zabić. Szybko rozejrzałam się po jej niesamowicie normalnym pokoju, ale nie zobaczyłam żadnej potencjalnej broni.

Zrobiła zwód (nie mylić ze *wzwodem* – przyp. Ginger i Diot) i Dymitr dał się zmylić. Ledwie poprawił swoją pozycję, gdy rzuciła się, żeby uzyskać przewagę. Pchnęła go na ścianę, przyszpilając go i wytrącając mu szpadel z dłoni. Zmagał się z nią, próbując się wyrwać, podczas gdy jej dłonie znalazły jego gardło. Gdybym spróbowała ją odciągnąć, moja siła połączona z siłą Dymitra mogłaby zapewne go uwolnić. Chciałam, żeby to się zakończyło jak najszybciej, więc zdecydowałam zrobić próbę sił.

Rzuciłam się ku niej z kołkiem w rękę i wbiłam ostrze w jej prawe ramię, modląc się, by nie znalazło się za blisko serca. Zakłęte srebro, tak bolesne w zetknięciu ze skórą strzyg sprawiło, że wrzasnęła. Oszalała z bólu, odepchnęła mnie z siłą zaskakującą nawet jak na strzygę. Poleciałam do tyłu, potknęłam się i uderzyłam głową o stół do kawy. Mój wzrok lekko się zamglił, ale instynkt i adrenalina postawiły mnie na nogi.

Mój atak dał Dymitrowi ułamek sekundy, którego potrzebował. Rzucił Sonię na ziemię i złapał mój kołek, przyciskając go do jej gardła. Krzyczała i szarpała się, a ja ruszyłam, żeby mu pomóc, wiedząc, jak trudno jest przyszpilić strzygę.

– Przyrowadź Sydney... – mruknął. – Łańcuch...

Poruszałam się najszybciej jak mogłam, gwiazdki i cienie tańczyły mi przed oczami. Otworzyłam frontowe drzwi i kopnęłam je jako sygnał, potem pobiegłam z powrotem do Dymitra. Sonia czyniła niezłe postępy w walce z nim. Upadłam na kolana, wspomagając Dymitra w utrzymaniu jej w miejscu. Ponownie miał w oczach tę żądzę walki, ten wzrok, który mówił, że chce zniszczyć ją tu i teraz. Ale było również coś innego. Coś, co sprawiło że zaczęłam myśleć, że ma teraz nad sobą więcej kontroli, a moje słowa z zaułka rzeczywiście miały na niego wpływ. Mimo to i tak wolałam go ostrzec.

– Potrzebujemy jej... pamiętaj, że jej potrzebujemy.

Kiwnął nieznacznie głową, gdy tylko pojawiła się Sydney dźwigając łańcuch. Zagapiła się na tę scenę rozszerzonymi oczami, zatrzymując się tylko na chwilę, zanim pośpieszyła do nas. „*Jeszcze zrobimy z niej wojowniczkę*” pomyślałam.

Dymitr i ja przeszliśmy do naszego następnego zadania. Wcześniej wypatryliśmy najlepsze miejsce do przywiązania Sonii: ciężki, rozkładany fotel w rogu. Podnieśliśmy ją – co było niebezpieczne skoro ciągle dziko się miotła – i pchnęliśmy ją na krzesło. I wtedy, trzymając kołek przy jej szyi, Dymitr próbował utrzymać ją, podczas gdy ja złapałam za łańcuch.

Nie było czasu na wymyślanie precyzyjnej formy, więc po prostu zaczęłam owijać go, najpierw wokół jej nóg, a później najlepiej jak mogłam, wokół jej torsu, próbując unieruchomić jej ręce przy bokach. Dymitr kupił *dlugi* łańcuch, za co byłam wdzięczna. Śpieszyłam się w szalony sposób próbując przywiązać ją do krzesła i robiąc wszystko, żeby ją na nim utrzymać.

Kiedy nareszcie skończył mi się łańcuch, Sonia była całkiem niezle unieruchomiona. Czy to było coś z czego mogła się wydostać? Zdecydowanie. Ale ze srebrnym kołkiem przyłożonym do gardła? Nie tak łatwo. Z tymi dwiema sprawami na raz... cóż, na razie ją uwięziliśmy. To było najlepsze, co mogliśmy zrobić.

Wymieniłam z Dymitrem szybkie, zmęczone spojrzenia. Czułam zawroty głowy, ale zwalczałam je wiedząc, że jeszcze daleko do ukończenia naszego zadania.

– Czas na przesłuchanie – powiedziałam ponuro.

Tłumaczenie: Justa2705

Korekta: Diotima

Rozdział siedemnasty

PRZESŁUCHANIE NIE SZŁO zbyt dobrze.

Och, oczywiście groziliśmy jej i użyliśmy kołków jako narzędzi tortur, ale nie dało to za wiele. Dymitr wciąż był przerażający, gdy przebywał z Sonią, ale po załamaniu jakiegoś doświadczył przy sprawie z Donovanem uważał, żeby nie wpaść ponownie w morderczy szal. Na dłuższą metę było to dla niego o wiele zdrowsze, ale mniej skuteczne jeśli chodziło o wymuszenie odpowiedzi z Soni, za pomocą jej przestraszenia. Dodatkowo wcale nam nie pomagało to, że nie mieliśmy żadnych sprecyzowanych pytań. W większości zasypywaliśmy ją ich całymi seriami. Czy wiedziała o kolejnym Dragomirze? Czy była spokrewniona z jego matką? Gdzie się teraz znajdowała matka z dzieckiem? Sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, gdy Sonia zdała sobie sprawę, że za bardzo ją potrzebujemy, żebyśmy mogli ją zabić, niezależnie od tego, jak bardzo torturowaliśmy ją srebrem.

Spędziliśmy na tym godzinę i byliśmy już wykończeni. Przynajmniej ja byłam. Choć miałam swój kołek wciąż w pogotowiu, oparłam się o ścianę obok Soni, wspierając się na niej abym mogła utrzymać się w pionie – co trwało troszkę dłużej, niż chciałabym się do tego przyznać. Żadne z nas nie mówiło przez chwilę. Nawet Sonia przestała warczeć groźby. Po prostu czekała pozostając czujna, niewątpliwie planując ucieczkę. Prawdopodobnie zakładała, że wymięknijemy pierwsi. Ta cisza była o wiele straszniejsza niż wszystkie groźby świata. Byłam przyzwyczajona do strzyg usiłujących mnie zastraszyć. Nigdy nie podejrzewałam mocy, jaką mogą mieć przez zwykłe siedzenie cicho i wpatrywanie się groźnym wzrokiem.

– Co ci się stało w głowę, Rose? – spytał Dymitr nagle to dostrzegając.

Trochę odpływałam, ale skapnęłam się, że mówi do mnie.

– Hm? – Odgarnęłam włosy zasłaniające część mojego czoła. Moje palce okazały się być lepkie od krwi, co wyzwoliło niejasne wspomnienia uderzenia w stolik. Wzruszyłam ramionami, ignorując zawroty głowy, które odczuwałam. – Nic mi nie jest.

Dymitr rzucił Sydney szybkie spojrzenie.

– Połóż ją i oczyść te rany. Nie pozwól jej zasnąć, dopóki nie dowiemy się, czy nie ma wstrząśnienia mózgu.
– Nie, nie mogę – sprzeczałam się – Nie mogę zostawić cię z nią samego.
– Nic mi nie jest – odparł. – Odpocznij, żebyś mogła mi później pomóc. Nie będziesz szczególnie pomocna, jeśli się tu przewrócisz.

Wciąż protestowałam, ale gdy Sydney delikatnie ujęła moje ramię, moje potknięcia pozwoliły mnie zabrać. Ku mojej zgrozie zaprowadziła mnie do jedynej sypialni w domu. Było coś przerażającego w wiedzy, że jestem w łóżku strzygi – nawet jeśli było przykryte kołdrą w biało-niebieskie kwiaty.

- Kurcze – powiedziałam, kładąc się na poduszkach, kiedy Sydney oczyszczała moje czoło. Mimo moich wcześniejszych protestów, wspaniale było odpocząć. – Nie mogę się przyzwyczaić do dziwności faktu, że strzyga żyje w miejscu tak... normalnym. Jak się trzymasz?
- Lepiej niż wy – powiedziała Sydney. Objęła się ramionami i wyraźnie spięta rozejrzała się po pokoju. – Przebywanie w pobliżu strzyg sprawia, że wydajecie się nie być tacy źli.
- Cóż, przynajmniej tyle dobrego z tego wynika – oznajmiłam.

Pomimo jej żartu, wiedziałam, że jest przerażona. Zaczęłam zamykać oczy, ale zostałam obudzona, gdy Sydney szturchnęła mnie w ramię.

- Żadnego spania – upomniała mnie. – Nie śpij i mów do mnie.
- Nie mam wstrząśnienia mózgu – mruknęłam. – Ale przypuszczam, że możemy przejść do planowania, jak skłonić Sonię do mówienia.

Sydney przysiadła w nogach łóżka i skrzywiła się.

- Nie obrazisz się? Nie uważam, że ona się złamie.
- Zrobi to, jeśli pobędzie kilka dni bez krwi.

Sydney przybladła.

- Kilka dni?
- Cóż, tyle ile będzie trzeba by... – Ukłucie emocji przeniknęło przez więź, a ja zamarłam. Sydney zerwała się, rozglądając się gwałtownie, jakby banda strzyg buszowała po pokoju.
- Coś nie tak? – krzyknęła.
- Muszę iść do Lissy.
- Nie powinnaś zasypiać...
- To nie jest sen – powiedziałam dosadnie. Z tymi słowami przeskoczyłam z sypialni Soni do punktu widzenia Lissy.

Jechała vanem z pięcioma innymi osobami, w których natychmiast rozpoznałam innych nominowanych arystokratów. To był ośmioosobowy van, w którym za kierowcę robił strażnik, a drugi zajmował miejsce na siedzeniu pasażera i patrzył do tyłu na Lissę i jej towarzyszy.

- Każde z was zostanie zostawione w osobnym miejscu na obrzeżach lasu i dostanie mapę oraz kompas. Waszym głównym celem jest dotarcie do punktu zaznaczonego na mapie, gdzie przeczekacie dzień, dopóki po was nie przyjdziemy.

Lissa i pozostali nominowani wymienili spojrzenia i jak jedność wpatrzyli się w okna vana. Było prawie południe i z nieba lały się promienie społeczne. „Przeczekanie dnia” nie będzie za przyjemne, ale nie wydawało się to być niemożliwe do wykonania. Lissa bezmyślnie

targała mały bandaż na swoim ramieniu, ale szybko się powstrzymała. Z jej myśli wyczytałam, co to jest: malutki, niemal niezauważalny znaczek tatuażu na jej skórze. Właściwie był podobny do tego Sydney: krew i ziemia, zmieszane z kompulsją. Ta ostatnia mogła być tabu wśród morojów, ale to była szczególna okazja. Zakłęcie w tatuażu powstrzymywało kandydatów od ujawnienia przebiegu monarszych testów osobom postronnym. To był pierwszy test.

- Na jakiego rodzaju teren nas wysyłacie? – dopytywał się Marcus Lazar – Nie mamy jednakowej sprawności fizycznej. To nie fair jeśli, któregoś z nas ma tym względem przewagę. – Jego oczy były utkwione w Lissie, gdy to umówił.
- Będzie dużo chodzenia – powiedział z poważną twarzą strażnik. – Ale to nie jest coś, co jakikolwiek kandydat – niezależnie w jakim wieku – nie był by w stanie wykonać. I, jeśli mamy być szczerzy, częścią wymagań na zostanie królem bądź królową jest pewna wytrzymałość. Wiek przynosi mądrość, ale władca musi być także zdrowy. Nie musi być przy tym sportowcem. – dodał szybko strażnik, wiedząc, że Marcus zaczyna otwierać usta – Ale nie byłoby dobrze dla morojów, gdyby wybrali schorowanego monarchę, który umrze w przeciągu roku. Brutalne, ale prawdziwe. Musicie także być zdolni do zniesienia trudnych sytuacji. Jeśli nie zdołacie wytrzymać dnia w słońcu, nie przetrwacie na spotkaniach Rady. – Myślę, że to było zamierzone jako żart, ale ciężko było powiedzieć, bo się nie uśmiechał. – To nie jest wyścig. Macie na to tyle czasu, ile potrzebujecie. Na mapie są zaznaczone miejsca, gdzie ukryto pewne przedmioty... przedmioty, które ułatwią przebrnięcie przez to, jeśli rozszyfrujecie prowadzące do nich wskazówki.
- Czy możemy używać magii? – zapytała Ariana Szelski. Ona również nie była już młoda, ale wyglądała na twardą i gotową do podjęcia wyzwania związanego z wytrzymałością.
- Tak, możecie – powiedział poważnie strażnik.
- Czy znajdziemy się tam w niebezpieczeństwie? – zapytał kolejny kandydat, Ronald Ozera. – Pomijając słońce.
- To – zaczął tajemniczo strażnik – jest coś, o czym musicie się przekonać osobiście. Ale, jeśli będziecie chcieli zrezygnować... – Wyjął z torby telefony komórkowe i rozdał je im. Później podał mapy i kompas. – Zadzwońcie pod zaprogramowany numer, a my po was przyjdziemy.

Nikt nie musiał pytać o ukrytą pod tymi słowami wiadomość. Zadzwonienie pod tamten numer mogło cię uwolnić z próby wytrzymałości. Oznaczało także, że oblałeś test i wylatujesz z gry o tron. Lissa przyjrzała się swojemu telefonowi, częściowo zaskoczona, że w ogóle był tu zasięg. Wyjechali z Dworu jakąś godzinę temu i zagłębili się w obszarach wiejskich. Rzędy drzew podpowiadały Lissie, że zbliżają się już do celu.

Więc. Test wytrzymałości fizycznej. To nie było dokładnie to, czego się spodziewała. Testy na monarchę od tak dawna były osnute tajemnicą, że zyskały prawie mistyczną reputację. Ten był całkiem praktyczny i Lissa była w stanie zrozumieć jego znaczenie, nawet jeśli Marcus tego nie zrobił. To na serio nie była konkurencja sportowa, a strażnik miał rację mówiąc, że przyszły monarcha powinien mieć w miarę dobrą kondycję. Spoglądając na mapę z

wskazówkami, Lissa uświadomiła sobie, że to także sprawdzi ich zdolności rozumowania. Wszystko to były bardzo podstawowe sprawy – ale jakże niezbędne do rządzenia narodem.

Van pozostawiał ich jedno po drugim w różnych punktach startowych. Wraz z kolejnymi znikającymi kandydatami, podenerwowanie Lissy wciąż rosło. *Nie ma czym się przejmować*, myślała. *Muszę tylko trochę posiedzieć na słońcu*. Lissa była przedostatnią osobą do wysadzenia, po niej była tylko Ariana. Poklepała ją po ramieniu gdy otworzyły się drzwi.

– Powodzenia, moja droga.

Lissa rzuciła jej szybki uśmiech. Te wszystkie testy były z jej strony jedynie podstępem, ale dla Ariany, to była prawdziwa sprawa i Lissa modliła się, żeby starsza kobieta przeszła przez nie pomyślnie.

Pozostając samotnie, gdy odjechał van, przeniknął ją niepokój. Prosty test wytrzymałości nagle zaczął wyglądać na o wiele bardziej trudny i skomplikowany. Była zdana tylko na siebie, a to było coś, co nie zdarzało się nazbyt często. Była przy niej przez większość jej życia, a nawet gdy się oddalała, wciąż miała wokół siebie przyjaciół. Ale teraz? Była tylko ona, mapa i telefon komórkowy. A ta komórka była jej wrogiem.

Podeszła do skraju lasu i przeanalizowała mapę. Rycina wielkiego dębu z wskazówkami by iść na północny zachód, była oznaczona jako początek. Przyglądając się drzewom, zobaczyła trzy klony, jodłę i... dąb. Zmierzając w jego stronę, nie potrafiła ukryć uśmiechu. Jeśli ktoś jeszcze miał botaniczne punkty orientacyjne, a nie znał się na roślinach i drzewach, to mógł stracić swoją kandydaturę już teraz.

Kompas był klasyczny. Żadnych udogodnień z cyfrowym GPsem. Lissa nigdy takiego nie używała i opiekuńcza część mnie pragnęła się tam dostać i jej pomóc. Jednak powinnam wiedzieć lepiej. Lissa była sprytna i szybko rozgryzła jak się nim posługiwać. Pomaszerowała przez las, zmierzając na północny zachód. Chociaż nie było tu żadnej czystej ścieżki, leśne rośliny nie były *za bardzo* przerośnięte i nie przeszkadzały aż tak.

Plusem przebywania w lesie było to, że drzewa blokowały część promieni słonecznych. To wciąż nie były najlepsze warunki dla morojów, ale to i tak było lepsze niż porzucenie na pustyni. Ptaki śpiewały, a krajobraz był pełen życia i zieleni. Wypatrując kolejnego punktu orientacyjnego, Lissa próbowała się rozluźnić i udawać, że jest po prostu na przyjemnym spacerze.

A jednak... to było dość trudne, gdy tyle spraw zaprzętało jej umysł. Abe i nasi pozostali przyjaciele byli teraz odpowiedzialni za pracowanie nad sprawą morderstwa i zadawanie pytań na jej temat. Oni wszyscy w tym momencie spali – był to bowiem środek morojskiej nocy – a Lissa nie wiedziała kiedy wróci i nic nie mogła poradzić na to, iż oburzała się, że ten test zabiera jej czas. *Nie*, marnuje jej czas. Ostatecznie pogodziła się z logiką jej przyjaciół, stojącą za nominowaniem jej – ale nadal jej się to nie podobało. Chciała im aktywnie pomagać.

Jej splątane myśli prawie sprawiły, że przeszłaby tuż obok kolejnego punktu orientacyjnego: drzewa które, złamało się wieku temu. Pokrywał je mech, a większość drewna była już przegniła. Gwiazdka na mapie, oznaczała je jako miejsce ze wskazówką.

Rosnę i kurczę się. Biegnę i wlekę się.

Idź za moim głosem, choć tak naprawdę nie mam go wcale

Nigdy stąd nie odejdę, ale podróżuję wszędzie

Płynę przez niebo i czołgam się po ziemi

Mam skrytkę w skarbcu, chociaż nie mam bogactwa

Szukaj mojego rozkładu, by ochronić swoje zdrowie.

Hm.

Miałam po tym pustkę w głowie, ale Lissa kombinowała. Przeczytała to kilka razy, sprawdzając poszczególne słowo i jak każdy wers współgra z pozostałymi. *Nigdy stąd nie odejdę*. Zdecydowała, że to jest punkt wyjściowy. Coś stałego. Rozejrzała się dookoła, myśląc nad drzewami, ale odrzuciła je. Zawsze mogły zostać ścięte i usunięte. Uważając, żeby nie oddalić się za bardzo od powalonego drzewa, zaczęła krążyć po okolicy szukając czegoś więcej. Teoretycznie wszystko przemijało. Co w takim razie pozostaje?

Idź za moim głosem. Zatrzymała się i zamknęła oczy, wsłuchując się w otaczające ją dźwięki. W większości ptaki. Od czasu do czasu szelest liści. I...

Otworzyła oczy i rażnym krokiem poszła na prawo. Dźwięk, który usłyszała narastał, bulgoczący i szemrzący. Tam. Mały, ciężki do zauważenia strumień przebiegał przez las. Naprawdę, wyglądał na zbyt mały, żeby sobie stworzyć porządne koryto.

- Założę się, że stajesz się większy, gdy pada. – wymamrotała, nie przejmując się tym, że mówi do strumienia. Ponownie spojrzała na wskazówki, a ja poczułam, jak jej bystry umysł rozkłada je na czynniki pierwsze. Strumień był tu na stałe – ale podróżował. Zmieniał swój rozmiar. Miał głos. Wypełniał zagłębienia, przeszkody zmieniały jego kształt. A kiedy parował, unosił się w powietrzu. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się głośno nad zagadką. – Ale się nie rozkładasz.

Lissa przyjrzała się ponownie otoczeniu, niespokojnie zastanawiając się, czy rozkład nie odnosi się do życia roślin. Jej spojrzenie przesunęło się obok dorodnego klonu i wtedy drgnęła. U jego podstawy rosła grupa brązowych i białych grzybów, kilka było skurczonych i poczerniałych. Przykłękała przy nich i wtedy to zobaczyła: niedawno wykopana, niewielka dziura w ziemi. Pochylając się nad nią, zobaczyła błysk kolorów: fioletowa torba z paskiem.

Triumfalnie, Lissa wyciągnęła ją i wstała. Torba była płócienna z długim paskiem, co pozwoli przewiesić ją sobie przez ramię, gdy będzie szła. Otworzyła torbę i zajrzała do środka. I proszę, w miękkiej i puszystej podszewce ukryta była najcenniejsza rzecz z wszystkich: butelka wody. Jak dotąd, Lissa nie uświadamiała sobie, jak było jej gorąco i jak czuła się odwodniona – albo jak męczące było słońce. Kandydatom powiedziano, że mają ubrać mocne buty i praktyczne ubrania, ale nie były dozwolone żadne zapasy. Znaleziona butelka była bezcenna.

Siedząc na pniu, zrobiła sobie przerwę, ostrożnie dozując wodę. Choć mapa dostarczała kilka innych wskazówek i „nagród”, Lissa wiedziała, że nie może liczyć na więcej pomocnych toreb. Tak więc po kilku minutach odpoczynku, odłożyła wodę i przerzuciła torbę przez ramię. Mapa wskazywała na zachód i tam właśnie się skierowała.

Gorąco uderzało w nią podczas marszu, co zmusiło ją do zrobienia jeszcze kilku (niewielkich) przerw na picie. Ciągłe przypominała sobie, że to nie wyścig i że powinna wyluzować. Po kilku następnych wskazówkach odkryła, że mapa nie do końca była w skali, więc nie zawsze było oczywiste, jak długi będzie następny odcinek wycieczki. Niemniej była ucieszona pomyślnym rozwiązaniem wszystkich wskazówek, chociaż nagrody stawały się coraz bardziej zaskakujące.

Jedną z nich był pęczek patyków leżący na kamieniu, czyli coś, co mogłaby przysiąc, że było pomyłką, ale ktoś cywilizowany bez wątpienia związał te patyki razem. Włożyła go do torby wraz z starannie złożonym plastikowym brezentem. W tej chwili spływał z niej pot, ale trochę jej pomogło podwiniecie rękawów zapinanej na guziki flanelowej koszuli. Zaczęła robić częstsze przerwy. Oparzenia słoneczne stały się poważnym zmartwieniem, więc odczuła ogromną ulgę, kiedy następna wskazówka doprowadziła ją do butelki kremu przeciwsłonecznego.

Po kilku godzinach walki z letnim upałem, Lissa stała się tak zgrzana i zmęczona, że nie miała już mentalnej energii do irytowania się, że została wyłączona z czegośkolwiek, co się działo na Dworze. Liczyło się tylko dotarcie do końca testu. Mapa zawierała jeszcze dwie wskazówki, co wzięła za obiecujący sygnał. Chciała dotrzeć wkrótce do końca i po prostu móc poczekać na kogoś, kto ją zabierze. Błysk zrozumienia uderzył ją. „Brezent. Brezent zablokuje słońce” zdecydowała. Mogła go wykorzystać na końcu.

Następna zdobycz, jeszcze bardziej poprawiła jej humor: więcej wody i kapelusz z szerokim, opadającym rondem, który pomógł jej ukryć twarz przed słońcem. Niestety, po tym, coś co wydawało się być krótkim dystansem, okazało się dwa razy dłuższe niż się spodziewała. Zanim dotarła do następnej wskazówki, była bardziej zainteresowana zrobieniem kolejnej przerwy na picie, niż wygrzebywaniem cokolwiek jeszcze zostawili dla niej strażnicy.

Moje serce wrywało się do niej. Tak bardzo chciałam móc jej pomóc. Chronienie jej to była moja robota. Nie powinna być sama. A może powinna? Czy to także była część testu? W świecie, w którym moroje zawsze byli otoczeni strażnikami, takie osamotnienie musiało być totalnym szokiem. Moroje byli wytrzymali i mieli wyśmienite zmysły, ale nie byli przystosowani do ekstremalnego gorąca i pokonywania wyzwań terenowych. Ja prawdopodobnie łatwo mogłabym przebiec ten dystans. Jednakże nie byłam pewna, czy miałabym dedukcyjne umiejętności Lissy przy rozwiązywaniu wskazówek.

Ostatnią nagrodą Lissy był krzemień i stalowe ostrze, nie żeby miała jakieś pomysły po co jej one. Natychmiast rozpoznałam je, jako zestaw do wykrzesania ognia, ale za cholerę nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego miałyby rozpalać ognisko w dzień taki jak ten. Ze wzruszeniem ramionami, dodała przedmioty do swojej torby i ruszyła dalej.

I to był moment kiedy zaczęło się robić zimno. Bardzo zimno.

Początkowo tego nie zauważała, głównie dlatego, że słońce nadal wspaniale świeciło. Jej mózg podpowiadał, że to, co czuła, jest niemożliwe, ale gęsia skórka i szczykanie zębami mówiły coś zupełnie innego. Opuściła rękawy i zwiększyła tempo, marząc by nagle zimno przynajmniej przyszło z chmurami na niebie. Szybszy marsz i większy wysiłek pozwoliły się jej rozgrzać.

Dopóki nie zaczął padać deszcz.

Zaczęło się od mgły, przeszło w mżawkę a w końcu zmieniło się w równomierną ścianę deszczu. Jej włosy i ubrania przemokły, sprawiając, że niska temperatura stała się jeszcze gorsza do zniesienia. A jednak... słońce nadal świeciło, jego blask drażnił jej wrażliwą skórę, ale nie dawał w zamian ani odrobiny ciepła.

Magia, uświadomiła sobie. *Pogoda jest wywołana magią*. To część testu. W jakiś sposób magia użytkowników powietrza i wody połączyła się i przeciwstawiła gorącej, słonecznej pogodzie. Właśnie dlatego miała brezent – by zablokować słońce i deszcz. Rozważała wyciągnięcie go i narzucenie jak płaszcza, ale szybko zdecydowała, że poczeka dopóki nie dojdzie do mety. Nie miała zielonego pojęcia jak to daleko. Dwadzieścia stóp? Dwadzieścia mil? Przenikało ją zimno deszczu, spływającego po jej skórze. To było bardzo nieprzyjemne.

Telefon komórkowy w jej torbie był przepustką do wydostania się stąd. Było dopiero ledwie późne popołudnie. Miała jeszcze długo czekać, aż test dobiegnie końca. Wszystko co musi zrobić, to zadzwonić... jeden telefon i wydostanie się z tego bagna i wróci do pracy, którą powinna się zajmować na Dworze. *Nie*. Determinacja wzięła górę. To wyzwanie już dłużej nie dotyczyło morojskiego tronu, czy zabójstwa Tatiany. To był test, który powinna przejść dla siebie. Prowadziła wygodne i bezpieczne życie, pozostawiając chronienie jej innym. Chciała przetrwać to na własną rękę – i to się jej uda.

Determinacja doprowadziła ją do końcowego punktu na mapie – polany otoczonej drzewami. Dwa z nich były małe i na tyle blisko położone, że Lissa pomyślała, że może zdołałaby zawiesić brezent jako sensowne schronienie. Zimnymi, zgrabiałymi palcami wyjęła go z torby i rozpostarła w pełnej okazałości – był na szczęście o wiele większy niż oczekiwała. Jej nastrój zaczął się poprawiać, gdy pracowała nad brezentem i zastanawiała się, jak stworzyć z niego niewielki baldachim. Wpełzła do środka, gdy skończyła, zadowolona, że wydostała się z ulewnego deszczu.

Ale to wciąż nie zmieniało faktu, że była przemoczona. Albo, że ziemia też była morka i do tego błotnista. Brezent nie chronił jej także przed zimnem. Poczowała ukłucie goryczy, przypominając sobie strażnika mówiącego, że magia jest dozwolona w czasie próby. Nie myślała, że magia będzie przydatna, ale teraz doskonale dostrzegła korzyści płynące z bycia użytkownikiem wody, który mógłby kontrolować deszcz i utrzymywać go z daleka od siebie. Albo jeszcze lepiej: być użytkownikiem ognia. Marzyła, żeby Christian był tu z nią. Z radością powitałaby zarówno ciepło płynące z jego magii, jak i z objęć. W takich sytuacjach duch naprawdę był do bani, chyba żeby dostała hipotermii i musiała sama się uzdrowić (co nigdy i tak nie działało tak dobrze, jak na innych ludzi). Nie, zdecydowała. Tu nie było żadnych wątpliwości: użytkownicy wody i ognia mieli przewagę podczas tego testu.

Wtedy do niej dotarło.

Ogień!

Lissa wyprostowała się z kłęбка, w który się zwinęła. Początkowo nie rozpoznała krzemienia i krzesiwa, ale wróciły teraz do niej niejasne wspomnienia krzesania ognia. Nigdy tak naprawdę nie uczyła się takich umiejętności, ale było dość oczywiste, że uderzanie o siebie kamieniami mogło wywołać iskrę – gdyby tylko miała suche drewno. Wszystko tutaj było przesiąknięte...

Oprócz pęku patyków w jej torbie. Śmiejąc się głośno, rozwiązała patyki i położyła je w miejscu osłoniętym przed deszczem. Po stworzeniu z nich czegoś, co przypominało wzór ogniska z obozu, spróbowała rozgryźć co zrobić z krzesiwem i krzemieniem. W filmach widziała, że ludzie po prostu uderzają nimi o siebie i lecą iskry. To właśnie zrobiła.

Próbowała jeszcze trzy razy i jej wcześniejsze podniecenie ustąpiło mrocznej wywołanej duchem frustracji. Wyciągnęłam z niej trochę tego, chcąc, żeby pozostała skupiona. Przy czwartej próbie poleciały iskry i zniknęły – ale to było to, czego potrzebowała, żeby zrozumieć zasadę. Niedługo później, bez problemu mogła skrzesać kolejne, ale nic się nie działo gdy łądowały na drewnie. W górę i w dół: jej nastrój był istną kolejką górską nadziei i rozczarowania. *Nie poddawaj się.* To chciałam jej powiedzieć gdy zabierałam od niej więcej negatywnych uczuć. *Nie poddawaj się.* Chciałam również dać jej lekcję rozpalania ognia, ale to przekraczało moje granice.

Obserwując ją, zaczynałam rozumieć, jak bardzo nie doceniałam jej inteligencji. Wiedziałam, że jest błyskotliwa, ale zawsze miałam o niej wyobrażenie, że w tego rodzaju sytuacjach będzie bezradna. Nie była. Zdołała dociec sedna sprawy. Tak małe iskry nie mogły rozpaść drewna. Potrzebowała do tego większego płomienia. Potrzebowała czegoś, co mogłoby zająć iskra. Ale co to mogłoby być? Z pewnością nic z tego przesiąkniętego wodą lasu.

Jej spojrzenie padło na wystającą z torby mapę. Wahala się tylko chwilę, zanim podarła papier na kawałki i ułożyła go na gałązkach. Teoretycznie dotarła już do końca trasy i mapa nie była już potrzebna. Teoretycznie. I tak było już za późno, więc Lissa kontynuowała swój plan. Najpierw wyrwała trochę puszystej podszewki z torby, dodając trochę waty do papieru. Wtedy ponownie złapała za krzemień i krzesiwo.

Wystrzeliły iskry i padły na kawałki papieru. Płomyki zabłysły pomarańczowo zanim zniknęły, pozostawiając smugę dymu. Spróbowała ponownie, pochylając się i delikatnie dmuchając, gdy iskry padły na podpałkę. Pojawił się niewielki ogienek, który zanim zniknął złapał pobliskie strzępy waty. Nie poddając się, Lissa spróbowała ostatni raz.

– No dalej, dalej – mamrotała, jakby mogła zmusić ogień do życia.

Tym razem iskry złapały podpałkę, zmieniając się w niewielki płomień, który wkrótce się rozrósł pochłaniając opał. Modliłam się żeby zajął także drewno no chyba, że miała całkowitego pecha. Ogień stawał się jaśniejszy i większy, pożerając resztki papieru i waty... i

wtedy rozprzestrzenił się na patyki. Lissa dmuchała lekko, żeby mu pomóc i wkrótce jej ognisko się rozpało.

Ogień nie mógł odpędzić przeszywającego zimna, ale tak długo, jak go doglądała, miała jakby ciepło słońca na dłoniach. Uśmiechnęła się i ogarnęło ją poczucie dumy, że nie zawiodła. W końcu mogąc odpocząć rozejrzała się po deszczowym lesie i wśród zieleni zobaczyła w oddali kolory. Kierując ducha, użyła swej magii, żeby zwiększyć swoją zdolność do widzenia aury. To wystarczyło – daleko ukryte wśród drzew zobaczyła dwie aury o silnych, spokojnych kolorach. Ich właściciele stali spokojnie, pozostając cicho i w ukryciu. Uśmiech Lissy się zwiększył. Strażnicy. A może użytkownicy powietrza i wody, którzy kontrolują pogodę. Nikt z kandydatów do tronu nie został tu sam. Ronald Oзера niepotrzebnie się zamartwiał – ale ostatecznie, on nie mógł o tym wiedzieć. Ona wiedziała. Może mimo wszystko duch nie był tak bezużyteczny.

Deszcz zaczął tracić na sile, a ciepło ognia uspokajało ją. Nie umiała odgadnąć czasu sugerując się pozycją słońca na niebie, ale w jakiś sposób wiedziała, że czekanie do końca dnia nie będzie stanowiło dla niej problemu.

- Rose? – głos wywołał mnie ze szkoły przetrwania Lissy – Rose obudź się, czy... cokolwiek.

Zamrugałam, skupiając się na twarzy Sydney, która znajdowała się kilka centymetrów nade mną.

- Co? – burknęłam – Czemu mi przeszkadzasz?

Wzdrygnęła się i odskoczyła, chwilowo pozbawiona daru wymowy. Wyciąganie ciemności z Lissy nie odbiło się na mnie od razu, ale teraz będąc w moim własnym ciele, czułam jak zalewa mnie złość i irytacja. *To nie twoja wina, ani Sydney, mówiłam sobie. To duch. Uspokój się.* Wzięłam głęboki wdech, nie pozwalając duchowi przejąć nade mną kontroli. Byłam od tego silniejsza. Przynajmniej miałam taką nadzieję.

Gdy zwalczałam te uczucia, rozejrzałam się i przypomniałam sobie, że jestem w sypialni Soni Karp. Wszystkie moje problemy zaczęły się na mnie z powrotem zwałać. W innym pokoju była związana strzyga, którą ledwie udało się nam opanować, i która nie wyglądała, jakby miała nam udzielić nam odpowiedzi w najbliższym czasie.

Ponownie spojrzałam na Sydney, która dalej wyglądała, jakby się mnie bała.

- Przepraszam... Naprawdę nie chciałam na ciebie naskoczyć. Byłam zaskoczona. – Wahala się kilka minut, a potem skinęła głową akceptując moje przeprosiny. Gdy tylko strach zniknął z jej twarzy, mogłam dostrzec, że coś jeszcze ją gryzie.
- Coś nie tak? – zapytałam. Tak długo jak wciąż byliśmy żywi, a Sonia uwięziona, sprawy nie mogły się mieć znowu aż tak źle, no nie?

Sydney cofnęła się i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Jest tutaj Wiktor Daszkow i jego brat.

Tłumaczenie: Justa2705

Korekta: Ginger_90

Rozdział osiemnasty

ZERWAŁAM SIĘ z łóżka, zadowolona, że się nie przewróciłam. Moja głowa nadal bolała, ale nie czułam już zawrotów głowy, co jak miałam nadzieję oznaczało, że uniknęłam wstrząśnienia mózgu. Wychodząc z sypialni Sonii rzuciłam okiem na budzik i zobaczyłam, że byłam w głowie Lissy kilka godzin. Jej test trwał dużo dłużej niż zdawałam sobie z tego sprawę.

W salonie zastałam niemal komiczny widok. Wiktor i Robert stali w nim we własnej osobie przyglądając się wszystkim detalom. Tym razem nawet Robert wydawał się być z nami umysłem. Tylko, że podczas gdy Wiktor studiował wszystko w swój wyrachowany sposób, uwaga Roberta była skupiona na Sonii. Jego oczy były wytrzeszczone ze zdumienia. Tymczasem Dymitr nie zmienił swojej pozycji obok Sonii, ani też nie odłożył kołka przytkniętego do jej gardła, jednak z jego postawy i czujnego spojrzenia jasno wynikało, że uznał braci za nowe zagrożenie i próbował – co było niemożliwe – mieć się na baczności przede wszystkim. Wydawał się odczuwać ulgę na mój widok, gdyż byłam dla niego wsparciem.

Sonia siedziała perfekcyjnie cicho pod wiążącymi ją łańcuchami, co mi się wcale nie podobało. To sprawiło, że zaczęłam podejrzewać, iż coś planowała. Jej czerwone oczy były zwężone.

Cała ta sytuacja była napięta i niebezpieczna, ale małeńka część mnie poczuła ponurą satysfakcję, gdy bliżej przyjrzałam się Wiktorowi. Spotkania we śnie były zwodnicze. Tak jak ja mogłam zmieniać swój wygląd w snach, tak Wiktor podczas tych wizyt nadał sobie wygląd mocniejszego i zdrowszego niż był naprawdę. Wiek, choroba i życie zbiega zbierały swoje żniwo. Pod jego oczami odznaczały się ciemne cienie, a jego szare włosy wydawały się rzadsze niż były miesiąc temu. Wyglądał na zmizerniałego i zmęczonego, jednak wiedziałam, że nadal był niebezpieczny.

- A więc udało się wam nas znaleźć – powiedziałam z rękoma na biodrach.
- W tym mieście jest jedno jezioro – powiedział Wiktor. – I jeden niebieski dom. Może ty miałaś kłopoty z tymi wskazówkami, ale dla reszty z nas to nie było takie trudne.
- Cóż, skoro jesteś taki mądry, to jaki masz teraz plan? – spytałam.

Starłam się hamować, jednocześnie gorączkowo myśląc jaki był *mój* plan. Chciałam schwytać Wiktora i Roberta, ale nie wiedziałam jak. Odkąd musieliśmy podzielić naszą uwagę między nimi a Sonią, Dymitr i ja nie mogliśmy współpracować. Chciałabym żebyśmy mieli zapasowy łańcuch. Oprócz fizycznego obojętnienia braci, musielibyśmy również dodatkowo unieruchomić ich ręce, aby zminimalizować ryzyko, że użyją magii.

- Ponieważ *jesteś* taka mądra – skontrował Wiktor – to założyłem, że uzyskałaś już potrzebne informacje.

Gestem wskazałam w kierunku Sonii.

- Niezupełnie jest chętna do udzielenie informacji.

Oczy Wiktora spoczęły na niej.

- Sonia Karp. Zmieniłaś się od czasu gdy po raz ostatni cię widziałem.
- Zamierzam was wszystkich zabić – warknęła Sonia. – I zjeść jedno po drugim. Normalnie zaczęłabym od człowieka i powoli przesuwała się do morojów, ale... – Spojrzała na mnie i Dymitra z twarzą przepełnioną wściekłością. – Myślę, że zachowam was na koniec i przeciągnę wasze cierpienia. – Przerwała i niemal komicznie dodała. – Wy dwoje denerwujecie mnie najbardziej.
- Czy wszystkie strzygi przechodziły jakiś obóz dla rekrutów i uczyły się tych samych gróźb? To cud, że ty też nie trajkoczesz. – Odwróciłam się do Wiktora. – Widzisz? To nie takie proste. Próbowaliśmy wszystkiego: bicia, tortur. Sydney przeleciała nawet imiona wszystkich jej krewnych. Żadnej reakcji.

Wiktor po raz pierwszy przyjrzał się uważnie Sydney.

- A zatem to jest twój wierny piesek alchemik.

Sydney nie poruszyła się. Wiedziałam, że musiała być przerażona stojąc naprzeciwko kogoś, kto był zarówno wampirem *jak i* niebezpiecznym kryminalistą. Musiałam przyznać jej punkty za nieugięcie się pod jego wzrokiem.

- Młoda – dumął Wiktor. – Ale oczywiście jak mogłaby nie być. Wyobrażam sobie, że to jedyny sposób, w jaki mogłaś wmanipulować ją w tą małą eskapadę.
- Jestem tutaj z własnej woli – odparła Sydney. Jej twarz pozostała spokojna i pewna siebie. – Nikt mną nie manipulował.

Szantaż Abe naprawdę nie był w tej chwili istotny.

- Słuchaj, jeśli zamierzałeś torturować mnie tymi swoimi mało zabawnymi komentarzami, mogłeś po prostu dalej nawiedzać moje sny – odparowałam – Jeśli nie masz nic użytecznego do zaoferowania to wynoś się stąd i daj nam poczekać, aż głód osłabi Sonię.

A przez wyniesienie się stąd miałam na myśli: głupią myśl, że stąd wyjdiesz, a ja wtedy wezmę wasze głowy i walnę nimi o siebie, i z powrotem zaciągnę do strażników.

- Możemy pomóc – powiedział Wiktor, lekko dotykając swojego brata w ramię. Robert wzdrygnął się, przenosząc swoje oczy z Sonii na Wiktora. – Twoje metody były skazane na porażkę. Jeśli chcesz odpowiedzi to jest tylko jedna droga do...

Sonia wykonała swój ruch. Dymitr nadal był niedaleko przy niej, ale w tym samym czasie trzymał oko na resztę z nas. Ja oczywiście, również byłam kompletnie skupiona na przedstawieniu Wiktora. To był prawdopodobnie najlepszy moment zaskoczenia, na jaki czekała Sonia.

Z tą szaloną siłą strzygi poderwała się z krzesła. Była wielokrotnie owinięta łańcuchem, ale jej szybki ruch i siła wystarczyły, by rozerwać go w dwóch miejscach. Reszta nadal ją krępowała, ale doskonale wiedziałam, że nawet jeden otwór mógł jej wystarczyć by ostatecznie się uwolnić. Rozproszony czy nie, Dymitr był przy niej w mgnieniu oka, a sekundę później i ja. Wierciła się na krześle, wykorzystując każdy skrawek swojej siły i szybkości, by zrzucić łańcuchy. Wiedziałam, że gdyby się uwolniła to podjęłaby kolejną zażartą walkę.

Oczy moje i Dymitra spotkały się na krótko i wiedziałam, że myśleliśmy o tym samym. Po pierwsze, jak zamierzaliśmy ją z powrotem zniewolić? Prawdopodobnie będzie można związać ją łańcuchem jeszcze raz, ale najpierw musielibyśmy go rozwinąć i zacząć od początku, co z kolei było prawie niemożliwe. Wiedzieliśmy również oboje, że we dwójkę możemy nie być w stanie po raz drugi ją przyszpilić, a w dodatku mieliśmy wokół siebie niewinne osoby. Oni nie mogli walczyć, jednak Sonia mogła być w stanie wykorzystała ich jakoś na swoją korzyść.

Wszystko, co mogliśmy zrobić, to próbować ją przygwoździć. Przytrzymanie jej przy płaskiej powierzchni takiej jak podłoga, byłoby znacznie łatwiejsze niż przy nieporęcznym fotelu. Trząśnięcie, gdy z nami walczyła, natomiast my walczyliśmy, by zyskać lepsze umieszczenie jej na krześle. Dymitr miał w ręku swój kołek – ja swój odłożyłam wcześniej – i przejechał nim po jej skórze, dając nam jakąś przewagę w walce. Krzyknęła z wściekłości, a ja uporczywie złapałam się nadziei, że uda nam się ją związać. Choć prawdopodobnie nie. My złamiemy się najpierw.

Moja boląca głowa była wystarczającym dowodem na to, że nie byłam w szczytowej formie. Na peryferiach wzroku dostrzegłam przeblysk ruchu, co wszczęło nowy alarm. Ku nam kierował się Robert Doru – ze srebrnym kołkiem w swoich rekach. Ten widok był tak dziwny i niespodziewany, że z opóźnieniem ostrzegłam Dymitra. Kiedy mój niemrawy umysł nagle z powrotem wrócił do życia, było za późno.

– Nie! – wrzasnęłam, widząc że Robert podniósł kołek. – Nie zabijaj jej!

Dymitr odwrócił się i zobaczył wówczas Roberta, ale nic nie mógł zrobić. Razem z Dymitrem stworzyliśmy mu doskonałą okazję. Ciągłe trzymaliśmy Sonię w taki sposób, że jej klatka piersiowa była nieosłonięta, więc Robert miał czyste pole do popisu. Gorączkowo zastanawiałam się, co robić. Jeśli go zatrzymam, uwolnię Sonię. Jeśli go nie powstrzymam, Robert może zabić naszą jedyną szansę na dowiedzenie się kto...

Za późno. Kołek gwałtownie opadł w dół z siłą, która mnie zadziwiła. Lissa miała sporo trudności kołkując Dymitra, więc przypuszczałam, że dla kogoś takiego jak Robert byłoby to tak samo trudne, zwłaszcza, że Robert był starszy i wydawał się taki słaby. Ale nie. Nadal musiał używać obu rąk, jednak kołek stanowczo wszedł w klatkę Soni przebijając jej serce. Sonia wydała z siebie przenikliwy krzyk. Nagle pokój wypełniło jaskrawe, oślepiające, białe światło, właśnie wtedy, gdy niewidzialna siła odrzuciła mnie do tyłu. Uderzyłam w ścianę, lecz mój mózg ledwo odnotował ból. Mały domek zatrzęsł się, a ja jedną ręką próbowałam złapać się czegoś, żeby się podnieść. Mocno przymknęłam swoje oczy, ale ciągle mogłam widzieć eksplozję gwiazdek. Czas zwolnił. Moje serce również.

I wtedy – wszystko się zatrzymało. Wszystko. Światła. Wstrząsy. Oddychałam normalnie. Wszystko było ciche i nieruchome, jakbym wyobraziła sobie to, co właśnie miało miejsce.

Mrugnęłam starając się z powrotem nadać ostrość swojemu wzrokowi i ocenić sytuację. Zrobiłam, co w mojej mocy, by niezdarnie wgramolić się na własne nogi i gdy to zrobiłam dostrzegłam, że Dymitr robi to samo. Wyglądał jakby, również został odrzucony, ale dla wsparcia złapał się ściany, a nie w nią uderzył. Robert leżał płasko na podłodze, a Wiktor podbiegł mu pomóc. Sydney po prostu zamarła.

A Sonia?

– Niewiarygodne – wyszeptałam.

Sonia nadal była w fotelu i wnioskując ze sposobu, w jaki w nim z powrotem siedziała było oczywiste, że została porażona tą samą siłą, która uderzyła resztę z nas. Nadal oplatały ją łańcuchy, ale ona już nie walczyła. Na jej kolanach leżał srebrny kołek, który ledwie kilka chwil temu trzymał Robert. Sonia zdołała uwolnić rękę z łańcucha, na tyle by palcami przejechać po jego powierzchni. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia – oczy, które były intensywnie, lazuruowo niebieskie.

Robert przywrócił Sonię Karp do życia. Nie była już dłużej strzygą.

Kiedy Lissa ocaliła Dymitra, czułam przez więź siłę jej czarów, co dało mi pełne i przytłaczające doświadczenie tego, co się działo. Będąc teraz tego świadkiem, bez wiedzy z pierwszej ręki pochodzącej od Lissy, to nadal było tak samo strasznie niewiarygodne. Wiktor był zaabsorbowany Robertem, ale reszta z nas po prostu nie mogła się powstrzymać od patrzenia na Sonię ze zdumieniem. Patrzyłam na wszystkie jej cechy – dosłownie *wszystkie* – w poszukiwaniu dowodu wskazującego na jakiś ślad jej poprzedniej postaci.

Nie było żadnego. Jej skóra miała typową dla morojów bladość, ale ciągle była wypełniona ciepłotą życia z najśłabszym odcieniem koloru – nie jak u strzyg, które były kompletnie pozbawione pigmentu. Jej oczy były nabiegłe krwią, lecz to był wynik natychmiastowego formowania się łez. Nie było żadnych czerwonych pierścieni wokół jej źrenic. A wyraz tych oczu... żadnego okrucieństwa i zjadliwości. To nie były oczy kogoś, kto dopiero co groził, że nas wszystkich zabije. Jej oczy były przepełnione szokiem, strachem i zmieszaniem. Nie mogłam odwrócić od niej wzroku.

Cud. Kolejny cud. Nawet po widzeniu jak Lissa uwalnia Dymitra, jakaś sekretna część mnie wierzyła, że nigdy nie będę świadkiem czegoś podobnego. Tak właśnie działały cuda. Raz w ciągu całego życia. Wszędzie wiele mówiono o używaniu ducha do ocalenia strzyg, lecz te rozmowy upadły kiedy inny dramat – taki jak zamordowanie królowej – podjął na Dworze pierwszeństwo. Niedobór użytkowników ducha sprawił również, że ten pomysł nie był popularny, a poza tym wszyscy wiedzieli o trudnościach wiążących się z zakołkowaniem strzygi przez moroja. Skoro wytrenowani strażnicy ginęli walcząc ze strzygami, to jak moroj mógłby choć jedną zakołkować? Cóż, tu była odpowiedź: najpierw ją obezwładnić. Moroje mogli być w stanie zakołkować strzygę oboma rękoma, zwłaszcza ze wsparciem strażników. Te możliwości sprawiły, że zakręciło mi się w głowie. Magia Roberta była silna, ale był stary

i słaby. Jednak, jeśli nadal to robił, to czy każdy użytkownik ducha mógł? Niemal sprawił, że to wyglądało na proste. Czy Adrian mógłby to zrobić? Czy Lissa mogła to powtórzyć?

Cud. Sonia Karp była żywym, oddychającym cudem.

I nagle zaczęła krzyczeć.

Zaczęło się od czegoś w rodzaju cichego zawodzenia, które stawało się głośniejsze. Hałas przywrócił moją uwagę, ale nie do końca wiedziałam jak na to odpowiedzieć. Dymitr wiedział. Wypuścił kołek z ręki i ruszył w stronę Sonii, próbując uwolnić ją z łańcuchów. Miotła się pod jego dotykiem, ale jej wysiłki nie były już poparte nadprzyrodzoną siłą nieumarłego potwora, który szukał zemsty. To były ruchy kogoś zrozpaczonego, przeraźliwie wystraszonego.

Odwinęłabym te łańcuchy dość energicznie, lecz Dymitr zdjął je w sekundę. Kiedy Sonia była wolna, usiadł na krześle i przyciągnął ją do siebie, pozwalając jej ukryć twarz w swojej piersi i szlochać. Przełknęłam. Dymitr również płakał, kiedy został odmieniony. Przez mój umysł przemknął dziwny obraz nowonarodzonych dzieci. Czy płacz był naturalną reakcją dla każdego nowo urodzonego – albo jak w tym przypadku, odrodzonego – na świecie?

Moją uwagę przykuł nagły ruch. Sydney poruszała się w kierunku Dymitra z oczami szeroko rozwartymi, aby go powstrzymać.

– Co ty wyprawiasz? – krzyknęła. – Nie uwalniaj jej!

Dymitr zignorował Sydney. Złapałam ją odciągając do tyłu.

– Wszystko w porządku – powiedziałam. Sydney była najbardziej stabilnym elementem w tej całej operacji. Nie mogłam pozwolić, aby zbzikowała. – Ona nie jest strzygą. Spójrz na nią. Jest morojką.

Sydney powoli potrząsnęła głową.

– Nie może nią być. Dopiero co ją widziałam.
– Dokładnie to samo stało się z Dymitrem. Nie uważasz, że jest strzygą, prawda? Ufasz mu.

Rozluźniłam uścisk, w którym ją trzymałam, jednak Sydney dalej stała w bezruchu z przezornym wyrazem twarzy.

Patrząc w dół na braci doszło do mnie, że ich sytuacja może być bardziej poważna niż zdawałam sobie z tego sprawę. Robert nie był strzygą, ale wyglądał wystarczająco blado jakby mógł nią być. Jego oczy były puste, a ślina ciekła z jego częściowo otwartych ust. Dokonałam ponownej oceny moich wcześniejszych spostrzeżeń, że ocalenie strzygi przez Roberta wyglądało na łatwe. Zakołkował ją jak zawodowca, ale najwidoczniej przyniosło to kilka efektów ubocznych. Wiktor próbował wesprzeć brata, szepcząc mu uspokajające i pocieszające słowa. Na jego twarzy... widniał właściwie wyraz współczucia i strachu, którego

nigdy wcześniej nie widziałam. Mój mózg nie do końca wiedział jak pogodzić to z jego nikczemnym wizerunkiem, który widniał w mojej głowie. Wydawał się prawdziwą osobą.

Wiktor spojrział na mnie w górę z ustami wykrzywionymi w gorzkim uśmiechu.

- Co, teraz nie rzucasz żadnych dowcipnych uwag? Powinnaś się cieszyć. Daliśmy ci to, czego potrzebowałaś. Chciałaś odpowiedzi od Soni Karp? – Skinął w jej kierunku głową. – Idź i je weź. Z pewnością są warte tak wysokiej ceny, jaką przyszło nam zapłacić
- Nie! – wykrzyknął Dymitr. Nadal przytulał Sonię, lecz jego łagodny wyraz twarzy stężał na słowa Wiktora. – Oszalałeś? Nie widziałeś, co się właśnie stało?

Wiktor uniósł brew.

- Tak, zauważyłem.
- Sonia nie jest w stanie udzielić żadnych odpowiedzi! Jest w szoku. Zostaw ją w spokoju.
- Nie zachowuj się, jakby to *ona* była tutaj osobą, która cierpi – odparował Wiktor i odwrócił się do Roberta. Pomógł swojemu bratu wstać i zaprowadził go na kanapę. Robert ledwie zdołał do niej dojść, gdyż jego nogi drżały. Usiadł na niej i opadł z sił. Wiktor otoczył go ramieniem.
- Nic ci nie będzie. Wszystko w porządku.
- Na pewno nie będzie? – spytałam niepewnie. Robert wcale nie wyglądał jakby był w dobrej formie. Moje wcześniejsze myśli o użytkownikach ducha ratujących strzygi stały się powoli nierealne. – On... robił to już wcześniej i nic mu nie było, prawda? Lissie nic nie jest.
- Robert był wtedy dużo młodszy – miał tyle lat ile ma teraz Wasylisa – odpowiedział Wiktor głaszcząc Roberta po ramieniu. – To nie jest proste zaklęcie. Zrobienie tego choć raz jest przeogromnym wysiłkiem. A dwa razy? Cóż, oboje wiemy jak działa duch. Ten czyn wymaga zapłaty zarówno cielesnej jak i umysłowej. Robert bardzo się dla ciebie poświęcił.

Przypuszczałam, że tak było.

- Dziękuję ci Robercie – powiedziałam. Te słowa niepewnie wyszły z moich ust. Robert nie wydawał się ich słyszeć.

Dymitr wstał, bez trudu podnosząc Sonię swoimi rękoma. Nadal płakała, ale jej szloch przycichł.

- Ona musi odpocząć – powiedział szorstko. – Wierz mi, nie masz pojęcia, co się teraz dzieje w jej wnętrzu.
- Och, wierzę ci – odpowiedziałam.
- Jesteście idiotami – rzucił ostro Wiktor. – Oboje.

To był cud, że piorunujący wzrok Dymitra nie przygwoździł Wiktora do podłogi.

- Żadnego przesłuchania na razie.

Kiwnęłam głową na zgodę, nie wiedząc co jeszcze mogę zrobić. Kiedy Lissa zmieniła Dymitra, przyjęła zagorzałą i podobnie obronną postawę. Być może nie był osobą, która zmieniła Sonię, ale był tutaj jedyną osobą, która miała jakiegokolwiek pojęcie o tym, przez co przechodziła. Wiedziałam, że trudno mu było na nowo się przystosować i początkowe konsekwencje przywrócenia były dezorientujące. I to nawet nie biorąc pod uwagę wynikającej z tego depresji. Przemknął obok reszty z nas, zabierając Sonię do jej sypialni.

Sydney patrzyła jak odchodzą, po czym obejrzała się w kierunku sofy, gdzie Wiktor siedział nadal obejmując ramieniem Roberta. Alchemiczka z zastanowieniem spojrzała mi w oczy.

- Słyszałam... ale nie wierzyłam.
- Czasami ja sama ciągle w to nie wierzę – powiedziałam. – To jest wbrew wszelkim prawom wszechświata.

Ku mojemu zaskoczeniu dotknęła małego złotego krzyżyka zawieszzonego na szyi.

- Niektóre prawa wychodzą poza pojęcie wszechświata.

Wiktor podniósł się z kanapy, wyraźnie usatysfakcjonowany, że Robert odpoczywał. Spiełam się. Odkładając cuda na bok, Wiktor nadal był kryminalistą, którego miałam zamiar schwytać. Podszedł do mnie o krok, utrzymując cichy ton głosu.

- Wybacz przerwanie metafizyki 101, ale musisz mnie wysłuchać – powiedział. – Bądź ostrożna, Rose. Bardzo ostrożna. Wiele teraz od ciebie zależy. Nie pozwól swojemu dominującemu samcowi³⁰ odciągnąć cię od informacji, które posiada Sonia.
- Ale on ma rację! – zawołałam. – Minęło pięć minut! To, przez co przeszła... przez co oboje przeszli... to dosyć poważna sprawa. Dosłownie zmieniająca życie. On również musiał dojść do siebie i przystosować się do bycia ocalonym. Kiedy Sonia to zrobi, pomoże nam.
- Jesteś pewna? – spytał zwięzając oczy. – Będzie uważała się za uratowaną? Zapomniałaś, że Bielikow został zmieniony wbrew swojej woli, a ona nie.
- C–co ty próbujesz powiedzieć? Że spróbuje ponownie przemienić się w strzygę?

Wzruszył ramionami.

- Mówię żebyś szybko zdobyła swoje odpowiedzi. I nie zostawiaj jej samej.

I z tym Wiktor odwrócił się i skierował w stronę kuchni, skąd wkrótce wrócił ze szklanką wody. Robert wypił ją chciwie a następnie zapadł w twardy sen. Westchnęłam opierając się o ścianę niedaleko Sydney, całkowicie wyczerpana.

- Co teraz? – zapytała Sydney.

Pokręciłam głową.

³⁰ W oryginale: *pet Wolf* – przyp. Ginger

- Nie wiem. Myślę, że musimy czekać.

Dymitr wrócił odrobinę później, rzucając Robertowi krótkie spojrzenie.

- Ona też śpi – powiedział do mnie. – Transformacja... jest trudna.

Dostrzegłam udręczony wyraz jego oczu i zastanawiałam się, jakie wspomnienia go teraz nękały. Wspomnienia z przemiany? Z bycia strzygą?

- Sądzę, że nie powinniśmy zostawiać Soni samej – powiedziałam. Kątem oka dostrzegłam uśmiezek Wiktora. – Ktoś powinien z nią zostać na wypadek, gdyby się obudziła. Nie będzie wiedziała, co się dzieje.

Dymitr nie odpowiadał przez kilka sekund i tylko mi się przypatrywał. Znał mnie na tyle dobrze by wyczuć, że w moim umyśle mogło się czaić coś jeszcze. Na szczęście nie doszukał się błędu w moim rozumowaniu.

- Masz rację. Miałybyś coś przeciwko by z nią posiedzieć? – zapytał Sydney.

Po omacku szukałam czegoś, co mogłabym powiedzieć. Nie, nie tylko nie Sydney. Jeśli Sonia obróci się przeciwko nam, będziemy potrzebować kogoś jeszcze na straży – kogoś, kto mógł odeprzeć atak. Prawdopodobnie zgadując mój problem, Sydney ocaliła mnie przed skłamaniami Dymitrowi – albo powiedzeniem mu prawdy o moich obawach.

- Ona mnie nie zna. To może pogorszyć sprawę, kiedy się obudzi. Poza tym... – Twarz Sydney przyjęła wyraz wstrętu, który przodował u alchemików. – Naprawdę nie czuję się zbyt komfortowo przy kimś, kto pięć minut temu był potworem.
- Ona nie jest strzygą! – krzyknął. – Znowu jest zupełnie i całkowicie morojką! – Nawet ja się odrobinę przestraszyłam surowością jego głosu, ale nie byłam zupełnie zaskoczona gwałtownością jego reakcji. Przeszedł ciężkie chwile przekonując innych, że się zmienił. Jego twarz odrobinę złagodniała. – Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale ona naprawdę się zmieniła.
- W takim razie ja mogę z nią zostać – odezwałam się.
- Nie, nie. – Dymitr pokręcił głową. – Sydney ma rację, co do jednej rzeczy: Sonia może być zagubiona. Lepiej by był z nią ktoś, kto rozumie, co się dzieje.

Zaczęłam się klócić, że ja byłam tu jedyną osobą, którą znała Sonia, ale wówczas zdecydowałam, że lepiej będzie jak zostaną z braćmi. Obecnie wyglądali na nieszkodliwych, ale im nie ufałam. Dymitr najwyraźniej też nie. Zrobił kilka kroków do przodu i pochylił się, mówiąc zaledwie cal od mojego ucha:

- Obserwuj ich – szepnął. – Robert jest teraz słaby, ale może wrócić do siebie szybciej niż myślimy.
- Wiem.

Zaczął się odwracać, po czym spojrzął na mnie przez ramię. Jego dowódcza twarz złagodniała do czegoś zadumanego i pełnego poważania.

- Rose?
- Tak?
- To... czy to wyglądało tak samo jak wtedy, kiedy zmieniła mnie Lissa?
- Mniej więcej.
- Nie zdawałem sobie sprawy... to było... – Próbował znaleźć słowa. To było dla niego nietypowe. – Sposób w jaki światło wypełniło pokój, sposób w jaki się zmieniła. Wzrost jak życie wyłania się ze śmierci było...
- Piękne?

Skinął głową.

- Takiego daru życia... nie należy – nie, nie *można* zmarnować.
- Nie – zgodziłam się. – Nie można.

Zobaczyłam wówczas jak coś się w nim zmienia. Coś małego tak jak w alejce, ale wiedziałam, że oto oderwał się kolejny kawałek strzygowej traumy.

Nie powiedział nic więcej. Obserwowałam jak z powrotem oddala się korytarzem. Nie mając nic więcej do roboty, Sydney usiadła po turecku na podłodze, trzymając na kolanach książkę. Była zamknięta, a jej myśli wyraźnie były gdzieś indziej. Przez ten czas, Wiktor rozsiadł się w fotelu. Nie wyglądał tak źle jak Robert, jednak po obu braciach było widać oznaki zmęczenia. Dobrze. Im dłużej byli padnięci tym lepiej. Przyniosłam sobie krzesło z kuchni, żebym mogła usiąść i obserwować sytuację w pokoju. Było spokojnie.

Czułam się jak niańka, którą jak przypuszczałam po części byłam. To był długi dzień i wkrótce noc zabarwiła okna na czarno. To mnie zaniepokoiło. Z tego, co wiedziałam, Sonia miała jakiś kumpli wśród strzyg, którzy mogli do niej zawitać. Fakt, że Donovan znał ją z pewnością wskazuje na to, że nie była wśród nich całkowitym wyrzutkiem. Stałam się przez to nadzwyczaj czujna, choć w tym samym czasie byłam wykończona. Bracia już spali, zaś Sydney, która prawdopodobnie starała się zachować swój ludzki plan dnia, w końcu znalazła zapasowy koc i poduszkę i zwinęła się w kłębek, w prowizorycznym posłaniu na podłodze i zasnęła.

A ja? Znajdowałam się w połowie pomiędzy ludzkim i wampirzym rozkładem dnia. Miałam wrażenie, że Dymitr również. Tak naprawdę funkcjonowaliśmy według „rób-co-niezbędne” harmonogramie, w którym długi sen nie wchodził w grę.

Nagle przez więź zanuciło brzęczenie ekscytacji i zaskoczenia. Nie wyczułam niebezpieczeństwa ani zagrożenia, jednak i tak ciekawość sprawiła, że zdecydowałam się sprawdzić co u Lissy. Wiedziałam, że nawet będąc w jej umyśle, moje ciało pozostanie czujne. No i chciałam wiedzieć jak poszła jej reszta testu.

Oczywiście wspaniale. Wróciła do Dworu wykończona, ale dumna z siebie. Nie była jedyną. Reszta jej towarzystwa miała podobne wyrazy twarzy... wszyscy poza Avą Drozdow. Była jedyną, która się złamała i skorzystała z telefonu by zadzwonić po pomoc. Lissa była zaskoczona, że Ava pękła. Po swojej wcześniejszej gadaninie, Marcus Lazar wydawał się najbardziej prawdopodobnym kandydatem do poddania się. Ale nie, starszy mężczyzna jakoś

tego dokonał, co oznaczało, że dalej brał udział w testach na monarchę. Ava unikała nawiązania z kimkolwiek kontaktu wzrokowego, gapiąc się obojętnie w okno podczas podróży powrotnej na Dwór. Nadal posiadała swoje miejsce w Radzie, ale jej szansa na zostanie królową zniknęła.

Lissa współczuła jej, lecz nie mogła się tym za bardzo martwić. Tak działały testy, w taki sposób wyłaniały najlepszych kandydatów. Poza tym Lissa miała swoje własne zmartwienia. Bycie poza domem w trakcie dnia było wbrew wampirzemu harmonogramowi. W tej chwili chciała po prostu wrócić do Dworu, znaleźć swój pokój i spać przez kilka godzin. Chciała trochę spokoju.

Zamiast tego, otrzymała czekający na nią tłum.

Tłumaczenie: Ginger_90

Korekta: Qbac, Diotima

Rozdział dziewiętnasty

VANY ZAPARKOWAŁY w oddalonej części Dworu, więc dostrzeżenie, że cały obszar wypełniony jest przejętymi morojami było dla niej mocno wstrząsające. Strażnicy poruszali się między ludźmi jak duchy, jakby właśnie mieli sesję nominacji, trzymając się rozkazów, tak jak to tylko było możliwe. Tłum nadal okupował drogę, gdy vany próbowały dostać się do garaży i twarze zaglądały do okien, starając się dostrzec kandydatów na monarchę. Lissa wpatrywała się w tłum zaszokowana, prawie bojąc się wyjść na zewnątrz. Ariana posłała jej pocieszający uśmiech.

- To normalne. Oni wszyscy chcą wiedzieć, kto sprostał wyzwaniu, a kto odpadł. *Oni* w szczególności chcą to wiedzieć.

Pochyliła się w kierunku przedniej części vana. Spoglądając przez przednią szybę, Lissa dostrzegła pozostałych sześciu kandydatów. Ponieważ obszar lasu mógł pomieścić tylko tylu ludzi, grupa została podzielona na pół. Reszta kandydatów będzie mieć taki sam test jutro i bez wątplenia byli ciekawi, kto z ich dzisiejszych kandydatów zaliczył.

Lissa była przyzwyczajona do porządku i stosownego zachowania wśród arystokracji, więc była zaskoczona widząc w nich teraz takie przejęcie i rozgorączkowanie. No i oczywiście „zwykli” moroje, którzy przybyli na Dwór, także wmieszali się w tłum. Wszyscy przepychali się, spoglądając nad głowami innych, by dojrzeć co się dzieje. Ludzie wykrzykiwali niektóre z imion kandydatów i szczerze mówiąc byłam trochę zaskoczona, że nie pojawili się z piosenkami i transparentami.

Lissa i jej towarzysze opuścili furgonetkę i spotkali się z falą okrzyków, którymi tętnił tłum. Dość szybko stało się oczywiste, kto sobie poradził, a kto nie. To sprawiło, że tłum krzyczał jeszcze głośniejsze. Lissa stała jak wryta, rozglądając się dookoła i czując się zagubiona. Sensowna dyskusja z przyjaciółmi o ubieganie się o urząd królowej była jedną rzeczą. Nagłe zostanie wepchniętym w to, co te wybory naprawdę oznaczały było kompletnie inną sprawą.

Jej skupienie zostało ograniczona do kilku rzeczy: mojego bezpieczeństwa, znalezienia mordercy i przetrwania testów. Będąc teraz w tłumie, zdała sobie sprawę, że elekcja jest niesamowicie ważna, ważniejsza niż cokolwiek, co mogła sobie wyobrazić. Dla tych ludzi to nie był żart. To nie było oszustwo przekręcające prawo i unieruchamiający je na długi czas. Ich życia w przenośni były na krawędzi. Moroje i dampirey żyły w przeróżnych krajach i przestrzegały prawa, ale byli także posłuszni *temu* rządowi, temu, który wychodził poza Dwór. Sięgał całego świata i dotyczył każdego daimora i moroja, który postanowił zostać w naszym społeczeństwie. Mieliśmy jakieś tam głosowania, tak, ale król lub królowa, kształtowała naszą przyszłość.

Strażnicy nadzorujący tłum, w końcu pozwolili członkom rodzin opuścić zbiorowisko i zabrać swoich kandydatów. Lissa nie miała nikogo. Oboje Janine i Eddie – pomimo wcześniejszych zapewnień – byli chwilowo przydzieleni do wykonywania zadań, które uniemożliwiały im bycie z Lissą 24/7, a oczywiście nie miała rodziny, która by po nią

przyszła. Zagubiona, czuła w tym chaosie jak zaczyna jej się kręcić w głowie, gdyż wciąż była ogłuszona swoim momentem olśnienia. Sprzeczne uczucia prowadziły w niej wojnę. Zwodziły ją, że każdy uważał ją za niegodną, tak, jakby powinna zrezygnować ze swojej kandydatury już teraz. Jednocześnie, nagle chciała zasługiwać na elekcję. Chciała trzymać głowę wysoko i dumnie pokonywać testy, nawet jeśli podjęła się ich mając ukryte motywy.

Wreszcie silna dłoń złapała ją za ramię. Christian.

- Choć, wyjdźmy stąd. – Zaczął ja wyprowadzać, przepychając się przez tłum obserwatorów. – Hej! – zawołał do kilku strażników z peryferii tłumy. – Odrobina pomocy dla księżniczki?

To był pierwszy raz, gdy widziałam go w tak arystokratycznej postawie, rzucającej blaskiem jego pochodzenia. Dla mnie był irytującym, cynicznym Christianem. W społeczeństwie morojów, jako osiemnastolatek z godnie z prawem mógł być tytułowany Lordem Ozerą. Zapomniałam o tym. Ale dwaj strażnicy nie. Pospieszyli w stronę Lissy, pomagając Christianowi rozdzielić tłum. Twarze wokół były niewyraźną plamą, a hałas tępym rykiem. Co jakiś czas coś do niej docierało. Skandowanie jej imienia. Oświadczenia o powrocie smoka, który był symbolem Dragomirów. *To jest prawdziwe*, powtarzała w myślach. *To jest prawdziwe*.

Strażnicy sprawnie przeprowadzili ją przez to wszystko, a potem przez tereny Dworu wprost do jej budynku. Opuścili ją, gdy tylko uznali, że jest bezpieczna, a ona podziękowała im uprzejmie za ich pomoc. Gdy ona i Christian byli w pokoju, nadal ogłuszona opadła na łóżko.

- O mój Boże – powiedziała. – To było szalone.

Christian uśmiechnął się.

- Która część? Twoje przyjęcie powitalne? Czy test sam w sobie? Wyglądasz jakbyś właśnie... cóż nie jestem pewny, co właśnie zrobiłaś.

Lissa szybko przyjrzała się sobie. Podczas podróży do domu, dali jej suche ręczniki, ale jej ubrania wciąż były wilgotne i zmarszczone od wysychania. Jej buty i jeansy był ubłocone, i nawet nie chciała myśleć, jak muszą wyglądać jej włosy.

- Tak, my... – słowa utknęły jej w gardle, ale nie dlatego że nagle zdecydowała mu nie mówić. – Nie mogę powiedzieć – mruknęła. – To naprawdę działa. Zakłęcie mi nie pozwala.
- Jakie zakłęcie? – zapytał.

Lissa podwinęła rękaw i podniosła bandaż, by pokazać mu małe wytatuowany znak na swoim ramieniu.

- To zakłęcie kompulsji, żebym nie mogła mówić o teście. Takie same mają alchemicy.
- Rany – powiedział, naprawdę pod wrażeniem. – Nigdy nie sądziłem, że to naprawdę działa.

- Domyślam się to naprawdę dziwne. Chcę o tym mówić, ale... po prostu nie mogę.
- W porządku – powiedział, odsuwając jej mokre włosy z twarzy. – Zdałaś. Tylko to się liczy. Skup się na tym.
- Jediną rzeczą, na której chcę się teraz skupić, jest prysznic – co jest trochę ironiczne, biorąc pod uwagę jak zmęczona jestem.

Jednak nie ruszyła się z miejsca i zamiast tego, zaczęła wpatrywać się w ścianę.

- Ej – powiedział Christian łagodnie. – Co jest? Tłum cię przeraził?

Obróciła się do niego.

- Nie, i w tym rzecz. To znaczy, oni byli przerażający. Ale właśnie zdałam sobie sprawę... sama nie wiem. Zdałam sobie sprawę, że jestem częścią ważnego procesu, który istnieje –
- Od zarania dziejów? – droczył się Christian, cytując bezsensowne oświadczenie Natana.
- Prawie – odpowiedziała z małym uśmiechem, który szybko zgasł. – To nie jest zgodne z tradycją, Christian. Wybory są istotną częścią naszego społeczeństwa. Zakorzenioną. Możemy mówić o zmianie dekretu wieku, albo walczyć, albo cokolwiek innego, ale to jest starożytne. I ma szeroki zasięg. Widziałeś tych ludzi na zewnątrz? Nie wszyscy są amerykańcami. Pochodzą z innych krajów. Czasami zapominam, że nawet jeśli Dwór jest tutaj, prawa morojów obowiązują wszędzie. To co dzieje się tutaj, dotyka cały świat.
- Do czego zmierzasz? – zapytał.

Była zagubiona w swoich własnych myślach i nie mogła zobaczyć Christiana tak obiektywnie, jak ja mogłam. Znał Lissę. Rozumiał ją i kochał. Ta dwójka była zsynchronizowana podobnie jak ja i Dymitr. Jednakże czasami myśli Lissy wirowały w kierunku, którego nie mógł odgadnąć. Nigdy tego nie przyznał, ale wiedziałam, że część jego miłości brała się stąd, że Lissa – w przeciwieństwie do mnie, gdyż każdy wiedział, że jestem porywcza – zawsze wydawała się obrazem spokoju i racjonalności. A potem robiła coś zupełnie niespodziewanego. Te momenty zachwycały go – ale czasami też przerażały, ponieważ nigdy nie wiedział, jak dużą rolę w jej czynach odgrywa duch. Teraz nastał jeden z takich momentów. Wiedział, że wybory ją stresują i tak jak ja wiedział, że to może wyzwolić najgorsze instynkty.

- Mam zamiar podejść do tych testów na poważnie – powiedziała. – To... to byłoby haniebne, gdybym tego nie zrobiła. Znieważylabym nasze społeczeństwo. Moim głównym celem jest dowiedzieć się, kto wrabia Rose, ale w międzyczasie? Mam zamiar podejść do testów tak jak ktoś, kto zamierza być królową.

Christian zawahał się nim odpowiedział, co było u niego rzadkością.

- Chcesz być królową?

To wyciągnęło Lissę z jej marzycielskiego filozofowania o tradycji i honorze.

- Nie! Oczywiście, że nie! Mam osiemnaście lat. Nie mogę jeszcze nawet pić alkoholu.
- To nigdy cię nie powstrzymało, przed robieniem tego – wytknął, brząc jak swoje zwykłe ja.
- Mówię poważnie! Chcę pójść do college'u. Chcę powrotu Rose. Nie chcę rządzić światem morojów.

Figlarne spojrzenie rozpalilo niebieskie oczy Christiana.

- Wiesz, ciocia Tasza już żartuje jak to rzeczywiście byłabyś lepszą królową od pozostałych, tylko że czasami... nie sądzę żeby żartowała.

Lissa jęknęła i z powrotem wyciągnęła się na łóżku.

- Kocham ją, ale musimy trzymać ją w ryzach. Jeśli ktokolwiek może teraz zmienić prawo, to ona i jej przyjaciele aktywiści.
- Cóż, nie martw się. Rzecz w tym, że jej „przyjaciele aktywiści” mając zbyt wiele spraw do oprostowania, zazwyczaj nie zajmują się więcej niż jedną sprawą na raz. – Christian wyciągnął się obok niej i przyciągnął ją blisko siebie. – Ale jeśli to jest coś warte, to myślę że byłabyś świetną królową, księżniczko Dragomir.
- Ubrudzisz się – ostrzegła.
- Już jestem. Och, miałas na myśli od twoich ubrań? – owinał swoje ramiona dookoła niej, nie dbając o jej wilgoć i ubłocenie. – Spędziłem większość dzieciństwa ukrywając się na zakurzonej strychu i posiadam tylko jedną frakową koszulę. Naprawdę sądzisz, że przejmuję się tą koszulką?

Zaśmiała się i pocałowała go, pozwalając swojemu umysłowi uwolnić się na moment od niepokoju i po prostu poczuć smak jego ust. Biorąc pod uwagę, że byli na łóżku, zastanawiała się, czy to nie czas na mnie. Po kilku sekundach wycofała się i westchnęła z zadowoleniem.

- Wiesz, czasami myślę, że cię kocham.
- Czasami? – zapytał w udawanym oburzeniu. Zmierzyła mu włosy.
- Przez cały czas. Ale muszę podtrzymywać twoje zainteresowanie.
- Więc rozważ jego podtrzymanie.

Przeniósł swoje wargi z powrotem na jej, ale zatrzymał się, gdy rozbrzmiało pukanie do drzwi. Lissa wycofała się z tego „prawie” pocałunku, choć żadne z nich nie przerwało uścisku.

- Nie odpowiadaj – powiedział Christian.

Lissa zmarszczyła brwi, spoglądając w kierunku salonu. Wyślizgnęła się z jego ramion i podeszła do drzwi. Gdy była kilka kroków od nich, kiwnęła wiedząco głową.

- To Adrian.
- Jeszcze większy powód, by nie otwierać – powiedział Christian.

Lissa zignorowała go i otworzyła drzwi, wystarczająco pewna, że to mój beztrojski chłopak. Zza Lissy usłyszałam głos Christiana.

- Masz najgorsze wycucie czasu na świecie.

Adrian przyjrzał się Lissie, a potem przeniósł wzrok na Christiana rozciągniętego na łóżku w dalszej części apartamentu.

- Huh – powiedział Adrian, wpuszczając się do środka. – Więc to w taki sposób zamierzasz rozwiązać problem rodziny. Małe Dragomiry. Dobry pomysł.

Christian wstał i podszedł do nich.

- Taaa, to dokładnie to. Przerwywasz oficjalne interesy Rady.

Adrian był ubrany w typowy dla siebie sposób – jeansy i czarną koszulkę, chociaż sprawiał wrażenie, że wyglądały jak ciuchy od projektantów. Tak naprawdę prawdopodobnie były. Boże. Tęskniłam za nim. Tęskniłam za nimi wszystkimi.

- Co się dzieje? – zapytała Lissa.

Podczas gdy Christian wydawał się uważać wizytę Adriana za prywatną obelgę, Lissa wiedziała, że Adrian nie byłby tu bez dobrego powodu – zwłaszcza o tak wczesnym dla morojów ranku. Pomimo, że prezentował swój normalny leniwy uśmiech, było jakieś podekscytowanie i zniecierpliwienie w jego aurze. Miał wiadomość.

- Mam go – powiedział. – Złapałem go w pułapkę.
- Kogo? – zapytała Lissa zaskoczona.
- Tego idiotę, Blake Lazara.
- Co masz na myśli mówiąc „w pułapce”? – zapytał równie zakłopotany jak Lissa Christian. – Rozłożyłeś pułapkę na niedźwiedzie na kortach tenisowych, czy jak?
- Chciałbym. Skończył w „Płonącej Strzale”. Właśnie kupiłem następną kolejkę, więc wciąż powinien tam być, jeśli się pośpieszymy. Myśli, że wyszedłem na papierosa.

Sądząc po zapachu jaki otaczał Adriana, Lissa miała wrażenie, że Adrian był na papierosie. I prawdopodobnie też zaliczył kilka kolejek.

- Byłeś tak wcześnie w barze?

Adrian wzruszył ramionami.

- Dla ludzi, nie jest wcześnie.
- Ale ty nie jesteś –
- No dalej, kuzynko. – Aura Adriana nie miała stłumionych kolorów, jak aura kogoś kompletnie pijanego, ale tak, definitywnie wypił kilka drinków. – Jeśli ten śliczny chłopak Ambrose ma rację co do ciotki Tatiany, to ten facet może podać nam imiona innych zazdrosnych kobiet.
- Dlaczego sam go o to nie zapytałeś? – spytał Christian.

- Ponieważ to byłoby chore i niewłaściwe, gdybym pytał o życie seksualne swojej ciotki – powiedział Adrian. – Blake będzie bardziej niż szczęśliwy, mogąc porozmawiać z naszą czarującą księżniczką.

Lissa naprawdę chciała pójść do łóżka, ale znalezienie czegokolwiek co by mi pomogło, zaiskrzyło w niej napływem energii.

- Dobra. Pozwól mi przynajmniej zmienić ubranie i uczesać włosy.

Podczas gdy przebierała się w łazience, usłyszała jak Adrian mówi do Christiana.

- Wiesz, twoja koszulka wygląda trochę paskudnie. Wydawałoby się, że mógłbyś włożyć w to odrobinę więcej wysiłku, odkąd spotykasz się z księżniczką.

Piętnaście minut – lub coś w tym stylu – później, cała trójka przemierzała Dwór, idąc do baru ukrytego w budynku administracyjnym. Byłam tam wcześniej i początkowo myślałam, że to dziwne miejsca na umieszczenie baru. Ale po ostatnim okresie służby przy segregowaniu dokumentów, zdecydowałam, że gdyby moim życiem byłaby praca w biurze, prawdopodobnie także chciałbym szybko odstać się do źródła alkoholu.

Bar był słabo oświetlony, dla atmosfery i komfortu morojów. Pomijając żarty Adriana, dla morojów naprawdę było wcześniej i w środku było tylko kilku stałych klientów. Adrian zrobił mały gest w kierunku barmanki. Przypuszczałam, że to był jakiś ustalony znak, ponieważ kobieta natychmiast odwróciła się i zaczęła nalewać drinka.

- Hej, Iwaszkow, gdzieś ty był?

Po kilku chwilach do Lissy i innych dobiegł głos i Lissa spostrzegła samotnego faceta siedzącego przy stole. Gdy Adrian zaprowadził ich bliżej Lissa zauważyła, że facet był młody – coś koło wieku Adriana, z kręconymi czarnymi włosami i świetlisto turkusowymi oczami, jak niedawno noszony przez Abe krawat. To było tak, jakby ktoś wziął zachwycające kolory oczu ich obu – Adriana i Christiana – i zmieszał je. Miał szczupłe umięśnione ciało – tak opalone. Jak jakkolwiek moroj mógł zdołać je opalić – i nawet mając chłopaka, Lissa musiała przyznać, że był gorący.

- Zdobywałem lepiej wyglądające towarzystwo – odpowiedział Adrian, wysuwając krzesło. Moroj zobaczył towarzystwo Adriana i aż podskoczył. Ucisnął dłoń Lissy, pochylił się i pocałował ją.
- Księżniczka Dragomir. To zaszczyt w końcu cię poznać. Patrząc na ciebie z daleka widziałem, że jesteś piękna. Lecz z bliska? Jak bogini.
- To jest – powiedział Adrian efektownie – Blake Lazar.
- Miło cię poznać – powiedziała.

Blake uśmiechnął się promiennie.

- Mogę mówić ci Wasylisa?
- Możesz nazywać mnie Lissą.

- Możesz także – dodał Christian – zabrać od niej swoje ręce.

Blake obejrzał Christiana trzymając rękę Lissy jeszcze kilka chwil, nim ją wypuścił – wyglądając na bardzo dumnego z tych ekstra sekund.

- Ciebie też widziałem. Oзера. Crispin, prawda?
- Christian – poprawiła Lissa.
- Racja – Blake odsunął krzesło, wciąż grając skrajnego dżentelmena.
- Proszę, dołącz do nas. – Nie zaoferował tego Christianowi, który zaszedł mu drogę, by usiąść obok Lissy. – Czego byś się napiła? Na mój koszt.
- Niczego – powiedziała Lissa.

W tym momencie pojawiła się barmanka, przynosząc drinka dla Adriana i kolejnego dla Blake'a.

- Nigdy nie jest za wcześnie. Zapytaj Iwaszkow. Pijesz tak szybko, jak tylko wstajesz z łóżka, racja?
- Trzymam butelkę szkockiej na nocnym stoliku – powiedział Adrian, wciąż utrzymując lekki ton głosu.

Lissa otworzyła oczy na jego aurę. Falowała jasnym złotem, które cechuje każdego użytkownika ducha, wciąż lekko zmacona przez alkohol. Był tam też słaby odcień czerwieni – nie prawdziwy gniew, a wyraźna irytacja. Lissa przypomniała sobie, że ani Adrian, ani Ambrose nie mieli zbyt dobrej opinii o Blake'u.

- Więc co sprowadza tutaj ciebie i Christophera? – zapytał Blake. Skończył szklanekę czegoś bursztynowego i postawił ją obok nowego drinka.
- *Christiana* – powiedział Christian.
- Rozmawialiśmy wcześniej o mojej ciotce – powiedział Adrian.

Znowu udało mu się brzmieć gawędziarsko, ale niezależnie jak bardzo chciał oczyścić moje imię, zagłębianie się w szczegóły morderstwa Tatiany martwiło go.

Uśmiech Blake odrobinę się zmniejszył.

- Jakie to przygnębiające dla was obojga. – To było skierowane do Adriana i Lissy. Christian mógłby równie dobrze nie istnieć. – Przykro mi także z powodu Hathaway – dodał tylko do Lissy.
- Słyszałem jak byłaś tym poruszona. Kto mógł przewidzieć, że tak się stanie?

Lissa zdała sobie sprawę, że odnosił się do tego jak twierdziła, że ją rozzłościłam i zraniłam.

- Cóż – powiedziała gorzko – sędzę, że po prostu nie można znać się na ludziach. Miliony na to wskazywało, ale ja po prostu nie zwróciłam na nie uwagi.
- Ty także musiałeś być zasmucony – powiedział Christian. – Słyszeliśmy, że ty i królowa byliście poniekąd blisko.

Uśmiech Blake wrócił.

- Taa... znaliśmy się całkiem dobrze. Będzie mi jej brakować. Niektórym mogła wydawać się zimna, ale wiercie mi, wiedziała jak się bawić. – Blake rzucił okiem na Adriana – Musiałeś to wiedzieć.
- Nie w taki sposób jak ty – Adrian przerwał, by wziąć łyk swojego własnego napoju. Myślę, że potrzebował go, by pohamować wszystkie opryskliwe uwagi i szczerze, wcale mu nie zazdrościłam. W rzeczywistości podziwiałam jego samokontrolę. Gdybym była na jego miejscu, dawno przywaliłabym Blake'owi w twarz. – Albo Ambrose.

Ładny uśmiech Blake zmienił się w grymas pełen niezadowolenia.

- On? Ta dziwka sprzedająca krew? Nie zasługiwał na przebywanie tam w jej obecności. Nie mogę nawet uwierzyć, że pozwoliła mu zostać na Dworze.
- Właściwie to on myśli, że *ty* zabiłaś królową – dodała pospiesznie Lissa. – Co jest śmieszne, gdyż wszystkie dowody wskazują, że zrobiła to Rose. – To nie były dokładne słowa Ambrose'go, ale chciała sprawdzić, czy to wywoła reakcję. Wywołało.
- Że *co* on myśli? – Tak. Definitywnie żadnego uśmiechu. Bez niego, nagle Blake przestał wyglądać tak dobrze jak przedtem. – A to kłamliwy łajdak! Mam alibi i on o tym wie. Jest po prostu wkurwiony, bo mnie lubił bardziej.
- Więc dlaczego go przy sobie trzymała? – zapytał Christian z niemal anielską twarzą. – Nie wystarczałaś jej?

Blake rzucił mu gniewne spojrzenie, kończąc nowego drinka niemal jednym łykiem. Prawie jak za pomocą czarów, barmanka pojawiła się z kolejnym. Blake podziękował kiwnąwszy głową nim zaczął kontynuować.

- Och, byłem bardziej niż wystarczający. Więcej niż wystarczający dla tuzina kobiet, ale *nie oszukiwałem* na boku, tak jak on.

Przy każdej wzmiance o życiu seksualnym Tatiany, wyraz twarzy Adriana, wydawał się coraz bardziej napełniać bólem. Jednak wciąż grał swoją rolę.

- Przypuszczam, że mówisz o innych dziewczynach Ambrosego.
- Tak, ale „dziewczyna” to dość ekstremalne określenie. Wszystkie były starsze i tak szczerze, uważam, że mu płaciły. Nie żeby twoja mama musiała komukolwiek płacić – dodał Blake. – Mam na myśli, że wciąż jest całkiem gorąca. Ale wiesz, ona tak naprawdę nie mogłaby być z nim w żaden realny sposób.

Wydawało się, że zrozumienie aluzji robionej przez Blake'a zajęło im kilka sekund. Adrian pierwszy ją załapał.

- *Coś* ty właśnie powiedział?
- Och – Blake wydawał się słusznie zdziwiony, ale ciężko było powiedzieć, czy tylko udaje. – Myślałem, że wiesz. Twoja mama i Ambrose... cóż kto mógłby ją winić. Z twoim ojcem? Ale tak między nami, mogła wybrać lepiej. – Ton Blake dokładnie

sugerował, kto mógłby być lepszym wyborem dla Daniela.

W wizji Lissy, aura Adriana zapłonęła czerwienią.

- Ty sukinsynie! – Adrian nie był typem lubiącym bijatyki, ale zawsze musi być ten pierwszy raz – i Blake wziął to na poważnie. – Moja mama *nie* zdradza mojego ojca. A nawet jeśli by to robiła... jestem pewny jak cholera, że nie musiałaby za to płacić.

Blake nie wydawał się speszony, ale może sprawy mogły potoczyć się inaczej, gdyby Adrian naprawdę go uderzył. Lissa położyła rękę na ramieniu Adriana i ścisnęła je lekko.

- Spokojnie – wymruczała.

Poczułam drobne mrowienie uspokajającej kompulsji. Adrian rozpoznał to natychmiast i wyrwał jej swoje ramię, posyłając jej spojrzenie, które mówiło, że nie docenia jej pomocy.

- Myślałem, że nie lubisz swojego taty – powiedział Blake, całkowicie nieświadomy, że jego nowiny *mogą* wywołać złość. – Poza tym, nie wkurzaj się na mnie. *Nie* spałem z nią. Tylko mówię ci, co słyszałem. Tak jak powiedziałem, jeśli chcesz oczerniać przypadkowych ludzi, lepiej szukaj takich jak Ambrose.

Lissa wtrąciła się, powstrzymując Adriana przed powiedzeniem czegokolwiek.

- Jak wiele kobiet? Wiesz z kim jeszcze był związany?
- Z trzema innymi – Blake odhaczał imiona na swojej ręce. – Marta Drozdow i Mirabel Conta. Czekał. To dwie. Biorąc jeszcze Danielę to razem były trzy. Królowa była czwarta. Tak, cztery.

Lissa nie zawracała sobie głowy brakiem umiejętności matematycznych Blake'a, chociaż to potwierdzałoby poprzednie twierdzenie Adriana o „idiocie”. Marta Drozdow, mimo swego podeszłego wieku, była arystokratką częściowo znaną ze swoich podróży po świecie. W opinii Lissy, Marta ledwie była w USA w ciągu roku, nie wspominając już o Dworze. Nie wydawała się wystarczająco zainteresowana zabiciem Tatiany. A co do Mirabel Conty... miała zupełnie inną opinię. Była znana z sypiania z kilkoma facetami na Dworze, choć była zamężna. Lissa nie znała jej dobrze, ale Mirabel nigdy nie wydawała się być zainteresowana tylko jednym facetem.

- Sypianie z innymi kobietami, tak naprawdę nie dawało mu motywu do zabicia królowej – wskazała Lissa.
- Nie – zgodził się Blake. – Jak mówiłem, jest pewne, że zrobiła to ta dziewczyna, Hathaway – zrobił pauzę. – Cholerna szkoda. Jest całkiem gorąca. Boże, takie ciało. W każdym razie, jeśli Ambrose ją zabił, zrobił to, bo był zazdrosny o mnie. Tatiana bardziej mnie lubiła. Nie dlatego co robił z tymi innymi kobietami.
- Dlaczego Ambrose nie zabił po prostu ciebie? – zapytał Christian. – To ma więcej sensu.

Blake nie miał szansy odpowiedzieć, ponieważ Adrian wrócił do wcześniejszego tematu. Jego oczy błyszczały gniewem.

- Moja mama nie sypia z nikim. Ona nie sypia nawet z moim ojcem.

Blake kontynuował mówienie dalej będąc na swój sposób nieświadomym.

- Hej, widziałem ich. Oboje się do siebie kleili. Czy wspominałem już jak gorąca jest twoja –
- Przestań! – ostrzegła Lissa – To nie jest pomocne.

Adrian ścisnął swoją szklanę.

- Nic z tego nie jest pomocne! – Najwyraźniej rzeczy nie szły po jego myśli jak na to liczył, gdy wyciągnął Lissę i Christiana z jej pokoju. – Nie zamierzam tu siedzieć i słuchać tych bzdur.

Adrian dopił swojego drinka, poderwał się z krzesła i gwałtowni obrócił się w stronę drzwi. Zanim wyszedł rzucił na bar gotówkę.

- Biedny facet – powiedział Blake. Wrócił do swojego spokojnego i aroganckiego sposobu bycia. – To dla niego zbyt wiele: ciotka, matka i dziewczyna morderczyni. I to właśnie dlatego nie można ufać kobietom. – Puścił oko do Lissy – Z wyjątkiem tu obecnych, oczywiście.

Lissa czuła się równie zniesmaczona co Adrian i jedno spojrzenie na pochmurną twarz Christiana pokazało, że on czuje podobnie. Nadszedł czas by wyjść, albo ktoś naprawdę zdzieli Blake pięścią.

- Miło się z tobą gawędziło, ale musimy już iść.

Blake zrobił oczy szczeniaczka.

- Przecież dopiero przyszłaś! Miałem nadzieję, że poznamy się lepiej. – I bez mówienia to było jasne. – Och, z Kreskinem też.

Christian nawet nie zwracał sobie głowy by znów go poprawić. Po prostu wziął Lissę za rękę.

- Musimy iść.
- Tak – zgodziła się Lissa.

Blake wzruszył ramionami i machnął prosząc o kolejnego drinka.

- Cóż, jeśli kiedyś naprawdę będziesz chciała doświadczyć prawdziwego świata, znajdź mnie.

Christian i Lissa zmierzali do drzwi. Christian wymamrotał:

- Naprawdę mam nadzieję, że ta ostatnia część była skierowana do ciebie, nie mnie.
- To nie jest świat, który chciałabym poznać – powiedziała Lissa krzywiąc się. Zatrzymali się na zewnątrz, Lissa rozejrzała się dookoła, na wypadek, gdyby Adrian nie odszedł. Nie. Odszedł i ona go za to nie winiła. – Widzę teraz dlaczego Ambrose i Adrian go nie lubią. Jest takim...
- Dupkiem? – podsunął Christian. Zwrócili się w stronę jej budynku.
- Tak przypuszczam.
- Wystarczającym, by dokonać morderstwa?
- Szczerze? Nie. – Lissa westchnęła. – W pewnym sensie zgadzam się z Ambrose... Nie sądzę by Blake był wystarczająco bystry, by być mordercą. Albo, że te motywy są wystarczające. Patrząc na aury nie mogę stwierdzić czy ktoś kłamie czy nie, ale jego nie pokazywała niczego bliskiego kręactwu. Zażartowałaś wtedy, ale jeśli ktoś miałby popełnić morderstwo z zazdrości, to dlaczego faceci nie pozabijali się na wzajem? To o wiele łatwiejsze.
- Obaj mieli łatwy dostęp do Tatiany – przypomniał jej Christian.
- Wiem. Jeśli jednak były z tym związane miłość i seks... wygląda na to, jakby ktoś był zazdrosny o królową. Kobieta.

Między nimi zawisło długie, wymowne milczenie. Żadne nie chciało powiedzieć tego, o czym oboje prawdopodobnie myśleli. W końcu Christian przerwał ciszę.

- Jak Daniela Iwaszkow?

Lissa potrząsnęła głową.

- Nie mogę w to uwierzyć. Nie wydaje się do tego zdolna.
- Mordercy nigdy nie wydają się do tego zdolni. To dlatego wykręcają się od kary.
- Studiowałaś kryminologię, czy jak?
- Nie. – Doszli do frontowych drzwi budynku i Christian otworzył je dla Lissy. – Tylko poskładałem kilka faktów. Wiemy, że matka Adriana nie lubiła Tatiany z osobistych powodów. A teraz dowiadujemy się, że dzieliły się jednym facetem.
- Ma alibi – powiedział Lissa lodowato.
- Każdy ma alibi – przypomniał jej. – I jak już wiemy, można za nie zapłacić. W rzeczywistości Daniela zapłaciła za jedno.
- Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Nie bez większej ilości dowodów. Ambrose przysięgał, że powód był bardziej polityczny niż osobisty.
- Ambrose nadal nie jest skreślony z listy.

Doszli do pokoju Lissy.

- To trudniejsze, niż się spodziewałam, że będzie.

Weszli do środka i Christian objął ją ramionami.

- Wiem. Ale zrobimy to razem. Coś wykombinujemy. Choć... być może lepiej będzie jeśli zatrzymamy część rzeczy dla siebie. Może przesadzam w tym momencie, ale

myślę, że najlepiej byłoby, gdybyśmy nie mówili Adrianowi, że jego mama miała doskonały motyw zabicia jego ciotki.

- Tak myślisz? – Oparła głowę na jego klatce piersiowej i ziewnęła.
- Czas na drzemkę – powiedział Christian, prowadząc ją w kierunku łóżka.
- Wciąż potrzebuję prysznicu.
- Najpierw sen. Prysznic później. – Podniósł nakrycie – Śpię z tobą.
- Śpisz czy *śpisz*? – zapytała oschle, wślizgując się z wdzięcznością do łóżka.
- Naprawdę śpię. Potrzebujesz tego. – Wczołgał się na miejsce obok niej i wygiął się, opierając twarz o jej ramię. – Oczywiście, jeśli później będziesz chciała przeprowadzić jakiegokolwiek oficjalne interesy Rady...
- Przysięgam, że jeśli powiesz 'małe Dragomiry' to śpisz na korytarzu.

Jestem pewna, że Christian miał na ustach jakąś swoją opatentowaną ripostę, ale kolejne pukanie do drzwi kazało mu się zamknąć. Spojrzał w górę w irytacji.

- Nie odpowiadaj. Tym razem naprawdę.

Ale Lissa nie mogła sobie pomóc. Wysunęła się z jego uścisku i wypełzła z łóżka.

- To nie Adrian...
- W takim razie, to na pewno nic ważnego – powiedział Christian.
- Tego nie wiemy. – Ruszyła się i otworzyła drzwi, ujawniając – moją matkę.

Janine Hathaway weszła do pokoju równie niedbale jak Adrian, a jej przenikliwe oczy przeszukiwały otoczenie w poszukiwaniu zagrożenia.

- Przepraszam, że mnie nie było – powiedziała do Lissy – Eddie i ja chcieliśmy wprowadzić system zmian, ale oboje wcześniej zostaliśmy pociągnięci do obowiązków. – Rzuciła okiem na łóżko, w którym był Christian, ale będąc kim była, doszła do pragmatycznych wniosków, nie romantycznych. – Dokładnie na czas. Spodziewałam się, że będziesz spać po teście. Spokojnie, będę pilnować i upewnię się, że nic się nie stanie.

Christian i Lissa wymienili ponure spojrzenia.

- Dziękuję – powiedziała Lissa.

Tłumaczenie: Czarna_wilczyca

Korekta: Diotima

Rozdział dwudziesty

- POWINNAŚ SIĘ PRZESPACĆ.

Cichy głos Sydney niemal sprawił, że wyskoczyłam ze skóry, udowadniając, że nawet podczas przebywania w umyśle Lissy, wciąż pozostawałam czujna. Powróciłam do ciemnego salonu Sonii. Wszystko było ciche i spokojne, poza Sydney.

- Wyglądasz jak chodzący trup³¹ – kontynuowała – I nie mówię tego lekko.
- Muszę stać na warcie – powiedziałam.
- Ja postoję. Ty się prześpij.
- Nie jesteś tak wytrenowana jak ja – wytknęłam. – Możesz coś przeoczyć.
- Nawet ja nie przegapiłabym strygi dobijających się do drzwi – odpowiedziała. – Słuchaj, wiem że jesteście twardzi. Nie musisz mnie przekonywać. Ale mam przeczucie, że sprawy staną się trudniejsze i nie chcę, żebyś zemdląła w jakimś decydującym momencie. Jeśli teraz się prześpisz, będziesz mogła potem zastąpić Dymitra.

Jedynie wzmianka o Dymitrze, sprawiła, że się poddałam. Ostatecznie *będziemy* musieli się na wzajem zmieniać. Tak więc, niechętnie wczółgałam się na posłanie Sydney mieszczące się na podłodze, dając jej wszelkie instrukcje, na co powinna mieć oko. Zasnęłam prawie natychmiast i obudziłam się, gdy tylko usłyszałam dźwięk zamykanych drzwi.

Natychmiast usiadłam prosto, oczekując że zobaczę strygi wyłamujące drzwi. Zamiast tego zobaczyłam światło dzienne sączące się przez okna i Sydney patrzącą na mnie z rozbawieniem. W salonie, Robert siedział na kanapie, pocierając oczy. Wiktora nie było. Odwróciłam się zaniepokojona do Sydney.

- Jest w łazience – powiedziała uprzedzając moje pytanie.

To był dźwięk, który słyszałam. Westchnęłam z ulgą i wstałam, zaskoczona jak nawet kilka godzin snu potrafiło mnie wzmocnić. Gdybym jeszcze tylko miała jedzenie, byłabym gotowa na wszystko. Sonia oczywiście żadnego nie miała, ale zadowoliliam się szklanką wody w kuchni. Podczas gdy stałam tam pijąc, zauważyłam że bracia Daszkow czują się jak w domu: płaszcze wiszące na wieszakach, kluczyki do samochodu na ladzie. Po cichu zwinęłam klucze i przywołałam Sydney. Podeszła, a ja wsunęłam jej klucze, starając się nie pozwolić im grzechotać.

- Nadal znasz się na samochodach? – wymamrotałam. Jednym ostrym spojrzeniem dała mi do zrozumienia, że to pytanie było śmieszne i obraźliwe. – Dobra. Mogłabyś pojechać do spożywczego? Będziemy potrzebować jedzenia. I może w drodze powrotnej mogłabyś... hm... upewnić się, że ich samochód ma kłopoty z silnikiem, albo coś takiego. Cokolwiek, co ich tutaj zatrzyma. Ale nie coś oczywistego, jak przedziurawione opony.

³¹ W oryginale: *chodząca śmierć* – przyp. Ginger

Włożyła klucze do kieszeni.

- Spokojnie. Jakies szczególne życzenia co do żywności?

Zastanowiłam się nad tym.

- Coś z cukrem. I kawa dla Dymitra.
- Kawa jest oczywista – powiedziała.

Wiktor wszedł do kuchni, jego typowy obojętny wyraz twarzy spowodował, iż pomyślałam, że nie słyszał moich instrukcji dla Sydney, dotyczących uszkodzenia jego samochodu.

- Sydney jedzie do spożywczego – powiedziałam, mając nadzieję rozproszyć go, nim zauważy zniknięcie kluczyków. – Potrzebujesz czegoś?
- Karmiciel byłby miły, ale pomijając to, Robert wyjątkowo lubi Cheerios. O smaku jabłkowo cynamonowym. – Uśmiechnął się do Sydney. – Nigdy nie sądziłem, że doczekam dnia, gdy alchemiczka będzie dziewczyną na posyłki. To czarujące.

Sydney otworzyła usta, bez wątpienia, by zrobić jakiś kąśliwy komentarz, ale szybko potrząsnęłam głową.

- Po prostu jedź – powiedziałam.

Wyszła, a Wiktor szybko wrócił do Roberta. Przekonana, że bracia nie pojedą nigdzie w pełnym świetle dnia bez samochodu, zdecydowałam, że czas najwyższy by sprawdzić co z Dymitrem. Ku mojemu zdziwieniu Sonia nie spała. Siedzieli po turecku na łóżku i rozmawiali we dwoje przyciszonymi głosami. Jej włosy były potargane zarówno od snu jak i walki, lecz poza tym nie widać było żadnych zranień, ani stłuczeń odniesionych w walce. Dymitr był taki sam po swojej transformacji, unikając strasznych poparzeń. Moc uwolnienia strzyg, uleczyła wszystkie urazy. Pomiedzy moimi obtartymi nogami i domniemanym wstrząsem mózgu, też poniekąd chciałam, by ktoś odmienił mnie z bycia strzygą.

Sonia odwróciła się od Dymitra, gdy weszłam. Pasma emocji przecięło jej twarz. Strach. Zdziwienie. Rozpoznanie.

- Rose? – W jej słowie było wahanie, jakby zastanawiała się, czy nie jestem halucynacją.

Zmusiłam się do uśmiechu.

- Miło cię znowu widzieć – postanowiłam nie dodawać: „Teraz, kiedy nie próbujesz wyssać ze mnie życia”.

Spuściła wzrok na swoje ręce, studiując swoje palce jakby były magiczne i cudowne. Oczywiście po byciu potworem, być może posiadanie jej 'starych rąk' z powrotem naprawdę było cudem. Drugiego dnia po przemianie, Dymitr wydawał się bardzo kruchy, ale z pewnością był wtedy w szoku. Popadał, również w coraz większą depresję. Czy z nią, też to się działo? A może chciała zmienić się ponownie, tak jak sugerował Wiktor?

Nie wiedziałam co powiedzieć. To wszystko było dziwne i krępujące.

- Sydney pojechała do spożywczego – powiedziałam Dymitrowi bez przekonania. – Czuwała wczoraj, żebym mogła się przespać.
- Wiem – powiedział delikatnie się uśmiechając. – Wstałem raz by sprawdzić co u ciebie.

Poczułam jak się czerwienię. W jakiś sposób zawstydzalo mnie to, że zostałam przyłapana w chwili słabości.

- Ty też powinienes odpocząć – powiedziałam mu. – Zjeść jakieś śniadanie, gdy ja będę mieć na wszystko oko. Wiem z pewnego źródła, że Wiktor będzie mieć problemy z samochodem. A ponadto Robert naprawdę lubi Cheerios, więc jeśli chciałbyś trochę, to masz pecha. Nie wygląda na kogoś, kto by się podzielił.

Uśmiech Dymitra się poszerzył. Sonia nagle podniosła głowę.

- Jest tu jeszcze inny użytkownik ducha – powiedziała rozgorączkowanym głosem – Mogę to wyczuć. Pamiętam go. – Popatrzyła na mnie i Dymitra. – To nie jest bezpieczne. My nie jesteśmy bezpieczni. Nie powinniście trzymać nas w pobliżu siebie.
- Wszystko w porządku – powiedział niesamowicie łagodnym głosem Dymitr. Ten ton był dla niego rzadki, ale słyszałam go wcześniej. Użył go na mnie, w jednym z moich najbardziej beznadziejnych momentów. – Nie przejmuj się.

Sonia potrząsnęła głową.

- Nie. Nie rozumiesz. Jesteśmy... jesteśmy zdolni do okropnych rzeczy. Dla siebie na wzajem, dla innych. Dlatego się zmieniałam, by powstrzymać szaleństwo. I zrobiłam to, tyle że... to było jeszcze gorsze. Rzeczy, które robiłam...

To były takie same wyrzuty sumienia, jakie miał Dymitr. Na wpół przestraszona, że zacznie jej mówić, iż dla niej również nie ma odkupienia, odezwałam się.

- To nie byłaś ty. Byłaś kontrolowana przez coś innego.

Ukryła twarz w dłoniach.

- Ale ja to wybrałam. *Ja*. Ja sprawiłam, że to się stało.
- To był duch – powiedziałam. – Ciężko z nim walczyć. Tak jak powiedziałaś, może zmusić cię do robienia strasznych rzeczy. Nie myślałaś jasno. Lissa zмага się z tym cały czas.
- Wasylisa? – Sonia podniosła oczy i zapatrzyła się w przestrzeń. Myślę, że przekopywała się przez wspomnienia. Właściwie, pomimo jej chaotyczności, nie sądziłam by była całkiem zrównoważona, tak jak przed przemianą w strzygę. Słyszeliśmy, że leczenie może zmniejszać szaleństwo ducha i sądziłam, że transformacja dokonana przez Roberta, na razie rozjaśniła odrobinę obecną w niej

ciemność. – Tak, oczywiście. Wasylisa, też to ma. – Odwróciła się do mnie spanikowana. – Pomagasz jej? Zabierasz to od niej?

- Tak, robię to – starałam się naśladować łagodność Dymitra. Lissa i ja znalazłyśmy się poza Św. Władimirem częściowo z powodu ostrzeżeń Sonii. – Odeszłyśmy, a potem wróciłyśmy, uch, zatrzymaliśmy to co na nią polowało. – Nie sądziłam, żeby dobrym pomysłem było pozwolenie Sonii by dowiedziała się, że to co – lub raczej kto – ścigał Lisę, teraz siedzi w salonie. Zrobiłam krok do przodu. – I ty też możesz pomóc Lissie. Musimy wiedzieć czy–
- Nie – powiedział Dymitr. Nie było żadnej łagodności w ostrzegającym spojrzeniu, jakie mi posłał. – Jeszcze nie.
- Ale–
- *Jeszcze nie.*

Rzuciłam mu gniewne spojrzenie, ale nie powiedziałam nic więcej. Z całego serca popierałam rekonwalescencję Sonii, ale nie mieliśmy wieczności. Zegar tykał, a my musieliśmy odkryć co wie Sonia. Czułam, że Dymitr mógłby dać nam takie informacje zaraz po tym jak został z powrotem przemieniony. Oczywiście on wcześniej nie był szalony, więc tak jakby był w zupełnie innej bajce. Jednakże nie mogliśmy wiecznie bawić się w dom w Kentucky.

- Czy mogę zobaczyć moje kwiaty? – zapytała Sonia. – Mogę wyjść na zewnątrz i zobaczyć moje kwiaty?

Dymitr i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Oczywiście – powiedział. Wszyscy ruszyliśmy w kierunku drzwi i wtedy musiałam zapytać.
- Dlaczego hodowałaś kwiaty będąc... tym czym byłaś?

Zatrzymała się.

- Zawsze hodowałam kwiaty.
- Wiem, pamiętam. Były cudowne. Te też są cudowne. Czy to dlatego... że nawet jako strzyga chciałaś mieć ładny ogród? – Pytanie było nieoczekiwane i wydawało się ją zaskoczyć. Chciałam się już pogodzić z brakiem odpowiedzi, gdy wreszcie się odezwała.
- Nie. Nigdy nie myślałam o pięknie. To było... nie wiem. Coś do zrobienia. Zawsze hodowałam kwiaty. Musiałam sprawdzić, czy wciąż potrafię. To było jak... test moich umiejętności. Tak myślę.

Moje oczy ponownie spotkały się z oczami Dymitra. A zatem piękno nie było częścią jej świata. To było tak jak mu powiedziałam. Strzygi ciągle były aroganckie i wyglądało na to, że kwiaty były po prostu sposobem pokazania zdolności. Hodowanie ich było po prostu znajomym zajęciem. Przypomniałam sobie, jak Dymitr czytał *Westerny* będąc strzygą. Bycie strzygą kosztowało niektórych utratę poczucia dobra i moralności, ale stare zachowania i hobby pozostawały.

Wprowadziliśmy ją do salonu, przerywając rozmowę Wiktora i Roberta. Sonia i Robert zamarli, oceniając siebie nawzajem. Wiktor posłał nam jeden z tych swoich wszechwiedzących uśmiechów.

- Znowu na nogach. Czy wiemy już to czego nam trzeba?

Dymitr obrzucił go spojrzeniem podobnym, do tego, które ja dostałam, gdy wspomniałam o przesłuchaniu.

- Jeszcze nie.

Sonia przesunęła wzrokiem po Robercie i ruszyła szybko w kierunku drzwi do patio, zatrzymując się, gdy ujrzała nasze byle jakie próby załatania ich.

- Zniszczyliście mi drzwi – powiedziała.
- Straty wojenne – powiedziałam.

Sądzę, że na peryferiach wzroku dostrzegłam, jak Dymitr przewrócił oczami.

Nie potrzebując od nas żadnych wskazówek, Sonia otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Gwałtownie wciągnęła powietrze i zapatrzyła się do góry. Niebo było perfekcyjne, bezchmurnie błękitne, a słońce właśnie przekraczało horyzont, rozświetlając wszystko złotymi promieniami. Też wyszłam na zewnątrz, czując ciepło słońca na skórze. Pozostało trochę nocnego chłodu, ale czekał nas gorący dzień.

Wszyscy pozostali też wyszli, ale Sonia nie była tego świadoma. Uniosła ręce do góry, tak jakby mogła złapać słońce i może nawet owinać je dookoła ramion.

- Jest tak pięknie. – Odwróciła się w końcu i spojrzała mi w oczy. – Nieprawdaż? Czy kiedykolwiek widziałas coś tak pięknego?
- Pięknie – powtórzyłam. Z jakiegoś powodu czułam się jednocześnie szczęśliwa i smutna.

Sonia spacerowała wokół swojego ogrodu, oglądając każdą roślinkę i kwiat. Dotykała płatków i wdychała ich zapach.

- Tak inne... – kontynuowała mówienie do siebie. – Tak inne w słońcu... – Zwłaszcza kilka zwróciło jej uwagę. – Te nie otwierają się nocą! Widzisz to? Widzisz te kolory? Możesz to poczuć?

Pytania nie były kierowane do nikogo konkretnego. Przyglądaliśmy się jej wszyscy jak zahipnotyzowani. W końcu usiadła na krześle stojącym na patio, radośnie rozglądając się dookoła, zagubiona w nadmiarze uczuć – w tym pięknie, które było dla niej ukryte gdy była strzygą. Gdy stało się oczywiste, że nie zamierza się stąd ruszać, odwróciłam się do Dymitra i powtórzyłam radę Sydney, by spróbował się przespać gdy będziemy czekać, aż Sonia stanie się sobą. Ku mojemu zaskoczeniu, tym razem się zgodził.

- To rozsądne. Gdy Sonia będzie w stanie mówić, będziemy musieli wyjechać –

- uśmiechnął się. – Sydney zamienia się w mistrza strategii.
- Ej, ona tu nie dowodzi – dokuczałam – Jest tylko żołnierzem.
 - Racja. – Delikatnie przejechał palcami po moim policzku. – Wybacz, kapitanie.
 - Generale – poprawiłam go, łapiąc oddech na ten krótki dotyk.

Zanim zniknął we wnętrzu domu, pożegnał się z Sonią. Kiwnęła głową, ale nie byłam pewna, czy naprawdę go słyszała. Wiktor i Robert wystawili dwa drewniane kuchenne krzesła i ustawili je w cieniu. Ja wybrałam miejsce na ziemi. Nikt się nie odzywał. To nie była najdziwniejsza rzecz jaką kiedykolwiek przeżyłam, ale była dziwna.

Niedługo później Sydney wróciła z zakupami, a ja szybko opuściłam grupę by sprawdzić co u niej. Kluczyki Wiktora ponownie leżały na ladzie, co uznałam za dobry znak. Sydney wyładowała cały asortyment jedzenia i podała mi pudełko z tuzinem pączków.

- Mama nadzieję, że tyle ci wystarczy – skomentowała.

Zrobiłam minę na jej przepuszczenie, ale i tak zjadłam pączki.

- Wyjdź na zewnątrz jak skończysz – powiedziałam jej. – To jest jak grill potępieńców. Z wyjątkiem tego że... nie ma grilla.³²

Wyglądała na zdziwioną, ale gdy po pewnym czasie do nas dołączyła, wydawała się załapać co powiedziałam. Robert dostał miskę Cheerios, ale ani Sydney, ani Wiktor nie jedli. Podałam Soni pączka, który był pierwszą rzeczą, która odwróciła jej uwagę od ogrodu. Trzymała go w palcach, obracając bez końca.

- Nie wiem, czy mogę. Nie wiem czy mogę go zjeść.
- Oczywiście, że możesz. – Przypomniałam sobie, że Dymitr również niepewnie patrzył na jedzenie. – Jest polany czekoladą. Dobra rzecz.

Wzięła niepewny, mysiej³³ wielkości gryz i przeżuwała go milion razy, aż w końcu przełknęła. Zamknęła na chwilę oczy i westchnęła.

- Tyle słodczy.

Powoli kontynuowała robienie małych gryzów. Zjedzenie połowy pączka zajęło jej wieczność i w tym momencie się zatrzymała. Ja przez ten czas pochłonęłam trzy pączki i moja niecierpliwość zaczynała narastać. Część niej nadal była spowodowana drażliwością przez ducha, a częścią był mój ciągły niepokój w związku z niemożnością pomocy Lissie.

- Soniu – odezwałam się uprzejmie, w pełni świadoma tego, jak wkurzony będzie na mnie Dymitr za zignorowanie jego poleceń. – Chcemy z tobą o czymś porozmawiać.

³² przypomina mi się pewien tekst: „*wędzone jajeczka raz poproszę!*”:D – przyp. Ginger; Mogło to też oznaczać grillowanie potępieńców, czy jakieś inne coś, co miała na myśli Pani Mead, ale w szczególności żadna z nas nie wnika.

³³ W oryginale: *króliczej* – przyp. Ginger

- Mm–hmm – powiedziała, wpatrując się w pszczoły krążące wokół niektórych wiciokrzewów. Czy jest z tobą spokrewniony ktoś... kto, uch, jakiś czas temu miał dziecko...?
- Jasne – powiedziała. Jedna z pszczoł przeleciała z wiciokrzewu do róży, a Sonia nigdy nie odwróciła od niej wzroku. – Mnóstwo osób.
- Jasno się wysławiaj, Rosemarie – zauważył Wiktor. – Bardzo jasno.

Przygryzłam wargę, wiedząc że wybuch zdenerwuje Sonię. I prawdopodobnie Roberta też.

- To było sekretne dziecko – powiedziałam do niej. – Jesteś beneficjentem na koncie, które zapewniało dziecku środki... koncie, na które pieniądze wpłacał Eric Dragomir.

Głowa Soni szybko się do mnie odwróciła. W jej niebieskich oczach nie było już marzycielskiego roztargnienia. Minęło kilka sekund zanim przemówiła. Jej głos był zimny i twardy – nie taki jak strzygi, ale zdecydowanie *nieprzyjazny*.

- Nie. Nic nie wiem na ten temat.
- Kłamie – powiedział Robert.
- Nie potrzebuję żadnych mocy, żeby się tego domyśleć – rzuciła z drwiną Sydney.

Zignorowałam ich oboje.

- Soniu, wiemy, że ty wiesz. To naprawdę ważne, żebyśmy znaleźli tą dziecinę... er, dziecko. Osobę. – Zgadywaliśmy jej wiek, ale nie byliśmy na 100% pewni. – Powiedziałas wcześniej, że martwisz się o Lissę. To jej pomoże. Ona *musi* wiedzieć. Musi wiedzieć, że ma jeszcze jednego członka rodziny.

Sonia z powrotem zwróciła swoją uwagę na pszczoły, ale wiedziałam, że nie obserwuje ich dłużej.

- Nic nie wiem.

W jej głosie było drzenie i coś mi mówiło, że być może nie powinnam tego dalej drążyć. Nie mogłam stwierdzić czy bała się, czy też była na granicy wściekłości.

- To dlaczego zostałam wpisana do konta? – To przyszło od Wiktora.
- Nic nie wiem – powtórzyła. Jej głos mógł sprawić, że z ozdobnych drzew mogły się zrobić sople. – Nic.
- Przestań kłamać – rzucił ostrym tonem Wiktor. – Wiesz coś i nam to powiesz.
- Hej! – zawołałam. – Nie masz prawa prowadzić tego przesłuchania.
- Nie wygląda na to, żebyś radziła sobie najlepiej.

- Po prostu się zamknij, okej? – Z powrotem spojrzałam na Sonię, zastępując moje pionujące spojrzenie uśmiechem. – Proszę – błagałam. – Lissa ma kłopoty. To jej pomoże. Myślałam, że powiedziałaś wcześniej, że chcesz jej pomóc?
- Obiecałam... – powiedziała Sonia. Jej głos był tak cichy, że ledwo to usłyszałam.
- Co obiecałaś? – spytałam.

Cierpliwości, cierpliwości. Musiałam zachować spokój. Nie chciałam ryzykować niepowodzenia. Ścisnęła swoje oczy zamykając je i gwałtownie przejechała ręką po włosach, prawie jak dziecko, które za chwilę ma dostać furii.

- Obiecałam nie mówić. Nie mówić nikomu...

Miałam ochotę podbiec do niej i nią potrząsnąć. *Cierpliwości, cierpliwości*, powtarzałam sobie. *Nie rozdrażnij jej*.

- Nie prosilibyśmy cię o złamanie obietnicy, gdyby to nie było ważne. Może... może mogłabyś nawiązać kontakt z tą osobą... – Komu obiecała? Kochance Erica? – I dowiedziała się czy powiedzenie nam tego jest w porządku?
- Och, na litość boską – powiedział z irytacją Wiktor. – To jest śmieszne i nigdzie nas nie zaprowadzi. – Rzucił okiem na swojego brata. – Robert?

Robert za wiele dzisiaj nie zrobił, ale na polecenie Wiktora pochylił się do przodu.

- Soniu? – Nadal wyraźnie zrozpaczona, odwróciła się by na niego spojrzeć... i jej twarz stała się spokojna. – Powiedz nam co musimy wiedzieć – powiedział Robert. Jego głos nie był tak uprzejmy jak gładki i senny, z lekko złowieszczą nutką. – Powiedz nam kim jest i gdzie jest to dziecko. Powiedz nam kim jest jego matka.

Tym razem podskoczyłam na własne nogi. Robert używał na niej kompulsji, by dostać odpowiedzi. Oczy Soni były na nim zamknięte, ale jej ciało zaczęło się trząść. Jej wargi się rozwarły, ale nie wyszedł z nich żaden dźwięk. W moim umyśle zawirowała płatanina myśli. Kompulsja mogła nam dać to, czego potrzebowaliśmy, ale coś mi mówiło, że to było nieuczciwe by-

Sonia powstrzymała mnie od jakichkolwiek dalszych rozważań. Poderwała się w górę prawie tak szybko jak ja. Dalej wpatrywała się w Roberta, ale już nie w ten sparaliżowany, zahipnotyzowany sposób. Przełamała kompulsję i teraz... była wkurzona. (według mojego słownika była „urżnięta” więc się zastanawiałam jak to byłoby możliwe, ale potem przypomniało mi się, że przecież na początku przygód z Akademią jakiś translator przemówił do nas ludzkim głosem i oznajmił iż „spirit user” to „użytkownik spirytusowy”, więc nie powinniśmy się dziwić, że wzrok „spirytusowego użytkownika” może doprowadzić do takowego stanu:P – przyp. Ginger) Cechy, które były wcześniej wystraszone i zmizerniałe, teraz wypełniała furia. Nie miałam żadnych magicznych zmysłów, ale po byciu z Lissą wiedziałam, że to rozszalały duch, gdy go widziałam. Sonia była gotową do wybuchu bombą.

– Jak śmiesz... – wysyczała. – Jaś *śmiesz* próbować mnie zmusić?

Nagle rośliny i winorośle wokół Roberta zaczęły ożywać i rosnąć do niemożliwych rozmiarów. Wystrzeliły do przodu splątując siebie wokół nogi jego krzesła i pociągając za nie. Krzesło wywróciło się, a wraz z nim Robert. Wiktor poruszył się by pomóc bratu, ale Robert już brał sprawy w swoje ręce. Niezwykle szybko odzyskując równowagę, zmrużył swoje oczy na Sonię i poleciała do tyłu uderzając o drewniany płot. Użytkownicy powietrza mogli czasami wykonać taką sztuczkę, ale Sonia nie miała za plecami powietrza. To były telekinetyczne zdolności ducha. Najwyraźniej posiadał je również poza snami.

Uroczo. (chciałoby się powiedzieć: *zajebicie* – przyp. Ginger)

Widziałam już wcześniej jak użytkownicy ducha wykorzystują je do walki, kiedy Avery Lazar i Lissa walczyły jeden na jednego. To nie było przyjemne, zwłaszcza odkąd miały miejsce inne zjawiska psychiczne pochodzące z zewnątrz. Avery właściwie przekopała się do umysłu Lissy – i mojego. Nie wiedziałam czy Robert albo Sonia posiadają pełen zestaw umiejętności, ale to nie mogło skończyć się dobrze.

– Dymitr! – krzyknęłam, wystrzeliwując w kierunku Soni. Nie do końca wiedziałam co zamierzałam zrobić, ale opanowanie Soni brzmiało jak rozsądny plan.

Z tego co zaobserwowałam, sporo umiejętności ducha wiązało się z kontaktem wzrokowym.

I rzeczywiście, gdy udało mi się powalić ją na ziemię, wrywała się bez przekonania, ale w większości walczyła by utrzymać swoje spojrzenie na Robercie. Zawył w nagłym alarmie, patrząc w dół na swoje własne ciało z przerażeniem. Sonia wszczepiła mu do głowy wizję. Jego wyraz twarzy stwardniał. Musiał wiedzieć, że to złudzenie i kilka chwil później spojrzał w górę przełamując jej urok, tak jak ona wcześniej przełamała jego kompulsję.

W tym momencie nadszedł Dymitr, niemal wrywając drzwi akurat wtedy, gdy Robert użył swojego umysłu by cisnąć w Sonię jednym z krzesel. Oczywiście leżałam na niej, więc krzesło uderzyło *mnie* w plecy. Dymitr całkiem szybko załapał co się działo i rzucił się na Roberta, próbując wykorzystać tę samą taktykę co ja. Wiktor, prawdopodobnie myśląc, że Robert znalazł się w fizycznym niebezpieczeństwie, próbował odepchnąć Dymitra, co było daremne. W stronę Roberta zaczęło się pięć więcej winorośli i zdałam sobie sprawę, że skrępowanie ruchów Soni nie było zbyt użyteczne.

– Zabierz go do środka! – krzyknęłam do Dymitra. – Zabierz go z dala od niej!

Dymitr sam już się tego domyślił i zaczął ciągnąć Roberta w kierunku drzwi. Nawet przy ingerencji Wiktora, siła Dymitra była wystarczająca, aby zaciągnąć Roberta z powrotem do domu. Jak tylko cel zniknął, cała energia wydawała się opaść z Sonii. Nie podjęła więcej wysiłku by walczyć ze mną i opadła na ziemię. Ulżyło mi, gdyż obawiałam się, że gdy Robert zniknie, ona zwróci się przeciwko mnie. Pomału, ciągle mając się na baczności, pomogłam Soni usiąść. Oparła się o mnie słaba jak szmaciana lalka i rozplakała się w moje ramie.

Kolejne załamanie.

Po czymś takim, to była kwestia kontrolowania uszkodzeń. Aby trzymać osobno użytkowników ducha, Dymitr zabrał Roberta do sypialni i zostawił go z Wiktozem. Robert wydawał się tak wykończony jak Sonia, więc Dymitr uznał, że pozostawienie braci samych w pokoju było wystarczająco bezpieczne.

Sonia opadła na kanapę, po tym jak oboje z Dymitrem próbowaliśmy ją uspokoić, oddaliliśmy się podczas gdy Sydney trzymała morojkę za rękę.

Pokrótkce streściłam Dymitrowi co się stało. Jego twarz stawała się bardziej i bardziej pełna niedowierzania gdy mówiłam.

- Mówiłem ci, że jeszcze nie czas! – zawołał. – Coś ty sobie myślała? Ona jest zbyt słaba!
- Według ciebie to było słabe? I hej, dobrze mi szło! Dopóki nie wmieszali się w to Wiktor i Robert, i wszystko poszło w diabły.

Dymitr zbliżył się do mnie o krok. Promieniował od niego gniew.

- Nigdy nie powinni zostać wmieszani. Oto cała ty, znowu działająca irracjonalnie i głupio, wskazująca w coś bez myślenia o konsekwencjach.

W odpowiedzi wystrzeliło we mnie oburzenie.

- Hej, próbowałam zrobić tu postępy. Jeśli bycie racjonalnym oznacza beczynne siedzenie i prowadzenie terapii, to jestem szczęśliwa, że przeskoczyłam granicę. Nie boję się podjąć gry.
- Nie masz zielonego pojęcia o czym mówisz – warknął. Staliśmy teraz bliżej, pomiędzy nami ledwo znajdowała się jakakolwiek przestrzeń, gdy zajęliśmy się naszą próbą sił.
– To mogło nas pchnąć do tyłu.
- To pchnęło nas *do przodu*. Dowiedzieliśmy się, że wie o Ericu Dragomirze. Problem w tym, że obiecała nikomu nie mówić o tym dziecku.
- Tak, obiecałam – powiedziała na głośnym wydechu. Dymitr i ja odwróciliśmy się jednocześnie, uświadamiając sobie, że nasza kłótnia była w pełni widoczna i słyszalna dla Sonii i Sydney. – Obiecałam. – Jej głos był bardzo cichy i słaby, błagający nas.

Sydney uścisnęła jej rękę.

- Wiemy. Wszystko dobrze. Nie ma nic złego w dotrzywaniu obietnic. Rozumiem.

Sonia spojrzała na nią z wdzięcznością.

- Dziękuję ci. Dziękuję.
- Ale – powiedziała Sydney ostrożnie – słyszałam, że zależy ci na Lissie Dragomir.
- Nie mogę – przerwała Sonia, znowu stając się przestraszona.
- Wiem, wiem. Ale co jeśli istnieje sposób, by pomóc jej nie łamiąc obietnicy?

Sonia wpatrywała się w Sydney. Dymitr spojrział na mnie pytająco. Wzruszyłam ramionami i również wpatrywałam się w Sydney. Gdyby ktoś zapytał, kto mógł wyjść z najlepszą interwencją wobec szalonej kobiety, która była wcześniej nieumarłym potworem, Sydney Sage byłaby ostatnią osobą, o jakiej bym pomyślała.

Sonia zmarszczyła brwi, w pełni skupiona na Sydney.

- C–co masz na myśli?
- Cóż... co konkretnie obiecałaś? Nie mówić nikomu, że Eric Dragomir miał kochankę i dziecko? – Sonia kiwnęła głową. – I nie mówić kim byli?

Sonia ponownie kiwnęła głową.

Sydney obdarowała Sonie najcieplejszym, i najprzyjaźniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałam u alchemika.

- Czy obiecałaś nie mówić nikomu, gdzie są? – Sonia kiwnęła głową i uśmiech Sydney odrobinę zgasł, ale jej oczy szybko się rozświeciły. – Czy obiecałaś, że nie zaprowadzisz nikogo do miejsca, w którym przebywają?

Sonia zawahała się, bez wątpienia powtarzając każde słowo w swoim umyśle. Powoli pokręciła głową.

- Nie.
- Zatem... możesz nas do nich zaprowadzić, nie mówiąc gdzie aktualnie przebywają. W ten sposób nie złamiesz obietnicy.

To był najbardziej zawity i śmieszny kawałek logiki, jaką słyszałam przez jakiś czas. To było coś, co sama mogłam wymyśleć.

- Może... – powiedziała nadal niepewna Sonia.
- Nie złamiesz obietnicy – powtórzyła Sydney. – I to naprawdę, naprawdę pomoże Lissie.

Wysłam do przodu.

- Michaiłowi również.

Usta Soni otworzyły się na wzmiankę o swoim byłym kochanku.

- Michaiłowi? Znasz go?
- Jest moim przyjacielem. A także Lissy. – niemal powiedziałam, że jeśli znajdziemy zaginionego Dragomira, to wtedy zabierzemy ją do Michaiła.

Przypominając sobie że Dymitr czuł się bezwartościowy, zdecydowałam się unikać teraz tej taktyki. Nie wiedziałam jak Sonia zareagowałaby na spotkanie ze swoim ukochanym.

- Chce jej pomóc, ale nie może. Żadne z nas nie może. Nie mamy wystarczających informacji.
- Michaił... – Sonia ponownie spuściła wzrok na swoje dłonie, a po policzkach leciały jej małe łzy.
- Nie złamiesz swojej obietnicy – Sydney była tak przekonująca, że mogłaby być użytkownikiem ducha. – Po prostu nas zaprowadź. Tego chcieliby Michaił i Lissa. Nie ma w tym nic złego.

Nie wiedziałam, który argument najbardziej przekonał Sonię. To mogła być część o Michaiłie, albo przekonanie, że to „nic złego”. Może tak jak Dymitr, Sonia chciała odkupić swoje zbrodnie popełnione w czasie bycia strzygą i zobaczyła w tym swoją szansę.

Podnosząc wzrok, przełknęła ślinę i spotkała moje oczy.

- Zaprowadzę was tam – wyszeptała.
- Wyruszamy w kolejną podróż – oświadczyła Sydney. – Przygotujcie się.

Dymitr i ja nadal staliśmy tuż obok siebie, a złość między nami zaczynała się rozmywać. Sydney wyglądała na dumną i dalej próbowała uspokoić Sonię.

Dymitr spojrzał na mnie w dół z małym uśmiechem, który nieznacznie zniknął, gdy wydał się świadomy tego, jak blisko staliśmy. Jednakże nie mogłam tego stwierdzić na sto procent. Jego twarz niewiele wyrażała. Co do mnie, to byłam bardzo świadoma naszej bliskości i czułam się odurzona jego ciałem i zapachem. Cholera. Dlaczego walczenie z nim zawsze podnosiło mój pociąg do niego? Jego uśmiech powrócił, gdy przechylił głowę w kierunku Sydney.

- Myliłaś się. To ona jest nowym generałem w mieście.

Odwzajemniłam jego uśmiech, mając nadzieję, że nie był świadomy reakcji mojego ciała na naszą bliskość.

- Może, ale to nic. Nadal możesz być pułkownikiem.

Uniósł brew.

- Naprawdę? Czyżbyś się zdegradowała? Pułkownik jest tuż za generałem. Kim więc ty zostajesz?

Sięgnęłam do kieszeni i triumfalnie machnęłam kluczami od CR-V, które rąbnęłam, kiedy z powrotem weszliśmy do środka.

- Kierowcą – powiedziałam.

Tłumaczenie: Czarna_wilczyca, Ginger

Korekta: Diotima

Rozdział dwudziesty pierwszy

NIE POZWOLONO MI PROWADZIĆ.

„Generałowi” Sydney też nie, co strasznie ją oburzyło, chociaż Dymitr zrobił szybką pogadankę, wyjaśniając dlaczego. Wszystko zaczęło się, gdy Wiktor odkrył, że jego samochód ma „problemy z silnikiem”. Nie był zbyt szczęśliwy z tego powodu. Nie rzucał żadnych oskarżeń, ale sądził, że wszyscy – łącznie z Sonią i Robertem – mogli się domyśleć, że awaria nie była przypadkowa. To oznaczało, że wszyscy mamy się wpakować do CR-V, który nie był zaprojektowany by pomieścić tak wielu ludzi i dlatego Dymitr postarał się o kreatywny plan rozmieszczenia miejsc. Oczywiście jedno z tych „miejsc” okazało się być bagażnikiem. Było tam całkiem sporo przestrzeni, ale gdy Sydney dowiedziała się, że to jej miejsce, oskarżyła Dymitra o dodatkowe znieważanie jej, kiedy już poniosła stratę, z powodu zabrania jej kluczyków.

Nie chciałam tego mówić, ale posadzenie jej z tyłu, było rozsądnym wyborem. Konfiguracja w jakiej rozsadził nas Dymitr miała minimalizować zagrożenie wewnątrz samochodu. On prowadził, Robert siedział obok niego, a ja z tyłu między Wiktorem a i Sonią. To zostawiało strażnika w każdym rzędzie, rozdzielało braci, a także trzymało użytkowników ducha z dala od siebie. Gdy sprzeczałam się, że moglibyśmy zamienić się miejscami i mimo to wciąż utrzymywać bezpieczeństwo na takim samym poziomie, Dymitr zwrócił uwagę, że posiadanie mnie za kierownicą, kiedy nagle mogłabym wskoczyć do głowy Lissy nie było bezpieczne. Punkt dla niego. Co do Sydney... no cóż, nie była ani groźna ani nie umiała walczyć, więc została włączona do tyłu. A mówiąc o balaście...

- Jak najszybciej musimy się pozbyć Wiktora i Roberta – mruknęłam do Dymitra, gdy załadowaliśmy CR-V zakupami spożywczymi i naszym mizernym bagażem (dalej, ku oburzeniu Sydney, redukując jej przestrzeń). – Zrobili to czego potrzebowaliśmy. Trzymanie ich jest niebezpieczne. Czas ich przekazać strażnikom.

Bracia chcieli kontynuować z nami dalsze poszukiwania rodzeństwa Lissy. Pozwoliliśmy im, ale nie z powodu naszej wspaniałomyślności. Po prostu nie mogliśmy pozwolić im na razie zniknąć nam z pola widzenia.

- Zgadza się – powiedział Dymitr. – Ale nie ma dobrego sposobu by to zrobić. Jeszcze nie. Nie możemy zostawić ich związanych przy drodze. Nie chciałbym ryzykować, że uciekną i złapią podwózkę. Sami też z wiadomych względów nie możemy ich wydać.

Włożyłam torbę do samochodu i oparłam się o zderzak.

- Sydney mogłaby to zrobić.

Dymitr przytaknął.

- To prawdopodobnie najlepsza opcja, ale nie chcę rezygnować z jej wsparcia, zanim dotrzemy do... cóż, gdziekolwiek jedziemy. Możemy potrzebować jej pomocy.

Westchnęłam.

- W takim razie ciągniemy ich ze sobą.
- Na to wygląda – powiedział i rzucił mi ostrożne spojrzenie. – Wiesz, że gdyby trafili do aresztu, mieliby świetną okazję, by całkiem sporo opowiedzieć o nas władzom.
- Tak. – Też o tym myślałam. – Sądzę, że to problem na później. Najpierw uporajmy się z tymi najważniejszymi.

Ku mojemu zaskoczeniu Dymitr uśmiechnął się do mnie. Oczekiwałam jakiegoś rozsądnego, mądrego komentarza.

- Cóż, to zawsze było naszą strategią, nieprawdaż? – zapytał.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi, ale to było przelotny uśmiech, gdyż w tym samym momencie zaczęliśmy podróż. Na szczęście Wiktor nie był w swoim zwykłym denerwującym, gadatliwym nastroju – podejrzewałam, że powodem tego było osłabienie wywołane brakiem krwi. Sonia i Robert musieli czuć się tak samo. Jeśli wkrótce nie znajdziemy karmiciela to będziemy mieć problem, ale nie miałam pojęcia jak zamierzaliśmy go tu ściągnąć. Miałam wrażenie, że Sydney jeszcze sobie tego nie uświadomiła, co właściwie było dobre. Bycie jedynym człowiekiem wśród grupy głodnych wampirów na pewno by mnie zaniepokoiło. Odosobniona z tyłu była właściwie prawdopodobnie bezpieczniejsza niż ktokolwiek inny.

Wskazówki Sonii były niejasne i wymagały natychmiastowego działania. Dawała nam tylko tymczasowe informacje, często nie ostrzegając o skrętach na czas. Nie mieliśmy pojęcia gdzie jedziemy, ani jak długo to zajmie. Przejrzała mapę i kazała jechać Dymitrowi na północ autostradą I –75. Gdy zapytaliśmy jak długo potrwa nasza wycieczka, jej odpowiedzią było: „Niedługo. Kilka godzin. Może więcej.”

I z tym tajemniczym wyjaśnieniem usadowiła się wygodnie na swoim miejscu i nie powiedziała już nic więcej. Jej twarz była zaniepokojona i zamyślona, próbowałam sobie wyobrazić jak się czuje. Jeszcze dzień temu była strzygą. Czy wciąż odtwarzała to co się stało? Czy widziała twarze swoich ofiar tak jak Dymitr? Czy zadreślała się poczuciem winy? Czy chciałaby znów być strzygą? Zostawiłam ją w spokoju. To nie był czas na terapię. Oparłam się z powrotem o siedzenie, uzbijając się w cierpliwość. Nagle w więzi pojawiło się mrowienie świadomości, przenosząc moją uwagę do środka. Lissa nie spała. Mrugnęłam i spojrzałam na deskę rozdzielczą by sprawdzić czas. Ludzkie popołudnie. Moroje na Dworze od dawna powinni spać. Ale Lissa nie spała, coś ją obudziło.

Dwóch strażników z kamiennymi twarzami stało w jej drzwiach.

- Musisz pójść z nami – powiedział jeden z nich. – Czas na następny test.

Lissę wypełniło zdumienie. Wiedziała, że następny test „nadejdzie wkrótce” ale nie słyszała żadnych szczegółów od czasu testu sprawnościowego. Tamta podróż również miała miejsce podczas morojskiej nocy, ale przynajmniej dostała porządne ostrzeżenie.

Eddie stał teraz w pokoju, niedaleko niej, od kilku godzin pełniąc dyżur w miejsce mojej matki. Christian usiadł na łóżku Lissy ziewając. Nie mieli szans, by do czegoś między nimi doszło, ale Lissa lubiła mieć go w pobliżu. Przytulanie się do swojego chłopaka, gdy Eddie był w pokoju nie wydawało się jej tak dziwne, jak robienie tego, gdy była tam moja matka. Nie winiłam jej.

- Mogę się przebrać? – zapytała Lissa
- Tylko szybko – odpowiedział strażnik.

Złapała pierwszy strój jaki mogła i pospieszyła do łazienki, czując się zdezorientowana i podenerwowana. Gdy wyszła, Christian wciągał już jeansy i sięgał po swoją bluzkę. W międzyczasie Eddie oceniał strażników. Mogłam odgadnąć jego myśli, bo moje były takie same. Co prawda, pobudka wyglądała na oficjalną, ale nie znał tych strażników i niezupełnie im ufał.

- Mogę ją odprowadzić? – zapytał
- Tylko do obszaru testowego – powiedział drugi strażnik.
- A co ze mną? – zapytał Christian
- Tylko do obszaru testowego.

Odpowiedź strażnika zaskoczyła mnie, ale potem zdałam sobie sprawę, że prawdopodobnie powszechne jest, że kandydaci na monarchów idą na swoje testy z osobami towarzyszącymi – nawet na niespodziewane testy w środku nocy. Albo może wcale nie takie niespodziewane. Tereny Dworu były praktycznie opuszczone, ale gdy jej grupa doszła do miejsca przeznaczenia – małego, stojącego na uboczu ceglanego budynku – minęła kilka grup morojów stojących wzdłuż korytarza. Najwidoczniej informacje przeciekły.

Zebrani odsunęli się na bok z szacunkiem. Ktoś – prawdopodobnie popierający inną rodzinę – rzucił jej gniewne spojrzenie. Ale mnóstwo innych ludzi uśmiechało się do niej i krzyczało o „powrocie smoków”. Kilkoro nawet poklepało ją po ramieniu, życząc jej szczęścia i siły. Tłum był o wiele mniejszy niż ten, który przywitał ją przed pierwszym testem. To złagodziło jej niepokój, ale nie zachwiało jej determinacji by potraktować testy poważnie. Twarze obserwatorów promieniowały podziwem i ciekawością. Ludzie zastanawiali się czy to ona będzie następną, która będzie nimi rządzić.

Drzwi na końcu sali oznaczały koniec jej podróży. Ani Christian ani Eddie nie musieli mówić, że tylko tak daleko mogli dojść. Zanim podążyła za jednym ze strażników do środka, Lissa rzuciła tej dwójce spojrzenie ponad swoim ramieniem, czerpiąc wsparcie z oddanych twarzy swoich bliskich.

Po pełnej trudów przygodzie z pierwszym testem, Lissa spodziewała się czegoś tak samo przerażającego. Zastąpiła jednak starą morojką kobietę siedzącą wygodnie na krześle w prawie pustym pokoju. Ręce złożyła na kolanach, trzymając w nich coś owiniętego w tkaninę. Kobieta zanuciła coś, wyglądając na bardzo zadowoloną. I mówiąc stara, naprawdę miałam na myśli, że była *stara*. Moroje mogli żyć ponad 100 lat, ale ta kobieta na pewno przekroczyła tę granicę. Jej blada skóra była labiryntem zmarszczek, zaś jej szare włosy były rzadkie i cienkie. Uśmiechnęła się gdy zobaczyła Lissę i skinęła głową w kierunku pustego

krzesła. Między nimi stał mały stolik ze szklanym dzbanem wody. Strażnicy zostawili kobiety same.

Lissa rozejrzała się po swoim otoczeniu. Nie było żadnych innych sprzętów, tylko kolejne jasne drzwi znajdujące się naprzeciwko tych, którymi weszła. Usiadła i obróciła się w stronę starej kobiety.

- Hej – powiedziała Lissa, starając się nadać swojemu głosowi silne brzmienie. – Jestem Wasylisa Dragomir.

Nieznacznym uśmiechem kobiety poszerzył się ukazując jej żółte zęby. Brakowało jej jednego z kłów.

- Twoja rodzina zawsze okazywała dobre maniery – wychrypiła. – Większość ludzi wchodzi tu i żąda, byśmy od razu przeszli do interesów. Ale pamiętam twój dziadek. On również był uprzejmy podczas swojego testu.
- Znałaś mojego dziadka? – zawołała Lissa. Zmarł, gdy była bardzo, bardzo młoda. Potem wyłapała jeszcze jedno znaczenie słów kobiety. – Kandydował na króla?

Kobieta przytaknęła.

- Zdał wszystkie swoje testy. Myślę, że wygrałby wybory, gdyby nie wycofał się w ostatniej chwili. Po tym fakcie elekcja była jak rzut monetą między Tatianą Iwaszkow i Jacob'em Tarusem. Oboje byli bardzo blisko. Tarusowie wciąż chowają urazę.

Lissa nigdy nie słyszała o żadnej z tych rzeczy.

- Dlaczego mój dziadek zrezygnował?
- Ponieważ twój brat właśnie się urodził. Frederick postanowił, że powinien poświęcić energię swojej świeżo upieczonej rodzinie zamiast państwu.

Lissa potrafiła to zrozumieć. Jak wielu Dragomirów było wtedy? Jej dziadek, jej ojciec i Andre – no i jej matka, ale tylko przez małżeństwo. Eric Dragomir nie miał żadnych braci ani sióstr. Lissa niewiele wiedziała o swoim dziadku, ale na jego miejscu ona także zdecydowała by się raczej spędzać czas z synem i bratankiem, niż słuchać niekończących się przemówień, z którymi miała do czynienia Tatiana.

Lissa błędziła myślami, a stara kobieta przyglądała się jej uważnie.

- To... to jest test? – spytała Lissa, gdy cisza zaczęła się dłużyć. – Coś jak rozmowa kwalifikacyjna?

Stara kobieta potrząsnęła głową.

- Nie. To jest to. – Odwinęła przedmiot, leżący na jej kolanach. Był nim puchar – a właściwie kielich mszalny lub czara. Nie była pewna. Ale był piękny, zrobiony ze srebra, które wydawało się jarzyć własnym światłem. Krwawo-czerwone rubiny były rozsiane po bokach, błyszcząc przy każdym poruszeniu kielicha. Kobieta odnosiła się

do niego z czułością. – Ponad tysiąc lat i wciąż lśni.

Wzięła dzban i napełniła kielich wodą, podczas, gdy obie z Lissą przetwarzałyśmy jej słowa. Tysiąc lat? Nie byłam specem od metali szlachetnych, ale nawet ja wiem, że po takim czasie srebro powinno być pokryte nalotem. Kobieta podała puchar Lissie.

– Wypij z niego, a gdy będziesz chciała przerwać, powiedz 'stop'.

Lissa sięgnęła po kielich, bardziej zdezorientowana przez dziwną instrukcję niż kiedykolwiek. Co miała przypuszczalnie przerwać? Picie? Tak szybko jak jej palce dotknęły metalu, zrozumiała. Przynajmniej po części. Mrowienie, które tak dobrze знаła, przeszło jej ciało.

– Jest zaczarowany – powiedziała.

Stara kobieta pokiwała głową.

– Natchnięto go wszystkimi czterema żywiołami i zaklęciem, które już dawno zapomniano.

Zaczarowano go również duchem, pomyślała Lissa. To także zostało zapomniane, co ją zastanowiło. Uroki związane z żywiołami miały różne efekty. Czar ziemi – jak tatuaż, który jej dano – często były związane z drobnymi zaklęciami kompulsji. Kombinacja wszystkich czterech w kołku albo w zabezpieczeniach zapewniała złączony w jedność podmuch życia, który blokował nieumarłych.

Ale duch... cóż, szybko nauczyła się, że czary ducha mają szeroki zakres nieprzewidywalnych efektów. Woda bez wątplenia aktywowała czar, ale Lissa miała przecucie, że duch będzie kluczowym graczem. Nawet sama myśl, że ta moc płonie w jej krwi wciąż ją przerażała. Zaklęcie utkane na kielichu było złożone, daleko poza jej umiejętnościami. Bała się tego co mogło spowodować. Stara kobieta wpatrywała się w nią bez mrugnięcia.

Lissa wahała się tylko jeszcze przez moment. Wypiła.

Świat stopniowo gasnął by po chwili zmaterializować się jako coś zupełnie innego. Ona i ja, obie rozpoznałyśmy co to było: duchowy sen.

Nie stała już dłużej w zwykłym pokoju. Była na zewnątrz, wiatr chłostał jej twarz pasmami jej długich włosów. Zebrała je do tyłu, tak dokładnie jak mogła. Wokół niej stali inni ludzie, wszyscy ubrani na czarno. Szybko rozpoznała dworski kościół i cmentarz. Lissa też była ubrana na czarno, łącznie z długim, wełnianym płaszczem zabezpieczającym przed chłodem. Byli zebrani wokół grobu, ksiądz stał obok, a jego oficjalna szata stanowiła jedyny kolor w tym szarym dniu.

Lissa zrobiła kilka kroków do przodu, próbując zobaczyć czyje imię widnieje na nagrobku. To co odkryła zszokowało mnie bardziej niż ją: ROSEMARIE HATHAWAY.

Moje imię zostało wyryte w granicie królewską, skomplikowaną czcionką. Poniżej mojego imienia była gwiazda bitewna, oznaczająca, że zabiłam więcej strzyg, niż można było zliczyć. Brawa dla mnie. Pod spodem znajdowały się trzy linijki tekstu po rosyjsku, rumuńsku i angielsku. Nie potrzebowałam tłumaczenia by wiedzieć co mówiły, ponieważ był to standardowy napis na nagrobkach strażników. „Służba na wieki”.

Kapłan wypowiadał tradycyjne żałobne słowa i udzielił mi błogosławieństwa religii, w którą nie byłam pewna czy wierzę. To była najmniej dziwna rzecz, zważywszy na to, że oglądałam swój własny pogrzeb. Gdy skończył, jego miejsce zajęła Alberta. Wychwalanie osiągnięć zmarłego było normalne na pogrzebach strażników – a Alberta miała o mnie dużo do powiedzenia. Gdybym tam była, płakałbym ze wzruszenia. Zakończyła opisywanie mojej ostatniej bitwy tym jak zginęłam, broniąc Lissy.

To akurat niespecjalnie mnie zdziwiło. To znaczy, nie zrozumcie mnie źle. Wszystko co się tam działo było kompletnie szalone. Ale mówiąc rozsądnie, gdybym właśnie oglądała własny pogrzeb, to byłoby sensowne, że zginęłam w jej obronie.

Lissa nie podzielała moich uczuć. Ta wiadomość była jak wymierzenie jej policzka. Nagle uświadomiła sobie okropne uczucie pustki w klatce piersiowej, jakby część niej odeszła. Więc działała tylko w jedną stronę, jednak Robert przysięgał, że utrata osoby z nim związanej pozostawiła go w agonii. Lissa zrozumiała teraz ten okropny ból samotności. Tęskniła za czymś, o czym nawet nie wiedziała, że ma. Jej oczy wypełniły łzy.

To tylko sen, powiedziała do siebie. *Nic więcej*. Ale nigdy nie miała duchowego snu, takiego jak ten. Jej doświadczenia zawsze ograniczały się do eksperymentowania z Adrianem, więc sny były dla niej jak rozmowa telefoniczna.

Gdy żałobnicy rozeszli się po cmentarzu, Lissa poczuła jak czyjaś dłoń dotyka jej ramienia. Christian. Rzuciła się z wdzięcznością w jego ramiona, próbując powstrzymać szloch. Wydawał się prawdziwy i pewny.

– Jak to się stało?– zapytała. – Jak to się mogło stać?

Christian puścił ją, jego krystalicznie niebieskie oczy były poważniejsze i smutniejsze niż kiedykolwiek widziałam.

– Wiesz jak. Ta strzyga próbowała cię zabić. Rose poświęciła się by cię ratować.

Lissa nie pamiętała tego, ale nie miało to znaczenia.

- Nie mogę... Nie mogę uwierzyć, że to się stało. – Ta pełna cierpienia pustka urosła w niej.
- Mam więcej złych wiadomości – powiedział Christian.

Wpatrywała się w niego w zdumieniu.

- Co może być jeszcze gorszego?
- Odchodzę.

- Odchodzisz... skąd, z Dworu?
- Tak. Zostawiam wszystko. – Smutek na jego twarzy się powiększył. – Odchodzę od ciebie.

Jej szczęka niemal opadła.

- Co... co się stało? Co ja takiego zrobiłam?
- Nic – uścisnął jej rękę po czym ją puścił. – Kocham cię. Zawsze będę cię kochał. Ale jesteś kim jesteś. Ostatnią z Dragomirów. Zawsze będzie coś, co będzie cię odciągać... Ja tylko stoję ci na drodze. Musisz odbudować swoją rodzinę. Nie jestem tym, kogo potrzebujesz.
- Oczywiście, że jesteś! Jesteś *jedynym!* Jesteś jedynym, z którym chcę budować moją przyszłość.
- Teraz tak mówisz, ale tylko zaczekaj. Będą lepsze wybory. Słyszałaś żart Adriana o 'małych Dragomirach.' Gdy za kilka lat będziesz gotowa na dzieci, będziesz potrzebowała całej gromadki. Dragomirowie muszą być znowu silni. A ja? Nie jestem na tyle odpowiedzialny, by sobie z tym poradzić.
- Będziesz świetnym ojcem – utrzymywała.
- Taaa – wykiął. – Dla ciebie też będę cennym nabytkiem: księżniczka poślubia faceta z rodziny strzyg.
- Nie dbam o żadną z tych rzeczy i dobrze o tym wiesz! – Złapała się jego koszuli, zmuszając go do spojrzenia na nią. – Kocham cię. Chcę żebyś był częścią mojego życia. Nic z tego nie rozumiem. Boisz się? To o to chodzi? Boisz się ciężaru nazwiska mojej rodziny?

Odwrócił wzrok.

- Powiedzmy, że to nie jest nazwisko, które łatwo udźwignąć.

Potrząsnęła nim.

- Nie wierzę ci! Ty niczego się nie boisz! Nigdy się nie poddajesz.
- Teraz się poddam – delikatnie odsunął się od niej. – Naprawdę cię kocham. To dlatego to robię. Tak będzie lepiej. (Kolejny kretyń, któremu wydaje się, że wie wszystko – Czarna. Ja nie wiem co ci faceci mają w tych mózgownicach. Mucha im nasrała czy jak? Mead powinna ich wysłać w epokę romantyzmu, żeby se pocierpieli i wrócili jako prawdziwi *faceci*. – Gin. Zgadzam się, co z nimi jest nie tak? Mamusia ich upuściła, gdy byli mali? – przyp. Tusia. Jakby upuściła to by im nie urosło... dobra, *never mind* – przyp. Gin)
- Ale nie możesz... – Lissa skinęła w kierunku mojego grobu, lecz on już odchodził. – Nie możesz! Ona odeszła. Jeśli i ty odejdziesz, nie będzie nikogo...

Ale Christian odszedł, znikając we mgle, której jeszcze minutę temu nie było. Lissa została sama, jedynie mój nagrobek dotrzymywał jej towarzystwa. I po raz pierwszy w swoim życiu rzeczywiście była naprawdę sama. Czuła się samotna, gdy jej rodzina zginęła, ale ja byłam jej

ostoją, zawsze z tyłu gotowa jej chronić. Gdy pojawił się Christian on również trzymał samotność z dala od niej, napełniając jej serce miłością.

Ale teraz... teraz oboje odeszliśmy. Jej rodzina odeszła. Dziura powstała wewnątrz niej groziła, że ją pochłonie. To było o wiele więcej niż tylko utrata więzi. Bycie samym jest straszne, naprawdę straszne. Nie ma nikogo, do kogo można by pobiec, nikogo komu można by się zwierzyć, nikogo kto troszczyłby się o to, co ci się przydarzyło. Była sama w lasach, ale to nie było takie jak to. Absolutnie nic nie mogło się z tym równać.

Rozglądając się dookoła żałowała, że nie może zatopić się w mój grób i zakończyć swoich męczarni. Nie... chwila. Naprawdę mogła to zakończyć. *Powiedz 'stop'* powiedziała stara kobieta. Tyle wystarczyło by, aby zatrzymać ten ból. To był duchowy sen, prawda? To prawda, że był bardziej realistyczny i niepohamowany niż jakikolwiek z którym się spotkała, ale na końcu każdy kto śni musi się obudzić. Jedno słowo i mógłby się stać blaknącym koszmarem.

Rozglądając się dookoła po pustym Dworze, prawie wypowiedziała to słowo. Ale... czy chciała to zakończyć? Przymknęła oczy podczas tych testów. Poddałaby się przez jakiś sen? Sen o byciu samotnym? To wyglądało na bardzo niewielką rzecz, ale wtedy ponownie uderzyła ją naga prawda: *Nigdy nie byłam sama*. Nie wiedziała, czy jest w stanie kontynuować to samotnie, ale wtedy zdała sobie sprawę, że gdyby to nie był sen – i dobry Boże, gdyby to uczucie było prawdziwe – to w prawdziwym życiu nie byłoby żadnego magicznego 'stop'. Jeśli nie mogła poradzić sobie z samotnością we śnie, to nigdy nie będzie w stanie zrobić tego po przebudzeniu. I tak mocno jak ją to przerażało, postanowiła, że się nie wycofa. Coś przyciągało ją w kierunku mgły, więc poszła ku niej – sama.

Mgła powinna zaprowadzić ją do przykościelnego ogrodu, ale świat znów się zmaterializował i znalazła się na posiedzeniu Rady, które okazało się być jednym z otwartych, z obserwującą wszystko morojską publicznością. Lissa – zupełnie inaczej niż zazwyczaj – nie zajęła miejsca wśród publiczności. Siedziała przy stole Rady, mieszczącym trzynaście krzeseł. Siedziała na miejscu Dragomirów. Środkowe krzesło monarchy było zajęte przez Ariana Szelską. *To definitywnie był sen*, pomyślała jakaś jej cierpka część. Miała miejsce w Radzie, a Ariana była królową. Zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Jak zawsze, Rada prowadziła gorącą dyskusję na dobrze znany temat: dekret dotyczący wieku. Niektórzy członkowie Rady utrzymywali, że to niemoralne. Inni, że zagrożenie ze strony strzyg jest zbyt duże. Mówili, że bezwzględne czasy wymagają bezwzględnych działań.

Ariana spojrzała wzdłuż stołu na Lisę

– A co myśli rodzina Dragomirów?

Ariana nie była ani tak uprzejma jak w vanie, ani tak wroga jak Tatiana. Ariana była neutralna – królowa zarządzająca Radą i zbierająca informacje, których potrzebuje. Wszystkie oczy na sali zwróciły się ku Lissie.

Z jakiegoś powodu każdy spójny pomysł jaki miała uciekł jej z głowy. Język ugrzązł jej w gardle. O czym myślała? Jaka była jej opinia na temat dekretu obniżającego wiek?

Rozpaczliwie starał się sformułować odpowiedź

- Ja... myślę, że to jest złe.

Lee Szelski, który musiał wypełnić rodzinną lukę gdy Ariana została królową, parsknął z niesmakiem.

- Możesz to rozwinąć książniczko?

Lissa przełknęła.

- Obniżenie wieku strażników nie jest sposobem by nas ochronić. Musimy... musimy sami nauczyć się bronić.

Jej słowa spotkały się z pogardą i szokiem.

- Jeśli można wiedzieć – zapytał Howard Zeklos – to jak zamierzasz to zrobić? Jaka masz propozycję? Obowiązkowe szkolenia dla ludzi w każdym wieku? Zacząć z programem już w szkołach?

Kolejny raz Lissa szukała słów. Jaki był plan? Ona i Tasza dyskutowały o tym wiele razy, układając strategię sposobu realizowania treningów. Tasza praktycznie wbijała jej detale do głowy w nadziei, że jej głos zostanie usłyszany. Teraz była tutaj, reprezentując swoją rodzinę w Radzie, mając szansę by coś zmienić i polepszyć życie morojów. Wszystko co musiała zrobić to wytłumaczyć swoje poglądy. Tak wielu na nią liczyło, tak wielu czekało by usłyszeć słowa, o których myślała z taką pasją. Ale jakie one były? Dlaczego Lissa nie mogła ich sobie przypomnieć? Musiała zbyt długo zwlekać z odpowiedzią, bo Howard machnął ręką zniesmaczony.

- Wiedziałem. Byliśmy idiotami pozwalając małej dziewczynce wejść do Rady. Nie może zaoferować nic użytecznego. Dragomirowie odeszli. Umarli wraz z nią i musimy to zaakceptować.

Umarli wraz z nią. Presja bycia ostatnią ze swojej linii ciążyła na Lissie od momentu, gdy doktor powiedział jej, że jej rodzice i brat nie żyją. Bycie ostatnim z linii wzmacniało pozycję moroja i tworzyło wielkiego króla lub królową. Przysięgała sobie bez końca, że nie zawiedzie swojego rodu i zobaczy jak chwała jej rodziny na nowo ożywa. A teraz wszystko się rozpadło.

Nawet Ariana, którą Lissa uważała za swojego zwolennika, wyglądała na rozczarowaną. Publiczność zaczęła drwić, rozbrzmiewały echa rozmów o usunięciu tego oniemiałego dziecka z Rady. Krzyczeli, żeby odeszła. A potem coś jeszcze gorszego: Smok nie żyje! Smok nie żyje!

Lissa prawie spróbowała powrócić do swojego przemówienia, ale wtedy coś sprawiło, że spojrzała za siebie, w miejsce, gdzie wisiało na ścianie dwanaście herbów rodzinnych arystokratów.

Mężczyzna który pojawił się znikąd zaczął zdejmować herb, ze smokiem i rumuńskim napisem, należącym do Dragomirów. Serce Lissy opadło, kiedy okrzyki w sali stały się głośniejsze, a jej upokorzenie rosło. Wstała chcąc uciec stamtąd i ukryć się przed wstydem. Zamiast tego jej stopy zabrały ją do ściany z pieczęciami. Z większą siłą niż myślała, że posiada, szarpnęła smoka z dala od mężczyzny.

- Nie! – krzyknęła. Zwróciła swoje spojrzenie do publiczności i uniosła pieczęć w górę, prowokując by ktokolwiek z nich przyszedł i zabrał ją jej, lub odebrał jej prawowite miejsce w Radzie. – To jest moje! Słyszycie?! *To jest moje!*

Nigdy nie dowiedziała się czy słyszeli, ponieważ zniknęli tak jak cmentarz. Zapadła cisza. Teraz siedziała z powrotem w jednym z medycznych, egzaminacyjnych pokoiów w Świętym Władimirze. Znajome szczegóły były osobliwie komfortowe: zlew z pomarańczowym mydłem do rąk, schludne, opatrzone etykietami szafki i szuflady, a nawet plakaty informacyjne na ścianach pełne zdrowotnych informacji. UCZNIOWIE: UPRAWIAJCIE BEZPIECZNY SEX!

Równie mile widziana była szkolna lekarka: Dr Olendzka. Lekarka nie była sama. Stojącymi obok Lissy – która siedziała na łóżku egzaminacyjnym – była terapeutka imieniem Deidre i... ja. Widzenie tam siebie było całkowicie stuknięte, ale po pogrzebie zaczynałam się do tego przyzwyczajać.

W Lissie wybuchło niespodziewane połączenie uczuć – uczuć, które były poza jej kontrolą. Radość z zobaczenia nas. Utrata nadziei. Zmieszanie. Podejrzliwość. Wydawało się jakby nie mogła utrzymać kontroli nad żadnym uczuciem czy myślą. To były bardzo odmienne uczucia od tych z posiedzenia Rady, kiedy nie mogła się wytłumaczyć. Jej umysł był spokojny – po prostu straciła swoje poczucie bycia. W tej chwili nie było w niej nic, czego mogłaby się uczepić. Była w mentalnej rozsypce.

- Rozumiesz to? – zapytała dr Olendzka. Lissa podejrzewała, że lekarka już zadała pytanie. – To wykracza poza naszą kontrolę. Leki już nie działają.
- Uwierz, nie chcemy żebyś się krzywdziła. Ale teraz, gdy inni też są zagrożeni... cóż, rozumiesz dlaczego musimy podjąć działania. – To była Deidre. Zawsze uważałam ją za zadowoloną z siebie, zwłaszcza od czasu gdy jej metodom terapeutycznym towarzyszyło odpowiadanie pytaniem na pytanie. Teraz nie było ani krzty przebiegłości. Deidre była śmiertelnie poważna.

Żadne z ich słów nie miało dla Lissy sensu, ale część o *ranieniu siebie*, uruchomiła w niej coś. Spojrzała w dół na swoje ramiona. Były obnażone... i oszpecone cięciami. Cięciami które zwykle robiła, gdy presja ducha była zbyt wielka. Były jej jedynym ujściem, potwornym sposobem uwolnienia się. Przyglądając się im teraz, Lissa spostrzegła, że są większe i głębsze niż wcześniej. Taki rodzaj cięć tańczył na krawędzi samobójstwa. Ponownie spojrzała w górę.

- Kogo... kogo skrzywdziłam?
- Nie pamiętasz? – zapytała dr Olendzka.

Lissa potrząsnęła głową, desperacko spoglądając z twarzy na twarz w poszukiwaniu odpowiedzi. Jej spojrzenie zatrzymało się na mnie, a moja twarz była posepna i ponura zupełnie jak Deidre.

- Wszystko w porządku Liss – powiedziałam. – Wszystko będzie dobrze.

To mnie nie zaskoczyło. To było to, co z pewnością bym powiedział. Zawsze będę uspokajać Lissę. Zawsze będę się nią opiekować.

- To nie jest ważne – powiedziała Deidre miękkim, kojącym głosem. – Ważne jest, że już nikt inny nie zostanie skrzywdzony. Nie chcesz nikogo skrzywdzić, prawda?

Oczywiście, że Lissa nie chciała, ale jej zatroskany umysł był gdzie indziej.

- Nie mów do mnie jak do dziecka! – donośny ton jej głosu wypełnił pokój.
- Nie chciałam – powiedziała Deidre, wzór cierpliwości. – My tylko chcemy ci pomóc. Chcemy byś była bezpieczna.

Paranoja wysuwała się na prowadzenie w emocjach Lissy. Nigdzie nie była bezpieczna. Tego była pewna... ale niczego więcej. Może z wyjątkiem czegoś o śnie. Sen, sen...

- Będą w stanie zająć się tobą w Tarasow – wyjaśniła dr. Olendzka. – Upewnią się, że będzie ci tam dobrze.
- Tarasow? – Lissa i ja mówiliśmy jednym głosem. Ta druga Rose zacisnęła pięści i spiorunowała ją wzrokiem. I znowu typowa dla mnie reakcja.
- Ona *nie pójdzie* do tego miejsca – warknęła Rose.
- Myślisz, że tego chcemy? – zapytała Deidre. Po raz pierwszy naprawdę zobaczyłam jak jej zimna maska opada. – Nie chcemy tego. Ale to co robi duch... nie mamy wyboru...

Przez umysł Lissy przebiegły wspomnienia naszej podróży do Tarasow. Przeraził mnie zimny korytarz. Jęki. Malutkie cele. Przypomniała sobie, że widziała tam oddział psychiatryczny, część wozienia w której byli zamknięci inni użytkownicy ducha. Zamknięci na czas nieokreślony.

- Nie! – zapłakała, podskakując na stole. – Nie wysyłajcie mnie do Tarasow! – Rozejrzała się dookoła szukając możliwości ucieczki. Kobiety stały pomiędzy nią a drzwiami. Lissa nie mogła uciec. Jakiej magii mogła użyć? Z pewnością czegoś mogła. Jej umysł dotknął ducha, gdy przetrząsała go w poszukiwaniu zaklęcia. Ta druga Rose złapała Lissę za rękę, prawdopodobnie dlatego, że wyczuła kumulację ducha i chciała ją powstrzymać.
- Jest inny sposób – powiedziało moje alter ego do Deidre i dr Olendzkiej. – Mogę tam pójść zamiast niej. Mogę to wszystko od niej zabrać, jak Anna zabierała to od Św. Władimira. Mogę pozbawić jej ciemności i niestabilności. Lissa znowu będzie zdrowa.

Wszyscy się na mnie gapili. To znaczy na tę drugą mnie.

- Ale wtedy to będzie w tobie, prawda? – zapytała dr Olendzka. – To nie zniknie.
- Nie dbam o to – powiedziałam uparcie. – Ja pójdę do Tarasow. Nie wysyłajcie jej tam. Mogę to robić tak długo, jak będzie mnie potrzebować.

Lissa patrzyła na mnie ledwo wierząc w to co słyszała. Jej chaotyczne myśli przeszły radość. *Tak! Ucieczka.* Nie zwariuje. Nie będzie musiała iść do Tarasow. I wtedy coś zmaćło jej wspomnienia...

- Anna popełniła samobójstwo – mruknęła Lissa. Jej pojmowanie rzeczywistości wciąż było wątle, ale ta otrzeźwiająca myśl wystarczyła, by na chwilę uspokoić jej pędzący umysł. – Oszalała od pomagania świętemu Władimirowi.

Moje drugie ja odmówiło patrzenia na Liszę.

- To tylko historyjka. Zabiorę twoją ciemność. Prześlij mi ją.

Lissa nie wiedziała co robić ani co myśleć. Nie chciała iść do Tarasow. To więzienie nawiedzało ją w koszmarach. I oto ja oferowałam jej ucieczkę, proponując, że uratuję ją jak zawsze. Lissa chciała tego. Chciała zostać ocalona. Nie chciała być obłąkana jak inni użytkownicy ducha. Gdyby zaakceptowała moją ofertę, byłaby bezpieczna.

Jednakże... będąc na krawędzi lub jeszcze nie, wciąż bardzo mocno się o mnie troszczyła. Zbyt wiele dla niej poświęciłam. Jak mogłaby mi na to pozwolić? Jaką przyjaciółką by była, skazując mnie na takie życie? Tarasow przerażało Liszę. Przerażało ją życie w klatce. Ale wsadzenie mnie tam przerażało ją jeszcze bardziej.

Nie było żadnego dobrego rozwiązania. Chciała, żeby to wszystko się skończyło. Może gdyby zamknęła oczy... chwila. Znowu sobie o tym przypomniawszy. To sen. Była w duchowym śnie. Wszystko, co musiała zrobić, to obudzić się.

Powiedzieć 'stop'.

Tym razem było łatwiej. Powiedzenie tego słowa było prostym wyjściem, idealnym rozwiązaniem. Żadnego Tarasow dla którejkolwiek z nas, prawda? I wtedy poczuła rozjaśniający ucisk w swoim umyśle, kojące chaotyczne uczucia. Jej oczy rozszerzyły się, gdy zdała sobie sprawę, że zaczęłam już odciągać od niej ciemność. Słowo 'stop' zostało zapomniane.

- Nie! – Duch zapłonął w niej blokując mnie i ustawiając ścianę między naszą więzią.
- Co ty wyprawiasz? – zapytało moje drugie ja.
- Ratuję cię – odpowiedziała Lissa. – I ratuję siebie – Odwróciła się do dr Olendzkiej i Deidre. – Rozumiem co musicie zrobić. W porządku. Zabierzcie mnie do Tarasow. Zabierzcie mnie gdzieś, gdzie już nikogo nie skrzywdzę.

Tarasow. Miejsce gdzie nocne koszmary przechadzają się korytarzami. Zebrała w sobie siły, gdy biuro zaczęło znikać, przygotowując się na kolejną część snu: zimną kamienną celę z łańcuchami na ścianach i rozchodzącym się wzdłuż korytarzy zawodzeniem ludzi...

Ale gdy świat znowu wrócił na swoje miejsca, nie było żadnego Tarasow. Był pusty pokój i stara kobieta z kielichem. Lissa rozejrzała się dookoła z gwałtownie walącym sercem. Straciła poczucie czasu. Rzeczy, które widziała wydawały się trwać wieczność. Jednocześnie jednak czuła jakby minęło jedynie kilka sekund od chwili, gdy rozmawiała z sędziwą kobietą.

- Co... co to było? – zapytała Lissa. Zaszło jej w ustach, więc woda byłaby mile widziana, ale kielich był pusty.
- Twoje lęki – odpowiedziała stara kobieta z błyskiem w oku. – Wszystkie nagromadzone w tobie lęki.

Lissa odstawiła kielich na stół, trzęsącymi się rękami.

- To było okropne. To był duch ale to... nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego. To wtargnęło do mojego umysłu przetrząsając moje myśli. To było takie realne. Były chwile, gdy wierzyłam, że to naprawdę się dzieje.
- Ale nie przerwałaś tego.

Lissa zmarszczyła brwi, myśląc o tym jak blisko tego była.

- Nie.

Stara kobieta uśmiechnęła się nic nie mówiąc

- Czy... zdałam? – zapytała zdezorientowana Lissa. – Mogę iść?

Stara kobieta skinęła głową. Lissa wstała i spojrzała na obie pary drzwi – te którymi weszła i te drugie jasne w głębi sali. Będąc ciągle w szoku, Lissa automatycznie obróciła się ku drzwiom, którymi weszła. Naprawdę nie chciała znowu widzieć tych ludzi zebranych w holu, ale przysięgła, że zachowa twarz godną księżniczki. Poza tym ci ludzie byli ledwie ułamkiem grupy, która powitała ją po pierwszym teście. Jej kroki zostały przerwane, gdy stara kobieta ponownie się odezwała, wskazując drugą stronę pokoju.

- Nie. Te są dla przegranych. Wyjdź tymi.

Lissa obróciła się i ruszyła w stronę jasnych drzwi. Wyglądały jakby prowadziły na zewnątrz, co prawdopodobnie było równie dobre. Spokój i cisza. Czuła się jakby powinna coś powiedzieć swojej towarzyszce, ale nie wiedziała co, więc po prostu przekreśliła gałkę i wyszła na zewnątrz...

Prosto w tłum wiwatujący na cześć smoka.

Tłumaczenie: Czarna_wilczyca

Korekta: Tusia13pl, Diotima

Rozdział dwudziesty drugi

JESTEŚ STRASZNIE SZCZĘŚLIWA.

Mrugnęłam i spostrzegłam, że Sonia wpatruje się we mnie. CR–V posuwał się po prostym odcinku

I–75, dookoła nas nie było nic prócz równin i sporadycznych drzew typowych dla środkowozachodnich terenów. Sonia nie wydawał się być tak strasznie szalona jak dawniej w szkole, czy choćby nawet w swoim domu. Przeważnie wciąż wydawała się przerażona i zdezorientowana, co było zrozumiałe. Zawahałam się przed odpowiedzią, ale w końcu zdecydowałam, że nie mam powodów by się powstrzymywać.

- Lissa zdała swój drugi test na monarchę.
- Oczywiście, że sobie z nim poradziła – powiedział Wiktor. Wpatrywał się w widok za oknem, znajdujący się z dala ode mnie. Ton jego głosu sugerował, że marnuje jego czas mówiąc coś, co było wiadome.
- Wszystko z nią w porządku? – zapytał Dymitr. – Jest ranna? – Wcześniej to wywołałoby we mnie błysk zazdrości. Teraz było to oznaką dzielonej przez nas troski o Lisę.
- Wszystko z nią w porządku – powiedziałam, zastanawiając się czy to do końca prawda.

Nie była fizycznie ranna, ale po tym wszystkim co zobaczyła... ale cóż, to musiało pozostawić blizny innego typu. Tylne drzwi też były niespodzianką. Gdy zobaczyła mały tłumek przed pierwszymi drzwiami sądziła, że to oznacza iż tylko kilkoro ludzi było na nogach o tak późnej porze by zobaczyć kandydatów. Ale nie. Okazało się, że wszyscy czekali z tyłu na zwycięzców. Wierna swojej obietnicy, Lissa nie pozwoliła by to ją speszyło. Wyszła na zewnątrz z wysoko uniesioną głową, uśmiechając się do swoich obserwatorów i fanów jakby już posiadała koronę.

Byłam śpiąca, ale triumf Lissy utrzymywał uśmiech na mojej twarzy przez dłuższy czas. Było coś męczącego w niekończącym się, nieznanym odcinku autostrady. Wiktor zamknął oczy i oparł się o szybę. Nie mogłam zobaczyć Sydney, gdy obróciłam głowę w jej stronę, co oznaczało, że też zdecydowała się na drzemkę lub po prostu leżała. Ziewnęłam zastanawiając się czy odważyłabym się zaryzykować zaśnięcie. Dymitr nakłaniał mnie do tego odkąd opuściliśmy dom Sonii, wiedząc że mogłabym przespać więcej niż te kilka godzin, które dała mi Sydney.

Przechyliłam głowę na siedzenie i zamknęłam oczy, od razu zapadając w sen. Jego ciemność ustąpiła uczuciu nadejścia snu wywołanego duchem i moje serce zabiło szybciej zarówno z przerażenia jak i z radości. Po przeżyciu testu Lissy sen wywołany mocą ducha budził we mnie uczucie grozy. Ale jednocześnie to mogła być szansa na zobaczenie Adriana. I... była.

Tyle, że pojawiliśmy się w miejscu, którego całkowicie się nie spodziewałam: w ogrodzie Soni. Wpatrywałam się w zdumieniu w czyste błękitne niebo i jaskrawe barwy kwiatów,

niemal przeocząc Adriana. Był ubrany w ciemnozielony, kaszmirowy sweter, który sprawiał że zlewał się z otoczeniem. Jak dla mnie to on był bardziej zachwycający niż jakikolwiek ogród czy cud.

- Adrian! – Podbiegłam do niego, a on z łatwością uniósł mnie i zakreślił dookoła. Gdy wreszcie postawił mnie na nogi, przyjrzał się ogrodowi i pokiwał głową z aprobatą.
- Powiniennem częściej pozwalać ci wybierać miejsce. Masz dobry gust. Oczywiście spotykasz się ze mną, więc już to wiemy.
- Co rozumiesz przez 'wybieranie miejsca'? – spytałam, splatając ręce na jego karku. Wzruszył ramionami.
- Kiedy cię złapałem (czytaj: *znalazłem zasięg* ;P bo Rose jest jak Orange – wiecznie poza zasięgiem – przyp. Czarna) i wyczułem że śpisz, przywołałem sen, ale nie miałem ochoty wymyślać miejsca, więc pozostawiłem to twojej podświadomości. – Z rozdrażnieniem szarpnął kaszmir. – Chociaż nie jestem ubrany na tę okazję. – Sweter zamigotał, szybko zastąpiony przez jasnoszary t-shirt z abstrakcyjnym wzorem z przodu. – Lepiej?
- O wiele.

Uśmiechnął się i pocałował mnie w czoło.

- Brakowało mi ciebie, little dampir. Możesz szpiegować Lissę i nas cały czas, ale najlepsze co ja dostaje to te sny i szczerze mówiąc to nie mogę się połapać według jakiego rozkładu dnia funkcjonujesz.

Uświadomiłam sobie, że dzięki mojemu 'szpiegowaniu' wiedziałam więcej o tym co dzieje się na Dworze niż on.

- Lissa zaliczyła swój drugi test – powiedziałam mu.

No tak. Jego mina to potwierdziła. Nie wiedział o teście prawdopodobnie dlatego, że spał.

- Kiedy?
- Przed chwilą. Było ciężko, ale zdała.
- Bez wątplenia była szczęśliwa. Jednak... to daje nam trochę czasu, by oczyścić cię z zarzutów i sprowadzić do domu. Choć nie jestem pewny czy chciałbym wrócić do domu gdybym był tobą. – Znowu rozejrzał się po ogrodzie. – Zachodnia Wirginia jest dużo lepsza niż się spodziewałem.

Zaśmiałam się.

- To nie jest Zachodnia Wirginia – co w sumie nie jest takie złe. To jest Sonia Karp–

Zamarzłam nie będąc w stanie uwierzyć w to, co niemal powiedziałam. Byłam tak szczęśliwa, że go widzę, tak beztroska... że prawie pozwoliłam sobie znowu wszystko spieprzyć. Twarz Adriana stała się bardzo, bardzo poważna.

- Czy ty powiedziałaś Sonia Karp?

Kilka pomysłów rozbrzmiało w mojej głowie. Kłamanie było najłatwiejsze. Mogłam upierać się, że to miejsce w którym byłam dawno, dawno temu, które widziałam gdy na przykład zabrała nas na wycieczkę do swojego domu. To było dość marne. Dodatkowo, podejrzewałam, że moja mina aż krzyczała poczuciem winy. Ładne kłamstewko nie mogło oszukać Adriana.

- Tak – powiedziałam w końcu.
- Rose, Sonia Karp jest strzygą.
- Już nie.

Adrian westchnął.

- Wiedziałem, że ty trzymająca się z dala od kłopotów to zbyt piękne by mogło być prawdziwe. Co się stało?
- Um, Robert Doru przywrócił ją do życia.
- Robert – Adrian lekceważąco wydał wargi. Tych dwóch użytkowników ducha nie przepadało za sobą. – I tylko dlatego, że czuję się jakbyśmy stąpali po totalnie szalonym terenie – i to naprawdę coś znaczy, skoro nawet ja tak mówię – to przypuszczam także, że jest z tobą również Wiktor Daszkow.

Kiwnęłam głową, pragnąc rozpaczliwie by ktoś mnie obudził i zabrał z daleka od przesłuchania Adriana. Niech to cholera. Jak mogłam pozwolić by coś takiego mi się wymknęło?

Adrian uwolnił mnie i zaczął spacerować, zataczając małe kółka.

- Okej. Więc ty, Bielikow, alchemiczka, Sonia Karp, Wiktor Daszkow i Robert Doru spędzacie sobie razem czas w Zachodniej Wirginii.
- Nie – powiedziałam.
- Nie?
- My, uh, nie jesteśmy w Zachodniej Wirginii.
- Rose! – Adrian przerwał swój spacer i podszedł do mnie. – Więc gdzie ty do cholery jesteś? Twój staruszek, Lissa – wszyscy myślą, że jesteś bezpieczna i zdrowa.
- Jestem – powiedziałam z arogancją. – Tylko, że nie w Zachodniej Wirginii.
- Więc gdzie?
- Nie mogę... nie mogę ci powiedzieć. – Nienawidziłam mówić tych słów i patrzeć na efekty jakie u niego wywołują. – Częściowo dla bezpieczeństwa. A część dlatego, że... no cóż, ponieważ aktualnie nie wiem.

Wziął mnie za rękę.

- Nie możesz tego robić. Nie możesz teraz uciec z powodu jakiegoś szalonego kaprysu. Nie rozumiesz tego? Zabiją cię, jeśli cię znajdą.
- To nie jest szalony kaprys! Robimy coś ważnego. Coś, co pomoże nam wszystkim.
- Coś, o czym nie możesz mi powiedzieć – zgadł.
- Lepiej jeśli nie będziesz w to zaangażowany – powiedziałam mocno ściskając jego

- ręce. – Lepiej, jeśli nie będziesz znać szczegółów.
- A w międzyczasie mogę spać spokojnie, wiedząc, że twoje tyły ochrania elitarny zespół.
 - Adrian, proszę! Proszę, po prostu mi zaufaj. Zaufaj, że mam dobry powód – prosiłam.

Puścił moje ręce.

- Wierzę, że *myślisz*, że masz dobry powód. Po prostu nie mogę wyobrazić sobie czegoś, co usprawiedliwiłoby ryzykowanie twojego życia.
- To właśnie robię – byłam zaskoczona jak poważnie zabrzmiałam. – Niektóre rzeczy są tego warte.

Zakłócenia zamigotały w mojej wizji, jak śnieżący obraz w telewizji i świat zaczął przygasać.

- Co się dzieje? – zapytałam.

Zmarszczył brwi.

- Ktoś lub coś mnie budzi. Prawdopodobnie moja mama sprawdza mnie po raz tysięczny.

Sięgnęłam po niego, ale on już gasł.

- Adrian! Proszę nie mów nikomu! *Nikommu*.

Nie wiem czy usłyszał moja prośbę, czy nie, bo sen całkowicie zniknął. Obudziłam się w samochodzie. Moją natychmiastową reakcją była chęć przeklęcia, ale nie chciałam zdradzać się z idiotyczną rzeczą, którą zrobiłam. Rozglądając się dookoła, mało nie wyskoczyłam ze swojego siedzenia gdy zobaczyłam Sonię, która uważnie mi się przyglądała.

- Miałaś sen wywołany przez użytkownika ducha – powiedziała.
- Skąd wiesz?
- Przez twoją aurę.

Zrobiłam minę.

- Widzenie aur jest super, ale teraz zaczynają mnie już irytować.

Zaśmiała się delikatnie, co słyszałam to po raz pierwszy od czasu przywrócenia jej do życia.

- Udzielają wielu informacji, jeśli wiesz jak je odczytywać. Byłaś z Wasylisą?
- Nie. Z moim chłopakiem. On też jest użytkownikiem ducha.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- To z nim byłaś?
- Tak. A co? Coś nie tak?

Zmarszczyła brwi, wyglądając na zdezorientowaną. Kilka chwil później rzuciła szybkie spojrzenie na przednie miejsca, gdzie siedzieli Dymitr i Robert, a potem przyjrzała mi się bacznie, w sposób, który wywołał dreszcze spływające w dół mojego kręgosłupa.

- Nic – powiedziała. – Nic złego.

Zaszydziłam z tego.

- Przestań, to na pewno wyglądało jak...
- Tam – Sonia gwałtownie odwróciła się ode mnie, pochyliła do przodu i wskazała – Zjedź tutaj. Niemal minęliśmy zjazd i Dymitr musiał wykonać fantazyjny manewr – w rodzaju tych, jakie robił podczas naszej ucieczki z Pensylwanii – by udało mu się skrócić. Samochód szarpnął i wykonał gwałtowny zwrot. Usłyszałam za sobą krzyk Sydney.
- Małe ostrzeżenie następnym razem byłoby pomocne – zauważył Dymitr.

Sonia nie słuchała. Jej wzrok był całkowicie skupiony na drodze, w którą zjechaliśmy. Staliśmy na czerwonym świetle, gdy zauważyłam radosny znak: WITAJCIE W ANN ARBOR, MICHIGAN. Przebliski życia, które w niej zauważyłam chwilę temu, zniknęły. Sonia wróciła do swojego napiętego, prawie automatycznego ja. Pomimo zręcznych negocjacji Sydney, Sonia wciąż czuła się niekomfortowo z powodu tej podróży. Wciąż czuła się winna i dwulicowa.

- Jesteśmy na miejscu? – zapytałam z zapalem – I jak długo byliśmy w trasie? – Ledwie zauważyłam podróż. Byłam przytomna przez pierwszą część, ale reszta była niewyraźną plamą Lissy i Adriana.
- Sześć godzin – powiedział Dymitr.
- Skręć w lewo na drugich światłach – powiedziała Sonia. – A teraz na zakręcie w prawo.

Napięcie wypełniało samochód. Nikt już nie spał, moje serce biło gwałtownie gdy wjeżdżaliśmy głębiej i głębiej w przedmieścia. Który to dom? Czy byliśmy blisko? Czy to któryś z tych? Jechaliśmy szybko, ale mimo to podróż wydawała się trwać wieczność. Wszyscy zrobiliśmy wspólny wydech, gdy Sonia nagle wskazała.

- Tutaj.

Dymitr wjechał na parking słodkiego, ceglanego domku z idealnie przystrzyżonym trawnikiem.

- Jesteś pewna, że twoi krewni wciąż tu mieszkają? – zapytałam Sonię. Nie odezwała się a ja zdałam sobie sprawę, że znów wchodzimy na teren obietnicy. Mechanizm zamknięty. To tyle jeśli chodzi o postępy. – Domyślam się, że jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć – powiedziałam rozpinając klamrę mojego pasa bezpieczeństwa. – Taki sam plan?

Dymitr i dyskutowaliśmy wcześniej o tym kto powinien pójść, a kto zostać, gdy Sonia doprowadzi nas na miejsce. Zostawienie braci na zewnątrz było oczywistą decyzją. Pytanie tylko, kto powinien ich pilnować. Zdecydowaliśmy, że Dymitr zostanie z nimi, podczas gdy Sydney i ja pójdziemy z Sonią odwiedzić jej krewnych – którzy będą niewątpliwie w domu podczas tej szokującej wizyty.

- Taki sam plan – zgodził się Dymitr. – Ty idziesz do domu. Wyglądasz na mniej groźną.
- Hej!

Uśmiechnął się

- Powiedziałem 'wyglądasz'.

Jego rozumowanie miało sens. Nawet gdy był tak spokojny, było coś potężnego i przerażającego w Dymitrze. Trzy kobiety stojące w drzwiach przeraziłyby ich mniej – zwłaszcza, gdyby okazało się że krewni Soni przeprowadzili się. Cholera, o ile wiem to mogła celowo zaprowadzić nas do złego domu.

- Bądź ostrożna – powiedział Dymitr, gdy wysiedliśmy z samochodu.
- Ty też – odpowiedziałam.

Posłał mi kolejny uśmiech, tym razem cieplejszy i głębszy. Uczucia, które mieszały się we mnie odplynęły, kiedy razem z Sonią i Sydney ruszyliśmy chodnikiem. Moja klatka piersiowa naprężyła się. To było to. Ale czy na pewno? Czy właśnie mieliśmy dotrzeć do celu naszej podróży? Czy naprawdę znaleźliśmy ostatniego Dragomira, na przekór wszystkim przeciwnościom? A może byłam oszukiwana od samego początku?

Nie byłem jedyną zdenerwowaną. Mogłam poczuć jak Sydney i Sonia trzeszczą ze zdenerwowania. Doszliśmy do frontowych schodów. Wzięłam głęboki oddech i zadzwoniłam dzwonkiem. Kilka sekund później mężczyzna otworzył nam drzwi – był morojem. Obiecujący znak. Spojrzał na nasze twarze, bez wątplenia zastanawiając się co moroj, dampir i człowiek robią u progu jego domu. To brzmiało jak początek kiepskiego dowcipu.

- Mogę w czymś pomóc? – zapytał.

Nagle byłem w rozterce. Nasz plan obejmował wielką rzecz: znaleźć kochankę Erika i dziecko miłości (to taki eufemizm na nieślubne dziecko – przyp. Czarna). To co powinnyśmy powiedzieć, gdy już się tutaj znajdziemy, nie było do końca jasne. Czekalam aż jedna z moich towarzyszek zacznie mówić, ale nie było takiej potrzeby. Głowa moroja nagle przekreśliła się do mnie, gdy rzucał nam ponowne spojrzenie.

- Sonia! – złapał z trudem powietrze. – Czy to ty?

I wtedy usłyszałam wołający za nim młody, kobiecy głos.

- Hej, kto to?

Ktoś przecisnął się obok niego, ktoś wysoki i szczupły – ktoś, kogo znałam. Wstrzymałam oddech, wpatrując się w fale niesfornych, jasnobrązowych włosów i świetlisto zielone oczy – oczy, które powinny mnie naprowadzić dawno temu. Nie byłam w stanie się odezwać.

– Rose! – wykrzyknęła Jill Mastrano. – Co ty tutaj robisz?

Tłumaczenie: Czarna_wilczyca

Korekta: Tusia13pl

Rozdział dwudziesty trzeci

TE KILKA SEKUND CISZY wydawały się trwać wieczność. Wszyscy byliśmy zdezorientowani, każdy z innego powodu. Początkowe zaskoczenie Jill zostało zabarwione podnieceniem, lecz, gdy jej wzrok wędrował z twarzy na twarz, jej uśmiech gasł do czasu aż wyglądała na równie zdezorientowaną jak reszta z nas.

- Co się dzieje? – zapytał nowy głos. Chwilę później Emily Mastrano pojawiła się obok córki. Spojrzała z ciekawością na mnie i Sydney, po czym z trudem złapała oddech gdy spostrzegła kto jest trzecim członkiem grupy. – Sonia! – Emily pociągnęła Jill do tyłu, a jej twarz wypełniła się paniką. Emily nie była szybka jak strażnik, ale i tak podziwiałam jej reakcję.
- Emily...? – głos Sonii był bardzo cichy, niemal na skraju załamania. – To...to ja...to *naprawdę* ja...

Emily próbował wciągnąć do środka także mężczyznę, ale przestała, gdy tylko dobrze przyjrzała się Sonii. Tak jak każdy inny i Emily dostrzegła to, co było oczywiste. Sonia nie miała żadnych cech strzygi, a w dodatku była na zewnątrz, wystawiona na światło dzienne. Emily zachwiała się i otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale jej wargi nie całkiem sobie z tym radziły. W końcu odwróciła się do mnie.

- Rose... co się dzieje?

Byłam zaskoczona, że mogła mnie uznać za autorytet, zarówno dlatego że spotkałyśmy się tylko raz, jak i dlatego, że sama nie byłam pewna co się dzieje. Zajęło mi chwilę zanim wydobyłam z siebie głos.

- Myślę... myślę, że powinniśmy wejść do środka...

Spojrzenie Emily powędrowało do Sonii. Jill próbowała się precyzyjnie, by zobaczyć o co był ten cały dramat, ale Emily wciąż blokowała drzwi, wciąż nie do końca przekonana, że jest bezpiecznie. Nie mogłam jej za to winić. W końcu powoli kiwnęła głową i przesunęła się robiąc nam miejsce. Oczy Sydney powędrowały do samochodu, gdzie czekali na nas Wiktor, Robert i Dymitr.

- Co z nimi? – zapytała mnie.

Zawahałam się. Chciałam by Dymitr był ze mną, gdy będę zrzucała bombę, ale Emily mogła nie być w stanie poradzić sobie z więcej niż jedną rzeczą na raz. Moroje nie musieli należeć do królewskich kręgów, by wiedzieć kim jest Wiktor Daszkow i jak wygląda. Nasza wycieczka do Las Vegas była tego dowodem. Potrząsnęłam głową w kierunku Sydney.

- Mogą poczekać.

Usiedliśmy w rodzinnym salonie i dowiedzieliśmy się, że facet który otworzył nam drzwi to mąż Emily, John Mastrano. Mama Jill zachowywała pozory proponując nam napoje, jakby to

była zupełnie zwyczajna wizyta, jednak wyraz jej twarzy potwierdzał, że ciągle była w szoku. Podała nam szklanki z wodą, a jej twarz była przy tym tak blada, że mogłaby być strzygą.

John oparł dłoń o Emily tak by usiadła. Wciąż posyłał nam ostrożne spojrzenia, ale w stosunku do niej był czuły i troskliwy.

- Co się dzieje?

Oczy Emily nadal były oszołomione

- Ja...nie wiem. To jest moja kuzynka... ale ja nie rozumiem jak... – Z powrotem popatrzyła na mnie, Sydney i Sonię. – Jak to jest możliwe? – jej głos drżał.
- To była Lissa, nieprawdaż? – wykrzyknęła Jill, która bez wątplenia знаła okropną historię swojej krewnej. Z pewnością była wstrząśnięta i trochę zdenerwowana, ale podniecenie wywoływało w niej poruszenie. – Słyszałam o tym co stało się z Dymitrem. To prawda, zgadza się? Lissa może leczyć strzygi. Uratowała go! Uratowała... – Jill odwróciła się do Sonii i jej entuzjazm nieco osłabł. Domyślałam się jakie historie słyszała o Sonii. – I uratowała ciebie.
- Lissa tego nie zrobiła – powiedziałam. – Zrobił to inny użytkownik ducha.

Jej twarz pojaśniała

- Adrian? – zapomniałam o jej podkochiwaniu się w nim.
- Nie... ktoś inny. To nie jest ważne – dodałam pospiesznie. – Sonia... cóż, jest znowu morojką. Jest trochę zdezorientowana i nie czuje się do końca sobą.

Sonia chłonęła wzrokiem swoją kuzynkę, ale w tym momencie odwróciła się do mnie z cierpkim uśmiechem.

- Sama mogę za siebie mówić, Rose.
- Wybacz – powiedziałam.

Emily odwróciła się do Sydney i zmarszczyła brwi. Były sobie przedstawione, ale nic więcej.

- Dlaczego tu jesteś? – Emily nie musiała mówić tego co naprawdę miała na myśli. Chciała wiedzieć, co tu robi człowiek. – Jesteś karmicielem?
- Nie! – wykrzyknęła Sydney, zrywając się ze swojego miejsca obok mnie na małej, dwuosobowej kanapie. Nigdy nie widziałam u niej tak wielkiego oburzenia i wstrętu. – Powiedz to jeszcze raz, a na pewno stąd wyjdę! Jestem alchemiczką.

Sydney spotkała się ze zmieszonym spojrzeniem, a ja pociągnęłam ją z powrotem na siedzenie.

- Spokojnie, dziewczyno. Nie sędzę, żeby wiedzieli kim są alchemicy. – Potajemnie się z tego cieszyłam. Kiedy po raz pierwszy odkryłam alchemików, czułam się jak ostatni człowiek na ziemi, który się o tym dowiaduje. Dobrze było wiedzieć, że inni też nie byli w obiegu. Nie komplikując spraw, wyjaśniłam Emily – Sydney nam pomaga.

Łzy wypełniły niebieskie oczy Emily, gdy odwróciła się do kuzynki. Emily Mastrano była jedną z najbardziej olśniewających kobiet jakie spotkałam. Nawet łzy wyglądały na niej pięknie.

- To naprawdę ty, prawda? Przywrócili cię mi z powrotem. O Boże. –Kobieta wstała i podeszła by mocno uściskać swoją kuzynkę. – Tak bardzo za tobą tęskniłam. Nie mogę w to uwierzyć.

Niemal sama się rozplakałam, ale stanowczo przypominałam sobie, że jestem tu z misją. Wiem jak zaskakujące to wszystko było. Właśnie przewróciliśmy świat rodziny Mastrano do góry nogami... a mimo to, sprawy wciąż była o wiele bardziej skomplikowane. Nienawidziłam tego robić. Chciałam by mieli czas, którego potrzebowali by przygotować się do świętowania cudu, jakim był powrót Sonii. Ale zegar na Dworze – i w moim życiu – tykał.

- Przywieźliśmy ją... – powiedziałam w końcu. – Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego tu jesteśmy.

Nie wiem co zdradził mój głos, ale Emily zeszytniała, odsunęła się od Sonii i usiadła obok męża. W jakiś sposób, w tym momencie wiedziałam, że zna powód dla którego tu jesteśmy. Mogłam dostrzec w jej oczach obawę – jakby bała się takiej wizyty od lat i wyobrażała ją sobie tysiące razy. Wyrzuciłam z siebie.

- Wiemy... wiemy o Ericu Dragomirze.
- Nie – powiedziała Emily. Jej głos był mieszanką szorstkości i rozpacz. Jej zawzięty ton był podobny do tonu Sonii, gdy początkowo odmawiała nam pomocy. – Nie. Nie zrobimy tego.

W chwili gdy zobaczyłam oczy Jill, wiedziałam że trafiliśmy w dobre miejsce. Słowa Emily – a co ważniejsze, brak zaprzeczenia z jej strony – potwierdziły to.

- Musimy – powiedziałam – to ważne.

Emily odwróciła się do Sonii.

- Obiecałaś! Obiecałaś, że nikomu nie powiesz!
- Nie powiedziałam – odpowiedziała Sonia, ale jej twarz wyrażała wcześniejsze wątpliwości.
- Nie zrobiła tego – powiedziałam stanowczo, mając nadzieję, że uspokoję je obie. – Trudno to wytłumaczyć... ale dotrzymała obietnicy.
- Nie – powtórzyła Emily. – To się nie dzieje. Nie możemy o tym rozmawiać.
- Co... co się dzieje? – domagał się John. Gniew zapłonął w jego oczach. Nie podobało mu się, że obcy martwią jego żonę.

Skierowałam swoje słowa do Emily.

- *Musimy* o tym porozmawiać. Proszę. Potrzebujemy twojej pomocy. Potrzebujemy *jej* pomocy – wykonałam gest w kierunku Jill.

- Co masz na myśli? – zapytała Jill. Wcześniejsze iskry entuzjazmu zniknęły, oziębione reakcją jej matki.
- Chodzi o twojego... – zatrzymałam się. Rzuciłam się w wir tej sprawy gotowa znaleźć rodzeństwo Lissy – jej siostrę, jak już wiedzieliśmy – prawie nie myśląc o konsekwencjach.

Powinniśmy wiedzieć, że to było trzymane w tajemnicy przed wszystkimi – włączając w to dziecko, o którym mowa. Nie wzięłam pod uwagę, jaki to dla niej będzie szok. To nie był jakiś przypadkowy nieznajomy. To była Jill. *Jill*. Moja przyjaciółka. Dziewczyna, która była jak młodsza siostra dla nas wszystkich, dziewczyna, o którą się troszczyliśmy. Co ja zamierzałam jej zrobić? Patrząc na Johna zdałam sobie sprawę, że sprawa była jeszcze gorsza. Czy Jill myślała, że on jest jej ojcem? Ta rodzina miała zostać dogłębnie wstrząśnięta – a ja byłam za to odpowiedzialna.

- Nie rób tego! – krzyknęła Emily, wstając gwałtownie. – Wynoście się! Wszyscy! Nie chcę was tutaj!
- Pani Mastrano... – błagałam. – Nie możesz udawać, że nic się nie dzieje. Musisz stawić temu czoło.
- *Nie!* – wskazała drzwi. – Wynoście się. Wynoście się albo... albo wezwę policję. Albo strażników! Ty... – Doznała teraz nagłego przebłysku uświadomienia, gdy minął szok z powodu spotkania z Sonią. Wiktor nie był jedynym kryminalistą, na którego uważali moroje. – Jesteś uciekinierką! Morderczynią!
- Nie jest! – rzuciła Jill pochylając się do przodu. – Mówiłam ci mamo. Mówiłam ci wcześniej, że to pomyłka.
- Wynoście się – powtórzyła Emily
- Wyrzucenie nas nie zmieni prawdy – powiedziałam, zmuszając się do zachowania spokoju.
- Czy ktokolwiek mógłby mi powiedzieć, co tu się *do cholery* dzieje? – twarz Johna była czerwona, gniewna i obronna. – Jeśli w ciągu trzydziestu sekund nie dostanę odpowiedzi, dzwonię na policję i po strażników.

Obejrzałam się na Jill i nie mogłam wykrztusić słowa. Nie wiedziałam jak najbardziej taktownie powiedzieć to, co musiałam. Sydney jednakże nie miała tego problemu.

- On nie jest twoim ojcem – powiedziała otwarcie, wskazując na Johna. W pokoju zapanowała krótka cisza. Jill wyglądała na niemal rozczerowaną, jakby miała nadzieję na bardziej ekscytujące wieści.
- Wiem o tym. Jest moim ojczymem. Albo właściwie moim ojcem, jeśli o mnie chodzi.

Emily ponownie opadła na kanapę, kryjąc twarz w dłoniach. Wydawała się płakać, ale byłam całkiem pewna, że w każdej chwili mogła się zerwać i wezwać o władze.

- Racja. Nie jest twoim biologicznym ojcem – powiedziałam, patrząc uważnie na Jill. *Oczy. Jak mogłam nigdy nie zauważyć tych oczu?* – Eric Dragomir nim jest.

Emily wydała z siebie cichy lament.

- Nie – błagała. – Proszę nie rób tego.

Gniew Johna przeszedł w zakłopotanie, które wydawało się być w modzie w tym pokoju.

- *Czego?*
- To... nie – Jill powolnie potrząsnęła głową. – To niemożliwe. Mój ojciec był... był po prostu jakimś gościem, który od nas uciekł.

Pod pewnymi względami przypuszczałam, że to nie różniło się zbytnio od prawdy.

- To był Eric Dragomir – powiedziałam. – Jesteś częścią ich rodziny. Siostrą Lissy. Jesteś... – zaskoczyłam samą siebie uświadamiając sobie, że muszę patrzeć na Jill w nowy sposób. – Jesteś członkiem rodziny królewskiej.

Jill zawsze była pełna energii i optymizmu, otaczając się naiwną nadzieją i czarem. Ale teraz jej twarz była ponura i poważna, sprawiając, że wyglądała na więcej niż swoje piętnaście lat.

- Nie. To jakiś żart. My ojciec był... szumowiną. Ja nie... nie, Rose, przestań.
- Emily – wzdrygnęłam się na głos Sonii, zaskoczona tym, że się odzywa. Jeszcze bardziej zaskoczył mnie wyraz jej twarzy. Apodyktyczny. Poważny. Zdecydowany. Sonia była młodsza od Emily o... ile? Jeśli miałabym zgadywać, powiedziałabym, że o dziesięć lat. Ale Sonia posłała swojej kuzynce takie spojrzenie, że Emily wyglądała jak nieposłuszne dziecko. – Emily, czas by dać sobie z tym spokój. Musisz jej powiedzieć. Na litość boską, musisz powiedzieć Johnowi. Nie możesz dłużej w sobie tego dusić.

Emily spojrzała do góry i spotkała oczy Sonii.

- Nie mogę tego powiedzieć. Wiesz, co się stanie... Nie mogę jej tego zrobić.
- Nikt z nas nie wie, co się stanie – powiedziała Sonia. – Ale sprawy staną się jeszcze gorsze, jeśli teraz nie przejmiesz kontroli.

Po długiej chwili, Emily w końcu opuściła wzrok i zaczęła wpatrywać się w podłogę. Smutek. Smutek na jej twarzy łamał mi serce. I nie tylko moje.

- Mamo? – zapytała Jill drżącym głosem. – Co się stało? To jakieś wielkie nieporozumienie, prawda?

Emily westchnęła i spojrzała na córkę.

- Nie. Jesteś córką Erica Dragomira. Rose mówi prawdę. – John wydał z siebie stłumiony dźwięk, ale nie przerwał żonie. Ponownie ścisnęła jego rękę. – To co mówiłam wam przez lata... było prawdą. W większości. Mieliśmy tylko krótkotrwały... związek. Niezupełnie przeciętny, ale krótki. – Przerwała na chwilę i spojrzała tym razem na Johna, a wyraz jej twarzy złagodniał. – Mówiłam ci...

Przytaknął.

- A ja ci powiedziałem, że przeszłość nie ma dla mnie znaczenia. Nigdy nie będzie mieć wpływu na to co czuję do ciebie i Jill. Ale nigdy nie wyobrażałem sobie...
- Dla mnie też nie – zgodziła się. – Nawet nie wiedziałam kim jest, gdy po raz pierwszy się spotkaliśmy. To było wtedy, gdy żyłam w Las Vegas i dostałam swoją pierwszą pracę, tańcząc w show w *Witching Hour*.

Moje oczy się rozszerzyły, ale nikt nie wydawał się tego zauważyć. *Witching Hour*. Gdy moi przyjaciele i ja byliśmy w tym kasynie poszukując Roberta, pewien mężczyzna żartował o tym, jak ojciec Lissy interesował się tancerkami. Wiedziałam, że Emily pracowała teraz w balecie w Detroit i dlatego żyli w Michigan.

Nigdy bym jednak nie zgadła, że zaczynała jako tancerka w show, w Las Vegas, przyodziana w pióra i cekiny. Chociaż, czemu nie? Mogła zaczynać gdziekolwiek. Ze swoim wzrostem i gracją nadawała się do każdego rodzaju tańca.

- Był taki słodki... i smutny – kontynuowała Emily. – Jego ojciec właśnie zmarł i był tam po części po to, by utopić swoje smutki. Rozumiałam wtedy jak załamała go ta śmierć, ale teraz... cóż, naprawdę *zrozumiałam*. To była kolejna strata w jego rodzinie. Liczba jej członków spadała. – Zmarszczyła brwi w zamyśleniu i wzruszyłam ramionami. – Był dobrym człowiekiem i sądzę, że naprawdę kochał swoją żonę. Ale był w głębokim dołku. Nie sądzę, że mnie wykorzystał. Troszczył się o mnie, chociaż wątpię by to, co wydarzyło się między nami, mogło się powtórzyć w innych okolicznościach. W każdym razie, nie miałam żalu co do sposobu, w jaki skończyły się między nami sprawy i byłam gotowa ruszyć dalej ze swoim życiem... do czasu, gdy pojawiła się Jill. Skontaktowałam się z Erickiem, bo uważałam, że powinien wiedzieć – chociaż jasno dałam mu do zrozumienia, że niczego od niego nie oczekuję. A wiedząc już wtedy kim jest, *nie chciałam* nic od niego. Sądzę, że gdybym mu pozwoliła to mógłby cię uznać i odgrywać rolę w twoim życiu – oczy Emily spoczywały teraz na Jill. – Ale widziałam jaki jest ten świat. Życie na Dworze to polityka, kłamstwa i wbijanie noża w plecy. W końcu jedyną rzeczą jaką od niego przyjął był pieniądze, chociaż dalej tego nie chciałam. Nie chciałam czuć się tak, jakbym go szantażowała, ale *chciałam* mieć pewność, że twoja przyszłość jest bezpieczna.

Odezwałam się, zanim pomyślałam.

- Nie wyglądasz jakbyś żyła wykorzystując te pieniądze – pożałowałam tych słów, jak tylko wyszły z moich ust. Ich dom był perfekcyjnie miły i daleko mu było do dna nędzy, ale nie pasował także do funduszy jakie widziałam na koncie bankowym.
- Nie wykorzystuję ich – powiedziała Emily. – W razie nagłych wypadków są oczywiście pod ręką, ale przeważnie odkładałam je na przyszłość dla Jill, aby mogła z nimi zrobić cokolwiek będzie chciała.
- Co masz na myśli? – zapytała przerażona Jill. – O jakich pieniądzach ty mówisz?
- Jesteś spadkobierczynią – powiedziałam. – I *arystokratką*.
- Nie jestem żadnym z powyższych – powiedziała. Rozglądała się oszalała po naszych twarzach. Przypominała mi jelenia gotowego rzucić się do ucieczki. – To pomyłka.

Wszyscy się mylicie.

Emily wstała i podeszła do krzesła Jill, klękając przed nią i biorąc ją za rękę.

- To wszystko prawda. Przepraszam, że musiałaś dowiedzieć się o tym w taki sposób. Ale to nic nie zmienia. Nasze życie się nie zmieni. Będziemy żyć tak, jak do tej pory.

Ogrom uczuć wyolbrzymił cechy Jill – zwłaszcza strach i zmieszanie. Pochyliła się i ukryła twarz w ramionach matki w akceptacji.

- Dobrze.

To była wzruszająca chwila i po raz kolejny o mało się nie rozplakałam. Miałam swoje własne doświadczenia w rodzinnym dramacie i kwestii rodziców. Tak jak wcześniej chciałam by rodzina Mastrano miała ten moment dla siebie – ale nie mogli.

- Nie możecie – powiedziałam im. – Nie możecie wrócić do tego co było. Jill... Jill musi pojechać na Dwór.

Emily kurczowo przyciągnęła do siebie córkę i spojrzała na mnie. Raptem chwilę temu Emily była pełna żalu i bólu, a teraz widziałam wielki gniew i zaciekłość. Jej niebieskie oczy były jak ciskająca we mnie błyskawicami burza.

- *Nie*. Nie pojedzie tam. Nigdy tam nie pojedzie.

Jill już zwiedzała Dwór, ale obie z Emily wiedziałyśmy, że nie chodzi tu o przypadkową wycieczkę ze zwiedzaniem. Jill musiała się tam zjawić ze swoją prawdziwą tożsamością. Cóż – może *prawdziwą* nie był dobrym słowem. Bycie legalnym członkiem rodziny królewskiej nie było częścią jej charakteru, jeszcze nie. Była tym, kim była zawsze, ale jej nazwisko się zmieniło. Ta zmiana musi zostać potwierdzona. Morojski Dwór będzie wstrząśnięty.

- Musi – powiedziałam. – Dwór jest skorumpowany, a udział Dragomirów w grze może pomóc w rozwiązaniu wielu spraw. Lissa nie ma siły przebiccia bez rodzinnego kworum. Pozostali członkowie rodzin królewskich... zdeptają ją. Zamierzają przepchnąć ustawy, które nie pomogą nikomu z nas.

Emily nadal klęczał przed krzesłem, ochraniając Jill przed moimi słowami.

- I właśnie dlatego Jill nie może jechać. To dlatego nie pozwoliłam Ericowi jej uznać. Nie chcę żeby Jill się w to angażowała. To miejsce jest trucizną, czego dowodem jest zamordowanie Tatiany. – Emily przerwała i rzuciła mi ostre spojrzenie, przypominając mi, że to ja byłam główną podejrzaną. Najwyraźniej nie mieliśmy tego jeszcze za sobą. – Wszyscy ci arystokraci...są bezwzględni. Nie chcę by Jill stała się jedną z nich. Nie *pozwole* jej stać się jedną z nich.
- Nie wszyscy arystokraci są tacy – sprzeczałam się – Lissa nie jest. Ona próbuje zmienić system.

Emily posłała mi gorzki uśmiech.

- A jak myślisz, co inni sądzą o jej reformach? Jestem pewna, że są arystokraci, którzy ucieszyliby się widząc jak została uciszona, arystokraci, którzy nie chcą widzieć jak jej rodzina się odradza. Mówiłam ci: Eric był dobrym człowiekiem. Czasem myślę, że to wcale nie był zbieg okoliczności, że ich rodzina wymarła.

Rozdziawiłam usta.

- To śmieszne. – Jednak nagle przestałam być tego taka pewna.
- Na pewno? – Oczy Emily spoczywały na mnie, jak gdyby odgadywały moje wątpliwości. – Jak myślisz, co by zrobili, gdyby pojawił się inny Dragomir? Ludzie z opozycji Wasylisy? Jak myślisz, co by zrobili, gdyby tylko jeden człowiek stał między nimi, a siłą jej rodziny?

Jej sugestia była szokująca... wiedziałam, że to nie jest niemożliwe. Patrząc na Jill poczułam pustkę i ucisk żołądka. Na co ja chciałam ją narazić? Słodka, niewinna Jill. Ta dziewczyna chciała życia pełnego przygód i rozmów z facetami bez zaczerwienienia się. Jej pragnienie nauczenia się walki było na wpół–młodzieńczę, a na wpół–instynktowną chęcią obrony jej bliskich. Wejście w arystokratyczny świat technicznie też mogło jej pomóc – chociaż nie w sposób, w jaki kiedykolwiek by oczekiwała. To mogło oznaczać zwiążanie się z ciemną złowrogą naturą, która czasami napełniała Dwór.

Emily wydawała się odczytać moje milczenie jako potwierdzenie. Mieszanina triumfu i ulgi przebiegła przez jej twarz, ale to wszystko zniknęło, gdy nagle odezwała się Jill.

- Zrobię to.

Wszyscy się odwróciliśmy, wpatrując się w nią. Do tej pory odnosiłam się do niej z współczuciem, myśląc o niej jak o ofierze, jednak teraz byłam zaskoczona jak odważnie i stanowczo wyglądała. Wyraz jej twarzy wciąż był podkreślony odrobiną strachu i szoku, ale była w niej nieugiętość, której nigdy wcześniej nie widziałam.

- Co? – wykrzyknęła Emily.
- Zrobię to – powtórzyła mocniejszym głosem. – Pomogę Lissie i... i Dragomirom. Wrócę z Rose na Dwór.

Zdecydowałam, że wzmianka o moich problemach z dostaniem się gdziekolwiek w pobliże Dworu nie była ważna w tej chwili. Szczerze mówiąc, właśnie osiągnęłam punkt, w którym zaczynała się moja improwizacja, jednakże ulżyło mi, gdy furia Emily odsunęła się ode mnie.

- Nie zrobisz tego! Nie pozwolę ci się tam zbliżyć.
- Nie możesz podejmować tego wyboru za mnie! – zawołała płacząco Jill. – Nie jestem dzieckiem.
- Ale z pewnością nie jesteś też dorosła – odparła Emily.

Ta dwójka zaczęła się sprzeczać tam i z powrotem, aż wkrótce John poparł swoją żonę. W trakcie sprzeczki rodzinnej Sydney pochyliła się do mnie i wyszeptwała:

- Założę się, że nigdy nie pomyślałaś, że najtrudniejszą rzeczą w znalezieniu swojego „zbawcy” będzie namówienie jej mamy, aby pozwoliła jej przebywać poza domem po godzinie policyjnej.

Niestety jej żart po części okazał się prawdą. Potrzebowaliśmy Jill, a ja z pewnością, nie przemyślałam tej komplikacji. Co jeśli Emily odmówi? Najwidoczniej trzymanie spadku Jill w tajemnicy było czymś, do czego była całkiem stanowcza przez jakiś czas – powiedzmy, przez jakieś piętnaście lat. Miałam wrażenie, że gdyby musiało do tego dojść, Jill nie miałaby nic przeciwko ucieczce do Dworu. A ja nie miałabym nic przeciwko pomaganiu jej.

Po raz kolejny Sonia niespodziewanie wtrąciła się w ich konwersację.

- Emily, nie słyszałaś mnie? To wszystko stanie się za twoją zgodą lub bez niej. Jeśli nie pozwolisz pojechać Jill teraz, zrobi to w przyszłym tygodniu. Albo za rok. Albo za pięć lat. Rzecz w tym, że to się *stanie*.

Emily wróciła na krzesło, marszcząc czoło.

- Nie, nie chcę tego.

Ładna twarz Sonii zgorzkniała.

- Niestety, życie nie wydaje się zważać na to czego chcemy. Działaj teraz, dopóki możesz powstrzymać to przed staniem się katastrofą.
- Proszę, mamó – błagała Jill.

Jej jadeitowe oczy Dragomirów czule przyglądały się Emily. Wiedziałam, że Jill mogła być nieposłuszna i uciec – ale nie chciała tego robić, jeśli nie zostałyby zmuszona. Emily wpatrywała się w przestrzeń pustymi, pokonanymi oczami, które otaczały długie rzęsy. I mimo, że krzyżowała moje plany, wiedziałam, że robi to w wyniku prawdziwej miłości i niepokoju – w wyniku cech, które prawdopodobnie przyciągnęły do niej Erica.

- Dobrze – powiedziała w końcu Emily, wzdychając. – Jill może jechać, ale ja też jadę. Nie stawisz czoła temu miejscu beze mnie.
- Ani mnie – powiedział John.

Wciąż wyglądał na zdumionego, ale był zdeterminowany by wesprzeć swoją żonę i pasierbicę. Jill przyjrzała się obojgu z wdzięcznością, przypominając mi, że właśnie zmieniłam sprawnie funkcjonującą rodzinę w dysfunkcyjną. Emily i John jadący z nami nie byli częścią mojego planu, ale nie mogłam ich winić i udawać, że nie widzę jaką szkodę ponieśli. I tak potrzebowaliśmy Emily do powiedzenia wszystkim o Ericu.

- Dziękuję – powiedziałam. – Bardzo wam dziękuję.

John spojrział na mnie.

- Wciąż nie zajęliśmy się faktem, że w naszym domu jest uciekinier.
- Rose tego nie zrobiła. – W Jill wciąż była gwałtowność. – To była zasadzka.

- Była – powiedziałam, wahając się przy kolejnych słowach. – Prawdopodobnie zorganizowana przez opozycję Lissy.

Emily zbladła, ale czułam potrzebę szczerości, nawet gdyby to miało potwierdzić jej strach przede mną.

- Wierzę ci. Wierzę, że tego nie zrobiłaś. Nie wiem dlaczego... ale wierzę. – Prawie się uśmiechnęła. – Nie, wiem dlaczego To przez to, co powiedziałam wcześniej o żmijach na Dworze. To oni mogli zrobić coś takiego. Nie ty.
- Jesteś pewna? – spytał niepewnie John. – Ten bałagan z Jill jest wystarczający bez przetrzymywania w naszym domu kryminalistki.
- Jestem pewna – powiedziała Emily. – Sonia i Jill ufają Rose, ja też. Jesteście wszyscy mile widziani, by zostać w naszym domu dziś wieczorem. Nie moglibyśmy raczej teraz wyruszyć do Dworu.

Otworzyłam usta by powiedzieć, że z całą pewnością możemy wyruszyć już teraz, ale Sydney ostro zdzieliła mnie łokciem.

- Dziękujemy, pani Mastrano – powiedziała, zbierając się na alchemicką dyplomację. – To byłoby miłe.

Powstrzymałam grymas niezadowolenia. Czas mnie naglił, ale wiedziałam, że rodzina Mastrano ma prawo do przygotowań. Prawdopodobnie lepszym pomysłem było też podróżowanie w ciągu dnia. Pobieżna kontrola mojej mentalnej mapy sprawiła, że pomyślałam, że drogę do Dworu mogliśmy przebyć w ciągu jednego dnia. Skinęłam głową zgadzając się z argumentem Sydney i godząc się na nocowanie w domu Mastranów.

- Dziękuję. Doceniamy to. – Nagle coś przyszło mi do głowy, przywołując słowa Johna. *Ten bałagan z Jill jest wystarczający bez przetrzymywania w naszym domu kryminalistki.* Posłałam Emily na tyle przekonujący i dodający otuchy uśmiech, na jaki było mnie stać. – My, um, mamy ze sobą kilku przyjaciół czekających w samochodzie...

Tłumaczenie: Czarna_wilczyca

Korekta: Tusia13pl

Rozdział dwudziesty czwarty

UWZGLĘDNIAJAC ICH WCZEŚNIEJSZY antagonizm, byłam nieco zaskoczona, gdy Sonia i Robert połączyli swoje moce do stworzenia iluzji dla braci Daszkow. To trochę przyćmiło ich postacie, a dodając do tego fałszywe imiona, rodzina Mastranów właśnie przyjęła gości, którzy byli częścią naszej, coraz bardziej dziwacznej, świty. Biorąc pod uwagę zagrożenia, które już były w domu, grupka ludzi nie wydawała się ostatnim problemem rodziny Mastranów.

Granie dobrych morojskich gospodarzy nie kończyło się tylko na ugotowaniu obiadu. Emily zadbała o to by zdobyć coś w stylu „dostawy karmicieli”. Zwykle moroje, którzy żyli poza terenem chronionym i wtapiali się w ludzi, mieli dostęp do tajnych dostawców, mieszkających w pobliżu. Zazwyczaj karmiciele mieli opiekunów w postaci morojów, którzy zarabiali pieniądze na ich usłudze. Powszechne było wśród morojów, by po prostu pojawiali się w domu „właściciela” karmiciela, ale w tym przypadku Emily zawarła pewne układy po to, by karmiciel przybywał do jej domu.

Robiła to jako uprzejmość dla jakichkolwiek morojskich gości – nawet tych którzy przynosili jej wieści, których bała się otrzymać przez większość życia. Nie miała pojęcia z jaką desperacją została powitana krew przez morojów, których przyprowadziliśmy ze sobą. Nie obchodzili mnie bracia, którzy cierpieli z powodu słabości, ale Sonia zdecydowanie potrzebowała krwi, jeśli zamierzała dalej powracać do zdrowia. W rzeczy samej, gdy przybył karmiciel, Sonia była pierwsza do picia. Dymitr i ja musieliśmy trzymać się z daleka od piętra. Sonia i Robert utrzymywali moc ducha jedynie na poziomie ukrywania tożsamości Roberta i Wiktora przed karmicielami morojów, co było koniecznością. Ukrywanie mnie i Dymitra było by zbyt wielkim wyzwaniem, zważając na fakt, że posiadaliśmy statusy najbardziej poszukiwanych. Niezbędne było byśmy nie podejmowali jakiegokolwiek ryzyka. Pozostawienie braci Daszkow bez nadzoru sprawiło, że wraz z Dymitrem byliśmy zdenerwowani, ale ich dwójka zdawała się tak rozpaczliwie pragnąć krwi, że nie wydawali się czegokolwiek próbować.

I tak oboje chcieliśmy doprowadzić się do porządku, gdyż rano nie mieliśmy czasu na prysznic. Rzucaliśmy monetą by wybrać, kto pójdzie pierwszy. Ja wygrałam. Gdy w końcu skończyłam i przegrzebałam w moje ciuchy, odkryłam, że skończyły się moje zapasy codziennych ubrań i pozostała mi sukienka, którą Sydney włożyła do torby. Skrzywiłam się, ale pomyślałam sobie, że wcale by nie zaszkodziło, gdybym ją choć raz założyła. Nie robilibyśmy nic więcej niż czekanie na jutrzejszy wyjazd, a być może Emily pozwoliłaby mi zrobić pranie zanim wyjedziemy. Po dobrej stylizacji włosów i ich suszeniu, wreszcie poczułam się jak cywilizowany człowiek.

Sydney i ja byłyśmy w jednym z pokoiów gościnnych, a bracia w następnym. Sonia miała zostać w pokoju Jill, a Dymitrowi zaoferowano kanapę. Nie wątpiłam nawet przez sekundę, że będzie grasował po korytarzach, podczas gdy reszta domowników będzie spała, i że będę z nim robiła zmiany. Póki co nadal był pod prysznicem, w czasie gdy ja wyszłam na korytarz i zaglądałam przez poręcz w dół by sprawdzić pierwsze piętro. Mastranowie, Sonia, i bracia

byli zebrani wraz z karmicielami i ich opiekunami. Nic nie wydawało się być nie w porządku. Rozluźniona wróciłam do pokoju i skorzystałam z możliwości by sprawdzić co u Lissy. Po jej początkowej ekscytacji po zaliczeniu testu, poczułam jej uspokojenie i wywnioskowałam, że zażywa tak potrzebnego jej snu. Nie poszła jednak do łóżka. Zaprowadziła Eddiego i Christiana do Adriana. Uzmysłowiłam sobie, że to właśnie ona wybudziła go ze snu, w którym mnie odwiedzał, kiedy byłam w samochodzie. Spojrzenie na jej aktualnie wspomnienia pozwoliło mi odtworzyć to, co stało się od czasu, gdy mnie zostawił i w osłupieniu poszedł otworzyć drzwi.

- Co się stało? – zapytał patrząc z twarzy na twarz. – Miałem dobry sen.
- Potrzebuję cię – powiedziała Lissa.
- Często słyszę to do kobiet – powiedział Adrian. Christian wydał jęk, na co na ustach Eddiego przemknął uśmiech, pomimo zdystansowanego stosunku ochroniarza.
- Mówię poważnie – powiedziała. – Właśnie dostałam wiadomość od Ambrosego. Ma nam coś ważnego do powiedzenia i... Nie wiem. Nadal nie mogę zrozumieć jego roli w tym wszystkim. Potrzebuje żeby jeszcze ktoś przy tym był. Potrzebuje twojej opinii.
- To – Powiedział Adrian – nie jest coś, co często słyszę.
- Po prostu się pospiesz i ubierz, dobrze? – Nakazał Christian.

Szczerze mówiąc to byłoby dziwne, że ktokolwiek jeszcze spał, zważywszy na fakt, jak często wrywaliśmy kogoś ze snu. Niemniej jednak Adrian szybko się ubrał, i pomimo swoich niepoważnych komentarzy, wiedziałam, że był zainteresowany wszystkim, co mogłoby oczyścić moje imię. Jedyne, nie byłam pewna to, to czy nie powie nikomu na o bałaganie w jaki się wpakowałam, gdy przez przypadek ujawniłam część swojej prawdziwej działalności.

Moi przyjaciele pospieszyli do budynku, który odwiedzili już wcześniej. Był to budynek, w którym Ambrose żył i pracował. Dwór budził się do życia i ludzie byli poza domami, wielu z nich chciało dowiedzieć się o drugim teście na monarchę. W rzeczywistości, paru ludzi, widząc Lissę posłało jej pozdrowienia.

- Miałam dziś kolejną próbę – powiedziała Lissa Adrianowi. Ktoś właśnie jej pogratulował. – Niespodziewaną.
- Niespodziewaną? – Adrian zawahał się, a ja czekałam aż powie, że już to ode mnie słyszał. Czekałam też po to, by przekazał szokujące informacje o moim obecnym towarzystwie i miejscu pobytu. – Jak poszło? – zapytał w zamian.
- Zdałam – odparła. – To się liczy.

Nie mogła się zdobyć by powiedzieć mu o dopingujących ludziach, którzy nie wspierali jej tylko z powodu prawa, ale dlatego że faktycznie w nią wierzyli. Tasza, Mia i niektórzy niespodziewani znajomi ze szkoły byli wśród widzów, uśmiechając się do niej szeroko. Nawet Daniela, czekająca na powrót Rufusa, niechętnie pogratulowała Lissie, wydając się zaskoczona, że dziewczyna zdała. Całe to doświadczenie było surrealistyczne i Lissa chciała się stamtąd po prostu wydostać.

Eddie został wyciągnięty do pomocy innym strażnikom, mimo jego protestów, że był w eskorcie Lissy. Tak więc, skończyło się na tym, że Christian i Tasza sami zabrali Lissę do domu. No, prawie sami. Strażnik imieniem Ethan Moore dołączył do nich – ten na temat, którego Abe dokuczał Taszy. Abe czasem wyolbrzymiał pewne rzeczy, ale tym razem miał rację. Ethan wyglądał nieustraszenie jak każdy strażnik, ale jego bojowa postawa łamała się okazjonalnie, za każdym razem gdy spojrzał na Taszę. Uwielbiał ją. Ona również wyraźnie go lubiła i flirtowała z nim przez całą drogę – pomimo zniesmaczenia Christiana. Myślałam, że to urocze. Niektórzy faceci prawdopodobnie nie zbliżyliby się do Taszy przez jej blizny. Miło było widzieć kogoś, kto docenia ją za jej charakter, nie ważne jak zniesmaczony był Christian na myśl o kimś randkującym z jego ciotką. I w zasadzie lubiałam widzieć Christiana tak jawnie dręczonego. To było dla niego dobre.

Ethan i Tasza odeszli, gdy Lissa bezpiecznie powróciła do pokoju. W ciągu paru minut, pojawił się Eddie marudząc o tym, jak opóźniali go jakimś „gównianym zadaniem”, wiedząc że ma lepsze rzeczy do roboty. Najwidoczniej zrobił takie zamieszanie, że wreszcie go puścili, więc mógł szybko wrócić do Lissy. Zrobił to tylko dziesięć minut przed przyjazdem Ambrosego, który przybył w samą porę. Eddie oszalałby, gdyby przyszedł do pokoju i zobaczył, że nie ma w nim Lissy. Pomyślałby że strzygi porwały ją pod jego nieobecność.

To była seria wydarzeń, które doprowadziły do tego, co dzieje się teraz: Lissa szła z trzema chłopakami na potajemne spotkanie z Ambrose.

- Jesteście dość wcześnie – powiedział wpuszczając ich, zanim Lissa zapukałaby po raz drugi.

Stali wewnątrz własnego pokoju Ambrosego, a nie w fantazyjnym salonie dla klientów. Przypominał pokój w dormitorium – jeden z tych bardzo ładnych. O wiele ładniejszy niż mogłam znieść. Cała uwaga Lissy była skupiona na Ambrose, więc nie zauważyła, że poza kątem jej oka, Eddie szybko przeskanował pokój. Byłam zadowolona, że był w swoim żywiole i domyślałam się, że nie ufał Ambrosemu – ani nikomu spoza ich najbliższego grona.

- Co się dzieje? – zapytała Lissa, jak tylko Ambrose zamknął drzwi. – Dlaczego tak pilnie kazałeś mi przyjść?
- Bo muszę ci coś pokazać – powiedział. Na jego łóżku leżał stos papierów, i wziął coś z jego szczytu. – Pamiętasz kiedy mówiłem, że zamykają pod kluczem rzeczy Tatiany? Właśnie teraz je inwentaryzują i przenoszą.

Adrian poruszył się nieznacznie – i znowu coś, co tylko ja zauważyłam.

- Miała sejf w którym trzymała ważne dokumenty, oczywiście tajne. I...
- I? – pospieszyła go Lissa.
- I nie chciałem żeby ktokolwiek je znalazł – kontynuował Ambrose. – Nie wiedziałem czym była większość z nich, ale jeśli chciała żeby pozostały w sekrecie... Po prostu czułem, że tak powinno zostać. Znałem hasło, więc... wykradłem je.

Poczucie winy widniało na jego twarzy, ale nie była to mordercza wina. To było poczucie winy za kradzież. Lissa przewróciła oczami ze zniecierpliwienia.

- I? – naciskała.
- Żaden z nich nie ma nic wspólnego z tym, czego szukasz... Może z wyjątkiem tego.

Podał jej kartkę papieru. Adrian i Christian stłoczyli się wokół niej.

Droga Tatiano,

Jestem trochę zaskoczony widząc, jak potoczyły się ostatnie wydarzenia. Myślałem, że zrozumieliśmy, że bezpieczeństwo naszych ludzi wymaga więcej niż tylko wprowadzenie młodszej grupy strażniczej. Pozwoliliśmy by wielu z nich się zmarnowało, zwłaszcza kobiet. Gdybyś podjęła działania w kierunku zmuszenia ich do powrotu – i wiesz o czym mówię – szeregi strażników powiększyłyby się. To obecne prawo jest kompletnie niewystarczające, zwłaszcza po tym jak twój eksperyment z „trenowaniem” zawiódł.

Jestem również zaskoczony słysząc, że rozważasz wypuszczenie Dymitra Bielikowa spod jego straży. Nie wiem dokładnie co się stało, ale nie możesz ufać samym pozorom. Być może chcesz uwolnić potwora – albo przynajmniej szpiega – pośród nas. Powinien być pod jeszcze bardziej rygorystycznym nadzorem niż jest. W rzeczywistości, Twoje ciągle wspieranie badań nad duchem jest absolutnie niepokojące i bez wątpienia doprowadziło do tej nienaturalnej sytuacji. Wierzę, że istnieje powód, dla którego ten element został zapomniany przez nas na tak długo: nasi przodkowie uświadomili sobie, że jest niebezpieczny i wykorzenili go. Avery Lazar jest tego dowodem, zaś twój wyjątkowy talent, Wasylisa Dragomir, z pewnością pójdzie w jej ślady. Zachęcając Wasylisę, popierasz degradację linii Dragomirów, linii, której powinno dać się zgasnąć i przejść do historii z honorem, a nie hańbą szaleństwa. Twoje wspieranie jej może również wpędzić Twojego stryjecznego bratanka w zagrożenie, w coś, czego żadne z nas wolałoby nie widzieć.

Przykro mi, że obciążam Cię tak ostrą krytyką. Trzymam Cię w najwyższym poszanowaniu i nie mam nic oprócz respektu do tego, jak umiejętnie zarządzisz naszym ludźmi przez te długie lata. Jestem pewien, że wkrótce podejmiesz właściwie decyzje – choć obawiam się że inni mogą nie podzielać mojego zaufania do Ciebie. Powiedzmy, że ludzie mogą spróbować wziąć sprawy w swoje ręce. Obawiam się tego, co może nastąpić później.

List nie został podpisany.

Przez chwilę Lissa nie mogła złożyć tego w całość. Była całkowicie pochłonięta częścią na temat linii Dragomirów popadających w niełaskę. To było zbyt zbliżone do wizji, jaką widziała w teście. Christian był tym, kto wyciągnął ją z powrotem.

- Zatem wygląda na to, że Tatiana miała wrogów. Ale myślę, że tym miejscu gry to dość oczywiste.
- Od kogo to? – domagał się Adrian. Jego twarz pociemniała z wściekłości, przez te słabo maskowane groźby pod adresem swojej ciotki.

- Nie wiem – powiedział Ambrose. – Dokładnie w takiej postaci to znalazłem. Może nawet ona sama nie wiedziała kim był adresat.

Lissa skinęła głową zgadzając się z tym.

- Z pewnością anonimowy adresat tego chciał... ale jednocześnie mam wrażenie, jakby to był ktoś, kogo Tatiana musiała dobrze znać.

Adrian obdarzył Ambrosego podejrzliwym spojrzeniem.

- Skąd mamy wiedzieć, że nie napisałeś tego własnoręcznie by nas zmylić?
- Adrian – skarciła go Lissa. Nie powiedziała tego, ale miała nadzieję, że zachęci Adriana do wczucia się w aurę Ambrosego, bo sama nie mogła niczego wykryć.
- To jest szalone – powiedział Christian, dotykając kartki papieru. – Część mówiąca o dampirach i zmuszaniu ich do służby strażniczej. Jak myślisz, co znaczą – „działania” o których wiedziała Tatiana?

Ja wiedziałam, bo byłam ostrzeżona o tym o wiele wcześniej. Kompulsja, jak mówił liścik Tatiany.

- Nie jestem pewna – powiedziała Lissa. Przeczytała ponownie list. – Co z częścią o „eksperymentach”? Czy myślisz, że chodzi o sesje treningowe, które Grant prowadził z morojami?
- Dokładnie to pomyślałem – powiedział Ambrose. – Ale nie jestem pewien.
- Czy możemy zobaczyć resztę? – zapytał Adrian, wskazując na stos papierów.

Nie mogę powiedzieć czy jego podejrzenia były uzasadnione nieufnością do Ambrosego, czy jedynie wynikiem tego, jak rozstroiło go morderstwo stryjecznej ciotki. Ambrose przekazał nam papiery, ale przeglądając strony Lissa zgodziła się, że nie było tam nic przydatnego. Dokumenty składały się głównie z prawniczego żargonu i osobistej korespondencji. Lissie przyszło do głowy – tak jak i mi – że Ambrose może nie pokazywać wszystkiego co znalazł. Nie było jednak możliwości, żeby teraz to udowodnić. Tłumiąc ziewanie, podziękowała mu i wyszła z innymi. Miała ochotę na sen, lecz jej umysł nie mógł przestać analizować możliwości z listu. Jeśli to było prawdziwe.

- Ten list to dowód na to, że ktoś miał o wiele więcej powodów niż Rose, żeby być wkurzonym na Tatianę – zauważył Christian wracając z powrotem schodami i kierując się do wyjścia z budynku.
- Ciotka Tasza powiedziała kiedyś, że gniew oparty na określonym powodzie jest bardziej niebezpieczny, niż gniew oparty na ślepej nienawiści.
- Twoja ciotka jest prawdziwym filozofem – odparł Adrian ze znużeniem. – Ale wszystko co mamy to nadal poszlaki.

Ambrose pozwolił Lissie zachować list, który złożyła i wsadziła do kieszeni jeansów.

- Jestem ciekawa co będzie miała do powiedzenia na ten temat Tasza. I Abe też. – Wes-
tchnęła. – Chciałabym, żeby Grant żył. Był dobrym człowiekiem – mógłby też mieć w
to pewien wgląd.

Dotarli do wyjścia na parterze i Eddie popchnął drzwi żeby je dla nich otworzyć.

Gdy wyszli na zewnątrz, Christian spojrzał na Lisę.

- Jak blisko byli Grant i Serena–

Eddie poruszył się w ułamek sekundy przed tym jak Lissa zobaczyła problem, ale oczywiście on był przygotowany na problemy. Mężczyzna – dokładniej moroj – czekał wśród drzew na dziedzińcu, który oddzielał budynek Ambrosego od sąsiedniego. To w zasadzie nie było ustronne miejsce, ale znajdowało się wystarczająco daleko od głównych dróg, które często bywały opustoszałe.

Facet ruszył do przodu wyglądając na zaskoczony, kiedy zobaczył biegnącego ku niemu Eddiego. Był w stanie przewidzieć tok walki w sposób, w jaki Lissa nie mogła. Sądząc po ruchach mężczyzny i kącie widzenia, kierował się na Lisę – z nożem w dłoni. Lissa zamarła ze strachu, co było spodziewaną reakcją jak na kogoś, kto nie był trenowany by prawidłowo reagować w takiej sytuacji. Ale gdy Christian szarpnął ją do tyłu, wróciła do życia i szybko wycofała się z nim i Adrianem.

Napastnik i Eddie znaleźli się na chwile w impasie, próbując zdjąć siebie nawzajem. Słyszałam Lisę krzyczącą o pomoc, ale cała moja uwaga była skupiona na walczących. Gość był silny jak na moroja, a jego manewry sugerowały że został wyszkolony do walki. Jednak wątpiłam, że był szkolony od podstawówki, nie miał też mięśni takich jak dampir.

Rzeczywiście, Eddie przełamał opór i powalił faceta na ziemię. Przygwoździł jego prawą ręką i wytrącił mu nóż, wyrównując szanse. Moroj czy nie, mężczyzna był całkiem wprawiony w wojowaniu nożem, zwłaszcza, gdy zauważyłam (i Eddie prawdopodobnie też) jego blizny i coś, co wyglądało jak wykrzywiony palec u jego lewej ręki. Prawdopodobnie facet w ogromnym stopniu doskonalił swoje umiejętności walki nożem. Nawet ograniczony, wciąż był w stanie wymykać się z ostrzem, mając na celu szyję Eddiego. Eddie był zbyt szybki by pozwolić na to i zablokował cios swoim ramieniem, przyjmując dźgnięcie.

Blokada Eddiego dała morojowi nieco większą swobodę ruchów, przez co zrzucił go z siebie. Bez wahania – naprawdę, ten koleś był imponujący – moroj ponownie natarł na Eddiego. Nie było żadnych wątpliwości co do jego intencji. Nie powstrzymywał się. Był tam by zabić. Ten nóż był żądny krwi. Strażnicy wiedzieli jak ujarzmić, i brać jeńców, ale byli również przeszkoleni, że gdy rzeczy działy się zbyt szybko, i gdy znajdowali się w sytuacji „my– albo–oni” – cóż, upewnialiśmy się, że to będą oni. Eddie był szybszy niż jego przeciwnik, wiedziony instynktem, który wpajano nam latami: *powstrzymaj to, co próbuje cię zabić*. Eddie nie miał pistoletu ani noża, nie na Dworze. Gdy moroj natarł na niego drugi raz, nóż znowu był skierowany wprost na szyję Eddiego, który użył jedynej broni, jaka dawała mu pewność, że ocali jego życie.

Eddie zakołkował moroja.

Dymitr kiedyś żartobliwie skomentował, że nie musisz być strzygą by być zranionym przez kolek wbijający się w twoje serce. I spójrzmy prawdzie w oczy, kolek wbijany w serce w rzeczywistości nie boli. On zabija. Tatiana była tego dowodem.

Nóż mężczyzny w tej chwili był w kontakcie z szyją Eddiego – a następnie upadł zanim przeszył skórę. Oczy faceta poszerzyły się z bólu i szoku, a potem niczego już nie zobaczyły. Był martwy. Eddie nachylił się na piętach, patrząc na swoją ofiarę z napędzoną adrenaliną, żądzą walki, która towarzyszyła takim sytuacjom. Nagle jego uwagę zwrócił krzyk i on zerwał się na równe nogi, gotów do następnego zagrożenia. To co ujrzał, to grupa strażników którzy odpowiedzieli na jej wcześniejsze wołanie o pomoc. Raz zerknęli na pobojowisko i od razu wyciągnęli wnioski, do których doprowadziły ich lata szkolenia. Był tu martwy moroj i ktoś trzymający zakrwawioną broń. Strażnicy podeszli do Eddiego, rzucając go o ścianę, i wytrącając mu kolek. Lissa krzyczała do nich, że źle to wszystko zrozumieli, że Eddie ocalił jej życie i...

- Rose! – Gorączkowy, dziki głos Dymitra przywołał mnie z powrotem do domu Mastranów. Siedziałam na łóżku, a on klęczał przede mną z twarzą pełną strachu i ścisnął moje ramiona.
- Rose, co się stało? Wszystko w porządku?
- Nie! – Odepchnęłam go na bok i ruszyłam w stronę drzwi. – Muszę – muszę wrócić na Dwór. Teraz. Lissa jest w niebezpieczeństwie. Potrzebuje mnie.
- Rose. *Rosa*. Zwolnij. – Chwycił mnie za ramiona, i nie było ucieczki od tego uścisku. Odwrócił mnie do siebie, więc spojrzałam mu w twarz. Jego włosy były wciąż wilgotne po prysznicu. Otoczył nas wyraźny zapach mydła i mokrej skóry. – Powiedz mi, co się stało. – Powtórzyłam mu szybko co widziałam.
- Ktoś próbował ją zabić, Dymitr! A mnie tam nie było!
- Ale Eddie był – powiedział cicho Dymitr. – Nic jej się nie stało. Żyje.

Uwolnił mnie i oparłam się ciężko o ścianę. Moje serce biło szaleńczo. Choć moi przyjaciele byli bezpieczni, nie mogłam otrząsnąć się z paniki.

- I teraz jest w tarapatkach. Ci strażnicy byli wkurzeni–
- Tylko dlatego, że nie znają całej historii. Zobaczyli martwe ciało i broń, to wszystko. Kiedy zbiorą fakty i zeznania wszystko będzie w porządku. Eddie ocalił moroja. To jego praca.
- Ale on zabił innego moroja, żeby to zrobić – zaznaczyłam. – My nie powinniśmy tego robić.

To brzmiało tak oczywiście – a nawet głupio – ale wiedziałam, że Dymitr rozumie co mam na myśli. Celem strażników była ochrona morojów. *Oni są ważniejsi*. Zabicie moroja było nie do pomyślenia. Tak samo jak moroj zabijający moroja.

- To nie była normalna sytuacja – potwierdził Dymitr. Odchyliłam głowę do tyłu.

- Wiem, wiem. Po prostu nie mogę znieść pozostawienia jej bez ochrony. Tak bardzo chcę tam wrócić i zapewnić jej bezpieczeństwo. W tej chwili. – Jutro zdawało się być latami. – Co jeśli to znowu się wydarzy?
- Są tam inni ludzie by ją chronić. – Dymitr podszedł do mnie i byłam zaskoczona, widząc uśmiech na jego ustach, w świetle tych ponurych wydarzeń. – Uwierz mi, ja również chcę ją chronić, ale ryzykowalibyśmy nasze życie na nic, gdybyśmy wrócili właśnie teraz. Poczekaj trochę dłużej, i przynajmniej zaryzykuj swoje życie dla czegoś ważnego.

Przerażenie trochę zbladło.

- Jill jest ważna, prawda?
- Bardzo.

Wyprostowałam się. Część mojego mózgu próbowała uspokoić mnie po ataku na Lissę, podczas gdy inna część w pełni przetwarzała to, co tutaj osiągnęliśmy.

- Udało się nam – powiedziałam, czując że uśmiech powoli wkłada się na moje usta. – Wbrew wszystkiemu... jakoś odnaleźliśmy zaginioną siostrę Lissy. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co to oznacza? Lissa może mieć wszystko, do czego jest od teraz uprawniona. Nie mogą odmówić jej niczego. Cholera, mogłaby być królową gdyby chciała. A Jill... – Zawahałam się. – Cóż, jest częścią starej, królewskiej rodziny. To musi być dobre, prawda?
- Myślę, że to zależy od Jill – powiedział Dymitr. – I tego jakie będą późniejsze efekty wszystkiego. – Wróciło do mnie poczucie winy z powodu potencjalnego zrujnowania życia Jill i spuściłam wzrok wpatrując się w moje nogi.
- Hej, nie ma w tym nic złego – powiedział podnosząc mój podbródek do góry. Jego brązowe oczy były ciepłe i serdeczne. – Zrobiłaś właściwą rzecz. Nikt inny nie próbowałby czegoś tak niemożliwego. Tylko Rose Hathaway. Zaryzykowałaś znalezienie Jill. Ryzykowałaś swoje życie łamiąc reguły Abe – i opłaciło się. Ryzyko było tego warte.
- Mam nadzieję, że Adrian też tak myśli – powiedziałam pragnąc tego. – On uważa, że opuszczenie naszego „bezpiecznego domu” było najgłupszą rzeczą (na) świecie.

Dymitrowi opadły ręce.

- Powiedziałaś mu o wszystkim?
- Nie o Jill. Ale przypadkowo powiedziałam mu, że już nie jesteśmy w zachodniej Wirginii. Ale zachowaj to w tajemnicy – dodałam pośpiesznie. – Nikt inny nie wie.
- W to mogę uwierzyć – powiedział Dymitr, choć stracił trochę ze swojego wcześniejszego ciepła. To była taka ulotna rzecz. – On... On wydaje się być dość lojalny wobec ciebie.
- Bo jest. Ufam mu całkowicie.
- A on sprawia, że jesteś szczęśliwa? – Ton Dymitra nie był szorstki, ale można by go porównać do tonu policji prowadzącej przesłuchania. Myślałam o czasie spędzonym z Adrianem, o przekomarzaniu się, przyjęciach, grach, i oczywiście o całowaniu.

- Tak. Sprawia. Dobrze się z nim bawię. To znaczy, jest czasem irytujący – dobra, dość często – ale nie daj się zwieść przez wszystkie jego wady. Adrian nie jest złą osobą.
- Wiem, że nie – powiedział Dymitr. – Jest dobrym człowiekiem. Nie każdy może to łatwo zobaczyć, ale ja to widzę. Ciągłe składa się do kupy, ale jest na dobrej drodze. Widziałem to podczas ucieczki. A po... – słowa utkwiły mu na końcu języka. – Po powrocie z Syberii, był przy tobie, prawda? Pomógł ci?

Skinęłam głową, zdziwiona wszystkimi pytaniami. Okazuje się, że była to tylko rozgrzewka, przed czymś większym.

- Kochasz go?

Było tylko kilka osób na świecie, które mogły zadać mi takie szalenie osobiste pytanie bez dostania pięścią. Dymitr był jedną z nich. Pomiedzy nami nie było barier, ale nasze skomplikowane relacje sprawiły, że ten temat był surrealistyczny. Jak mogłam opisać miłość do kogoś innego mężczyźnie, którego kiedyś kochałam? *Mężczyźnie, którego wciąż kochasz*, podszeptował głos w mojej głowie. Być może. Prawdopodobnie. Znowu przypominałam sobie, że to było naturalne by uparczywie trzymać się uczuć do Dymitra. One przeminą. *Muszą* przeminąć, podobnie jak jego. Dymitr był przeszłością, moją przyszłością jest Adrian.

- Tak – powiedziałam, przeciągając to dłużej niż prawdopodobnie powinnam. – Ja... Kocham go.
- Dobrze. Cieszę się.

Rzecz w tym, że twarz Dymitra nie wyglądała na taką zadowoloną, gdy wpatrywał się bezymyślnie w okno. Moje zmieszanie wzrosło. Dlaczego był zły? Jego ostatnie słowa i czyny nie wydawały się tego potwierdzać.

Podeszłam do niego.

- Co się stało?
- Nic. Chcę się tylko upewnić, że wszystko w porządku. Że jesteś szczęśliwa.

Odwrócił się w moją stronę, zmuszając się do uśmiechu. Mówił prawdę – lecz nie całą prawdę.

- Sprawy uległy zmianom, to wszystko. Dzięki temu ponownie rozważam sporo kwestii. Odkąd Donovan... A później Sonia... to dziwne. Myślałem, że to wszystko zmieniło się noc, w którą uratowała mnie Lissa. Ale tak nie jest. O wiele więcej musiało się zagoić, niż zdawałem sobie z tego sprawę. – Zaczął wpadać w tryb zamyślenia, ale sam się ocucił. – Każdego dnia odkrywam coś nowego. Jakieś nowe emocje, o których istnieniu zapomniałem. Jakieś odkrycia, które całkowicie przegapiłem. Jakieś piękno, którego nie widziałem.
- Hej, moje włosy w zaułku nie trafią na *tą listę*, dobra? – Dokuczałam mu. – Byłeś w szoku.

Wymuszony uśmiech wzrósł do naturalnego.

- Nie, Roza. *Były* piękne. Teraz też są.
- Tylko sukienka jest odrzucająca – powiedziałam, próbując żartować. W rzeczywistości czułam zawroty głowy pod jego spojrzeniem. Te ciemne głębokie oczy patrzyły na mnie – *naprawdę na mnie patrzyły*, pomyślałam, *po raz pierwszy od kiedy wszedł do pokoju*.

Zmieszany wyraz twarzy którym mnie obdarował, nie miał dla mnie żadnego sensu. Mogłabym wyodrębnić emocje, jakie zawierała jego twarz, ale nie co je spowodowało. Strach. Podziw. Smutek. Żal.

- Co? – zapytałam niespokojnie. – Dlaczego na mnie tak patrzysz? – Pokręcił głową, uśmiechając się smutno.
- Czasami człowiek tak bardzo skupia się na detalach, że nie zauważa całości. To nie tylko sukienka, czy włosy. To *ty*. Jesteś piękna. Tak bardzo, że mnie to boli.

Poczułam dziwne trzepotanie w klatce piersiowej. Motyle, zatrzymanie akcji serca... ciężko określić, co dokładnie. Jednak w tym momencie, nie stałam już dłużej w pokoju gościnnym Mastranów. Powiedział te słowa przedtem albo coś bardzo podobnego. *Tak bardzo, że to mnie boli*. To było w chatce w Św. Władimirze, gdy po raz pierwszy i jedyny uprawialiśmy seks. Spojrzał na mnie w bardzo podobny sposób, tylko że było w nim mniej smutku. Niemniej jednak, gdy ponownie usłyszałam te słowa, drzwi, które były zamknięte w moim sercu, gwałtownie otworzyły się na oścież, a w raz z nimi przyszły wszystkie uczucia, doświadczenia i poczucie jedności, które zawsze dzieliliśmy. Patrząc na niego, tylko w czasie jednego uderzenia serca, miałam surrealistyczne wrażenie jak bym знаła go od zawsze. Jak byśmy byli połączeni... ale nie w taki sposób jak ja i Lissa zmuszone do więzi.

- Cześć wam, czy wy... och. – Sydney stanęła w połowie drogi w uchylonych drzwiach i szybko zrobiła dwa kroki wstecz. – Przepraszam. Ja... to jest...

Dymitr i ja natychmiast cofnęliśmy się od siebie. Czułam ciepło i drżenie, ale dopiero wtedy uzmysłowiłam sobie jak byliśmy blisko. Nie pamiętam nawet ruchów, jednak dzielił nas zaledwie oddech. Co się stało? To było jak trans. Sen. Przełknęłam ślinę i próbowałam zwolnić puls.

- Nie ma sprawy. Co się dzieje?

Sydney spoglądała między nami, nadal czując się nie swojo. Jej życie zapewne było pozbawione randek, ale nawet ona wiedziała o co chodzi. Ucieszyłam się, że choć jedna z nas wiedziała.

- Ja... to jest... ja tylko chciałem spędzić trochę czasu sama. Nie mogę poradzić sobie z tym co się dzieje na dole.

Próbowałam się uśmiechnąć, nadal zupełnie zdezorientowana przez moje uczucia. *Dlaczego Dymitr patrzył na mnie w ten sposób? Dlaczego to powiedział? Nie mógł mnie ciągle pragnąć. Powiedział, że nie pragnie. Kazał mi się zostawić w spokoju.*

- Oczywiście. My tylko... rozmawialiśmy – powiedziałam. Oczywiście mi nie uwierzyła. Próbowałam bardziej przekonać ją i... samą siebie. – Rozmawialiśmy o Jill. Czy masz jakiś pomysł na to jak zabrać ją do Dworu? – odkąd wszyscy jesteście wyjęci spod prawa?

Sydney może nie była ekspertem w zakresie relacji osobistych, ale układanki były dla niej znanym terenem. Zrelaksowała się, skupiając swoją uwagę na naszym problemie.

- No cóż, zawsze można zmusić jej matkę—

Głośny łomot z parteru nagle ją uciszył. Jak jeden mąż, Dymitr i ja, skoczyliśmy do drzwi, gotowi zwalczyć jakikolwiek bałagan, jaki spowodowali Wiktor i Robert. Razem z Dymitrem gwałtownie zatrzymaliśmy się u szczytu schodów, kiedy usłyszeliśmy mnóstwo krzyków, każących wszystkim padnąć.

- Strażnicy – powiedział Dymitr. – Robią obławę na dom.

Tłumaczenie: Jerzoslaw

Korekta: Tusia13pl

Rozdział dwudziesty piąty

JUŻ MOGLIŚMY USŁYSZEĆ kroki przedzierania się przez dom i wiedzieliśmy, że sekundy dzielą nas od armii, która zmierzała w górę na drugie piętro. Nasza trójka cofnęła się z powrotem, i ku mojemu zdziwieniu, to Sydney zareagowała pierwsza.

- Wynoście się stąd. Odwróćcie ich uwagę.

Zapewne jej rozproszenie ich znaczyło blokowanie im drogi do czasu, aż przepchnął ją na bok, ale te parę dodatkowych sekund mogło stanowić ogromną różnicę. Mimo to, nie mogłam znieść myśli o pozostawieniu jej. Dymitr nie miał takich zastrzeżeń, szczególnie gdy usłyszeliśmy kroki na schodach.

- Chodź! – krzyknął, chwytając mnie za ramię. Biegliśmy korytarzem do najodleglejszej sypialni, która zajmowali Wiktor i Robert. Zanim weszliśmy do środka, krzyknęłam do Sydney.
- Zabierz Jill na Dwór!

Nie wiedziałam, czy to usłyszała przez hałas jaki robili strażnicy, którzy ją złapali. Dymitr natychmiast otworzył największe okno i spojrzał na mnie porozumiewawczo. Słowa jak zwykle nie były nam potrzebne. Wskoczył na zewnątrz pierwszy, bez wątpienia chcąc wziąć na siebie niebezpieczeństwa czekające na dole. Od razu pospieszyłam za nim. Spadłam na dach pierwszego piętra, po czym zjechałam w dół i skoczyłam na ziemię ze sporej odległości. Dymitr złapał mnie w ramiona, amortyzując moje lądowanie – ale nie zanim jedna z moich kostek lekko się skręciła. To była ta sama, którą przyjęła ciężar upadku z domu Donovan’a. Skrzywiłam się, gdy przeszył mnie ból – ból, który bezzwłocznie zignorowałam.

Ciemne sylwetki ruszyły w naszym kierunku, wyłaniając się z wieczornego cienia i ukrytych miejsc wokół podwórka. No jasne. Strażnicy nie mogliby przybywać wyłamując drzwi. Musieli mieć jakieś miejsce, z którego mogliby obserwować. Z naszym naturalnym rytmem, Dymitr i ja walczyliśmy z naszymi napastnikami, odwrócenie do siebie plecami. Jak zwykle ciężko było ich obezwładnić bez zabijania. Ciężko, ale było to konieczne jeśli mogliśmy to zrobić. Nie chciałam zabijać nikogo z „naszych ludzi”, ludzi, którzy tylko wykonywali swoją pracę próbując ująć zbiegów. Długa suknia też nie ułatwiała mi zadania. Moje nogi ciągle wplątywały się w tkaninę.

- Następnii mogą przybyć w każdej chwili – mruknął Dymitr, ciskając strażnika na ziemię. – Musimy przejść... tam. Do tej bramy.

Nie mogłam mu odpowiedzieć, ale poszłam w jego ślady, gdy przemieszczaliśmy się do bramki w płocie, jednocześnie się broniąc. Właśnie pozbyliśmy się drużyny z podwórka, gdy następnii wyłonili się z domu. Prześliznęliśmy się przez bramę, wchodząc na spokojną drogę niedaleko domu Mastrano i zaczęliśmy biec. Jednak wkrótce stało się jasne, że nie mogłam nadążyć za Dymitrem. Mój umysł mógł ignorować ból, ale moje ciało nie mogło sprawić, by zraniona kostka działała prawidłowo. Nie gubiąc rytmu, Dymitr owinał swe ramię wokół

mnie, pomagając mi biec i odciążając kostkę. Zeszliśmy z drogi biegnąc przez trawniki, co mogło utrudnić – lecz nie uniemożliwić im – namierzenie nas.

- Tak ich nie zgubimy – powiedziałam. – Spowalnim cię. Musisz...
- Nie mów, że mam cię zostawić – przerwał mi. – Robimy to razem.

Paf, paf. Blisko nas pękła donica, roztrzaskując się w kupkę ziemi i gliny.

- Strzelają do nas – powiedziałam z niedowierzaniem. – Oni naprawdę do nas strzelają!

Mając spore doświadczenie w walce wręcz, zawsze czułam się tak jakby pistolety były oszustwem. Ale kiedy przychodziło do zdjęcia morderczyni królowej i jej współnika ? Honor nie był problemem, lecz rezultaty – tak. Kolejny pocisk przeleciał niebezpiecznie blisko.

- Mają tłumiki – powiedział Dymitr. – Nawet teraz są ostrożni. Nie chcą, by sąsiedztwo pomyślało, że jest atakowane. Potrzebujemy kryjówki. I to szybko.

Mogliśmy dalej unikać kul, ale moja kostka nie wytrzymałaby dłużej. Dymitr zrobił kolejny ostry zakręt, całkowicie wciągając nas w podmiejskie podwórka. Nie mogłam obejrzeć się za siebie, ale słyszałam krzyżące głosy, które dały mi znać, że jeszcze nie jesteśmy wolni.

- Tam – powiedział Dymitr.

Przed nami stał duży ciemny dom, z ogromnym szklanym patio, które przypominało to Soni. Szklane drzwi były otwarte, chociaż osłona blokowała drogę do środka. Dymitr szarpnął za klamkę. Zamknięte. Osłona raczej nie mogła nas zatrzymać. Biedna, ufająca rodzina. Wyciągnął swój kołek i przeciął go wzdłuż linii, przez którą wemknęliśmy się pośpiesznie. Natychmiast pociągnął mnie w bok, poza zasięg wzroku. Przyłożył palec do ust, trzymając mnie blisko przy swoim ciele i przygniatając mnie swym ciepłem.

Sekundy później, zobaczyliśmy nadchodzących strażników, którzy przeszukiwali podwórze. Niektórzy ciągle się poruszali na wypadek, gdybyśmy biegli dalej. Inni zwlekali przeszukując miejsca, które wydawały się dobrymi kryjówkami, tym bardziej, że robiło się coraz ciemniej i ciemniej. Spojrzałam na osłonę. Cięcie było czyste, nie jak oczywista dziura, ale nadal było to coś, co mogli zauważyć nasi prześladowcy. Czując to samo, Dymitr ostrożnie ruszył do pokoju, starając się unikać okien, by pozostać w ukryciu. Przechodząc przez kuchnię, znaleźliśmy drzwi prowadzące do garażu. W garażu był Ford Mustang.

- Rodzina z dwoma samochodami – mruknął. – Miałem taką nadzieję.
- Albo wyszli na spacer i wrócą, gdy zobaczą zespół SWAT w swoim sąsiedztwie – szepnęłam.
- Strażnicy nie pozwolą się zobaczyć.

Zaczęliśmy szukać kluczy w oczywistych miejscach. W końcu znalazłam komplet wiszący na szafce kuchennej i zdjęłam je.

- Mam je – powiedziałam. Skoro miałam klucze, pomyślałam, że Dymitr pozwoli mi zająć miejsce kierowcy, lecz przez moją prawą kostkę musiałam mu je oddać. Świat ma

chore poczucie humoru. – Zauważą nas w nim? – spytałam Dymitra, gdy otworzył drzwi do garażu i cofnął się. – To, uch, trochę bardziej błyszczące auto niż te, które zazwyczaj kradniemy.

Było również wspaniałe. Sydney, maniak samochodowy, pokochałaby je. Przygryzłam wargę, ciągle czując się winna, że ją zostawiliśmy. Próbowałam wyrzucić to z głowy.

- Tak – zgodził się Dymitr. – Ale ulicą będą jeździły inne samochody. Niektórzy strażnicy będą przeszukiwali podwórka, a inni będą strzec domu Mastrano. Nie ma ich nieskończenie wielu. Nie mogą obserwować wszystkiego jednocześnie, choć na pewno próbują.

Mimo wszystko wstrzymałam oddech, gdy wyjeżdżaliśmy z podjazdu. Dwukrotnie myślałam, że widzę trudno dostrzegalne sylwetki od strony drogi, ale Dymitr miał rację: nie mogli sprawdzić każdego samochodu w tętniącej życiem dzielnicy. Również ciemność zasłaniała nasze twarze.

Dymitr pamiętał drogę którą jechaliśmy, bo parę zakrętów dalej wjechaliśmy na autostradę. Wiedziałam, że jedzie bez celu, ważne że daleko. Pozbawiona oczywistych przesłanek, że byliśmy śledzeni, przesunęłam moje ciało i rozprostowałam pulsującą nogę. W piersiach poczułam tą lekkość, błogie uczucie, które miewamy gdy pompuje w tobie nadmiar adrenaliny.

- Wrobili nas, prawda? – zapytałam. – Wiktor i Robert zwabili nas i wystawili. Powinam bardziej uważać.
- Nie wiem – powiedział Dymitr. – Możliwe. Widziałem się z nimi przed rozmową z tobą, i wszystko wydawało się być w porządku. Chcieli szukać z nami Jill, ale wiedzieli, że oddanie ich w ręce władzy jest tylko kwestia czasu. Nie jestem zaskoczony ich planem. Mogli wykorzystać zamieszanie z karmieniem i wezwać strażników, żeby się nas pozbyć.
- Cholera – westchnęłam i zebrałam włosy, marząc o gumce do włosów. – Powinniśmy się *ich* pozbyć, kiedy mieliśmy okazję. Co się teraz stanie?

Dymitr milczał parę sekund.

- Będą przesłuchiwali Mastranów... Intensywnie. Cóż, przesłuchają wszystkich. Na czas dochodzenia zamkną Sonię tak jak mnie, a Sydney będzie odesłana z powrotem do alchemików.
- Co z nią zrobią?
- Nie wiem. Ale zgaduję, że jej przełożonym nie spodoba się to, że pomagała zbiegłym wampirom.
- Cholera – zakląłam ponownie. Wszystko się sypało. – I co my teraz zrobimy?
- Zwiększymy dystans między nami, a strażnikami. Ukryjemy się gdzieś i opatrzymy twoją kostkę.

Rzuciłam mu ukradkowe spojrzenie.

- Ło! Wszystko zaplanowałeś.
- Nie za bardzo. – Powiedział, delikatnie marszcząc brwi. – To jest bułka z masłem. To, co czeka nas *później* będzie stanowiło problem.

Moje serce zamarło. Miał rację. Zakładając, że Mastranowie nie zostali zaskarżeni przez władze morojów za pomoc kryminalistom, nie było nikogo, kto zmusiłby Emily do ujawnienia dziedzictwa Jill. Jeśli Sydney została dostarczona do swoich ludzi, cóż, nie będzie mogła pomóc. Uzmysłowiłam sobie, że będę musiała to komuś powiedzieć. Gdy skontaktuję się z Adrianem, wyjawię prawdę, żeby moi przyjaciele mogli zrobić coś w sprawie Jill. Nie mogliśmy tego dłużej ukrywać.

Dymitr skręcił ponownie, gdy wróciłam do realnego świata.

- Hotel? – zapytałam.
- Nie do końca – powiedział.

Byliśmy w zatłoczonej dzielnicy handlowej, niedaleko od Ann Arbor, na peryferiach Detroit. Po obu stronach ulicy znajdowały się sklepy i restauracje. Dymitr zawrócił do całodobowego supermarketu i obiecał się „wszystkim” zająć. Zaparkował i otworzył drzwi.

- Zostań tu.
- Ale —

Dymitr spojrzał na mnie wymownie, więc spuściłam wzrok. Byłam bardziej pokiereszowana po walce, niż początkowo myślałam, a sukienka była w strzępach. Mój niechlujny wygląd zwracał by uwagę tak samo jak to, że kuleję. Skinęłam głową, a on odszedł.

Spędziłam czas rozmyślając nad naszymi problemami i przeklinając się w duchu za to, że nie znalazłam sposobu by wydać braci, gdy Robert odmienił Sonię. Spodziewałam się po nich zdrady w formie jakiegoś magicznego ataku. Nie sądziłam, że będzie to tak proste jak wezwanie strażników.

Dymitr, zawsze sprawny kupujący, wrócił wkrótce z dwoma wielkimi torbami i czymś przerzuconym przez ramię. Rzucił to wszystko na tylne siedzenie, a ja zerknęłam na to do tyłu z zaciekawiona.

- Co to jest? – To było długie i cylindryczne, pokryte płótnem.
- Namiot.
- Dlaczego my... – Jęknęłam. – Nie będzie hotelu, co?
- Ciężko będzie nas znaleźć na campingu. Samochód szczególnie trudniej. Nie możemy się go póki co pozbyć, nie z twoją stopą.
- Biedni ludzie – powiedziałam. – Mam nadzieję, że ubezpieczenie samochodowe obejmuje kradzież.

Wróciliśmy na autostradę i wkrótce opuściliśmy zabudowany teren, a niedługo później zobaczyliśmy reklamę pola kempingowego. Dymitr zjechał na pobocze w miejscu zwanym Peaceful Pines. Negocjował z człowiekiem, który pracował w biurze i wystawiał rachunki.

Uzmysłowiłam sobie, że to był kolejny powód, dla którego nie mogliśmy wybrać hotelu. Większość wymagała kart kredytowych, które miała Sydney (oczywiście na fałszywe nazwiska). Teraz utrzymywaliśmy się z gotówki.

Pracownik kempingu kazał nam podążać zwirową drogą, która prowadziła na przeciwległy koniec pola. Miejsce było zajęte przez wypoczywające rodziny, ale nikt nie zwracał na nas uwagi. Dymitr zadbał o to, by zaparkować tak blisko kępy drzew jak to było możliwe, po to, by ukryć auto. Pomimo moich protestów, nie pozwolił sobie pomóc przy namiocie. Tłumaczył, że zrobi to szybciej bez mnie i że nie powinnam przemęczać stopy. Wyklócałam się, dopóki nie zaczął rozstawać namiotu. Opadła mi szczęka, gdy zobaczyłam jak szybko złożył go w całość. Nawet nie potrzebował odpowiedzi. To był rekord.

Namiot był mały i wytrzymały, dawał nam obojgu możliwość do wylegiwania się i siedzenia pomimo tego, że przy siedzeniu trzeba było się trochę garbić. Później obejrzałam resztę jego zakupów. Większość zajmowały medykamenty. Była również latarka, która miała zastępować lampę.

- Pokaż mi swoją kostkę – nakazał.

Wyciągnęłam nogę, a on podciągnął sukienkę na wysokość kolana, palcami muskając moją skórę. Wzdrygnęłam się, gdy uderzyło mnie deja vu. Ostatnio wydawało mi się to przytrafiać dosyć często. Wróciłam myślami do czasów, gdy pomagał mi z moimi obrażeniami. Równie dobrze moglibyśmy być teraz na sali gimnastycznej w Św. Władimirze. Delikatnie sprawdził moją kostkę, trochę popukał i poszturchał. Jego palce nigdy nie przestawały mnie zdumiewać. Mogły złamać człowiekowi kręgosłup, opatrzeć rany i prześliznąć się delikatnie po nagiej skórze.

- Myślę że nie jest złamana – powiedział w końcu. Podniósł swoje ręce i zauważyłam jak gorąca byłam, gdy mnie dotykał. – Jest tylko skręcona.
- Tak się zdarza, gdy skaczesz z dachów – odpowiedziałam. Moje żarty były starym sposobem na ukrycie dyskomfortu. – Wiesz, że nigdy nie ćwiczyliśmy tego podczas treningów.

Uśmiechnął się i wyciągnął bandaż owijając kostkę, aż stała się stabilna. Po tym, przyniósł...

- Woreczek mrożonego groszku? – Wzruszył ramionami i położył worek na mojej kostce.
- Łatwiej go kupić niż worek lodu.
- Jesteś bardzo zaradny, Bielikow. Co jeszcze tam ukrywasz?

Reszta zakupów okazała się kocami i jedzeniem. Obdarzyłam go szerokim uśmiechem, gdy zobaczyłam, że kupił mi sztucznie barwiony krem, chipsy pomidorowe i tabliczkę czekolady. Uwielbiałam w nim to, że pamiętał o takich detalach. Mój uśmiech zbladł, gdy zauważyłam kolejny problem.

- Nie kupiłeś żadnych ciuchów, prawda?

- Ciuchów? – spytał jakby to było obce słowo. Wskazałam na moją poszarpaną sukienkę.
- Nie mogę jej dłużej nosić. Co mam zrobić? Stworzyć togę z koców? Jesteś typowym facetem. Nigdy nie pamiętasz o takich rzeczach.
- Myślałem o ranach i przetrwaniu. Świeże ubrania to luksus, a nie konieczność.
- Nawet twój prochowiec? – Spytałam przebiegle.

Dymitr zamarł na chwilę i zaklął. Nie musiał nosić go w domu Mastranów – w zasadzie nawet na zewnątrz – i go tam zostawił w wyniku niespodziewanego ataku.

- Nie przejmuj się towarzyszu – dokuczałam. – Tego kwiatu to pół świata.³⁴ (A ¾ *uja warte:D:D Taki dżołk mały – przyp. Jerzu)

Rozłożył koc na podłodze namiotu i położył się na nim. Miał tak zboląłą minę, że prawie komiczną. Obławy, kule, kryminaliści... żaden problem. Zaginiony prochowiec? Kryzys.

- Kupimy ci nowy – powiedziałam. – Wiesz, zaraz po tym jak znajdziemy Jill, oczyścimy moje imię i uratujemy świat.
- Tylko tyle? – spytał, rozśmieszając nas oboje. Ale gdy położyłam się obok niego, obydwoje spowaznieliśmy.
- Co teraz zrobimy? – Najpopularniejsze pytanie dzisiejszego dnia.
- Prześpimy się – odpowiedział, wyłączając światło. – Jutro skontaktujemy się z Taszą, Abe, albo... z kimś innym. Poradzimy im żeby zabrali Jill tam, gdzie jest potrzebna.

Byłam zaskoczona jak cicho brzmiał mój głos, gdy przemówiłam.

- Czuję się tak, jakbyśmy zawiedli. Byłam tam taka szczęśliwa. Myślałam, że dokonaliśmy niemożliwego, ale to było na nic. Cała praca na marne.
- Na marne? – zapytał zdziwiony. – To co zrobiliśmy... to wyczyn. Odnalazłaś siostrę Lissy. Jeszcze jednego Dragomira. Nie wiem czy zdajesz sobie sprawę z wagi tego odkrycia. Nie mieliśmy praktycznie punktu zaczepienia, jednak szłaś dalej i dokonałaś tego.
- I zgubiłam Wiktora Daszkow. Znowu.
- Cóż, jeśli chodzi o niego to powiem ci, że nie zostanie długo w ukryciu. Jest typem człowieka, który zawsze musi mieć kontrole. Będzie musiał zrobić następny krok – a wtedy go dorwiemy.

Uśmiech powrócił na moje usta, ale wiedziałam, że go nie widzi.

- Myślałam, że to ja jestem tutaj optymistką.
- To zaraźliwe – odpowiedział. Ku mojemu zdziwieniu, jego dłoń znalazła moją w ciemności. Spletliśmy nasze palce. – Dobrze się spisałaś, Roza. Bardzo dobrze. Teraz śpij.

³⁴ Dośł. "Plenty more where that came from." – „Tam skąd pochodzą jest ich dużo.” – przyp. Ginger

Nie dotknęliśmy się w żaden inny sposób, ale w uścisku jego dłoni było zawarte całe ciepło tego świata. To był prawie doskonały moment, taki jak w bibliotece, ale nasze połączenie i porozumienie pomiędzy nami zapłonęło jaśniej niż kiedykolwiek i czułam się z tym dobrze. Właściwe. Naturalne. Nie chciało mi się spać. Chciałam tylko tu z nim zostać i napawać się jego bliskością. To nie była zdrada, stwierdziłam, myśląc o Adrianie. To była tylko radość z bliskości.

Jednak sen był niezbędny. Opracowaliśmy plan pracy na zmiany. Nie spał, gdy ja odpoczywałam i odniosłam wrażenie, że gdybym nie spała, to on również by nie spał, nawet gdyby przyszła pora zmiany warty. Zamknęłam oczy i tym razem to nie serce musiało zwolnić. To mój umysł, który pędził po kołowrotku nigdzie dalej się nie zagłębiając, tylko próbując rozgryźć co teraz zrobić. *Zabrać Jill na Dwór. Zabrać Jill na Dwór.* Tylko to się liczyło. Musieliśmy skontaktować się z kimś, kto może dotrzeć do Jill. Dymitr i ja moglibyśmy się gdzieś zaszyć i niedługo wszystko mogło się naprawić samemu...

– Dzięki Bogu.

Rozejrzałam się wokół, początkowo nie zdając sobie sprawy, że jestem w śnie wywołanym duchem. Znajdowałam się w ogrodzie Soni, otoczona światłem słonecznym i kolorami, a ona siedziała w fotelu, patrząc na mnie wyczekująco.

- Bałam się, że nie będziesz spała całą noc – powiedziała, oglądając się za siebie.
- Bo tak byłoby, gdybym miała wybór – odpowiedziałam podchodząc do niej.

Nie była osobą, której spodziewałam się w moich snach, ale przynajmniej nawiązałam kontakt ze światem zewnętrznym. Miałam tutaj na sobie biało-czarną sukienkę, która w przeciwieństwie do tej w rzeczywistości była czysta i niezniszczona.

- Dymitr myśli, że jesteśmy w bezpiecznym miejscu, choć naturalnie teraz czuwa.
- Oczywiście.

Widziałam przebłysk rozbawienia w jej oczach, ale był krótki.

- Gdzie jesteś? – zapytałam. – Czy strażnicy cię przetrzymują?
- Nie zamknęli mnie – odpowiedziała zadowolona z siebie. – Ty byłaś ich priorytetem, a odrobina kompulsji upewniła ich w tym, że mnie nie widzieli. Uciekłam... Choć nie-nawidzę opuszczać Emily.

Współczułam jej, ale byłam zbyt podniecona jej ucieczką. Wreszcie dobre wieści.

- Ale możesz dostarczyć Jill na Dwór. Jesteś wolna.

Sonia spojrzała na mnie tak, jakbym przemówiła po francusku.

- Nie mogę się do niej dostać.

Zmarszczyłam brwi.

- Jest aż tak bardzo chroniona?
- Rose – powiedziała Sonia. – Jill wcale nie jest ze strażnikami. Zabrali ją Wiktor i Robert.

Tłumaczenie: Jerzosław

Korekta: Diotima

Rozdział dwudziesty szósty

- ŻE CO? – KRZYKNEŁAM. Śpiewające ptaszki w ogrodzie ze snu, zamilkły. – *Z nimi?* To właśnie dlatego wezwali strażników?

Sonia nadal była opanowana, jednak nieznacznie się skrzywiła.

- Wiktor i Robert nie wezwali strażników. Dlaczego mieliby to robić?
- Ponieważ... ponieważ chcieli pozbyć się mnie i Dymitra...
- Być może – powiedziała Sonia. – Ale nie wtedy, kiedy sami byli w tym domu. Wiktor jest tak samo poszukiwany jak ty. Tylko dzięki magii Roberta udało im się wydostać.
- W takim razie kto... – Odpowiedź uderzyła we mnie. Jęknęłam. – John i Emily. Powinnam była się domyślić, że to nie będzie takie proste. Zbyt szybko przyjęli zbiegów do swojego domu.
- Właściwie, sędzę, że to był tylko John. Emily wydawała się naprawdę wierzyć, że jesteś niewinna... nawet, jeśli nie podobało jej się, to z jakiego powodu się tam znalazłaś. Podejrzewam również, że obawiała się wzywać strażników, bo to po prostu przyciągnęłoby jeszcze więcej uwagi do tożsamości Jill. Nie zdziwiłabym się, gdyby John nawet nie ostrzegł jej przed ich wezwaniem. Pewnie uważał, że wyświadcza wszystkim przysługę.
- I zamiast tego, stracił swoją pasierbicę – powiedziałam. – Ale dlaczego Wiktor i Robert mieliby ją zabierać? A tak w ogóle, to jak, do diaska, dwóch starszych panów ujarzmiło nastoletnią dziewczynę?

Sonia wzruszyła ramionami.

- Pewnie są silniejsi niż wyglądają. Prawdopodobnie kompulsja też miała w tym swój udział. Dlaczego? Ciężko stwierdzić. Ale Wiktor chciał władzy i kontroli. Przetrzymanywanie zaginionej Dragomirówny, jest całkiem dobrym sposobem, żeby to osiągnąć.

Osunęłam się na drzewo.

- Nigdy jej nie dostarczymy na Dwór.
- Po prostu musimy ją znaleźć – powiedziała Sonia. – Co powinnam być w stanie zrobić, kiedy już zaśnie.
- Więcej chodzenia we śnie – powiedziałam. Zaczęła we mnie ożywać nadzieja. – Powinniśmy teraz do niej iść. Dowiedz się...
- Próbowałam. Nie śpi. I mogę się założyć, że trzymają ją obudzoną, żeby mogli zwiększyć dystans pomiędzy nami. Jednak ciągle próbuję.

Nie było to idealne rozwiązanie, ale najlepsze, na jakie mogliśmy póki co liczyć.

- A Sydney i Mastranowie?

- Mierzą się z wieloma pytaniami. – Sonia pochyliła głowę. Wiedziałam, że nadal czuła się źle z powodu opuszczeniem swojej kuzynki, dokładnie tak jak ja, co do Sydney.

Delikatnie dotknęłam ramienia Sonii.

- Wszystko w porządku. Wszystko będzie z nimi w porządku. To, co zrobiłaś, pomoże Jill.

Pokiwała głową.

- W jaki sposób będziemy w kontakcie? Nie mogę ciągle czekać, aż będziesz spała.

Cisza. Dobre pytanie.

- Może moglibyśmy dzisiaj załatwić sobie komórki... Bóg jeden wie, jak bardzo ich potrzebujemy. I, no cóż... dlaczego po prostu do nas nie przyjdiesz? Tak w ogóle, to gdzie jesteś?

Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie popełniałam błędu zapraszając ją, by do nas dołączyła. Razem z Dymitrem zadaliśmy sobie wiele trudu, żeby utrzymać w sekrecie nasze położenie, a to natarcie strażników i tak było zbyt bliskie celu niżby mi się podobało. Poza oczywistymi problemami – więzieniem, egzekucją i tak dalej – złapanie uniemożliwiłoby nam pomoc Lissie. Jednak, byłam całkiem pewna, że Sonia była jednym z naszych sprzymierzeńców, a w tej sprawie, mogła być też naszym jedynym połączeniem z Jill.

Podjęłam podobne ryzyko odkrywając nasze położenie Wiktorowi. I podczas gdy z technicznego punktu widzenia pomógł nam, to ta pomoc najwyraźniej obróciła się przeciwko nam. Niemniej jednak, podałam Sonii nazwę naszego pola kempingowego i najprecyzyjniejsze wskazówki, jakie tylko mogłam. Powiedziała, że przyjdzie – nie wiedziałam jak jej się to uda, ale podejrzewałam, że była całkiem zaradna – i będzie starała się dostać do Jill.

- Sonia... – zawahałam się mówić dalej, wiedząc, że powinnam po prostu pozwolić jej zakończyć sen. Mieliśmy ważne sprawy na głowie, dużo bardziej poważne niż to, o co właśnie miałam zamiar zapytać. Plus, to było osobiste. – Co miałaś na myśli w samochodzie... kiedy powiedziałam, że dzieliłam sen ze swoim chłopakiem? Wyglądałaś na zaskoczoną.

Sonia uważnie mnie obserwowała przez dłuższą chwilę. Te niebieskie oczy przenikały mnie głębiej, niż bym tego chciała. Czasami wydawała się być bezpieczniejsza w trybie szaleństwa. – Aury dużo mówią, Rose, a ja jestem całkiem dobra w odczytywaniu ich. Dużo lepsza, niż prawdopodobnie są twoi przyjaciele. Duchowy sen otacza twoją własną aurę złotem i stąd właśnie wiedziałam. Twoja osobista aura jest dla ciebie unikalna, jednak często się zmienia wraz z twoimi emocjami i duszą. Kiedy ludzie są zakochani, to widać. Ich aura lśni. Kiedy śniłaś, twoja była jaskrawa. Kolory były jaskrawe... ale nie w taki sposób, jakiego bym oczekiwała od chłopaka. Oczywiście, nie każdy związek jest taki sam. Ludzie znajdują się na różnych etapach. Zignorowałabym to, gdy nie...

- Gdyby nie co?
- Gdyby nie to, że kiedy jesteś z Dymitrem, twoja aura jest jak słońce. Podobnie jak jego. – Uśmiechnęła się, kiedy po prostu gapiłam się na nią w kłopotliwym milczeniu. – Jesteś tym zaskoczona?
- Ja... to znaczy, skończyliśmy ze sobą. Kiedyś byliśmy ze sobą, ale po jego przemianie, nie chciał mnie już więcej. Ruszyłam do przodu. – Przy czym ruszenie do przodu, najwyraźniej znaczyło trzymanie się za rączki i dzielenie ze sobą gorących chwil bliskości. – Właśnie, dlatego jestem z Adrianem. Jestem szczęśliwa z Adrianem. – To ostatnie zdanie brzmiało niemal obronnie. Kogo próbowałam przekonać? Ją czy siebie?
- Zachowania ludzi, a ich uczucia rzadko idą ze sobą w parze – powiedziała, brzmiąc bardzo podobnie do Dymitra Zen. – Nie zrozum mnie źle, ale masz sprawę do rozwiązania.

Świetnie. Terapia od wariatki.

- Dobra, przypuśćmy, że coś w tym jest. Dałam sobie spokój z Dymitrem dopiero parę tygodni temu. *Możliwe*, że prawdopodobnie nadal coś czuję. – Możliwe? Myślałam o tym, jak zawsze w samochodzie byłam ogromnie świadoma jego fizycznej obecności, tej beztroskiej harmonii w bibliotece, tego, jak dobrze było pracować z nim w ten nasz sposób, oboje tacy zdeterminowani i prawie nigdy nie krytykujący się nawzajem. I zaledwie parę godzin temu, w pokoju gościnnym...

Sonia miała czelność się roześmiać³⁵.

- Możliwe? Po zaledwie paru tygodniach? Rose, na tak wiele sposobów jesteś mądra... a w innych taka młoda.

Nienawidziałam być oceniana ze względu na swój wiek, ale nie było czasu na napady złości.

- Dobra, wszystko jedno. Ja nadal coś czuję, ale on nie. Nie widziałaś go po tym, jak został odmieniony. To było straszne. Był przygnębiony. Powiedział, że chce mnie za wszelką cenę unikać, że nie może już nikogo znów pokochać. Dopiero po tej szalonej ucieczce zaczął się zachowywać bardziej po staremu.
- Rozmawialiśmy na ten temat – powiedziała znów poważnie. – O depresji. Rozumiem to. Po byciu strzygą... robieniu tego, co robiliśmy... czujesz, że nie jesteś warty tego, by żyć. Jest tylko poczucie winy, ciemność i przygniatające wspomnienia tego całego zła. – Zadrżała.
- Ty... ty zachowujesz się inaczej niż on. To znaczy, wyglądasz czasem na smutną, ale w innych sprawach... tak jakby nic się nie zdarzyło. Już wróciłaś do swojego starego 'ja'. W większości. Skąd ta różnica pomiędzy waszą dwójką?
- Ach, wierz mi, nadal mam poczucie winy. Po tym jak Robert mnie przemienił... – Jej słowa ociekały jadem, kiedy wypowiadała jego imię. – No cóż, nie chciałam wychodzić ze swojego domu, ze swojego łóżka. Nienawidziałam siebie za to, co zrobiłam. Marzyłam o tym, żeby wcześniej została zakołkowana na śmierć. A potem

³⁵ A to sucz:D – przyp. Szazi

Dymitr porozmawiał ze mną... Powiedział, że wina była nieunikniona. Fakt, że potrafię ją czuć dowodzi tego, że już nie jestem strzygą. Ale powiedział mi, że nie mogę pozwolić, by to mnie powstrzymywało od ponownego korzystania z życia. Oboje dostaliśmy drugą szansę. Nie możemy jej odrzucić. Powiedział również, że trochę mu zajęło uświadomienie sobie tego i że nie chciał, żebym popełniała te same błędy. Powiedział mi, żebym przyjęła to życie, jego piękno i ludzi, których kocham, zanim będzie za późno – nawet, jeśli będzie to trudne. Roztrząsanie tej przeszłości, gdy było się strzygą... jest jak ciężar, który zawsze na mnie ciąży. Przysięgał, że nie zamierza pozwolić, by to kiedykolwiek znowu go kontrolowało – co, możesz mi wierzyć, brzmiało szlachetnie, ale jest bardzo trudne do wykonania – i że nie dopuści do tego, by jego życie było bezcelowe. Już niektóre rzeczy stracił na zawsze, ale nie da odejść reszcie.

- Powiedział to wszystko? Ja... ja nie jestem nawet pewna, co połowa tego znaczy. – *Powiedział mi, żebym przyjęła to życie, jego piękno i ludzi, których kocham, zanim będzie za późno.*
- Czasami ja też nie. Jak już mówiłam, dużo łatwiej jest coś powiedzieć, niż to zrobić. Nadal jednak sądzę, że pomógł mi dojść do siebie dużo szybciej, niżbym to zrobiła na własną rękę. Jestem mu wdzięczna. A jeśli chodzi o wasze aury... – Powrócił ten jej uśmiešek. – Cóż, musicie sami to rozwiązać. Nie wierzę w pokrewne dusze, właściwie to nie do końca. Sądzę, że to śmieszne, żeby uważać, że istnieje tylko jedna osoba nam przeznaczona. Co jeśli twoja ‘pokrewna dusza’ mieszka w Zimbabwie? Co jeśli umrze młodo? Sądzę również, iż twierdzenie, że ‘dwie dusze stające się jedną’ jest niedorzeczne. Musisz trzymać się siebie. Ale wierzę w dusze, będące w synchronizacji ze sobą, dusze, które odzwierciedlają się nawzajem. Widzę tę synchronizację w aurach. Miłość też potrafię dostrzec. I to wszystko widzę w waszych aurach. Tylko ty możesz zdecydować, co zrobić z tą informacją – jeśli w ogóle w nią wierzysz.
- Zero presji – wymamrotałam.

Wyglądała, jakby miała zamiar zakończyć sen, ale potem zatrzymała się i posłała mi przesywające spojrzenie.

- Musisz być ostrożna, jeśli chodzi o jedną rzecz, Rose. Wasze aury pasują do siebie, ale nie są takie same. Dymitra jest naszpikowana niewielkimi ilościami cieni, jako pozostałości po jego przejściach. Te cienie każdego dnia odrobinę znikają. Ty również masz cienie – ale one nie znikają.

Przeszły mnie dreszcze.

- Lissa. To cienie, które zabieram od niej, prawda?
- Tak. Nie wiem za wiele na temat więzi, ale to, co robisz – nawet, jeśli jej to pomaga – jest bardzo niebezpieczne. Duch bez wątpienia rozrywa nas na kawałki, ale w jakiś sposób... sądzę, że my, użytkownicy ducha, jesteśmy do tego nieco lepiej przystosowani. Nie zawsze jest to oczywiste – dodała gorzko. – Ale ty? Nie. I jeśli weźmiesz za wiele, to nie wiem, co się stanie. Obawiam się, że to się coraz bardziej

nawarstwia. Obawiam się, że wystarczy po prostu jedna iskra – jeden katalizator – żeby to w tobie wybuchło.

- Co się wtedy dzieje? – wyszeptalam.

Powoli pokręciła głową.

- Nie wiem.

I z tym, sen się rozplynął.

Znowu zapadłam w bezsenną drzemkę, jednak mój organizm – jakby przeczuwając, że nadszedł czas na moją zmianę – sam się obudził parę godzin później. Po raz kolejny otoczyła mnie ciemność nocy, a w pobliżu mogłam nawet usłyszeć miarowy oddech Dymitra i czuć jego ciepło. Wszystko, o czym dopiero co dyskutowałam z Sonią, zaczęło mnie od nowa zalewać. Za wiele, za wiele. Nie wiedziałam nawet, gdzie zacząć to przetwarzać. I nie, nie wiedziałam, czy mogę w to wierzyć, a przynajmniej nie z tym, co widziałam w rzeczywistości. *Zachowania ludzi, a ich uczucia rzadko idą ze sobą w parze*. Biorąc głęboki wdech, zmusiłam się do zachowania jak strażniczka, a nie jak emocjonalnie oszalała dziewczyna.

- Twoja kolej na sen, towarzyszu.

Jego głos doszedł do mnie niczym światełko w ciemności, delikatny i cichy.

- Możesz jeszcze odpocząć, jeśli potrzebujesz.
- Nie, wszystko w porządku – powiedziałam mu. – I pamiętaj, nie jesteś...
- Wiem, wiem – zachichotał. – Nie jestem generałem.

O Boże. Kończymy swoje żarty. *Wierzę w dusze, będące w synchronizacji ze sobą*. Stanowczo przypominając sobie, że wizyta Sonii tak właściwie nie dotyczyła mojego życia miłosnego, zrelacjonowałam Dymitrowi resztę snu, opisując zdradę Johna i wprowadzenie Jill.

- Czy... czy dobrze zrobiłam mówiąc Sonii gdzie jesteśmy?

Upłynęło parę chwil, zanim odpowiedział.

- Tak. Masz rację, że potrzebujemy jej pomocy – a ona może znaleźć Jill. Problem polega na tym, że Wiktor i Robert również muszą o tym wiedzieć. – Westchnął. – I masz rację, że lepiej będzie, jeśli odpocznę przed tym, co ma nadejść.

I w ten oto typowy dla niego oszczędny sposób, już nic więcej nie powiedział. Kiedy zapadł w sen, jego oddech szybko się zmienił. To było niesamowite, z jak niewielkim wysiłkiem potrafił to zrobić. Oczywiście, byliśmy tego uczeni jako strażnicy: śpij, kiedy możesz, ponieważ nigdy nie wiesz, kiedy będziesz w stanie spać ponownie. Była to sztuczka, której nigdy nie załapałam. Wpatrując się w mrok, utrzymywałam swoje zmysły w czujności, nasłuchując jakichkolwiek dźwięków, które mogły wskazywać na zagrożenie.

Może nie miałam talentu do natychmiastowego zasypiania, ale *mogłam* utrzymywać swoje ciało w gotowości, a jednocześnie sprawdzać, co u Lissy. Dzisiaj zajęła mnie sprawa Jill i nasza ucieczka, ale wydarzenia we Dworze nadal miały dla mnie ogromne znaczenie. Ktoś próbował *zabić* Lissę, a grupa strażników właśnie wywlekła Eddiego.

Kiedy spojrzałam przez jej oczy, nie zaskoczył mnie fakt, że większość moich przyjaciół była razem. Byli w surowym, przerażającym pomieszczeniu, podobnym do tego, w którym była przesłuchiwana w sprawie mojej ucieczki – za wyjątkiem tego, że to było większe. I nie bez powodu. Było wypełnione różnymi ludźmi. Adrian z Christianem stali przy Lissie, i wcale nie potrzebowałam zdolności do czytania aur żeby się domyślić, że obaj czuli się równie zaniepokojeni, co ona. Hans stał za stołem, trzymając na nim ręce, kiedy się pochylał i przeszywał wszystkich wzrokiem. Na przeciwko Lissy, przy ścianie, Eddie siedział na krześle z kamienną twarzą³⁶ i strażnikami po obu stronach. Obaj strażnicy byli spięci, przygotowani by wkroczyć do akcji. Zdałam sobie sprawę, że myśleli, iż to Eddie był zagrożeniem, co było śmieszne. Jednak Hans wydawał się podzielać ich zdanie.

Dźgnął palcem zdjęcie leżące na stole. Robiąc krok do przodu, Lissa zauważyła, że na zdjęciu był facet, który ją zaatakował – zdjęcie zostało zrobione już po jego śmierci. Oczy miał zamknięte, a skórę bladą – co dostarczało szczególnego wyglądu jego pozbawionym wyrazu rysom twarzy.

- Zabiłeś moroja! – krzyknął Hans. Najwyraźniej włączyłam się w sam środek rozmowy. – Niby jakim sposobem, to żaden problem? Byłeś trenowany, by ich chronić!
- Chroniłem – powiedział Eddie. Był taki spokojny, taki poważny, że aż część mnie, która nadal była w stanie wykrzesać z siebie jakieś poczucie humoru, pomyślała, że był jak Dymitr Junior. – Ochroniłem ją. Co za różnica, czy zagrożenie stanowi moroj czy strzyga?
- Nie mamy żadnych dowodów na którykolwiek ze szczegółów ataku – warknął Hans.
- Masz trzech świadków! – Christian stracił nad sobą panowanie. – Sugerujesz, że nasze zeznania są bez znaczenia?
- Sugeruję, że jesteście jego przyjaciółmi, co czyni wasze zeznania wątpliwymi. Chciałbym mieć w pobliżu jakiegoś strażnika, który zweryfikowałby to.

Teraz Lissa nie wytrzymała.

- Miałeś! Eddie tam był.
- I nie było szans, żeby ją ochronić *bez* zabijania go? – zapytał Hans.

Eddie nie odpowiedział i wiedziałam, że musiał poważnie przemyśleć to pytanie i zastanowić się, czy faktycznie mógł popełnić błąd. W końcu jednak pokręcił głową.

- Gdybym go nie zabił, on zabiłby mnie.

³⁶ Papapapapapapapaker face – przyp. Szazi

Hans westchnął, a jego oczy były znużone. W chwili obecnej łatwo mi było być na niego wściekłą, ale musiałam sobie przypomnieć, że po prostu wykonywał swoją pracę. Podniósł zdjęcie.

- I żadne z was – *żadne* z was – nigdy nie widziało tego mężczyzny?

Lissa tłumiąc w sobie drżenie, jeszcze raz przestudiowała jego twarz. Nie, nie rozpoznała go podczas ataku i tak samo nie rozpoznawała go teraz. Nie było w nim niczego naprawdę niezwykłego – żadnych godnych uwagi cech, które można byłoby wskazać. Reszta naszych przyjaciół pokręciła głowami, ale Lissa poczuła jak się krzywi.

- Tak? – zapytał Hans, natychmiast chwytając się tej subtelnej zmiany.
- Nie znam go... – powiedziała powoli. Rozmowa z Joe, który był stróżem, pojawiła się jej w głowie.
- *Jak wyglądał ten facet?* – *spytała Joego.*
- *Zwykle. Pospolicie. Oprócz ręki.*

Lissa chwilę dłużej wpatrywała się w zdjęcie, które ledwie troszkę ukazywało pokrytą bliznami rękę, z paroma wygiętymi palcami. Też to zauważyłam podczas walki. Podniosła wzrok na Hansa.

- Nie znam go – powtórzyła. – Ale sądzę, że znam kogoś, kto go zna. Jest pewien stróż... cóż, przynajmniej były stróż. Ten, który zeznawał na temat Rose. Myślę, że on go już wcześniej widział. Mają ciekawe relacje biznesowe. Michał miał zamiar upewnić się, że nie opuści Dworu.

Adrian nie wyglądał na zachwyconego poruszeniem sprawy Joe, biorąc pod uwagę, że pociągało to za sobą kwestię łapówkarstwa jego matki.

- Ciężko im będzie zmusić go do mówienia.

Hans zwęził oczy.

- Ach, jeśli on coś wie, to zmusimy go do mówienia. – Gwałtownie kiwnął głową w stronę drzwi i jeden ze strażników stojących przy Eddiem, przesunął się w ich stronę.
– *Znajdźcie tego faceta. I przyślijcie naszych 'gości'.* – Strażnik pokiwał głową i wyszedł z pomieszczenia.
- Jacy goście? – zapytała Lissa.
- Cóż – powiedział Hans – zabawne, że wspominasz o Hathaway. Ponieważ właśnie mignęła nam przed oczami.

Lissa zeszywniała, a przez jej oczy przeleciała panika. *Znaleźli Rose. Ale jak?* Abe zapewniał ją, że była bezpieczna w tym miasteczku w Wirginii Zachodniej.

- Została zauważona z Bielikowem za Detroit, gdzie uprowadzili dziewczynę.
- Oni by nigdy... – Lissa przerwała. – Powiedziałaś Detroit? – Wykazała się wielką wytrzymałością, że nie zaczęła rzucać pytających spojrzeń Christianowi i Adrianowi.

Hans pokiwał głową i pomimo tego, że wyglądało to tak jakby po prostu rzucił przelotnie informacją, wiedziałam, że obserwował uważnie, oczekując jakiejś reakcji ze strony moich przyjaciół.

Mieli ze sobą paru ludzi. Część z nich uciekła, ale jedną złapaliśmy.

Kogo porwali? – zapytał Christian. Jego zdziwienie także nie było udawane. On również sądził, że byliśmy bezpiecznie ukryci.

- Mastrano – powiedział Hans. – Jakaś Mastrano.
- *Jill* Mastrano? – krzyknęła Lissa.
- Podlotka? – zapytał Adrian.

Hans z pewnością nie był zapoznany z tym przezwiskiem, ale nie miał szansy by się o to zapytać, ponieważ właśnie wtedy, drzwi się otworzyły. Weszło trzech strażników, a wraz z nimi była – Sydney.

Tłumaczenie: Szazi

Korekta: Qbac, Diotima

Rozdział dwudziesty siódmy

ROZDZIAWIŁABYM USTA, GDYBYM tam była, zarówno w wyrazie szoku na widok Sydney, jak i w ogóle na sam widok człowieka na terenie Dworu. Właściwie to ludzi, ponieważ była z nią jeszcze dwójka innych, mężczyzna i kobieta. Mężczyzna był młody, nieco starszy od Sydney, z ciemnymi, brązowymi włosami i oczami. Kobieta była starsza i miała twarde, zaprawione spojrzenie, które kojarzyło mi się z Albertą. Miała ciemną karnację, ale i tak mogłam dostrzec złoty tatuaż, który miała zarówno ona, jak i pozostali ludzie. Wszyscy byli alchemikami.

I oczywistym było, że ci alchemicy nie byli zadowoleni. Starsza kobieta dała całkiem dobry występ, ale sądząc po tym, jak rzucała wokół szybkie spojrzenia, wołałaby być wszędzie, byle nie tutaj. Sydney i facet w ogóle nie kryli swojego strachu. Sydney może i przywykła do mnie i do Dymitra, ale z jej i jej współników punktu widzenia, prawdopodobnie właśnie weszli do jaskini zła.

Nie tylko alchemicy czuli się zdenerwowani. Gdy tylko weszli, strażnicy już nie uważali Eddiego jako źródła głównego zagrożenia w pomieszczeniu. Ich oczy spoczęły na ludziach, analizując ich jakby byli strzygami. Moi przyjaciele wydawali się być bardziej zaciekawieni niż przestraszeni. Z Lissą żyliśmy wśród ludzi, ale Christian i Adrian mieli z nimi raczej niewielkie doświadczenie, jeśli nie liczyć żywicieli. Widok alchemików na ‘naszym terytorium’ dodawał gratisowego elementu intrygującego.

Ja zdecydowanie byłam zdziwiona widząc Sydney tak szybko. Ale czy to było szybko? Minęło kilka godzin odkąd uciekliśmy z domu Jill. Niewystarczająco czasu, aby dojechać do Dworu, ale z pewnością wystarczająco, by do niego dolecieć. Sydney nie przebrała się odkąd ją ostatnio widziałam i miała cienie pod oczami. Miałam przeczucie, że od swojego schwytania, była bez przerwy przepytywana. Zagadką było to, po co przyprowadzili alchemików na spotkanie dotyczące zabójstwa nieznanego moroja przez Eddiego? W grę wchodziły dwie zupełnie różne sprawy.

Lissa myślała o tym samym.

- Kim oni są? – zapytała, jednak miała całkiem niezłe pojęcie, kim była Sydney. Słyszała ode mnie wystarczający opis. Sydney zmierzyła Lissę wzrokiem i podejrzewałam, że też domyślała się jej tożsamości.
- Alchemikami – powiedział Hans opryskliwie. – Wiecie, co to oznacza?

Lissa i reszta moich przyjaciół skinęła głową.

- Co oni mają wspólnego z Eddim i tym facetem, który mnie zaatakował? – zapytała.
- Może coś mają. Może nic. – Hans wzruszył ramionami. – Ale wiem, że jest na rzeczy coś dziwnego, coś, w co wszyscy jesteście wplątani i muszę się dowiedzieć, co to takiego. Ona – Hans wskazał na Sydney – była z Hathaway w Detroit, a mi nadal ciężko uwierzyć, że *żadne* z was nic o tym nie wie.

Adrian skrzyżował ramiona i oparł się o ścianę, stwarzając idealne pozory obojętności.

- Wierz, w co chcesz, ale nie znam *nikogo* z tych ludzi. Czy alchemicy przypadkiem nas nie nienawidzą? Dlaczego oni tutaj są? – Adrian, jak na ironię, był jedynym z moich przyjaciół, który wiedział, że nie byłam w Zachodniej Wirginii, ale nigdy byś tego nie zauważył, patrząc na jego zachowanie.
- Ponieważ mamy zbiegłą morderczynię, z którą musimy się rozprawić i musimy przepytąć jej współniczkę osobiście – odparł ostro Hans.

Lissa na końcu języka miała zaprzeczenie mojej winy, ale starsza alchemiczka ubiegła ją.

- Nie macie żadnego dowodu, że panna Sage była ‘współniczką’ waszej kryminalistki. I nadal uważam, że to po prostu niedorzeczne, że nie pozwalacie nam przeprowadzić naszego *własnego* przesłuchania i tak to zostawić.
- W każdej innej sytuacji, tak byśmy zrobili, panno Stanton – odparł Hans. Pomiędzy nimi powstawała ściana lodu. – Ale tym razem, jak zapewne możesz się domyślać, sprawa jest nieco poważniejsza niż zwykle. Nasza królowa została zamordowana.

Napięcie pomiędzy strażnikami i alchemikami wzrosło jeszcze bardziej. Zdałam sobie sprawę, że ich współpraca nie była zbyt szczęśliwa. Przyszło mi również do głowy, że nawet, jeśli przełożeni Sydney sądzili, że popełniła jakąś zbrodnię, nigdy tego nie przyznają przed moimi ludźmi – co oznaczało tyle, że paranoja Hansa nie była całkowicie bezpodstawna.

Gdy żaden z alchemików nie odpowiedział, Hans wydawał się odebrać to jako zgodę na przesłuchanie Sydney.

- Znasz tą trójkę? – Wskazał na moich przyjaciół, a Sydney pokręciła głową. – Kiedykolwiek się z nimi kontaktowałeś?
- Nie.

Przerwał, jakby liczył, że zmieni swoją odpowiedź. Nie zrobiła tego.

- W takim razie jak związałaś się z Hathaway?

Przyglądała mu się w skupieniu, ze strachem w brązowych oczach. Nie byłam pewna, czy to właśnie z jego powodu. Naprawdę, teraz miała wiele spraw, którymi mogła się denerwować, jak choćby w ogóle samo bycie tutaj i ewentualna kara, jaką alchemicy jej przydzielą. I oczywiście był jeszcze Abe. Technicznie rzecz ujmując, to przez niego wpakowała się w to bagno. Jedyne, co musiała zrobić, to wsypać go, powiedzieć, że ją szantażował. To wybawiłoby ją z opresji – ale pociągnęłoby za sobą jego gniew.

Sydney przełknęła ślinę i zmusiła się do wyzywającego spojrzenia.

- Spotkałam Rose na Syberii.
- Tak, tak – powiedział Hans. – Ale jak skończyłaś pomagając jej tutaj w ucieczce?
- Nie miałam nic wspólnego z jej ucieczką z tego miejsca! – powiedziała Sydney. Po-dejrzewam, że to nie do końca była prawda. – Skontaktowała się ze mną parę dni temu

i poprosiła o pomoc, żeby dostać się do domu w pobliżu Detroit. Twierdziła, że jest niewinna i że to pomoże jej to udowodnić.

- Alchemicy wiedzieli już wtedy, że była zbiegiem – zauważył Hans. – Wszyscy mieli rozkazy, żeby jej szukać. Mogłaś ją wydać.
- Kiedy pierwszy raz spotkałam Rose, nie wydawała się być typem morderczyni – to znaczy, jeśli nie liczyć zabijania strzyg. Co tak naprawdę, w ogóle nie jest morderstwem. – Sydney dorzuciła trochę typowej dla alchemików pogardy. To było niezłe podejście. – Więc, kiedy powiedziała, że jest niewinna i że może to udowodnić, postanowiłam jej pomóc. Podwiozłam ją.
- Już ją o to pytaliśmy – powiedziała Stanton zirytowana. – I już wam powiedzieliśmy, że to zrobiliśmy. To, co zrobiła, było głupie – naiwna pomyłka w osądzie. To jest coś, z czym sami musimy się uporać, a nie wy. Wy martwcie się o swojego mordującego potwora. – Jej słowa brzmiały łagodnie, jakby zamierzali zabrać Sydney do domu i skarcić nieposłuszne dziecko. Wątpiłam, żeby to było takie proste.
- Kim byli ci ludzie z nią? – zapytał Hans ignorując Stanton.

Pogarda Sydney wzrosła.

- Jeden to był ten facet... Dymitr Bielikow. Ten, o którym myślicie, że został ‘wyleczony’. Nie wiem, kim byli pozostali. Dwóch facetów i kobieta. Nigdy nas nie przedstawiono. – To był kawał dobrej ściemy, jej udawany wstręt, co do Dymitra, ukrywający jej wiedzę na temat reszty naszych współników.

Lissa pochyliła się niecierpliwie, odzywając się, zanim Hans zdążył dojść do głosu.

- Co było w Detroit? Jak Rose zamierzała się oczyścić z zarzutów? Zwłaszcza z Jill?

Hans nie wyglądał na zadowolonego, że ktoś mu przerwał, ale wiedziałam, że też musiał być ciekawy sprawy z Jill i Detroit. Nie odezwał się, być może z nadzieją, że ktoś może się potknąć i ujawnić kluczowy element wiedzy. Jednak Sydney dalej grała nieprzyjazną i chłodną.

- Nie mam pojęcia. Ta dziewczyna, Jill, również nie wydawała się wiedzieć. Rose powiedziała, że po prostu musimy się do niej dostać, więc jej pomogłam.
- Na Ślepo? – zapytał Hans. – Naprawdę spodziewasz się, że uwierzę, że jej ot tak po prostu uwierzyłam?
- Ona jest moją... – Sydney ugryzła się w język, zamierzając pewnie powiedzieć ‘przyjaciółką’. Z powrotem przybrała swój tryb profesjonalny. – Było w niej coś wiarygodnego i sądziłam, że to byłoby marnowanie zasobów, jeśli alchemicy będą pomagali wam polować na niewłaściwego mordercę. Gdybym doszła do wniosku, że była winna, zawsze mogłabym ją wydać. I myślałam... myślałam, że jeśli to ja bym to rozwiązała, zyskałabym uznanie i awans.

To było dobre, a nawet bardzo dobre kłamstwo. Ambitna dziewczyna próbująca ukradkiem poprawić swoją karierę? Bardzo dobre. No cóż, nie dla wszystkich.

Hans pokręcił głową.

- Nie wierzę żadnemu z was.

Ten facet, alchemik, zrobił krok do przodu, przez co każdy strażnik napiął się i przygotował, aby na niego skoczyć.

- Jeśli mówi, że tak było, w takim razie, tak było.

Był tak samo zawzięty i nieufny jak Stanton, ale wydawało się, że było w tym coś więcej. Jakaś opiekuńczość wobec Sydney, która była zarówno osobista jak i zawodowa. Lissa też na to zwróciła uwagę.

- Spokojnie Ian – powiedziała Stanton, nadal patrząc na Hansa. Jej opanowanie coraz bardziej przypominało mi Albertę. Nie mogła być taka spokojna w pomieszczeniu pełnym strażników, ale nie okazywała tego. – Nie ma znaczenia, czy w to wierzysz, czy nie. Wniosek zostaje bez zmian: panna Sage odpowiedziała na wasze pytania. Skończyliśmy.
- Czy rodzice Jill wiedzą cokolwiek? – zapytała Lissa.

Nadal była w szoku po tych wszystkich odkryciach – już nie wspominając o tym, jak się martwiła o mnie, że byłam poza bezpiecznym miasteczkiem w górach – ale ta tajemnicza uwaga, na temat oczyszczenia mojego imienia, była silna. Nie mogła odpuścić.

Sydney odwróciła się do Lissy i praktycznie mogłam przeczytać myśli alchemiczki. Wiedziała jak bliskie sobie byliśmy z Lissą i chciała ją trochę uspokoić. Jednak nie było szans, żeby Sydney mogła to zrobić, zwłaszcza z tymi ludźmi w pomieszczeniu. Musiała być również świadoma faktu, że sama nic nie powiedziałam Lissie o Jill.

- Nie – powiedziała Sydney. – Po prostu tam weszliśmy i Rose powiedziała Jill, że musi iść z nami. Mastranowie nie wiedzą, dlaczego. A potem – a potem Rose ją zabrała. Albo Jill poszła z nią. Nie jestem pewna, co się stało. Wybuchł chaos.

Ani alchemicy, ani strażnicy nie kwestionowali tego, że zabrałam Jill, przez co pomyślałam, że to była historia, którą zaakceptowali – przedstawiona im zarówno przez rodziców Jill jak i Sydney. Było w niej wystarczająco dużo prawdy, aby była przekonująca – i wyjaśniała zniknięcie Jill. Jednak nie wyjawiała ona sekretu Dragomirów. Sekretu, którego utrzymanie w tajemnicy prawdopodobnie bardziej niż cieszyło Emily.

- Właśnie – powiedziała Stanton. – Dokładnie to wam wcześniej powiedzieliśmy. Teraz musimy wyjść. – Odwróciła się ku drzwiom, ale strażnicy zablokowali jej przejście.
- To niemożliwe – powiedział Hans. – To poważna sprawa i panna Sage jest jedynym połączeniem, jakie mamy z morderczynią – królewską morderczynią. I porywaczką.

Stanton zadrwiła i przypomniałam sobie, jak Sydney raz opowiadała, że alchemicy uważali królewski system morojów za głupi.

- Nie wydaje się, żeby była wam jeszcze bardziej potrzebna. Ale nie przejmujcie się – będziemy ją trzymali. Skontaktujcie się z nami, jeśli będziecie mieli więcej pytań.

- To nie do przyjęcia – powiedział Hans. – Ona zostaje tutaj.

Ian, ten drugi alchemik, przyłączył się do kłótni, przesuając się opiekuńczo przed Sydney.

- Nie zostawimy tutaj jednego z naszych! – Znowu miałam to trudne do wyjaśnienie przeczucie, co do niego. Zadurzenie, to było to. Podkochał się w niej i dla niego to było coś więcej niż tylko interesy. Stanton rzuciła mu spojrzenie mówiące, że da sobie z tym radę. Uciszył się.
- W takim razie, wszyscy możecie tu zostać – powiedział Hans. – Jak dla mnie to bez różnicy. Przydzielimy wam pokoje.
- *To jest nie do przyjęcia.* – Jak dotąd, ona i Hans zaangażowali się w coraz bardziej wzburzoną kłótnię. Nie sądziłam, żeby miało dojść do rękoczynów, ale reszta strażników zapobiegawczo zacieśniła krąg.

Oczy Iana przemykały pomiędzy Stanton i Sydney, ale nie wtrącał się do walki. W pewnym momencie, jego spojrzenie przeszło na stół, o który opierał się Hans i nagle Ian ponownie spojrzał na zdjęcie. To była zaledwie krótka pauza, niewielkie rozszerzenie oczu... ale Lissa to uchwyciła.

Zrobiła krok w stronę Iana i Sydney. Jeden ze strażników rzucił okiem na ten ruch, uważając jednak, że Lissa jest bezpieczna, wrócił do obserwowania Stanton.

- Znasz go – wymruczała Lissa, utrzymując swój głos ciszej niż krzyki. W zasadzie, był trochę za cichy, bo otrzymała obojętne spojrzenia od Sydney i Iana. Ich uszy nie mogły wychwycić tego, co moroje lub dampiry.

Lissa rozejrzała się wokół niespokojnie, nie chcąc przyciągać uwagi. Nieznacznie podniosła głos.

- Znasz go. Faceta na zdjęciu.

Ian wpatrywał się w Lissę z mieszaniną zdziwienia i ostrożności wypisaną na twarzy. Niewątpliwie, tak samo trzymał dystans do wampirów, ale jej słowa zbiły go z tropu. I nawet, jeśli była złą kreaturą nocy, to była całkiem ładną sztuką.

- Ian – powiedziała delikatnie Sydney. – Co to jest? – W jej głosie była jakaś nuta ponaglająca, która nieświadomie bawiła się z jego zadurzeniem, jak sędzę. Otworzył usta, żeby przemówić, ale wtedy „rozmowa” reszty się skończyła. Sydney znowu stała się centrum zainteresowania, a Ian odwrócił się od Lissy.

Kompromis, który osiągnęli Stanton z Hansem był dokładnie tym – kompromisem. Żadne nie było z tego zadowolone. Mniej niż czterdzieści pięć kilometrów od Dworu było niewielkie miasteczko, w którym alchemicy mieli się zatrzymać – z paroma strażnikami na karku. Jak dla mnie to brzmiało na areszt domowy, a sądząc po jej wyrazie twarzy, Stanton wydawała się ze mną zgadzać. Myślę, że zgodziła się tylko dlatego, że to było miasteczko ludzi. Hans, zanim wypuścił kogokolwiek, ostatecznie wypytał moich przyjaciół, a jego oczy bacznie przyglądały się każdej twarzy.

- I żadne z was – *żadne* z was – nie zna tej alchemiczki albo nigdy się z nią nie kontaktowało? Albo nie wiedziało o jej związku z Hathaway?

Lissa z pozostałymi ponownie zaprzeczyli i znowu Hans nie miał wyboru, jak tylko niechętnie zaakceptować ich odpowiedzi. Wszyscy skierowali się ku drzwiom, ale Hans nie pozwolił wyjść Eddiemu.

- Nie tak prędko, Castile. Ty tu zostajesz, dopóki nie rozstrzygniemy reszty problemów.

Lissa sapnęła.

- Że co? – Ale on...
- Nie martw się tym – powiedział Eddie z niewielkim uśmiechem. – Wszystko będzie w porządku. Po prostu uważaj na siebie.

Pomimo tego, że Christian ciągnął ją za ramię, żeby iść, Lissa zawahała się. Chociaż wszystkie znaki na niebie i ziemi mówiły, że Eddie bronił życia Lissy, to nadal zabił moroja. To nie mogło być odebrane spokojnie. Strażnicy musieli być na sto procent pewni, że nie miał innego wyboru, zanim go uwolnią. Widząc jego twarde, opanowany wyraz twarzy, Lissa wiedziała, że był przygotowany by poradzić sobie ze wszystkim, co miało nastąpić.

- Dziękuję – powiedziała przechodząc obok niego. – Dziękuję, za ocalenie mnie.

W odpowiedzi nieznacznie kiwnął głową i Lissa wyszła na korytarz – by znaleźć się w samym środku jeszcze większego zamieszania.

- Gdzie oni są? Nalegam by... ach.

Moi przyjaciele i alchemicy kierowali się w stronę wyjścia, podczas gdy grupa strażników ich eskortowała. Tymczasem, ktoś wszedł do korytarza i teraz został zatrzymany i przetrzymywany przez strażników. To był Abe.

Ogarnął każdy szczegół tego dziwaczego scenariusza w mniej niż jedno uderzenie serca, a jego wzrok przesunął się po Sydney i alchemikach, jakby w życiu ich nie widział. Przez oczy Lissy, zauważyłam, jak Sydney zbladła, ale nikt inny tego nie dostrzegł. Abe uśmiechnął się do Lissy i niepostrzeżenie przysunął się do niej, żeby z nią wyjść.

- Tutaj jesteś. Chcą żebyś przyszła na ostatni test na królową.
- I wysłali ciebie? – zapytał sceptycznie Christian.
- No cóż, zgłosiłem się na ochotnika – odparł Abe. – Słyszałem, że było tutaj jakieś, em, ekscytujące wydarzenie. Morderstwo, fanatycznie religijni ludzie, przesłuchania. Wiesz, wszystkie sprawy, którymi się interesuję.

Lissa przewróciła oczami, ale nic nie powiedziała, dopóki cała grupa nie wyszła z budynku. Alchemicy i ich niemile widziana eskorta poszli w jedną stronę, podczas gdy Lissa i nasi przyjaciele poszli w drugą. Lissa pragnęła rzucić okiem na Sydney i Iana – tak samo jak ja – ale wiedziałam, że najlepiej będzie, jeśli pójdzie dalej za Abe, zwłaszcza odkąd niektórzy z tych strażników obserwowali nie tylko alchemików.

Gdy tylko grupa Lissy była wystarczająco daleko od władz, uprzejmy uśmiech Abe zniknął i odwrócił się do moich przyjaciół.

- Co się, do diaska, stało? Słyszałem już różne zwariowane historie. Niektórzy twierdzą, że nie żyjesz.
- Niemal – powiedziała Lissa. Opowiedziała mu o ataku, wyrażając swoje obawy dotyczące Eddiego.
- Nic mu nie będzie – powiedział Abe lekceważąco. – Nie mają nic, żeby go przetrzymać. Najgorsze, co dostanie, to ślad w swoich aktach.

Lissie ulżyło dzięki spokojnemu zapewnieniu Abe, ale ja nadal czułam się winna. Dzięki mnie, akta Eddiego już były splamione. Jego nienaganna reputacja spadała niemal każdego dnia.

- To była Sydney Sage – powiedziała Lissa. – Sądziłam, że wszyscy byli w Zachodniej Wirginii. Dlaczego nie jest z Rose?
- To – powiedział złowrogo Abe – jest doskonale pytanie.
- Ponieważ, najwyraźniej porwali Jill Mastrano w Detroit – powiedział Christian. – Co jest dziwne. Ale to nie jest najbardziej szalona rzecz, jaką mogę sobie wyobrazić, że Rose robi. – Doceniałam wsparcie.

Abe także usłyszał podsumowanie rozwoju wydarzeń, przynajmniej z tego, co wiedzieli moi przyjaciele – co było zaledwie ułamkiem całej historii. Abe natychmiast zorientował się, że został wykiwany, a sądząc po jego wkurzonym wyrazie twarzy oczywistym było, że nie lubi być trzymany w nieświadomości. *Witaj w klubie, staruszk*, pomyślałam z odrobiną satysfakcji. Nie zapomniałam jeszcze, jak nikt nie wtajemniczył mnie w plan ucieczki. Moje zadowolenie z siebie nie trwało długo, ponieważ martwiłam się o to, co się stanie z Sydney, teraz, kiedy miała na pieńku z Abe.

- Ta dziewczyna okłamywała mnie – warknął. – Codziennie, te wszystkie raporty, jak to cicho i nudno było w Zachodniej Wirginii. Zastanawiam się, czy w ogóle kiedykolwiek dotarli do tego miasteczka. *Muszę* z nią porozmawiać.
- Powodzenia – powiedział Adrian, wyciągając papierosa i zapalając go. Widocznie podczas mojej nieobecności, kontrakt randkowy, który wymyślił w żartach i który mówił, że „ograniczy” swoje złe nawyki, nie obowiązywał. – Nie sądzę, żeby jej kumple, albo strażnicy, zamierzali cię dopuścić w jej pobliże.
- Och, dostanę się do niej – powiedział Abe. – Ma wiele odpowiedzi. Jeśli ukryła je przed tymi idiotami, to dobrze dla niej. Ale powie je *mi*.

Nagła myśl zaiskrzyła w umyśle Lissy.

- Musisz porozmawiać z Ianem. Tym facetem z alchemikami. Zna mężczyznę ze zdjęcia – em, to znaczy, faceta, którego zabił Eddie.
- Jesteś pewna? – zapytał Abe.
- Tak – powiedział Adrian, zaskakując wszystkich. – Ian zdecydowanie zareagował. I zadurzył się również w tej dziewczynie, Sydney.

- Też to zauważyłam – powiedziała Lissa.
- Wydawała się być nieco spięta. – Adrian zmarszczył brwi. – Ale może ich rodzaj po prostu tak lubi.
- To zadurzenie właściwie może się przydać – rozmyślał Abe. – Wy, kobiety, nie zdajecie sobie sprawy, jaką macie siłę. Widziałeś tego strażnika, z którym się umawia twoja ciotka? Ethan Moore?
- Tak – jęknął Christian. – Nawet mi nie przypominaj.
- Jednak Tasza *jest* całkiem seksowna – zauważył Adrian.
- To nie jest fajne – powiedział Christian.
- Nie bądź taki drażliwy – powiedział Adrian. – Ethan jest pałacowym strażnikiem. Był tutaj tej nocy, kiedy zamordowano królową – co może być dla nas bardzo przydatne, jeśli Tasza może utrzymać jego zainteresowanie.

Christian pokręcił głową.

- Ci strażnicy już zeznawali. To nie będzie miało znaczenia. Ethan powiedział, co wiedział³⁷.
- Nie byłbym taki pewien – powiedział Abe. – Zawsze są rzeczy, które nie pojawiają się w oficjalnej dokumentacji i jestem pewien, że strażnicy byli poinstruowani ścisłymi rozkazami co ujawniać, a czego nie. Twoja ciotka może być wystarczająco czarująca, żeby dowiedzieć się dla nas czegoś. – Abe westchnął, nadal wyglądając na wyjątkowo niepokieszonego z powodu nagłego pokrzyżowania jego uporządkowanych planów. – Gdyby tylko Sydney była wystarczająco czarująca, żeby uwolnić się po drodze z tego przesłuchania, tak żebym *ja* mógł ją przesłuchać. Teraz, muszę przebić się przez tych alchemików i strażników, żeby się do niej dostać i dowiedzieć się, gdzie jest Rose. Och, a właściwie, to musisz iść na swój test księżniczko.
- Myślałam, że to po prostu ściema, żeby mnie znaleźć – powiedziała Lissa.
- Nie, chcę cię. – Podał jej wskazówki, co do testu. To było w budynku, w którym miała drugi test. – Wszyscy idziecie razem, a potem dostaniesz strażnika, który cię odprowadzi. Nie wychodź z pokoju, dopóki nie wpadną do ciebie Janine albo Tad. – Tad był jednym z pachółków Abe. – Żadnych więcej niespodziewanych ataków.

Lissa chciała się kłócić, że z całą pewnością nie zamierzała poddać się aresztowi domowemu, ale zdecydowała, że najlepiej będzie, póki co, po prostu odpuścić Abe. Odszedł w pośpiechu, nadal emanując wzburzeniem i Lissa z resztą ruszyli w stronę miejsca testów.

- Koleś jest wkurzony – powiedział Adrian.
- Dziwisz mu się? – zapytał Christian. – Właśnie stracił członkostwo w klubie przywódców zła. Jego genialny pomysł rozleciał się i teraz zaginęła jego córka, podczas gdy on sądził, że była gdzieś bezpieczna.

Adrian pozostał ostentacyjnie milczący.

- Mam nadzieję, że wszystko z nią w porządku – westchnęła Lissa i poczuła ścisk w żołądku. – I co u licha ma z tym wszystkim wspólnego Jill?

³⁷ Dziadek wiedział, nie powiedział i za karę... no, wiecie co ;) – przyp. Szazi

Na to nikt nie znał odpowiedzi. Kiedy doszli do miejsca testów, Lissa zastała sytuację niemal identyczną do poprzedniej. Masa gapiów stojących wzdłuż korytarza. Strażnicy zastawiający drzwi. Więcej ludzi niż zwykle wykrzykujących jej imię, kiedy podeszła, niektórzy byli „pospolitymi” morojami, a inni arystokratami, których kandydaci odpadli z wyścigu. Wiele osób nominowanych nie zdało testu strachu, więc te rodziny zmieniły swoją lojalność.

Znowu Lissa została sama wprowadzona do pomieszczenia. Serce zaczęło jej walić, kiedy zobaczyła tą samą starszą kobietę. Czy miało nadejść więcej strasznych obrazów? Lissa nie widziała kielicha, ale to nie była gwarancja bezpieczeństwa. Nie było dodatkowego krzesła, więc Lissa po prostu stanęła naprzeciwko starszej kobiety.

- Dzień dobry – powiedziała Lissa z szacunkiem. – Miło panią znowu widzieć.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko, ukazując te ubytki w zębach.

- Wątpię, ale mówisz to bardzo przekonująco. Masz politykę we krwi.
- Dziękuję... pani... – powiedziała Lissa, niepewna czy powiedziano jej komplement, czy też nie. – Co mam zrobić w tym teście?
- Po prostu słuchaj. To wszystko. Ten jest łatwy.

Błysk w oku kobiety sprawił, że Lissa zaczęła myśleć, że to nie będzie jednak takie łatwe.

- Jedyne, co musisz zrobić, to odpowiedzieć mi na pytanie. Odpowiedz poprawnie, a przejdiesz do głosowania. A to byłoby zabawne. – Starsza kobieta wydawała się powiedzieć te ostatnie słowa bardziej do siebie, niż do Lissy.
- W porządku – powiedziała niespokojnie Lissa. – Jestem gotowa.

Kobieta zmierzyła Lissę wzrokiem i wydawało się, że była zadowolona z tego, co zobaczyła.

- W takim razie, oto pytanie: Co musi posiadać królowa, by prawdziwie rządzić swoim ludem?

Przez chwilę Lissa miała pustkę w głowie, a potem pomieszane słowa wpadały jej do głowy. *Prawość? Mądrość? Zdrowy rozsądek?*

- Nie, nie, nie odpowiadaj – powiedziała starsza kobieta, obserwując uważnie Lissę. – Jeszcze nie. Masz czas do jutra, o tej samej porze, żeby się nad tym zastanowić. Wróć z właściwą odpowiedzią, a przejdiesz przez testy. I... – Puściła jej oczko. – Nie musisz mówić, że nie możesz z nikim o tym rozmawiać.

Lissa kiwnęła głową, pocierając wytatuowany niewielki znak na jej ręce. Nikt inny nie udzielił jej pomocy z odpowiedzią. Lissa wyszła z pomieszczenia, a pytanie wracało do niej ciągle od nowa. Na takie pytanie, było zbyt wiele odpowiedzi, pomyślała. Każda z nich mogłaby...

Jakiś ruch w mojej rzeczywistości natychmiast wyrwał mnie z jej głowy. Po części spodziewałam się, że Sonia wparowała do naszego namiotu, ale nie, to nie to przyciągnęło moją uwagę. To był o wiele mniejszy ruch... i coś nieskończenie bardziej silnego.

Dymitr był w moich ramionach.

Tłumaczenie: Szazi

Korekta: Qbac, Diotima

Rozdział dwudziesty ósmy

WSTRZYMAŁAM ODDECH. Każde z nas miało swoje własne koce, ale nawet w środku lata w nocy temperatura spadała. We śnie Dymitr przetoczył się w moją stronę, złączając nasze koce w jedną kupę³⁸ i opierając swoją głowę o moją pierś. Jego ciało leżało przy moim, tak ciepłe i znajome, wtulił się we mnie nawet nieco mocniej.

Był bardziej wykończony niż sądziłam, skoro robił to podczas snu. W końcu to był facet, który spał z otwartymi oczami. Ale teraz jego czujność zniknęła, a jego ciało nieświadomie szukało... czego? Zwykłego ciepła? *Mnie*? Cholera. Po co ja pytałam o to Sonię? Dlaczego nie mogłam po prostu trzymać się swojej łatwej roli dziewczyny Adriana i przyjaciółki Dymitra? Obecnie, szczerze powiedziawszy, nie byłam zbyt dobra w żadnej z tych ról.

Niepewnie, przerażona przesunęłam się odrobinę, tak żebym mogła objąć jedną ręką Dymitra i przycisnąć go bliżej. Wiedziałam, że istniało ryzyko, że się obudzi i przerwie ten urok. Ale tak się nie stało. Jeśli już, to wręcz wydawał się rozluźnić jeszcze bardziej. Dotykanie go w ten sposób... trzymanie go... wywołało we mnie burzę emocji. Ból, jaki odczuwałam, odkąd go straciłam, zapłonął we mnie. Jednakże w tym samym czasie, trzymanie go w ten sposób wydawało się zaspokajać ten ból, jak gdyby kawałek mnie, który był zaginiony, teraz powrócił. Nawet nie zauważyłam zaginięcia tej części. Tłumiłam to wszystko, dopóki słowa Sonii nie wstrząsnęły moją nową, kruchą akceptacją życia.

Nie wiem jak długo leżeliśmy tak z Dymitrem. Wystarczająco długo, żeby wschodzące słońce zaczęło przedzierać się przez prześwitujący materiał namiotu. Tyle światła wystarczyło moim oczom, by zobaczyć Dymitra, dostrzec te misternie wyrzeźbione linie jego twarzy i delikatność jego włosów, kiedy leżał przy mnie. Tak strasznie chciałam je dotknąć, sprawdzić, czy są takie same w dotyku jak kiedyś. Oczywiście, to był głupi sentyment. Jego włosy nie mogły się zmienić. Jednak... pragnienie zostało, więc ostatecznie poddałam się mu, delikatnie przejechałam palcami po zabłąkanych puklach włosów. Były gładkie i miękkie. Ten najzwyczajniejszy dotyk sprawił, że przeszły mnie dreszcze. I także go obudził.

Jego oczy natychmiast otworzyły się w pogotowiu. Spodziewałam się, że odskoczy ode mnie, ale zamiast tego, po prostu ocenił sytuację – i nie poruszył się. Zostawiłam swoją rękę tam gdzie była, czyli obok jego twarzy, nadal głaskając jego włosy. Nasze spojrzenia zetknęły się ze sobą, przekazując sobie tak wiele. W takich chwilach, nie byłam z nim w namiocie, uciekając przed tymi, którzy uważali nas za czarne charaktery. Nie było żadnego mordercy do schwytania ani bolesnych doświadczeń z bycia strzygą do przezwyciężenia. Byliśmy po prostu ja i on z naszymi uczuciami, które płonęły między nami już tak długo.

Przesunął się, ale nie po to, żeby się wyrwać. Zamiast tego, podniósł głowę tak, by móc na mnie spojrzeć. Dzieliło nas zaledwie parę centymetrów, a jego oczy zdradziły go. Chciał mnie pocałować – a ja chciałam by to zrobił. Pochylił się ku mnie, jedną ręką opierając na moim policzku. Przygotowałam się na jego usta – potrzebowałam ich – i wtedy zmarł.

³⁸ W kupie siła, w kupie moc! Albo jak to mówi Yen – trzymajmy się kupy, kupy nikt nie ruszy – przyp. Szazi

Wycofał się i usiadł, wypuszczając powietrze w frustracji, kiedy odwracał ode mnie wzrok. Z przyśpieszonym i płytkim oddechem, także usiadłam.

- C-co jest? – zapytałam.

Ponownie na mnie spojrział.

- Wybór. Jest wiele możliwości.

Podniosłam palce do swoich ust. Tak blisko. Tak bardzo blisko.

- Wiem... wiem, że sprawy uległy zmianie. Wiem, że myliłeś się. Wiem, że możesz ponownie pokochać.

Kiedy formułował odpowiedź, z powrotem przybrał swoją maskę.

- Tu nie chodzi o miłość.

Odtworzyłam w myślach ostatnią minutę, to idealne połączenie, sposób, w jaki na mnie patrzył i co wyprawiał z moim sercem. Do diabła, Sonia twierdziła, że mamy nawet jakieś tajemnicze połączenie.

- Jeśli nie chodzi o miłość, to o co? – zawołałam.
- O robienie tego, co słuszne – powiedział cicho.

Słuszne? Słuszne i niewłaściwe postępowanie było nieustającym tematem w Św. Władimirze. Nie miałam osiemnastu lat. Był moim nauczycielem. Byliśmy wyznaczeni, aby zostać strażnikami Lissy i musieliśmy jej poświęcać całą swoją uwagę. Wszystkie te argumenty, by trzymać się od siebie z daleka były wtedy potrzebne. Ale już dawno odpuściliśmy je sobie.

Wypytywałam go dalej – gdyby ktoś nie zaczął dobierać się do naszych „drzwi”.

Oboje zerwaliśmy się i odskoczyliśmy od siebie, sięgając po kołki, obok których spaliśmy. Chwyciłam kołek instynktownie, ponieważ wiedziałam, że nie było tam żadnych strzyg. Ale ostatnimi czasy, strzygi były naszym najmniejszym problemem.

- Rose? Dymitr?

Głos był ledwie słyszalny – ale brzmiał znajomo. Nieco się rozluźniając, rozsunęłam wejście do namiotu i moim oczom ukazała się klęcząca przed nim Sonia. Podobnie jak my, miała na sobie te same ubrania, co wcześniej, a jej kasztanowe włosy były w nieładzie. Poza tym, wydawała się uciec od swoich prześladowców nietknięta. Przesunęłam się na bok tak, żeby mogła wejść.

- Przytulnie – powiedziała rozglądając się wokół. – Macie najbardziej odległe miejsce na polu kempingowym. Zajęło mi całe wieki znalezienie tego samochodu, który opisałaś.
- Jak się tu dostałaś? – zapytałam.

Puściła mi oczko.

- Nie tylko wy potraficie kraść samochody. Albo raczej, w moim przypadku bardziej nakłonić ludzi, żeby „chętnie” pożyczali je.
- Śledzono cię? – zapytał Dymitr. Znowu był całkiem poważny, bez żadnych oznak tego, co się stało chwilę wcześniej.
- Nic mi o tym nie wiadomo – powiedziała siadając po turecku. – Kilku strażników podążało za mną od tamtej okolicy, ale zgubiłam ich jakiś czas temu. Większość z nich, wydawała się być bardziej zainteresowana waszą dwójką.
- Wyobrażam sobie – mruknęłam. – Szkoda, że Wiktor już dawno zniknął – mógłby przejąć pierwszeństwo.
- On nie zabił królowej – powiedziała ponuro. Musieliśmy jej ostatecznie powiedzieć, dlaczego Wiktor był poszukiwany, i że to właśnie co do niego Sonia miała przeczucie, że będzie prześladował Lisę w Św. Włodimirze. – Ale dobrą wiadomością jest to, że wiem, gdzie teraz są.
- Gdzie? – zapytaliśmy zgodnie z Dymitrem.

Niewielki, znaczący uśmiešek pojawił się na jej ustach przy tym.

- W Zachodnim Michigan – powiedziała. – Wybrali się w kierunku przeciwnym do Dworu.
- Cholera – mruknęłam. Wraz z Dymitrem ruszyliśmy na południowy-wschód od Ann Arbor, zahaczając o przedmieścia Detroit i ledwie przecinając Ohio. Wybraliśmy zły kierunek³⁹. – Ale widziałaś Jill? Wszystko z nią dobrze?

Sonia pokiwała głową.

- Dobrze. Jest przerażona, ale ma się dobrze. Opisała wystarczająco charakterystycznych obiektów, że będziemy mogli zlokalizować ich motel. Dorwałam ją we śnie parę godzin temu; musieli odpocząć. Wiktor nie czuł się najlepiej. Nadal mogą tam być.
- W takim razie, musimy już teraz wyruszyć – powiedział Dymitr, natychmiast wkraczając do akcji. – Kiedy już się ruszą, Jill się obudzi i stracimy z nią kontakt.

Zwinęliśmy swoje obozowisko ze zdumiewającą szybkością. Moja kostka miała się już lepiej, ale nadal bolała. Zauważając moje utykanie, Sonia zatrzymała się tuż przed tym, jak dostaliśmy się do jej samochodu.

- Czekajcie.

Uklęknęła przy mnie, badając opuchniętą kostkę, która była odsłonięta dzięki mojej potarganej sukience. Biorąc głęboki wdech, oparła swoje ręce o mnie, a moją nogę przeszył strumień elektryczności, po którym nastąpiły fale ciepła i zimna. Kiedy już się to skończyło i wstała, ból i opuchlizna zniknęły, jakby były zadrapaniami na moich nogach.

³⁹ Kierunek może i dobry, tylko zwrot przeciwny ;D tak przynajmniej słyszałam od fizyków, ale ja się na tym nie znam – Szazi – jeżeli wybrali się dokładnie w przeciwną stronę to rzeczywiście :D A jak nie, to to już nie jest prawda – Qba ;) – powiedział fizyk.
- Szazi

Prawdopodobnie rozcięcia na mojej głowie też. Użytkownicy ducha leczyli mnie tak często, że można by pomyśleć, że przyzwyczaiłam się do tego, ale to nadal było nieco zaskakujące.

- Dziękuję – powiedziałam. – Ale nie powinnaś była tego robić... nie powinnaś była używać magii...
- Musisz być w jak najlepszej kondycji – powiedziała. Jej wzrok powoli odsunął się ode mnie i zaczęła wpatrywać się w drzewa. – A magia... no cóż, ciężko się od niej trzymać z daleka.

Rzeczywiście tak było i poczułam się winna, że używała jej na mnie – i zbliżyła się bardziej do szaleństwa. Przywrócenie jej przez Roberta uleczyło odrobinę jej umysł i musiała to wykorzystać. Jednak to nie była odpowiednia pora na wykład⁴⁰, a wyraz twarzy Dymitra dał mi do zrozumienia, że również uważał, że najlepiej będzie jeśli wrócę do formy.

Wyruszyliśmy w stronę miejsca, w którym według Sonii była Jill i tym razem dawała tak ściśle wskazówki, jak tylko mogła. Żadnej więcej niejasności czy wiążących obietnic. Raz się zatrzymaliśmy, żeby „nabyć” nowy samochód i zdobyć mapę. Informacje, które Sonia zebrała od Jill, doprowadziły nas do miasteczka o nazwie Sturgis. Było ono jednocześnie położone w zachodniej części Michigan, jak i południowej – co oznaczało, że odległość niezupełnie była taka, jakiej się spodziewaliśmy. Mimo to, Dymitr przez cały czas przekraczał prędkość o przynajmniej piętnaście mil na godzinę⁴¹.

- Tam – powiedziała Sonia, kiedy skręcaliśmy w centrum miasta – które niespecjalnie przypominało centrum. Byliśmy w pobliżu skromnie wyglądającego motelu na przeciwnej ulicy. – To jest to, co opisała. Słoneczny Motel⁴².

Dymitr podjechał i zatrzymał się na parkingu za budynkiem i wszyscy tam usiedliśmy, wpatrując się w motel, który nie wyglądał tak wesoło jak jego nazwa. Przypuszczałam, że moi towarzysze, podobnie jak ja, próbowali wymyśleć, jak do tego podejść. Doszliśmy tutaj dzięki wejściu do snu Jill, ale Sonia nie miała już niczego więcej, co by nam mogło pomóc znaleźć ich pokój – jeśli w ogóle nadal tu byli. Z pewnością nie zameldowali się pod prawdziwymi imionami. Miałam zamiar zaproponować, żebyśmy po prostu przeszli obok drzwi i mieli nadzieję, że Sonia wyczuje Roberta, kiedy nagle na coś wskazała.

- To jest ich samochód – powiedziała. – Są tutaj.

Rzeczywiście. Była tam CR-V, którą zabraliśmy do domu Jill. To tak a propos karmy. Zwinęłam Wiktorowi klucze, a on odpłacił się nam tym samym. W powstałym chaosie, żadne z nas za wiele nie myślało o jego samochodzie, w którym uciekł.

- Są niechlujni – wymamrotał Dymitr, ze zwężonymi oczami w wyrazie zamyślenia. – Powinni byli zmienić samochody.

⁴⁰ Obawiam się, że na to nigdy nie ma odpowiedniej pory – przyp. Szazi

⁴¹ Ok. 24-25 km/h – przyp. Szazi. I nie bądź taki szybki Bill – albo Dimka xD ew Spidy Gonzales. Hej wgl skoro on taki szybki to rozwiązuje się zagadka pomijania wszelkich scen erotycznych! Dimka ma takie przyspieszenie, że jest niewidoczny dla ludzkich oczu xD – Czarna Jeez, mówiłam wam, że to TurboDYMKOMAN! – przyp. Ginger.

⁴² The Sunshine Motel – ale mnie się tak podoba i *basta* :D – przyp. Szazi

- On należy do Sydney – zauważyłam. – Technicznie rzecz ujmując, nie jest kradziony, więc nie jest na żadnej liście policji. Poza tym, coś mi mówi, że Wiktor i Robert nie są takimi świetnymi profesjonalistami w zabawie z instalacją elektryczną jak *niektórzy*. Przez cały Midwest⁴³ zostawiliśmy sznurek skradzionych samochodów.

Dymitr kiwnął głową, jakbym mu właśnie powiedziała komplement.

- Bez względu na powód, to nam pomaga.
- Jak ich znajdziemy? – zapytała Sonia.

Już miałam zamiar zaproponować swój plan dotyczący aur, ale zrezygnowałam. Robert wyczułby Sonię w tym samym momencie, co ostrzegłoby go. W dodatku, kiedy znajdziemy braci, prawdopodobnie dojdzie do walki. W motelu przyciągnęłoby to za dużo uwagi. Parking był na tyłach, z dala od głównej drogi.

- Poczekamy – powiedziałam. – To i tak już jest niezwykle, że zatrzymali się na tak długo. Jeśli mają jakikolwiek rozum, to wkrótce wyjadą.
- Zgadzam się – powiedział Dymitr, łapiąc kontakt wzrokowy. *Dusze, będące w synchronizacji*. Wspomnienie tego, jak blisko pocałunku byliśmy, powróciło do mnie i odwróciłam wzrok, obawiając się tego, co moja twarz mogłaby zdradzić. – Parking jest także łatwiejszy do obrony. Nie ma za wiele miejsca na ucieczkę. – To była prawda. Z jednej strony otaczał go motel, a z drugiej betonowa ściana. W okolicy również nie było zbyt wielu innych budynków.

Przestawił nasz samochód w najodleglejsze miejsce, jakie było na parkingu, zapewniając nam pełny widok na wyjście z motelu – ale również utrzymując nas częściowo w ukryciu. Rozważaliśmy pozostanie w samochodzie, ale wraz z Dymitrem doszliśmy do wniosku, że powinniśmy poczekać na zewnątrz, co dawało nam większe pole do manewrowania. Zostawiliśmy Sonię w środku. To nie była jej walka.

Stojąc z Dymitrem za samochodem, w cieniu zielonego klonu, stałam się niezdolnie świadoma jego bliskości i pozycji groźnego wojownika. Mógł zgubić swój płaszcz, ale musiałam przyznać, że podobał mi się jego widok bez niego.

- Nie sędzę – powiedziałam cicho – że porozmawiamy o dzisiejszym poranku?

Wzrok Dymitra nadal mocno tkwił na CR-V, tak jakby próbował sprawić, żeby Jill z braćmi zmaterializowali się w nim. Ale nie dałam się oszukać. Po prostu unikał patrzenia na mnie.

- Nie ma o czym rozmawiać.
- Wiedziałaś, że to powiesz. Właściwie, mogłam rzucać monetą pomiędzy tym, a „nie wiem o czym mówisz”.

Dymitr westchnął.

⁴³północno-środkowy region Stanów Zjednoczonych wokół Wielkich Jezior i górnego biegu Missisipi. Zwykle do Midwestu zalicza się stany Ohio, Indiana, Illinois, Michigan, Wisconsin, Minnesota, Iowa, Missouri, Kansas i Nebraska – przyp. Szazi

- Ale – ciągnęłam dalej – *jest* o czym rozmawiać. Jak na przykład o tym, że niemal mnie pocałowałeś. I co miałeś na myśli mówiąc o „słusznej rzeczy”?

Cisza.

- Chciałeś mnie pocałować! – Ciężko było nie zacząć krzyczeć. – Widziałam to.
- Tylko dlatego, że czegoś chcemy, wcale nie znaczy, że to jest właściwe.
- To, co powiedziałeś... jest prawdą, tak? *Możesz* kochać, prawda? Teraz zdałam sobie sprawę, że zaraz po przemianie, naprawdę nie sądziłeś żebyś mógł. I prawdopodobnie nie mogłeś. Ale sprawy uległy zmianie. Wracasz do siebie.

Dymitr rzucił mi ukośne spojrzenie.

- Tak. Sprawy uległy zmianie... ale niektóre nie.
- W porządku panie Enigmo. To wcale nie pomaga wyjaśnić komentarza na temat „słusznej rzeczy”.

Jego rysy wypełniła frustracja.

- Rose, zrobiłem wiele złych rzeczy, większości z nich nigdy nie będę mógł naprawić albo spłacić. Teraz, moim jedynym wyborem, jeśli chcę odzyskać swoje życie, jest ruszyć do przodu, powstrzymywać zło i robić to, co jest słuszne. A z pewnością *nie* jest właściwe odbieranie kobiety innemu mężczyźnie i to mężczyźnie, którego lubię i szanuję. Będę kradł samochody. Będę włamywał się do domów. Ale są granice, których *nie* przekroczę, bez względu na to, co...

Tylne drzwi motelu otwały się, przyciągając naszą uwagę. Nic dziwnego, że moje życie uczuciowe było takim kąpielnią, skoro większość głębokich i intymnych chwil zawsze przerywały jakieś ekstremalne sytuacje. Było tak też dlatego, ponieważ nigdy, przenigdy nie spodziewałam się, że nadejdzie coś takiego: *A z pewnością nie jest właściwe odbieranie kobiety innemu mężczyźnie i to mężczyźnie, którego lubię i szanuję.*

Nowy dramat przejął pierwszeństwo. Wiktor wyszedł na zewnątrz, a Robert i Jill szli ramię w ramię za nim. Po części spodziewałam się, że będzie związana, więc byłam zaskoczona widząc, że towarzyszyła im tak spokojnie. Wkrótce zauważyłam, że za spokojnie. To nie było normalne. W jej ruchach, niemal wyczuwało się robota: została zmuszona do uległości.

- Kompulsja – powiedział cicho Dymitr, również to rozpoznając. – Weź Wiktora. Ja dorwę Roberta.

Kiwnęłam głową.

- Jill ucieknie jak tylko wpływ zostanie przełamany. Przynajmniej mam taką nadzieję. – Nie dawałam za nią głowy, że nie dołączy do naszej walki, co przyniosłoby więcej szkody niż pożytku. Wkrótce się dowiemy.

Na szczęście, w pobliżu nikogo nie było. Nadal był raczej wczesny poranek. Wraz z Dymitrem, wyskoczyliśmy z naszego ukrycia i w ciągu kilku chwil przecięliśmy cały dystans

poła parkingowego. Dwóch zdrowych dampirów mogło prześcignąć dwóch starych morojów każdego dnia. I chociaż bracia byli przebiegli, to nie spodziewali się nas.

Kątem oka, ledwie dostrzegłam Dymitra, który już przeszedł do swojego trybu boga walki, niebezpiecznego i nie do powstrzymania. A potem całkowicie skupiłam się na Wiktorze, rzucając się na niego całym ciężarem ciała i zwalając go na ziemię. Mocno uderzył o asfalt, a ja go tam przyszpiliłam, waląc go pięścią w twarz. Jego nos zaczął krwawić.

- Dobra robota – wykrztusił.
- Bardzo długo czekałam, żeby to zrobić – warknęłam.

Pomimo bólu i krwi, Wiktor uśmiechnął się.

- Oczywiście, że tak. Zwykłem sądzić, że to Bielikow jest brutalny, ale tak naprawdę to ty, nieprawdaż? Ty jesteś zwierzęciem, nieposiadającym żadnej kontroli, żadnego wyższego rozumowania poza trybem walki i zabijania.

Zacisnęłam ręce na jego koszuli i pochyliłam się nad nim.

- Ja? To nie ja torturowałam Lissę dla własnej korzyści. To nie ja zmieniłam swoją córkę w stryżę. I jestem pewna jak diabli, że to nie ja użyłam wpływu, żeby uprowadzić piętnastoletnią dziewczynę!

Ku mojemu zniesmaczeniu, nadal miał na irytujący uśmieszek na twarzy.

- Ona jest cenna, Rose. Tak bardzo cenna. Nie masz pojęcia jak bardzo.
- Nie jest przedmiotem, którym możesz manipulować! – krzyknęłam. – Ona jest... ahh!

Ziemia pode mną nagle zaczęła się zwijać, a wokół nas skupiło się mini trzęsienie ziemi. Asfalt się trzymał, co wykorzystał Wiktor by mnie odepchnąć. To nie było silne pchnięcie, więc z łatwością mogłam odzyskać równowagę, gdyby nie to, że ziemia falowała i otaczała mnie, kołysząc się jak fale oceanu, żeby mnie przewrócić. Wiktor używał swojej magii ziemi, żeby kontrolować teren, na którym stałam. Słaby krzyk zaskoczenia powiedział mi, że inni również trochę to poczuli, jednak magia była wyraźnie skupiona na mnie.

Jednak nie bez żadnych kosztów. Wiktor był starszym człowiekiem – starszym człowiekiem, który właśnie został pchnięty na asfalt i uderzony. Doskwierał mu ból i zmęczenie, a jego ciężki oddech pozwalał mi twierdzić, że władanie tak potężną magią – czymś, czego nigdy nie widziałam, żeby użytkownik ziemi robił – wyciskało z niego każdą pozostałą mu odrobinę siły.

Jedno dobre uderzenie. To było wszystko, czego potrzebowałam. Jedno dobre uderzenie, powaliłoby go i powstrzymało od tej walki. Tylko, że póki co, to *ja* byłam tą, która została powstrzymana. I to dosłownie. Próbowалам jak tylko mogłam obrócić to osobiste trzęsienie ziemi na swoją korzyść, jednak zważyło mnie ono na kolana. Poza tym, nadal byłam w tej głupiej sukience, co oznaczało tyle, że moje ledwo co uleczone nogi, znowu były całe zadrapane. I kiedy już byłam na ziemi, asfalt wokół mnie jakby urósł. Zdałam sobie sprawę,

że Wiktor zamierzał mnie usidlić, tworząc kamienne więzienie. Nie mogłam do tego dopuścić.

- Cała ta tężyzna fizyczna na nic – westchnął Wiktor z twarzą ociekającą potem. – Koniec końców, nie przyniosło ci to niczego dobrego. Prawdziwa moc tkwi w umyśle. W przebiegłości. Kontrolując Jillian, kontroluję Wasylisę. Z Wasylisą, kontroluję Dragomirów, a stamtąd – morojów. To jest moc. *To jest siła.*

Większość jego wyrażającej samozadowolenie tyrady, po prostu wleciała jednym uchem, a drugim wyleciała. Ale część z tego zostało: *Kontrolując Jillian, kontroluję Wasylisę.* Lissa. Nie mogłam mu pozwolić jej skrzywdzić. Nie mogłam mu pozwolić jej wykorzystać. Właściwie, to nie mogłam mu również pozwolić wykorzystać Jill. Lissa dała mi *chotki*, co było czymś w rodzaju skrzyżowania bransoletki z różańcem. To była pamiątka rodowa Dragomirów, którą obdarzano tych, którzy chronili rodzinę. To był mój obowiązek: chronić wszystkich Dragomirów. Stara mantra strażników zadźwięczała mi w myślach: *Oni są ważniejsi.*

Ze zrećnością, o którą siebie nie posądzałam, ogarnęłam wzrokiem trzęsącą się ziemię i spróbowałam ponownie wstać. Udało mi się, praktycznie tańcząc na tym parkingu.

Kiedy wpatrywałam się w Wiktora, poczułam to, o czym ostrzegała Sonia: katalizator. Iskra, która wzburzy cienie, które się nazbierały od Lissy. Spoglądając na niego, widziałam całe zło swojego świata w jednym człowieku. Czy to było całkiem prawdą? Nie, nie do końca. Ale skrzywdził moją najlepszą przyjaciółkę – niemal ją zabił. Bawił się z Dymitrem i ze mną, komplikując jeszcze bardziej nasz już i tak problematyczny związek. Teraz próbował kontrolować innych. Kiedy to się skończy? Kiedy przerwie się to jego zło? Widziałam wszystko w odcieniach czerni i czerwieni. Słyszałam jakiś głos, który mnie wołał – sądzę, że to była Sonia. Ale w tym momencie, na świecie nie istniało nic innego, oprócz Wiktora i mojej nienawiści do niego.

Skoczyłam na niego, napędzona furią i adrenaliną, wyskakując z epicentrum trzęsącej się ziemi, która groziła usidleniem mnie. Jeszcze raz rzuciłam się na niego, ale nie uderzyliśmy w ziemię. Odrobinę zmieniliśmy pozycję i zamiast tego, uderzyliśmy w betonową ścianę – z taką samą siłą, z jaką mogłabym rzucić strzygą. Pod wpływem siły uderzenia, jego głowa wygięła się do tyłu. Usłyszałam jakiś odgłos trzasku, a Wiktor osunął się na ziemię. Natychmiast padłam, chwytając go za ramiona i potrząsając nim.

- Wstawaj! – Krzyknęłam. – Wstawaj i walcz ze mną! – Ale bez względu na to jak bardzo nim trzęsłam czy krzyczałam, Wiktor nie podniósł się. Sam z siebie, nie poruszał się.

Chwyciły mnie jakieś ręce, na próżno próbując mnie odciągnąć.

- Rose... Rose! Przestań. *Przestań.*

Zignorowałam zarówno ten głos, jak i ręce. Byłam ucieleśnieniem gniewu i mocy, chciałam – nie, *potrzebowałam* – żeby Wiktor zmierzył się ze mną raz na zawsze. Nagle, przeszyło mnie

jakieś dziwne uczucie, jakby ktoś dotykał mojej skóry koniuszkami palców. *Zostaw go*. Nie chciałam, ale w jednej sekundzie, zaczęło mi się wydawać to całkiem rozsądnym pomysłem. Trochę rozluźniłam uścisk, wystarczająco, żeby te ręce mnie wyszarpały. W ten sposób, otrząsnęłam się z tej mgły i zdałam sobie sprawę z tego, co się stało. Osobą, która mnie odciągnęła, była Sonia, która użyła niewielkiej ilości kompulsji, żeby mnie wyrwać z tego i żebym puściła Wiktora. Była na tyle potężna w tym, że nawet nie potrzebowała kontaktu wzrokowego. Pomimo tego, że musiała wiedzieć, iż to strata wysiłku, nadal mnie trzymała.

- Muszę go powstrzymać – powiedziałam, wierząc się w jej uścisku. – On musi zapłacić. – Znowu po niego sięgnęłam.

Sonia przestała stawiać opór fizyczny, zamiast tego odwołując się do słów.

- Rose, już to zrobił! Jest *martwy*. Nie widzisz tego? Martwy. Wiktor jest martwy.

Nie, nie widziałam tego – nie od razu. Wszystko, co widziałam, to moja ślepa obsesja, moja potrzeba dorwania Wiktora. Ale potem, jej słowa dotarły do mnie. Kiedy trzymałam Wiktora, czułam jak wiotkie było jego ciało. Widziałam te oczy, które patrzyły tak beznamiętnie na... nic. Zniknęło to szalone, kłębiące się uczucie we mnie, zmieniając się w szok. Mój uścisk zelżał, kiedy wpatrywałam się w niego i zaczynałam naprawdę pojmować, co mi powiedziała.

Pojmować, co zrobiłam.

Wtedy usłyszałam przerażający dźwięk. Niskie zawodzenie przeszło zamroźony horror w moim umyśle. Zaniepokojona, spojrzałam za siebie i zobaczyłam Dymitra stojącego z Robertem. Dymitr bez żadnego wysiłku, trzymał jego ręce przyciśnięte do pleców, ale moroj robił wszystko, co w jego mocy, żeby się uwolnić – bezskutecznie. Jill stała w pobliżu, patrząc niespokojnie na nas wszystkich, zmieszana i przerażona.

- Wiktor! Wiktor!

Wołanie Roberta tłumilo łkanie i beznadziejne, podobnie jak moje, wysiłki, by Wiktor wstał. Powróciłam spojrzeniem na ciało leżące przede mną, ledwie wierząc w to, co właśnie zrobiłam. Myślałam, że strażnicy zwariowali tak reagując na zabójstwo moroja przez Eddiego, ale teraz, zaczynałam to rozumieć. Potwór, jak strzyga, był jedną sprawą. Ale życie osoby, nawet takiej osoby, która...

- Zabierz go stąd!

Sonia była tak blisko mnie, że aż się wzdrygnęłam kiedy tak niespodziewanie krzyknęła. Również klęczała, ale teraz wskoczyła na nogi, zwracając się do Dymitra.

- Zabierz go stąd! Tak daleko, jak możesz!

Dymitr wyglądał na zaskoczonego, ale ten mocny rozkaz w jej głosie, natychmiast pchnął go do działania. Zaczął odciągać Roberta. Po paru chwilach, Dymitr po prostu zdecydował się przerzucić go sobie przez ramię i usunąć go siłą. Spodziewałam się krzyków protestu, ale Robert zamilkł. Jego wzrok leżał na ciele Wiktora – jego spojrzenie było tak ostre, tak

skupione, że wydawało się, jakby mógł wypalić dziurę w kimś. Sonia, nie dzielając mojego dziwnego wrażenia, rzuciła się pomiędzy braci i znowu opadła na ziemię, zakrywając ciało Wiktora swoim własnym.

- Zabierz go stąd! – ponownie krzyknęła. – Próbuje przywrócić Wiktora! Będzie naznaczony pocałunkiem cienia!

Nadal byłam zmieszana i rozstrojona, nadal przerażona tym, co zrobiłam, ale niebezpieczeństwo tego, co powiedziała, mocno we mnie uderzyło. Nie można pozwolić Robertowi przywrócić Wiktora. Bracia byli już wystarczająco niebezpieczni bez więzi. Nie można pozwolić Wiktorowi przywoływać duchów, tak jak ja to robiłam. Wiktor musiał pozostać martwym⁴⁴.

- Nie musi dotykać ciała? – zapytałam.
- Żeby zakończyć więź, tak. Ale dopiero co władał masą ducha, wzywa z powrotem duszę Wiktora i będzie ją trzymał w pobliżu – wyjaśniła.

Kiedy Dymitr z Robertem odeszli, Sonia kazała mi pomóc przesunąć ciało. Narobiłyśmy hałasu i to cud, że nikt jeszcze nie wyszedł. Jill dołączyła do nas, i pomagałam im je przesunąć, tak naprawdę nieświadoma tego, co robiłam. Sonia znalazła przy Wiktorze klucze do CR-V i rozłożyła tylne siedzenia, żeby zwiększyć tam miejsce na ładunek. Wlazłyśmy do niego, cała nasza trójka musiała się zgarbić, żeby pozostać poza zasięgiem wzroku. Wkrótce usłyszałyśmy jakieś głosy, ludzie przyszli zobaczyć, co się stało. Nie wiem, jak długo byli na parkingu, ale na szczęście nie przeszukiwali samochodów. Szczerze? Miałam ledwie kilka spójnych myśli. Ta furia zniknęła, ale nadal miałam bałagan w myślach. Nie mogłam wyłapać niczego konkretnego. Czułam się chora i po prostu wykonywałam rozkazy Sonii, siedząc pochylona i starając się nie patrzeć na ciało Wiktora.

Nawet, kiedy głosów już nie było, kazała nam siedzieć w samochodzie. W końcu, wypuściła powietrze i skupiła się na mnie.

- Rose? – Nie odpowiedziałam od razu. – Rose?
- Tak? – zapytałam, załamującym się głosem.

Jej głos był kojący i zachęcający. Znowu poczułam to uczucie na skórze i potrzebę, żeby ją zadowolić⁴⁵. – Potrzebuję, żebyś spojrzała na umarłych. Otwórz na nich swoje oczy.

Umarli? Nie. Mój umysł wymknął się spod kontroli i miałam wystarczająco rozumu, żeby wiedzieć, że przywoływanie tutaj duchów, było złym pomysłem.

- Nie mogę.
- Możesz – powiedziała. – Pomogę ci. Proszę.

⁴⁴ Bo dobry Wiktor, to martwy Wiktor – przyp. Szazi

⁴⁵ Czarna by tu pewnie wtrąciła swoje trzy grosze :P – przyp. Szazi Oczywiście że bym wtrąciła i to nie tylko 3 grosze a całą scenę +18. No weź, „żeby ją zadowolić” - wole nie myśleć co Rose, chciała robić xD – przyp. któraś z badassek

Nie mogłam oprzeć się jej wpływowi. Poszerzając swoje zmysły, opuściłam mury, które wznosiłam wokół siebie. Były to mury, które blokowały mnie od świata umarłych i duchów, które za mną chodziły. W ciągu paru chwil, półprzezroczyste twarze pojawiły się za mną. Niektóre z nich, wyglądały jak normalni ludzie, ale pozostali, byli straszni i przerażający. Ich usta były otwarte, chcieli mówić, ale nie byli do tego zdolni.

- Co widzisz? – zapytała Sonia.
- Dusze – wyszeptalam.
- Widzisz Wiktora?

Przyjrzałam się badawczo tłumowi twarzy, ale to nie było łatwe.

- Nie.
- Odeślij je – powiedziała. – Wznies z powrotem swoje mury.

Próbowałam zrobić to, co powiedziała, ale było ciężko.

Nie chciałam. Poczułam zachętę z zewnątrz i zdałam sobie sprawę, że Sonia nadal używała na mnie wpływu. Nie mogła kazać duchom zniknąć, ale poczucie wsparcia i determinacji, dodało mi sił. Odsunęłam od siebie niespokojnych umarłych.

- W takim razie odszedł – powiedziała Sonia. – Został albo całkowicie pochłonięty przez świat umarłych, albo wędruje jako niespokojna dusza. Niezależnie od tego, wszelkie nici życia, odeszły. Nie może do niego wrócić. – Odwróciła się do Jill. – Idź po Dymitra.
- Nie wiem, gdzie on jest – powiedziała zaskoczona Jill.

Sonia uśmiechnęła się, ale nie sięgało to jej oczu.

- Jestem pewna, że jest gdzieś blisko. I że obserwuje nas. Idź przejdź się wokół motelu, bloku, wszystko jedno. On cię znajdzie.

Jill wyszła, nie potrzebując kompulsji. Kiedy zniknęła, ukryłam swoją twarz w dłoniach.

- O Boże. O Boże. Przez cały ten czas, próbowałam temu zaprzeczyć, ale to prawda: *jestem morderczynią.*
- Nie myśl o tym jeszcze – powiedziała Sonia. Jej postawa polegająca na przejęciu dowodzenia, była niemal pocieszająca. Niemal. Łatwiej było przyjmować rozkazy, niż samemu sobie radzić. – Uporasz się ze swoją winą później. Póki co, musimy pozbyć się ciała.

Odśloniłam oczy i zmusiłam się, by spojrzeć na Wiktora. Wezbrały we mnie mdłości i te wszystkie szalone uczucia jeszcze bardziej wymknęły mi się spod kontroli. Roześmiałam się cierpko.

- Tak. Ciało. Chciałabym, żeby była tu Sydney. Ale nie mamy żadnych magicznych eliksirów. Słońce go nie zniszczy. Dziwne, prawda? Strzygi trudniej zabić... trudniej

zabić, ale łatwiej posprzątać. – Znowu się roześmiałam, ponieważ było coś znajomego w tym moim chaotycznym mówieniu... to było tak, jak Adrian w jednej z tych swoich dziwnych chwil. Albo Lissa, kiedy duch doprowadza ją do krawędzi. – To jest to, prawda? – zapytałam Sonię. – Wylew... erupcja, przed którą mnie ostrzegłaś. Lissa uniknęła wpływu ducha, ale w końcu mnie to pokonało... dokładnie tak jak Annę... dokładnie tak jak we śnie... o Boże. To sen, prawda? Ale ja się nie obudzę...

Sonia wpatrywała się we mnie, a jej oczy rozszerzyły się w wyrazie... strachu? Kpiny? Zaniepokojenia? Sięgnęła do mnie i chwyciła za rękę. – Zostań ze mną, Rose. Odeprzemy to.

Pukanie w okno przestraszyło nas obie i Sonia wpuściła do środka Jill z Dymitrem.

– Gdzie jest Robert? – zapytała Sonia.

Dymitr rzucił okiem na Wiktora, a potem od razu odwrócił wzrok.

- Nieprzytomny i ukryty w jakiś krzakach za rogiem.
- Uroczo – powiedziała Sonia. – Myślisz, że to mądre? Zostawiać go?

Wzruszył ramionami.

- Doszedłem do wniosku, że nie powinienem się pokazywać niosąc na rękach nieprzytomnego faceta. Właściwie... tak, myślę, że powinniśmy po prostu go tu zostawić. Obudzi się. Nie jest zbiegiem. A bez Wiktora jest... no cóż, może nie nieszkodliwy. Ale mniej szkodliwy. Tak czy inaczej, nie możemy go ciągnąć ze sobą.

Znowu się roześmiałam. Ten śmiech nawet dla mnie brzmiał histerycznie i jakbym była walnięta.

- Jest nieprzytomny. Oczywiście. Oczywiście. Ty to potrafisz robić. Potrafisz robić właściwą rzecz. Ja nie. – Spojrzałam w dół, na Wiktora. – „Zwierzę”, powiedział. Miał rację. Żadnego wyższego rozumowania... – Oplotłam się ramionami, wbijając swoje paznokcie w skórę tak głęboko, że zaczęła lecieć krew. *Ból fizyczny sprawia, że nie czuję bólu psychicznego.* Czy to nie to, co zawsze powtarzała Lissa?

Dymitr wpatrywał się we mnie, a potem zwrócił do Sonii.

- Co się dzieje? – domagał się. Widziałam jak ciągle ryzykował swoje życie, ale nigdy, aż do tej pory, nie wyglądał na naprawdę przerażonego.
- Duch – powiedziała Sonia. – Ściągała i ściągała to tak długo... ale zdołała go powstrzymać. Jednak to czekało. Zawsze czeka... – Skrzywiła się nieznacznie, być może zdając sobie sprawę, że zaczynała brzmieć podobnie do mnie. Odwróciła się do Jill. – Czy to srebro?

Jill spojrzała w dół, na medalion w kształcie serca, który miała na szyi.

- Tak sądzę.
- Mogę to wziąć?

Jill rozpięła klamrę i podała go. Sonia trzymała go pomiędzy swoimi dłońmi i na chwilę zamknęła oczy, zaciskając usta. Parę sekund później, jej oczy się otworzyły i podała mi medalion.

- Załóż go.

Nawet dotyk wywołał dziwne mrowienie na mojej skórze.

- Serce... – spojrzałam na Dymitra, kiedy zapinałam klamrę. – Pamiętasz to? „Gdzie jest serce?”⁴⁶ zapytałeś. I oto jest. Tutaj...

Przerwałam. Świat nagle stał się wyraźniejszy. Moje wymieszane myśli, zaczęły zbierać się do kupy, tworząc jakieś pozory racjonalności. Wpatrywałam się w swoich towarzyszy – tych żyjących – i naprawdę ich teraz widziałam. Dotknęłam medalionu.

- To jest leczący talizman.

Sonia pokiwała głową.

- Nie wiedziałam, czy zadziała na umysł. Nie sądzę, żeby to stale działało... ale dzięki temu i swojej własnej woli, przez trochę będziesz się miała dobrze.

Staralam się nie skupiać na tych ostatnich słowach. *Przez trochę*. Zamiast tego, spróbowałam nadać znaczenie światu otaczającemu mnie. Ciałom, będącym naprzeciwko mnie.

- Co ja zrobiłam? – wyszeptałam.

Jill objęła mnie ramieniem, ale to Dymitr odpowiedział.

- To, co musiałaś.

Tłumaczenie: Szazi

Korekta: Qbac, Justa2705

⁴⁶ A ja myślałam, że Nemo. – przyp. Szazi

Rozdział dwudziesty dziewiąty

NASTĘPNE WYDARZENIA PAMIĘTAŁAM jak przez mgłę. Sonia może i oddaliła wpływ ducha, ale to nie miało znaczenia. Nadal byłam w szoku, niezdolna do myślenia. Posadzili mnie na przednim siedzeniu, tak daleko od Wiktora, jak tylko się dało. Dymitr gdzieś nas wiozł – nie zwracałam za bardzo uwagi gdzie – i razem z Sonią pozbył się ciała. Nie powiedzieli, co zrobili, tylko, że „zajęli się tym”. Nie pytałam o szczegóły.

Po tym wróciliśmy na drogę i skierowaliśmy się w stronę Dworu. Sonia i Dymitr rozważali różne opcje działania, kiedy już tam dotrzemy. Biorąc pod uwagę, że nikt jeszcze nie oczyścił mojego imienia, obecnym planem było, żeby Sonia odeskortaowała Jill na Dwór. Jill zapytała, czy mogłaby zadzwonić do swoich rodziców, żeby im dać znać, że wszystko z nią w porządku, ale Dymitr uważał, że mogłoby to być bardzo ryzykowne. Sonia powiedziała, że spróbuje złapać Emily we śnie, dzięki czemu Jill poczuła się nieco lepiej.

Podczas podróży, radziłam sobie sprawdzając, co u Lissy. Skupianie się na niej, odciągało mnie od strasznego poczucia winy i pustki, którą czułam, przerażenia spowodowanego tym, co zrobiłam Wiktorowi. Kiedy byłam z Lissą, nie byłam sobą, a właśnie wtedy, było to moim największym pragnieniem. Nie chciałam być sobą.

Ale u niej sprawy też nie toczyły się idealnie. Jak zawsze, ich liczba przytłaczała ją. Czuła, że jest tak blisko – tak bardzo, bardzo blisko – rozwiązania tego, kto zabił Tatianę. Odpowiedź wydawała się być w zasięgu ręki, gdyby tylko mogła sięgnąć nieco dalej. Strażnicy zaciągnęli dozorcę Joego do środka, a pod odpowiednim przymusem – mieli swoje sposoby, które nie wymagały magicznego wpływu – przyznał, że w noc morderstwa widział w moim budynku moroja z chorymi rękami. Jednak żadna siła nie mogła zmusić Joego, żeby się przyznał, że ktoś mu zapłacił – czy to ten mężczyzna, czy też Daniela. Jedyne, co powiedział to to, że mógł być „nieco nieobecny” w czasie swojej zmiany tej nocy. To w żadnym wypadku nie było twardym dowodem, by mnie ocalić.

Lissa miała też list Ambrose, który zawierał subtelną groźbę skierowaną do Tatiany. Nadawca sprzeciwiał się prawu obniżającemu wiek, twierdząc że było zbyt miękkie. Nie zgadzał się też z uznaniem ducha przez Tatianę i nie cierpiał tajnych sesji treningowych. List mógł być idealnie uprzejmy, ale ktokolwiek go napisał, miał poważną urazę do królowej. To potwierdzało by teorię o motywach politycznych.

Oczywiście, nadal było wiele motywów osobistych dla tego morderstwa. Brudy z Ambrosem, Blakiem i zamieszany w to kobietami, wskazywały każde z nich jako mordercę. Z tej listy, Daniela Iwaskow była niezmiennym punktem, na który kładła nacisk Lissa i nie śmiała pisać o tym słowem Adrianowi. Jediną dobrą stroną było to, że łapówkarstwo Daniela miało na celu utrzymanie Adriana z dala od kłopotów – a nie przypiecztowanie mojej winy. Nieznany moroj zafundował tą łapówkę. Z pewnością, jeśli to ona zabiła Tatianę, Daniela zapłaciła za oba kłamstwa Joego.

I oczywiście, był jeszcze ostatni test, który dręczył Lissę. Zagadka. Zagadka, która wydawała się mieć tak wiele rozwiązań – a jednak żadnego. *Co musi posiadać królowa, by prawdziwie rządzić swoim ludem?* W jakiś sposób, to było trudniejsze od pozostałych testów. Miał praktyczny składnik, że się tak wyrażę. To był jej własny intelekt. Żadnego ognia do zapalenia. Żadnego strachu, z którym trzeba się zmierzyć.

Nienawidziła również tego, że wzięła tą zagadkę tak poważnie. Nie potrzebowała tego stresu, nie z tym wszystkim, co się działo wokół. Życie byłoby znacznie prostsze, gdyby traktowała te testy na luzie, jako sztuczkę, żeby kupić nam trochę czasu. Na Dwór nadal przybywali ludzie chcący zobaczyć wybory i coraz więcej z nich – ku jej zaskoczeniu – dawało jej swoje wsparcie. Ledwie mogła się gdziekolwiek ruszyć bez ludzi wykrzykujących o „Smoku” albo „odrodzeniu się Aleksandry”. Wiadomość o jej ataku również wyszła na światło dzienne, co wydawało się jeszcze bardziej nakręcić jej zwolenników.

Ale oczywiście Lissa też miała swoją opozycję. Największym argumentem przeciwko niej, był ten sam, stary, prawny powód: że nie będzie można na nią głosować, kiedy już nadejdzie na to pora. Kolejnym krzyżykiem na niej, był jej wiek. Jej oponenti twierdzili, że była za młoda⁴⁷. Kto by chciał mieć na tronie dziecko? Ale miłośnicy Lissy nie słuchali żadnej z tych rzeczy. Ciągłe powoływali się na rządy młodej Aleksandry i cudy, których dokonała Lissa ze swoim leczeniem. Wiek był nieistotny. Krzyczeli, że moroje potrzebują świeżej krwi. Domagali się również zmiany prawa dotyczącego głosowania.

Jak można się było tego spodziewać, jej oponenti również poruszali fakt, że była powiązana z morderczynią królowej. Sądziłam, że to będzie największym problemem w jej kandydaturze, ale była tak przekonywująca, co do tego, jak ją zaskoczyłam i zdradziłam, że wiele osób uważało, że jeśli będzie królową, to właściwie będzie to naprawiało krzywdę, jaką wyrządziłam. Używała niewielkiej ilości wpływu za każdym razem, kiedy poruszano ten temat, co również sporo pomogło w przekonaniu pozostałych, że teraz była ode mnie zupełnie odcięta.

- Jestem tym taka zmęczona – powiedziała Lissa Christianowi, kiedy już wróciła do swojego pokoju. Szukała tam ucieczki i leżała w jego ramionach na swoim łóżku. Była tam na straży moja mama. – Ta cała sprawa z królową była strasznym pomysłem.

Christian pogładził ją po włosach.

- Wcale nie. Abe powiedział, że wybór zostanie opóźniony z powodu zamieszania. I nie ważne jak bardzo narzekasz, wiem, że jesteś z siebie dumna, że zaszłaś tak daleko.

To była prawda. Test z kielichem wyeliminował połowę kandydatów. Pozostała tylko piątka. Wśród nich była Ariana Szelski i kuzyn Danieli, Rufus Tarus. Lissa była trzecia, z Marcusem Lazarem i Marią Conta zamykającymi grupę. Ronald Oзера nie doszedł do tego miejsca.

Odezwała się moja matka.

⁴⁷ Bo była. Wyobrażacie sobie? 18-letni prezydent? Śmiech na sali. – przyp. Szazi - Wiesz co na Lissę to bym akurat głosował :D a wyobraź sobie Rose w tej roli :P – Qbac – To ja się wyprowadzam - Szazi

- Nigdy nie widziałam czegoś takiego – to niewiarygodne ile wsparcia otrzymujesz. Rada i reszta arystokratów nie mają żadnego obowiązku zmieniać prawa. Ale tłum jest głośny... a uzyskanie miłości „pospółstwa” może przynieść wiele korzyści pewnym arystokratom. Wsparcie twojego roszczenia do brania w tym udziału, zdecydowanie pokazałoby w dobrym świetle parę rodzin, które straciły przychyłność. Jedyne co ich powstrzymuje to myśl, że rzeczywiście możesz wygrać. Dlatego po prostu ciągle się kłóć i kłóć.

Lissa zeszywniała.

- Zwycięstwo... to nie jest naprawdę możliwe, co nie? Ariana ma je zapewnione... prawda?

Zwycięstwo nigdy nie było częścią tego szalonego planu, a teraz, kiedy pozostało tak niewielu kandydatów, presja żeby to Ariana zasiadła na tronie była jeszcze większa. Jeśli chodziło o Lisę, reszta kandydatów nie zapowiadała się na mających poprawić życie morojów. Ariana *musiała* zwyciężyć.

- Tak bym powiedziała – stwierdziła Janine. W jej głosie była duma, pokazująca jak blisko była z rodziną Szleskich. – Ariana jest wspaniała i kompetentna, i większość ludzi to wie. Traktuje daimiry sprawiedliwie – bardziej niż niektórzy kandydaci. Już mówiła o cofnięciu przepisu o wieku.

Myśl o gorszych prawach uciskających daimiry sprawiła, że Lissa poczuła ścisk w żołądku.

- Boże, mam nadzieję, że wygra. Nie możemy sobie pozwolić, żeby jeszcze cokolwiek poszło źle.

Pukanie do drzwi postawiło moją mamę w pełnym strażniczym trybie gotowości, dopóki Lissa nie powiedziała:

- To Adrian.
- No cóż – wymamrotał Christian – przynajmniej jego wycucie czasu jest lepsze niż zwykle.

Oczywiście mój chłopak wszedł spowity swoim teraz już zwykłym zapachem dymu i alkoholu. Co prawda, jego złe nawyki były ostatnimi z moich zmartwień, ale wkurzało mnie, że potrzebował *mnie* tam osobiście, żebym wymusiła na nim dobre zachowanie. To przypomniało mi jego słowa, że byłam jego siłą.

- Wstawajcie ludzie – powiedział. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. – Mamy do złożenia wizytę.

Lissa usiadła zaintrygowana.

- O czym ty mówisz?
- *Nie* będę znowu spędzał czasu z Blakem Lazarem – ostrzegł Christian.
- No to jest nas dwóch – powiedział Adrian. – Mam kogoś lepszego. I bardziej atrakcyjnego. Pamiętajcie, jak zastanawialiście się jak blisko była Serena z Grantem? No cóż, wygląda na to, że możecie ją o to sami zapytać. Znalazłem ją. I tak, nie ma za co.

Przez twarz mojej matki przeszedł grymas.

- Z tego, co ostatnio słyszałam, Serena została odesłana gdzieś daleko, żeby uczyć w szkole. W jakiejś na Wschodnim Wybrzeżu, jak sądzę. – Po ataku strzyg, podczas którego został zabity Grant i paru innych, strażnicy zdecydowali odciągnąć na jakiś czas Serenę od aktywnego obowiązku ochrony. Była jedynym strażnikiem, który przetrwał.
- Bo uczy, ale skoro mamy lato, przenieśli ją z powrotem, żeby pomogła w kontrolowaniu tłumu podczas wyborów. Pracuje przy frontowych bramach.

Lissa z Christianem wymienili spojrzenia.

- Musimy z nią porozmawiać – powiedziała podekscytowana Lissa. – Może wiedzieć, kogo Grant uczył w tajemnicy.
- To wcale nie oznacza, że któryś z nich zabił Tatianę – ostrzegła moja matka.

Lissa pokiwała głową.

- Nie, ale to jest ze sobą powiązane, jeśli wierzyć listowi Ambrose. Jest tam teraz? Przy bramach?
- Tak – powiedział Adrian. – I prawdopodobnie nawet nie musimy jej kupować drinka.
- W takim razie chodźmy. – Lissa wstała i sięgnęła po swoje buty.
- Jesteś pewna? – zapytał Christian. – Wiesz, co czeka na zewnątrz.

Lissa zawahała się. Była późna „noc” dla morojów, ale to nie znaczyło, że wszyscy byli w łózkach – zwłaszcza przy bramach, które ostatnio zawsze były zapchane ludźmi. Lissa doszła do wniosku, że oczyszczenie mojego imienia było zbyt ważne.

- Tak. Zróbmy to.

Z moją matką na przedzie, moi przyjaciele ruszyli w drogę do wejścia na Dwór. („Drzwi”, które stworzył Abe zostały załatane.) Dwór był otoczony wysokimi, kolorowymi, kamiennymi murami, które dodatkowo pomagały wyobraźni ludzi myśleć, że to właściwie była jakaś elitarna szkoła. Kute żelazne bramy u wejścia były otwarte, ale grupa strażników blokowała drogę prowadzącą na tereny Dworu. Zazwyczaj tylko dwóch strażników siedziało w budkach przy bramie. Ich dodatkowa ilość była potrzebna zarówno do dokładniejszego sprawdzenia samochodów, jak i kontroli tłumu. Obserwatorzy stali po obu stronach drogi, przyglądając się przybywającym samochodom, jakby byli na premierze z czerwonym dywanem. Janine знаła określną drogę, która pozwoliła im uniknąć niektórych ludzi – ale nie całkowicie.

- Nie kul się – powiedział Christian Lissie, kiedy przechodzili przez szczególnie wokalną grupę, która ją zauważyła. – Jesteś kandydatką na królową. Zachowuj się tak. Zaslugujesz na to. Jesteś ostatnią z Dragomirów. Córka arystokraty.

Lissa posłała mu krótkie, zdziwione spojrzenie, zaskoczona, że słyszy zawziętość w jego głosie – i że wyraźnie wierzył w swoje słowa. Wyprostowując się, odwróciła się w stronę swoich fanów, uśmiechając się i machając, co podekscytowało ich jeszcze bardziej. *Weź to na poważnie*, powtarzała sobie. *Nie zhańb naszej historii.*

Ostatecznie przedostanie się przez tłum do bramy okazało się łatwiejsze niż uzyskanie trochę czasu sam na sam z Sereną. Strażnicy byli zavaleni pracą i upierali się w zatrzymaniu Sereny przy przeszukiwaniu przyjezdnych, ale moja mama przeprowadziła szybką rozmowę ze strażnikiem na zmianie. Przypomniała mu o znaczeniu Lissy i zaoferowała, że zastąpi Serenę na parę minut.

Serena już dawno wyleczyła się z ataku strzyg. Była w moim wieku, miała blond włosy i była ładna. Była wyraźnie zaskoczona widząc swoją byłą podopieczną.

- Księżniczko – powiedziała, podtrzymując formalne uprzejmości. – Jak mogę ci pomóc?

Lissa odciągnęła Serenę kawałek od grupki strażników, mówiących do morojskich kierowców ustawionych przy bramie.

- Możesz mnie nazywać Lissą. Wiesz o tym. W końcu uczyłaś mnie dźgać poduszki.

Serena nieznacznie się do niej uśmiechnęła.

- Sprawy się zmieniły. Możesz być naszą kolejną królową.

Lissa wykrzywiła się.

- Wątpię. – *Zwłaszcza, że nie mam pojęcia jak rozwiązać tę zagadkę*, pomyślała. – Ale potrzebuję twojej pomocy. Spędzałaś wiele czasu z Grantem... czy kiedykolwiek wspominał coś o trenowaniu morojów dla Tatiany? Coś jak tajne sesje walki?

Twarz Sereny zdradziła odpowiedź i odwróciła wzrok.

- Nie mogę o tym rozmawiać. Nawet on nie mógł o tym ze mną rozmawiać.

Lissa w podekscytowaniu tak chwyciła ramię młodej strażniczki, że Serena się wzdrygnęła.

- Musisz mi powiedzieć, co wiesz. Cokolwiek. Kogo trenował... jak do tego podchodzili... komu się udało. *Cokolwiek*.

Serena zbladła.

- *Nie mogę* – szepnęła. – To było robione w tajemnicy. Na rozkaz królowej.
- Moja ciotka nie żyje – powiedział prosto z mostu Adrian. – I jak sama powiedziałaś, możesz rozmawiać z przyszłą królową. – Zarobił przez to gniewne spojrzenie Lissy.

Serena zawahała się, a potem wzięła głęboki wdech.

- Mogę zrobić listę imion. Jednak niektórych mogę nie pamiętać. I nie mam pojęcia jak dobrze im szło – tylko to, że wielu nienawidziło tego. Grant miał wrażenie, jakby Tatiana specjalnie wybrała tych najbardziej niechętnych.

Lissa ścisnęła rękę.

- Dziękuję. Dziękuję ci bardzo.

Serena nadal wyglądała jakby ją bolało to, że zdradziła tajną informację. *Oni są ważniejsi* nie zawsze pasowało do twoich wierności.

- Jednak będę musiała dać ci ją później. Potrzebują mnie tutaj.

Serena wróciła na swoje stanowisko, sprowadzając moją matkę z powrotem do Lissy. Co do mnie, to wróciłam do swojej własnej rzeczywistości w samochodzie, który akurat prawie się zatrzymywał. Zamrugalam, żeby oczyścić swój wzrok i ogarnąć nasze otoczenie. Kolejny hotel. Jak dotąd powinniśmy już mieć jakąś złotą kartę członkowską.

- Co się dzieje?
- Zatrzymujemy się – powiedział Dymitr. – Musisz odpocząć.
- Wcale nie. Musimy jechać na Dwór. Musimy dostarczyć tam Jill w czasie wyborów.

Naszym pierwotnym celem było zagwarantowanie Lissie mocy do głosowania. Od tamtej pory przyszło nam również do głowy, że skoro startowanie Lissy zawala wybory, to niespodziewane pojawienie się jej siostry wywoła taką samą sensację i niedowierzenie. Test genetyczny rozwieje wszelkie wątpliwości i zapewni Lissie prawo do głosowania, ale początkowe zamieszanie kupi nam więcej czasu, którego tak bardzo potrzebowaliśmy, by znaleźć mordercę. Pomimo przypadkowych dowodów, które moi przyjaciele nadal znajdowali, nadal nie mieli solidnej teorii, co do winowajcy.

Dymitr rzucił mi spojrzenie mówiące *nie okłamuj mnie*.

- Właśnie byłeś z Lissą. Czy wybory rzeczywiście już się zaczęły?
- Nie – przyznałam.
- W takim razie odpoczniesz trochę.
- *Nic mi nie jest* – straciłam panowanie nad sobą.

Ale ci głupcy mnie nie słuchali. Meldowanie się było skomplikowane, ponieważ żadne z nas nie miało karty kredytowej, a zasady hotelu nie obejmowały brania depozytu gotówkowego. Sonia zmusiła recepcjonistę, że zasady jednak to *obejmowały* i wkrótce mieliśmy zarezerwowane dwa sąsiednie pokoje.

- Pozwól mi z nią porozmawiać na osobności – Dymitr wymamrotał do Sonii. – Poradzę sobie z tym.
- Bądź ostrożny – ostrzegła Sonia. – Jest krucha.
- Hej, ludzie, ja tu jestem! – krzyknęłam.

Sonia wzięła Jill za rękę i odprowadziła do jednego z pokoi. – Chodź, zamówimy obsługę hotelową.

Dymitr otworzył inne drzwi i spojrzał na mnie wyczekująco. Z westchnieniem podążyłam za nim i usiadłam na łóżku ze skrzyżowanymi rękami. Pokój był sto razy ładniejszy niż ten w Zachodniej Wirginii.

- Czy *możemy* zamówić obsługę hotelową?

Dymitr przyciągnął krzesło i usiadł naprzeciwko mnie, parę centymetrów ode mnie.

- Musimy porozmawiać o tym, co się stało z Wiktorem.
- Nie ma o czym rozmawiać – powiedziałam ponuro. Mroczne uczucia, które zepchnęłam do tyłu podczas jazdy, nagle mnie załazy. Dusił mnie. Czułam się jeszcze bardziej klaustrofobicznie niż wtedy, gdy byłam w celi. Poczucie winy było swoim własnym więzieniem. – Naprawdę jestem morderczynią, tak jak wszyscy twierdzą. Nie ma znaczenia, że to był Wiktor. Zabiłam go z zimną krwią.
- Ciężko to nazwać zimną krwią.
- Do cholery, było! – Zawołałam, czując jak łzy cisną mi się do oczu. – Plan był taki, żeby pokonać jego i Roberta, żebyśmy mogli uwolnić Jill. *Pokonać*. Wiktor nie był dla mnie żadnym zagrożeniem. Był starszym człowiekiem na litość boską.
- Wyglądał na zagrożenie – powiedział Dymitr. Jego spokój jak zwykle przeciwstawiał się mojej wzrastającej histerii. – Używał swojej magii.

Pokręciłam głową, zakopując twarz w swoich dłoniach.

- To by mnie nie zabiło. Prawdopodobnie nawet nie mógłby już tego dłużej utrzymać. Mogłam to przeczekać, albo uciec. Do diabła, przecież uciekłam! Ale zamiast go złapać, trzasnęłam nim o betonową ścianę! Nie mógł się ze mną równać. Starszy człowiek. Zabiłam *starszego człowieka*. Tak, może był spiskującym, skorumpowanym starszym człowiekiem, ale nie chciałam, żeby zginął. Chciałam go znowu zamknąć. Chciałam, żeby spędził resztę swojego życia w więzieniu, żyjąc ze swoimi przestępstwami. *Żyjąc*, Dymitrze.

Wydawało się dziwne, że tak uważałam, biorąc pod uwagę to, jak bardzo nienawidziłam Wiktora. Ale to była prawda: to nie była uczciwa walka. Działałam bezmyślnie. Mój trening zawsze obejmował obronę i atakowanie potworów. O honorze nigdy tak naprawdę nie wspomiano, ale nagle, zaczęło to dla mnie wiele znaczyć. – W tym co mu zrobiłam, nie było żadnego honoru.

- Sonia powiedziała, że to nie była twoja wina. – Głos Dymitra nadal był łagodny, co jakoś sprawiło, że poczułam się jeszcze gorzej. Chciałam, żeby mnie upomniał, potwierdził winę, którą czułam. Chciałam, żeby był moim krytycznym instruktorem. – Powiedziała, że to była gwałtowna reakcja ducha.
- To była... – przerwałam, przywołując w myślach najlepiej jak mogłam, zmętniony obraz walki. – Do tej pory tak naprawdę nigdy nie rozumiałam, czego doświadczała Lissa w swoich najgorszych chwilach. Po prostu spojrzałam na Wiktora... i zobaczyłam całe zło tego świata – zło, które musiałam powstrzymać. Był zły, ale nie zasługiwał na to. Nigdy nie miał szansy. – *Honor*, ciągle o tym myślałam. *Gdzie w tym jest honor?*
- Nie słuchasz, Rose. To nie była twoja wina. Duch jest potężną magią, którą ledwie rozumiemy. A jego ciemne krańce... no cóż, wiemy, że jest zdolny do strasznych rzeczy. Rzeczy, których nie da się kontrolować.

Podniosłam wzrok na niego.

- Powinnam być od tego silniejsza. – I o to chodziło. Myśl będąca tuż za całym poczuciem winy i tymi wszystkimi okropnymi uczuciami. – Powinnam być od tego silniejsza. Byłam słaba.

Dodające otuchy słowa Dymitra nie nadeszły tak szybko.

- Nie jesteś niezwyciężona – powiedział w końcu. – Nikt tego od ciebie nie oczekuje.
- Ale *ja* tak. To co zrobiłam... – przelknęłam ślinę. – To, co zrobiłam, było niewybaczalne.

Jego oczy rozszerzyły się w wyrazie szoku.

- To... to szalone, Rose. Nie możesz karać się za coś, na co nie miałaś żadnego wpływu.
- Tak? W takim razie dlaczego ty nadal...

Przerwałam, ponieważ miałam zamiar oskarżyć Dymitra o dalsze karanie siebie. Tylko że... on już dłużej tego nie robił. Czy miał poczucie winy za to, co zrobił jako strzyga? Byłam tego pewna. Sonia przyznała to samo. Ale gdzieś podczas tej podróży, ponownie krok po kroku, przejął kontrolę nad swoim życiem. Powiedziała mi to, ale dopiero teraz naprawdę to zrozumiałam.

- Kiedy? – zapytałam. – Kiedy to się zmieniło? Kiedy zdałeś sobie sprawę, że żyjesz – nawet pomimo tej całej winy?
- Nie jestem pewien. – Jeśli pytanie go zaskoczyło, to zdołał to ukryć. Jego oczy były utkwione w moich, ale nie były skupione na mnie. Wypełniło go zakłopotanie. – Tak naprawdę, to po trochu. Kiedy Lissa i Abe na początku przyszli do mnie, żeby cię wydostać, byłem gotowy to zrobić, ponieważ ona mnie o to prosiła. Potem, im więcej o tym myślałem, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że to również było osobiste. Nie mogłem znieść myśli, że jesteś zamknięta w celi, odcięta od świata. To nie było właściwe. Nikt nie powinien żyć w ten sposób, i przyszło mi to głowy, że robiłem dokładnie to samo – z własnego wyboru. Odcinałem się od świata swoim poczuciem winy i chęcią ukarania się. Miałem drugą szansę na życie, i ją marnowałem.

Nadal byłem zmieszana, nadal wzburzona i wypełniona żalem, ale jego historia utrzymywała mnie w ciszy i sparaliżowaną. Słuchanie jak odkrywa swoje serce, było rzadką okazją.

- Słyszałaś, jak mówiłem o tym wcześniej – kontynuował. – O moim celu, żeby doceniać małe szczegóły w życiu. I im bardziej brnęliśmy w swoją podróż, tym bardziej przypominałem sobie, kim byłem. Nie tylko wojownikiem. Walka jest łatwa. To, *dłaczego* walczymy, ma znaczenie, w tym zaułku, tej nocy z Donovanem... – wzdrygnął się. – To był moment, kiedy mogłem zmienić się w kogoś, kto walczy tylko po to, żeby bezsensownie zabijać – ale ty mnie wyciągnęłaś z powrotem, Rose. To był mój punkt zwrotny. Uratowałaś mnie... tak jak Lissa uratowała mnie z tym kołkiem. Wiedziałem wtedy, że aby zostawić za sobą tą część strzygi, musiałem walczyć, żeby być tym, czym oni *nie są*. Musiałem chwytać się tego, co oni odrzucają: piękno, miłość, honor.

W tym momencie byłam dwojgiem ludzi. Jedna była ogromnie ucieszona. Słyszając jak mówi w ten sposób, zdając sobie sprawę, że walczył ze swoimi demonami i był bliski zwycięstwa.. no cóż, niemal się rozplakałam ze szczęścia. Tego właśnie chciałam dla niego od tak dawna. Jednocześnie, jego inspirujące słowa tylko przypominały mi, jak bardzo upadłam. Mój żal i rozczulanie się nad sobą, ponownie wzięło górę.

- W takim razie, powinieneś rozumieć – powiedziałam gorzko. – Właśnie to powiedziałeś: honor. To ma znaczenie. Oboje o tym wiedzieliśmy. Ja swój straciłam. Straciłam go tam na polu parkingowym, kiedy zabiłam niewinnego.
- Ja zabiłem ich setki – powiedział bez wyrazu. – Ludzi bardziej niewinnych niż Wiktor Daszkow.
- To nie to samo! Nic nie mogłeś na to poradzić! – Moja uczucia ponownie eksplodowały na powierzchnię. – Dlaczego ciągle powtarzały w kółko te same rzeczy?
- Bo nie dociera do ciebie! Ty też nie mogłaś nic na to poradzić. – Jego spokój łamał się. – Czuj się winna. Oplakuj to. Ale rusz do przodu. Nie pozwól, by to cię zniszczyło. Przebaczone sobie.

Skoczyłam na nogi, łapiąc go z zaskoczenia. Pochyliłam się, ustawiając nas twarzą w twarz.

- Przebaczyć sobie? Tego właśnie chcesz? Ty ze wszystkich ludzi?

Słowa wydawały się ująć jego uwagę. Sądzę, że to miało coś wspólnego z moją bliskością. Zdołał kiwnąć głową.

- W takim razie powiedz mi jedno. Powiedziałeś, że poradziłeś sobie z poczuciem winy, zdecydowałeś się bawić życiem i tym wszystkim. Rozumiem to. Ale czy w głębi serca, rzeczywiście wybaczyłeś *sobie*? Mówiłam ci już dawno temu, że ja ci wybaczam wszystko co się działo na Syberii, ale co z tobą? Czy ty to zrobiłeś?
- Dopiero co powiedziałem...
- Nie. To nie to samo. Mówisz mi, żebym sobie wybaczyła i ruszyła do przodu. Ale sam tego nie zrobisz. Jesteś hipokrytą, towarzyszu. Albo oboje jesteśmy winni, albo niewinni. Wybieraj.

Również wstał, spoglądając w dół na mnie przez ten wielki wzrost.

- To nie takie proste.

Skrzyżowałam ręce na piersi, nie dając się zastraszyć.

- To *jest* takie proste. Jesteśmy tacy sami! Nawet Sonia mówi, że jesteśmy. Zawsze byliśmy tacy sami, i oboje teraz zachowujemy się tak samo głupio. Mamy wobec siebie wyższe wymagania niż wszyscy inni.

Dymitr zmarszczył brwi.

- Ja – Sonia? Co ona ma z tym wspólnego?

- Powiedziała, że nasze aury do siebie pasują. Powiedziała, że świecimy przy sobie nawzajem. Mówi, że to oznacza, że nadal mnie kochasz i że jesteśmy zsynchronizowani, i... – westchnęłam i odwróciłam się, przechodząc przez pokój. – Nie wiem. Nie powinnam była o tym wspominać. Nie powinniśmy dać się przekonać temu czemuś z aurą, jeśli pochodzi to od użytkowników magii, którzy są już w połowie szaleni.

Sięgnęłam do okna i przyłożyłam czoło do zimnego szła, starając się zdecydować, co robić. *Przebacz sobie*. Czy mogłam? Przede mną rozprzestrzeniało się niewielkie miasto, jednak straciłam poczucie tego, gdzie byliśmy. Samochody i ludzie poruszali się na dole, dusze na zewnątrz żyjąc swoim życiem. Wzięłam głęboki wdech. Obraz Wiktora leżącego na asfalcie miał pozostać ze mną jeszcze na bardzo długo. Zrobiłam coś strasznego, nawet jeśli moje intencje były dobre. Ale wszyscy mieli rację: nie byłam sobą. Czy to zmieniało to, co się stało? Czy to przywróci Wiktora z powrotem? Nie. I szczerze powiedziawszy, nie wiedziałam jak poradzę sobie z tym, co zrobiłam, jak otrząsnę się z tych krwawych obrazów w mojej głowie. Po prostu wiedziałam, że musiałam ruszyć do przodu.

- Jeśli pozwolę temu mnie powstrzymać – wymruczałam – jeśli nic nie zrobię... to wówczas będzie to największym złem. Zrobię więcej dobrego, jeśli to przetrwam. Jeśli będę nadal walczyć i chronić innych.
- O czym mówisz? – zapytał Dymitr.
- Mówię że... wybaczam sobie. To nie sprawia, że wszystko jest idealnie, ale to już jakiś początek. – Koniuszkiem palca rysowałam linię pęknięcia na powierzchni szkła. – Kto wie? Może ten wybuch na polu parkingowym wypuścił część cieni w mojej aurze, o których mówi Sonia. Jestem raczej sceptyczna, ale muszę jej przyznać trochę punktów. Miała rację co do tego, że jeśli znajdę się w przełomowym punkcie, to wystarczy zaledwie iskra.
- Miała też rację co do czegoś innego – powiedział Dymitr po długiej przerwie. Stałam do niego odwrócona plecami, ale było coś dziwnego w jego głosie, coś, co kazało mi się odwrócić.
- Co do czego? – zapytałam.
- Że nadal cię kocham.

Z tym jednym zdaniem, zmieniło się wszystko we wszechświecie.

Czas zwolnił do jednego uderzenia serca. Świat stał się jego oczami, jego głosem. To się nie działo. To nie było rzeczywistością. Nic z tego nie mogło być rzeczywiste. Miałam wrażenie, że to był sen duchowy. Oparłam się potrzebie zamknięcia oczu i sprawdzenia, czy się obudzę chwilę później. Nie. Nie ważnie jak niewiarygodne to wszystko się wydawało, to nie był sen. To była rzeczywistość. To było życie. To było ciało i krew.

- Od... od kiedy? – W końcu udało mi się zapytać.
- Od... zawsze. – Ton jego głosu sugerował, że odpowiedź była oczywista. – Zaprzeczałem temu, kiedy zostałem przywrócony. Nie miałem miejsca w swoim sercu na nic innego poza poczuciem winy. Czuję się szczególnie winny w stosunku do ciebie – tego co, zrobiłem – i odtrącałem cię. Postawiłem mur, żeby utrzymać cię bezpieczną. Przez jakiś czas, to działało – dopóki moje serce w końcu nie zaczęło akceptować innych emocji. I to

wszystko wróciło. Wszystko, co do ciebie czułem. To nigdy nie odeszło; było po prostu ukryte przede mną, dopóki nie byłem na to gotowy. I znowu... ten zaułek był punktem zwrotnym. Patrzyłem na ciebie... widziałem twoją dobroć, twoją nadzieję i twoją wiarę. To, co czyni cię piękną. Tak bardzo piękną.

- Czyli to nie były moje włosy – powiedziałam, niepewna jak w ogóle byłem w stanie żartować w takim momencie.
- Nie – powiedział łagodnie. – Twoje włosy też były piękne. Cała ty. Byłaś niezwykła, kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy, i w jakiś niewytłumaczalny sposób, poszłaś nawet dalej. Zawsze byłaś czystą, żywiołową energią, a teraz to kontrolujesz. Jesteś najbardziej niezwykłą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem i jestem szczęśliwy, że miałem tą miłość do ciebie w swoim życiu. Żałuję utracenia jej. – Zamyślił się. – Oddałbym wszystko – wszystko – na świecie, żeby wrócić i zmienić historię. Rzucić się w twoje ramiona po tym, jak Lissa mnie przywróciła. Spędzić z tobą życie. Oczywiście, jest już za późno, ale zaakceptowałem to.
- Dlaczego... dlaczego jest za późno?

Oczy Dymitra stały się smutne.

- Ponieważ jest Adrian. Ponieważ ruszyłaś do przodu. Nie, posłuchaj – powiedział, urywając moje protesty. – Miałaś prawo to zrobić po tym jak cię potraktowałem. I bardziej niż czegokolwiek innego, chcę żebyś była szczęśliwa, kiedy już oczyścimy twoje imię i sprawimy, że Jill zostanie rozpoznana. Sama powiedziałaś, że Adrian cię uszczęśliwia. Powiedziałaś, że go kochasz.
- Ale... dopiero co powiedziałaś, że mnie kochasz. Że chcesz być ze mną. – Moja słowa wydawały się niezdarne, niewarte jego elokwencji.
- I mówiłem ci: nie zamierzam prześladować dziewczyny innego mężczyzny. Chcesz rozmawiać o honorze? Oto jest, w jego najczystszej formie.

Ruszyłam w jego stronę, z każdym krokiem napięcie wokół nas wzrastało. Dymitr powtarzał, że zaułek był jego punktem zwrotnym. A dla mnie? Dla mnie, nastąpiło to *teraz*. Stałam nad przepaścią czegoś, co miało zmienić moje życie. Przez ostatni tydzień, wykonywałam kawał dobrej roboty odcinając się od jakiegokolwiek romantyzmu z Dymitrem. A jednak... czy na pewno? Czym naprawdę *była* miłość? Kwiatami, czekoladkami i poezją? Czy było to czymś innym? Byciem w stanie dokończyć kogoś dowcip? Posiadaniem całkowitej wiary, że ten ktoś był tam i cię wspierał? Znaniem kogoś tak dobrze, że natychmiast rozumiał dlaczego zrobiłaś, to co zrobiłaś – i dzielił te same poglądy?

Przez cały tydzień twierdziłam, że moja miłość do Dymitra przemija. W rzeczywistości, wręcz wzrastała coraz bardziej. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się działo. Odzyskiwałam naszą starą relację, wzmacniając połączenie. Potwierdzając to, że ze wszystkich ludzi na świecie – włączając w to Lisę – Dymitr był jedynym, który tak naprawdę mnie *rozumiał*.

Naprawdę miałam to na myśli: kochałam Adriana. Ciężko mi było wyobrazić sobie życie bez niego, ale moje inne słowa u Mastranów mnie zdradziły: *Dobrze się z nim bawię*. Powinieneś dobrze się bawić z kimś, kogo kochasz, ale to nie powinno być tym, co pierwsze przychodzi ci na myśl. Powinnam była powiedzieć, że *Wspieramy się nawzajem*. Albo: *Doskonale mnie rozumie*.

Ale żadne z tych stwierdzeń, nie było prawdą, więc nie powiedziałam tego. Próbowałam bycia z Adrianem, dla wygody. Jego znajomość i poczucie humoru były ważną częścią mojego świata. Ale jeśli byłby w niebezpieczeństwie? Oddałabym swoje życie za jego, dokładnie tak, jak zrobiłabym dla Lissy. Jednak, nie inspirowałam go, nie tak naprawdę. Starał się. Chciał być lepszą osobą, ale w tym momencie swojego życia, jego motywacją było bardziej wywarcie wrażenia na innych – wywarcie wrażenia na mnie. Ostatecznie usamodzielniał się i będzie niesamowitym człowiekiem, ale jeszcze nie był w punkcie samopoznania. Ja byłam.

Stałam teraz naprzeciw Dymitra, ponownie patrząc w te ciemne oczy, oczy, które tak bardzo kochałam. Położyłam swoje ręce na jego piersi, czując jak jego serce bije silnie i miarowo – i może nieco szybciej niż zwykle. Ciepło rozlało się po koniuszkach moich palców. Wyciągnął ręce do góry i złapał mnie za nadgarstki, ale nie odepchnął. Rysy tej pięknej twarzy były napięte, jakby walczył w jakimś wewnętrznym konflikcie, ale teraz, kiedy wiedziałam – teraz, kiedy już na pewno wiedziałam – mogłam dostrzec jego miłość do mnie. Miłość, wymieszaną z pożądaniem. To było takie oczywiste.

- Powinieneś był mi powiedzieć – stwierdziłam. – Powinieneś był mi to powiedzieć już dawno temu. Kocham cię. Nigdy nie przestałam cię kochać. Musisz to wiedzieć.

Jego oddech zatrzymał się, kiedy powiedziałam *kocham cię*, i mogłam dostrzec jak jego wewnętrzna walka o utrzymanie kontroli, stała się już wojną na całego.

- To nie robi żadnej różnicy. Nie, gdy jest w to zaangażowany Adrian – powiedział. Palce wokół mojej ręki zacisnęły się mocniej, jakby tym razem mógł mnie naprawdę odepchnąć. Nie zrobił tego. – Naprawdę mam to na myśli. Nie będę takim facetem, Rose. Nie będę mężczyzną, który odbija innemu kobietę. A teraz, proszę. Opuść. Nie utrudniaj tego jeszcze bardziej.

Zignorowałam jego prośbę. Gdyby chciał ode mnie odejść, mógłby to zrobić. Rozłożyłam swoje palce, dotykając jeszcze więcej jego klatki piersiowej, upajając się uczuciem tego kontaktu pełnego ciepła, przez tak długo.

- Nie należę do niego – powiedziałam cicho, przyciskając się do Dymitra i tak przechylając swoją głowę do tyłu, żeby móc wyraźnie zobaczyć jego twarz. Tak wiele emocji, tak wielki konflikt, jakby jego serce próbowało odróżnić dobro od zła. Będąc tak przyciśnięta do niego, czułam się... kompletna. Sonia powiedziała, że żadna para nie mogła dzielić jednej aury albo jednej duszy, ale nasze nie miały zamiaru być osobno. Pasowały do siebie jak puzzle, dwie jednostki sprawiające, że coś stawało się większe od nich. – Nie należę do nikogo. Dokonuję swoich własnych wyborów.
- I jesteś z Adrianem – powiedział Dymitr.
- Ale tobie byłam przeznaczona.

I to załatwiło sprawę. Jakikolwiek pozory kontroli albo rozsądku, które każde z nas posiadało, roztopiły się. Mury się rozpadły, a wszystko to, co nas powstrzymywało od siebie nawzajem, gwałtownie się uwolniło. Podniosłam ręce, przyciągając nas do siebie do pocałunku – pocałunku, którego tym razem nie przerwał. Pocałunku, którego nie zakończyłam odpychając go. Otoczyły

mnie jego ramiona, kiedy podniósł mnie na łóżko, jedną ręką wkrótce przejeżdżając w dół po biodrze do mojej nogi, już w pół nagiej dzięki tej nieszczęsnej łachmaniastej sukience.

Każdy nerw w moim ciele zapalił się i czułam to pożądanie, które w nim powróciło – a nawet więcej. Po świecie śmierci, wydawał się jeszcze bardziej doceniać miłość. I nie tylko, on jej wręcz *potrzebował*. Potrzebował życia. Potrzebował mnie – nie tylko fizycznie, ale w ten sam sposób, w jaki moje serce i dusza zawsze potrzebowały jego. To, co następnie zrobiliśmy, kiedy już pozbyliśmy się swoich ubrań i złączyliśmy nasze ciała, stało się czymś więcej niż pożądaniem – nawet jeśli, tego też tam trochę było.

Bycie z nim po tak długim okresie czasu, po tym wszystkim, co przetrwaliśmy... było jak powrót do domu. Jakbym wreszcie była tam – i z kimś – gdzie należałam. Mój świat, moje serce... rozpadły się na kawałki, kiedy go straciłam. Ale kiedy patrzył na mnie, kiedy jego usta wymawiały moje imię i przesuwaly się po mojej skórze... wiedziałam, że te kawałki posklejają się ze sobą. I wiedziałam, z całkowitą pewnością, że czekanie na to – na drugi raz w moim życiu, kiedy uprawiałam seks – było czymś właściwym. Ktokolwiek inny, w jakimkolwiek innym momencie... to byłoby złe.

Kiedy już skończyliśmy, to było jakbyśmy nadal nie mogli być wystarczająco blisko siebie. Obejmowaliśmy się mocno, a nasze kończyny były ze sobą splątane, jakby zmniejszenie odległości między nami teraz, miało nadrobić tę odległość, która dzieliła nas przez tak długo.

Zamknęłam swoje oczy, a moje zmysły zostały w nim utopione i westchnęłam rozmarzona.

- Cieszę się, że się poddałeś. Cieszę się, że twoja samokontrola nie jest tak silna, jak moja.

To wywołało u niego śmiech i poczułam dudnienie w jego piersi.

- Roza, moja samokontrola jest dziesięć razy silniejsza od twojej.

Otworzyłam oczy, przekręcając się, żeby spojrzeć w jego. Przeczesałam jego włosy i się uśmiechnęłam, całkiem pewna, że moje serce zacznie się rozrastać coraz bardziej, dopóki już nic więcej ze mnie nie zostanie.

- Ach tak? Raczej nie miałam takiego wrażenia.
- Poczekaj do następnego razu – ostrzegł. – Zrobię takie rzeczy, że stracisz kontrolę w ciągu paru sekund⁴⁸.

Ten komentarz aż prosił się o dowcipną uwagę Rose Hathaway. Sprawił również, że krew w moich żyłach zapłonęła, dlatego oboje byliśmy zaskoczeni, kiedy nagle powiedziałam:

- Może nie być następnego razu.

Dłoń Dymitra, która kreśliła kształt mojego ramienia, zamarła.

- Co? Dlaczego?
- Mamy parę spraw do załatwienia, zanim to się ponownie stanie.

⁴⁸ Czaaaaaaarnaaaaa! Robota czeka ;D Swoją drogą, panią Mead powinno się zabić za tą powściągliwość – przyp. Szazi

- Adrian – domyślił się.

Kiwnęłam głową.

- I to *mój* problem, więc odłóż swoje honorowe myśli na bok. Muszę się z nim zmierzyć i odpowiedzieć za to. Zrobię to. A ty... – Nie mogłam uwierzyć w to, co właśnie zamierzałam powiedzieć. Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę miałam to na myśli. – Nadal musisz sobie wybaczyć, jeśli mamy być razem.

Jego zakłopotany wyraz twarzy, teraz stał się wyrazem bólu.

- Rose...
- Mówię poważnie. – Bezlitośnie napotkałam jego wzrok. – Musisz *sobie* wybaczyć. Naprawdę wybaczyć. Wszyscy inni już to zrobili. Jeśli nie możesz, to nie możesz też pójść dalej. *My* nie możemy.

To było jedno z największych ryzyk, jakie podjęłam. Kiedyś, rzuciłabym się w jego ramiona, bez żadnych pytań, ignorując nasze problemy, ogromnie się ciesząc po prostu byciem z nim. Teraz... po tym wszystkim, przez co przeszłam, zmieniłam się. Kochałam go. Kochałam go tak bardzo, i pragnęłam go. Ale to z powodu mocy tej miłości, musiałam to zrobić. Jeśli mieliśmy być razem, to musieliśmy zrobić to we właściwy sposób. Seks był niesamowity, ale nie było magicznego lekarstwa na wszystko. Cholera. Gdzieś po drodze, znalazłam na nowo swój zdrowy rozsądek. Nadal miałam zamiar stawić czoła Adrianowi. A jeśli Dymitr nie zrobi tego, o co prosiłam, naprawdę odejdę. Stracę obu mężczyzn, ale lepiej było zostać samej z szacunkiem do samej siebie, niż być w niewłaściwym związku.

- Nie wiem – powiedział w końcu Dymitr. – Nie wiem, czy potrafię... czy jestem gotowy.
- W takim razie, wkrótce zdecyduj – powiedziałam. – Nie musisz robić tego dokładnie w tej chwili, ale ostatecznie...

Po tym, nie naciskałam tematu. Póki co, odpuściłam, jednak wiedziałam, że będzie się tego trzymał i pojmie wagę tej kwestii. Wiedziałam także, że miałam rację trwając przy tym. Nie mogłby być szczęśliwy ze mną, gdyby nie był szczęśliwy sam ze sobą. Przyszło mi wtedy do głowy, kiedy stanęłam w swojej obronie i czego potrzebowałam, że nasze stare role nauczyciela i ucznia, odeszły na zawsze. Teraz naprawdę byliśmy sobie równi.

Oparłam głowę na jego piersi i poczułam, jak się odpręży. W tej chwili rozkoszowaliśmy się tym, ale tylko chwilę dłużej. Sonia powiedziała, że musimy „odpocząć”, przez co pomyślałam, że nadal mamy trochę czasu, zanim tykający zegar zaprowadzi nas z powrotem na Dwór. Kiedy z Dymitrem wciąż trzymaliśmy się blisko siebie, złapałam się na tym, że właściwie chciało mi się spać. Byłam wykończona walką – która, zdałam sobie sprawę, przybrała wyjątkowo nieoczekiwany obrót. Moje poczucie winy i rozpacz po Wiktorze i wybuch spowodowany duchem, również zebrało swoje żniwo, bez względu na leczniczy medalion, który nadal był na mojej szyi. I tak, pomyślałam z niewielkim uśmiechem, byłam po prostu wykończona po tym, co właśnie zrobiliśmy z Dymitrem. To było całkiem miłe użyć swojego ciała do czegoś, co dla odmiany nie powodowało poważnych urazów.

Usnęłam w jego objęciach, ciemności okryły mnie jak ciepło jego ramion. To powinno być takie proste. To powinien być spokojny, szczęśliwy odpoczynek. Ale jak zwykle, nie miałam tego szczęścia.

Duchowy sen odciągnął mnie od spowicia się w głąb snu i przez pół sekundy, pomyślałam, że może Robert Doru przyszedł do mnie, żeby zemścić się za śmierć swojego brata.

Ale nie. Żadnego mściwego Daszkowa. Zamiast tego, przyłapałam się na wpatrywaniu w parę szmaragdowo-zielonych oczu.

Adrian.

Tłumaczenie: Szazi

Korekta: Qbac, Maggie1111

Rozdział trzydziesty

NIE RZUCIŁAM SIĘ W JEGO ramiona, jak to zwykle robiłam. Jak mogłabym, po tym co zrobiłam? Nie. Nie mogłam już dłużej tak robić. Ciągłe nie do końca byłam pewna jaka przyszłość stoi przede mną i Dymitrem, dopóki nie odpowie na moje ultimatum, jednakże wiedziałam, że muszę zakończyć związek z Adrianem. Moje uczucia względem niego ciągle były silne. Zastanawiałam się czy w ogóle było możliwe, żebyśmy byli przyjaciółmi. Mimo wszystko, nie mogłam zwodzić go po tym, jak spałam z Dymitrem. To nie było morderstwem, ale z pewnością było haniebnie.

Jednakże... zdałam sobie sprawę, że nie mogłam mu teraz o niczym powiedzieć. Nie mogłam zerwać z nim we śnie. To było niemal tak samo złe, jak słowo "zerwanie". Poza tym miałam uczucie, że... no cóż, prawdopodobnie potrzebuję jego pomocy. To tyle odnośnie honoru. *Wkrótce, przysięgam. Wkrótce mu powiem.*

Nie zdawał się dostrzec tego, że go nie uściśnęłam. Ale zauważył coś innego.

– Zadziwiające.

Ze wszystkich miejsc, wybrał bibliotekę w Św. Włodimirze. Posłałam mu zastanawiające spojrzenie, ponad rozciągającymi się przed nami stolikami.

- Co jest zadziwiające?
- Twoja aura jest... zadziwiająca. Lśni. To znaczy, zawsze lśniła, ale dzisiaj... cóż, nigdy nie widziałem czegoś takiego. Nie spodziewałem się tego po tym, co się stało.

Poruszyłam się skrepowana. Jeśli zwykle przy Dymitrze lśniłam to co, do diaska, stało się z moją aurą po seksie?

– Po tym, co się stało? – spytałam odpierając komentarz.

Zachichotał i podszedł do mnie. Jego ręka podświadomie sięgnęła po papierosy, po czym zatrzymała się i opadła z boku.

- Och, daj spokój. Wszyscy mówią o tym, jak to razem z Bielikowem porwaliście podlotka – o co w tym w ogóle chodzi? – i zmusiliście tą alchemiczkę, żeby wam pomagała. To najgorętsze wieści obiegające Dwór. No, przynajmniej poza elekcją. Zbliżyła się ostatni test.
- Racja... – mruknęłam. Minęły niemal dwadzieścia cztery godziny, odkąd Lissa otrzymała zagadkę. Zostało niewiele czasu, a z tego co ostatnio wiedziałam, nie znała odpowiedzi.
- W każdym bądź razie, dlaczego śpisz w środku dnia? – zapytał. – Nie spodziewałem się ciebie złapać. Wnioskuje z tego, że przestrzegasz ludzkiego rozkładu dnia.
- To... to była w pewnym sensie ciężka noc, musieliśmy uciekać przed legionem strażników i tak dalej.

Adrian chwycił mnie za rękę, lekko marszcząc brwi, gdy nie odwzajemniłam jego uścisku. Jego mina szybko odrobinę złagodniała zmieniając się w swawolny uśmiech.

- Cóż, bardziej martwię się o twojego staruszka, niż o nich. Jest *wkurzony*, że nie zostałam tam, gdzie miałam zostać. I tym, że nie może zobaczyć się z alchemikami. A wierz mi, że się stara.

To niemal wywołało u mnie wybuch śmiechu, tyle że to nie była reakcja, której pragnęłam.

- Zatem nie jest tak do końca wszechpotężny – westchnęłam. – Potrzebujemy Sydney. Albo tego chłopaka, który z nią był. Tego, który rzekomo coś wie. – Cofnęłam się wspomnieniami do tego momentu, gdy zobaczyłam coś na jego twarzy. *On zna faceta, który zaatakował Lissę i przekupił Joy'ego*. – Jest nam potrzebny.
- Z tego, co wiem – powiedział Adrian – strażnicy stworzyli wokół hotelu coś w rodzaju strefy ochronnej, koncentrując się głównie na tym, by alchemicy nie wyszli. Ale kontrolują też, kto wchodzi. Nie pozwoliliby, by ktoś z nas albo alchemików, wszedł do środka. Jest tam mnóstwo ludzkich gości, więc wnioskuję, że Abe próbował się przebrać, ale to się nie udało.

Biedny Zmey.

- Powinien mieć więcej wiary w strażników. Oni nie zamierzają nikogo wpuścić, ani wypuścić poza sobą. – Moje własne słowa sprawiły, że się zatrzymałam. – To jest to...

Adrian spojrzał na mnie podejrzliwie.

- O nie. Znam ten wyraz twarzy. Coś szalonego jest na rzeczy.

Złapałam go za rękę, raczej z wyrazy ekscytacji, nie miłości.

- Idź do Michaiła. Niech się z nami spotka... – Zamyśliłam się. Widziałam miasteczko, w którym zatrzymali się alchemicy. Jako, że było blisko Dworu, często przez nie przejeżdżaliśmy. Dręczyłam swój umysł próbując przypomnieć sobie jakieś detale. – Przy tej restauracji z czerwonym znakiem po drugiej stronie, który reklamuje bufet.
- Łatwiej powiedzieć niż zrobić, little dampir. Wykorzystują każdego strażnika na Dworze, by zapanować nad wyborami. Gdyby Lissa nie została zaatakowana, nie pozwoliłby twojej mamie z nią zostać. Nie sądzę, by Michaił mógł się wyrwać.
- Znajdzie sposób – powiedziałam z przekonaniem. – Powiedz mu, że to jest... że to klucz do morderstwa. Odpowiedź. – Michaił jest pomysłowy.

Adrian wygadał sceptycznie, ale trudno mu było mi czegoś odmówić.

- Kiedy?

No właśnie, kiedy? Było już prawie południe, a w dodatku nie poświęciłam wiele uwagi miejscu, w którym się zatrzymaliśmy. Ile zajęłoby nam droga do Dworu? Z tego, co wiedziałam odnośnie wyborów monarchy, ci, którzy przeszli ostatni test, mieli wygłosić mowy, kiedy tylko zacznie się morojski dzień. Teoretycznie po mowach miało się rozpocząć

głosowanie – chyba, że nasz plan zadziała i uczestnictwo Lissy opóźniłoby je o kilka dni. Pod warunkiem, że przeszłaby.

- O północy – powiedziałam. Jeśli dobrze zgadywałam, Dwór będzie całkowicie pochłonięty wyborczym dramatem, dzięki czemu Michaiłowi łatwiej będzie się wydostać. Miałam przynajmniej taką nadzieję. – Przekażesz mu?
- Dla ciebie wszystko – Adrian posłał mi ukłon pełen galanterii. – Jednak nadal uważam, że branie w tym bezpośredniego udziału, jest dla ciebie zbyt niebezpieczne.
- Muszę to zrobić osobiście – powiedziałam. – Nie mogę się ukrywać.

Skinął głową na znak, że rozumie. Ale nie byłam tego pewna.

- Dziękuję – powiedziałam mu. – Bardzo ci za wszystko dziękuję. A teraz idź.

Adrian posłał mi krzywy uśmiech.

- Rany, nie tracisz czasu by wykopać chłopaka z łóżka, co?

Wzdrygnęłam się, gdyż ten żart uderzył mnie nieco zbyt blisko serca.

- Chcę, by Michaił się przygotował. Chcę też zobaczyć ostatni test Lissy.

To otrzeźwiło Adriana.

- Ma szansę? Zda go?
- Nie wiem – przyznałam. – Ten jest trudny.
- Okej. Zobaczymy, co da się zrobić. – Dał mi małego całusa. Moje usta odpowiedziały automatycznie, ale moje serce nie. – I Rose? Naprawdę miałem na myśli, żebyś na siebie uważała. Będiesz strasznie blisko Dworu. Nie wspominając już o zgrai strażników mających cię na liście najbardziej poszukiwanych osób, którzy prawdopodobnie będą próbowali cię zabić.
- Wiem – powiedziałam, postanawiając nie wspominać, że w tym wypadku słowo "prawdopodobnie" nie istniało.

I z tym zniknął, a ja się obudziłam. Co dziwne, to co zastałam we własnym świecie wydawało się niemal bardziej jak sen, niż to, czego właśnie doświadczyłam z Adrianem. Nadal leżeliśmy w łóżku z Dymitrem, przytuleni pod nakryciami. Nasze ciała i kończyny w dalszym ciągu były ze sobą splątane. Dymitr spał z tym rzadkim jak na niego, spokojnym wyrazem twarzy. *Niemal* wydawał się uśmiechać. Przez pół sekundy rozważałam obudzenie go i powiedzenie, że musimy ruszać w drogę. Spojrzenie na zegar na szczęście zgniotło tę myśl. Wciąż mieliśmy czas, a w dodatku zbliżał się test. Musiałam iść do Lissy ufając, że Sonia przyjdzie po nas, gdybyśmy zaspali.

Faktycznie, poprawnie oceniłam czas testu. Lissa szła przez trawniki Dworu maszerując jak ktoś idący na pogrzeb. Nie istniało dla niej słońce, kwiaty i ptaki. Nawet jej towarzystwo niewiele robiło, by poprawić jej nastrój. Był z nią Christian, moja mama i Tasza.

- Nie potrafię tego zrobić – powiedziała, patrząc przed siebie na budynek, w którym miał rozstrzygnąć się jej los. – Nie przejdę tego testu.

Tatuaż powstrzymał ją przed ujawnieniem czegokolwiek więcej.

- Jesteś mądra i bystra. – Ręka Christiana obejmowała ją w talii i w tym momencie kochałam go za to, że pokładał w niej wiarę. – Uda ci się.
- Nie rozumiesz – powiedziała z westchnieniem. Nie miała odpowiedzi na zagadkę, co oznaczało, że plan był zagrożony. Tak jak i jej pragnienie by się wykazać.
- Przynajmniej raz Christian ma rację – odezwała się Tasza, lekko dokuczliwym tonem. – Uda ci się. Musisz to zrobić. Tak wiele od tego zależy.

Jej wiara w nią nie sprawiła, że Lissa poczuła się lepiej. Jeśli już, to tylko wzmocniła odczuwaną presję. Zawiedzie tak jak we śnie, który pokazał jej kielich. Tam również nie miała odpowiedzi na oskarżenia.

- Lisso!

Głos zmusił ich do zatrzymania się. Lissa odwróciła się i zobaczyła biegnącą ku nim Serenę, której długie, atletyczne nogi szybko pokonywały dzielący ich dystans.

- Hej, Sereno – powiedziała Lissa. – Nie możemy się zatrzymać. Test..
- Wiem, wiem. – Na twarzy Sereny pojawił się rumieniec, który nie wynikał z podjętego wysiłku fizycznego, tylko z niepokoju. – Zrobiłam dla ciebie listę. Spisałam tylu, ilu pamiętałam.
- Jaką listę? – zapytała Tasza.
- Morojów, których królowa trenowała by zobaczyć, jak dobrze potrafią nauczyć się walczyć.

Brwi Taszy uniosły się w zaskoczeniu. Nie była z nimi, gdy ostatnim razem o tym dyskutowali.

- Tatiana trenowała morojów? Nigdy nie słyszałam o czymś podobnym.

Miałam wrażenie, że miała ochotę być jedną z osób pomagających w nauczaniu.

- Tak jak większość – zgodziła się Lissa, wyprostowując kawałek papieru. – To był wielki sekret.

Grupa stłoczyła się w kółku, by przeczytać imiona zapisane starannym pismem Sereny. Christian wydał z siebie cichy gwizd.

- Tatiana mogła być otwarta na pomysł o defensywie, ale tylko w przypadku niektórych ludzi.
- Tak – zgodziła się Tasza. – To zdecydowanie jest lista A.

Wszystkie nazwiska były arystokratyczne. Tatiana nie wzięła do swojego eksperymentu "szaraczków". To była elita z elit, choć jak zauważył Ambrose, Tatiana postarała się o różnorodność wieku i płci.

- Camille Conta? – spytała z zaskoczeniem Lissa. – Nigdy bym się nie spodziewała. Zawsze była bardzo kiepska na w-fie.
- Na liście jest jedna z naszych kuzynek – dodał Christian, wskazując na *Lię Ozerę*. Rzucił okiem na Taszę, która nadal temu nie dowierzała. – Wiedziałaś o tym?
- Nie. Nie domyśliłabym się, że ona też.
- Tak jak połowa nominowanych – zamyśliła się Lissa. Rufus Tarus, Ava Drozdow, Ellis Badica. – Straszna szkoda, że oni... o mój Boże. Matka Adriana?

Rzeczywiście: Daniela Iwaszkow.

- Jej – powiedział Christian, co również odpowiadało mojej reakcji. – To całkiem pewne, że Adrian o tym nie wiedział.
- Czy ona wspierała walczących morojów? – zapytała równie zaskoczona moja mama.

Lissa pokręciła głową.

- Nie. Z tego, co o niej wiem, Daniela zdecydowanie opowiada się za pozostawieniem obrony dampirom.

Nikt z nas nie mógł wyobrazić sobie pięknej i godnej Danieli Iwaszkow w walce.

- Już wcześniej nienawidziła Tatiany – zauważyła Tasza. – Jestem pewna, że to tylko dołało oliwy do ognia w ich stosunkach. Te dwie cały czas sprzeczały się za zamkniętymi drzwiami.

Zapadła niezręczna cisza. Lissa spojrzała na Serenę.

- Czy ci ludzie często widywali królową? Mieli do niej dostęp?
- Tak – przyznała niespokojnie Serena. – W porozumieniu z Grantem, Tatiana obserwowała każdą sesję treningową. Po jego śmierci... zaczęła indywidualnie podsumowywać uczniów, by sprawdzić jak dobrze nauczyli się walczyć. – Przerwała. – Sądzę... sądzą, że mogła zobaczyć się z kimś w noc, kiedy zginęła.
- Czy poczynili wystarczające postępy, by nauczyć się jak używać kolka? – spytała Lissa.

Serena skrzywiła się.

- Tak. Niektórzy lepiej niż inni.

Lissa ponownie spojrzała na listę, czując się źle. Tak wiele możliwości. Tak wiele motywacji. Czy odpowiedź tkwiła w tym kawałku papieru? Czy miała przed sobą mordercę? Serena powiedziała wcześniej, że Tatiana celowo wybrała ludzi przeciwnych szkoleniu,

przypuszczalnie po to, by zobaczyć czy oporni mogli się tego nauczyć. Czy posunęła się z kimś za daleko? Praktycznie jedno imię przewijało się przez umysł Lissy.

- Nie znoszę przerywać, ale musimy ruszać, albo się spóźnisz – powiedziała moja matka. Jej ton i wygląd wskazywał, że skończył się czas przewidziany na tajne dochodzenie i pora było wrócić do obowiązków.

Lissiana uświadomiła sobie, że moja mama miała rację i schowała kartkę do kieszeni. Spóźnienie się na test oznaczało oblanie. Lissa podziękowała Serenie uspokajając ją, że dobrze postąpiła. Po tym, moi przyjaciele szybko ruszyli przed siebie, czując naciskający na nich czas, gdy spieszyli się w kierunku budynku, w którym miał się odbyć test.

- Cholera – mruknęła Lissa. Radko zdarzało się jej przeklinać. – Nie sędzę, żeby ta starsza pani tolerowała jakiegokolwiek spóźnienie.
- Starsza pani? – moja matka zaśmiała się, zaskakując nas wszystkich. Mogła poruszać się szybciej niż reszta, więc oczywiście wstrzymywała dla nich swoje tempo. – Ta, która kieruje większością testów? Nie wiesz, kim ona jest?
- Skąd miałabym wiedzieć? – zapytała Lissa. – Wywnioskowałam, że jest tylko kimś, kogo do tego wyznaczyli.
- Nie jest tylko kimś. To Ekaterina Zeklos.
- Co? – Lissa prawie się zatrzymała, ale w jej umyśle czas bez przerwy dawał o sobie znać. – Ona była... była królową przed Tatianą, prawda?
- Myślałem, że oddaliła się na jakąś wyspę – powiedział równie zaskoczony Christian.
- Nie jestem pewna, czy to była wyspa – odezwała się Tasza – ale ustąpiła, kiedy zaczęła uważać, że jest zbyt stara. Gdy Tatiana zasiadła na tronie, Ekaterina wyjechała, by żyć w luksusie i z dala od polityki.

Za stara? To było dwadzieścia lat temu. Nic dziwnego, że wydawała się sędziwa.

- Skoro była szczęśliwa uciekając z dala od polityki, to dlaczego wróciła? – spytała Lissa.

Moja matka otworzyła drzwi dla całej trójki, gdy dotarli do budynku, ale najpierw zajrzała do środka w poszukiwaniu jakiegokolwiek zagrożenia. To było dla niej tak instynktowne, że kontynuowała rozmowę bez zgubienia wątku.

- Bo zwyczajem jest, że ostatni monarcha testuje nowych, jeśli to możliwe. W tym przypadku oczywiście nie było, więc Ekaterina porzuciła emeryturę, by spełnić ten obowiązek.

Lissa ledwie mogła uwierzyć, że mimochodem rozmawiała z ostatnią królową morojów. Z bardzo potężną i kochaną królową. Jak tylko jej grupa weszła do holu, Lissa została otoczona strażnikami i pospieszyła do pokoju, gdzie miała przejść test. Ich twarze pokazywały, że nie wierzyli, że dotrze na czas. Kilku widzów również było wyraźnie zmartwionych, ale na jej widok zaczęli ją dopingować typowymi okrzykami o Aleksandrze i smokach. Lissa nie miała okazji by odpowiedzieć, albo pożegnać się z przyjaciółmi, gdyż została praktycznie wepchnięta do pokoju. Strażnicy wyglądali jakby im ulżyło.

Drzwi zostały zamknięte i Lissa ponownie stanęła naprzeciwko Ekateriny Zeklos. Widok sędziwej kobiety już wcześniej ją przestraszył, ale teraz... niepokój Lissy się podwoił. Ekaterina posłała jej krzywy uśmiech.

- Obawiałam się, że ci się nie uda – powiedziała. – Powinam wiedzieć lepiej. Nie jesteś osobą, która się poddaje.

Lissa była wciąż sparaliżowana i niemal czuła potrzebę wyskoczenia z wymówką, wyjaśniając sprawę z listą Sereny. Ale nie. Ekaterina nie dbała o to w tej chwili. W każdym razie, Lissa zdecydowała, że kogoś takiego jak ona nie zbywa się wymówkami. Jeśli schrzanisz, to przepraszasz.

- Przepraszam – powiedziała Lissa.
- Nie musisz – powiedziała Ekaterina. – Udało ci się. Znasz odpowiedź? Co musi posiadać królowa, by prawdziwie rządzić swoim ludem?

Język Lissy stał się jak gula w ustach. Nie знаła odpowiedzi. To naprawdę było dokładnie tak, jak we śnie o Radzie. Dochodzenie w sprawie morderstwa Tatiany pochłonęło zbyt wiele czasu. W jednej dziwacznej chwili, serce Lissy zapłonęło sympatią do tej drażliwej królowej. Zrobiła dla morojów to, co uznała za najlepsze i umarła za to. Patrząc teraz na Ekaterinę, Lissa czuła się z tego powodu źle. Ta poprzednia królowa prawdopodobnie nigdy nie spodziewała się, że zostanie zabrana daleko od swojej wyspy i emerytury, musząc wrócić do życia na Dworze. Jednak przybyła, gdy jej potrzebowano.

I w ten oto sposób, Lissa nagle znalazła odpowiedź.

- Nic – odpowiedziała cicho. – Aby rządzić, królowa nie musi niczego posiadać, gdyż wszystko co posiada, musi oddać swoim ludziom. Nawet swoje życie.

Rozszerzający się szczerbaty uśmiech Ekateriny powiedział Lissie, że odpowiedziała poprawnie.

- Gratulacje, moja droga. Przeszłaś do jutrzejszego głosowania. Mam nadzieję, że masz gotową przemowę, by podbić Radę. Będziesz musiała wygłosić ją rano.

Lissa kiwnęła lekko, nie będąc pewna, co teraz powiedzieć, nie mówiąc już o oficjalnym przemówieniu. Ekaterina zdawała się wyczuć szok Lissy i jej uśmiech, który zawsze wydawał się złośliwy, stał się łagodny.

- Poradzisz sobie. Zaszłaś tak daleko. Przemowa jest łatwą częścią. Twój ojciec byłby dumny. Wszyscy Dragomirowie przed tobą byłiby.

To niemal wywołało w oczach Lissy łzy. Pokręciła głową.

- Nie jestem o tym przekonana. Wszyscy wiemy, że nie jestem właściwą kandydatką. To był tylko... cóż, pewien rodzaj gry. – Jakoś nie czuła się źle przyznając to przed Ekateriną. – To Ariana zasługuje na koronę.

Sędziwe oczy Ekateriny wwierciły się w Lissę. Jej uśmiech zgasł.

- Zatem nie słyszałaś. Nie, oczywiście, że nie mogłaś. Wszystko zbyt szybko się dzieje.
- O czym nie słyszałam?

Na twarzy Ekateriny pojawiła się sympatia. Nieco później zastanawiałam się, czy to współczucie było spowodowane wiadomością, którą jej dostarczyła, czy reakcją Lissy.

- Ariana Szelski nie zdała tego testu... nie potrafiła rozwiązać zagadki...
- Rose, Rose.

Dymitr potrząsał mną. Kilka sekund zajęło mi przejście od zszokowanej Lissy do zaskoczonej Rose.

- Musimy... – zaczął.
- O mój Boże – przerwałam mu. – Nie *uwierzysz*, co właśnie zobaczyłam.

Zesztywniał.

- Czy z Lissą wszystko dobrze?
- Tak, dobrze, ale..
- W takim razie później się tym pomartwimy. Teraz musimy wyjść.

Zauważyłam wówczas, że był kompletnie ubrany, podczas gdy ja ciągle byłam naga.

- Co się dzieje?
- Przyszła Sonia... nie martw się. – Szok, który musiał pokazać się na mojej twarzy wywołał u niego uśmiech. – Ubrałem się, ale nie wpuściłem jej do środka. Powiedziała, że dzwoniłi z recepcji. Zaczęli zdawać sobie sprawę, że nasze zameldowanie jest dziwne. Musimy stąd iść.

Północ. Musimy spotkać się z Michaiłem o północy i zdobyć ostatni kawałek tajemnicy, która nas zżerała.

- Żaden problem – powiedziałam, zrzucając z siebie przykrycia.

Gdy to zrobiłam, dostrzegłam na sobie wzrok Dymitra. Byłam poniekąd zaskoczona, widząc w jego oczach podziw i głód. Jakoś, nawet po seksie, w pewnym sensie spodziewałam się, że będzie zdystansowany i przywdzieje strażniczy wyraz twarzy – zwłaszcza biorąc pod uwagę naszą nagłą potrzebę opuszczenia tego miejsca.

- Widzisz coś, co ci się podoba? – zapytałam, powtarzając coś, co powiedziałam mu dawno temu w szkole, gdy przyłapał mnie w kompromitującej sytuacji.
- Wiele – odparł.

Emocje płonące w jego oczach były dla mnie zbyt wielkie. Odwróciłam wzrok czując, jak moje serce wali w piersi, gdy wciągałam na siebie ubrania.

- Nie zapomnij – powiedziałam cicho. – Nie zapomnij... – nie mogłam dokończyć, ale nie było takiej potrzeby.
- Wiem, Roza. Nie zapomniałem.

Założyłam buty pragnąc być słabsza i odpuścić postawione ultimatum. Jednakże nie mogłam. Bez względu na to, co zaszło między nami werbalnie i fizycznie, bez względu na to, jak blisko było zakończenie naszej bajki... nie było przed nami przyszłości, dopóki nie zdoła sobie wybaczyć.

Sonia i Jill były gotowe, czekając aż wyjdziemy ze swojego pokoju. Coś mi powiedziało, że Sonia wiedziała, co się wydarzyło pomiędzy mną i Dymitrem. Przekłęte aury. Choć być może nie potrzeba magicznych mocy, by widzieć tego rodzaju rzeczy. Może poświata po prostu naturalnie ukazuje się na czyjejs twarzy.

- Chcę, żebyś zrobiła mi amulet – zwróciłam się do Sonii, gdy byliśmy już na drodze. – I musimy zatrzymać się w Greenston.
- Greenston? – zapytał Dymitr. – Po co?
- To miejsce, w którym trzymają alchemików.

Już zaczęłam składać ze sobą kawałki układanki. Kto nienawidził Tatiany zarówno z powodu jej osobowości, jak i posiadania Ambrosego? Kto miał jej za złe, że chce, by moroje walczyli ze strzygami? Kto obawiał się jej poparcia odnośnie ducha i jego zgubnych efektów dla ludzi – powiedzmy takich jak Adrian? Kto chciał widzieć inną rodzinę na tronie, popierającą nowe przekonania? I kto byłby szczęśliwy z zamknięcia mnie pod kluczem, z dala od tego wszystkiego? Zrobiłam głęboki wdech, ledwie wierząc w to, co miałam właśnie powiedzieć.

- I w którym zamierzamy znaleźć dowód na to, że Daniela Iwaszkow zamordowała Tatianę.

Tłumaczenie: Ginger_90

Korekta: Qbac, Justa2705

Rozdział trzydziesty pierwszy

NIE BYŁAM JEDYNĄ, której przyszedł do głowy ten zaskakujący wniosek. Kiedy morojski Dwór obudził się po kilku godzinach naszej podróży, Lissa również złożyła kawałki w całość, przygotowując się w swoim pokoju do wygłoszenia przedwyborczego przemówienia.

Przemyślała wszystkie fakty, które i ja brałam pod uwagę, oraz kilka innych – jak to, że Daniela szaleńczo obawiała się wmieszania do mojej sprawy Adriana, co niewątpliwie pokrzyżowałoby dokładnie opracowany plan. Była również oferta Daniela, by bronił mnie jej kuzyn, który był prawnikiem – Damon Tarus. Czy to by rzeczywiście pomogło? Czy też Damon subtelnie pracowałby, aby osłabić moją obronę? Aroganckie wplątanie się w to Abe mogło być błogosławieństwem.

Serce Lissy szybko biło, gdy skręcała swoje włosy w kok. Wolałaby, by były rozpuszczone, ale biorąc pod uwagę nadchodzące wydarzenie, powinna wyglądać bardziej dostojnie. Miała na sobie sięgającą do kolan, matową sukienkę z jedwabiu w kolorze kości słoniowej, z delikatną ozdobną plecionką i długimi rękawami. Ktoś mógłby pomyśleć, że wyglądała jak panna młoda, ale widząc ją w lustrze wiedziałam, że nikt nie popełni tego błędu. Wyglądała olśniewająco. Promiennie. Królewsko.

- To nie może być prawda – powiedziała, uzupełniając swój wygląd należącymi do jej matki kolczykami z białych pereł. Podzieliła się tą teorią z Christianem i Janine, którzy teraz z nią byli. Miała po części nadzieję, iż powiedzą jej, że zwariowała. Nie zrobili tego.
- To ma sens – powiedział Christian bez swojego zwykłego sarkazmu.
- Tylko nie ma jeszcze oczywistych dowodów – odezwała się moja matka, jak zawsze praktyczna. – To tylko wiele poszlak.
- Ciocia Tasza sprawdza z Ethanem, czy Daniela była na miejscu w noc morderstwa – powiedział Christian. Zrobił nieznaczny minę, ciągle nie będąc zadowolonym z tego, że jego ciocia ma chłopaka. – Nazwiska Daniela nie było na oficjalnej liście, ale ciocia Tasza martwi się, że pewne rzeczy mogły zostać zmienione.
- To by mnie nie zaskoczyło. Ale nawet jeśli umiejscowienie tam Daniela w czasie morderstwa buduje podejrzenia, to nadal nie jest twardym dowodem.

Moja matka powinna być prawnikiem. Ona i Abe mogliby razem otworzyć kancelarię.

- To tak samo ważny dowód, jak te przeciwko Rose! – wykrzyknęła Lissa.
- Pomijając kołek – przypomniała jej Janine. – Ludzie są bardziej skłonni uwierzyć w pobieżne dowody przeciwko Rose, niż Lady Danieli Iwaszkow.

Lissa westchnęła, wiedząc, że to wszystko było prawdą.

- Gdyby tylko Abe mógł porozmawiać z alchemikami. Potrzebujemy informacji, które posiadają.
- Porozmawia – powiedziała z przekonaniem moja matka. – Tylko to zajmie trochę czasu.

- Nie mamy czasu!

Dramatyczny obrót spraw dał duchowi niezłą szansę na wyszczerzenie kłów. Jak zawsze próbowałam zabrać ciemność od Lissy. Pomyślelibyście, że odrobiłam swoją lekcję po wydarzeniu z Wiktoorem, ale cóż... trudno zabić stare nawyki. *Oni są ważniejsi.*

- Marie Conta i Rufus Tarus są ostatnimi kandydatami, jacy pozostali! Jeśli on wygra, Daniela będzie miała rozległe wpływy. A wtedy nigdy nie udowodnimy niewinności Rose.

Niezdanie ostatniego testu przez Arianę stało się ogromnym ciosem dla wszystkich, roztrząskując w proszek przyszłość, którą Lissa brała za pewnik. Bez Ariany ostateczny rezultat nie wyglądał dobrze. Marie Conta nie była ulubienicą Lissy, ale Lissa czuła, że byłaby lepszą władczynią niż Rufus. Niestety rodzina Contów przez ostatnie lata była raczej cicha w polityce, co przysporzyło im mniejszą ilość sojuszników i przyjaciół. Liczby niebezpiecznie przechylały się ku Rufusowi. To było frustrujące. Gdybyśmy mogli dostarczyć tam Jill, Lissa mogłaby głosować. Przy Radzie liczącej dwanaście głosów, nawet jeden głos byłby decydujący.

- Mamy czas – powiedziała uspokajająco moja mama. – Nie będzie dzisiaj głosowania. Nie z kontrowersją, jaką wzbudzasz. Z każdym dniem opóźnienia wyborów, mamy kolejną szansę na rozwiązanie naszej sprawy. Jesteśmy już blisko. Uda się nam.
- Nie możemy powiedzieć o tym Adrianowi – ostrzegła Lissa, ruszając w kierunku drzwi. Nadszedł czas wyjścia.

Wrócił typowy uśmiezek Christiana.

- To jest coś, z czym się wszyscy zgadzamy.

Wyszukana sala balowa – po raz kolejny, z powodu swojego rozmiaru służąca za salę obrad Rady – wyglądała jak na koncercie rockowym. Ludzie walczyli o miejsca w środku. Niektórzy zdając sobie sprawę, że to daremne obozowali na zewnątrz budynku – jakby piknikowali. Ktoś dzięki Bogu doznał błyskotliwego pomysłu wyprowadzenia na zewnątrz aparatury nagłaśniającej, by ci, którzy nie weszli, w dalszym ciągu mogli słyszeć co się dzieje. Strażnicy poruszali się w tłumie próbując powstrzymać chaos, zwłaszcza, gdy już przybyli kandydaci.

Marie Conta pokazała się tuż przed Lissą. Nawet, pomimo tego, że była najmniej prawdopodobną zwyciężczynią, z tłumu rozległy się ryki i wyrazy nadprzeciętnych emocji. Strażnicy pośpiesznie – i jeśli trzeba to brutalnie – przytrzymali tłum, aby mogła przejść. Ta uwaga musiała przerażać, ale Marie nie pokazała tego po sobie. Szła dumnie, uśmiechając się zarówno do zwolenników i oponentów. Obie, Lissa i ja, przypomnialiśmy sobie słowa Christiana: *Jesteś kandydatką na królową. Zachowuj się jak ona. Zaslugujesz na to. Jesteś ostatnią z Dragomirów. Córką arystokraty.*

I dokładnie tak się zachowywała. To było więcej niż zalecenia Christiana. Teraz, kiedy zdała wszystkie trzy testy, powaga starodawnej procedury, do której przystępowała wymagała

jeszcze więcej. Lissa weszła do środka z wysoko uniesioną głową. Nie mogłam zobaczyć jej całego ciała, ale wyczułam jej dostojny i pełen gracji chód. Tłumowi się spodobał.

Uświadomiłam sobie, że tłum ten jest naprawdę głośny, gdyż większość z zabranych nie była arystokratami. Ci przebywający na zewnątrz byli zwykłymi morojami, którzy przyszli by okazać jej swoje ubóstwienie.

- Następczyni Aleksandry!
- Przywrócić smoka!

Dla niektórych po prostu wystarczyło wykrzyknąć jej imię, dodając tytuł starej rosyjskiej bohaterki ludowej o tym samym imieniu.

- Dzielna Wasylisa! Piękna Wasylisa!

Wiedziałam, że nikt by nie zgadł, jaki strach czuła w środku. Miała dobre serce.

Christian i moja matka, którzy początkowo jej towarzyszyli, cofnęli się jednocześnie, pozwalając by była kilka kroków przed nimi. Nie było mowy o zakwestionowaniu pozycji i autorytetu Lissy. Każdy krok podejmowała z ufnością, pamiętając, że jej dziadek również szedł tą drogą. Próbowwała obdarzyć tłum uśmiechem, który był zarówno godny jak i prawdziwy. Musiał zadziałać, gdyż tłum stał się jeszcze bardziej dziki. A kiedy zatrzymała się by skomentować transparent ze smokiem namalowany w dowód poparcia, artysta niemal zemdlął z wrażenia, że ktoś taki jak ona zauważył jego pracę i pochwalił go.

- Niespotykane – zauważyła moja matka, gdy bezpiecznie dotarli do środka. – Nigdy nie było takiej frekwencji. A już na pewno nie podczas ostatnich wyborów.
- Dlaczego więc tym razem jest tak duża? – spytała Lissa, starając się kontrolować oddech.
- Bo jest bardzo dużo sensacji, począwszy od morderstwa a skończywszy na tym, że mieszasz w prawie. To i... cóż, sposób w jaki zdobywasz serca każdego obecnego tutaj nie-arystokraty. Dampirów także. Nawet w jednym z naszych pokoi socjalnych⁴⁹ wisi smok. Uważam też, że kochają cię niektórzy z arystokratów, choć być może robią to na złość rodzinom, z którymi toczą spory. Ale poważnie mówiąc, jeśli twoje poparcie urosłoby u wszystkich ludzi, nie tylko tych z Rady – i gdyby to było głosowanie, do którego byś się kwalifikowała – sądzę, że wygrałabyś.

Lissa wykrzywiła usta i niechętnie dodała.

- Szczerze? Myślę, że głosowanie na naszych przywódców *powinno być* przystępne dla wszystkich. Każdy moroj powinien zagłosować, nie tylko garstka elitarnych rodzin.
- Bądź ostrożna księżniczko – dokuczał jej Christian, otaczając ją ramieniem. – Tego rodzaju rozmowa może rozpocząć kolejną rewolucję. Po jednej na raz, dobrze?

Tłum w sali balowej nie szalał tak jak ten na zewnątrz, ale był tego całkiem bliski. Tym razem strażnicy byli przygotowani na tak liczne przybycie i upewnili się, że od samego początku w pełni wszystko kontrolowali. Mieli oko na liczbę osób mogących przebywać w

⁴⁹ *coffee room* – u nas w Polsce tak nazywają się te pomieszczenia – przyp. Ginger

sali i przerywali sprzeczki między arystokratami a nie-arystokratami. To w dalszym ciągu było bardzo niepokojące. Lissa bez końca przypominała sobie, że granie tej roli mi pomagało. Dla mnie mogła znieść wszystko, nawet fanfary. Na szczęście tym razem szybko została doprowadzona na przód pomieszczenia, gdzie przodem do tłumu stały trzy krzesła przeznaczone dla kandydatów. Rufus i Marie już siedzieli, rozmawiając przyciszonymi głosami z kilkoma wybranymi członkami rodziny. Wokół nich stali strażnicy. Lissa oczywiście usiadła sama, kiwając głową strażnikom, gdy pojawiła się Tasza.

Tasza ukucnęła obok Lissy, mówiąc do niej szeptem i ostrożnie trzymając oko na rozmawiającego z kimś Rufusa.

- Złe wieści. W sumie zależy jak na nie spojrzysz. Ethan mówi, że tamtej nocy Daniela tam była. Ona i Tatiana spotkały się na osobności. Ethan nie zdawał sobie sprawy, że pominięto to w aktach. Ktoś podpisał się za wszystkich strażników będących na służbie, jednak Ethan przysięga, że sam widział Daniellę.

Lissa skrzywiła się. Miała cichą nadzieję – a nawet modliła się – żeby się pomyliła, gdyż matka Adriana na pewno nie mogła tego zrobić. Szybko kiwnęła głową na znak, że zrozumiała.

- Przykro mi – powiedziała Tasza. – Wiem, że ją lubiłaś.
- Sadzę, że bardziej martwię się o Adriana. Nie mam pojęcia jak on to znieś.
- Ciężko – powiedziała bez ogródek Tasza. Po tym, z czym miała do czynienia w związku z rodzicami Christiana, wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny jak to jest, gdy rodzina cię zdradzi. – Ale przejdzie przez to. Im szybciej przedstawimy te dowody, tym prędzej Rose i Dymitr wrócą.

Te słowa napełniły Lissę nadzieją, wzmacniając ją.

- Strasznie mi jej brakuje – powiedziała. – Chciałabym, żeby teraz tutaj była.

Tasza obdarzyła ją sympatycznym uśmiechem i poklepała po ramieniu.

- Wkrótce wrócą. Wystarczy, że przejdiesz przez to teraz. Uda ci się. Możesz wszystko zmienić.

Lissa nie była co do tego pewna. Tasza pośpieszyła, by dołączyć do swoich "przyjaciół aktywistów". Zastąpiła ją – Daniela.

Przyszła porozmawiać z Rufusem, oferując mu wsparcie i zapewniając o miłości rodziny. Lissa nie była w stanie spojrzeć na starszą kobietę. Poczuli się nawet jeszcze gorzej, gdy Daniela do niej przemówiła.

- Nie jestem pewna jak się w to wplątałaś kochanie, ale życzę ci powodzenia – Uśmiech Daniela wydawał się szczery, ale nie było wątpliwości, którego kandydata wspierała. Jej uprzejmy wyraz twarzy zmienił się w zatroskanie. – Widziałaś Adriana? Byłam przekonana, że tu będzie. Wiem, że strażnicy wpuściliby go.

Doskonałe pytanie. Lissa nie widziała go od ostatniego dnia czy coś takiego.

- Nie. Może po prostu przyjdzie później. Układa włosy czy coś.

Miejmy nadzieję, że nie zalał się gdzieś w trupa.

Daniela westchnęła.

- Mam taką nadzieję.

Oddaliła się zajmując miejsce na widowni. Ojciec Adriana ponownie rozpoczął obrady. Pokój zamilkł dopiero po kilku nieudanych próbach.

- W poprzednim tygodniu – zaczął Nathan mówiąc do mikrofonu – wielu godnych kandydatów zdawało testy wymagane, by móc rządzić naszymi ludźmi. Przed nami siedzi finałowa trójka: Rufus Tarus, Marie Conta i Wasylisa Dragomir.

W tonie Nathana rozbrzmiewało niezadowolenie w związku z ostatnim nazwiskiem, jednak do tej pory prawo pozwalało jej brać udział i wygłosić mowę. Po tym jednak wkradła się pewna niespójność i całe to piekło mogło wybuchnąć.

- Ta trójka pokazała, że ma kompetencje do rządzenia. Zanim zagłosujemy, w swoim ostatnim akcie każdy z nich opowie o planach jakie ma odnośnie naszego narodu.

Rufus pierwszy wstał, wygłaszając przemowę, której się spodziewałam. Grał na obawach morojów, obiecując ekstremalne formy ochrony w większości dotyczące dampirów, ale nie wdawał się w szczegóły.

- Nasze bezpieczeństwo musi być na szczycie naszych priorytetów – ogłosił. – Za wszelką cenę. Czy to będzie trudne? Tak. Czy będzie wymagało poświęcenia? Tak. Ale czy nasze dzieci nie są tego warte? Czyż nie troszczymy się o nie?

Uważałam, że mieszanie w to dzieci było niewłaściwe. Przynajmniej szczenięta zostawił w spokoju. Używał również brudnych, politycznych sztuczek, szkalując swoich rywali. Marie została potępiona głównie za brak aktywności politycznej swojej rodziny. Z kolei Lissa była świetnym celem. Zwracał uwagę na jej wiek, niebezpieczeństwo wywołane użytkowaniem ducha i przede wszystkim na fakt, że jej obecność tutaj była naruszeniem prawa. Przemowa Marie była dużo bardziej przemyślana i szczegółowa. Wyłożyła bardzo jasno sprecyzowane plany dotyczące wszelkiego rodzaju kwestii, z których większość była rozsądna. Nie zgadzałam się ze wszystkim co mówiła, ale wyraźnie była kompetentna na to stanowisko i nie zniżyła się do wyśmiewania ze swojej konkurencji. Niestety nie była nawet odrobinę tak charyzmatyczna jak Rufus, co mogło zrobić ogromną różnicę. To była bolesna prawda. Jej monotonne zakończenie podsumowało nie tylko jej słowa, ale i osobowość.

- To są powody, dla których powinnam być królową. Mam nadzieję, że podobała się wam przemowa i będziecie na mnie głosować gdy nadejdzie czas. Dziękuję.

Bez ostrzeżenia z powrotem usiadła na swoim miejscu.

W końcu przyszła kolej Lissy. Stojąc przed mikrofonem, nagle zobaczyła sen wywołany przez kielich, w którym okazała się przed Radą słaba.

Ale nie tym razem. To była rzeczywistość. Nie zawiedzie. Stawi temu czoło.

- Jesteśmy narodem w stanie wojny – zaczęła głośno i wyraźnie. – Jesteśmy nieustannie atakowani, ale nie tylko przez strzygi. Przez samych siebie. Jesteśmy podzieleni. Walczymy ze sobą. Rodzina przeciwko rodzinie. Arystokraci przeciwko nie-arystokratom. Moroje przeciwko dampirom. *Oczywiście*, że strzygi nas zabijają. One są przynajmniej zjednoczone przez jeden cel: zabijanie.

Gdybym siedziała wśród widowni, pochyliłabym się do przodu z otwartymi ustami, tak jak zrobiło to za mnie mnóstwo ludzi. Jej słowa były lotne. Szokujące. I całkowicie zniewalające.

- Jesteśmy jednym narodem – kontynuowała. – Zarówno moroje jak i dampirey. – Taak, to też wywołało parę gwałtownych wdechów. – Niemożliwe jest, aby każdy bez wyjątku dostał to, czego chce. Nikt niczego nie robi, dopóki nie zbierzemy się razem i nie znajdziemy sposobów, aby się porozumieć, nawet jeśli to oznacza podjęcie trudnych decyzji.

Następnie, co zadziwiające, wyjaśniła jak to powinno zostać zrobione. Wprawdzie nie miała czasu na wyłożenie precyzyjnych detali o każdej pojedynczej kwestii dotyczącej naszego świata, ale poruszyła większość z najważniejszych. I zdołała zrobić to w taki sposób, który nikogo *za bardzo* nie uraził. Bądź co bądź, miała rację mówiąc, że wszyscy nie mogli dostać tego czego chcieli. Dalej mówiła o tym, że dampirey są naszymi najlepszymi wojownikami – i że byłiby lepszymi z prawem głosu. Mówiła o tym, że nie-arystokraci również potrzebują większego prawa głosu, jednak nie kosztem zniesienia arystokratycznych linii, które definiowały nasz naród. W końcu, przy zajęciu się kwestią szkolenia morojów w celu obrony własnej, podkreśliła jej znaczenie, ale nie uznała tego za coś obowiązkowego i jedyną metodę, która musi zostać zgłębiona.

Tak, dała coś każdemu, robiąc to pięknie i charyzmatycznie. To była przemowa w stylu takiej, po której ludzie wszędzie by za nią podążyli. Zakończyła ją słowami:

- Zawsze łączyliśmy nowe ze starym. Używaliśmy czarów w połączeniu z technologią. Przeprowadzamy te obrady ze zwojami i... z tym. – Uśmiechnęła się i stuknęła w mikrofon. – W ten sposób przetrwaliśmy. Trzymamy się naszej przeszłości, korzystając z teraźniejszości. Czerpiemy z tego, co najlepsze i rośniemy w siłę. W ten sposób przetrwaliśmy. I w ten sposób *przetrwamy*.

Jej zakończenie spotkało się z ciszą – a potem zaczęły się wiwaty. Właściwie to usłyszałam ryk pochodzący z zewnątrz, zanim owacje zaczęły się w środku. Ludzie, którzy przysięgłabym, że wspierali pozostałych, praktycznie byli we łzach. Nie zapomniałam, że większość ludzi, których widziałam w tym pomieszczeniu była arystokratami. Lissa sama chciała wybuchnąć płaczem, ale zamiast tego dzielnie spełniała swoją powinność. Kiedy w końcu usiadła i tłum ucichł, Nathan powrócił do swojej roli.

- No cóż – powiedział. – To było bardzo ładne przemówienie, które spodobało się nam wszystkim. Ale teraz nadszedł czas by Rada zagłosowała i wybrała naszego kolejnego władcę. Zgodnie z prawem tylko dwoje kandydatów kwalifikuje się na to stanowisko: Rufus Tarus i Marie Conta.

Dwóch morojów, po jednym z rodziny Taurus i Contów wyszło do przodu by dołączyć do odpowiednich kandydatów. Wzrok Nathana padł na Lissę, która tak jak inni wstała, ale była sama.

- Zgodnie z wyborczym prawem ustalonym od samego początku, każdy kandydat musi podejść do Rady w towarzystwie kogoś ze swojej linii by pokazać siłę i rodzinne więzy. Czy masz choć jedną taką osobę?

Lissa nieugięcie spojrzała mu w oczy.

- Nie, Lordzie Iwaszkow.
- Zatem obawiam się, że twoja rola w tej grze się skończyła, Księżniczko Dragomir. – Uśmiechnął się. – Możesz usiąść.

Tak. I wtedy rozpętało się piekło.

Zawsze słyszałam wyrażenie "I tłum oszalał", ale teraz widziałam to na własne oczy. Przez większość czasu nie mogłam nawet dojść, kto co krzyczał, czy co popierał. Ludzie kłócili się w grupkach i indywidualnie. Para morojów w dżinsach rzucała wyzwanie każdej dobrze ubranej osobie, którą mogła znaleźć, irracjonalnie zakładając, że każdy dobrze ubrany musi być arystokratą i że wszyscy arystokraci nienawidzą Lissy. Ich oddanie dla niej było pełne podziwu. Przyprawiające o gęsią skórę, ale godne podziwu. Jedna grupa z rodziny Tarus stała twarzą w twarz z grupą rodziny Conta, wyglądając jakby przygotowywali się na walkę gangów albo do ekscentrycznego tańca. (Czyżby Mead chodziło o taniec kogutów? – przyp. Ginger; Raczej godowy – przyp. Justa) To był jeden z najdziwniejszych sparingów zwłaszcza, że te dwie rodziny były jedynymi, które powinny się we wszystkim absolutnie zgadzać.

Nie było widać końca. Ludzie wyklócili się o to, czy Lissa powinna kwalifikować się do głosowania czy nie. Walczyli o zorganizowanie posiedzenia, aby w tej chwili zmienić prawo. Niektórzy kłócili się o rzeczy, o których w życiu nie słyszałam. Masowy napływ strażników pod drzwi pozwolił mi myśleć, że do środka próbował wdrzeć się tłum z zewnątrz. Wśród obrońców znajdowała się moja matka. Wiedziałam, że miała rację. Nie będzie dzisiaj głosowania, nie z taką anarchią. Będą musieli zakończyć posiedzenie i spróbować ponownie jutro.

Lissa wpatrywała się w tłum czując się odrętwiała. Nie była w stanie śledzić wszystkiego, co się działo. Jej żołądek skręcił się, gdy coś jej zaświtało. Przez cały ten czas przysięgała, że będzie szanowała powagę wyborczej tradycji. Jednak to z jej powodu sprawy były teraz absolutnie niechlubne. To wszystko było jej winą. Jej wzrok padł na osobę siedzącą z tyłu w rogu z dala od pandemonium. Ekaterina Zeklos. Stara dawna królowa podchwyciła spojrzenie Lissy – i puściła do niej oko.

Wycofałam się z tego pomieszczenia, nie potrzebując widzieć więcej kłótni. Wróciłam do jadącego samochodu z nową myślą w głowie. Słowa Lissy wyryły się w mojej duszy. Poruszyły moje serce. Nawet jeśli wygłosiła swoje przemówienie dla pozorów, była w nim pasja. Żarliwa wiara. Gdyby miała prawo być królową, stanęłaby za tymi słowami.

I wtedy już wiedziałam. Lissa *będzie* królową.

Zdecydowałam tu i teraz, że mogę to urzeczywistnić. Nie zabierzemy tam Jill, by po prostu dała Lissie jej głos w Radzie. Jill mogłaby dać Lissie status, który pozwoliłby morojom głosować *na nią*. I Lissa zostałaby królową.

Naturalnie zatrzymałam te myśli dla siebie.

- To niebezpieczny wyraz twarzy – powiedział Dymitr, obdarzając mnie przelotnym spojrzeniem zanim zwrócił swoje oczy ku drodze.
- Jaki wyraz twarzy?
- Ten, który mówi, że właśnie wpadłaś na jakiś pomysł.
- Nie wpadłam właśnie na jakiś pomysł. Wpadłam na *wspaniałe* pomysł.

Żarty takie jak te dawniej rozśmieszały Jill, ale obrócenie się do tyłu i spojrzenie na nią pokazało, że wcale nie uważała tego za zabawne.

- Hej, wszystko w porządku? – spytałam.

Jej jaszczurcze oczy skupiły się na mnie.

- Nie jestem pewna. Sporo się zdarzyło i naprawdę nie wiem, co będzie dalej. Czuję się jak... jak jakiś przedmiot, który zostanie użyty w jakimś mistrzowskim planie. Jak pionek.

Chwyciło mnie małe poczucie winy. Wiktor zawsze używał ludzi jako części gry. Czy byłam taka jak on? Nie. Ja troszczyłam się o Jill.

- Nie jesteś ani przedmiotem, ani pionkiem – powiedziałam jej. – Ale jesteś bardzo, bardzo ważna. Dzięki tobie stanie się wiele dobrych rzeczy.
- Ale to nie będzie takie proste, prawda? – Pomimo swojego wieku jej słowa zabrzmiały mądrze. – Sprawy przybiorą gorszy obrót zanim wyjdą na lepsze, mam rację?

Nie umiałam jej skłamać.

- Tak. Ale wtedy będziesz mogła skontaktować się ze swoją mamą... i jak już powiedziałam, stanie się wiele dobrych rzeczy. Strażnicy zawsze powtarzają "Oni są ważniejsi", gdy mówimy o morojach. Te słowa niezupełnie mają takie same znaczenie względem ciebie, ale w tej sprawie... cóż...

Posłała mi uśmiech, który nie wydawał się bardzo wesoły.

- Tak, załapałam. To jest dla większego dobra, prawda?

Sonia spędziła większość podróży pracując nad amuletem dla mnie, do którego wykorzystywała srebrną bransoletkę kupioną w przydrożnym sklepie z upominkami. Wyglądała tandetnie, ale liczyło się, że była wykonana z prawdziwego srebra. Gdy dzieliło nas jakieś pół godziny drogi do Greenston oświadczyła, że jest gotowa i przekazała mi ją. Założyłam ją i spojrzałam na innych.

- I?
- Nie widzę niczego – powiedziała Sonia – ale ja nie mogę.

Jill zmrużyła oczy.

- Wydajesz się trochę niewyraźna... jakbym musiała kilka razy mrugnąć.
- Ze mną to samo – powiedział Dymitr.

Sonia była zadowolona.

- Tak właśnie powinien działać na ludzi, którzy wiedzą, że ma amulet. Na szczęście, dla innych strażników będzie miała inną twarz.

To była zmiana, której dokonała Lissa, kiedy zrobiłyśmy nalot na więzienie wyciągając Wiktora. Tylko, że ten amulet wymagał mniej magii, gdyż Sonia musiała nieznacznie zmienić mój wygląd. Nie musiała zmieniać mojej rasy. Była również bardziej wprawiona niż Lissa.

Restauracja, którą wybrałam w Greenston, już dawno temu została zamknięta gdy przybyliśmy o pierwszej trzydziści. Teren parkingu był niemal czarny, jednak mogłam dostrzec samochód zaparkowany w tylnym rogu. Miałam nadzieję, że to Michał dostał się tu wcześniej – a nie oddział specjalny strażników. Kiedy zaparkowaliśmy w pobliżu zobaczyłam, że z samochodu wysiadł Michał – razem z Adrianem.

Uśmiechnął się na mój widok, zadowolony z niespodzianki. Naprawdę powinnam się spodziewać, że tak będzie, gdy kazałam mu przekazać Michałowi wiadomość. Oczywiście, że Adrian znalazłby sposób by się zjawić. Mój żołądek skręcił się. Nie, nie. Nie to. Nie miałam czasu zajmować się moim życiem miłosnym. Nie teraz. Nie wiedziałam nawet, co mu powiedzieć. Na szczęście nie miałam szansy się odezwać.

Michał poruszał się ku nam ze strażniczą sprawnością, gotów dowiedzieć się, jakie wymyśliłam dla niego zadanie. Zatrzymał się z piskiem, kiedy zobaczył wychodzącą z samochodu Sonię. Ona też się zatrzymała. Oboje stali zmrożeni, z oczami rozszerzonymi bardziej, niż to się fizycznie wydawało możliwe. Wiedziałam wówczas, że reszta z nas przestała istnieć równie dobrze, jak nasze wszystkie intrygi, misje i... świat. W tym momencie istnieli tylko oni.

Sonia wydała stłumiony krzyk, po czym z biegiem ruszyła do przodu. To go obudziło w samą porę by wziąć ją w ramiona, gdy się na niego rzuciła. Zaczęła płakać i mogłam zobaczyć, że na jego twarzy również były łzy. Odgarnął jej włosy i ujął jej policzki w dłonie, patrząc na nią z góry i bez końca powtarzając:

- To ty... to ty... to ty...

Sonia próbowała wytrzeć oczy, ale nie wyszło jej to na dobre.

- Michaił... przepraszam... tak bardzo cię przepraszam...
- To nie ma znaczenia. – Pocałował ją i odsunął na tyle by spojrzeć jej w oczy. – To nie ma znaczenia. Nie liczy się nic poza tym, że znowu jesteśmy razem.

To sprawiło, że jeszcze bardziej się rozplakała. Ukryła swoją twarz w jego piersi, a jego ramiona jeszcze mocniej zacisnęły się wokół niej. Reszta z nas stała tak zmrózona, jak wcześniej ta para. Czułam się źle będąc tego świadkiem. To było zbyt prywatne: nie powinno nas tu być. Jednak... w tym samym czasie nie mogłam odpędzić się od myśli, że tak wyobrażałam sobie moje spotkanie z Dymitrem, gdy Lissa przywróciła go do życia. Miłość. Przebaczenie. Akceptacja.

Dymitr i ja na krótką chwilę utkwiliśmy w sobie spojrzenia i moje przedziwne zmysły powiedziały mi, że przypomniał sobie moje słowa: *Musisz sobie wybaczyć*. Jeśli nie możesz, to nie możesz też pójść dalej. *My* nie możemy.. Odwróciłam od niego wzrok ponownie patrząc na szczęśliwą parę, by nie widział mojego rozdarcia. Boże, chciałabym, żeby i mi przytrafiło się to, co Michaiłowi i Sonii. Szczęśliwe zakończenie. Przebaczenie przeszłości. Jasno malująca się przyszłość.

Stojąca przy mnie Jill pociągnęła nosem, na co otoczyłam ją ramieniem. Ten mały dźwięk wydawał się z powrotem przyciągnąć Michaiła do naszego świata. W dalszym ciągu obejmując Sonię, podniósł na mnie wzrok.

- Dziękuję. Dziękuję za to. Zrobię cokolwiek potrzebujesz. Cokolwiek.
- Stop, stop – powiedziałam obawiając się, że mogę zdławić słowa. Dopiero co poradziłam sobie z odpędzeniem zdradzieckich łez. – Cieszę się... cieszę się, że to zrobiłam, choć po prawdzie... to wcale nie byłam ja.
- Jednak w dalszym ciągu... – Michaił spojrzał w dół na uśmiechającą się do niego przez łzy Sonię. – Oddałaś mi mój świat.
- Bardzo się z tego cieszę... chcę abyś go miał i po prostu cieszył się nim w tym momencie, ale potrzebuję przysługi. Jeszcze jednej przysługi.

Sonia i Michaił w znaczący sposób wymienili spojrzenia. Nigdy byście nie zgadli, że byli rozdzieleni przez trzy lata. Sonia skinęła głową i Michaił zwrócił na mnie swoje spojrzenie.

- Domyślałam się, że dlatego on mnie tutaj przywiózł. – Wskazał głową w kierunku Adriana.
- Musisz wprowadzić mnie do hotelu, w którym przebywają alchemicy.

Z twarzy Michaiła opadł mały uśmiech.

- Rose... nie mogę wprowadzić cię w żadne miejsce. Sama twoja obecność tak blisko Dworu jest wystarczająco niebezpieczna.

Wyciągnęłam z kieszeni bransoletkę.

- Mam przebranie. Nie będą wiedzieli, że to ja. Czy jest jakiś powód, dla którego musiałbyś zobaczyć się z alchemikami?

Sonia pozostała w jego ramionach, jednak jego oczy pociemniały gdy myślał.

- Mają strażników przy swoich pokojach. Prawdopodobnie moglibyśmy podać się za pomoc.

Dymitr przytaknął zgadzając się z tym.

- Jeśli będzie to zbyt odchodziło od zwykłego czasu zmiany, to się zdziwią... ale miejmy nadzieję, że będziecie mieć wystarczającą ilość czasu by wejść do środka i dowiedzieć się czego potrzebujecie. Strażnicy prawdopodobnie bardziej obawiają się ucieczki alchemików niż tego, że do środka wejdą strażnicy.
- Zdecydowanie – przyznał Michaił. – A zatem ty i ja, Rose?
- Tak – odparłam. – Im mniej tym lepiej. Wystarczająco by przesłuchać Sydney i Iana. Sądzę, że reszta poczeka tutaj.

Sonia pocałowała go w policzek.

- Nigdzie się nie wybieram.

Adrian do tego czasu podszedł do Jill i po bratersku szturchnął ja w ramię.

- A ja zamierzam zostać i usłyszeć jak u licha się w to wplątałaś, podlotku.

Jill zebrała się w sobie i uśmiechnęła do niego. Była całkiem hardcorowo w nim zadurzona, więc jej brak zaczerwienienia od stóp do głów wynikał ze stresu. Zaczęli rozmawiać, a Dymitr gestem polecił mi pójść za nim za samochód, z dala od zasięgu ich wzroku.

- To niebezpieczne – powiedział cicho. – Jeśli ten amulet zawiedzie, prawdopodobnie nie wyjdiesz z tego hotelu.

Pod koniec jego słów było słyhać niewypowiedziane przez niego słowo *żywa*.

- Nie zawiedzie. Sonia jest dobra. A poza tym, jeśli mnie złapią to może zamiast mnie zabijać, zabiorą mnie do Dworu. Wyobraź sobie jak bardzo *to* opóźni wybory.
- Rose, mówię poważnie.

Chwyciłam jego rękę.

- Wiem, wiem. To będzie łatwe. Powinniśmy dojechać i wrócić w przeciągu godziny, ale jeśli nie... – Rany, nienawidziłam czarnych scenariuszy. – Jeśli nie, to wyślij Adriana do Dworu razem z Jill, a potem ukryj się gdzieś razem z Sonią dopóki... nie wiem.
- Nie martw się o nas – powiedział. – Po prostu bądź ostrożna.

Pochylił się i pocałował mnie w czoło.

- Little dampir, jesteś..

Adrian obszedł samochód w samą porę by zobaczyć ten mały całus. Puściłam swoją rękę trzymającą Dymitra. Żadne z nas nic nie powiedziało, ale w tej chwili oczy Adriana... cóż, zobaczyłam jak cały jego świat zostaje rozbity. Czułam się bardziej chora niż gdyby w pobliżu była cała flota strzyg. Czułam się gorzej niż strzyga. *Honor*, pomyślałam. Strażnicy naprawdę powinni go uczyć. Bo ja się go nie nauczyłam.

- Pośpieszmy się – powiedział podchodząc do nas Michaił, nieświadomy dramatu, który dopiero co obok niego eksplodował. – Sonia mówi, że wasz zegar na Dworze również tyka.

Przełknęłam zabierając wzrok z Adriana. Serce skręciło mi się w klatce.

- Tak...
- Idź – powiedział Dymitr.
- Pamiętaj – mruknęłam do niego. – Porozmawianie z nim jest moją odpowiedzialnością. Nie twoją.

Podążyłam za Michaiłem do samochodu, wkładając zaczarowaną bransoletkę. Zanim weszłam do środka, rzuciłam szybkie spojrzenie za siebie. Jill i Sonia rozmawiały ze sobą, Dymitr stał sam, a Adrian wyciągał papierosy stojąc do nich plecami.

- Schrzaniłam – powiedziałam ponuro, gdy Michaił uruchamiał samochód. To było raczej nieelokwentne, ale całkiem niezłe podsumowywało moje uczucia.

Nie odpowiedział, prawdopodobnie dlatego, że to nie było istotą naszego zadania. Albo to, albo nadal był oмотany odnowieniem swojego własnego życia miłosnego. Cholerny szczęściarz.

Dojechanie do hotelu nie zajęło długo. Wokół znajdowali się strażnicy, oczywiście skrycie rozmieszczeni, aby nie zwracać uwagi ludzi. Żaden z nich nie zatrzymał nas, gdy wchodziliśmy do środka. Jeden nawet skinął głową do Michaiła na znak, że go rozpoznał. Wszyscy patrzyli na mnie... cóż, jakby mnie nie rozpoznawali. Co było dobre. Przy tak wielu strażnikach pomagających na Dworze, nowe twarze były spodziewane, a moja nie wyglądała jak Rose Hathaway. Nikt się mną nie przejął.

- Które pokoje zajmują? – zapytał stojącego w lobby strażnika Michaił. – Mamy odciążyć obecną zmianę.

Sposób bycia Michaiła był idealnie pewny siebie i wystarczył, by strażnik – choć nieco zaskoczony – wydawał się myśleć, że to musi być w porządku.

- Jest was tylko dwoje? Tam jest czworo.

Uratowałam nas w tym jednym.

- Chcą mieć więcej strażników na Dworze. Rzeczy wymykają się spod kontroli, więc teraz przypisano tutaj tylko nasza dwójkę.
- Prawdopodobnie wszyscy musimy się tam udać – zgodził się strażnik. – Trzecie piętro.
- Bystre myślenie – powiedział do mnie w windzie Michaił.
- To było nic. Wyciągałam się z dużo gorszych sytuacji.

Łatwo było odnaleźć pokoje, gdyż stał przy nich strażnik. *Reszta musi być w środku*, uświadomiłam sobie, zastanawiając się czy to będzie problem. Ale z tym samym apodyktycznym nastawieniem, Michaił powiedział facetowi, że on i reszta są wzywani do Dworu. Strażnik wezwał swoich kolegów – po jednym z każdego pokoju, w którym przebywali alchemicy, choć nie mogliśmy stwierdzić, kto w którym był – po czym przed wyjściem złożyli nam krótki raport włączający to, kto był w którym pokoju. Kiedy zniknęli, Michaił spojrzał na mnie.

- Sydney – powiedziałam. Dostaliśmy karty magnetyczne, więc teraz skierowaliśmy się prosto do jej pokoju. Siedziała na swoim łóżku po turecku, czytając książkę i wyglądając nieszczęśliwie. Westchnęła na nasz widok.
- Dobra, co tym razem?

Zdjęłam bransoletkę pozwalając iluzji zniknąć.

Niebyło żadnego opadnięcia szczęki, ani uniesienia brwi z jej strony. Tylko rozumiejący wyraz twarzy.

- Powinam się domyśleć. Jesteście tu by mnie uwolnić? – W jej głosie była ufna nutka.
- Um, niezupełnie. – Nienawidziłam tego, że Sydney zostanie ukarana, ale przemycenie jej na zewnątrz nie było częścią obecnego planu. – Musimy porozmawiać z Ianem i prawdopodobnie lepiej by było gdybyś tam była. On wie coś ważnego. Coś, czego potrzebujemy.

To spotkało się z uniesieniem brwi. Wskazała na drzwi.

- Nie pozwolili nam ze sobą rozmawiać.
- Nie ma ich tam – powiedziałam zadowolona z siebie.

Sydney ponuro pokręciła głową.

- Rose, ty naprawdę czasami mnie przerażasz. Miałam powody by tak myśleć od początku. Chodźcie, jest tuż obok, ale będziecie mieć kłopot by namówić go, żeby z wami porozmawiał.
- I właśnie w tym nam pomożesz – powiedziałam, gdy wychodziliśmy na korytarz. Z powrotem założyłam bransoletkę. – Jest w tobie totalnie zadurzony. Pomoże nam, jeśli go poprosisz.

Jak się domyślałam, Sydney była kompletnie ślepa co do zauroczenia Iana.

- Co? On nie..

Zamknęła swoje usta, gdy weszliśmy do pokoju Iana. Oglądał telewizję, ale na nasz widok zerwał się na nogi.

- Sydney! Wszystko w porządku?

Rzuciłam jej znaczące spojrzenie.

Ona w odpowiedzi obdarowała mnie złośliwym i zwróciła swoją uwagę z powrotem na Iana.

- Oni potrzebują twojej pomocy przy czymś. Pewnych informacji.

Zwrócił swoje spojrzenie na nas i natychmiast stał się chłodniejszy.

- Sto razy odpowiadaliśmy na wasze pytania.
- Nie na wszystkie – powiedziałam. – Kiedy byliście na Dworze zobaczyłeś na stoliku zdjęcie martwego faceta. Kim on był?

Wargi Iana zeszyły się do prostej linii.

- Nie wiem.
- Widziałam – yy, to znaczy wiemy, że go rozpoznałeś – sprzeczałam się. – Zareagowałeś na jego widok.
- Właściwie to ja też to widziałam – dodała Sydney.

Jego ton stał się obronny.

- *Daj spokój*, nie musimy im więcej pomagać. To całe uwięzienie w hotelu jest wystarczająco okropne. Mdli mnie od ich gier.

Szczerze mówiąc nie winiłam go, ale za bardzo go potrzebowaliśmy. Spojrzałam na Sydney błagalnie, mówiąc jej, że tylko ona mogła nam pomóc.

Ponownie spojrzała na Iana.

- Co to za sprawa z tym facetem na zdjęciu? Czy to jest... czy to jest coś naprawdę strasznego? Coś poufnego?

Wzruszył ramionami.

- Nie. Po prostu nie chcę im dłużej pomagać. To nie wiąże się z tematem.
- Zrobisz to dla mnie? – zapytała słodko. – Proszę? To mogłoby mi pomóc wydostać się z kłopotów.

Sydney nie była mistrzynią we flirtowaniu, ale sądzę, że zaskoczył go fakt, iż była temu bliska. Wahał się przez kilka chwil patrząc to na nas, to na nią. Uśmiechnęła się do niego.

Ian uległ presji.

- Naprawdę miałem na myśli to, co powiedziałem. Nie wiem, kim on jest. Któregoś dnia towarzyszył morojskiej kobiecie w placówce w Santa Louis.
- Chwila – powiedziałam czując się wybita ze sprawy. – Moroje przyjeżdżają do waszych posiadłości?
- Czasami – powiedziała Sydney. – Tak jak my do waszych. Pewne spotkania odbywają się osobiście. Chociaż zwykle nie przetrzymujemy waszych ludzi jako więźniów.
- Sądzę, że ten facet był jej ochroniarzem, czy coś w tym stylu – powiedział Ian. – To ona była tam w sprawach biznesowych. On tylko podążał za nią i siedział cicho.
- Morojski ochroniarz?
- Nierzadki dla tych, którzy nie mogą dostać strażników – powiedział Michał. – Dowodem tego jest Abe Mazur, który ma swoją własną armię.
- Uważam ich bardziej za mafię.

Pomimo mojego żartu, stawałam się zdezorientowana. Mimo powszechnego lekceważenia odnośnie nauki walki, czasem w ramach bezpieczeństwa moroje musieli wynajmować morojską ochronę, gdyż po prostu nie mogli uzyskać strażnika. Ktoś taki jak Daniela Iwaszkow nie miałby takiego problemu. Tak naprawdę to byłam niemal całkowicie pewna, że miałyby prawo do dwóch strażników, gdyby wyszła poza ochronne granice – i jasno dała do zrozumienia, że nie uważa by moroje powinni walczyć. Dlaczego miałyby podróżować z morojską ochroną, jeśli mogła mieć lepiej wyszkolonych strażników? To nie miało sensu. Jednak w dalszym ciągu... jeśli zabiłbyś królową, to prawdopodobnie zrobiłbyś wiele wszelkiego rodzaju niekonwencjonalnych rzeczy. Nie muszą mieć sensu.

- Kim była ta kobieta? – spytałam.
- Jej także nie znam – odpowiedział Ian. – Ja tylko minąłem ich, gdy po coś szli. Być może na spotkanie.
- Pamiętasz jak wyglądała?

Cokolwiek. Potrzebowaliśmy *czegokolwiek*. Nasz plan właśnie był na granicy rozpadu, ale gdyby Ian mógł zidentyfikować Daniellę, byłibyśmy w domu.

- Jasne – powiedział. – Jest łatwa do zapamiętania.

Rozdrażniła mnie następująca po jego słowach cisza.

- A zatem? – spytałam. – Jak ona wyglądała?

Powiedział mi.

Opis nie był taki, jakiego się spodziewałam.

Tłumaczenie: Ginger_90

Korekta: Qbac, Justa2705

Rozdział trzydziesty drugi

SYDNEY I JEJ PRZYJACIELE nie byli szczęśliwi, że nie mieliśmy zamiaru zabrać ich ze sobą.

- Chciałabym – powiedziałam jej ciągle otumaniona tym, czego dowiedziałam się od Iana. – Ale wejście do środka i wydostanie się stąd było wystarczająco trudne. Jeśli wyjdziemy na zewnątrz z wami, to wszyscy wpadniemy. Poza tym, to wkrótce nie będzie ważne. Kiedy już powiemy wszystkim na Dworze co wiemy i oczyścimy moje imię, strażnicy nie będą was dłużej potrzebowali.
- To nie strażników się obawiam – odparła.

Użyła tego charakterystycznego dla niej zblazowanego tonu, ale w jej oczach mogłem dostrzec przebłysk uzasadnionego strachu. Zastanawiałam się, kogo miała na myśli. Alchemików? Czy kogoś innego?

- Sydney – powiedziałam pospiesznie pomimo tego, że wiedziałam, iż ja i Michaił musimy wyjść. – Co tak naprawdę Abe dla ciebie zrobił? To musiało być coś więcej niż tylko przeniesienie.

Sydney obdarowała mnie małym, smutnym uśmiechem.

- To nie ma znaczenia, Rose. Poradzę sobie ze wszystkim, co nadejdzie. A teraz po prostu idź, dobra? Pomóż swoim przyjaciołom.

Chciałam powiedzieć więcej... dowiedzieć się więcej, ale wyraz twarzy Michaiła powiedział mi, że się ze mną nie zgadzał, więc wraz z pożegnalnymi słowami wyszliśmy. Gdy dotarliśmy do miejsca na parking, gdzie czekała na nas reszta, zobaczyłam, że sytuacja nie zmieniła się za bardzo.

Dymitr przechadzał się, co było niewątpliwie oznaką niepokoju z powodu wyłączenia z akcji. Jill stała niedaleko Soni wyglądając jakby szukała ochrony od starszej kobiety, zaś Adrian trzymał się z dala od nich wszystkich, ledwie rzucając spojrzenie kiedy zatrzymał się samochód Michaiła.

Jednakże, kiedy powiedzieliśmy grupie czego się dowiedzieliśmy, *doczekaliśmy* się reakcji ze strony Adriana.

- To niemożliwe. Nie mogę w to uwierzyć. – Zgasił papierosa. – Twój przyjaciele alchemicy są w błędzie.

Ja również ledwo mogłam w to uwierzyć, jednak nie miałam powodu by sądzić, że Ian mógłby skłamać. I szczerze mówiąc, jeśli Adrian miał problemy z zaakceptowaniem tego, to nie wiadomo co by pomyślał, gdybyśmy mu powiedzieli kto był naszym poprzednim podejrzanym. Gapiłam się w noc próbując dojść do okoliczności, w których ktoś zamordował Tatianę i mnie wrobił. Nawet dla mnie trudno było w to uwierzyć. Zdrada była okrutna.

- Motywy tam są... – powiedziałam niechętnie. Kiedy Ian opisał kogo widział, na swoim miejscu znalazło się tuzin powodów morderstwa. – I są polityczne. Ambrose miał rację.
- Identyfikacja dokonana przez Iana jest twardym dowodem – powiedział Dymitr, tak zszokowany jak reszta z nas. – Ale istnieje jeszcze wiele innych dziur i wiele kawałków, które do nich nie pasują.
- Taak. – Zwłaszcza jeden mnie dręczył. – Jak to, dlaczego *zostałam* przeznaczona na stracenie.

Nikt nie miał na to odpowiedzi.

- Musimy wrócić do Dworu – powiedział w końcu Michaił. – Albo zostanę uznany za zaginionego.

Rzuciłam Jill coś, co miałam nadzieję było pokrzepiającym uśmiechem.

- Dokonasz swojego debiutu.
- Nie wiem, co jest bardziej szalone – powiedział Adrian. – Tożsamość zabójcy, czy podłotek będący Dragomirem.

Jego słowa skierowane do mnie były lodowate, ale spojrzenie, jakie jej posłał, łagodne. Tak jak te wiadomości, zwariowane było to, że Adrian nie miał problemów z uwierzeniem w pochodzenie Jill. Był wystarczająco przygnębiony by zaakceptować niewierność Erika i te wiele mówiące oczy przypieczętowały sprawę. Sądzę, że usłyszenie tego, co powiedział Ian zraniło Adriana bardziej niż po sobie pokazał. Odkrycie, że osoba odpowiedzialna za zamordowanie jego babki, była kimś, kogo znał, musiało wzmocnić ból. Dowiedzenie się o mnie i Dymitrze również nie pomogło sprawom. Ku przerażeniu Michaiła, Sonia zaproponowała, że zostanie, podczas gdy reszta z nas uda się na Dwór. Nie mogliśmy zabrać obu samochodów, a jego mieścił tylko pięć osób. Sonia uważała się za najmniej przydatną w tym przedsięwzięciu. Ze sporą ilością przytulania się, całowania i łez obiecała Michaiłowi, że znowu się zobaczą, gdy ten bałagan zostanie uporządkowany. Miałam nadzieję, że się nie myliła.

Mój amulet zasłoniłby moją twarz wystarczająco, by przedostać się przez bramę, jednak Jill była bardziej złożonym problemem. Jej porwanie było gorącym newsem wśród morojów i gdyby została rozpoznana przez któregokolwiek ze strażników przy bramie, zostalibyśmy natychmiast zatrzymani. Obstawialiśmy jednak, że straż będzie zbyt zmęczona by ją zauważyć – w przeciwieństwie mnie i Dymitra. To oznaczało, że zmiana wyglądu Dymitra była priorytetem – wymagającym pomocy Adriana. Adrian nie do końca był takim mistrzem iluzji jak Sonia, ale rozumiał to wystarczająco, by zmienić wygląd Dymitra w oczach innych ludzi. To było podobne do tego, jak użył ducha podczas mojej ucieczki z więzienia. Pytaniem było, czy Adrian naprawdę to dla nas zrobi. Nie powiedział ani słowa do nikogo, o tym, co zobaczył pomiędzy mną a Dymitrem, ale pozostali musieli odczuć nagły wzrost napięcia.

- Musimy pomóc Lissie – powiedziałam mu, gdy nie odpowiedział na prośbę. – Kończy się czas. Proszę, proszę pomóż nam.

Nie miałabym nic przeciwko płaszczeniu się, gdyby tego chciał. Na szczęście nie chciał. Adrian wziął głęboki wdech i na krótką chwilę zamknął oczy. Byłam pewna, że pragnął mieć coś mocniejszego niż papierosy. W końcu kiwnął głową.

– Ruszajmy.

Zostawiliśmy Sonię z kluczykami od drugiego samochodu stojącą z błyszczącymi oczami na parkingu i patrzącą jak odjeżdżamy. Dymitr, Michaił i ja większość podróży spędziliśmy na analizowaniu zebranych przez nas danych. Kobieta, którą Ian opisał nie mogła zrobić wszystkiego, co podpieliśmy pod morderstwo.

Siedziałam z tyłu z Jill i Adrianem, wychylając się do przodu i odliczając rzeczy na palcach.

– Motywy? Tak. Umiejętności? Tak. Przekupienie Joego? Tak. Dostęp do apartamentów Tatiany... – Zmarszczyłam czoło, nagle myśląc o tym, co usłyszałam podczas pobytu z Lissą. – Tak.

To zasłużyło na zaskoczone spojrzenie Dymitra.

– Naprawdę? Tego jednego kawałka nie mogłem poskładać.
– Jestem całkiem pewna, że wiem jak to zrobiła – powiedziałam. – Ale ten anonimowy list do Tatiany nie ma sensu. Nie wspominając o ukryciu rodziny Lissy, czy też próbie jej zabicia.

Albo o próbie wrobienia mnie.

– Możemy mieć do czynienia z więcej niż jedną osobą – powiedział Dymitr.
– Coś jak spisek? – zapytałam zaskoczona.

Pokręcił głową.

– Nie, chodziło mi o to, że ktoś jeszcze żywił urazę do królowej. Ale nie ktoś taki, kto posunąłby się tak daleko by ją zabić. Dwoje ludzi, dwa programy. Prawdopodobnie nawet o sobie nie wiedzący. Mieszamy dowody.

Zamilkłam zastanawiając się nad jego słowami. To miało sens. Wychwyciłam niuans, że przez *kogoś* miał na myśli Danielę. Mieliśmy rację, co do powodów, dla których nie lubiła Tatiany – treningi, dekret obniżający wiek, który nie był wystarczająco ekstremalny, popieranie ducha... Ale to nie było wystarczające, by popełnić morderstwo. Gniewny list i łapówkarstwo w ramach bezpieczeństwa syna? Tego rodzaju akcje podjęła Lady Iwaszkow, nie zakołkowanie.

W następującej po tych słowach ciszy usłyszałam przyciszone słowa pomiędzy Jill i Adrianem, którzy rozmawiali, podczas gdy reszta z nas knuła strategię.

– Co mam zrobić? – spytała go cichym głosem Jill.

Jego odpowiedź była szybka i pewna.

- Zachowuj się jakbyś zasługiwała, by tam być. Nie pozwól im się zastraszyć.
- A co z Lissą? Co ona sobie o mnie pomyśli?

Adrian zawahał się tylko na moment.

- To nie ma znaczenia. Po prostu zachowuj się jak ci powiedziałem.

Mój żołądek skurczył się, słysząc jak daje jej taką poważną, miłą radę. Rozpieszczony, próżny i nonszalancki... to był cały on, ale jego serce było dobre. Serce, które właśnie złamałam. Wiedziałam, że miałam rację co do jego potencjału. Adrian był wspaniały. Mógł dokonać wspaniałych rzeczy. Miałam tylko nadzieję, że nie zniechęciłam go. Przynajmniej nie musiałam mówić mu, że jego matka była morderczynią... ale jednak.

Wszyscy ucichliśmy, gdy dotarliśmy do bramy. Linia samochodów ciągle tam była i im bliżej byliśmy przodu, tym stawaliśmy się bardziej nerwowi. Wkradnięcie się w myśli Lissy powiedziało mi, że nie przegapiliśmy niczego na Dworze. Chaotyczna sytuacja była niemal taka sama jak przedtem, chociaż rozdrażniona mina na twarzy Nathana pozwoliła mi myśleć, że wkrótce ogłosi zakończenie posiedzenia i kontynuowanie jutro. Nie byłam pewna czy to było dobre, czy złe.

Oczywiście strażnicy rozpoznali Michaiła. Chociaż byli cały czas czujni, ich pierwotne instynkty nie podejrzewały go o nieczne czyny. Powiedział im niejasno, że został wysłany by sprowadzić pewnych ludzi. Strażnik zajrzał do samochodu przyglądając się Dymitrowi, mnie i – dzięki Bogu – Jill. Adrian jako znana postać dodał nam respektu. Po obowiązkowym sprawdzeniu bagażnika zostaliśmy przepuszczeni.

- O mój Boże. Zadziało – odetchnęłam, gdy Michaił jechał na teren parkingu strażników.
- Co teraz? – spytała Jill.
- Teraz przywrócimy linię Dragomirów i wydamy⁵⁰ mordercę – powiedziałam.
- Och, to wszystko? – sarkazm Adriana był wyraźny.
- Wiecie – zauważył Michaił – że tak szybko jak iluzja opadnie, wy dwoje zostanieie otoczeni strażnikami i z powrotem zaciągnięci do więzienia. Albo gorzej.

Dymitr i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Wiemy – powiedziałam próbując zignorować wspomnienia tego okropnego, klaustrofobicznego doświadczenia. – Ale jeśli wszystko zadziało... nie będziemy musieli długo tam zostawać. Wykorzystają to, co odkryliśmy, a potem w końcu nas uwolnią – brzmiałam bardziej optymistycznie niż się czułam.

Po zaparkowaniu skierowaliśmy się do budynku, w którym mieściła się sala balowa, a dzięki zgromadzonym wokół niego ludziom, można było go dostrzec na mile stąd. Jakie to dziwne. Nie tak dawno temu odbyłam taką samą podróż z niemal tymi samymi ludźmi, pospiesznie oddalając się z Dworu. Wtedy również byliśmy pod przykrywką ducha usiłując uciec. Teraz

⁵⁰ *call out* – wezwać, wywołać, wyzwąć... ale trochę po naszymu było bezsens, więc wybaczenie – przyp. Ginger. Ale oni wywołają wilka z lasu! - przyp. Czarna No i cóż z tego? :D Marna z tej Taszy wilczyca xD - przyp. Ginger

świadomie pakowaliśmy się w niebezpieczeństwo. Byłam przekonana, że jeśli zdołałabym pozostać niezauważona i dostarczyć swoje newsy, wszystko by się udało. Amulet Soni działał perfekcyjnie, kiedy widziałam się z alchemikami, więc nie miałam powodu by w niego wątpić, ale w głębi mojego umysłu wciąż czaił się strach: co jeśli przestanie działać? Co jeśli przebranie zawiedzie i zostanę wykryta zanim w ogóle dostanę się do budynku? Aresztowaliby mnie? Czy po prostu najpierw by strzelali?

Drzwi były zaryglowane dla widzów, ale strażnicy mieli dostęp do środka, więc Michaił po raz kolejny wkręcił nas – używając nadąsanego Adriana jako powodu. Ciężko było odmówić wnukowi zmarłej królowej i przy chaosie panującym w środku większa ilość strażników – którymi Dymitr i ja zdawaliśmy się być – była mile widziana. Adrian trzymał ramie wokół Jill, gdy wchodzili, więc strażnicy pozwolili jej przejść.

Wślizgnęliśmy się do sali balowej całkowicie niezauważeni. Widziałam kłótnię oczami Lissy, ale zobaczenie tego osobiście było zupełnie inne. Głośniejsze. Bardziej zaciekle. Wymieniłam spojrzenia z przyjaciółmi. Zebrałam siły na wielkie starcie z publicznością – cholera, to nie byłby pierwszy raz – ale to była próba nawet dla moich umiejętności.

- Potrzebujemy kogoś by zwrócił uwagę całej sali – powiedziałam. – Kogoś nie obawiającego się zrobienia widowiska... to znaczy oczywiście oprócz mnie.
- Michaił? Gdzieś ty był?

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy stojącego przed nami Abe.

- No proszę, o wilku mowa – powiedziałam. – Dokładnie to, czego potrzebujemy.

Abe spojrział na mnie marszcząc brwi. Amulety mogły zostać przejrane, gdy inni wiedzieli, że są używane. Były również mniej skuteczne, jeśli inni bardzo dobrze znali noszącą ją osobę. Tak właśnie Wiktor rozpoznał mnie w Tarasow. Sonia była zbyt silna, aby Abe w pełni się przebił przez czary, ale mógł stwierdzić, że coś było nie tak.

- Co się dzieje? – zażądał wyjaśnień.
- To co zwykle, staruszku – odpowiedziałam wesoło. – Niebezpieczeństwo, szalone plany... wiesz, rzeczy które są dziedziczne w naszej rodzinie.

Jeszcze raz zmrugał oczy, ciągle nie mogąc do końca przebić się przez amulet. Prawdopodobnie byłam niewyraźna.

- Rose? To ty? Gdzieś ty była?
- Musimy zwrócić uwagę sali – powiedziałam. Zastanawiałam się czy to było to, co się czuło, gdy rodzice nakryli swoje dzieci na złamaniu godziny policyjnej. Wyglądał bardzo dezaprobująco. – Mamy sposób by rozstrzygnąć ten cały spór.
- No cóż – zauważył oschle Adrian – mamy co najmniej sposób na rozpoczęcie nowego.
- Zaufałam ci na moim przesłuchaniu – powiedziałam do Abe. – Nie możesz zaufać mi teraz?

Mina Abe stała się cierpka.

- Najwyraźniej nie zaufałaś wystarczająco by pozostać w Zachodniej Wirginii.
- Szczegóły techniczne – powiedziałam. – Proszę. Potrzebujemy tego.
- Mamy mało czasu – dodał Dymitr.

Abe przyjrzał się i jemu.

- Niech zgadnę, Bielikow? – w głosie mojego ojca była niepewność – Adrian odwał kawał dobrej roboty utrzymując iluzję Dymitra – ale Abe był wystarczająco bystry by wydedukować kto był ze mną.
- Tato, musimy się pospieszyć. Mamy zabójcę i mamy Lissy... – Jak to wytłumaczyć? – Mamy szansę by zmienić życie Lissy.

Niewiele rzeczy było w stanie zaskoczyć Abe, ale sądzę, że użycie przeze mnie słowa "tato" to zrobiło. Skanując pokój jego oczy zatrzymały się na kimś i lekko szarpnął swoją głowę. Kilka sekund później, moja matka przeciskała się w drodze do nas. Świetnie. On wezwał, ona przyszła. Ostatnio byli strasznie przyjacielscy. Miałam nadzieję, że Lissa pozostanie jedyną osobą z niespodziewanym rodzeństwem.

- Kim są ci ludzie? – spytała moja matka.
- Zgadnij – odpowiedział stanowczo Abe. – Kto byłby wystarczająco głupi by włamać się do Dworu po tym jak z niego uciekł?

Oczy mojej matki rozszerzyły się.

- Jak..
- Nie ma czasu – powiedział Abe. Ostre spojrzenie, jakie dostał w odpowiedzi mówiło, że nie lubiła jak jej przerywano. Może po tym ostatecznie nie będzie rodzeństwa. – Mam przeczucie, że wkrótce połowa strażników w tej sali naskoczy na nas. Jesteście na to gotowi?

Moja biedna, przestrzegająca prawa matka wyglądała na strapioną zdając sobie sprawę, o co jest proszona.

- Tak.
- Ja również – dodał Michał.

Abe przyjrzał się nam wszystkim.

- Przypuszczam, że szanse mogłyby być gorsze.

Skierował się do miejsca gdzie Nathan Iwaszkow stał oparty o swoje podium. Wyglądał na znużonego i pokonanego – i doszczętnie zagubionego w tym, co zrobić z bałaganem przed nim. Na nasz widok kandydaci na monarchów spojrzeli na nas z zainteresowaniem. Wyczułam nagle szarpnięcie zaskoczenia przez wieź. Lissa mogła na wskroś widzieć przez zaklęty duchem amulet. Poczułam jak wstrzymała oddech na nasz widok. Igrał w niej strach, szok i ulga. I oczywiście zmieszanie. Była tak szczęśliwa, że nas widzi, że zupełnie zapomniała o wyborach i zaczęła wstawać jak podchodziliśmy. Krótco potrzaskałam głową

nakłaniając ją by trzymała nasze przykrywki. Po chwili wahania z powrotem usiadła. Była zmartwiona i zdziwiona – ale ufała mi.

Nathan wrócił do życia, gdy nas zobaczył - praktycznie kiedy Abe po prostu pokazał mu by zszedł mu z drogi i złapał mikrofon.

– Hej, co ty..

Spodziewałam się, że Abe krzyknie na wszystkich żeby się zamknęli albo coś w tym stylu. Oczywiście Nathan próbował tego przez jakiś czas, ale bezskutecznie. Byłam więc bardzo zaskoczona – jak wszyscy inni – kiedy Abe przyłożył palce do ust i wydał najbardziej przeszywający uszy gwizd jaki kiedykolwiek w życiu słyszałam. A gwizdanie w taki sposób przez mikrofon? Taak. Zranił moje uszy. Musiał być dużo gorszy dla morojów, a puszczenie pisku przez głośniki tylko to spotęgowało.

Sala ucichła na tyle, by można go było usłyszeć.

- Teraz, gdy już rozumiecie, żeby trzymać buzie na kłódkę – powiedział Abe – mamy... do powiedzenia kilka rzeczy. – Używał swojego pewnego siebie, "ja kontroluję świat" głosu, ale wiedziałam, że dużo tu ryzykował. – Pospieszcie się – mruknął wyciągając dla nas mikrofon. Wzięłam go i oczyściłam gardło.
- Jesteśmy tutaj by, uch, raz na zawsze zakończyć tę debatę. – To spotkało się z narzekaniem i zanim sala ponownie wybuchnęła wrzawą, przyspieszyłam z wyjaśnieniami. – Prawa mogą zostać tak jak są. Wasylisa Dragomir jest uprawniona do głosowania w Radzie i spełnia niezbędne warunki by być pełnoprawnym kandydatem do tronu. Żyje jeszcze jeden członek jej rodziny. Ona nie jest ostatnią pozostałą z Dragomirów.

Szmery i szepty wzbily się w powietrze, chociaż to nie było podobne do wcześniejszego rumoru – głównie dlatego, że moroje kochali intrygi i musieli wiedzieć jak to się rozegra. Na obrzeżach pola widzenia mogłam dostrzec jak strażnicy tworzą wokół nas bardzo luźną formację. Skupiali się na bezpieczeństwie, nie na skandalu.

Skinęłam ręką na Jill, by wyszła do przodu. Przez moment zamarła. I wówczas zaczęłam się zastanawiać, czy przypomniała sobie słowa Adriana w samochodzie. Stała obok mnie tak blada, że martwiłam się, że za chwilę może zemdleć. Niemal czułam się jakbym sama miała to zrobić. Napięcie i presja były przytłaczające. Nie. Zaszłam zbyt daleko.

- To jest Jillian Mastrano Dragomir. Jest *nieślubną* córką Erica Dragomira – ale jest jego córką i oficjalnie częścią linii Dragomirów. – Nie cierpiałam używać słowa "nieślubne", ale w tym przypadku było to konieczne.

W ciągu jednego uderzenia serca nastąpiła cisza. Jill pośpiesznie przechyliła się do mnie i mikrofonu.

- *Jestem Dragomirówną* – powiedziała wyraźnie pomimo trzęsących się rąk. – Nasza rodzina ma kworum, a moja siostra wszelkie swoje prawa.

Mogłam zobaczyć jak narasta kolejna eksplozja. Abe wyrwał się pomiędzy Jill i mnie zabierając mikrofon.

- Analiza DNA rozwieje wszelkie wątpliwości niedowiarków co do jej rodowodu.

Musiałam okazać uznanie śmiałości Abe. Poznał te informacje zaledwie sześćdziesiąt sekund temu, a już popierał je z całym przekonaniem, jakby sam wykonał niezbędne testy w swoim domowym laboratorium genetycznym. Więcej wiary – i przewagi, której nie mógł zmarnować. Mój staruszek kochał sekrety.

Wiadomości wywołały reakcję, jakiej się spodziewałam. Gdy tylko widownia przetworzyła informacje, rozpoczęła się lawina wykrzykiwanych komentarzy.

- Eric Dragomir nie miał żadnych więcej dzieci, nieślubnych czy nie!
- To jest oszustwo!
- Pokażcie nam dowód! Gdzie są wasze testy?
- Cóż... był rodzajem flirciarza...
- Eric *miał* jeszcze jedną córkę.

To ostatnie zamknęło tłum, zarówno dlatego, że było powiedziane władczo, jak i dlatego, że pochodziło od Daniela Iwaszkow, która wstała. Mimo braku mikrofonu posiadała głos, który był słyszalny w całej sali. Była również wystarczająco ważną osobistością w naszym społeczeństwie by przyciągnąć uwagę. Wielu spośród arystokratów miało praktycznie wyrobiony odruch wysłuchania jej. W cichej już sali, Daniela kontynuowała.

- Eric Dragomir miał nieślubną córkę z kobietą o imieniu Emily Mastrano – tancerką, o ile dobrze pamiętam. Chciał utrzymać to w tajemnicy i musiał podjąć pewne kroki, których nie mógł sam podjąć, by tak pozostało. Byłam jedną z niewielu osób, które mu w tym pomogły. – Na jej ustach pojawił się nietypowo gorzki uśmiech. – Ale szczerze mówiąc, ja też nie miałam nic przeciwko temu, aby to pozostało sekretem.

Kawałki ułożyły się na swoim miejscu w mojej głowie. Wiedziałam, kto się włamał do akt alchemików. I dlaczego. Przy ciszy wypełniającej salę, ja również nie potrzebowałam mikrofonu by odpowiedzieć.

- Wystarczająco by się upewnić, że znikną pewne papiery.

Daniela skierowała swój uśmiech do mnie.

- Tak.
- Bo jeśli linia Dragomirów by przygasła, to duch też. I Adrian byłby bezpieczny. Duch przyciągał zbyt wiele uwagi w zbyt szybkim czasie, dlatego musiałaś pozbyć się jakichkolwiek dowodów o istnieniu Jill, by zabić roszczenia Wasylisy. – Mina Daniela potwierdziła to aż za bardzo. Powinnam zostawić te sprawę jak była, ale moja ciekawość nie pozwoliła na to. – Dlaczego więc teraz to przyznajesz?

Daniela wzruszyła ramionami.

- Bo macie rację. Jeden test DNA pokazałby prawdę.

Rozległy się sapaniecia zrozumienia sytuacji wśród tych, którzy traktowali jej słowo jak biblię i zastanawiali się teraz, co to oznaczało. Inni ludzie nie przyjmowali tego do wiadomości, przybierając wyrazy twarzy pełne pogardy. Daniela niewątpliwie była rozczarowana, że prawda wyszła na jaw, ale mimo to wydawała się zrezygnowana i gotowa to zaakceptować. Jednak gdy przyjrzała mi się bliżej, jej uśmiech szybko opadł.

- To, co chciałabym wiedzieć, to kim *ty* do licha jesteś?

Spora część publiczności wydawała się również chcieć to wiedzieć. Zawahałam się. Maskujący amulet Soni zaprowadził mnie całkiem daleko w tej sprawie. Uzyskaliśmy wątplą akceptację, że Jill jest częścią linii Dragomirów. Gdybyśmy pozwolili, by system biegł według swojego schematu i Lissa wygrałaby jak chciałam – miałabym do pomocy w oczyszczeniu siebie królewskiego adwokata.

Ale patrząc na tłum pełen ludzi – których znałam i szanowałam, i którzy wciąż bez wahania mnie potępiali – poczułam jak wybucha we mnie gniew. Nie miało znaczenia, czy wywołał go duch czy nie. Ciągle byłam oburzona tym, jak łatwo zostałam oskarżona i odrzucona w kącie. Nie chciałam z tym czekać, aż zostanę umieszczona w jakimś cichym biurze strażników. Chciałam stawić im czoła. Chciałam by wiedzieli, że jestem niewinna – przynajmniej co do zabójstwa królowej.

Zatem, pobijając swoje własne rekordy odnośnie pakowania się w niebezpieczeństwo i lekkomyślnego zachowania, zerwałam bransoletkę Soni.

- Jestem Rose Hathaway.

Tłumaczenie: Ginger_90

Korekta: Qbac, Justa2705

Rozdział trzydziesty trzeci

PLACZ I KRZYKI POCHODZĄCE z widowni powiedziały mi, że moje przebranie zniknęło.

Ponadto wiele par oczu powędrowało do Dymitra. Adrian również zrzucił to złudzenie, gdy tylko moje zniknęło. I tak jak się spodziewaliśmy, strażnicy, którzy stopniowo zajmowali wokół nas swoje pozycje, ruszyli do przodu uzbrojeni w pistolety. Nadal uważałam, że to nie było uczciwe.

Na szczęście moja matka i Michaił przesunęli się na swoje miejsca blokując naszych napastników i powstrzymując jakiegokolwiek strzały.

- Nie – rzuciłam ostro do Dymitra, który jak wiedziałam prawdopodobnie miał zamiar dołączyć do naszej dwójki obrońców. Istotne było to, byśmy oboje stali perfekcyjnie spokojnie, żeby nie postrzegali nas jako zagrożenia. Posunęłam się nawet do uniesienia rąk. Dymitr również to zrobił, choć podejrzewałam, że niechętnie. – Zaczekajcie. Proszę, najpierw nas wysłuchajcie.

Krąg otaczających nas strażników był ciasny, bez luk. Byłam całkiem pewna, że moja mama i Michaił byli jedyną rzeczą, która powstrzymywała ich przed natychmiastowym zastrzeleniem nas. Strażnicy zawsze unikali walki z innymi strażnikami, jeśli to było możliwe. Jednakże dwoje przeciwników łatwo było zdjąć, a ci strażnicy nie będą czekali w nieskończoność. Jill i Abe niespodziewanie przesunęli się do przodu, zajmując pozycje obok nas. Więcej tarcz. Dostrzegłam grymas na twarzy jednego ze zbliżających się strażników. Cywile komplikowali sprawy. Adrian się nie ruszył, ale fakt, że był w środku kręgu, czynił go jedną z przeszkód.

- Wywleczcie nas stąd później, jeśli chcecie – powiedziałam. – Nie będziemy stawiać oporu. Ale najpierw musicie nas wysłuchać. Wiemy, kto zabił królową.
- My też – powiedział jeden ze strażników. – A teraz niech reszta... cofnie się, zanim ktoś zostanie ranny. Oni są niebezpiecznymi zbiegami.
- Dajcie im mówić – powiedział Abe. – Mają dowody.

Ponownie pchnął sprawę do przodu, z przekonaniem podejmując działania odnośnie sprawy, o której nie miał pojęcia. Pokładał we mnie całkowitą wiarę. Zaczynałam go lubić. To było poniekąd nie fair, że nasze dowody nie były na sto procent tak solidne jak miałam nadzieję, ale jak już mówiłam wcześniej... szczegóły techniczne.

- Pozwólcie im mówić.

To był nowy głos, ale znałam go na pamięć. Lissa przeciskała się przez dwóch strażników, którzy utrzymali swoją szczelną pozycję. Najbardziej bali się byśmy nie uciekli. To pozwoliło jej prześlizgnąć się – ale tylko po to, by jeden z nich złapał ją za ramię i powstrzymał przed zbliżeniem się do nas.

- Zaszli tak daleko. Mieli rację co do... Jill. – Rany, *nie* było jej łatwo powiedzieć to z kamienną twarzą, gdyż nie pogodziła się całkowicie z tą kwestią. Moja bliska śmierć praw-

dopodobnie była jedyną rzeczą, która odwróciła jej uwagę od roztrzaskującej świat informacji, iż ma potencjalną siostrę. Ona również pokładała w to wiele wiary, przekonana, że mówię prawdę. – Macie ich. Nigdzie nie pójdą. Po prostu pozwólcie im mówić. Ja również mam dowód wspierający ich sprawę.

- Wstrzymałamby się z podzieleniem tym, Liss – powiedziałam cicho. Lissa ciągle wierzyła, że to Daniela była morderczynią. Nie spodoba się jej usłyszenie prawdy.

Lissa rzuciła mi zmieszane spojrzenie, ale nie zaprotestowała.

- Zatem posłuchajmy co mają do powiedzenia – powiedział jeden ze strażników – i wcale nie byle jaki: Hans. – Po tak spektakularnej ucieczce, naprawdę chciałbym wiedzieć, co sprowadziło ich z powrotem.

Hans nam pomagał?

- Ale – kontynuował – jestem pewien, że wy dwoje rozumiecie, że będziecie musieli zostać poskromieni, zanim ujawnicie swoje wielkie rewelacje.

Spojrzałam na Dymitra, który już był do mnie odwrócony. Oboje wiedzieliśmy w co się pakujemy, i szczerze, to był lepszy scenariusz niż przewidziałam.

- Dobrze – powiedział Dymitr i rzucił okiem na naszych szlachetnych obrońców. – W porządku. Pozwólcie im przejść.

Moja mama i pozostali nie ruszyli się od razu.

- Zróbcie to – powiedziałam. – Nie kończcie jako nasi współwięźniowie.

Z całą pewnością myślałam, że ci kochani głupcy mnie nie posłuchają, ale pierwszy cofnął się Michaił, a po nim reszta, praktycznie w tym samym czasie. Strażnicy w mgnieniu oka złapali ich wszystkich i odciągnęli dalej. Dymitr i ja staliśmy nieruchomo. Do przodu wyszło czworo strażników, po dwóch do każdego z nas. Adrian wycofał się z innymi, jednak Lissa w dalszym ciągu stała kilka kroków od nas, w pełni we mnie wierząc.

- Pospieszcie się z tym – powiedział Hans mocno chwytając moje prawe ramię.

Napotkałam wzrok Lissy, nienawidząc tego, co musiałam powiedzieć. Ale nie, to nie ona była osobą, którą obawiałam się najmocniej zranić. Patrząc na widownię odnalazłam Christiana, który – co zrozumiałe – oglądał ten dramat z zachłanną uwagą. Musiałam odwrócić wzrok i wpatrzeć się w cały tłum, unikając widzenia pojedynczych twarzy. Tylko plamę.

- Nie zabiłam Tatiany Iwaszkow – powiedziałam. Kilkoro ludzi mruknęło z powątpiewaniem. – Nie lubiłam jej, ale jej nie zabiłam. – Spojrzałam na Hansa. – Przesłuchiwałeś dozorcę, który zeznał, gdzie byłam podczas morderstwa, prawda? I zidentyfikował mężczyznę, który zaatakował Lisę, jako tego, który przekupił go, by skłamał gdzie byłam?

Dowiedziałam się od Michaiła, że Joe ostatecznie przyznał się, iż wziął pieniądze od tajemniczego moroja, gdy strażnicy męczyli go jego zdjęciem.

Hans zmarszczył brwi wahając się, po czym skinął głową bym kontynuowała.

- Nie ma żadnych akt dotyczących jego istnienia, a przynajmniej nie u strażników. Ale alchemicy wiedzą, kim jest. Widzieli go w jednej ze swoich placówek, jak pełnił rolę czyjeś ochroniarza. – Moje oczy spoczęły na Ethanie Moore, który stał ze strażnikami blisko drzwi. – Ochroniarza kogoś, kto został wpuszczony by zobaczyć się z Tatianą w noc, kiedy zginęła: Taszy Ozery.

Tym razem nie było żadnej potrzeby wznoszenia wrzawy przez tłum, gdyż Tasza Ozera została bardziej niż zmuszona sama ją wywołać. Siedziała obok Christiana, zrywając się ze swojego krzesła.

- Co ty do licha opowiadasz, Rose? – wykrzyknęła. – Postradałaś rozum?

Kiedy stałam tam wyzywająco, gotowa stawić czoło tłumowi i domagać się sprawiedliwości, byłam przepełniona triumfem i siłą. Teraz... teraz byłam po prostu smutna gdy patrzyłam na kogoś, komu zawsze ufałam, kogoś kto patrzył na mnie z ogromnym szokiem i krzywdą.

- Chciałabym... ale to prawda. Obie to wiemy. Ty zabiłaś Tatianę.

Niedowierzanie Taszy wzrosło, zabarwione teraz odrobiną gniewu, choć ciągle wydawała się udawać niewinną.

- Nigdy, *przenigdy* nie wierzyłam, że zabiłaś Tatianę i walczyłam by tego dowieść. Dlaczego to robisz? Dlaczego wykorzystujesz piętno strzyg odcisnięte na naszej rodzinie? Myślałam, że jesteś ponad tym uprzedzeniem.

Przełknęłam ślinę. Sądziłam, że zdobycie dowodów będzie trudną częścią. Okazało się, że w porównaniu do ujawnienia ich, było niczym.

- To co mówię, nie ma nic wspólnego ze strzygami. Niemal pragnę by miało. Nienawidziłaś Tatiany z powodu dekretu obniżającego wiek i odmowy pozwolenia morojom walczyć.

Wróciło do mnie inne wspomnienie, gdy Tasza dowiedziała się o sekretnych sesjach treningowych. Tasza była przerażona, co, jak teraz podejrzewałam, mogło być poczuciem winy z powodu złego osądzenia królowej.

Tłum był znokautowany i oszołomiony, ale jedna osoba wróciła do życia: Ozera, którego nie znałam, ale który najwyraźniej miał poczucie rodzinnej solidarności. Wstał, wyzywająco krzyżując ramiona na piersi.

- Połowa Dworu nienawidziła Tatianę za to prawo. Łącznie z tobą.
- Ja nie zmusiłam swojego ochroniarza do przekupienia świadka, ani zaatakowania Lis—księżniczki Dragomir. I nie udawaj, że nie znałaś tego faceta – ostrzegłam ją. – Był twoim ochroniarzem. Widziano was razem.

Opis Iana, gdy widział ją w Santa Louis był zupełnie jasny: długie, czarne włosy, jasnoniebieskie oczy i blizna po jednej stronie twarzy.

- Rose, nie mogę uwierzyć, że to się dzieje, ale jeśli James – bo tak się nazywał – zrobił cokolwiek z tego, o czym mówisz, to działał sam. Zawsze miał radykalne poglądy. Wiedziałam o tym, kiedy zatrudniłam go jako zewnętrzną ochronę, ale nigdy nie podejrzewałam, że jest zdolny do morderstwa. – Rozejrzała się wokół, oczekując czyjś oskarżenia i w końcu zatrzymując się na Radzie. – Zawsze wierzyłam, że Rose była niewinna. Jeśli James jest za to odpowiedzialny, to będę bardziej niż szczęśliwa mówiąc wam wszystko, co wiem, by oczyścić imię Rose.

To takie proste. Tajemniczy moroj – James – był niemal wszędzie tam, gdzie Tasza. Był również widziany przy budzących podejrzenia sytuacjach, w których nie odnotowano jej obecności – jak przekupienie Joego i atak na Lissę. Mogłam ocalić Taszę i całą winę zwalić na niego. On już nie żył. Tasza i ja mogłyśmy zostać przyjaciółkami. Dawała mi to do zrozumienia swoim zachowaniem, nieprawdaż? Co było w tym złego?

Christian stanął obok niej, patrząc na mnie, jakbym była obcym.

- Rose, jak możesz rzucać którekolwiek z tych oskarżeń? *Znasz ją*. Wiesz, że nie mogłaby tego zrobić. Przestań robić scenę i pozwól nam dowiedzieć się, w jaki sposób ten facet James zabił królową.

To takie proste. Obwinić martwego człowieka.

- James nie mógłby zakołkować Tatiany – powiedziałam. – Miał chorą rękę. Zakołkowanie kogoś przez moroja wymaga użycia obu rąk. Dwa razy widziałam jak do tego dochodziło. I założę się, że możesz dostać szczerą odpowiedź od Ethana Moore...

Rzuciłam okiem na strażnika, który zbladł. Przypuszczalnie bez wahania mógł rozpocząć walkę i zabić. Ale tego rodzaju lustracja? I ewentualne przesłuchanie przez kolegów? Nie sądziłam by to wytrzymał. To był prawdopodobnie powód, dla którego Tasza była zdolna nim manipulować.

- Jamesa nie było tam w noc śmierci Tatiany, prawda? I nie sądzę, by Daniela Iwaszkow również tam była, pomimo tego, co wcześniej powiedziano księżniczce Dragomir. Jednak Tasza była. Była w apartamentach królowej, a ty tego nie zgłosiłaś.

Ethan wyglądał jakby chciał czmychnąć, ale jego szanse na ucieczkę były tak samo dobre jak moje i Dymitra. Powoli pokręcił głową.

- Tasza nie mogłaby nikogo zabić.

To niezupełnie było potwierdzenie jej obecności, jak chciałam – ale blisko. Strażnicy później mogli z niego więcej wyciągnąć.

- Rose! – Christian był teraz wkurzony. Widzenie jak patrzy na mnie z takim gniewem, bolało jeszcze bardziej, niż wyraz twarzy Taszy. – Przestań!

Lissa zrobiła kilka niepewnych kroków w przód. Mogłam wyczuć w jej głowie, że ona również nie chciała uwierzyć w to, co mówiłam... jednak w dalszym ciągu mi ufała. Przyszło jej na myśl kontrowersyjne rozwiązanie.

- Wiem, że to złe, ale jeśli użyjemy kompulsji na podejrzanych..
- Nawet tego nie sugeruj! – wykrzyknęła Tasza, zwracając swój ostry wzrok ku Lissie. – Trzymaj się od tego z daleka. Twoja przyszłość wisi na włosku. Przyszłość, która może uczynić cię wielką i osiągnąć rzeczy, których potrzebuje nasz naród.
- Przyszłość, którą możesz manipulować – uświadomiłam sobie. – Lissa uwierzyła w większość twoich reform... a ty sądziłaś, że możesz przekonać ją do tych, których nie popierała. Zwłaszcza, że jest z twoim bratankiem. To dlatego tak twardo walczyłaś, by zmienić prawo kworum. Chciałaś żeby była królową.

Christian zaczął podchodzić do przodu, ale Tasza powstrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu. Nie zatrzymało to go jednak przed mówieniem.

- To idiotyczne. Skoro chciała by Lissa była królową, dlaczego kazała Jamesowi ją zaatakować?

Dla mnie to też było zagadką, jedna z tych, których nie całkiem rozwiązałam. Ale Dymitr rozwiązał. Świadomy obecności swoich dwóch strażników, przysunął się bliżej mnie.

- Ponieważ nikt nie miał umrzeć – niski, dźwięczny głos Dymitra wspaniale brzmiał w akustycznej przestrzeni. Nie potrzebował mikrofonu, kierując swoje słowa ku Taszy. – Nie spodziewałaś się, że będzie z nią strażnik. – Zdałam sobie sprawę, że miał rację. Tej nocy Eddie został oddelegowany w dziwnych okolicznościach i ledwo zdążył wyrobić się w czasie, by zobaczyć Ambrosego z Lissą. – James prawdopodobnie miał upozorować atak i uciec... to miało wystarczyć by stworzyć współczucie i więcej wsparcia Wasylisie. Co z pewnością zadziałało – tylko trochę bardziej drastycznie.

Oburzenie na twarzy Taszy przekształciło się w coś, czego nie można było od razu ocenić. Wydawała się obrażona zarzutami wychodzącymi ode mnie, ale od Dymitra – to było coś więcej. Wyglądała na dalece zranioną. Rozbitą. Znałam tę minę. Kilka godzin temu widziałam ją na twarzy Adriana.

- Dimka, tylko nie ty – powiedziała.⁵¹

Oczami Lissy widziałam, jak zmieniają się kolory w aurze Taszy, świecąc nieco jaśniej, gdy patrzyła na Dymitra. Mogłam zobaczyć dokładnie to, o czym mówiła mi Sonia, że aury pokazywały uczucia.

- To dlatego zostałam wrobiona – mruknęłam cicho. Nie słyszał mnie nikt prócz Dymitra i strażników.
- Hmm? – spytał Dymitr.

Pokręciłam tylko głową. Przez cały ten czas, Tasza ciągle kochała Dymitra. Wiedziałam, że kochała go w zeszłym roku, kiedy złożyła mu ofertę związania się z nią i posiadania dzieci – co nie często mieli okazję dostać dampirzy mężczyźni. Dymitr odmówił i sądziłam, że po prostu zaakceptowała ich przyjacielskie relacje. Ale tak nie było. Ciągle go kochała. Kiedy Lissa

⁵¹ "Dimka, i ty Brutusie przeciwko mnie?" – przyp. Czarna xD W tle słychać odgłosy walenia wałkiem po głowie – „Nauczysz się szanować swoje kochanki, ty obłeśny, zarośnięty gachu!” – krzyknęła Kazimiera Szczuka i wraz z tłumem ruszyła szturmem na biednego Dymitra, który mruknął: „Co mi zrobisz jak mnie złapiesz?” I uciekł tam gdzie pieprz rośnie xD – przyp. Ginger

ujawniła moje stosunki z Dymitrem Hansowi, Tasza już o nich wiedziała. Ale jak długo? Nie byłam pewna. Najwyraźniej wiedziała o naszym związku przed zabiciem Tatiany. Zwalenie morderstwa na mnie, pozostawiało Taszę czystą i wolną, *oraz* dawało jej wolną drogę do Dymitra.

Nie było sensu poruszać osobistych powodów, dla których obarczyła mnie winą. Istotną kwestią leżącą na wokandzie było morderstwo Tatiany. Spojrzałam na Hansa.

- Możesz mnie aresztować, naprawdę. Ale nie sądzisz, że masz wystarczająco, by wziąć również ją i Ethana?

Nie dało się odczytać twarzy Hansa. Jego uczucia względem mnie zawsze latały tam i z powrotem, począwszy od dnia w którym się poznaliśmy. Czasami byłam sprawczynią kłopotów, która nie miała przyszłości. Innym razem miałam potencjał by być liderem. Wierzył, że jestem mordercą, a jednak mimo to pozwolił mi przemówić do tłumu. Tak naprawdę nie lubił także moich przyjaciół. Co teraz zrobi?

Przeniósł swoje oczy z mojej twarzy, patrząc na kilku strażników stojących wśród publiczności, gotowych do wszelkich działań. Szorstko kiwnął głową.

- Zabierzcie Lady Ozerę i Moore'a. Przesłuchamy ich.

Zważywszy na to, że Tasza siedziała pośród innych ludzi, wśród tłumu pojawiło się trochę strachu i paniki, gdy podeszło do niej czworo strażników. Unikali zranienia innych członków publiczności najbardziej jak się dało, jednak w dalszym ciągu nie obyło się bez sporej ilości przepychania i szturchania. Tym, co spotkało się z zupełnym zaskoczeniem było to, jak gwałtownie Tasza odpowiedziała na atak. Przypomniałam sobie, że była wytrenowana. Nie w taki sam sposób jak strażnicy, ale wystarczająco by sprawić im kłopoty w dostaniu jej. Umiała kopać i zadawać ciosy – i zakołkować królową – a nawet zdołała zdjąć jednego strażnika.

Zdałam sobie sprawę, że faktycznie może być w stanie spróbować wywalczyć swoją drogę z Sali, chociaż nie wierzyłam by mogła to zrobić w tej chwili. Panował straszny tłok i bałagan. Strażnicy zmierzali w kierunku miejsca walki, a przerażeni moroje próbowali *stamtąd* uciec. Wszyscy wydawali się wchodzić sobie w drogę. Nagle przez salę rozbrzmiał echem głośny *trzask*. Wystrzał. Większość morojów padła na ziemię, ale strażnicy nie przestawali napływać. Trzymając pistolet, który musiała zabrać od strażnika, którego wyeliminowała, Tasza wolną ręką złapała pierwszego moroja, jakiego zdołała dosięgnąć. Jak mi dopomóż, to była Mia Rinaldi, która siedziała obok Christiana. Nie sądzę, by Tasza w ogóle zauważyła, kogo wybrała na zakładnika.

- Nie ruszać się! – krzyknęła na wkraczających do akcji strażników, z bronią przy głowie Mii.

Poczułam jak moje serce się zatrzymało. Jak to się stało, że rzeczy osiągnęły taki punkt? Nigdy bym tego nie przewidziała. Moim zadaniem było się oczyścić, wydać Taszę i zamknąć ją w więzieniu. Zrobione.

Strażnicy zamarli, ale w mniejszym stopniu z powodu jej polecenia, a bardziej dlatego, że oceniali jak mają poradzić sobie z bezpośrednim zagrożeniem.

W międzyczasie, Tasza zaczęła wolno, bardzo wolno przemieszczać się w kierunku wyjścia, ciągnąc ze sobą Mię. Dzięki wszystkim krzesłom i ludziom stojącym jej na drodze, posuwała się powoli i nieporadnie. Opóźnienie dało strażnikom czas na rozwiązanie tego paskudnego dylematu. *Oni są ważniejsi*. Życie Mii – życie moroja – wisiało na włosku. Strażnicy nie chcieli by Mia zginęła, ale nie mogli też puścić wolno grożącego bronią i doświadczonego w walce wojowniczego moroja.

Rzecz w tym, że Tasza nie była jedynym doświadczonym w walce morojem na tej sali. Prawdopodobnie wzięła najgorszego z możliwych zakładników, gdyż po błysku w oku Mii mogłam powiedzieć, że nie zamierzała spokojnie z nią iść. Lissa również to sobie uświadomiła. Albo jedna albo obie zostaną zabite, a Lissa nie mogła na to pozwolić. Gdyby mogła sprawić, by Tasza na nią spojrzała, mogłaby zmusić ją do uległości.

Nie, nie, nie, pomyślałam. Nie potrzebowałam, by pakował się w to jeszcze jeden przyjaciel.

Obie z Lissą widziałyśmy jak Mia pręży się, by wyrwać się z uścisku Taszy. Lissa zdała sobie sprawę, że musi działać natychmiast. Mogłam to wyczuć przez więź. Mogłam wyczuć jej myśli, decyzję, nawet sposób, w jaki mięśnie i nerwy w jej ciele ruszyły do przodu by przykuć uwagę Taszy. Czułam to tak wyraźnie, jakbyśmy dzieliły jedno ciało. Wiedziałam, gdzie Lissa się przesunie, zanim to w ogóle zrobiła.

– Taszo, proszę nie...

Lissa rzuciła się do przodu, lecz jej melancholijny krzyk zamarł, gdy Mia kopnęła znajdującą się za nią Taszę, wyrwijąc się jej i zsuwając w dół, z dala od zasięgu broni. Zaskoczona Tasza musząc działać na dwa fronty, nadal trzymała wycelowaną broń. Z Mią poza zasięgiem jej uchwytu i wszystkim dziejącym się tak szybko, Tasza szaleńczo wystrzeliła kilka razy w pierwsze zbliżające się do niej zagrożenie, którym nie byli nadchodzący z niesamowitą szybkością strażnicy. Była nią szczupła postać w bieli, która do niej krzyczała.

Albo równie dobrze byłaby. Jak już mówiłam, wiedziałam dokładnie gdzie Lissa stanie i co zrobi, i w przeciągu tych kilku cennych sekund zanim zdołała zadziałać, wyrwałam się swoim wartownikom i zasłoniłam sobą Lissę. Ktoś ruszył po mnie, ale było już za późno. W tym momencie wypaliła broń Taszy. Poczułam uderzenie i pieczenie w klatce piersiowej, a potem nie było nic prócz bólu – bólu tak absolutnego i intensywnego, że był prawie nie do zniesienia.

Czułam jak upadam, jak Lissa mnie łapie i coś krzyczy – może do mnie, a może do kogoś innego. W sali nastąpiło takie zamieszanie, że nie wiedziałam, co się stało z Taszą. Byłam tylko ja i ból, który mój umysł próbował zablokować. Świat wydawał się stawać coraz bardziej cichy. Zobaczyłam patrzącą na mnie Lissę, krzyczącą coś, czego nie mogłam usłyszeć. Była piękna. Wspaniała. Otoczona światłem... ale wokół niej zagęstniała się ciemność. A w tej ciemności widziałam twarze... duchy i dusze, które zawsze za mną podążały. Stawały się wyraźniejsze, coraz bliższe, przyzywające.

Pistolet. Zostałam zdjęta przez pistolet. To było praktycznie komiczne. *Zdradzieckie*, pomyślałam. Całe życie skupiałam się na walce wręcz, ucząc się uchylać przed kłami i silnymi dłońmi mogącymi złamać mi kark. Ale pistolet? To było takie... no cóż, łatwe. Powinnam się czuć znieważona? Nie miałam pojęcia. Czy to miało znaczenie? Tego też nie wiedziałam. Wszystko, co wiedziałam w tym momencie to było to, że niezależnie od tego umierałam.

Moje pole widzenia zaczynało być niewyraźne, otoczone przez ciemność i duchy, i przysięgam, że czułam się jakbym mogła usłyszeć, jak Robert szepcze mi do ucha: *Świat zmarłych nie da ci drugiej szansy.*

Tuż zanim światło całkowicie zniknęło, zobaczyłam twarz Dymitra dołączającą do Lissy. Chciałam się uśmiechnąć. Zdecydowałam wówczas, że skoro dwoje ludzi, których kochałam najbardziej, było bezpiecznych, to mogłam opuścić ten świat. Śmierć mogła mnie w końcu dostać. Spełniłam swój cel, prawda? Ocaliłam ją. Zrobiłam to. Ochroniłam Lissę tak jak przysięgałam, że zawsze będę to robiła. Poległam na polu walki. Żadnego wyznaczania terminu mojej śmierci.

Twarz Lissy błyszczała od łez. Miałam nadzieję, że moja przekazuje jak bardzo ją kochałam. Z ostatnią iskierką życia, która mi została, próbowałam przemówić i dać Dymitrowi znać, że jego również kochałam, i że teraz to on musi ją chronić. Nie sądzę by zrozumiał. Słowa strażniczkiej mantry były moją ostatnią świadomą myślą.

Oni są ważniejsi.

Tłumaczenie: Ginger_90

Korekta: Qbac, Justa2705

Rozdział trzydziesty czwarty

NIE OBUDZIŁAM SIĘ W świecie zmarłych.

Nie obudziłam się nawet w szpitalu, albo innego typu centrum medycznym – gdzie, wierzcie mi, znajdowałam się wiele razy. Nie, obudziłam się w luksusie – w wielkiej sypialni ze złocnymi meblami. Niebo? Raczej nie, zważając na moje zachowanie. Moje łóżko z baldachimem miało czerwono–złote aksamitne poszycie, które było wystarczająco grube, by samo mogło robić za materac. Świece migotały na stoliku przy odległej ścianie, wypełniając pokój aromatem jaśminu. Nie miałam pojęcia, gdzie byłam ani jak się tu dostałam, ale gdy mój umysł nawiedziły ostatnie wspomnienia bólu i ciemności, zdecydowałam, że fakt, iż rzeczywiście oddycham był wystarczająco dobry.

– Obudziła się Śpiąca Królowna.

Ten głos... ten cudowny, kochany głos z miękkim akcentem sprawił, że doszła do mnie niemożliwa do uwierzenia prawda i jej pełen sens: żyłam. Byłam żywa. I był tutaj Dymitr.

Nie mogłam go zobaczyć, ale poczułam jak na moje usta wkrada się uśmiech.

– Jesteś moją pielęgniarką?

Usłyszałam jak wstaje z krzesła i podchodzi. Widzenie jak stoi tak nade mną, przypomniało mi jak naprawdę był wysoki. Spojrzał na mnie w dół z tym uśmiechem – jednym z tych jego pełnych i rzadkich uśmiechów. Doprowadził się do porządku od czasu, gdy ostatni raz go widziałam, jego brązowe włosy były schludnie związane z tyłu szyi, chociaż nie golił się od kilku dni. Próbowałam usiąść, ale powstrzymał mnie.

– Nie, nie, musisz leżeć.

Ból w klatce piersiowej powiedział mi, że miał rację. Mój umysł może i był obudzony, ale reszta mnie była wykończona. Nie miałam pojęcia jak dużo czasu minęło, ale coś mi mówiło, że moje ciało walczyło w bitwie – nie ze strzygami ani niczym podobnym, ale z samym sobą. W bitwie o życie.

– To podejdź bliżej – powiedziałam do niego. – Chcę cię widzieć.

Myślał nad tym przez chwilę, po czym zrzucił buty. Przekręcając się na bok – przez co skrzywiłam się z bólu – zdołałam zrobić trochę miejsca przy brzegu łóżka. Położył się przy mnie. Nasze twarze leżały na tej samej poduszce, zaledwie kilka centymetrów od siebie, gdy patrzyliśmy na siebie nawzajem.

– Tak lepiej? – zapytał.

– O wiele.

Wyciągnął swoje długie, zgrabne palce odgarniając włosy z mojej twarzy, zanim dotknął krawędzi mojej kości policzkowej.

- Jak się czujesz?
- Jestem głodna.

Zaśmiał się łagodnie i ostrożnie zjechał dłonią w dół, by spoczęła na dolnej części moich pleców, jakby w pół-uścisku.

- Oczywiście, że jesteś. Sądzę, że do tej pory zdołali karmić cię tylko bulionem. No i płynami dożylnymi podawanymi od początku. Prawdopodobnie masz niski poziom cukru.

Skuliłam się. Nie lubiłam igieł ani rurek. Cieszyłam się, że nie byłam przytomna, by je widzieć. (Igły od tatuażu były inną sprawą.)

- Jak długo byłam nieprzytomna?
- Kilka dni.
- Kilka dni... – Zadrżałam, podciągając wyżej nakrycia sadząc, że jestem zmarznięta. – Nie powinnam być żywa – szepnęłam. Postrzały takie jak te... były zbyt szybkie, zbyt bliskie mojego serca. Albo może i w nie trafiły? Położyłam rękę na swojej piersi. Nie wiedziałam gdzie dokładnie zostałam postrzelona. Bolała mnie cała klatka. – O Boże. Lissa mnie uzdrowiła, prawda? – To wymagałoby wykorzystania bardzo dużej ilości ducha. Nie powinna była tego robić. Nie mogłaby sobie na to pozwolić. Tyle że... dlaczego wciąż odczuwałam ból? Jeśli by mnie wyleczyła to zniknąłby.
- Nie, nie uzdrowiła cię.
- Nie? – zmarszczyłam brwi niezdolna do przyjęcia tego do wiadomości. Jak inaczej mogłabym przeżyć? Na myśl przyszła mi zaskakująca odpowiedź. – Zatem... Adrian? On nigdy by... po tym jak go potraktowałam... nie. Nie mógłby...
- Sądysz, że pozwoliby ci umrzeć?

Nie odpowiedziałam. Być może kule dawno zostały wyjęte, ale myślenie o Adrianie dalej sprawiało mojemu sercu ból – w przenośni.

- Bez względu na to, co czuł... – Dymitr się zawahał. Mimo wszystko to był delikatny temat. – Nie pozwoliby ci umrzeć. Chciał cię uzdrowić, ale on też tego nie zrobił.

Czułam się okropnie, że miałam o Adrianie takie niskie mniemanie. Dymitr miał rację. Adrian nigdy nie zostawiłby mnie w potrzebie przez złośliwość, ale szybko kończyły mi się opcje w tym temacie.

- Więc kto? Sonia?
- Nikt – powiedział po prostu. – No cóż, sądzą, że ty sama.
- Ja... co?
- Ludzie zawsze potrafili się leczyć bez udziału magii, Rose – w jego głosie było rozbawienie, chociaż jego twarz pozostała rzeczowa. – Twoje rany... były poważne. Nikt nie sądził, że przeżyjesz. Przeszłaś operacje a potem wszyscy po prostu czekaliśmy.
- Ale dlaczego... – czułam się bardzo butna, zadając następne pytanie – Dlaczego ani Adrian, ani Lissa mnie *nie* uleczyli?

- Och, chcieli, uwierz mi. Ale w wyniku tego wszystkiego, w chaosie... Dwór został zamknięty. Oboje zostali zabrani i umieszczeni pod ścisłą ochroną zanim mogliby coś zrobić. Nikt nie pozwolił im się do ciebie zbliżyć, gdyż ciągle uważali, że możesz być mordercą. Najpierw musieli upewnić się, co do Taszy, mimo że jej czyny były bardzo obciążające.

Zabrało mi chwilę by przetrwać, że wyleczyła mnie współczesna medycyna i wytrzymałość mojego ciała. Za bardzo przyzwyczaiałam się do wykorzystywania ducha. To nie wydawało się możliwe. Gdy próbowałam przyjąć tę ideę do wiadomości, uderzyło mnie znaczenie reszty słów Dymitra.

- Czy Tasha... nadal żyje?

Jego twarz zniżyła się jeszcze bardziej.

- Tak. Złapali ją zaraz po tym, jak cię postrzeliła – zanim ktokolwiek jeszcze został ranny. Uwięzili ją i pojawiło się więcej dowodów.
- Wydanie jej było najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłam – powiedziałam. – Walczenie ze strzygami było łatwiejsze niż to.
- Wiem. Trudno mi było na to patrzeć, trudno uwierzyć. – Dalekie spojrzenie jego oczu przypomniało mi, że Dymitr znał ją dłużej niż mnie. – Ale ona dokonała swoich wyborów. Wszystkie zarzuty przeciwko tobie zostały wycofane. Jesteś teraz wolną kobietą. A nawet więcej. Bohaterką. Abe przechwala się, że to wszystko jego zasługa.

To przywróciło mi uśmiech.

- Oczywiście, że tak. Prawdopodobnie wkrótce dostanę od niego rachunek.

Zakręciło mi się w głowie zarówno z radości jak i zaskoczenia. *Wolną kobietą*. Byłam obciążona oskarżeniami i wyrokiem śmierci przez czas, jaki zdawał się być latami, a teraz... teraz to wszystko zniknęło.

Dymitr roześmiał się, a ja chciałam zostać tak na wiečność, tylko my dwoje, czuli i wyluzowani. (Szaz twierdzi, że byli jak dwa misiaki–słodziaki ociekające seksem, a Qba się z nią zgodził. Wy też? – przyp. Ginger) W sumie – może niezupełnie tak. Mogłabym się obyć bez bólu i grubych bandaży, które czułam na swojej klatce piersiowej. Spędziliśmy tak niewiele czasu tylko we dwoje, ledwie kilka momentów, kiedy naprawdę mogliśmy się odprężyć i otwarcie przyznać do bycia zakochanym. Sprawy pomiędzy nami dopiero pod koniec zaczęły się układać... i niemal było już za późno. Nadal może być.

- Więc, co teraz? – spytałam.
- Nie jestem pewien – oparł policzek na moim czole. – Tak bardzo się cieszę... tak bardzo się cieszę, że żyjesz. Byłem tak bliski stracenia cię tak wiele razy. Kiedy zobaczyłem cię na podłodze, a wokół było tyle zamieszania i chaosu... czułem się strasznie bezsilny. Uświadomiłem sobie, że miałaś rację. Tracimy nasze życia na poczuciu winy i nienawiści do samego siebie. Kiedy patrzyłaś na mnie wtedy w sali... zobaczyłem to. Kochałaś mnie.

- Wątpiłeś? – chciałam powiedzieć te słowa z żartem, ale zabrzmiały jakbym była urażona. Może odrobinę byłam. Wiele razy mówiłam mu, że go kocham.
- Nie. Chodzi mi o to, że wiedziałem wtedy, że nie tylko mnie kochałaś. Ale zdałem sobie sprawę, że naprawdę mi wybaczyłaś.
- Nie było czego wybaczać, naprawdę. – To również mu wcześniej mówiłam.
- Zawsze wierzyłem, że było – odsunął się i ponownie na mnie spojrzął. – I to mnie powstrzymywało. Nie ważne co mówiłaś, ja po prostu nie mogłem uwierzyć... nie mogłem uwierzyć, że wybaczyłaś mi to wszystko co ci zrobiłem na Syberii i po tym, jak Lissa mnie wyleczyła. Sądziłem, że oszukujesz siebie.
- Cóż, to nie byłby pierwszy raz, kiedy to robiłam. Ale nie, tym razem tak nie było.
- Wiem, i to odkrycie... w tym ułamku sekundy kiedy wiedziałem, że mi wybaczyłaś i że naprawdę mnie kochasz, w końcu ja też byłem zdolny sobie wybaczyć. Wszystkie te obciążenia, te węzły z przeszłości... odeszły. Czułem się jakbym...
- Był wolny? Latał?
- Tak. Tyle, że... to przyszło za późno. To zabrzmiało szalenie, ale gdy patrzyłem na ciebie, a w mojej głowie zebrały się razem te wszystkie myśli, to było jakbym... jakbym mógł zobaczyć jak sięga po ciebie ręka śmierci. Nie mogłem nic zrobić. Byłem bezsilny. Nie mogłem pomóc.
- Pomogłeś – powiedziałam. – Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam zanim straciłam przytomność, byłeś ty i Lissa. – Cóż, poza szkieletowymi twarzami, ale wspomnianie o tym mogłoby zabić ten romantyczny moment. – Nie wiem jak przeżyłam strzały i jak pokonałam przeciwności losu... ale jestem całkiem pewna, że twoja miłość – was obojga – dała mi siłę do walki. Musiałam do was wrócić. Tylko Bóg jeden wie, w jakie kłopoty moglibyście wpaść beze mnie.

Dymitr nie znalazł na to słów, odpowiadając w zamian przyciągnięciem swoich ust do moich. Pocałowaliśmy się, z początku delikatnie, a słodkość tej chwili pokonała jakikolwiek odczuwany przeze mnie ból. Jego intensywność ledwie zdążyła wzrosnąć, gdy się odsunął.

- Hej, co jest? – spytałam.
- Wciąż wracasz do zdrowia – zganił mnie. – Możesz myśleć, że wszystko jest w normie, ale tak nie jest.
- Dla mnie to *jest* norma. I wiesz co, myślałam, że przy tej całej wolności, odkryciu samego siebie i wyrażeniu naszej miłości, moglibyśmy w końcu przestać z tą całą mądrością mistrza Zen⁵² i bzdurnymi, praktycznymi radami.

To zasłużyło na szczery uśmiech.

- Roza, nie dojdzie do tego. Pogódź się z tym lub nie.

Pocałowałam go w wargi.

- Jeśli to oznacza dostanie ciebie, to się zgadzam.

⁵² to był Yoda, no przecież mówiłam! – przyp. Justa

Chciałam pocałować go jeszcze raz by dowieść, kto naprawdę ma większą samokontrolę, ale nadciągnęła ta przekłeta rzecz nazwana rzeczywistością.

- Dymitr... poważnie, co się z nami stanie?
- Życie pójdzie dalej – powiedział lekko. – My pójdziemy dalej. Jesteśmy strażnikami. Ochronimy i być może zmienimy nasz świat.
- Zero presji – zauważyłam. – Ale o co chodzi z tą częścią o "nas" i "strażnikach"? Byłam całkiem pewna, że zostaliśmy wyeliminowani z naszej ścieżki zawodowej.
- Mmm. – Ujął moją twarz i myślałam, że może spróbuje znowu mnie pocałować. Miałam nadzieję, że tak. – Razem z ułaskawieniem z powrotem otrzymaliśmy swoje statusy strażników.
- Nawet ty? Uwierzyli, że nie jesteś strzygą? – zawołałam.

Kiwnął głową.

- Huh. Nawet, jeśli moje imię zostałoby oczyszczone, moją idealną przyszłością było, żebyśmy dostali przydziały blisko siebie.

Dymitr przesunął się bliżej mnie z oczami skrzącymi się tajemnicą.

- Jest lepiej: jesteś strażniczką Lissy.
- Co? – prawie się odsunęłam. – To niemożliwe. Oni nigdy...
- Zrobili to. Lissa będzie miała innych, więc prawdopodobnie pomyśleli, że pozwolenie ci przebywać przy niej nie będzie złe, jeśli ktoś inny będzie w stanie trzymać cię w ryzach – drażnił się.
- Ale ty nie... – W moim żołądku utworzyła się bryła przypominająca o problemie, który dręczył nas dawno temu. – Nie jesteś także jednym z jej strażników, prawda?

Konflikt interesów był naszym ciągłym niepokojem. Chciałam go blisko mnie. Zawsze. Ale jak moglibyśmy uważać na Lissę i stawiać jej bezpieczeństwo na pierwszym miejscu, gdybyśmy martwili się o siebie nawzajem? Przeszłość wracała by się nad nami pastwić.

- Nie, mam inny przydział.
- Och. – Z jakiegoś powodu to mnie trochę zasmuciło, nawet, jeśli wiedziałam, że to był mądrzejszy wybór.
- Jestem strażnikiem Christiana.

Tym razem usiadłam, nie przejmując się zaleceniami lekarza. Szwy szarpnęły w mojej klatce, ale zignorowałam ostry ból.

- Ale to... to praktycznie to samo!

Dymitr również usiadł, wydając się cieszyć z mojego szoku, co było w pewnym sensie naprawdę okrutne, biorąc pod uwagę to, że omal nie umarłam i wszystko inne.

- Odrobinę. Ale oni nie będą spędzali razem każdej chwili zwłaszcza, że Lissa idzie do Lehigh. On nie idzie... ale będą się ciągle odwiedzali. A kiedy oni, to i my. To dobre połączenie.

czenie. Poza tym... – Znowu stał się poważny. – Myślę, że udowodniłaś wszystkim, że jesteś gotowa postawić jej życie na pierwszym miejscu.

Pokręciłam głową.

- Tak, ale do ciebie nikt nie strzelał. Tylko do niej. – Powiedziałam to lekko, jednak te słowa sprawiły, że się zastanowiłam: co zrobiłabym, gdyby oboje mieli kłopoty? *Zaufała mi*, powiedział głos w mojej głowie. *Zaufała mi, że sam może o siebie zadbać. On zrobiłby to samo dla ciebie.* Przyjrzałam się Dymitrowi przypominając sobie poruszający się cień w kącie mojego pola widzenia na sali balowej. – Poszedłeś w ślad za mną, kiedy rzuciłam się przed Lissę, prawda? Kogo chciałeś obronić? Mnie czy ją?

Studiował mnie przez kilka długich sekund. Mógł skłamać. Mógł udzielić mi prostej odpowiedzi mówiąc, że chciał zepchnąć z linii strzału nas obie – co nawet było możliwe, ale wtedy o tym nie pamiętałam. Ale Dymitr nie skłamał.

- Nie wiem, Roza. Nie wiem.

Westchnęłam.

- To nie będzie łatwe.
- Nigdy nie jest – powiedział biorąc mnie w ramiona. Oparłam się o jego pierś i zamknęłam oczy. Nie, to nie będzie łatwe, ale będzie tego warte. Tak długo jak będziemy razem, będzie warto.

Siedzieliśmy w takiej pozycji przez dłuższy czas, dopóki nie rozdzieliło nas dyskretne pukanie w półotwarte drzwi. Stała w nich Lissa.

- Przepraszam – powiedziała z twarzą promieniującą radością na mój widok. – Powinniście zamknąć drzwi. Nie wiedziałam, że zaczyna się robić gorąco i namiętnie.
- Nie da się tego uniknąć – rzuciłam lekkim tonem, ściskając rękę Dymitra. – Z nim zawsze jest gorąco.

Dymitr wyglądał na zgorszzonego. Nigdy się nie wstrzymywaliśmy, kiedy byliśmy razem w łóżku, ale jego prywatna natura nie pozwalała mu nawet na cień aluzji o tych sprawach przy innych. To było złośliwe, ale zaśmiałam się i pocałowałam go w policzek.

- Och, to będzie zabawne – powiedziałam. – Teraz, gdy wszystko zostało ujawnione.
- Taa – powiedział. – Któregoś dnia dostałem całkiem "zabawne" spojrzenie od twojego ojca. – Posłał Lissie szybkie znaczące spojrzenie, po czym wstał. Pochylając się, pocałował czubek mojej głowy. – Powinienem już iść i pozwolić wam dwóm porozmawiać.
- Wrócisz? – zapytałam gdy ruszył do drzwi.

Zatrzymał się i uśmiechnął do mnie, a jego ciemne oczy odpowiedziały na moje pytania, wyrażając o wiele więcej.

- Oczywiście.

Lissa zajęła jego miejsce, siadając na krawędzi łóżka. Przytuliła mnie ostrożnie, niewątpliwie obawiając się o moje rany. Potem skarciła mnie za siedzenie, ale nie dbałam o to. Wezbrało we mnie szczęście. Czułam taką radość, że nic jej nie było, taką ulgę i..

Nie miałam pojęcia jak ona się czuła.

Więź zniknęła. I to nie było wynikiem ściany, jaką zbudowała podczas ucieczki z więzienia. Po prostu pomiędzy nami niczego nie było. Byłam tylko sobą, kompletnie i całkowicie sama, tak jak lata temu.

Wytrzeszczyłam oczy, a ona się roześmiała.

- Zastanawiałam się, kiedy to zauważysz – powiedziała.
- Ale jak... jak to jest możliwe? – byłam zmrożona i otepiała. Więź. Więź zniknęła. Czułam się jakby amputowano mi ramię. – I skąd o tym wiesz?

Skrzywiła się.

- Po części przez instynkt... ale Adrian to widział. Nasze aury nie są już ze sobą połączone.
- Ale jak? Jak to mogło się stać? – brzmiałam wariacko i zdesperowanie. Więź nie mogła zniknąć. Nie mogła.
- Nie jestem całkowicie pewna – przyznała i jeszcze bardziej się skrzywiła. – Sporo o tym rozmawiałam z Sonią i, uch, Adrianem. Sądzimy, że kiedy za pierwszym razem przyciągnęłam cię z powrotem, to tylko duch powstrzymał cię przed wejściem do krainy zmarłych i przywiązał cię do mnie. Tym razem... znowu omal nie umarłaś. Albo może przez moment byłaś martwa. Tylko, że ty i twoje ciało walczyło o powrót. Wydostałaś się stamtąd *sama*, bez pomocy ducha. A kiedy to się stało... – wzruszyła ramionami. – Jak już powiedziałam, to tylko nasze domysły, ale Sonia uważa, że gdy twoja własna siła przełamała to, nie potrzebowałaś żadnej pomocy by powrócić ze świata zmarłych. Zrobiłaś to sama. A kiedy uwolniłaś się od ducha, uwolniłaś się ode mnie. Nie potrzebujesz więzi, żeby pozostać wśród żywych.

To było szalone. Niemożliwe.

- Ale... ale jeśli twierdzisz, że uciekłam z krainy zmarłych, nie jestem jakąś nieśmiertelną czy coś, prawda?

Lissa ponownie się roześmiała.

- Nie, tego jesteśmy pewni. Sonia wyjaśniła to mówiąc, że wszystko, co żywe, może umrzeć, a tak długo jak posiadasz aurę, jesteś żywa. Strzygi są nieśmiertelne, ale nie są żywe, więc nie posiadają aur i..

Świat zawirował.

- Wierzę ci na słowo. Myślę, że może powinnam się położyć.
- To prawdopodobnie dobry pomysł.

Delikatnie położyłam się na plecy. Rozpaczliwie potrzebując odwrócić swoją uwagę od tego, czego się właśnie dowiedziałam – gdyż było to nadal zbyt surrealistyczne i niemożliwe do przyjęcia – przyjrzałam się swojemu otoczeniu. Luksusowy pokój był większy niż wcześniej sądziłam. Był coraz większy i większy, rozgałęziając się na inne pomieszczenia. Byłam w kompleksie hotelowym. Może apartamencie. Mogłam zgoła dostrzec salon ze skórzanymi meblami i płaskim ekranem telewizora.

- Gdzie my jesteśmy?
- W mieszkalnej części pałacu.
- *W mieszkalnej części pałacu?* Jak się tutaj dostałyśmy?
- A jak myślisz? – spytała sucho.
- Eee... – przez chwilę nie byłam w stanie zmusić do pracy moich ust. Nie potrzebowałam więzi, by zdać sobie sprawę z tego co się stało. Podczas gdy byłam zamroczona wydarzyło się trochę niewiarygodnych rzeczy. – Niech to szlag. Urządzili wybory, prawda? Wybrali cię na królową, gdy Jill zadebiutowała tam jako twoja rodzina.

Potrzaskała głową i niemal się zaśmiała.

- Moja reakcja była trochę mocniejsza niż "niech to szlag", Rose. Czy masz pojęcie, co zrobiłaś?

Wyglądała na zaniepokojoną, zestresowaną i kompletnie oszołomioną. Przez wzgląd na nią chciałam być poważna i wspierająca... ale mogłam poczuć, jak na mojej twarzy rozkwita głupkowaty uśmiech. Jęknęła.

- Jesteś szczęśliwa.
- Liss, zostałam do tego stworzona! Byłam lepsza niż pozostali kandydaci.
- Rose! – zawołała płaczliwie. – Startowanie na królową miało być dywersją. Mam tylko *osiemnaście* lat.
- Tak jak Aleksandra.

Lissa potrzaskała głową z irytacją.

- Mam już dość słuchania o niej! Żyła wieki temu. Sądzę, że ludzie wtedy umierali po trzydziestce, więc była praktycznie w średnim wieku.

Złapałam jej rękę.

- Będziesz świetna. Twój wiek nie ma znaczenia. I to wcale nie jest tak, że musisz zwoływać spotkania i analizować wszystkie księgi prawne na własną rękę. To znaczy, *ja* z pewnością nie będę robiła żadnej z tych rzeczy, ale wokół ciebie są inni mądrzy ludzie. Ariana Szelski nie przeszła ostatniego testu, ale wiesz, że ci pomoże, jeśli ją o to poprosisz. Nadal jest w Radzie, w której są też inni, na których można polegać. Musimy ich tylko znaleźć. Wierzę w ciebie.

Lissa westchnęła i spuściła wzrok, a jej włosy opadły do przodu tworząc kurtynę.

- Wiem. Część mnie jest podekscytowana, jakby to miało przywrócić honor mojej rodziny. Sądzę, że to mnie ocaliło przed kompletnym załamaniem. Nie chciałam być królową, ale jeśli muszę... to zamierzam dobrze rządzić. Czuje się jakbym... jakbym miała świat w zasięgu ręki, jakbym mogła zrobić bardzo dużo dobrego, ale strasznie się boję, że schrzanię. – Gwałtownie podniosła wzrok. – Nie zamierzam też zrezygnować z reszty mojego życia. Sądzę, że będę pierwszą królową w college'u.
- Odjazd – powiedziałam. – Możesz urządzać sobie wideokonferencje prasowe z Radą z terenu kampusu. Może będziesz mogła rozkazywać ludziom by odrabiali za ciebie prace domowe.

Zdecydowanie nie uważała mojego żartu za śmieszny, w przeciwieństwie do mnie.

- Wracając do mojej *rodziny*... Rose, jak długo widziałaś o Jill?

Cholera. Wiedziałam, że ta część konwersacji w końcu nadejdzie. Odwróciłam wzrok.

- Nie tak długo. Nie chcieliśmy cię stresować dopóki się nie dowiemy, że to prawda – dodałam szybko.
- Nie mogę w to uwierzyć... – pokręciła głową. – Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Musiałam opierać swój osąd na jej tonie, nie na więzi. To było takie dziwne. Jak stracenie jednego z moich kluczowych zmysłów. Wzroku. Słuchu.

- Jesteś zła?
- Oczywiście, że jestem! Jak cię to może dziwić?
- Sądziłam, że będziesz szczęśliwa...
- Szczęśliwa z wiedzy, że mój ojciec zdradzał moją mamę? Szczęśliwa z posiadania siostry, którą ledwo znam? Próbowałam z nią porozmawiać, ale... – Lissa ponownie westchnęła. – To takie dziwne. Niemal dziwniejsze niż nagle zostanie królową. Nie wiem co robić. Nie wiem co myśleć o swoim ojcu. I co oczywiście jak jasna cholera, nie wiem co z nią zrobić.
- Kochaj ich oboje – powiedziałam cicho. – Są twoją rodziną. Wiesz, że Jill jest świetna. Poznaj ją. Ciesz się z tego.
- Nie wiem czy potrafię. Sądzę, że jesteś dla mnie bardziej siostrą, niż ona kiedykolwiek będzie. – Lissa zapatrzyła się w przestrzeń. – I ze wszystkich ludzi... przez bardzo długi czas byłam przekonana, że między nią i Christianem coś się dzieje.
- Cóż, ze wszystkich zmartwień w twoim świecie, to jedno możesz odpuścić, bo to nie jest prawda. – Ale w jej wypowiedzi było coś mrocznego i smutnego. – Jak *się trzyma* Christian?

Z powrotem się do mnie odwróciła z oczami wypełnionymi bólem.

- Przeżywa ciężkie chwile. Ja też. Odwiedza Taszę. Nienawidzi tego co zrobiła, ale... Tasza nadal jest jego rodziną. To go rani, jednak stara się to ukryć. Wiesz, jaki on jest.
- Tak.

Christian spędził sporą część swojego życia maskując przykre uczucia złośliwością i sarkazmem. Był zawodowcem w nabieraniu innych, co do tego, jak naprawdę się czuł.

- Wiem, że z czasem będzie lepiej... mam tylko nadzieję, że będę mogła być przy nim tyle, ile będzie mnie potrzebował. Tak wiele się dzieje. Studia, bycie królową... i zawsze, nieustannie jest duch, który na mnie naciska. Dusi mnie.

Wystrzelił we mnie alarm. I panika. Panika odnośnie czegoś dużo gorszego niż niewiedza, co Lissa czuje albo gdzie jest. Duch. Obawiałam się ducha – i faktu, że nie mogłam z nim dla niej walczyć.

- Ciemność... nie mogę jej dłużej absorbować. Co teraz zrobimy?

Przez jej wargi przebiegł krzywy uśmiech.

- Chodzi ci o to, co *ja* zrobię. Teraz to mój problem, Rose. Tak jak zawsze powinien być.
- Ale, nie... nie możesz. Święty Władimir..
- Nie jest mną. Możesz mnie ochraniać przed pewnymi rzeczami, ale nie przed wszystkimi.

Pokręciłam głową.

- Nie, nie. Nie mogę pozwolić ci samej stawić mu czoła.
- Nie jestem zupełnie sama. Rozmawiałam z Sonią. Jest dobra w tworzeniu leczących amuletów i sądzi, że jest sposób by utrzymywać równowagę.
- Oksana mówiła to samo – przypomniałam sobie, czując się nieco uspokojona.
- No i zawsze są środki przeciwdepresyjne. Nie lubię ich, ale jestem teraz królową. Mam obowiązki. Zrobię co będę musiała. Królowa poświęca wszystko, pamiętasz?
- Tak sądzę. – Nie mogłam powstrzymać uczucia przerażenia. Nieprzydatności. – Po prostu bardzo się o ciebie martwię i nie wiem, jak mogę ci dalej pomóc.
- Powiedziałam ci, że nie musisz. Obronę swój umysł. Twoją pracą jest obrona mojego ciała, prawda? Dymitr również będzie w pobliżu. Będzie dobrze.

Wróciła do mnie rozmowa z Dymitrem. *Kogo chciałeś obronić? Mnie czy ją?*

Obdarzyłam ją najlepszym uśmiechem, jakim mogłam.

- Taak. Będzie dobrze.

Jej ręka uścisnęła moją.

- Tak bardzo się cieszę, że wróciłaś, Rose. Zawsze będziesz częścią mnie, nie ważne co. I szczerze mówiąc... jestem całkiem szczęśliwa, że już więcej nie będziesz oglądała mojego życia seksualnego.
- To jest nas dwie – zaśmiałam się. Żadnej więzi. Żadnego magicznego przywiązania. To będzie strasznie dziwne, ale prawdę mówiąc... czy to było mi potrzebne? W prawdziwym życiu ludzie tworzą więzi lub inne relacje. Więzy miłości i lojalności. Poradzimy sobie z tym. – Wiesz, że zawsze będę tu dla ciebie. Wszystko, czego potrzebujesz.
- Wiem – odpowiedziała. – Ale właściwie to... potrzebuję cię przy czymś...
- Powiedz.

Powiedziała.

Tłumaczenie: Ginger_90

Korekta: Qbac, Justa2705

Rozdział trzydziesty piąty

WOLAŁABYM ABY LISSA "potrzebowała" mnie do wyeliminowania armii strzyg. Czułabym się w tym bardziej swobodnie niż w tym, co musiała zrobić teraz: spotkać z Jill i omówić koronację. Lissa chciała mnie tam dla wsparcia, jako kogoś w rodzaju pośrednika. Nie mogłam jeszcze wtedy dobrze znosić spacerów, więc poczekałyśmy do następnego dnia. Lissa wydawała się zadowolona z opóźnienia.

Jill czekała na nas w małym pokoju, którego nigdy nie spodziewałam się ponownie zobaczyć: był to salon, w którym Tatiana zgromiła mnie za spotkanie się z Adrianem. W tamtym czasie to było całkiem dziwaczne doświadczenie, jako że wtedy ja i Adrian nie byliśmy ze sobą związani. Teraz, po tym wszystkim co się między nami wydarzyło, to wydawało się... dziwne. Dezorientujące. Nadal nie wiedziałam, co się z nim stało po aresztowaniu Taszy.

Idąc tam czułam się również okropnie... samotna. Nie, nie samotna. Niedoinformowana. Podatna na zranienie. Jill siedziała na krześle z rękoma złożonymi na kolanach. Patrzyła prosto przed siebie z niedającym się odczytać wyrazem twarzy. Twarz Lissy stojącej obok mnie była równie pozbawiona wyrazu. Czuła się... cóż, w tym rzecz. Nie wiedziałam. *Nie wiedziałam* jak się czuła. To znaczy, mogłam stwierdzić, że jest zakłopotana, ale w mojej głowie nie było myśli, które by mnie o tym poinformowały. Nie znałam żadnych szczegółów. Ponownie przypomniałam sobie, że właśnie tak funkcjonuje reszta świata. Działasz w pojedynkę. Robisz co możesz, by poradzić sobie z dziwnymi sytuacjami bez magicznego wglądu w inną osobę. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele biorę z myśli tylko jednej innej osoby za pewnik.

Jedyną rzeczą, jakiej byłam pewna, to to, że Jill i Lissa były na siebie złe – ale nie na mnie. To był powód mojej obecności tutaj.

– Hej, Jill – powiedziałam, uśmiechając się. – Jak się masz?

Wyrwała się z jakiegokolwiek miejsca, w które jej myśli podążały i zerwała się z krzesła. Pomyślałam, że to dziwne, ale potem dotarł do mnie sens. Lissa. Wstawaleś, kiedy do pokoju wchodziła królowa.

– W porządku – powiedziała Lissa, zająkując się odrobinę. – Usiądź.

Zajęła krzesło naprzeciwko Jill. Było największe w pokoju – i było tym, na którym zawsze zasiadała Tatiana.

Jill zawahała się na moment, po czym z powrotem przesunęła na mnie swoje spojrzenie. Musiałam dostarczyć jej jakiejś zachęty, ponieważ wróciła na swoje krzesło. Usiadłam na krześle obok Lissy krzywiąc się, gdy niewielki ból w mojej piersi się zacieśnił. Niepokój o mnie momentalnie odwrócił uwagę Jill od Lissy.

– Jak się czujesz? Wszystko w porządku? Powinnaś w ogóle wstawać z łóżka?

Urocza, pełna zakamarków natura. Cieszyłam się widząc ją ponownie.

- W porządku – skłamałam. – Jak nowonarodzona.
- Martwiłam się. Kiedy zobaczyłam co się stało... to znaczy, było tak wiele krwi i tyle szaleństwa, i nikt nie wiedział czy wyzdrowiejesz... – Jill zmarszczyła brwi. – Nie wiem. To wszystko było strasznie przerażające. Cieszę się, że wszystko z tobą dobrze.

Ciągle się uśmiechałam mając nadzieję ją uspokoić. Następnie zapadła cisza. Napięcie w pokoju wzrosło. W sytuacjach politycznych to Lissa była specjalistką, zawsze zdolna uspokoić wszystko odpowiednimi słowami. Ja byłam tą, która podnosiła raban w niewygodnych sytuacjach, mówiąc rzeczy szokujące innych. Rzeczy, których nikt nie chciał słyszeć. Ta sytuacja wyglądała jak jedna z tych wymagających jej dyplomacji, ale wiedziałam, że wzięcie sprawy w swoje ręce należało do mnie.

- Jill – powiedziałam – chciałybyśmy wiedzieć czy zechcesz, no cóż, wziąć udział w ceremonii koronacji.

Oczy Jill natychmiastowo przesunęły się na Lissę, która ciągle miała niewzruszoną minę, a potem z powrotem na mnie.

- Co dokładnie oznacza "wzięcie udziału"? Co będę musiała zrobić?
- Nic trudnego – zapewniłam ją. – Tylko pewne formalności, których zwykle dopełniają członkowie rodziny podczas ceremonii. Tak jak zrobiłaś to przy głosowaniu. – Nie byłam tego świadkiem, ale Jill najwidoczniej musiała tylko stanąć przy boku Lissy, by pokazać siłę rodziny. Taka mała rzecz związana z prawem, a tyle od niej zależy. – W większości chodzi o bycie wystawionym na pokaz i robienie dobrej miny.
- Cóż – zastanawiała się Jill – robiłam to przez większość tego tygodnia.
- Ja robiłam to przez większość mojego życia – powiedziała Lissa.

Jill wyglądała na zaskoczoną. Po raz kolejny poczułam utratę więzi. Ton Lissy nie sugerował jasno swojego znaczenia. Czy to było wyzwaniem dla Jill – to, że dziewczyna nie zbliżyła się nawet do tego, co przeszła Lissa? Czy to raczej miało być współczucie z powodu braku doświadczenia?

- Dasz radę... z czasem się do tego przyzwyczaisz – powiedziałam.

Jill pokręciła głową z małym, gorzkim uśmiechem na twarzy.

- Nie jestem co do tego pewna.

Ja również nie byłam. Nie byłam pewna, jak ktoś poradziłby sobie w takiej sytuacji, w jakiej ona się znalazła. Mój umysł szybko przeleciał listę bardziej bezsensownych, uprzejmych rzeczy, które mogłam powiedzieć, ale Lissa w końcu przejęła obowiązki.

- Wiem, jakie to jest dziwne – powiedziała, z determinacją napotykając zielone oczy Jill, które były jedyną cechą, jaką dzieliły siostry. Jill posiadała wszystkie zadatki by w przyszłości wyglądać jak Emily, zaś Lissa stanowiła połączenie cech obojga rodziców. – Dla mnie też takie jest. Nie wiem co mam robić.
- Czego chcesz? – zapytała cicho Jill.

Usłyszałam prawdziwe pytanie. Jill chciała wiedzieć, czy Lissa *ja* chciała. Lissa była rozbita po śmierci swojego brata... ale niespodzianka w postaci przyrodniej siostry

nie mogła zastąpić Andre. Próbowałam sobie wyobrazić jakby to było znaleźć się na miejscu którejś z dziewczyn. Próbowałam, ale nie udało mi się.

- Nie wiem – przyznała Lissa. – Nie wiem, czego chcę.

Jill skinęła głową, spuszczać wzrok, ale przed tym zdążyłam dostrzec przebłysk emocji grających na jej twarzy. Głównie rozczarowania – jednak odpowiedź Lissy nie do końca była niespodziewana.

Jill zapytała o następną rzecz.

- Czy... czy *chcesz* żebym była na ceremonii?

Pytanie zawisło w powietrzu. Było jednym z trafionych. Było też powodem, dla którego tu przyszłyśmy, ale czy Lissa naprawdę tego chciała? Studiując ją, nadal nie byłam pewna. Nie wiedziałam czy po prostu postępowała zgodnie z protokołem, próbując przekonać Jill do odegrania roli spodziewanej wśród arystokracji. W tym przypadku nie było prawa mówiącego, że Jill musi cokolwiek zrobić. Musiała po prostu żyć.

- Tak – powiedziała w końcu Lissa. Słyszałam w jej słowach prawdę i coś w środku mnie pojaśniało. Lissa nie pragnęła Jill tylko przez wzgląd na image. Część Lissy chciała mieć Jill w swoim życiu – ale poradzenie sobie z tym będzie trudne. Jednak w dalszym ciągu to był jakiś start i Jill zdawała się to rozpoznawać.
- Dobrze – powiedziała. – Powiedz mi tylko, co muszę zrobić.

Przyszło mi do głowy, że młodość i nerwowość Jill były zwodnicze. Były w niej przebłyski męstwa i śmiałości. Iskry, które poczułam, z pewnością wzrosną. Naprawdę była Dragomirem.

Lissa wyglądała jakby jej ulżyło, ale sądziłam, że to z powodu zrobienia niewielkiego kroku, postępu w relacjach ze swoją siostrą. To nie miało nic wspólnego z koronacją.

- Ktoś inny wszystko ci wytłumaczy. Szczerze mówiąc nie jestem pewna, co będziesz robić, ale Rose ma rację. To nie będzie trudne.

Jill tylko skinęła głową.

- Dziękuję – powiedziała Lissa. Wstała, a ja i Jill razem z nią. – Ja... naprawdę to doceniam.

Gdy cała nasza trójka stała, wróciło skrepowanie. To byłby dobry moment, aby siostry się przytuliły, ale chociaż obie wyglądały na zadowolone ze swoich postępów, żadna z nich nie była na to gotowa. Kiedy Lissa patrzyła na Jill, nadal widziała swojego ojca z inną kobietą. Kiedy Jill patrzyła na Lisę, widziała jak jej życie całkowicie wywraca się do góry nogami – życie, które kiedyś było prywatne i wstydliwe, a na które teraz patrzył świat. Nie mogłam zmienić jej losu, ale mogłam ją przytulić. Nie zważając na moje szwy, otoczyłam ramieniem młodszą dziewczynę.

- Dzięki – powiedziałam powtarzając po Lissie. – Będzie dobrze, zobaczysz.

Jill ponownie kiwnęła głową. Nie mając już o czym rozmawiać, Lissa i ja ruszyliśmy w kierunku drzwi, ale zatrzymał nas głos Jill.

- Hej... a co będzie po koronacji? Ze mną? Z nami?

Spojrzałam na Lissę. Kolejne dobre pytanie. Lissa odwróciła się do Jill, ale nadal unikała bezpośredniego kontaktu wzrokowego.

- My... poznamy się lepiej. Wszystko się ułoży.

Uśmiech, który pojawił się na twarzy Jill był szczery – mały, ale szczery.

- Okej – powiedziała. W tym uśmiechu była również nadzieja. Nadzieja i ulga. – Chętnie.

Co do mnie, to musiałam zamaskować zmarszczenie brwi. Najwyraźniej mogłam funkcjonować bez więzi, gdyż z absolutnym przekonaniem mogłam powiedzieć, że Lissa nie do końca wyjawiała Jill całą prawdę. Czego jej nie mówiła? Byłam pewna, że Lissa *chciała*, by sprawy miały się lepiej, nawet jeśli nie była tego teraz pewna. Ale tam było coś... coś małego, czego Lissa nie wyjawiała którejkolwiek z nas, coś, co pozwoliło mi myśleć, że Lissa w rzeczywistości nie sądziła, że sprawy się poprawią.

Znikąd w mojej głowie zadzwoniło dziwne echo słów Wiktora Daszkowa o Jill. *Jeśli Wasyliśa będzie miała trochę rozsądku, odeśle ją.*

Nie wiem dlaczego zapamiętałam te słowa, ale przeszedł mnie na nie dreszcz. Obie siostry zmobilizowały się do uśmiechu, a ja szybko za nimi podążyłam, nie chcąc by ktokolwiek wiedział o moich niepokojach. Po tym obie z Lissą wyszłyśmy, z powrotem kierując się do mojego pokoju. Moja mała wycieczka była bardziej mecząca niż się spodziewałam i tak bardzo jak nienawidziłam tego przyznawać, nie mogłam się doczekać, by ponownie się położyć.

Kiedy dotarliśmy do mojego pokoju, nadal nie zdecydowałam czy powinnam zapytać Lissę o Jill, czy poczekać na opinię Dymitra. Decyzja została odwleczona, gdy okazało się, że czeka na mnie niespodziewany gość – Adrian.

Siedział na moim łóżku przechylając głowę, jakby całkowicie pochłaniało go studiowanie sufitu. Ale wiedziałam lepiej. Wiedział o nas w chwili, kiedy przyszłyśmy – albo przynajmniej, kiedy przyszła Lissa.

Gdy zatrzymałyśmy się w drzwiach, w końcu się do nas odwrócił. Wyglądał jakby nie spał od jakiegoś czasu. Miał ciemne cienie pod oczami, a jego uroczą twarz znaczyły linie zmęczenia. Nie mogłam stwierdzić czy to było zmęczenie fizyczne czy psychiczne. Niemniej jednak jego opieszawy uśmiech był taki sam jak zawsze.

- Wasza Wysokość – powiedział wytwornie.
- Przestań – odparowała Lissa. – Powinieneś wiedzieć, że nie należy tego robić.
- Nigdy nie wiedziałem, co należy robić – odpowiedział. – *Powinnaś* o tym wiedzieć.

Zobaczyłam, że Lissa zaczyna się uśmiechać, ale potem spojrzała na mnie i spoważniała, uświadamiając sobie, że to nie był czas na "pośmiejmy się z Adrianem".

- No cóż – powiedziała z niepokojem, wcale nie wyglądając bardzo królewsko. – Mam kilka rzeczy do zrobienia.

Zdałam sobie sprawę, że zamierzała czmychnąć. Poszłam z nią na rodzinną pogawędkę, a ona teraz zamierzała mnie wystawić. Chociaż może to i dobrze. Rozmowa z Adrianem była nieunikniona i wzięłam ją na siebie. Tak jak powiedziałam Dymitrowi, musiałam dokończyć to na własną rękę.

- Jestem pewna, że masz – powiedziałam. Jej twarz stała się niezdecydowana, jakby nagle zaczęła na nowo się zastanawiać. Czuła się winna. Martwiła się o mnie i chciała przy mnie być. Delikatnie dotknęłam jej ramienia. – W porządku, Liss. Będzie dobrze. Idź.

W odpowiedzi uściśnęła moją rękę, a jej oczy życzyły mi powodzenia. Powiedziała Adrianowi "do widzenia" i wyszła zamykając za sobą drzwi.

Teraz byliśmy tylko ja i on.

Został na moim łóżku, pieczołowicie mnie obserwując. Nadal miał na twarzy uśmiech, którym obdarzył Lisę, jakby to nie była wielka rzecz. Wiedziałam, że jest inaczej i nie próbowałam ukryć swoich uczuć. Stanie w miejscu męczyło mnie, więc usiadłam na najbliższym krześle, nerwowo zastanawiając się co powiedzieć.

- Adrian–
- Lećmy z tym, little dampir – powiedział przyjaźnie. – Czy to się stało zanim opuściłaś Dwór?

Podążenie za niespodziewanym kierunkiem rozmowy z Adrianem zajęło mi chwilę. Pytał, czy Dymitr i ja wróciliśmy do siebie przed moim aresztowaniem. Wolno pokręciłam głową.

- Nie. Byłam z tobą. Tylko z tobą.

Wprawdzie byłam płataniną emocji, ale miałam dobre intencje.

- Cóż, to już coś – powiedział. Część jego uprzejmości zaczynała umykać. I wtedy to poczułam: słabą jak zawsze woń papierosów i alkoholu. – Lepsze kilka iskieł rozpalonych w ogniu bitwy od kłamstwa czy czegokolwiek innego, niż zdradzanie mnie tuż pod moim nosem.

Energiczniej potrzasnęłam głową.

- Nie, przysięgam. Ja nie — nic się wtedy nie działo... nie aż do—

Zawahałam się nie wiedząc jak wyrazić następne słowa.

- Później? – zgađł. – Co było w porządku?

- Nie! Oczywiście, że nie. Ja...

Niech to cholera. Schrzaniałam. Tylko dlatego, że nie zdradzałam Adriana na Dworze, nie oznaczało, że *nie* zdradziłam go później. Mogłeś to nazwać jakkolwiek chciałeś, ale spójrzmy prawdzie w oczy: spanie z innym facetem w hotelowym pokoju było sporą zdradą, jeśli miało się chłopaka. Nie miało znaczenia czy ten facet był miłością twojego życia czy nie.

- Przepraszam – powiedziałam. To była najprostsza i najbardziej odpowiednia rzecz, jaką mogłam powiedzieć. – Przepraszam. To, co zrobiłam było złe. Nie chciałam żeby tak się stało. Myślałam... naprawdę myślałam że pomiędzy nami wszystko skończone. Byłam z tobą. Chciałam z tobą być. A potem zdałam sobie sprawę, że–
- O nie, nie. Przestań – Adrian uniósł dłoń. Jego głos stężał, gdy jego swobodna fasada zaczęła upadać. – Naprawdę *nie* chcę słuchać o twoim wspaniałym objawieniu, jak to wy dwoje byliście sobie przeznaczeni, czy cokolwiek to było.

Pozostałam cicho gdyż, cóż, to było częścią mojego objawienia. Adrian przeczesał ręką włosy.

- Tak naprawdę to moja wina. To było tam. Setki razy. Jak często to widziałem? Wiem, że to ciągle się działo. Bez końca powtarzałaś, że między wami skończone... a ja ciągle w to wierzyłem... nie ważne, co pokazywały mi oczy. Nie ważne, co mówiło moje serce. To moja wina.

To była lekko stuknięty i chaotyczny wywód – choć nie tego nerwowego typu co u Jill. Jego miał raczej niestabilny charakter, który zaniepokoił mnie odnośnie tego, jak szybko dochodził do krawędzi obłądu. Krawędzi, do której równie dobrze mogłam go popychać. Chciałam do niego podejść, ale miałam przeczucie, że lepiej żebym siedziała.

- Adrian, ja–
- Kochałem cię! – krzyknął. Zerwał się ze swojego krzesła tak szybko, że nawet tego nie zauważyłam. – Kochałem cię, a ty mnie zniszczyłaś. Wzięłaś moje serce i rozerwałaś je. Równie dobrze mogłabyś mnie zakółkować!

Zmiana w jego postawie również mnie zaskoczyła. Jego głos wypełnił cały pokój. Tak bardzo przepełniony gniewem, tak bardzo wypełniony żalem. Tak niepodobny do zwykłego Adriana. Podszedł do mnie z ręką przyciśnięta do swojej piersi.

- Kochałem cię. A ty cały czas mnie wykorzystywałaś.
- Nie, to nie prawda. – Nie bałam się Adriana, ale w obliczu tych emocji odkryłam, że się kulę. – Nie wykorzystywałam cię. Kochałam cię. Nadal Kocham, ale—

Wyglądał na zde gustowanego.

- Rose, *daj spokój*.
- To prawda! Kocham cię. – Teraz bez względu na ból wstałam, próbując spojrzeć mu w oczy. – I zawsze będę, ale my nie... nie sądzę, by mogło nam wyjść jako parze.
- To typowe wciskanie kitu przy rozstaniu, i dobrze o tym wiesz.

Miał poniekąd rację, ale gdy powróciłam myślami do chwil spędzonych z Dymitrem... chwil, w których byliśmy dobrze zsynchronizowani, w których zawsze wydawał się rozumieć dokładnie co czułam. Mówiłam prawdę twierdząc, że kochałam Adriana. Pomimo wszystkich swoich skaz był wspaniały. No bo szczerze, kto nie ma skaz? Dobrze się razem bawiliśmy. Pomiędzy nami było uczucie, ale nie pasowaliśmy do siebie w taki sposób jak ja i Dymitr.

- Ja nie... nie jestem dla ciebie tą jedyną – powiedziałam z trudem.
- Bo jesteś z innym facetem?
- Nie, Adrian. Dlatego że... nie jestem. Nie wiem. Nie jestem... – Żle się do tego zabrałam. Nie wiedziałam jak mu wytłumaczyć, co czułam, jak można dbać o kogoś i kochać z nim przebywać, ale nadal nie funkcjonować jako para. – Nie równoważę cię tak jak powinnam.
- Co to do cholery znaczy? – wykrzyknął.

Moje serce bolało dla niego i było mi tak strasznie przykro z powodu tego, co zrobiłam... ale to było w tym wszystkim prawdą.

- Fakt, że musisz o to pytać, mówi wszystko. Kiedy znajdziesz tę osobę... będziesz wiedział. - Nie dodałam, że w jego przypadku prawdopodobnie będzie miał wiele falstartów zanim znajdzie tę osobę. – Wiem, że to brzmi jak kolejny kit wciskany przy zerwaniu, ale naprawdę chciałabym być twoją przyjaciółką.

Gapił się na mnie przez kilka ciężkich sekund, po czym się roześmiał – choć w tym śmiechu nie było humoru.

- Wiesz co jest najlepsze? Mówisz *poważnie*. Spójrz na swoją twarz. – Wskazał na mnie, jakbym rzeczywiście mogła się sobie przyjrzeć. – Ty naprawdę sądzisz, że to takie proste? Że mogę tutaj siedzieć i oglądać twój "happy end"? Że mogę patrzeć, jak dostajesz wszystko czego chcesz, prowadząc swoje sielankowe życie?
- Sielankowe! – Walczące we mnie wina i współczucie dostały małego kopniaka gniewu. – Raczej nie. Wiesz, przez co przeszłam w ciągu ostatniego roku? Patrzyłam jak Mason ginie, walczyłam w ataku na Św. Władimira, byłam przetrzymywana przez strzygi w Rosji, a potem żyłam na walizkach jako poszukiwana morderczyni. To wcale nie brzmi sielankowo.
- A jednak jesteś tutaj, triumfując po tym wszystkim. Przeżyłaś śmierć i uwolniłaś się od więzi, Lissa jest królową, a ty zdobyłaś faceta i będziecie żyli długo i szczęśliwie.

Odwróciłam się do niego plecami i odeszłam od niego.

- Adrian, co chcesz żebym powiedziała? Mogę cię wiecznie przeproszać, ale nic więcej nie mogę zrobić. Nigdy nie chciałam cię zranić i nie mogę powiedzieć, żeby mówienie tego wystarczyło. Ale reszta? Naprawdę oczekujesz, że będę smutna, że wszystko wokół się ułożyło? Powinnam pragnąć być nadal oskarżona o morderstwo?
- Nie – powiedział. – Nie chcę żebyś cierpiała. Bardzo nie chcę. Ale następnym razem, kiedy będziesz w łóżku z Bielikowem, zatrzymaj się na chwilę i przypomnij sobie, że nie wszystkim udało się tak dobrze jak wam.

Odwróciłam się do niego twarzą.

- Adrian, ja nigdy–
- Nie tylko ja, little dampir – dodał cicho. – Podczas gdy ty walczyłaś ze światem, po drodze powstało wiele szkód ubocznych. Oczywiście byłem jedną z ofiar, ale co z Jill? Co stanie się z nią teraz, gdy rzuciłaś ją w szpony arystokratycznych wilków? A Eddie? Myślałaś o nim? I gdzie jest twoja alchemiczka?

Każde słowo, którym we mnie cisnął, było jak strzała przesywająca moje serce gorzej niż zrobiły to kule. Fakt, że nazwał Jill jej pełnym imieniem zamiast "podlotka" przysporzył dodatkowego bólu. Już dźwigałam spory ciężar poczucia winy z jej powodu, ale inni... cóż, byli tajemnicą. Słyszałam plotki o Eddim, ale nie widziałam go od czasu powrotu. Został oczyszczony ze śmierci Jamesa, ale zabicie moroja – gdy inni nadal myśleli, że Eddie mógł pojmać go żywego – odcisnęło na nim ciężkie piętno.

Poprzednia niesubordynacja Eddiego – zawdzięczana mi – również go potępiła, nawet, jeśli to wszystko było dla "większego dobra". Nawet jako królowa, Lissa niewiele mogła zrobić. Strażnicy służyli morojom, ale zwyczajem było, że moroje usuwali się w cień pozwalając strażnikom zarządzać własnymi ludźmi. Eddie nie został odwołany ani uwięziony... ale jaki przydział mu dadzą? Trudno powiedzieć. A Sydney... była nawet jeszcze większą tajemnicą. *Gdzie jest twoja alchemiczka?* Sprawy dotyczące tej grupy były poza zasięgiem moim i mojego świata. Pamiętałam wyraz jej twarzy, gdy ostatni raz widziałam ją w tamtym hotelu – nieugięty, ale smutny. Wiedziałam, że od tamtego czasu ona i reszta alchemików zostali uwolnieni, ale jej mina mówiła, że jej kłopoty jeszcze się nie skończyły.

A Wiktor Daszkow? Gdzie on pasował? Nie byłem pewna. Zły czy nie, nadal był kimś, kto ucierpiał w wyniku moich działań. Wydarzenia otaczające jego śmierć zostaną ze mną na zawsze.

Szkody uboczne. Pociągnęłam za sobą na dno wielu ludzi, świadomie lub nie. Ale gdy słowa Adriana kontynuowały wpijanie się we mnie, jedno z nich sprawiło, że się zatrzymałam.

- Ofiara – powiedziałam wolno. – To różnica pomiędzy tobą, a mną.
- Co? – Uważnie mnie obserwował, gdy rozważałam losy moich przyjaciół i teraz został zaskoczony. – O czym ty mówisz. ?
- Powiedziałaś, że byłeś ofiarą. To dlatego... To dlatego ostatecznie do siebie nie pasujemy. Bez względu na wszystko, co się wydarzyło, nigdy nie myślałam o sobie w ten sposób. Bycie ofiarą oznacza, że jesteś bezsilny. Że nie podejmujesz działania. Ja zawsze... zawsze robiłam coś, by walczyć dla siebie... i dla innych. Choćby nie wiem co.

Nigdy nie widziałam na twarzy Adriana takiego oburzenia.

- To o mnie myślisz? Że jestem leniwy? Bezsilny?

Niezupełnie. Ale miałam wrażenie, że po tej rozmowie ucieknę w wygodę swoich papierosów i alkoholu, i być może w jakieś damskie towarzystwo, jakie zdoła znaleźć.

- Nie – powiedziałam. – Myślę, że jesteś niesamowity, silny. Ale nie uważam, że zdajesz sobie z tego sprawę – ani że wiesz, jak wykorzystywać którąś z tych cech.

I, chciałam dodać, ja nie byłam osobą, która mogła go do tego natchnąć.

- To – powiedział ruszając w kierunku drzwi – była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałem. Niszczysz moje życie, a potem karmisz mnie inspirującą filozofią.

Czułam się okropnie. To był jeden z tych momentów, w których pragnęłam, by moje usta nie chlapnęły pierwszej lepszej rzeczy, która przyszła mi do głowy. Nauczyłam się sporej samokontroli – ale nie wystarczającej.

- Mówię ci tylko prawdę. Jesteś więcej wart niż sądzisz... więcej niż cokolwiek, co zamierzasz teraz zrobić.

Jego ręka opadła na klamkę i Adrian rzucił mi smutne spojrzenie.

- Rose, jestem nałogowcem pozbawionym kultu pracy, który prawdopodobnie zmierza ku szaleństwu. Nie jestem jak ty. Nie jestem superbohaterem.
- Jeszcze nie – odparłam.

Zadrwił kręcąc głową i otworzył drzwi. Tuż przed wyjściem posłał mi jeszcze jedno spojrzenie przez ramię.

- Tak przy okazji, kontrakt jest nieważny.

Czułam się, jakbym została spoliczkowana. I w jednym z tych rzadkich momentów, Rose Hathaway odebrało mowę. Nie miałam żadnych dowcipnych ripost, żadnych przygotowanych wyjaśnień i żadnych głębokich spostrzeżeń.

Adrian wyszedł, a ja się zastanawiałam czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczę.

Tłumaczenie: Ginger_90

Korekta: Qbac, Justa2705

Rozdział trzydziesty szósty

CZĘSTO MARZYŁAM O budzeniu się z Dymitrem, budzeniu w sposób, który był... zwyczajny. Przyjemny. Ale nie dlatego, że pospiesznie próbowaliśmy złapać trochę snu przed walką z naszym wrogiem. Nie dlatego, że musieliśmy ochłonać po seksie, który musiał pozostać w ukryciu, seksie obciążonym ciężarem i mnóstwem komplikacji. Chciałam tylko żebyśmy budzili się razem, chciałam być w jego ramionach i mieć dobry poranek.

Dzisiaj był taki dzień.

- Od jak dawna nie śpisz? – zapytałam sennie.

Moja głowa leżała na jego klatce piersiowej, a reszta mojego ciała była wtulona w niego najmocniej, jak tylko mogłabym sobie wyobrazić. Moje rany goiły się w zastraszającym tempie, ale nadal musiałam być niańczona, jednak wczoraj wieczorem znaleźliśmy kilka kreatywnych obejść. Światło słoneczne wpadało przez okna kąpiąc moją sypialnię w złocie. Patrzył na mnie w ten swój spokojny, poważny sposób, tymi ciemnymi oczami, w których łatwo się było zatracić.

- Chwilę – przyznał, przenosząc wzrok na wypełnione światłem słonecznym okno. – Sądzę, że nadal funkcjonuję według ludzkiego rozkładu dnia. Albo to, albo moje ciało po prostu nie chce spać, gdy wschodzi słońce. Widzenie go wciąż mnie zdumiewa.

Powstrzymałam ziewnięcie.

- Powinieneś był wstać.
- Nie chciałem cię obudzić.

Przejechałam palcem po jego klatce, wzdychając z zadowoleniem.

- To się nazywa perfekcja – powiedziałam. – Czy każdy dzień taki będzie?

Dymitr oparł swoją dłoń o mój policzek, a następnie przesunął ją w dół, podnosząc moją brodę.

- Nie każdy, ale większość.

Nasze wargi się spotkały, a ciepło i światło wypełniające pokój zbladły w porównaniu z tym, co we mnie zapłonęło.

- Myliłam się – mruknęłam, kiedy w końcu przerwaliśmy długi, powolny pocałunek. – *To jest perfekcja.*

Uśmiechnął się, co robił ostatnio okropnie często. Kochałam to. Rzeczy prawdopodobnie ulegną zmianie, kiedy znowu wrócimy do świata. Nawet, jeśli teraz byliśmy razem, strażnicza strona Dymitra zawsze tam będzie, czujna i gotowa. Ale nie teraz. Nie w tym momencie.

- Co się stało? – zapytał mnie.

Z początku nie zorientowałam się, że zaczęłam się krzywić. Próbowałam rozluźnić swoją twarz. Zupełnie nieproszone, wróciły do mnie słowa Adriana, że gdy następnym razem będę w łóżku z Dymitrem, powinnam pomyśleć o innych, którzy nie byli tacy szczęśliwi.

- Uważasz, że zrujnowałam życia innym? – spytałam.
- Co? Oczywiście, że nie. – Uśmiech zamienił się w szok. – Skąd ci to przyszło do głowy?

Wzruszyłam ramionami.

- Po prostu są ludzie, których życia nadal są w pewnego rodzaju bałaganie. Mam na myśli swoich przyjaciół.
- Prawda – powiedział. – Niech zgadnę, chcesz naprawić ich wszystkie problemy.

Nie odpowiedziałam.

Dymitr znowu mnie pocałował.

- Roza – powiedział – to normalne, że chcesz pomóc ludziom, których kochasz, ale nie możesz naprawić wszystkiego.
- To właśnie robię – odarłam, czując się lekko rozdrażniona. – Chronię ludzi.
- Wiem i to jeden z powodów, dla których cię kocham. Ale teraz musisz się martwić o chronienie jednej osoby – Lissy.

Przeciągnęłam się leżąc przy nim. Zauważyłam przy tym, że moje rany naprawdę się stale poprawiały. Moje ciało wkrótce będzie zdolne do robienia wszelkiego rodzaju rzeczy.

- Przypuszczam, że to oznacza, że nie możemy zostać w łóżku cały dzień? – spytałam z nadzieją.
- Obawiam się, że nie – powiedział lekko przebiegając koniuszkami palca wzdłuż krzywizny mojego biodra. Nigdy nie wydawał się znudzić studiowaniem mojego ciała. – Oni są ważniejsi.

Z powrotem przyciągnęłam swoje usta do jego.

- Ale nie przez jeszcze trochę.
- Nie – zgodził się. Jego ręka przesunęła się ponownie do mojej szyi, płacząc się we włosy, gdy przyciągnął mnie bliżej. – Nie przez jeszcze trochę.

Nigdy wcześniej nie uczestniczyłam w koronacji monarchy i szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że już nigdy nie będę. Pragnęłam by to było jedyne zaprzysiężenie królowej w moim życiu.

Co niesamowite, koronacja była swego rodzaju przeciwieństwem pogrzebu Tatiany. Co mówiło stare porzekadło? *Umarł król, niech żyje król!*⁵³

Zwyczajem było, że przyszedł monarcha spędzał pierwszą część dnia koronacji w kościele, przypuszczalnie modląc się o wskazówki, siłę i wszelkiego typu duchowe rzeczy. Nie byłam pewna, co zwyczaj mówił o przypadku monarchy–ateisty. Prawdopodobnie udawał. Ale w przypadku Lissy, która była dość pobożna, wiedziałam że to nie było problemem i że prawdopodobnie zgodnie z obyczajem gorąco modli się, by dobrze sprawować swoją funkcję jako królowa.

Po czuwaniu, Lissa i ogromny pochód przeszedł z powrotem przez Dwór do budynku pałacu, gdzie miała miejsce koronacja. Dołączyli do niej przedstawiciele wszystkich rodzin królewskich wraz z muzykami, którzy grali o wiele pogodniejsze melodie niż podczas żałobnej procesji Tatiany. Strażnicy Lissy – miała ich teraz całą gwardię – szli z nią. Byłam pośród nich, ubrana w najlepszy czarno–biały kostium, wliczając w niego czerwony kołnierzyk uznający mnie za strażnika królowej. Przynajmniej tutaj była zauważalna różnica w porównaniu do pogrzebu. Tatiana była martwa i jej strażnicy byli wystawieni na pokaz. Lissa była bardzo żywa i choć mimo tego, że wygrała głosowanie Rady, nadal miała wrogów. Moi koledzy i ja byliśmy w stanie wysokiej gotowości.

Nie żebyście myśleli, że musieliśmy być, nie, gdy wszyscy widzowie wiwatowali. Wszyscy ci, którzy koczowali na zewnątrz podczas testów i elekcji, stali teraz za tymi fanfarami, ciągle je wznosząc. Nie byłam pewna czy kiedykolwiek tak wielu morojów znajdowało się w jednym miejscu.

Po długim i krętym spacerze, Lissa udała się do budynku pałacu i czekała w małym przedpokoju przyległym do pomieszczenia, które służyło morojom jako sala tronowa. We współczesnych czasach sala tronowa była niemalże nieużywana, ale raz na jakiś czas – jak zaprzysiężenie nowej królowej – moroje lubili wskrzeszać starodawne tradycje. Pokój był jednak niewielki i nie mógł pomieścić wszystkich świadków z zewnątrz.

Nawet ja nie byłam w stanie ich ogarnąć. Ale w środku była Rada i najważniejsi rangą członkowie rodzin królewskich, razem z jakimiś wybranymi gośćmi zaproszonymi przez Lisę.

Stałam z boku, odsunięta od nich na znaczną odległość, obserwując roztaczający się splendor. Lissa nie zrobiła jeszcze swojego wielkiego wejścia, więc w sali rozbrzmiewał niski pomruk rozmów. Pokój był cały zielony i złoty, po gruntownych zmianach, jakie wprowadzono w czasie szybkiej przebudowy w ciągu ostatnich kilku dni, gdyż zazwyczaj w sali tronowej dominowały kolory narzucone przez panującą rodzinę. Sam tron stał na podwyższeniu przy przeciwległej ścianie, z prowadzącymi do niego schodkami. Wyrzeźbiony z drewna, którego nie umiałam zidentyfikować, przez wieki podróżował po całym świecie za morojскими monarchami.

⁵³ *The queen is dead. Long live the queen.* – czyli dosł. *Królowa nie żyje. Niech żyje królowa*, ale u nas się używa tylko płci męskiej. A przynajmniej nie słyszałam żeby używano żeńskiej. Może nie jestem na czasie – przyp. Ginger

Ludzie ustawiali się w szeregach w starannie wyznaczonym porządku, przygotowując się na nadejście Lissy, która wchodziła ostatnia. Obejrzałam dokładnie jeden z nowych zyrandoli, podziwiając jak "realistycznie" wyglądały na nim świece. Wiedziałam, że są elektryczne, ale rzemieślnicy wykonali kawał dobrej roboty. Technologia zamaskowana chwałą "starego świata" – tak jak lubili moroje. Małe szturchnięcie odwróciło od niego moją uwagę.

- No proszę, proszę – powiedziałam. – Jakby to nie byli ludzie odpowiedzialni za wypuszczenie w świat Rose Hathaway. Za wiele odpowiadacie.

Moi rodzice stali przede mną w swoich typowych i wściekle kontrastujących ubraniach. Moja mama miała na sobie taki sam strój strażnika jak ja, białą koszulę z czarnymi spodniami i marynarką. Abe był... cóż, Abem. Miał na sobie czarny prążkowany garnitur z czarną, frakową koszulą pod spodem. Plamą na ciemnych kolorach stroju był jasny, cytrynowo–żółty krawat w orientalne wzory. Z kieszeni marynarki wystawała pasująca do niego chustka. Oprócz swoich złotych kolczyków i łańcuchów, założył również fedorę,⁵⁴ która była nowym dodatkiem do jego dziwacznej garderoby. Domyślałam się, że przy takim wydarzeniu chciał pójść na całość. Przynajmniej nie był to piracki kapelusz.

- Nie zrzucaj na nas winy – powiedziała moja matka. – Nie wysadziliśmy w powietrze połowy Dworu, nie ukradliśmy tuzina samochodów, nie wywołaliśmy mordercy ze środka tłumu, ani nie sprawiliśmy, że nasza nastoletnia przyjaciółka została koronowana na królową.
- Właściwie – powiedział Abe – to *wysadziłem* połowę Dworu.

Moja mama zignorowała go. Jej wyraz twarzy złagodniał, gdy studiowała mnie swoimi strażniczymi oczami.

- A poważnie... jak się czujesz? – Widziałam ich jedynie przelotnie w ciągu tych kilku dni od wybudzenia się, tylko tyle by wszyscy mogli sprawdzić, co u siebie słychać. – Stojąc podejmujesz dzisiaj okropny wysiłek. Już powiedziałam Hansowi, żeby przez jakiś czas nie przydzielał ci aktywnej służby.

To była najbardziej matczyzna rzecz, jaką kiedykolwiek od niej usłyszałam.

- Eee... Ze mną wszystko dobrze. A nawet lepiej. Już teraz mogę podjąć aktywną służbę.
- Absolutnie tego nie zrobisz – powiedziała takim samym tonem, jakiego używała do wydawania rozkazów oddziałowi strażników.
- Przestań ją rozpieszczać, Janine.
- Nie rozpieszczam jej! Troszczę się o nią. To ty ją rozpuszczasz.

Ze zdumieniem patrzyłam tam i z powrotem. Nie wiedziałam czy byłam świadkiem walki, czy gry wstępnej. Nie byłam zachwycona żadną z tych opcji.⁵⁵

- Dobra, dobra, tylko przestańcie. Liczy się to, że przeżyłam, prawda?

⁵⁴ *fedora* – rodzaj kapelusza filcowego – przyp. Ginger

⁵⁵ My zdecydowanie wolimy grę wstępną. Czarna już coś skrobie xD – przyp. badasski

- Zgadza się – powiedział Abe. Nagle wydawał się bardzo ojcowski, co zdziwiło mnie nawet bardziej, niż zachowanie mojej mamy. – I pomimo naruszenia mienia i zostawienia za sobą wianuszka złamanych praw, jestem z Ciebie dumny.

Potajemnie podejrzewałam, że był dumny właśnie z tych rzeczy. Mój wewnętrzny cyniczny komentarz został powstrzymany, kiedy moja mama zgodziła się z nim.

- Ja również jestem dumna. Twoje metody... nie były idealne, ale dokonałaś wielkiej rzeczy. Naprawdę *wielkiej*, znajdując zarówno mordercę jak i Jill. - Zauważyłam jej ostrożne wypowiedzenie słowa "morderca". Sądziłam, że wszystkim nam ciągle trudno było zaakceptować prawdę o Taszy. – Wiele się zmieni dzięki Jill.

Wszyscy spojrzeliśmy w stronę podnóża tronu. Po jednej stronie stała gotowa do działania Ekaterina, z księgą królewskich ślubów. Druga strona była przeznaczona dla członków rodziny monarchy – ale tylko jedna osoba tam stała. Jill. Ktoś wykonał dobrą robotę doprowadzając ją do porządku. Jej kręcone włosy zostały misternie wystylizowane i spięte szpilkami. Miała na sobie obcisłą sukienkę do kolan, z szerokim kołnierzykiem w epokowym stylu, ledwo odkrywającym jej ramiona. Krój sukienki bardzo korzystnie podkreślał jej chudą figurę, a ciemnozielona satyna dobrze wyglądała z jej rysami. Stała prosto z wysoko uniesioną brodą, jednak wypełniał ją niepokój, który był bardzo oczywisty, gdyż stała w tak widocznym miejscu sama.

Spojrzałam ponownie na Abe, który wyczekująco spotkał moje oczy. Miałam do niego wiele pytań, a on był jedynym z niewielu, którzy mogli mi powiedzieć prawdę. Problemem było, które pytanie zadać najpierw? To było jak posiadanie dzina. (Jakby Abe nauczył się latać i był niebieski, to bym się zgodziła :D Biedna tylko wtedy smerfetka – Gin. Aj tam... Smerfetka ma aż za dobrze z tyloma facetami :P Abe by tam zrobił porządek :P – przyp. Qba). Miałam tak wiele życzeń.

- Co się stanie z Jill? – zapytałam ostatecznie. – Tak po prostu wróci do szkoły? Zamierzają nauczyć ją jak być księżniczką?

Lissa nie mogła być jednocześnie królową i księżniczką, więc stary tytuł przeszedł do następnego najstarszego członka jej rodziny.

Abe nie odpowiadał przez kilka sekund.

- Do czasu, gdy Lissa zdoła zmienić prawo – a miejmy nadzieję, że zdoła – Jill jest wszystkim, co pozwala jej zachować tron. Jeśli coś się stanie Jill, Lissa nie będzie już dłużej królową. A więc, co zrobisz?
- Zapewnię jej bezpieczeństwo.
- Zatem masz odpowiedź.
- Jest raczej ogólnikowa – powiedziałam. – "Bezpieczeństwo" oznacza wiele rzeczy.
- Ibrahimie – ostrzegła moja matka. – Wystarczy. To nie jest czas ani miejsce.

Abe podtrzymał moje spojrzenie trochę dłużej, po czym przełamał je swobodnym uśmiechem.

- Oczywiście, oczywiście. To rodzinne spotkanie. Świątowanie. Och, spójrz, oto jest najnowszy jej członek.

Dołączył do nas Dymitr, ubrany na czarno biało jak moja matka i ja. Stał obok mnie, demonstracyjnie mnie nie dotykając.

- Panie Mazur – powiedział formalnie, na przywitanie kiwając głową do obojga. – Strażniczko Hathaway.

Dymitr był ode mnie siedem lat starszy, ale akurat teraz, stojąc twarzą w twarz z moimi rodzicami wyglądał jak szesnastolatek mający zamiar zabrać mnie na randkę.

- Ach, Bielikow – powiedział Abe potrząsając ręką Dymitra. – Miałem nadzieję, że wpadniemy na siebie. Bardzo chciałbym cię lepiej poznać. Może uda nam się zarezerwować trochę czasu na rozmowę, nauczyć się więcej o życiu, miłości i tym podobnych. Lubisz polowania? Wyglądasz na myśliwego. Powinniśmy się kiedyś razem wybrać. Znam doskonale miejsca w lasach. Bardzo, bardzo odległe. Moglibyśmy wybrać się tam na cały dzień. Mam do ciebie naprawdę dużo pytań... Mam ci też wiele do powiedzenia.

Rzuciłam spanikowane spojrzenie mojej matce, cicho błagając ją o przerwanie tego.

Abe spędził sporo czasu na rozmowach z Adrianem, kiedy się umawialiśmy, barwnie i dogłębnie opisując to, jak chce by jego córka była traktowana. Nie chciałam by Abe zabierał Dymitra w pojedynkę na pustkowie, zwłaszcza gdyby w sprawę była uwikłana broń palna.

- Właściwie – powiedziała mimochodem moja matka – to chętnie poszłabym z wami. Ja również mam sporo pytań, zwłaszcza dotyczących czasu, gdy wasza dwójka była w Akademii.
- Czy wy przypadkiem nie musicie być gdzieś indziej? – zapytałam szybko. – Zaraz zaczynamy.

To akurat było prawdą. Niemal każdy znajdował się już na swoim miejscu i tłum cichnął.

- Oczywiście – powiedział Abe i ku mojemu zdziwieniu, przed oddaleniem się pocałował mnie w czoło. – Cieszę się, że wróciłaś. – Po czym z mrugnięciem zwrócił się do Dymitra. – Nie mogę się doczekać naszej pogawędki.
- Uciekaj – powiedziałam, kiedy oboje się oddalili. – Jeśli wymkniesz się teraz, może nie zauważą. Wracaj na Syberię.
- Właściwie – powiedział Dymitr – to jestem całkiem pewien, że Abe zauważy. Nie martw się, Roza. Nie boję się. Przyjmę na siebie wszystkie reprimendy dotyczące naszego związku. Jest tego warty.
- Naprawdę jesteś najdzielniejszym facetem, jakiego znam – powiedziałam mu.

Zgodnie z majestatycznym zwyczajem, herold poprosił pokój o uwagę. Zapadła idealna cisza. Nie moglibyście usłyszeć nawet oddychania. Herold odsunął się od drzwi.

- Księżniczka Wasylisa Sabina Rhea Dragomir.

Weszła Lissa i pomimo, że widziałam ją mniej niż pół godziny temu, i tak wstrzymałam oddech. Miała na sobie uroczystą suknię, ale ponownie uniknęła długich rękawów. Projektant bez wątpienia był zdolny. Suknia sięgała do ziemi, z jedwabną spódnicą z szyfonowymi warstwami poruszającymi się i trzepoczącymi wokół Lissy, gdy szła do przodu. Materiał był tak samo jadeitowy jak jej oczy i góra sukienki, z wąskim kołnierzykiem pokrytym szmaragdami, które sprawiały wrażenie naszyjnika. Takie same szmaragdy zdobiły pasek sukienki, a całości dopełniały bransoletki. Jej włosy były rozpuszczone, zaczesane w lśniąca, platynową perfekcję i niemal otoczone aurą.

Obok niej szedł Christian, stanowiąc ostry kontrast ze swoimi czarnymi włosami i ciemnym garniturem. Zwyczaje zostały dzisiaj znacząco zmodyfikowane, gdyż normalnie Lissę eskortowałby członek rodziny, ale... ich pula się w pewnym sensie wyczerpała. Nawet ja musiałam przyznać, że wyglądał niesamowicie. Jego duma i miłość do Lissy promieniowała na jego twarzy – bez względu na wrzące w nim kłopotliwe uczucia, związane z Taszą. *Lord Oзера*, przypomniałam sobie. Miałam uczucie, że ten tytuł będzie się stawał teraz coraz ważniejszy. Odprowadził Lissę do podstawy tronu, a następnie dołączył do delegacji Ozerów zebranych w tłumie.

Ekaterina wykonała mały gest w kierunku dużej, satynowej poduszki leżącej na podłodze przed podestem.

- Uklęknij.

Ze strony Lissy nadeszło nagle wahanie, ale myślę, że tylko ja je zauważyłam. Nawet bez więzi byłam tak dopasowana do jej nastroju i najmniejszych gestów, że mogłam wyłapać takie rzeczy. Jej oczy powędrowały do Jill. Wyraz twarzy Lissy nie zmienił się i dziwne było nie wiedzieć, co czuje. Mogłam wywnioskować jakieś oczywiste rzeczy. Niepewność. Zmieszanie.

I ponownie – pauza przedłużyła się tylko o chwilę. Lissa uklękła, pomysłowo rozkładając wokół siebie spódnicę. Ekaterina zawsze wyglądała na bardzo słabowitą i pomarszczoną w tamtym pokoju testowym, ale gdy stała tam teraz, trzymając starożytną księgą koronacyjną morojów, mogłam poczuć, że w tej dawnej królowej ciągle tkwi moc.

Księga była napisana w języku rumuńskim, ale Ekaterina bez wysiłku ją przetłumaczyła czytając ją na głos, zaczynając od przemówienia mówiącego, czego się spodziewano od monarchy, a następnie przeszła do przyrzeczeń, które musiała złożyć Lissa.

- Czy będziesz służyć?
- Czy będziesz chronić swoich ludzi?
- Czy będziesz sprawiedliwa?

Było ich w sumie dwanaście i Lissa przy każdym z nich musiała trzykrotnie powtórzyć "tak" – po angielsku, rosyjsku i rumuńsku. Nieposiadanie więzi, która by potwierdziła jej uczucia, ciągle było bardzo dziwne, ale na jej twarzy mogłam zobaczyć, że każde słowo, które

wypowiedziała było prawdą. Kiedy ta część dobiegła końca, Ekaterina dała Jill sygnał, by wyszła do przodu. Od czasu, gdy ostatni raz na nią spojrzełam, ktoś dał jej do trzymania koronę. Była zrobiona dla Lissy na zamówienie, majstersztyk zrobiony z białego i złotego złota, splecionego ze szmaragdami i diamentami. Pięknie dopełniała jej strój i jak zauważyłam na początku, Jill również.

Kolejną tradycją mówiła, że monarcha jest koronowany przez członka swojej rodziny i właśnie do tego została przeznaczona Jill. Mogłam zobaczyć jak jej ręce trzęsą się, gdy wkłada ozdobione klejnotami cudo na głowę swojej siostry. Ich oczy spotkały się na krótką chwilę. W oczach Lissy ponownie zawirował przeblysk mętnych emocji, ale szybko zniknął, gdy Jill cofnęła się i waga uroczystości podjęła pierwszeństwo.

Ekaterina podała swoją rękę Lissie.

- Powstań – powiedziała. – Już nigdy przed nikim nie uklęknieś.

Trzymając rękę Lissy, Ekaterina odwróciła się, by obie stały twarzą do reszty w pokoju.

Głosem zaskakującym jej małe ciało, Ekaterina oświadczyła:

- Królowa Wasylisa Sabina Rhea Dragomir pierwsza.

Wszyscy w pokoju – poza Ekateriną – opadli na kolana pochylając głowy. Minęło tylko kilka sekund, zanim Lissa powiedziała "powstańcie". Powiedziano mi, że to zależało od uznania monarchy. Niektórzy nowi królowie i królowe czerpali radość z tego, że ludzie długi czas klęczeli.

Nadszedł czas na papierkową robotę, którą wszyscy pilnie obserwowaliśmy. W zasadzie polegała na tym, że Lissa musiała podpisać, że została królową, podczas gdy Ekaterina i kilku świadków podpisywali, że widzieli jak Lissa została królową. Podpisano trzy egzemplarze na ozdobnym królewskim papierze, który tak kochali moroje. Jednym z nich był zwykły biały firmowy papier, który zostanie dostarczony alchemikom.

Kiedy podpisywanie się zakończyło, Lissa zajęła swoje miejsce na tronie. Patrzenie jak kroczy po schodach ku górze zapierało dech w piersiach i ten obraz zostanie ze mną do końca mojego życia. Pokój rozbrzmiał okrzykami i oklaskami, gdy zasiadała na zdobionym krześle. Nawet strażnicy, którzy normalnie zachowywali śmiertelną powagę, dołączyli do aplauzu i świętowania. Lissa uśmiechała się do wszystkich, ukrywając jakikolwiek niepokój, który czuła.

Przejrzała pokój i jej uśmiech poszerzył się, gdy zobaczyła Christiana. Potem odszukała mnie. Jej uśmiech dla niego był czuły, zaś ten dany mi zawierał odrobinę humoru. Odwzajemniłam jej uśmiech, zastanawiając się, co by mi powiedziała, gdyby mogła.

- Co cię tak śmieszy? – zapytał Dymitr, patrząc na mnie w dół z rozbawieniem.
- Po prostu się zastanawiam, co powiedziałaby mi Lissa, gdybyśmy nadal miały więź.

W bardzo z brzydkim naruszeniu strażniczego protokołu, złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

- I? – spytał, biorąc mnie w objęcia.
- Myślę, że zapytałaby "W co myśmy się wpakowały?"
- Jaka byłaby odpowiedź?

Otoczyło mnie jego ciepło, tak jak jego miłość i ponownie poczułam tę kompletność. Odzyskałam z powrotem ten brakujący kawałek mojego świata. Duszę, która uzupełniała moją. Moją drugą połówkę. Mojego partnera. I nie tylko to. Odzyskałam z powrotem swoje życie – swoje *własne* życie. Będę ochraniała Lisę, będę wypełniała obowiązki, ale w końcu byłam tylko sobą.

- Nie wiem – powiedziałam opierając się o jego klatkę piersiową. – Ale myślę, że będzie dobrze.

KONIEC.

Tłumaczenie: Ginger_90

Korekta: Qbac, Justa2705

Cóż, to już jest koniec, nie ma już nic...

Tymczasem w kwaterze BAGu...

- Chwila, coś mi tu nie pasuje.

Czarna zmarszczyła brwi, usilnie wpatrując się w ostatnią stronę egzemplarza *Last Sacrifice*, który dopiero co ujrzał światło dzienne.

- Co takiego? – spytałam sennie White, wchodząc do pokoju i przeciągając się.

Czarna zignorowała ją, w dalszym ciągu usilnie skupiając się na gapieniu w książkę, zupełnie jakby miało się z tego urodzić dziecko. White przestała się przeciągać i usiadła na brzegu skórzanej kanapy.

Qbac, jako jedyny prawdziwy mężczyzna w tajnej kwaterze BadAssu, przestał czyścić swój ciężki sprzęt, którego dziewczęta nawet nie potrafiły nazwać i podszedł do stolika wstawić wodę na kawę. White posłała mu wdzięczne spojrzenie i rozejrzała się po kwaterze głównej.

Zaledwie przedwczoraj o trzeciej nad ranem wszyscy skończyli pracę, po czym oddali wszystko swojej postrzelonej pseudo-samozwańczej-szefowej, która rzuciła się na stos papierków jakby to była broń masowego rażenia (czym zapewne była), po czym zabarykadowała się z nimi w swoim gabinecie, wywieszając na drzwiach tabliczkę, że każdy wchodzący do środka robi to na własną odpowiedzialność. To oczywiście znaczyło, że nikt o zdrowych zmysłach miał się nie zbliżać do zachodniego skrzydła kwatery bez spisania wcześniej testamentu. Ginger była furiantką, jeśli szło o pracę.

Pomimo przespania całego dnia, White była piekielnie zmęczona. Oparła nogi o stół, rozkładając się wygodnie. Była cała zeszywniała od ciągłego siedzenia przed komputerem. Nie tylko zresztą ona. Katie, Em, Justa i Mag też nie wyglądały najlepiej, nie mówiąc o reszcie. Z tego co wiedziała, to niektórzy jeszcze pracowali. A przynajmniej jak przypuszczała – po części. Idąc do salonu ze swojego pokoju, mijała biuro główne, skąd dochodziły ciągle klikania, przekleństwa i śmiechy. Doprawdy, White nie wiedziała skąd ci ludzie mieli jeszcze siły na śmianie się. Jej brzuch odmówił posłuszeństwa już kilka dni temu.

- Z mlekiem czy bez?

White zerknęła na Qbę, próbując zmusić swój mózg do wysiłku. Chciała mleko czy nie? Już chciała powiedzieć tak, ale poczuła, że musi dostać porządnego kopa.

- Bez, dzięki – powiedziała szybko, rzucając mu olśniewający uśmiech i wzięła od niego gotową kawę, ostrożnie stawiając ją na stoliku.

Qba wrócił do swojego zajęcia, a White nie mając nic więcej do roboty niż walka ze zmęczeniem, obserwowała jak czyści coś, co wyglądało na lufę niezłego karabinu, o ile mogła tak to nazwać. Żadna z nich nie znała się na tak zaawansowanym sprzęcie. Zwykle do

swoich celów wykorzystywały tasaki, siekiery, majtki, wiertarki, granaty... nie wspominając o BUZIaczku Szazi, którego właścicielka pilnie strzegła.

A pro po Szazi... okazało się, że dziewczyna ma dosłownie diabła za skórą. Albo i gorzej. Ona mu szefuje. White naprawdę nie chciałyby być w skórze pani Mead po tym, jak biedna Szazi zareagowała na książkę. Nawet Ginger założyła papierowy hełm i schowała się pod biurkiem, wywieszając białą flagę i wypychając stamtąd naszego ochroniarza, który rozmawiał chyba z linią zero siedemset.

W każdym bądź razie, z Szazi nie było najlepiej. Dziewczęta chciały zostawić ją samą, ale White wpadła na pomysł, żeby do kwatery sprowadzić Tusię i Cheeri w celu poprawiania jej humoru. Jednakże tajna akcja zabrania dziewczyn i przewiezienia ich z zasłoniętymi oczami do BAGu nie bardzo się powiodła.

Otóż, okazało się, że samolot pilotuje pijana Dev, śpiewając zboczone piosenki o gumisiach, a z tyłu trwa impreza na cześć Yen... No cóż, badasskom i ich gościom nie pozostało nic innego, jak do nich dołączyć... co skończyło się całodniową libacją i sześcioroma próbami podejścia do lądowania – dlaczego? Otóż Dev wydawało się, że widzi papę smerfa goniącego smerfetkę i chciała go „przelecieć” samolotem, co omal nie skończyło się wylądowaniem na Kilimandżaro. Na szczęście Czarna w porę ją powstrzymała i skierowała na odpowiedni kurs. Pilnowała jej przez jakiś czas, a potem zmieniła ją White – tak White, bo szefowa Ginger haftowała w tym czasie w kiblu, a co dziwne zmieściła się tam z Elect – która co chwila musiała upominać Dev o obranym kursie.

Po niedoszłym zaliczeniu Kilimandżaro, były jeszcze Wyspy Dziewicze, Wyspy Owcze, Rio de Janeiro, siedziba Playboya i bar w Santa Lupe. Gdy byli nad tym ostatnim, White dała znać Ginger i badasski spuściły po linach nieproszonych gości, mówiąc, że ta impreza to tak naprawdę tajny kurs ninja. Oczywiście niektórych w wysokim stanie wskazującym trzeba było przypiąć do spadochronów i życzyć miłego spadania, wykopując ich przez luk bagażowy.

W każdy bądź razie, przy siódmej próbie lądowania okazało się, że Dev trafiła w końcu do siedziby BAGu. White omal nie pocałowała wtedy ziemi z uciechy. Badasski pozbierały siebie i gości, i niekształtną, narąbaną russian wódką masą, udały się do kwater mieszkalnych.

Szazi nie za bardzo ucieszyła się z widoku Tusi i Cheer, ale kiedy wyszła z za nich zapomniana w samolocie Yen i wyciągnęła russian wódkę na powitanie, to od razu polepszył jej się humor. Umysł White nie bardzo pamiętał co się tam działo, ale miała jakieś przebłyski... jakiś gościu latał na miotle z majtkami na głowie, ktoś wypierdzielił przez okno cały papier toaletowy z łazienki, Cheer zagrała na skrzypcach falsetem serenadę o wiecznych dziewicach, a potem... Tak, chyba Dev wpadła z haszem i White miała po tym czarną dziurę w pamięci.

White pokręciła głową, próbując ją rozwiąć. W sumie nie potrzebowała wspomnień, by wiedzieć, że to była jedna z najlepszych imprez pod słońcem – albo raczej w jacuzzi.

– Hej, Czarna, mogę już go odzyskać?

White upiła łyk kawy i odwróciła się w kierunku Diotimy. Nie widziała jak wchodziła do pokoju, no ale szczerze, w stanie po tłumaczeniu zaprawionym szaloną imprezą alkoholową to nawet słonia w pokoju by nie zauważyła. Przynajmniej dopóki by na nią nie usiadł.

Czarna podniosła na nią oburzony wzrok.

- Po co ci? W biurze bet macie ich kilkanaście.
- No tak, ale... no wiesz... – ściszyła głos tak, że White ledwo ją usłyszała. – W tej jednej miałam nagie zdjęcie Dymi... eee... Bena Barnes'a podesłane przez anonimową fankę... więc sama rozumiesz...

White natychmiast zerwała się z miejsca oblewając kawą.

- Że co?!

Diotima otworzyła szeroko oczy, z przerażeniem obserwując jak White, Czarna i Cheer z Tusią, które weszły za nią do pokoju, patrzą na książkę głodnym wzrokiem....

A potem piekło spadło na ziemię.

W powietrzu latały wibratory, pióra z poduszek, talerze, komputery, tygodniowe skarpetki... White nie wiedziała kto z kim i jak się bił, ani czy przypadkiem sama się nie drapała i nie rwała włosów z głowy. Wiedziała tylko jedno: książka leżała na stole. A w książce...

- Aaaa!

Ktoś brutalnie ściągnął ją z – jak się potem okazało – Qby, który całym ciałem zasłaniał obiekt docelowy. White wyszarpnęła się, uderzając napastnika łokciem w brzuch, a potem w nogę i rzuciła się na zakładającego hełm kamikadze. Ledwo dotknęła go ręką, gdy powietrze przeszły strzały i krzyk.

- Jezusie! Gwałcą!

Wszystkie dziewczyny padły na podłogę, zasłaniając głowy rękoma. Po chwili nastała cisza i White podniosła wzrok. Na środku salonu stała wściekła Ginger z parą buchającą jej z nosa, trzymając w ręku colta.

- Co tu się do jasnego Dymitra dzieje?! Pracować nie można!

Wszystkie dziewczyny nagle umilkły, zaczynając się dziwnie czołgać do Qby, ale trzymając się z dala od lufy spluwy rozwścieczonej szefowej. White podążyła za nimi, niechcący wpadając na kogoś po drodze – jak się okazało, była to nieprzytomna Yen, chrapiąca jak stary pryk. White wyrwała jej z ręki resztki russian wódki w hartowanym szkłe i wypiła ją do cna, wiedząc, że nikt cało z tego nie wyjdzie.

Być może był to jej ostatni łyk trunku w życiu.

- Doczekam się odpowiedzi? – zażądała coraz bardziej rozjuszona Ginger. White mogłaby przysiąc, że widziała jak przerażone miny dziewczyn zamieniają się w czerwoną płachtę na byka. Pokręciła głową próbując rozwiać ten obraz.
- My eee...
- No ten teges... eee... bo Diot...
- Zamknij się kretynko!
- Bo... eee Czarna...
- Chcesz w ryj?
- A Chcesz zobaczyć jeszcze Dymitra? Nago?
- Yyy...
- Nago? – powtórzyła Ginger opuszczając broń. – Jak to nago?

Wszystkie dziewczyny jeszcze bardziej się skuliły pod zabójczym wzrokiem rudowłosej, a White zakryła się Yen, mając nadzieję, że w razie czego ona pierwsza oberwie i sama zdąży zwiać. Nie żeby miała jakieś spore szanse.

W końcu Czarna wstała z podłogi, otrzepując się i rzucając wściekle spojrzenie Qbie, który wyglądał, jakby właśnie odpoczywał po maratonie.

- Diot ma zdjęcie roznegliżowanego Bena Barnes’a – rzuciła jak gdyby nigdy nic.

White przysięgłaby na swoje ostatnie skarpetki, że ta informacja nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia. Zapadła taka cisza, że z nerwów udusiłaby gołymi rękoma wiatr jakby zawiął.

- Twierdzisz, że przerwałeś mi pracę, bo co...? Wywołałyście trzecią wojnę światową o... zdjęcie jakiegoś gołego faceta? – zmarszczyła czoło.
- Po części – skrzywiła się Tusia.

Dziewczęta pospiesznie pokiwały głowami.

- Hej, wcale nie jakiegoś! – oburzyła się Czarna. – To w końcu Ben Barnes... no wiesz... towarzysz Bielikow...

Zmarszczka na czole Ginger pogłębiła się jeszcze bardziej. Wyglądała jakby usiłowała coś sobie przypomnieć, ale jakoś jej nie szło.

- Dymitr Wspaniały? – spytała cicho Czarna zamyślając się.

Ginger pokręciła głową teraz z jawną konsternacją.

- Nie kojarzysz?

Dżizys. Tej kobiecie mózg się zlansował od pracy! Jak można nie kojarzyć Dymitra Wspaniałego? No jak? pomyślała White.

- Mały Dimi? – podpowiedziała Diotima, jeszcze bardziej pogłębiając konsternację szefowej.
- Dymcio? – dołączyła się nieśmiało Cheer, chowając za Czarną.
- Dymitr samozwaniec?
- Dymitrius drapiswędus?
- Dymko–wydymko?
- TurboDymkoman?
- MisiopysioDymaneczko?

Wszystkie cztery raptownie spojrzały na Cheer.

- No co, podobno Tasza go tak nazywała...
- A Kyyysz! Nie wypowiadaj imienia tej różowej lafiryndy spod sklepu za pięć złotych! – wrzasnęła Tusia rzucając się z pięściami na Cheer.

I to był moment w którym Czarna ostro się wkurzyła.

- No kuźwa, Ginger, tego ruskiego ciula spod siódmego szałas na Syberii nie pamiętasz? Tego, który myślał, że jest wiewiórką i ciągle wieszał się na gałęzi, a potem chodził po całej wiosce bez majtek krzycząc, że jest kosmitą?
- Aaaa, tego!
- Że co? – spytała Tusia chwilowo przerywając walkę, za co oberwała od Cheer pięknego prawego sierpowego.

Diotima, Czarna i White odetchnęły z ulgą.

- To ja ten teges... wezmę książkę i pójdę zobaczyć czy mnie w łazience nie ma... a wy kontynuujcie...

Jeśli Qbac myślał, że się ulotni, to się pomylił. Grubo. Może i był facetem i miał jajca, ale w tym budynku... cóż, nikt nie podskakiwał Ginger. A jak podskakiwał, to już nie miał na czym.

- Wróc – Ginger ledwo podniosła rękę, by go zatrzymać. – Przynieś, połóż i wyjdź.

Qba zrobił minę, ale posłusznie wrócił i położył książkę na stoliku. Cała piątka dziewczyn wpatrywała się w nią jak sroki w kawał gnata, dopóki Ginger nie wzięła jej do ręki.

- Rekwiruję – oświadczyła, przy naszym zbiorowym jęku zawodzenia. Och, gdyby chociaż dała im rzucić okiem na to zdjęcie... choćby na chwilę... ach! – Do czasu, aż teksty zostaną skończone i będziecie mogły się wyszaleć. Bez dyskusji – rzuciła, gdy Diotima się nachmurzyła.

White mogłaby przysiąc, że ona i Czarna już układały w głowie plan jak wykraść książkę z tajnego sejfu w pokoju *jej samozwańczej wysokości*... taaak. Musiała się do nich przydybać.

- Ale obiecujesz, że potem nam oddasz? – Cheer zrzuciła z siebie Tusię, robiąc minę słodkiego kociaka ze Shreka.

Ginger spojrzała na nią i coś w jej rysach złagodniało.

- Oczywiście. Ale do tego czasu macie absolutny zakaz oglądania pornografii. – Cheer się skrzywiła, no ale cóż, nie łatwo być jedyną cnotką w grupie doświadczonych foczek. – Ech, dobrze że chociaż z Szazi nie ma takiego problemu.
- Jakby Szazi mogła dostać takie zdjęcie Adriana to zamiast trzeciej wojny światowej byłaby wojna atomowa z użyciem kotłów piekielnych – mruknęła pod nosem Tusia patrząc wilkiem na Ginger. – A pro po – dodała głośniejszym głosem – gdzie jest Szazi? Miała z nami oblecieć wszystkie tajne sexshopy Tatiany... podobno sprzedają tam jadalne żelki-matroszki.

Ginger spojrzała na zegarek.

- Skończyła pracę dwie godziny temu, więc pewnie jest u siebie. Hmm... może pomogłaby mi z tym rozdziałem, który... – i z tymi słowami skierowała się do drzwi, omal nie zabijając się o... kubek po kawie.

Gdy zamknęły się za nią drzwi, White wygrzebała się spod stolika, zrzucając z siebie uwaloną Yen.

- I coście narobiły? – rzuciła do nich z pretensją.

Cheer i Tusia spojrzały na nią nadąsane, po czym wróciły do walki. Czarna przewróciła oczami i wyszła po zapasowy egzemplarz Akademii, a Diotima usiadła na kanapie i załamała kręczę. White zdążyła przejrzeć pół barku w poszukiwaniu ginu z tonikiem dla siebie i Diot, gdy do pokoju z powrotem wpadła Ginger ciągnąc za sobą roztrzęsioną Czarną, Maggie i Max. O mało nie upuściła butelki ukochanego trunku.

- Alarm, Alarm! Wszyscy niech się zbierają! Ogłaszam kod 007!

Gin podbiegła do przeciwległej ściany i wcisnęła wielki, czerwony guzik oznaczony napisem „w razie wypadku” i nagle zaczęła się istna dyskoteka biało-czerwonych świateł, a nad głowami zawyły syreny. Pokój się zatrzęsł i po chwili na okna zaczęły się zasuwac kuloodporne ścianki działowe. Do pokoju ledwo zdążyli wpaść dwaj nasi uzbrojeni faceci, gdy i drzwi zostały opancerzone, a na środku salonu pojawił się długi stół z komputerami i tablicą.

- Ogłaszam stan wyjątkowy – powiedziała Ginger, gdy już wszyscy zajęli swoje miejsca. Co prawda Cheer i Tusia były cywilami, tak jak narąbana Yen, więc one siedziały sobie cichutko pod ścianą. – Szazi zniknęła.

Wszyscy raptownie wciągnęli powietrze.

White nie mogła w to uwierzyć. Szazi zniknęła? Ale Szazi? Ta wesoła dziewczyna przed którą sam diabeł się kłania? Ta, która jak chciała postawić na swoim to kiwnęła palcem i Ginger musiała sobie kupić nowe biurko? Ta, która z Law pisała te sławne komediowe elaboraty? Ta słodka Szazi, która rozwalala wszystkie bogobojne dziewczęta, nie pamiętające że Iwaszkow ma tylko jedną panią z bUZIaczkiem...?

Wszyscy siedzieli spięci, czekając na plan działania, tylko, że... Ginger na początku nie bardzo wiedziała od czego zacząć. Jednak jak przystało na szefową, szybko się pozbierała decydując, że najpierw nadamy kryptonim operacji. Poleciały różne propozycje, ale zostało na pingwinku. Nie pytajcie czemu.

- Kto ją widział po raz ostatni? – spytała Czarna, rzucając wyzywające spojrzenia.
- Ja widziałam ją dwie godziny i pięć minut temu – przyznała Ginger. – Oddała mi ostateczną wersję rozdziału i powiedziała, że idzie coś załatwić...
- Hmm – zamyśliła się White. – Może wzięła firmowy helikopter i poleciała do Drapci w odwiedziny jak obiecała?

Qba pokręcił głową.

- Raczej wybrałaby się do Law do Australii, żeby złapać sobie kangura. Mówiła, że z torbaczy wychodzą ładne wdzianka... as torebki.

Ginger zasiadła u szczytu stołu, wyciągając spod niego kopertę. Otworzyła ją i przyjrzała się jej zawartości, po czym pchnęła ją na środek i kazała każdemu wziąć sobie jedno zdjęcie.

- Dobra, uważajcie, bo nie będę powtarzać. Ty Elect sprawdzisz wszystkie kwatery i porozmawiasz z naszymi pilotami. Diot i Czarna zadzwonić do Law z zapytaniem o kangura. Mag i Max przeszukacie pokój Szazi, tylko ostrożnie bo nie wiadomo co tam może was ugryźć. Qba, przygotuj ciężką artylerię, a ty White pomóż mi namierzyć Drapcię.
- A my? - zapytała cicho Tusia, kuląc się niezręcznie pod ścianą.
- Możecie zaparzyć kawę.

Jak zarządziła szefowa tak i się stało. Po dziesięciu minutach była już przygotowana ciężka artyleria w postaci szczotki klozetowej, zepsutego UZI, bombki-wypierdówki, kilku granatów i suszarki Dev, która przespała cały ten rozgardiasz. Niestety nie było śladu po Szazi. Mag twierdziła, że w szafach nadal były ubrania, ale nie mogła ocenić czy cokolwiek zginęło bo nie wiedziała ile Szazi czego miała. Jak na gust White, to razem z Max bały się czegokolwiek dotykać, bojąc się, że Szazi niespodziewanie wyskoczy z szafy i zje je na dzień dobry. A jak nie Szazi, to jeden z jej małych diablików, które – White mogłaby przysiąc że – czasami musi pożyczać Ginger, żeby ta miała kogo poganiać.

Diot nie mogła dobić się do sejfu, gdzie były trzymane wszelkie tajne numery kontaktowe naszej firmy, więc Czarna odłożyła książkę i wzięła sprawy w swoje ręce. Szybko wystukała kod i wyjęła to, czego potrzebowały – tajny i podejrzenie wyglądający stosik kartek.

- Ugh, minęło sporo czasu odkąd użyliśmy naszego ostatniego kontaktu – tłumaczyła Diotimie, przeglądając skatalogowane świstki.

White w tym czasie uruchamiała komputery, zaś Ginger montowała sprzęt niezbędny do konferencji. Z tego co White widziała katem oka, to Dev robiła kawę, ale coś podejrzenie kręciła się przy ekspresie z jakimś przezroczystym płynem... Reszta uwijała się jak w ukropie.

- Święty Mikołaj? – Diotima zmarszczyła brwi podnosząc jeden ze świstków. – Macie do niego kontakt i ja się dopiero teraz o tym dowiaduję?
- Nie mamy na to czasu – Czarna brutalnie wyrwała jej świstek i zaczęła przeszukiwać kartotekę. – Gdzie to było... Merkel... .. Rysio z klanu... to chyba było wyżej... Baba Jaga... Chuck Norris... Książę Abdul... Lucyfer... nie, chyba... o jest i Law!

Nie zdążyłam nawet zobaczyć jak wyciąga telefon, gdy wcisnęła numer i już przyłożyła go do ucha. Wszyscy nagle przerwali swoje prace i wpatrywali się w nią wyczekująco. Jeden sygnał, drugi, trzeci, czwarty...

- Nie odbiera
- Spróbujmy na skype – zaproponowała Mag. – Może tajna linia...

Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Komputery uruchomiły się przed chwilą i Ginger akurat wtedy skończyła montować sprzęt, więc teraz wszystkie dziewczęta usadziły się za nią, gdy przechodziła na tajną linię Skype, zarezerwowaną tylko dla nas. Po chwili zgłosiła się Law. Wyglądała... *Jezusie*, pomyślała White, *czy ona ma na ramionach węża?*

- Law, czy jest z tobą Szazi? – Ginger nigdy nie bawiła się w takie pierdoły jak uprzejmości. Zawsze szła do sedna sprawy.
- Dlaczego miałyby być? - spytała ostrożnie, gładząc węża po łepku. – Nie widziałam jej... Hmm... chyba od ostatniego wypadu do Wirginii, gdzie wygrałyśmy paczkę żelak... co jest?
- Zaginęła – rzuciła Mag. – Nie wiemy gdzie...
- Dwie godziny temu skończyła pracę i od tamtej pory słuch po niej zaginął. Sądziłyśmy, że jest z tobą, bo wspominała, że poszukuje dla siebie kangura...
- Nie – Law pokręciła zdecydowanie głową. – Na kangury byłyśmy umówione za dwa tygodnie.

- Nie kontaktowała się z tobą dzisiaj? Nie mówiła nic, co mogłoby nas naprowadzić na to, gdzie jest lub... co się z nią stało? – zapytałam.
- Nie przypominam sobie – rzuciła Law. – Uruchomcie naszych agentów. Ktoś musiał ją widzieć. Jeśli chcecie, to mogę...
- Nie, nie – przerwała jej Ginger. – Poradzimy sobie. Dzięki.

Jedno pstryknięcie i przed nimi zamigotał czarny ekran. Nastąpiła cisza, zakłócona po chwili klikaniem klawiatury od komputera. Dziewczeta patrzyły jak Ginger wstukuje następny tajny kod i łączy się z kolejną linią. White zastanawiała się co do licha mogło się stać. Przecież Szazi nie wyjechałaby bez powiedzenia im o tym, lub zostawienia choćby krótkiego listu. To musiało być naprawdę coś poważnego.

Ekran znowu mignął i po drugiej stronie ukazała się...

- Cześć Drap, tu Ginger i reszta – machnęła na nas niechętnie ręką. – Jest z tobą może Szazi?

Drap wyglądała jakby to pytanie zbiło ją z tropu.

- Nie, dlaczego pytasz?
- Nie możemy jej złapać. Albo wyjechała i zapomniała nam powiedzieć, albo ktoś ją... - Ginger nie mogła wymówić tego słowa, więc White to zrobiła.
- Albo została porwana.

Drap otworzyła szeroko oczy.

- Ogłosiłaś kod 007 i uruchomiłaś czerwoną linię? – Ginger pokiwała głową.
- Dzwoniłyśmy do niej, ale okazało się, że zostawiła telefon w pokoju. Rodzina i przyjaciele nic nie wiedzą, nikt u nas nic nie widział.
- Już do was jadę... Albo nie, obdzwonię swoich agentów. Ktoś coś musi wiedzieć. Jeśli wyjechała sama to ...

Nie dosłyszałam co, ale Ginger chyba nie musiała tego słyszeć, bo rozłączyła się i odwróciła do nas.

- Bierzcie do ręki namiary na wszystkich naszych agentów i do dzieła!

I tak zrobiły. Wszyscy jak szaleni obdzwaniali najpierw wszystkich agentów, począwszy od Pepe Pana Dziobaka, a skończywszy na Różowej Panterze, po czym przyszła kolej na posterunki, szpitale, kostnice... sprawdziliśmy nawet jej lekarza rodzinnego. Nic. Jak kamień w wodę.

Po godzinie szaleńczego wiszenia na telefonach, do pionu poderwał je krzyk Elect.

- Mam! – Wszyscy niczym sepy zaczęli go okrażać. – Jeden z agentów właśnie zadzwonił. Twierdzi, że Szazi była widziana w Las Vegas z jakimś obłąpiającym ją gachem... - z powrotem przyłożył słuchawkę do ucha i zadał parę pytań po francusku, po czym coś zanotował i się rozłączył. – Mam adres hotelu w którym się zatrzymali!
- Ściągnę pilota! – zawołała Mag, ciągnąc za sobą Czarną, która ledwo zdążyła złapać książkę, z którą jak White zauważyła – wcale się nie rozstawała.
- Do broni! Nie oddamy Szazi po dobroci! – zawołała Ginger łapiąc suszarkę i biegnąc za nimi.

Wszyscy złapali co mogli i poszli w jej ślady. Za nią podreptała White, potem Tusia i Cheer, a za nimi leciała Dev z na wpół przytomną Yen, która dalej śpiewała piosenki o gumisiach. Och zapowiadała się zajebista misja ratunkowa.

Prywatny samolot agencji jak szalony pokonywał przestrzeń dzielącą ich od Vegas. Po niecałej godzinie lotu byli na miejscu. Koła samolotu ledwie dotknęły płyty lotniska, gdy wszyscy wypadli z samolotu jakby gonił ich diabeł. Na czele biegła Ginger z suszarką w ręku, tuż za nią egzekwo Czarna i Mag z bombkami-wypierdówkami, ale doganiała je Diot z zepsutym UZI, ale za to różowym, za nią była White ze szczotką klozetową (niestety życie bywa okrutne) z chłopakami, a za nimi reszta pijanego, wystraszonego i śpiewającego zboczone piosenki majdanu. Gdy White się potknęła i niechcący odwróciła, dostrzegła, że im... zostały granaty. Gdy krzyknęła o tym dziewczynom z przodu... cóż, jak burza wpadły do najbliższej taksówki, wciągając ją za sobą i zatraskując drzwi. Nie trzeba chyba wyjaśniać dlaczego.

Droga do hotelu minęła jak z bicza strzełił. Wszyscy byli zdenerwowani – oprócz Czarnej, która korzystając z chwili przerwy znowu wyciągnęła egzemplarz Akademii i wpatrywała się w niego z konsternacją. Żadne z nich tego nie skomentowało. Okazało się, że portier widział dziewczynę odpowiadającą rysopisowi Szazi, ale wyszła stąd jakieś pół godziny temu z młodym gentelmanem.

Chcąc chwile odpocząć i zweryfikować nowe dane, Ginger zagoniła ekipę do restauracji i włączyła laptopa. W międzyczasie dojechało do nich pijane towarzystwo. Dla własnego bezpieczeństwa, ekipa dała dziewczętom zdjęcia Szazi i kazała rozpytać wszystkich, których znajdą przy hotelu. W międzyczasie Ginger weryfikowała dane, a White z Czarną załatwiały helikopter, co by jak najszybciej się stąd wydostać. Mag, Max i panowie wisiąły na telefonach, znowu obdzwanianych przez naszych agentów.

Gdy jeden z nich rzucił informację, że Szazi skorzystała z zapasowego dżambodżeta, wszyscy mieli już się zbierać, gdy nagle w komputerze Ginger zamigotała czerwona lampka. Qba pospiesznie wcisnął jakiś przycisk i na ekranie pojawiła się Drap.

- Jakież wieści?
- Nie – pokręciła głową. – Ale coś sobie przypomniałam. Szazi mówiła kiedyś, że lubi odwiedzać knajpkę w Las Vegas... zdaje się, że była gdzieś na obrzeżu. Zaraz, jak ona się nazywała...

Drap podała im nazwę i wszyscy biegiem udali się na dach, skąd miał odlatywać firmowy helikopter. Wszyscy się w niego zapakowali i bez słowa wyjaśnienia Dev, Yen i reszcie, polecili na peryferia Vegas.

Bardzo szybko odnaleźli ową knajpkę, którą powinni chyba nazwać burdelem. Mniejsza o to. Gość przy wejściu potwierdził, że do środka wchodziła brązowowłosa piękność w towarzystwie właściciela. Nie zważając na protesty faceta, ekipa rozdzieliła się na grupki, ale Qbac zdecydował, że to bez sensu, odkąd na zaplecze prowadzą tylko jedne drzwi i jest jedno okno, do którego trudno się dostać, a on nie chce zniszczyć sobie manicuru. Wszyscy się z tym zgodzili i wyciągając swój sprzęt, powoli skradali się do drzwi, zza których dochodziły dziwne... odgłosy. A potem śmiech. I znowu głosy.

- Ściągaj to szybciej. – Wszyscy zamarli. Ten głos ewidentnie należał do Szazi. - Adrian, nie będę czekała całego dnia! Mam robotę, a chcę się zabawić... no już...
- Nie bądź taka niecierpliwa, no...

Doszły do nich westchnienia pełne uciechy. Wszyscy po sobie spojrzeli. *Rany boskie co się tam działo?* Wzrok White powędrował do Ginger, która szeroko rozwartymi oczami wpatrywała się w drzwi. Miała jednak wyraz twarzy, jakby coś sobie uświadomiła.

- Co robimy? - szepnął Qbac podnosząc swoją raketnicę.
- Nie wiem – odszepnęła mu Czarna przestępując z nogi na nogę.
- Wchodzimy? - spytała Ginger Mag, ale jedyna co Ginger powiedziała to coś w stylu „yumhk”.

Teraz ze środka dochodziły wyraźnie odgłosy darcia... materiału. *Uhu-hu, chyba zaczyna się robić gorąco*, pomyślała White.

- No nie!- syknął ktoś z tyłu. Cała grupa odwróciła się i zobaczyła, że za Diot stoją Dev i reszta. *Kurde, jak mogliśmy ich nie usłyszeć?, zakląła White.* – Ona tam się zabawia z jakimś lalusiem i się z nami nie podzieli?! Do ataku, *girls!*

I nim ktokolwiek zdążył zareagować, drzwi otworzyły się z impetem i do środka wpadła wesoła hałastrą gumisiowej babuni z... granatami w dłoniach. Strwożona ekipa czym prędzej pośpieszyła za dziewczętami do środka, w celu odebrania im granatów, chociaż White mogła stwierdzić, że nikt się do tego za bardzo nie kwapił. Ale będąc w środku... White wytrzeszczyła oczy.

W jasnym pokoju, na jasnej podłodze siedziała Szazi szczerząc się jak dziecko do średniej wielkości czerwonego pudełka, do którego włożyła ręce i wyciągnęła...

- Jest zajebisty! – krzyknęła ucieszona wyciągając małe, żółte, automatycznie sterowane porsche. – Dzięki Adrian!
- Niema sprawy, maleńka.

Jakiś wysoki, przystojny młody facet puścił do niej zalotnie oczko, sięgając po drugi samochodzik, który ustawił na szczycie toru ciągnącego się przez cały pokój. By to zrobić musiał stać na krzeselku – pomimo, że był wysoki.

- Co tu się do cholery wyprawia?! – nagle powietrze przeszły wrzask Dev. – Gdzie ten striptiz?

Szazi i przystojniaczek dopiero wówczas zauważyli, że do pokoju wpadła gromada ludzi z... przeróżnym sprzętem. Czując się zawstydzona, White szybko schowała za plecy szczotkę klozetową, mając nadzieję, że nie zauważyli.

- Kim oni... - zaczął przystojniak, ale Szazi już poderwała się na równe nogi.
- Co wy tutaj robicie?

Wszyscy spojrzeli po sobie, ale jakoś nikt nie kwapił się do odpowiedzi.

- Myślałyśmy, że... eee... – Max próbowała, ale nie była w stanie przemówić, chciwie chłonąc oczami przystojniaka.
- Zaginęłaś – dokończyła za nią cierpliwie Czarna.
- Nie zostawiłaś liściku ani nic, więc pomyślałyśmy, że coś się stało i...
- I uruchomiłyśmy wszystkie nasze kontakty, żeby cię znalazły – zakończyła ostatecznie Ginger, odzyskując głos. – Martwiłyśmy się, że ktoś cie porwał, ale jak widać – otaksowała wzrokiem pokój i przystojniaka – pomyliłyśmy się.
- Owszem – odrzekła Szazi i zaczęła się jej tłumaczyć.
- Hej, czy to nie Iwaskow? – rzuciła nagle półgębkiem Tusia i nagle wszystkie bliżej się mu przyjrzały, ignorując rozmawiające ze sobą dwie szefowe BadAssu.
- Faktycznie, wygląda jak on – przyznała Diotima.

Był ubrany w ciemny garnitur i miał jasnobrązowe, pięknie rozwichrzone włosy przez pokojową bryzę, oraz przepiękne zielone oczy.

- Jaj chyba sobie ro—
- Jest mój! – wydarła się i Dev i w następnej sekundzie wystrzeliła do przodu jak rakietą, a reszta poleciała za nią.

Nim White zdążyła się ruszyć i nim Szazi zdążyła zareagować, powietrze przeszła eksplozja i kawałki szkła. White zasłoniła się rękoma słysząc, jak laski upadają na ziemię – jedna po drugiej, jak deszcz małych, pulchniutkich śliweczek – po czym spojrzała w górę i zobaczyła jak z okna wylatuje na linie (*skąd ona ja wytrzasnęła?!*, *zastanawiała się* White) pijana Yen z russian wódką w rękę i zaczyna się ześlizgiwać w dół.

- Hasz byłaś? – zawołała radośnie Tusia i razem z Cheer, Dev i Max rzuciły się na jej trunek, zapominając na chwilę o przystojniaku, który gapił się na nie z szeroko otwartą buzią. Reszta ekipy po prostu stała i się na nie gapiała.
- A może by tak...

- Iwaaaskow! – Yen bez ogródek rzuciła się w kierunku przystojniaka i zaczęła go obmacywać. I wtedy jak na komendę, dziewczęta zostawiły Vódkę i też na niego ruszyły.

I w tym momencie można by powiedzieć, że rozpętało się kolejne piekło, ale to nie było do końca prawdą, bo to wybuchł tylko granat Dev i tylko Dev podsmolił tyłek, więc... *whatever*.

- Ani kroku dalej! – Zanim White z Czarną zdążyły dobiec do nich, ba, zanim Ginger zdążyła kiwnąć palcem, a Qbac wyciągnąć broń, Szazi już stała przed domniemanym „Iwaszkowem” celując do dziewcząt ze swojego „bUZIaczka”. – Jak któraś się ruszy...

Nie musiała kończyć. Yen powoli zaczęła się cofać, patrząc na Szazi, jakby ta wyciągała do niej rękę ze słodyczami. Reszta zrobiła naburmuszone miny. I ku zdziwieniu White – Czarna też.

- Szaz – zaczęła łagodnie Ginger, w odróżnieniu od dziewczyn podchodząc do niej powoli. – Czy to jest to, co ja myślę?
- A co to jest to, co myślisz?
- Eeee... to co ja myślę, że jest. Myślisz?
- Myślę, że to jest to co myślisz, że myślisz.
- Szaz! – Ginger nagle poczerwieniała ze złości. – Do jasnej cholery, jak mogłaś! Odnalazłaś tego owego osobnika płci męskiej statusu wolnego, któremu rozdarło serce i nie raczyłaś nawet powiedzieć o tym swojemu psu, nie mówiąc o nas?!
- Ale Ginuś, bo ja...
- Zraniłaś nasze serca! Zhańbiłaś nasze dobre imię! Pozbawiłaś nas...
- Dobrze już dobrze! – zapłakała Szazi opuszczając buziaczka. – Ale on mi kupił porrsche, takie *ładne żółte i tak ładnie się ze mnom bawil...* - Dziewczęta korzystając z chwilowego rozproszenia Szazi, na nowo zaczęły krążyć wokół Iwaszkowa jak sępy... Nawet Diot do nich dołączyła. – A poza tym...

Ginger zrzędała mina.

- Dobrze, już dobrze słonko. Po prostu... no ten teges, miałyśmy stresa, że jakiś przydupas cię porwał i uwięził w swojej pieczarze, a ty byłaś zmuszona czekać aż przyjedzie taki ksiązę Bolko z sierocińca i cię uwolni...

I tu White omal się nie popłakała, gdy dwie imperatorki wpadły sobie w objęcia. Czarna przytuliła ją z jednej strony, a z drugiej przytulił ją Qba. Gdy dołączyła do nich Kati, wykonali teletubisiowe Przytulanko, które Czarna skomentowała czymś w stylu: *kółko wzajemnej masturbacji*.

- Ani kroku dalej, pijanopodobne! – Kółko się rozdzieliło i wszyscy spojrzeli w kierunku Szazi, która ponownie trzymała dziewczęta na muszce swojego UZI. Adrian wyglądał jakby nie do końca wiedział co się tu dzieje, ale orientował się na tyle, by bezpiecznie schować się za swą obrończynią. – To mój Adrian, moje autko i moja bajka! Wypad stąd, ale już! W try miga!

Dev i Yen spojrzwały na siebie i wzruszyły ramionami, zaś Ginger – ku totalnemu osłupieniu White – roześmiała się.

– Dam ci znać kochana jak bety skończą pracować. Zrobimy imprezę...

I z tym wszyscy się powoli ewakuowali na zewnątrz, zbierając po drodze zgubione przez dziewczęta granaty, co by nie zaśmiewały środowiska. Dev przy wyjściu majaczyła coś, że przyleciały tu samolotem – co ku zgrozie Czarnej – okazało się prawda. *Ale cholera, dlaczego Dev musiała wylądować akurat na pobliskim basenie?*, pomyślała White. *Jak to do cholery wygląda? Jak Darmowa reklama mokrego go-go z czubkiem wskazującym na bur... eee knajpkę której szefował Iwaszkow! No Kuźwa pięknie.*

A w dodatku to zwraca uwagę na naszą tajną organizację, dodała w myślach White. I szczerze? Taaak. No bo jak nie, skoro na samolocie widniał napis: *„BAG – czyli pocałuj nas w dupę, tranlejszyns tim promolszons do uslug”*. Uch, psioczyła dalej. *Chyba będę musiała pogadać z Ginger, żeby rąbnęła jej te kluczyki. Albo sama to zrobię. Będzie szybciej i będę pewna, że nigdzie w najbliższym czasie sama nie poleci.*

W samolocie nastąpiła dosyć radosna atmosfera, gdyż Ginger dostała pilny telefon z wiadomością, że bety skończyły pracować. Teraz pozostawało tylko skleić rozdziały i w’uala! W związku z tym, każdy zaczynał planować co będzie robił podczas tych dłuugaśnych wakacji i raczył się przy tym wybuchowym trunkiem Yen, który to ta mała sprytna gromadnie przytaszczyła na pokład. W takiej ilości można było utopić stado słoni.

I tak oto w wesołej atmosferze zakrapianej alkoholem i śpiewając zboczone piosenki Dev, wszyscy wrócili do kwatery, gdzie rozpoczęła się impreza. Byli tam wszyscy – dosłownie wszyscy, nawet Batman wpadł w przerwie co by się dopowerować. Cheer Tusia, Diot i pewnie z pół tuzina innych dziewcząt miało cichą nadzieję, że zostanie na dłużej, ale cóż... służba nie drużba. Impreza trwała i trwała, uwieńczona finałowym opublikowaniem tłumaczenia. Ale nawet i po tym trwała, oj trwała. Choć White znowu niewiele pamiętałam.

Na drugi dzień miała takiego kaca, jak stąd do Honolulu. Dziewczyny i chłopcy się pakowali. Z tego co powiedziano White, to Szaz zabrała Adriana jakoś po północy bo za bardzo się do niego kleiła... co było dziwne, bo White zawsze wołała dzikusów. Tak czy siak, Ginger mówiła, że wrócili do Vegas więc swoje miłosne gniazdko, dopóki samozwańcza imperatorka nie wezwie Szazi do pracy – lub odwrotnie. Sama Ginger na drugi dzień zaszyła się w swoim gabinecie, zapewne planując kolejne projekty. Rudowłose z rzędu Gingerowatych nigdy nie miały dość pracy. To urodzone alko-praco-holiczki.

Tusia, Cheer i Yen szybko się zmył zmyły, twierdząc, że idą założyć bar szybkiej obsługi, ale White usłyszała, jak układają plan odnalezienia zaginionej Atlantydy i... miały nadzieję, że może przypadkiem natkną się na towarzysza Bielikowa i jego arsenał. White zażartowała o tym Mal, ale ona się nie przejęła i pospieszyła do swojego przedszkola, by dalej dręczyć dzieci swoim wyglądem. Dev natomiast krążyła trochę po kwaterach szukając swoich kluczy od samolotu – i skubana znalazła. Ewakuowała się na Madagaskar z zamiarem nauczenia tamtejszych pingwinów tańca hula-hula. Co do reszty...

Jul i Mag zgubiły się wczoraj w barze, Kati poszła ubóstwiać swojego Michaela, chociaż ostatnio chyba przerzuciła się na Jonasa, Max pojechała do Szazi i Adriana, by udzielić im wskazówek jak zbudować prawdziwy tor wyścigowy, Justa wybrała się na safari ujeżdżać tygrysy w Indiach Północnych. Minęła się po drodze z Law, która rzuciła swoje kangury i wyruszyła na podbój świata. Drap dalej spoufalala się z Czarnem Ludem (pracującym, żeby nie było!), a Alice i kilka dziewcząt pojechało do niej dołączyć. Qbac otworzył szkołę ninja, której pierwszą klientką była White, a Elect... cóż, Elect okazała się... mężczyzną. I to całkiem *całkiem*. Żeby były tu dziewczęta, to byłaby inna bajka, a tak... White i pozostała reszta mogły go bliżej poznać.

I tak oto w tajnej i cichej już kwaterze Badassu, a konkretnie w przytulnym salonie przypominającym pobojuwisko, została tylko White – z kacem tysiąclecia, Diot – próbując przypomnieć sobie kod do sejfu Ginger i Czarna, która zamiast iść napisać PornoDymka, siedziała z tym nieszczęsnym 6 tomem i skrzywioną miną.

Życ nie umierać, pomyślała White i usiadłam ostrożnie na ocalałej kanapie, starając się za bardzo nie myśleć o pozostałych członkach drużyny A, gdyż jeszcze gorzej bolała ją od tego głowa. Diotima – jak zawsze dobra kobieta – przyniosła jej lodu, choć zajęło jej to podejrzenie dużo czasu.

Dziewczęta siedziały tak długi, długi czas w ciszy, aż w końcu nie White mogła się powstrzymać i zaczęła w duchu planować sobie trasę jej mega wycieczki. Chciała zacząć od Antarktydy, gdyż zawsze interesowali ją ludzie lodu... i podobno częściej widuje się tam Yetich. Och, świetnie byłoby mieć w kwaterze takiego białego futrzaka, pomijając tygrysa, którego zapewne przywiezie Justa. A potem —

- Ha, mam! Wiem! - Czarna nagle zerwała się z miejsca, przerywając błogą ciszę. White razem z Diot spojrzwały na nią z ciekawością. - Doszłam!

Dziewczyny wymieniły się z zaskoczonymi spojrzeniami, gdy Czarna odtańczyła dziki taniec radości. White szła w zakład, że nie cieszyła by się tak nawet, gdyby zobaczyła zdjęcie, które Diot w końcu wyciągnęła z sejfu, idąc dla niej po lód i teraz ukrywała je w kieszeni. To nic, że rozwaliła sejf siekierą. Ginger po wypłacie mogła kupić sobie nowy.

- Wiem!
- Co wiesz? – spytała Diot.
- Wiem, czego tam brakuje!
- Czego?
- Viagry!

Ku pamięci wszystkich poległych w wojnie o Dymitra Wspaniałego.